

KATIE AGNEW

Do skonala  
pomylka



*Dla Matta*

## **Część pierwsza**

### **Upadek**

*Chyba jestem syreną... Nie boję się głębin, a zatrważa mnie  
płytkie życie.*

Anaïs Nin

## *Rozdział pierwszy*

Hackney, Wschodni Londyn, 2012

Najdroższa Sophio,

Mam nadzieję, że zdołasz mnie niebawem odwiedzić.

Tęsknię za Tobą potwornie, a w szpitalu doskwiera mi samotność. Spotykam się z Twoimi rodzicami, rzecz jasna – we wtorki i piątki, jak w zegarku! – ale ich towarzystwo nie dostarcza mi takiej rozrywki jak Twoje. Czy moje listy docierały do Ciebie? Rozumiem, że wy, młodzi, jesteście bardzo zajęci. Mam nadzieję, że adres, który podała mi Twoja matka, jest prawidłowy. Nigdy nie byłam w Hackney. Czy jest tam ładnie?

Jak wiesz, jestem bardzo chorą starszą panią i byłabym bardzo zadowolona, gdyby za sprawą mojego pamiętnika ktoś kiedyś dowiedział się, jak faktycznie przebiegało moje życie. Chcę, by ktoś wiedział coś więcej ponad to, co uchwyciły kamery i co mówili dziennikarze. Tutaj nie mam zbyt wiele do roboty i mogę się oddawać wspomnianiu przeszłości oraz zapisywaniu historii, która w przeciwnym razie odeszłaby razem ze mną. Tak wiele się działo, zanim stanęłam w blasku jupiterów. I tak mało powiedziano o tym, co się wydarzyło później. Kiedy byłaś mała, zawsze chętnie słuchałaś moich opowieści, dlatego też ciebie wybrałam na odbiorcę moich zapisków. Zrób z nimi, co zechcesz, ale wiedz, że te słowa są wszystkim, co mi zostało po – w sumie – naprawdę wspaniałym życiu.

Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie dobrze i że jesteś szczęśliwa, moja kochana Wnusi.

Kocham Cię, jak zawsze, Babcia

– Zamierzasz wybawić staruszkę z opresji i pojedziesz się z nią spotkać? – zapytał Hugo, rozpierając się na niepościelonym, poplamionym kawałku łóżka, jakby było to łóżko z baldachimem w apartamencie w Savoyu.

W jednej ręce trzymał list od babki Sophii, a w drugiej francuskiego papierosa. W zasadzie korespondencja – trzeci list,

który dotarł tu w ciągu dwóch tygodni – przypominała raczej nowelę. Hugo ścisnął w eleganckiej dłoni liczne ręcznie zapisane strony. Sprawiał wrażenie podejrzanego typka, ale ten jego wygląd nie był tak do końca naturalny; uważnie go wypracował i przećwiczył przez lata. Strzepnął popiół do prowizorycznej popielniczki, która leżała pośród szpargałów, i przelotnie przyjrzał się sobie w lustrze. Gdyby przejawiał choć nikłe zainteresowanie aktorstwem, odniósłby niewątpliwie sukces.

– To twoja babka – rzucił dramatycznie. – Umrze niechybnie, a pragnę ci przypomnieć, że jest warta fortunę. Jak możesz ją ignorować?

Prychnął, dość krytycznie jak na kogoś, kto nie ma pracy, etyki zawodowej, kwalifikacji czy perspektyw.

Sophia go zignorowała i kontynuowała poszukiwanie na podłodze czarnego biustonosza. A przynajmniej udawała, że go ignoruje. Nie chodziło o to, że nie przejmowała się babką. Gdy była młodsza, łączył je silny związek, ale co miała robić? Jeśli wybierze się do szpitala, otworzy puszkę Pandory.

– Hugo – odezwała się wreszcie. – Moja babka była aktorką. Dostała Oscara za to, że była w tym dobra. No wiesz, w udawaniu. I nadal jest aktorką. Po prostu od lat nie pracowała. Niemniej tym się zajmuje. I zna się na tym. Odgrywa rolę zakochanej we mnie babci, żebym znalazła się obok jej łóżka. Wtedy będzie mogła przekonać mnie do pogodzenia się z rodzicami.

Być może to matka poprosiła babcię, żeby do niej napisała? Sophia nie zamierzała – i nie mogła – dać się wciągnąć w gierki babki. Dlatego też z uporem trwała w terażniejszości i dalej szukała ubrań.

– Nie mogę się nad tym teraz zastanawiać – odparła, lekceważąco machnąwszy dłonią w stronę swojego najlepszego przyjaciela. Miała nadzieję, że wygląda na mniej zainteresowaną, niż była w rzeczywistości. – Nie mogę znaleźć cholernego biustonosza!

– Tego? – zapytał Hugo, ostrożnie podnosząc czubkami palców koronkową bieliznę z łóżka. Rzucił ją na podłogę u stóp

Sophii, jakby to był jadowity wąż, który mógłby go w każdej chwili ukąsić.

– Właśnie tego. – Sophia się uśmiechnęła. Podniosła biustonosz i zapięła go na sobie. – Dzięki.

– Wróćmy do tematu – ciągnął Hugo, odwróciwszy wzrok od nagiego ciała Sophii ze zbolalym wyrazem twarzy. – Twoja babka. Leży w szpitalu przy St John's Wood. Trzymaj. Tym razem dołączyła wizytówkę z nazwą oddziału, numerem sali i bezpośrednim numerem telefonu.

Cisnął wizytówkę w kierunku Sophii. Zignorowała ją.

– Wystarczy jeden krótki wypad do północnego Londynu, żebyś mogła sobie zagwarantować małą fortunę. Potem będziemy mogli wyrwać się na wakacje. Wschodni Londyn jest taki *passé*. Przyda nam się powiew świeżości. Odwiedzmy twoją babcię jutro. Poznajmy wszystkie rodzinne skandale, a przy okazji zaklepmy sobie obrzydliwie wielki spadek. No, Soph, co masz do stracenia?

Prawda była taka, że Sophia się bała – przerażały ją śmiertelna choroba babki, spotkanie z rodzicami, przeszłość i przyszłość. Jej babcia o tym wiedziała. Z jakiego innego powodu usiłowałyby zwabić Sopię do szpitalnego łóżka tajemniczymi wzmiankami o rodzinnych sekretach?

– W tej chwili myślę tylko o tym, żeby się wyszykować i trochę zabawić.

To nie do końca było prawdą. Sophia miała rozdarte serce między pragnieniem poznania opowieści babki i chęcią udawania, że jej rodzina nie istnieje. W pierwszej chwili odłożyła trzy listy na bok, zamknięte. Wystarczyło, że zerknęła na elegancki charakter pisma i znaczek pocztowy, by się zorientować, że zapoznanie się z treścią listów wywoła cierpienie. Nietrudno ignorować korespondencję w takim miejscu jak to, gdzie docierały jedynie ulotki lub ostateczne wezwania do zapłaty albo listy adresowane do poprzednich lokatorów, którzy dawno już dali nogę.

To Hugo otworzył wreszcie koperty. Ciekawość pokonała go przedwczoraj, kiedy to przyszedł trzeci list. Sophia zastała go zwiniętego na łóżku i pożerającego strony wzrokiem. Gdy weszła

do pokoju, podskoczył jak kot przyłapany na wylizywaniu rondla. „Czy te listy były adresowane do mnie?”, zapytała, mimo że znała już odpowiedź.

Hugo przytaknął, a policzki mu się zarumieniły ze wstydu. Natychmiast przeszedł do defensywy: „Nie wyglądałaś na zainteresowaną otwarciem ich, a wydawało mi się, że niegrzecznie by było je zignorować...”.

„Uznałeś, że otworzysz czyjąś korespondencję i przeczytasz ją potajemnie? I to nie wydawało ci się niegrzeczne”, kontynuowała. Czuła się bardziej zraniona niż zła.

„To są listy od twojej babki”, oznajmił, wręczając jej w końcu plik kartek. „Uważam, że powinnaś je przeczytać. Są ważne. Babcia nie czuje się dobrze”.

Sophię dławilo w gardle, kiedy wzięła listy od Hugona. To jasne, że jej babka była chora. Po co by się z nią kontaktowała w innym przypadku? Po tym wszystkim, co się wydarzyło.

„Nie zamierzasz ich przeczytać?”, zapytał Hugo, gdy udało mu się nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Z nietypowego dla niego śmiertelnie poważnego wyrazu twarzy wywnioskowała, że sprawa była niebagatelna. „Później”, odparła oschle.

Sophia przeczytała pierwszy list i pierwszą część pamiętnika babki tamtego wieczoru w łóżku. Zachciało się jej płakać, więc wcisnęła go do szuflady szafki stojącej przy łóżku. Poprzedniej nocy nie mogła spać i wydawało się jej, że listy wołają ją z szuflady. Przeczytała drugi, do ostatniego słowa i odniosła wrażenie, że zapada się w tunel jak Alicja w Krainie Czarów, że wciąga ją równoległa rzeczywistość, w której wszystko jest inne, mimo że ludzie wydają się znajomi. A teraz Hugo upierał się, że przeczyta jej trzeci list. Starła się rozpaczliwie tym nie przejmować, lecz gdy Hugo zaczął czytać, wszystko inne wydawało się stracić znaczenie.

– Podoba mi się to, jak mówi twój pradziadek – prychnął rozbawiony zza listu. – Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest bi?

– To możliwe. Uczył się w Eton – odparła Sophia, gdy

dostrzegła możliwość przekierowania rozmowy z tematu jej rodziny na ulubiony temat Hugona, czyli jego samego. – Czy nie wszyscy etończycy są seksualnie dwuznacznicy? – dodała, kiwając do niego znacząco.

– Nie jestem seksualnie dwuznaczny! – Hugo natychmiast połknął przynętę. – Jestem w stu procentach homoseksualny. Tamta dziewczyna to pomyłka. Głupi błąd, który popełniłem po pijaku. No i była chłopczycą, jeśli pamiętasz. Wyglądała jak chłopak. Słowo daję!

Sophia uśmiechnęła się szeroko. Bingo! Temat zmieniony. Poza tym uwielbiała denerwować Hugona. Od wczesnego dzieciństwa stanowiło to jej ulubioną rozrywkę. Hugo, syn byłej najlepszej przyjaciółki jej matki, zawsze kręcił się w okolicy. Na początku ją irytował. Był małym blondynkiem, o dwa lata od niej starszym, który plątał się za nią jak bezpański szczeniak. Łaził za nią po ogrodzie i twierdził, że pomaga jej szukać dobrych wrózek, podczas gdy ona chciała tylko uciec od wściekłego ojca lub melancholijnej matki i ukryć się na drzewie. Albo zakradał się do jej pokoju, gdzie ubierał nienagannie lalki, czesał im włosy i mył buzie. Czy nie rozumiał, że Sophia wołała, żeby jej lalki siedziały nagie i trochę zaniedbane?

Pamiętała, że traktowała go wówczas dość podle. Bez względu na to, ile razy by z niego drwiła, Hugo był wobec niej lojalny. Jeśli ojciec ją zbeształ (a on zawsze ją beształ), Hugo uśmiechał się do niej pocieszająco zza firanek długich rzęs. Jeśli mama odsyłała ją do pokoju, szedł na palcach za nią na górę, żeby dotrzymać jej towarzystwa. A gdy wdawała się w kłótnię z którymś z dzieci z sąsiedztwa, zawsze stawał po jej stronie, mimo że był chudy i wymuskany, i nie wiedział, jak odpyskiwać wyszczekany dzieciakom.

Z biegiem lat, za sprawą swego upartego oddania, zdołał sobie stopniowo zjednać Sophię. W pewnym momencie irytacja ustąpiła tolerancji, ta przekształciła się z czasem w szczerą sympatię, a gdy wkroczyli w wiek nastoletni, ich rodziny zaczęły ich przezywać Potwornymi Bliźniakami. A teraz? Sophia

uwielbiała Hugona. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez niego u boku. Dla niej, jedynaczki, był jedynym bliskim człowiekiem – prawie bratem.

Ich matki pokłóciły się przed wieloma laty o to, która powinna kupić w danym roku bilety na finał Wimbledonu, ale Hugo i Sophia znali się jak łyse konie. I od czasu do czasu uciekali się do kradzieży, jeśli równocześnie nie dostawali kieszonkowego. Na szczęście w tej chwili w niełasce była tylko Sophia, więc żyli z pieniędzy rodziny Hugona. Żadne z nich nie uważało, żeby taki układ stanowił jakiś problem. Lecz żadne z nich nigdy nie musiało zarabiać na życie. A przynajmniej nie w prawdziwej pracy.

– Aha! Mam cię! – krzyknęła Sophia triumfalnie, wyławiając samotny czarny pantofel z pary dzinsów. – Musimy to oblać. Co mamy?

Hugo podał jej otwartą butelkę ciepłego prosecco.

– A więc? – zapytał nagle, rozplątując długie kończyny i klękając na łóżku.

– A więc co? – spytała Sophia, wciągając drugą pończochę.

– Czy odwiedzimy jutro twoją babkę? – naciskał.

Boże. Myślała, że udało się jej odwrócić jego uwagę.

– Jasne, że nie – prychnęła. – Nie bądź śmieszny. Za minutę idziemy na imprezę. Wiemy, że będzie raczej ostra i nie mamy szans pospać tej nocy. Jutra nie będzie, Hugo. Więc jaki sens ma snucie jakichkolwiek planów?

Wcisnęła się w najbardziej obcisłą czarną sukienkę, założyła ogromny pierścień z rubinem i zabójcze szpilki. Zebrała zmierzwione włosy na czubku głowy i upięła je w swego rodzaju kok. Spryskała fryzurę sporą ilością lakieru. Dla lepszego efektu pociągnęła oczy czarnym eyelinerem.

– Proszę – oznajmiła. – Gotowe.

– Jak ty to robisz, Soph? – spytał Hugo zdumiony.

– Co takiego? – zainteresowała się niewinnie.

– Tworzysz coś tak doskonałego z absolutnego chaosu! – wykrzyknął.

Uśmiechnęła się do niego – mimo że się z nią droczył, był



nadal jej jedynym cheerleaderem – i poczęstowała się jego papierosem.

– Reszta też idzie? – zapytała, ruchem głowy wskazując drzwi ich współlokatorów, Bena i jego dziewczyny Amelii.

Hugo pokręcił głową.

– Powiedzieli, że nie chcą. Zamierzają zjeść curry i oglądać *Strictly Come Dancing*. Najwyraźniej robimy się za starzy, by chodzić po klubach.

Sophia wybuchnęła śmiechem, ale w jakimś stopniu się z nimi zgadzała. Gdyby miała lepsze zajęcie, któremu mogłaby się oddawać ze swoim chłopakiem, może też zrezygnowałaby z imprez.

– Gdy już dostaniesz pieniądze babki, powinniśmy przemyśleć kwestię przeprowadzenia się na zachód – oznajmił nagle Hugo. – Może do Notting Hill. Wiem, że East End jest podobno dzielnicą hipsterów, ale nigdy nie czułem się tu jak u siebie. Nie zrozum mnie źle, dobrze mi się tu mieszkało w czasie olimpiady. Wszyscy ci młodzi elastyczni sportowcy paradowali w obcisłych wdziankach. Jak tu nie lubić czegoś takiego? Ale teraz, gdy już pojechali do domów, zrobiło się tu trochę nudno. Rzekłbym nawet, że nijako. Według mnie ta impreza się skończyła, Sophes. Już mi się nie podoba. Chcę wracać do domu. Na zachód. Proszę. Powiedz, że możemy to zrobić. Szczerze mówiąc, czuję się trochę jak turysta, który przypadkowo znalazł się na linii frontu w czasie wojny domowej. Jest tu jak w Meksyku. Jeśli opuścisz rejon luksusowych kurortów, dostaniesz kulkę w łeb.

Sophia odsunęła powygryzane przez mole aksamitne zasłony i spojrzała na liściasty Victoria Park połyskujący w świetle ulicznych latarni. Z drugiego piętra georgiańskiej miejskiej rezydencji rozciągał się przepiękny widok. To była elegancka dzielnica Hackney. Sophia o tym wiedziała. Hugo jednakże wydawał się żywić przeświadczenie, że żyje w skromnych warunkach.

– Nie dostanę żadnych pieniędzy od babki, Hugo – powiedziała, żeby go łagodnie postawić do pionu. – Nie stać nas

na przeprowadzkę. Kiedy ostatnio Ben poprosił nas o zapłacenie mu za wynajem? Nie znajdziemy w Londynie innej georgiańskiej rezydencji za darmo. Mamy szczęście, że tutaj mieszkamy. Dziwię się, że rodzice Bena nie wykopali nas stąd w czasie olimpiady. Pomyśl, ile kasy mogliby zgarnąć za wynajęcie tego domu! Powinniśmy być im wdzięczni, Hugo. Może dom nie jest idealny, ale mamy przynajmniej dach nad głową.

Budynek należał do przyjaciela Hugona ze szkoły, Bena – uroczego ćpuna o złotym sercu i ambicji leniwca – a raczej do jego rodziny. Zostawiła im go w spadku ekscentryczna ciotka buntująca się przeciwko stylowi życia w Belgrave Square – mieszkała ze swoją kochanką, pisała wiersze, których nigdy nie opublikowano, i przygarniała przeróżne psy i koty. Po jej śmierci rodzina nie wiedziała, co zrobić z tym domem. Kto z jej członków chciałby zamieszkać w Hackney? Nie brakowało im pieniędzy, więc nie spieszyli się ze sprzedażą domu. Po upływie kilku lat, gdy Ben wykazywał nikłe zainteresowanie zamieszkaniem tutaj, z radością przekazano mu dom. Oznaczało to, że rodzina mogła przestać płacić za jego apartament w Kensington, a ponadto ukryć go po drugiej stronie miasta, gdzie nie będzie im codziennie przypominał o tym, jakim jest nieudacznikiem. Ben obiecał rodzinie, że wraz z przyjaciółmi odnowi stary dom, ale na razie przewijali się przezeń różni współlokatorzy i przygodne panienki, więc nikt jeszcze nie umył tu okien, o malowaniu ścian nie wspominając.

Trzypiętrowy budynek był jednym z nielicznych, których nie podzielono na mieszkania. I niemal na pewno tylko w nim nie było centralnego ogrzewania, a wszyscy mieszkańcy korzystali z jednej łazienki. Obskurne łuszczące się tynki stanowiły źródło wstydu dla reszty ulicy. Ścian wewnętrznych nie malowano od pięćdziesięciu lat i nadal chełpiły się one tapetami w psychodeliczne wzory z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Szafki w przypominającej ruinę kuchni nie miały drzwiczek, a w obrzydliwej łazience brakowało prysznic (za to w obydwu pomieszczeniach było mnóstwo wilgoci i pleśni). Sophia, Hugo, Ben i Amelia dzielili dom z myszami, mrówkami, a także zagładającymi tu

sporadycznie szczurami.

Nikt z nich nie był ambitny. W każdym z nich nauczyciele dostrzegali niegdyś „potencjał”, ale dotyczyło to dawnych czasów. Teraz nie mieli nawet celu. Na szczęście każde z nich miało do dyspozycji – w przypadku Sophii nie było to już prawdą – fundusze powiernicze. Zawiedzione nimi rodziny rzuciły im z pańskiego stołu resztki, które pozwalały im żyć bez konieczności podejmowania pracy. Zrobiły to, by nie pojawiali się z prośbą w progach domów rodziców i nie przynosili im wstydu na oczach dobrze sytuowanych sąsiadów. Czasami odnosiło się wrażenie, że dom przy Victoria Park Road był miejscem, w którym umierał potencjał.

Współlokatorów nie łączyło w zasadzie nic oprócz wspomnień z dzieciństwa wypełnionego drogimi szkołami, kucykami, wakacjami, domami i samochodami. Poznali się, gdy byli o wiele młodszy i nadal pełni marzeń, ale z jakiegoś powodu skończyli tutaj, wyrzuceni na skraj wyższych sfer.

Sophia spajała tę grupę. Przynajmniej dawniej. Była ogniwem łączącym ich wszystkich. Amelia uczyła się razem z nią w Westonbirt. Sophia wychowywała się z Hugonem. Hugo poznał Bena w Eton. A na którymś z festiwali Sophia przedstawiła Benowi Amelię. Tego wieczoru Amelia porzuciła ją i wpełzła do namiotu Bena. Reszta, jak mawiają, jest historią. Byli uroczą parą, bardzo w sobie zakochaną i dopasowaną pod wieloma względami, także ze względu na powbijane tu i ówdzie kolczyki, ale było w nich coś smutnego. Sophia często myślała o nich, że się marnują. Nie tylko z powodu maryški, którą palili. W innej rzeczywistości Ben i Amelia poznaliby się na uniwersytecie, zakochali w sobie, zrobiliby bajeczną karierę w City, byli już po ślubie i mieszkali w ładnym domu w Surrey, spodziewając się pierwszego dziecka. Czegoś takiego Sophia by im życzyła. Może jakaś jej część nadal pragnęła tego samego dla siebie?

Przełknęła gulę, którą poczuła w gardle. Zaskoczyło ją to. Starła się usilnie nie myśleć o tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby dokonała innych wyborów. Przeznaczała mnóstwo energii

na budowanie „szczęśliwego wizerunku” i nienawidziła, gdy pojawiały się w nim jakieś pęknięcia. Zazwyczaj zachowywała swoje załamania na czas nocy, gdy nikt nie mógł ich widzieć.

Zmusiła się do radosnego uśmiechu i zapytała:

– Dobrze wyglądam?

– Wyglądasz bajecznie – odparł Hugo lojalnie. – Kojarzysz mi się ze skrzyżowaniem Holly Golightly z Amy Winehouse podczas zlotu „Playboya”.

– Może być – ucieszyła się Sophia. – Może powinnam założyć naszyjnik, skoro przywodzę na myśl *Śniadanie u Tiffany’ego*?

Szukała czegoś w pudełku po butach, które pełniło funkcję szkatułki na biżuterię. Trzymała w nim eklektyczny zbiór wykradzonych klejnotów rodzinnych, trofeów ze sklepów charytatywnych i targowiska Camden Market oraz znalezione w domach handlowych kopie kosztowniejszych wzorów. Wybrała krótki naszyjnik z pereł, który przypominał biżuterię Audrey Hepburn.

– Rany! Są prawdziwe? – zapytał Hugo. – Boskie.

– Nie bądź głupi – złażała go Sophia. – To plastik z Topshop z dwa tysiące trzeciego roku. Gdyby były prawdziwe, jeździlibyśmy po West Endzie moim ferrari, a nie cholerną Central Line. Możemy wychodzić, jeśli jesteś gotowy.

Hugo jeszcze raz przyjrzał się odbiciu w lustrze i ściągnął brwi.

– Nie podoba mi się ta koszula – oznajmił nagle. – Wygląda dobrze tylko przy opaleniznie.

– Hugo! – upomniała go Sophia i opadła z powrotem na łóżko. – Wieki miną, zanim wybierzesz inną koszulę.

– Potrzebuję dwóch minut, słowo daję – obiecał. – Jak długo można się namyślać?

– Potrzebowałeś dwudziestu ośmiu lat, by postanowić, kim chcesz być, gdy dorośniesz – przypomniła mu Sophia, ale Hugo już wyszedł z pokoju.



## *Rozdział drugi*

Lower East Side, Nowy Jork, 2012

Dominic oparł czoło o chłodną szybę taksówki, która w żółtym tempie sunęła Brooklynem. Pewnie na piechotę dotarłby szybciej do domu z lotniska Johna F. Kennedy'ego, gdyby nie miał ze sobą ciężkich bagaży i sprzętu. Opuścił terminal prawie godzinę temu. Jazda powinna trwać pół godziny, ale w nowojorskim City trwały właśnie godziny szczytu i ulice były zakorkowane. Gdy taksówka wlokła się po moście Williamsburg nad East River, Dominic poczuł, jak żołądek zaciska mu się z powodu nieprzyjemnego połączenia oczekiwania i strachu. Wreszcie wracał na Manhattan. Boże, jak bardzo tęsknił za tym miejscem! Lecz jak mógł się cieszyć z powrotu do domu, a równocześnie bać się tego, co będzie tu na niego czekało.

W radiu puszczano jakąś chwytliwą piosenkę R&B, której wcześniej nie słyszał. To pewnie był przebój tego lata. Zastanawiał się, co jeszcze przegapił podczas swojej nieobecności. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy wyjeżdżał, tylko jaskrawobłękitne lipcowe niebo ustąpiło ołowianej październikowej mgiele. Odczuwał dziwną, zaprawioną kroplą goryczy radość w związku z powrotem do rodzinnego miasta po tak długim czasie, tym bardziej że do wyjazdu doszło w traumatycznych okolicznościach.

Dom tęsknił za hałasem, znanymi zapachami, dumnymi kamienicami z elewacjami z piaskowca, ruchliwymi chodnikami, barwnymi postaciami i ciągłym przypiływem adrenaliny. Tęsknił za psem, kolegami, telewizorem z szerokim ekranem, ulubionym barem, zimnym piwem i własnym łóżkiem. Ale czy tęsknił za życiem żonatego mężczyzny i swoją żoną Calgary? Od trzech miesięcy nie myślał w zasadzie o niczym innym. I wreszcie, w głębi amazońskich lasów deszczowych, przekonał sam siebie, że pogodził się z sytuacją. Wydawało mu się, że zrozumiał ten chaos, i nawet poczuł przelotną ulgę. Owszem, stracił wszystko, co dobre,

ale też uwolnił się od tego, co złe, prawda? I z bezpiecznej odległości pojął w końcu, że jego przyjaciele mieli rację: związek z Calgary miał w sobie sporo złego. Spadły mu klapki z oczu i dostrzegł wyraźnie, że jego małżeństwo było dalekie od ideału.

Tak myślał jednak, gdy przebywał trzy tysiące mil od Lower East Side i mieszkania, które dzielił z Calgary od trzech lat. Teraz, gdy żółta taksówka wlokła się Delancey Street i zbliżała coraz bardziej do ich – jego – domu przy Orchard Street, motyle, które łaskotały go delikatnie w brzuchu, zamieniły się w drapieżne ptaszyska, które wymachiwały wściekle skrzydłami.

– Mieszka pan daleko przy Orchard? – kierowca zapytał jowialnie.

– Tuż za Rivington – odparł Dominic.

– Tak myślałem – odpowiedział kierowca, który uśmiechał się do niego ze wstecznego lusterka. – Tak mi się wydawało, że pan to powie. Domyślam się, że mieszka pan w jednym z tych nowych luksusowych bloków?

Dom poprawił się nerwowo na fotelu.

– Dlaczego tak pan mówi? – spytał.

Kierowca się zaśmiał.

– Te wojskowe buty i kilkudniowy zarost nikogo nie oszukają. Mieszka pan w Lower East Side i usiłuje być pan wyluzowany, inny od nadętych mieszkańców Upper East Side, więc ubiera się pan jak kloszard i mówi językiem ulicy, ale to i tak na nic. Na nosie ma pan ray-bany, na nadgarstku zegarek Tag, a plecak jest jakiejś znanej europejskiej marki. No i nikt nie jeździ po świecie z takimi aparatami fotograficznymi bez powodu, więc się domyślam, że pańskie mieszkanie jest wciśnięte pomiędzy hotelik i salon jakiegoś projektanta w jednym z tych obłądnych nowych budynków, które wyglądają jak zrobione z klocków do gry w jengę, i płaci pan za nie pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Zgadłem?

– Rozgryzł mnie pan, kolego – odparł Dom, kurcząc się w środku. – Jeszcze jedna przecznica. Tuż za hotelem po prawej.

Kierowca skinął ze znawstwem i popukał się w głowę.

– Widzę wszystko ze swojej taksówki. Rozumiem Nowy Jork jak nikt inny. Znam tu historię każdego.

Może i było to prawdą. Niemniej Dom chciał wyjaśnić temu mężczyźnie, że się mylił. Chciał powiedzieć: „Posłuchaj, kolego, wywodzę się z Southeast Yonkers. Mam w połowie irlandzkie, w połowie włoskie korzenie i nikt z mojej rodziny nigdy nie miał kasy, odkąd opuścił pokład pieprzonego statku. Jesteśmy robotnikami z Cork z jednej strony i Neapolu z drugiej. Mój staruszek był mechanikiem, a matka przez czterdzieści lat zdierała sobie palce do kostek jako szwaczka. Chodziłem do państwowej szkoły i ciężko harowałem, żeby dostać się na studia, za które dziwnym zbiegiem okoliczności płaciłem, pracując w trzech miejscach równocześnie. Co więcej, jestem dumny ze swoich korzeni. Lecz pewnego dnia poznałem dziewczynę z wyższej klasy, fajniejszą ode mnie i piękniejszą od jakiegokolwiek innej. Była mądra, odnosiła sukcesy i wiesz co? Zakochałem się. A gdy się pobraliśmy, zapragnęła tutaj zamieszkać. A ja chciałem ją uszczęśliwić. I dlatego tutaj się sprowadziliśmy. A teraz jej nie ma, a ja nadal tu mieszkam. Więc pogódź się z tym, bo ja, do cholery, muszę!”. Dominic został jednak wychowany na tyle dobrze, że tego nie powiedział. Trzymał język za zębami, uśmiechnął się serdecznie i dał taksówkarzowi solidny napiwek.

Gdy taksówka odjechała, Dom stał na chodniku przed budynkiem z bagażem i sprzętem leżącym na ziemi. To był chłodny jesienny wieczór w Nowym Jorku. Po długim locie, braku snu i zmianie temperatury umierał z zimna, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby wejść do środka. Jeszcze nie. W chwili gdy wejdzie do budynku, cały ten koszmar, który wydawał mu się tak odległy w Ekwadorze, stanie się nagle bardzo, ale to bardzo realny. Postukał butami o chodnik, żeby odzyskać czucie w palcach, naciągnął wełnianą czapkę głębiej na uszy, zapiął puchową kurtkę pod zarośniętą brodę i przypalił papierosa. To stary, zły zwyczaj, do którego niedawno wrócił. Nie, to nie do końca było prawdą. To stare, złe przyzwyczajenie, do którego ostatnio przyznawał się od czasu do czasu. Od lat brał potajemnie dymki od kumpli, gdy



Calgary nie było w pobliżu, a potem maniakalnie żuł gumę, żeby zamaskować zapach po powrocie do domu.

Wypalił marlboro w połowie, gdy dotarło do niego, że mógłby zapalić na tarasie na dachu, a nawet, o zgrozo, w mieszkaniu. I nawet nie musiałyby otwierać okien. Pod nieobecność Calgary nikt nie będzie mu truł na temat złych przyzwyczajzeń. Może robić, co zechce. Może czytać w łóżku przy zapalonym świetle grubo po północy. Może wpuszczać psa na kanapę. Może przyrządzić rybę bez konieczności wietrzenia całego mieszkania przed powrotem Calgary z pracy. Nie musi się codziennie golić (stąd jego niezbyt designerski zarost). Nie musi już przeproszać za tatuaż na prawym ramieniu za każdym razem, gdy się rozbiera. To dlaczego tak bardzo się bał wejść do środka? Wziął głęboki wdech, zebrał swoje rzeczy i na zmęczonych nogach, z ciężkim sercem, wszedł do budynku.

– Dominic! Dominic! – zawołał portier Guido, który wybiegł z recepcji i serdecznie uściskał Dominica. – Stęskniłem się za tobą. Tak się cieszę, że wróciłeś. Chyba trochę schudłeś. I wydajesz się bardzo zmęczony. Zbyt ciężko pracowałeś. Pozwól, że pomogę ci przy bagażach.

Dominic pozwolił, żeby Guido niósł najlżejszą torbę z aparatami. Był to raczej uprzejmy ukłon w stronę portiera, który lubił się czuć przydatny, niż rzeczywista potrzeba. Guido był dwukrotnie starszy od Dominica i o połowę mniejszy, a poza tym Dominic sam wyniósł swoje rzeczy z głębi ekwadorskiego lasu deszczowego. Na pewno udałoby mu się donieść je do windy. Mimo to miło było widzieć znajomą, przyjazną twarz Guida. Portier zawsze się kojarzył Domowi z jego włoskimi wujami z Yonkers.

– Jak było w Peru? – zapytał Guido z entuzjazmem.

– Świetnie, świetnie. Bardzo ciekawie – odpowiedział Dom. Nie miał sumienia poprawiać staruszka. – O wiele ciszej niż w Bowery!

– To pewne – stwierdził Guido, z wysiłkiem taszcząc torbę w stronę windy. – Cieszę się, że wróciłeś.

Uśmiechnął się do Dominica z sympatią. „Ważny temat” wisiał w powietrzu, ale żaden z nich nie chciał poruszyć go jako pierwszy.

– Czy... Hm... Często widywałeś Calgary? – zapytał w końcu Dominic, wpatrując się w swoje stopy. – Przychodziła tu, gdy mnie nie było?

– Raczej nie – odparł Guido przepraszającym tonem. – Według mnie nie wróci tu. Wyjechała. Zajrzała tu raz, może dwa razy, po tym, jak wyjechałeś w podróż. Od tamtej pory się nie pojawiała. Przesyłam jej korespondencję na adres w lepszej dzielnicy, który mi podała, jeśli chcesz wiedzieć, gdzie jest.

Dom pokręcił głową i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie dba o to, ale nikogo by nie oszukał. A więc wróciła na swoje ulubione tereny. Nic dziwnego. Mężczyźni stali w niezręcznym milczeniu w windzie, która dojechała na ostatnie piętro.

– Bardzo mi przykro, Dominicu – powiedział Guido łagodnie. – Wiem, że to twoja osobista sprawa i nie chcę być natrętny, ale zawsze byłeś takim miłym człowiekiem. Nie rozumiem, dlaczego twoja żona zrobiła ci coś takiego. Wydawaliście się idealną parą. Co się stało?

– To dość proste – wyjaśnił Dominic ze smutkiem. – Chciałem mieć rodzinę, a ona nie chciała mieć dzieci. To ja się pomyliłem, jak sądzę. Kiedy ją poznałem, robiła karierę, a ja byłem na tyle głupi, że mi się wydawało, że to się zmieni.

Guido posępnie pokręcił głową.

– To jest wielka tragedia – lamentował. – Moja najstarsza córka Isabella jest prawniczką, wiesz?

Dominic wiedział. Guido nigdy nie miał dość chwaleń się swoimi genialnymi dziećmi ani pokazywania mieszkańcom budynku fotografii swojego potomstwa. To była jedna z tych rzeczy, które Dom podziwiał w nim najbardziej – ową dumę z rodziny.

– Ma teraz trójkę dzieci! Nie śpi. Biedula jest wykończona, ale ma troje *bambini* i dobrą pracę. I jest szczęśliwa. Dlaczego

Calgary nie zdecyduje się na to samo?

Dominic znowu nie znał odpowiedzi. Nie był pewien, czy sam rozumiał wytłumaczenie Calgary. Jak mógłby wyjaśnić to komuś innemu i nie brzmieć przy tym jak zgorzkniały porzucony eks? Zgorzknienie nie było w jego stylu.

– Tak czy siak, jest mi przykro – powiedział Guido. – Tylko to chciałem powiedzieć.

– Dziękuję – odparł Dominic, gdy drzwi windy otworzyły się na ostatnim piętrze. Mówił poważnie.

Guido truchtał korytarzem za Domem w kierunku drzwi mieszkania. Gdy Dominic szukał kluczy w kieszeni, Guido odchrząknął.

– Jest jeszcze coś – dodał nieśmiało. – Kiedy Calgary tu wróciła, zabrała... hm... zabrała ze sobą sporo rzeczy. Przyjechała furgonetką z ludźmi. Wynieśli meble, telewizory, lodówkę... Wydaje mi się, że mieszkanie może być...

Dominic znalazł klucz i przekręcił go w zamku.

– Zupełnie puste? – dokończył zdanie za Guido.

Otworzył drzwi i zobaczył pustą przestrzeń, która była niegdyś ich gustownie urządzonego mieszkania. Zostały tylko metry kwadratowe solidnej dębowej podłogi, gołe białe ściany i bardzo samotny, zniszczony skórzany fotel – znalezisko z pchlego targu jeszcze z czasów studenckich Dominica. Calgary go nie znosiła. Twierdziła, że ją razi i gryzie się z przedmiotami marki Wenger, Jacobsen i Panton, które „zgromadzili” – choć Dominik nie przypomina sobie, by miał cokolwiek do powiedzenia w kwestii wyboru mebli. Droczył się z nią i twierdził, że posiadanie w domu mebli „po przejściach” jest szczytem wyluzowania. Calgary odparła na to, że to ona czuje się jak po przejściach za każdym razem, gdy jej przyjaciółki muszą oglądać ten śmieć zagracaający przestrzeń. Teraz jeszcze bardziej się ucieszył z tego, że się upierał, by zatrzymać swój ukochany skórzany fotel. Miał przynajmniej na czym usiąść.

Kiedy przechadzał się niepewnie po mieszkaniu przy akompaniamencie echa odbijającego się od pustych ścian,

zauważył, że zostały mu też książki. Już nie stały w schludnych rzędach zorganizowanych według koloru grzbietów na designerskim regale w stylu skandynawskim, ale były wszystkie: albumy o fotografii, sztuce i historii naturalnej, szwedzkie thrillery, kolekcje Hemingwaya, Fitzgeralda i Capote'a; leżały w zwichrowanych stosach na podłodze. No cóż, Calgary nigdy nie lubiła czytać, chyba że coś, co sama napisała, lub artykuły w „Wallpaper” czy „Vogue’u”. Najchętniej przeglądała zdjęcia w czasopiśmie, zwłaszcza te, na których się pojawiała. Podobało się jej to, że książki męża czyniły ją intelektualistką w oczach przyjaciół, którzy odwiedzali ich na kolacji, ale żadna z nich nie należała do niej i Dom nigdy nie widział, żeby którąś przeczytała. Twierdziła, że rujnują estetykę. Lecz jaki sens ma posiadanie książek, których się nie czyta?

Dominic rzucił torby obok stosów książek. Guido nieproszony poszedł za nim. Było to pewnie nieprofesjonalne zachowanie, ale Dom nie miał nic przeciwko temu. Drobny Włoch odstawił torbę, którą przyniósł, i stał z otwartymi ustami, ale w milczeniu, gdy Dominic zajrzał do kuchni (zniknęły lodówka, pralka i zmywarka), gabinetu (bez biurka, krzesła, komputera) i w końcu sypialni. Nie było łóżka, co nie zaskoczyło Dominica, zważywszy na fakt, że kosztowało fortunę i zostało sprowadzone z Niemiec, ale Calgary była na tyle uprzejma, że zostawiła materac. Kołdry i pościeli już nie. Szafy również zniknęły – ubrania oraz buty Doma leżały spiętrzone na podłodze. Dominic się pochylił i podniósł piłeczkę tenisową. Wrócił do salonu.

Guido zerknął na piłeczkę i przez chwilę Dominicowi się wydawało, że staruszek się rozpłacze.

– Nie – mamrotał. – Nie, nie, nie. Nie mogła być tak okrutna...

Dominic popatrzył na brudną zgryzioną piłeczkę w dłoni i się zaśmiał.

– Nie, Guido – powiedział i czule poklepał mężczyznę po ramieniu. – Nie zabrała Blondie. Nie ośmieliłaby się! Calgary wie, że mogę żyć bez kanapy, łóżka i plazmy, ale nigdy nie byłaby na

tyle okrutna, żeby zabrać mi moje dziecko. Poza tym nie przepada za Blondie. Wątpię, by ją stąd zabrała nawet w czasie pożaru!

– No to gdzie ona jest? – spytał Guido, rozglądając się po mieszkaniu, jakby Blondie mogła się kryć w którymś kącie. Jakby była na tyle mała, żeby móc się gdzieś schować!

– Jest u mojego przyjaciela Dave’a. Pamiętasz go? To ten wysoki gość z rudawymi włosami, który zawsze dowcipkuje.

Guido przytaknął.

– Pamiętam go – przyznał. – Zawsze uśmiechnięty i opowiada kawały. Bardzo sprośne.

– Tak, to ten – potwierdził Dom. – Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi od czasów podstawówki. Blondie przeprowadziła się na Brooklyn do Dave’a, jego żony i ich dwójki dzieci. To świetna rodzina. Ich dom jest bardzo głośny, trochę chaotyczny, ale Blondie doskonale się tam bawiła. Chyba trochę przytyła. Przesyła mi zdjęcia. Ellen dobrze gotuje, a dzieciaki rozpieściły Blondie, ale nic jej nie dolega. Pojadę po nią rano. Nie mogę się doczekać!

– To dasz sobie radę? – upewnił się Guido. – Sam tej nocy? Dom skinął głową.

– Jasne. Mam gdzie usiąść i się przespać. Telewizję mogę oglądać w laptopie i mogę sobie zamówić pizzę. Nie jadłem pizzy od trzech miesięcy. Mógłbym zamordować za pepperoni. Może kupię sobie kilka butelek budweisera w sklepie. Czego więcej potrzebuje samotny facet?

– Kobiety – odparł Guido stanowczo. – Moja Alessia nadal jest wolna. Chciałbyś, żebym do niej zadzwonił?

Dominic uśmiechnął się szeroko, ale pokręcił głową. Alessia była najmłodszym z czworga dzieci Guida. I choć była niezaprzeczalnie śliczna, nadal studiowała i dopiero co skończyła dwadzieścia lat. Dominic przeszedł niedawno na złą stronę trzydziestki piątki i nie interesowały go nieletnie. Szczerze mówiąc, nie interesowały go chwilowo kobiety jako takie – Calgary go wyleczyła!

– Twoja córka jest piękna – zwrócił się do Guida – ale jest o

wiele za młoda i niewinna dla takiego cynicznego starucha jak ja. Zostawmy ją studentom, dobrze?

Guido westchnął, najwyraźniej rozczarowany.

– Jesteś takim miłym człowiekiem, Dominicu. Powinieneś być szczęśliwy. Mężczyzna potrzebuje czegoś więcej niż psa.

Dom tylko się uśmiechnął i pokręcił głową. Nie był pewien, czy mógł się zgodzić z Guidem.

Portier opuścił puste mieszkanie, by wrócić na swoje miejsce w holu. Gdy zamknął za sobą drzwi, w mieszkaniu zapadła przerażająca cisza. Dominic nie pamiętał, że lokal był tak ogromny. Wyglądał znacznie przytulniej z meblami, żoną i psem. Prawdopodobnie teraz był dla niego za duży. Pomyślał o tym, że lokum jest zbyt duże (i zbyt drogie), kiedy Calgary przywiozła go tutaj, żeby mu pokazać nowy apartamentowiec. Uznał, że nie potrzebują aż tylu metrów kwadratowych dla nich dwojga. Myślał jednak, że będą sami we dwoje niedługo, więc nie widział problemu. Byli świeżo po ślubie i niebawem rodzina miała się powiększyć. Popełnił błąd, zakładając, że Calgary ma takie same przemyślenia, i radośnie podpisał umowę.

Może powinien wypowiedzieć najem mieszkania? Podobało mu się w Bowery i mieszkał na Manhattanie na tyle długo, że zaczął traktować to miejsce jak dom, ale reszta Nowego Jorku też mu się podobała. Mógłby się przeprowadzić na Brooklyn, żeby mieszkać bliżej przyjaciół, a może nawet do Yonkers, żeby być bliżej rodziny. Kurczę, poza Manhattanem stać by go było na dom z ogrodem. Czy Blondie nie byłaby zachwycona? Tylko czy Dom dałby radę mieszkać na Brooklynie obok tych wszystkich zadowolonych z siebie małżeństw? Albo w Yonkers, gdzie matka chuchałaby mu na kark i usiłowała go swatać ze wszystkimi córkami przyjaciółek, jak to robiła, gdy chodził do liceum? Uwielbiał swoich przyjaciół i ubóstwiał matkę, ale może byłoby lepiej, gdyby jako samotny facet został na Manhattanie. Przyszłość rozciągała się przed Dominikiem jak autostrada biegnąca przez pustynię. Nie było widać żadnych drogowskazów, żadnych zjazdów, tylko długą samotną drogę wiodącą Bóg wie dokąd.



## *Rozdział trzeci*

Hackney, Londyn, 2012

Sophia pociągnęła kolejny łyk taniego musującego wina, zapaliła papierosa i starała się nie patrzeć na strony długiego, bardzo długiego listu rozłożone na poduszce obok. Z wahaniem, niemal wbrew sobie, podniosła kartki i wreszcie pozwoliła, by jej oczy pożarły słowa, które z takim trudem usiłowała ignorować.

Mayfair, Londyn, 1938

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym ojciec zabrał mnie na Bond Street. To musiało być w 1938. Była jesień. Pamiętam, że liście leżały na ścieżkach w Hyde Parku i Niania łąła mnie podczas szybkiego marszu ze stacji metra do hotelu Papy za to, że rozkopywałam gnijące sterty nowiutkimi lakierkami. Powiedziała, że je zniszczę i że byłoby jej bardzo przykro w związku z tym, bo tak bardzo się starała, żebym ładnie wyglądała podczas spotkania z ojcem. Lakierki były czerwone i miały srebrne sprzączki. A ja miałam osiem lat.

Ten dzień bardzo się różnił od innych. Wtedy pierwszy – i ostatni – raz Papa zabrał mnie na zakupy. Świat stał na skraju wielkiej zmiany, ale ja byłam oczywiście błogo nieświadoma wydarzeń. Być może gdybym zdawała sobie sprawę z tego, jakim rzadkim i cudownym skarbem będzie ten dzień, cieszyłabym się nim wówczas jeszcze bardziej. Jednakże musiałam w jakiś sposób rozumieć jego znaczenie. No bo z jakiego innego powodu bym osłodziła to wspomnienie i zapakowała w złotko? Spośród wszystkich moich wspomnień to należy do jednych z najśodszych.

W tamtych czasach nie widywałam Papy zbyt często. Był w moim dzieciństwie postacią peryferyjną, choć równocześnie nadzwyczaj szykowną i romantyczną. Mama też pozostawała daleka, ale w inny sposób. Gdy nie przebywałam w szkole z internatem w Westonbirt, mieszkaliśmy razem – w Beaumont House, przestronnej rezydencji zbudowanej w Wiltshire w 1705



roku i zamieszkiwanej od tamtego czasu przez rodzinę Papy (domyślam się, że obecnie znajduje się tam hotel), ale Mama była zawsze zajęta. Mama – albo lady Charlotte Beaumont, jak mówiła o niej reszta świata – prowadziła dom, chadzała do teatru w Bath, jadała lunchy z przyjaciółmi i dość często grywała w tenisa. Była patronką lokalnego wiejskiego szpitala i robiła sporo dobrego. A przynajmniej tak informowali mnie pracownicy, gdy pytałam o to, gdzie jest. Miałam niańkę, mimo że w ciągu tygodnia przebywałam w szkole z internatem, a w domu nie było innych dzieci. Dopiero gdy sama zostałam matką, zrozumiałam, jak bardzo Mama uciekała od zajmowania się mną. Lecz wtedy zrozumiałam także, że miała powody, by tak postępować.

W weekendy w czasie sezonu Mama polowała. A poza sezonem jeździła konno z przyjaciółmi. Widzę ją wyraźnie, gdy o niej myślę: opiera się o ścianę stajni, trzyma w dłoni papierosa, a obok stoi jakiś urokliwy mężczyzna pochłaniający każde jej cierpkie słowo. Była naprawdę atrakcyjną kobietą, zawsze pełna gracji, wytworna i wypielęgnowana co do cala. Tak, widzę ją teraz, z czarnymi włosami połyskującymi pod jeździeckim toczkiem, z długimi nogami odzianymi w nieskazitelnie białe bryczesy i czarne buty wypolerowane do tego stopnia, że mogłaby podziwiać w nich swoje odbicie. Na jej karmazynowych ustach tańczy znaczący półuśmieszek. Być może ją śledziłam. Czasami to robiłam. Zawsze starałam się zmniejszyć dzielącą nas przepaść. Widziałam kiedyś, jak całowała się w altanie z dalszym krewnym Papy, Aubreyem. Z perspektywy czasu stwierdzam, że przyjaźniła się ze sporą grupą mężczyzn. Ale Papy tak często nie było w domu.

Byłam samotnym dzieckiem. Jedyńcką. Z emocjonalnie odległą matką i geograficznie odległym ojcem. Teraz dostrzegam, że ich małżeństwo stanowiło raczej biznesowy układ, a nie romantyczny związek, ale to były inne czasy i inny świat, nie mnie to osądzać. A w tych rzadkich chwilach, kiedy byli razem, wyglądali nadzwyczaj imponująco. Wydaje mi się, że ich małżeństwo sprawdzało się w ich przypadku, choć nie najlepiej oddziaływało na mnie. Wyrosłam na straszną popisywaczkę –

wiecznie dawałam występy i śpiewałam piosenki w próżnym dążeniu do zwrócenia na siebie uwagi rodziców.

Bliższe relacje miałam z Nianią, psami i kucykami niż z którymkolwiek z rodziców, ale jako młoda dziewczyna bardzo ich podziwiałam z daleka, w szczególności Papę. Byłam zakochana po uszy w moim wyobrażeniu jego osoby, chociaż nie jestem pewna, czy kiedykolwiek znałam go na tyle, by móc kochać człowieka, którym faktycznie był. Szkoda, że go lepiej nie znałam. Wydaje mi się, że owego dnia w Londynie byliśmy najbliżsi możliwości zaprzyjaźnienia się.

Papa spędził część czasu za oceanem. Zazwyczaj wyjeżdżał w interesach. Nasza rodzina posiadała różne przedsiębiorstwa – fabryki kauczuku w Indiach, plantacje herbaty na Cejlonie, ranczo hodujące bydło w Argentynie, gorzelnię w Szkocji. Nie wiem, jak i dlaczego weszliśmy w ich posiadanie. Po prostu je mieliśmy. Rodziny takie jak nasza przez wieki były właścicielami ogromnych połaci obszarów należących do Commonwealthu. A potem nagle je straciliśmy. Ale to już inna historia. Papa spędzał część czasu za oceanem, ale wracał na krótko do Londynu, gdzie wzywał mnie, bym go odwiedzała. A kiedy Papa kogoś wzywał, trzeba było go słuchać. Był markizem, a oni działają po swojemu. Moja prywatna szkoła widocznie to rozumiała, bo Niania zabierała mnie i wsadzała do samochodu z szoferem w połowie porannych zajęć, w połowie tygodnia, w połowie semestru.

Zawsze się cieszyłam, gdy widziałam ją nieoczekiwanie. Przypuszczam, że czułam do niej to, co większość dziewcząt czuje do matek. Była młodsza od Mamy i choć jej brakowało Jej obycia, wytworności i elegancji, wydawała mi się równie piękna. Niania Miller była kobietą drobną i krągłą, o talii osy, z burzą blond loków. Policzki miała zawsze lekko zaróżowione, jakby zamierzała się zarumienić, a guziki jej bluzki zawsze toczyły bój z napierającym na nie obfitym biustem. Słyszałam kiedyś, jak Mama określiła ją mianem taniej lalki (syn ogrodnika Tony'ego wyjaśnił mi, że to znaczyło, że wyglądała jak seksowna pin-up girl), ale według mnie była podobna jak dwie krople wody do Betty Grable.

Przyznaję, że czasami wyobrażałam sobie, że Niania jest moją prawdziwą matką. W jej towarzystwie czułam się bezpieczna, kochana i wyjątkowa. Często mnie łajała, ale jeszcze częściej tuliła. A dobrym słowem obsypywała mnie równie często, jak pieścizotami. Zawsze nazywała mnie „swoim małym kochaniem”, nawet gdy byłam już dorosła i o głowę od niej wyższa.

Ogólnie rzecz ujmując, Niania była zrównoważoną, zasadniczą dziewczyną z zachodu kraju, ale wpadała w lekką panikę, gdy czuła presję czasu. Pamiętam, że musiałam się przebierać z mundurka w swoje najlepsze ubranie w rogu poczekalni na dworcu Bath Spa, zanim wsiadłyśmy do pociągu jadącego do Paddington. Niania stwierdziła, że nie mamy czasu iść do toalety dla pań. Potem całe wieki czekałyśmy, aż pociąg Brunswick Green jadący z Bristolu wtoczy się na peron.

Jako dziecko uwielbiałam podróże pociągiem. Jeździłam Latającym Szkotem i Cornish Riviera Express – pierwszą klasą, rzecz jasna. Lecz nie mogłam się doczekać końca tej podróży. Przyciskałam czoło do zimnej szyby i robiło mi się niedobrze od wpatrywania się w tory do chwili, gdy nie potrafiłam powiedzieć, czy jedziemy do przodu, czy – do tyłu. Zapamiętałam przebieg trasy zaznaczony na mapie wiszącej z tyłu drzwi wagonu i chciałam, żeby pociąg szybko odjeżdżał z kolejnych stacji – Chippenham, Swindon, Reading. Wreszcie pola, żywopłoty, jeziora i lasy angielskich wsi ustąpiły rzędowi brudnych szeregowców z czerwonej cegły, a bladoniebieskie niebo robiło się coraz bardziej ponure i szare. Widziałam wielkie fabryki plujące czarnym dymem i drogi tak ruchliwe, że dziwiłam się, jak ludzie nie wpadają na nich na siebie nawzajem.

Zatrzymaliśmy się nieoczekiwanie na stacji Ealing Broadway. Wyjrzałam niecierpliwie przez okno i znalazłam się twarzą w twarz z dziewczynką w mniej więcej moim wieku. Siedziała na brudnym peronie razem z matką. Opierały się plecami o ścianę dworca, a przed nimi leżał odwrócony do góry dnem kapelusz. Dziewczynka była blada i chuda, ubrana w

poprzecieraną sukienkę i sweterek, ale mnie najbardziej zszokowało to, że nie miała butów. Nawet pończoch! Stopy miała białe i prawie czarne od brudu. Uśmiechnęłam się do niej i nie zrozumiałam, dlaczego posłała mi gniewne spojrzenie.

– Dlaczego one tutaj tak siedzą? – zapytałam Nianię skonsternowana.

– Żebrzą, kochanie – odparła ze smutkiem. – Niektórzy ludzie mają tak mało pieniędzy, że muszą żebrnąć, aby móc kupić sobie jedzenie.

– Nie mają jedzenia? Och, jaka ona biedna! – wykrzyknęłam. – Nic dziwnego, że jest smutna. Nawet nie ma pończoch, a przecież dzisiaj jest tak zimno. Chciałabym rzucić jej moje nowe buciki przez okno. Tatusz na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Przecież jest taki dobry dla biednych.

Spojrzałam na Nianię w samą porę, by dostrzec, że kręci głową, jakbym była głupia. Zostawiłam buciki mocno zapięte na stopach i siedziałam nadąsana do czasu, gdy pociąg obudził się do życia i zaczął powoli ruszać ze stacji. Jeszcze raz zerknęłam szybko w stronę małej żebraczki i rzuciłam jej ostatni uśmiech, żeby ją pocieszyć. Ku mojemu przerażeniu pokazywała mi język tak długo, aż pociąg odjechał na tyle daleko, że zniknęła mi z oczu. Pamiętam, że pomyślałam sobie, iż zasługuje na to, żeby być biedna i głodna, skoro ma tak okropne maniery!

W końcu wtoczyliśmy się na peron w Paddington. Stamtąd pojechaliśmy metrem. Niania powiedziała, że zbyt niebezpiecznie byłoby łapać taksówkę wśród tych wszystkich samochodów jeżdżących szybko ulicami Londynu. Niestety plan metra wyglądał potwornie skomplikowanie i Niania (która rzadko odwiedzała Londyn) trochę się pogubiła. W rezultacie wsiadliśmy do pierwszego pociągu, który wjechał na pierwszy peron, na który weszliśmy.

– Wydaje mi się, że to nie jest linia Bakerloo – szepnęła do mnie, gdy wjechaliśmy do tunelu. – Mam nadzieję, że się nie spóźnimy.

Okazało się, że jechaliśmy Circle Line. Niania zaczęła

panikować, kiedy usiłowała zrozumieć plan wiszący w wagonie. Policzki się jej zaróżowiły, a wydatna dolna warga zaczęła drżeć. Na szczęście jakiś uprzejmy młodzieniec ubrany w modny garnitur zlitował się nad nami i nie pozwolił nam jeździć w koło do końca dnia. Zauważyłam, że uprzejmi mężczyźni – zarówno młodzi, jak i starsi – często ratowali Nianię z opresji. W końcu wysiadłyśmy na stacji Sloane Square, gdzie Niania spytała dżentelmena o drogę i pomknęłyśmy przez Hyde Park (tam ubrudziły mi się buciki), potem ulicą Park Lane do centrum Mayfair. Niania mamrotała po drodze: „Spóźnimy się, spóźnimy się...”, a ja jej nie pomagałam, dodając za każdym razem: „na bardzo ważną randkę”. Miałam zaledwie osiem lat i *Alicja w Krainie Czarów* była moją ukochaną historią czytaną przed snem. Pod pewnymi względami nadal jest!

Wreszcie dotarłyśmy do ulubionego hotelu Papy, Claridge’s przy Brook Street. Czułam, jak resztki gasnącej pewności siebie Niani ulotniły się do reszty, gdy weszłyśmy do majestatycznego foyer z czarno-białą wypolerowaną podłogą. Claridge’s był bardzo modnym miejscem, w tamtych czasach chętnie odwiedzanym, i roiło się w nim od eleganckich londyńczyków. Biedna Niania wydawała się kurczyć z każdym krokiem, gdy zmierzałyśmy w stronę recepcji i mimo że miałam zaledwie osiem lat, rozumiałam, że to jest mój świat, nie jej, więc ścisnęłam ją mocniej za rękę i zapewniłam ją, że wygląda przepięknie. To była prawda. Pamiętam jak przez mgłę, że włożyła na mundurek swój najlepszy wielbłądzi płaszcz, a jej blond loki kryły się pod granatowym kapelusikiem w kształcie hełmu. Nawet w tym wieku byłam już przyzwyczajona do przebywania w luksusowych hotelach i czułam się doskonale wśród ich stylowych gości, marmurowych podłóg i błyszczących żyrandoli.

Zrobiło mi się przykro na widok Niani informującej przepaszającym tonem mężczyznę w recepcji, że mamy się spotkać z lordem Beaumont. To był tylko pracownik hotelu i przeczytałam na jego plakietce, że nie miał nawet tytułu konsjerża! Dlaczego wydawała się tak onieśmielona? Jeszcze bardziej mnie rozdrażniło to, że mężczyzna zwracał się do mnie, a nie do Niani,

mimo że to ona się do niego odezwała, a ja byłam tak mała, że ledwie mnie było widać zza pulpitu. Tamtego dnia po raz pierwszy zauważyłam, jaka Niania była młoda. Gdy tamten pracownik hotelu ją ignorował, wydawała się nawet bardziej dziecinna ode mnie.

– Panienska to zapewne lady Matilda – mężczyzna uśmiechnął się do mnie i uchylił kapelusza. – Spodziewaliśmy się panienki. Jego lordowska mość znajduje się w czytelni. Proszę tu poczekać. Kierownik hotelu zaraz do pań przyjdzie, żeby zaprowadzić panienkę do stołu ojca.

Zobaczyłam Pape, zanim mnie zauważył. Minęło kilka miesięcy, odkąd widziałam go ostatnio, ale to był na pewno on – siedział wygodnie na kanapie, przeglądał „Timesa”, skrzyżował wyprostowane nogi przed sobą, a w popielniczce na stoliku kawowym tliło się zapomniane cygaro. Był wysokim, postawnym mężczyzną, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. W Cambridge grał w rugby, ale – co Mama ciągle powtarzała – na szczęście nie zmasakrowali mu nosa. Miał gęste ciemne włosy, ostrzyżone krótko po bokach i zaczesane gładko do tyłu, w stylu Clarka Gable’a, i wiecznie był opalony za sprawą zamorskich podróży. Nadażał za modą, ale w żadnych innych kwestiach nie wykazywał pośpiechu. Był naprawdę spokojnym człowiekiem: zgodnym, łagodnym i łatwym w obejściu.

Dwanaście lat starszy od matki, ale zawsze od niej weselszy. Można było dostrzec w nim dziecko i nawet jeśli dyskutował na jakiś bardzo dorosły temat, jak polityka, historia lub jakie wino wypić do kolacji, wyobrażałam sobie, że w każdej chwili się wyrwie i zaproponuje zabawę w chowanego.

– Papo! – krzyknęłam na całą salę.

Odłożył gazetę i na jego przystojnej twarzy pojawił się serdeczny psotny uśmiech. Rozplątał nogi, wstał i rozłożył ramiona, żeby mnie objąć.

– Tilly! – zawołał, gdy rzuciłam się w jego objęcia. – Moja kochana mała Tilly!

Podniósł mnie i ścisnął tak mocno, że tweed jego marynarki

podrapał mi policzek, a woń cygar i francuskiej wody kolońskiej załaskotała mnie w nos.

– Najmocniej przepraszam jego lordowską mość – powiedziała Niania, znowu się płaszcząc. – Nie znam najlepiej Londynu i obawiam się, że przez to zgubiłyśmy drogę.

– Spóźniłyście się? – zapytał Papa nonszalancko. – Nie zauważyłem. Nie ma pośpiechu. Mamy dla siebie całe popołudnie i wieczór.

– Musimy zdążyć na pociąg o siedemnastej – odparła Niania, rumieniąc się. – Matilda musi wrócić do szkoły przed zgaszeniem świateł.

– Nonsens! – zachnął się Papa i posadził mnie na kanapie. – Powinniśmy zostać tu na noc. Już zorganizowałem pokoje. Możecie pojechać porannym pociągiem.

Niania wydawała się przerażona nagłą zmianą planów.

– W szkole na nią czekają i nie mamy ze sobą żadnych rzeczy. Jej lordowska mość będzie się zastanawiała, gdzie jestem – powiedziała Niania, a jej twarz była już karmazynowa.

– Zadzwońię do szkoły i do domu. Chociaż wątpię, by jej lordowska mość mogła zauważyć cokolwiek po porze koktajlowej. – Papa się zaśmiał. – A jeśli chodzi o rzeczy dla was, proszę... – Papa wyjął portfel i wyciągnął z niego kilka banknotów. – Kup sobie i Matildzie wszystko, czego potrzebujecie. Pojedź taksówką do Selfridges i spraw sobie przyjemność. Spodziewam się, że dama znajdzie tam wszystko, czego zapragnie jej serce. W ogrodzie na dachu jest kawiarnia, więc jeśli zgłodniejesz lub poczujesz się zmęczona zakupami, idź tam. Zrób sobie wolne popołudnie. Zasługujesz na to.

Niania stała z otwartymi ustami w czytelnicy i z niedowierzaniem patrzyła na banknoty w dłoni, a jej policzki płonęły szkarłatem.

– Nie mogę tego przyjąć, proszę lorda – odparła i usiłowała zwrócić tacie banknoty drżącymi dłońmi. – To naprawdę za dużo.

– Bzdura. – Papa nie zgodził się z nią wesoło i zdecydowanym gestem wsunął ręce do kieszeni.

– Poza tym nie mogę przebywać w takim miejscu – ciągnęła Niania, rumieniąc się jeszcze bardziej. – Jest zbyt drogie, a ja mam na sobie mundurek. Ktoś mnie weźmie za pokojówkę!

– Co za banialuki! – sprzeczał się z nią Papa, nadal się uśmiechając. – To powinno wystarczyć także na śliczną sukienkę. I tak będziesz jej potrzebowała na czas dzisiejszej kolacji. Zjesz ze mną i Matildą w hotelu. Wszystko już ustalone. No i Tilly na pewno chce tu zostać, prawda, kochanie?

– Och tak, Papo, bardzo proszę – odpowiedziałam.

– Sama słyszysz – oznajmił Papa, siadając obok mnie. – Sprawa przesądzona. Idź do swojego pokoju, żeby się odświeżyć. Potem wsiądziesz do taksówki, pojedziesz do Selfridges na zakupy, a następnie przebierzesz się w jakąś uroczą nową suknię i spotkasz się z nami przy kolacji punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści. I nikt nie weźmie cię za tutejszy personel, Nianiu Miller!

– Dobrze, wasza lordowska mość – powiedziała Niania, dygając grzecznie. Wreszcie się poddała. – Skoro tego pan sobie życzy.

– Zgadza się – potwierdził Papa. – A teraz zmykaj. Matilda i ja mamy sporo do nadrobienia.

Niania zrobiła naturalnie to, co jej kazano. Jak mówiłam, Papa był przyzwyczajony do stawiania na swoim.

Wypiłam popołudniową herbatę w towarzystwie Papy w czytelni – zjedliśmy przy tym kanapki z ogórkiem, szynką, jajkiem i rzeżuchą, biszkopt, czekoladowe eklery i rożki z dżemem i kremem – a potem tata oznajmił, że się wybierzemy na zakupy. Nie wiedziałam, że Papa robi zakupy. Zawsze wracał z podróży z cudownymi prezentami i choć często wyobrażałam sobie, jak się targuje na bazarach w Marrakeszu lub kupuje dywany w Konstantynopolu (lub Stambule, czy jak się teraz to miasto nazywa), nigdy nie widziałam na własne oczy, by to robił osobiście. Mieliśmy od tego ludzi.

Czułam się nadzwyczaj dumna, gdy tego dnia kroczyłam ulicami Londynu, trzymając ojca za rękę. Zwróciłam uwagę na to,



jak ludzie na Niego patrzyli. Nie sposób było Go nie zauważyć. Był taki wysoki i modnie ubrany. Bezwiednie roztaczał wokół siebie aurę kogoś ważnego. Przypuszczam, że część przechodniów mogła go rozpoznawać. On i moja matka często byli fotografowani podczas przyjęć i ich zdjęcia pojawiały się w czasopiśmie „Tatler” i gazetach. Słyszałam, jak Mama mówiła, że Papa był „w tamtych czasach stałym bywalcem przyjęć w Londynie”. Powiedziała to z prychnięciem, co sugerowało, że tego nie pochwalała, i dodała pod nosem, że on nadal uważa się za kawalera, co zakrawało na lekką hipokryzję, zważywszy na tych wszystkich dżentelmenów, z którymi Mama udawała się na konne przejażdżki; dostrzegałam to nawet jako ośmiolatka. W każdym razie byłam dumna jak paw, gdy paradowałam Regent Street obok Papy w tamto rzeńskie jesienne popołudnie.

Najpierw zabrał mnie do Hamley’s i po co najmniej godzinnym zastanawianiu się kupił mi małego brązowego misia w okularach w drucianych oprawkach i z czerwoną muchą.

– Opiekuj się nim, to być może pewnego dnia będziesz mogła go dać swojej córeczce. Jak mu dasz na imię? – zapytał.

– To będzie misio Freddie, oczywiście! – odparłam.

Zaśmialiśmy się oboje, bo Papa miał na imię Frederick.

Kluczyliśmy powoli po Old Bond Street, od czasu do czasu przystając przed wspaniałymi witrynami sklepów i galerii. Kiedy dotarliśmy do New Bond Street, Papa oznajmił, że musi kupić prezent dla kogoś wyjątkowego. Z jakiegoś powodu, gdy odzwierny otworzył ciężkie wspaniałe drzwi Asprey i zaprosił nas do środka, kłaniając się ojcu, pomyślałam, że chce kupić prezent dla Mamy. Jakże byłam naiwna!

Nigdy wcześniej nie byłam w Asprey, chociaż słyszałam o tym sklepie. Uwielbiałam oglądać biżuterię matki – na co sporadycznie mi pozwalała, gdy ubierała się do wyjścia. Zasypywałam ją pytaniami, kiedy się malowała i wybierała strój na wieczór. Skąd pochodzi ten pierścionek, Mamo? Jaki to kamień, ten czerwony? Kto dał Mamie tę złotą barnsoletę? Czy ta brosza należała do Babci? Odpowiadała z roztargnieniem,

bezceremonialnie, aż zaczynałam ją za bardzo irytować i odganiała mnie od toaletki jak jakąś natrętną osę krążącą nad jej martini. A potem dzwoniła po Nianię i prosiła, żeby mnie zabrała. Mimo to z biegiem czasu zdołałam zdobyć sporą wiedzę na temat eleganckiej biżuterii. Wiedziałam, skąd pochodziły różne pierścionki, tiary i naszyjniki oraz ile karatów miały obsadzone w nich brylanty, rubiny lub szmaragdy. Miałam też świadomość, że jeśli będę grzeczna, pewnego dnia będę być może mogła założyć któryś z nadzwyczajnych klejnotów Mamy. Dwie Jej ulubione ozdoby pochodziły z Asprey – wiedziałam, że ta firma wykonywała także królewskie klejnoty – dlatego też ucieszyłam się, gdy znalazłam się w sławnym salonie.

– Popatrz, Papy, jest taka sama jak twoja! – wykrzyknęłam i podbiegłam do dużej tekowej skrzyni wyściełanej błękitnym aksamitem. – Tylko że twoja jest trochę zniszczona i czerwona w środku.

Uwielbiałam kufer podróży Papy. Kiedy widziałam, jak służący wnosili go do domu, oznaczało to dla mnie dwie rzeczy: po pierwsze, że Papa spędzi z nami trochę czasu, a po drugie, że w środku znajdują się prezenty dla mnie.

– Powinieneś sobie kupić coś takiego – dodałam, biorąc do ręki srebrną cygarnicę. – Masz tylko złotą, prawda?

– Och, chyba gdzieś taką mam – odparł Papa niefrasobliwie. – Poza tym znacznie przyjemniej jest kupować prezenty dla kogoś, nie sądzisz, Tilly? Zwłaszcza gdy ma się szczęście być w posiadaniu wielu pięknych rzeczy.

Na krótką chwilę wróciłam myślami do obszarpanej dziewczynki z dworca w Ealing Broadway, ale potem przypomniałam sobie to, jak pokazała mi język, i wyparłam obraz jej podartych ubrań i bosych, brudnych stóp. Słyszałam, jak Mama mówiła o biedakach z wioski, którzy zasłużyli na swój los, i uznałam, że łobuzica z Ealing należy do takiej właśnie kategorii. Cieszyłam się, że nie rzuciłam jej swoich błyszczących czerwonych bucików.

– Czy mogę pomóc jego lordowskiej mości, lordzie

Beaumont? – zapytał ojca dżentelmen w średnim wieku ubrany w garnitur w tenisowe prążki. Lekko utykał, a mimo to poruszał się z wdziękiem tancerza.

– Panie Fitzroy, jak miło znowu pana widzieć – odparł ojciec jowialnie, z entuzjazmem ściskając dłoń starszego mężczyzny. – Bardzo chętnie obejrzałbym wasze damskie zegarki na rękę, jeśli można.

– Oczywiście, wasza lordowska mość. – Dżentelmen lekko się pokłonił i poprowadził ojca w górę schodów. – Naszym najlepszym specjalistą od zegarków jest Carter. Udzieli panu wszelkiej niezbędnej pomocy. Proszę za mną.

Papa zawahał się na chwilę i zerknął na mnie.

– To jest moja córka, lady Matilda – przedstawił mnie panu Fitzroyowi.

– Miło mi panienkę poznać, lady Matildo – powiedział mężczyzna i ukłonił mi się teatralnie.

Zachichotałam. Uznałam, że bardzo lubię pana Fitzroya. Nie przypominał nikogo, kogo bym znała. Był wyjątkowo elegancki, miał wypomadowane wąsy i pachniał orchideami. Miał niebywale długie i szczupłe palce, na lewym małym palcu nosił pierścionek z ogromnym rubinem. Widywałam naturalnie mężczyzn, którzy nosili sygnety i obrączki, ale nigdy nie widziałam czegoś tak ekstrawaganckiego jak ten rubin.

– Matilda uwielbia oglądać biżuterię matki – wyjaśnił Papa panu Fitzroyowi, puszczając do niego oko. – Sądzę, że z chęcią poogląda też pańskie klejnoty w czasie, gdy ja będę załatwiał sprawę na górze. Czy będzie pan tak miły i się nią zaopiekuje, Fitzroy? Może mogłaby to i owo przymierzyć? Jest trochę za młoda, by mieć naszyjnik z Asprey, niemniej nigdy nie jest za wcześnie, by zacząć planować przyszłość.

– Uczynię to z największą przyjemnością. – Pan Fitzroy się uśmiechnął. – Widzę, że lady Matilda odziedziczyła łabędzią szyję matki. Spodziewam się, że nasze naszyjniki będą bosko się na niej prezentować.

Pan Fitzroy poprowadził mnie ciemnym korytarzem do sali

za ciężkimi mahoniowymi drzwiami. Gdy już znaleźliśmy się w prywatnym pokoju, przyglądał mi się bardzo uważnie z przechyloną na bok głową. Wyglądał na mocno skoncentrowanego.

– Lady Matildo, ile ma pani lat, panienko? Niech zgadnę.  
Hm... Dziesięć?

Zarumieniłam się jak Niania, bo jeszcze nigdy nikt nie dał mi więcej lat, niż miałam faktycznie (choć ostatnio gwałtownie urosłam).

– Mam tylko osiem lat i dziewięć miesięcy – odpowiedziałam panu Fitzroyowi trochę nieśmiało. – Skończę dziewięć pierwszego stycznia. Mama twierdzi, że zepsułam jej sylwestra w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku.

– Na pewno żartowała. – Pan Fitzroy uśmiechnął się dobrotliwie. – Myślę, że przyście panienki na świat uszczęśliwiło ją na cały rok.

Skwitowałam jego uprzejmość uśmiechem, ale lepiej niż pan Fitzroy znałam swoją matkę i jej zamiłowanie do imprez.

– Proszę mi mówić Tilly – zaproponowałam.

– Jak sobie życzysz, Tilly. – Znowu się uklonił. – Jesteś zatem wielbicieleką eleganckich klejnotów?

Przytaknęłam entuzjastycznie.

– Zatem czeka cię prawdziwa uczta. – Pan Fitzroy uśmiechnął się szeroko.

W tym momencie mój prawie doskonały dzień stał się jeszcze cudowniejszy. Przez godzinę siedziałam na aksamitnym szeszlunku w małym prywatnym pokoju, sączyłam z kryształowej szklanki świeżą lemoniadę, a uroczy pan Fitzroy rozkładał na kanapie przede mną niezliczone bezcenne klejnoty. Posiadał niesamowitą znajomość rzadkich kamieni. Pokazywał mi rubiny z Birmy, szafiry z Cejlonu i szmaragdy z Egiptu. Pozwalał mi dotykać koron i tiar zamówionych przez europejskie rody królewskie, a ich piękno mnie porażało. Pokazał mi też naszyjnik, który zaparł mi dech w piersiach. Był to naszyjnik operowy składający się z siedmiu sznurów z bezcennych perskich pereł ze zdobnym złotym zapięciem, zamówiony przez indyjskiego

maharadzę dla jego maharani (tak mi powiedział pan Fitzroy, a ja nie miałam powodu, żeby w to wątpić). Naszyjnik był skończony, ale jeszcze za niego nie zapłacono, jak mi wytłumaczył pan Fitzroy, puszczając do mnie psotnie oko, więc na razie był własnością Asprey w Londynie.

– Powinnaś go przymierzyć, Tilly – zasugerował i podniósł idealny naszyjnik z pereł, żebym mogła go podziwiać z bliska. – Jesteś taką piękną dziewczynką. Gdy będziesz starsza, twoją szyję zawsze powinna zdobić najlepsza biżuteria świata. I mam nadzieję, że nadal będę żył, aby móc ci pomagać ją dekorować!

Nadal pamiętam chłód pereł, które dotknęły mojej szyi, gdy pan Fitzroy zapiął złote zapięcie. Były zaskakująco ciężkie. Pamiętam też, że były dla mnie o wiele za długie. Operowy naszyjnik powinien sięgać do końca mostka, a w moim przypadku sięgał aż do talii. Lecz jakże urzekały mnie te perełki. Według mnie były piękniejsze od wszystkich rubinów, brylantów i szmaragdów, które oglądałam tego popołudnia. Wieki całe przyglądałam się swojemu odbiciu, odwracałam się to w jedną, to w drugą stronę i podziwiałam się pod każdym kątem. Wzięłam sznur pereł do ręki i gładziłam doskonale gładkie, krągłe perełki, zaskoczona tym, jakie były zimne.

– Czy widzisz, że są dokładnie takiej samej wielkości, a mimo to każda jest odrobinę inna od pozostałych? – zapytał pan Fitzroy. – Na zrobienie takiego naszyjnika potrzeba wielu lat. Każda z perełki jest prawie identycznej wielkości, idealnie symetryczna, błyszcząca i takiej samej barwy. Znalezienie doskonale okrągłej, wyjątkowo opalizującej perełki w słomkowym odcieniu w ostrydze na dnie oceanu graniczy niemal z cudem. Aby zebrać trzysta osiemdziesiąt dziewięć...

– Ten naszyjnik składa się z trzystu osiemdziesięciu dziewięciu perełki? – zapytałam z wybałuszonymi oczami. – I każdą z nich znaleziono w ostrydze? W tym szarym guzowatym czymś, co jedzą dorośli?

Pan Fitzroy przytaknął śmiertelnie poważnie. Jego zamiłowanie do perełki było tak wyraźne jak połysk tych klejnotów.

– Każda z tych pereł to cud natury. Nieskazitelny klejnot powstały w mięczaku. Nie znoszę nowej branży pereł hodowlanych. Jest nienaturalna i obniża wartość prawdziwych dzieł sztuki, takich jak to – pociągnął nosem i pokręcił głową z dezaprobatą.

Rzecz jasna nie wiedziałam, czym są perły hodowlane, bo miałam zaledwie osiem lat i dziewięć miesięcy, ale pan Fitzroy wydawał mi się takim ekspertem w tej dziedzinie, że wstydziłam się przyznać do swojej niewiedzy. Zamiast tego zadałam bardziej oczywiste pytanie.

– Jak ostryga robi perłę? – dociekałam. – Przecież ostrygi są paskudne! Wyglądają ohydnie i smakują jak morze. Papa próbował mi wmusić jedną, gdy byliśmy w Kornwalii tego lata. Niewiele brakowało, a zwymiotowałam na kremową suknię Mamy.

Pan Fitzroy się zaśmiał.

– Perła jest dziełem przypadku – powstaje, gdy do muszli ostrygi dostanie się intruz, na przykład miniaturowe ziarenko piasku lub jakiś mały pasożyt. Drażni on ostrygę, a ta w odpowiedzi otacza go workiem, który po jakimś czasie zamienia się w perłę. Rzadko się jednak zdarza, żeby perła była tak okrągła i doskonała jak te.

Z czułością musnął naszyjnik palcami i choć nie do końca rozumiałam jego słowa, spodobało mi się to, że te cudowne klejnoty były „dziełem przypadku”.

– A jak perły wydostają się na zewnątrz? – zapytałam z szeroko otwartymi oczami. – Jak trafiają tutaj, do naszyjników?

Oczy pana Fitzroya zabłysnęły z podniecenia.

– Moja droga, to jest w tym wszystkim najwspanialsze. Każdą z tych pereł własnoręcznie wydobył z dna oceanu nurek. Każdy nurek musi zebrać ponad tonę ostryg, żeby znaleźć jedną perłę. A spośród wszystkich pereł, które znajdzie w życiu, być może jedna lub dwie będą w połowie tak doskonałe jak te. A mimo to zdobyliśmy trzysta osiemdziesiąt dziewięć nieskazitelnych pereł niemal takiej samej wielkości, o takim samym połysku i odcieniu. Chyba nie dziwi fakt, że ten naszyjnik jest praktycznie bezcenny?

Wartość naszyjnika mnie nie interesowała. Miałam osiem lat, byłam rozpieszczona i nie znałam wartości pieniądza. Fascynowało mnie to, że te błyszczące perły wyławiano ręcznie spod wody w odległych egzotycznych miejscach.

– Kim są nurkowie? – spytałam zafascynowana. – Gdzie mieszkają?

– Jesteś bardzo dociekliwa, prawda, Tilly? – Pan Fitzroy się zaśmiał.

Żarliwie go przeproszałam. Mama zawsze mnie ganiła za zadawanie zbyt wielu pytań.

– Nie, nie. Nie chciałem cię skrytykować – zapewnił mnie, machając dłonią. – Powiem ci coś, co cię zadziwi. Poławiacze pereł żyją na całym świecie, nad Oceanem Indyjskim, Morzem Południowochińskim, Zatoką Perską, skąd pochodzą te perły, na wybrzeżach Wenezueli, Korei, Australii, Japonii. Najbardziej zdumiewające jest jednak to, że wielu z nich to kobiety, które nie dysponują nowoczesnym sprzętem do nurkowania, a mimo to zanurzają się na głębokość piętnastu, osiemnastu, a nawet trzydziestu metrów na jednym oddechu. Niektóre z tych dziewcząt są niewiele starsze od ciebie.

Patrzyłam na perły z niedowierzaniem, a ich piękno zdawało się mnożyć. Wydawało mi się, że usłyszałam właśnie najbardziej magiczną historię w życiu, i byłam nią urzeczona.

– Jak prawdziwe syreny? – zapytałam z szeroko otwartymi oczami.

– Tak – uśmiechnął się pan Fitzroy. – Jak prawdziwe syreny. Przerwało nam pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Papa. Niósł małe, pięknie zapakowane pudełeczko, o którym myślałam, że jest prezentem dla Mamy.

– No proszę – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Spójrz tylko na siebie, Tilly! Założyłaś niczego sobie naszyjnik!

– To jest naszyjnik operowy z siedmiu sznurów pereł – poinformowałam go z dumą. – A każdą z tych pereł podniosła z dna oceanu prawdziwa syrena.

– Doprawdy? – zaśmiał się Papa. – Niezmiernie cię Kocham,

skarbie, ale nie jestem pewien, czy stać by mnie było na kupienie go dla ciebie. Obawiam się, że musi ci wystarczyć twój miś.

– I tak nie mógłby być mój – zapewniłam go, nadal niewiarygodnie nieświadoma niebotycznej wartości biżuterii. – Zarezerwowano go dla indyjskiej księżniczki. Jej mąż kupuje go jej w ramach prezentu ślubnego. Poza tym jest dla mnie za długi. Aczkolwiek chciałabym pewnego dnia mieć naszyjnik z pereł, Papo. Może obrożę...

Tata wybuchnął głośnym śmiechem i odpalił:

– Lady Matildo, czasami przypominasz swoją matkę w niepokojącym stopniu. – Spojrzał na pana Fitzroya i dodał jowialnie: – Dziękuję, że zabawiał pan Matildę, Fitzroy. Teraz przynajmniej wiem, co jej kupić, gdy osiągnie pełnoletniość! Pora zdjąć ten naszyjnik, kochanie. Musimy wracać do hotelu – zwrócił się do mnie. – Niania będzie musiała cię wykąpać i przebrać przed kolacją, a wiesz, jak bardzo się przejmuje punktualnością.

Niechętnie przystałam na to, żeby pan Fitzroy odpiął naszyjnik, a gdy to robił, jeszcze raz zerknęłam na swoje odbicie. Pomyślałam w duchu, że chciałabym mieć pewnego dnia naszyjnik z pereł.

W drodze do hotelu Papa wziął mnie na barana, bo obcierały mnie nowe buciki. Obejmowałam go rękami za szyję, oparłam głowę na jego włosach i wdychałam znajomą woń brylantyny i wody kolońskiej. Chciałam wyryć sobie ten zapach w pamięci i zamknąć go z innymi ulubionymi wspomnieniami, w bezpiecznym miejscu, żeby móc do niego sięgać, gdy Papy nie będzie. Ból obtartych nóg skojarzył mi się z utykaniem pana Fitzroya. Zapytałam Papę, dlaczego mężczyzna chodzi w ten sposób.

– Fitzroy był kapitanem marynarki wojennej w czasie wojny światowej – wyjaśnił Papa. – Jego okręt storpedowali Niemcy, a Fitzroy został poważnie ranny.

– Biedny pan Fitzroy! – wykrzyknęłam i mocniej się przytuliłam do ojca. – To okropne!

Papa milczał przez dłuższy czas, zanim odpowiedział:

– Niektórzy ludzie są zdania, że niebawem wybuchnie



kolejna wojna, jeżeli Hitler będzie dalej rozrabiał.

Słyszałam już o Hitlerze. Papa i jego kuzyn Aubrey (który nie zgadzał się z nim w żadnej kwestii z wyjątkiem urody mamy, jak się okazało) potwornie się pokłócili tej wiosny w czasie towarzyskiego meczu krykieta na trawie. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby mój ojciec podnosił głos ze złości, i to wydarzenie mnie zszokowało. Nie rozumiałam większej części ich wymiany zdań, ale pojęłam, że mój ojciec nienawidził tego Hitlera, podczas gdy kuzyn Aubrey był jego wielkim wielbicielem. Nie pojmowałam, jak jakiś człowieczek z Niemiec może być powodem takiego zamieszania na boisku do gry w krykieta w Wiltshire. Temat jednak najwyraźniej zirytował Papę. W pewnej chwili wydawało mi się, że uderzy Aubreya w głowę swoim kijem. Nawet miałam nadzieję, że to zrobi, bo Aubrey zawsze wydawał mi się ohydny.

Mama pogorszyła sytuację, stając po stronie Aubreya i oznajmiając, że Unity i Diana Mitford twierdzą, że Hitler jest wysoce charyzmatyczny.

Papa opuścił boisko. Pobiegłam za nim, bo zdawałam sobie sprawę z tego, że wrócił do domu tylko na weekend, ale był tak zły, że poprosił, abym zostawiła go samego, by mógł się uspokoić.

– Myśli Papa, że powinniśmy wypowiedzieć Hitlerowi wojnę? – zapytałam go nerwowo.

– Wojna musi być zawsze ostatecznym rozwiązaniem – odparł łagodnie. – Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Dotarliśmy do hotelu.

Zdjął mnie z pleców i postawił na chodniku.

– Ten, kto wbiegnie przez obrotowe drzwi ostatni, jest zgniłym pomidorem! – wykrzyknął.

Odrzuciłam głowę do tyłu i wybuchnęłam śmiechem, gdy ruszyłam za nim Brook Street w stronę wejścia do hotelu Claridge's. Naturalnie pozwolił mi wygrać, a gdy wpadliśmy do foyer i z chichotem wzięliśmy się w objęcia, wszystkie myśli o wojnie się ulotniły. Na razie.

Kolacja tego wieczoru była urocza. Niania kupiła mi

cudownie kanarkową sukienkę bez rękawów, a sobie wspaniałą, błękitną jedwabną suknię, która podkreślała jej krągłości. Pomyślałam, że jest jeszcze bardziej niż zazwyczaj podobna do Betty Grable. Zauważyłam, że Papa zaczął się do niej zwracać per Polly, a nie Nianiu Miller i przyłapałam się na tym, że z nadzieją myślałam, iż inni goście wezmą nas za rodzinę. A jakże cudną rodzinę stanowiliśmy! Z powodu tej myśli miałam poczucie winy i czułam się niełojalna wobec Mamy, ale i tak rozglądałam się po sali i z przyjemnością witałam pełne podziwu spojrzenia.

Poprosiłam Papę, żeby zamówił ostrygi, na wypadek gdyby w którejś była perła, ale w środku znajdowała się tylko szara rozmiękła breja. Zatkanam nos i przełknęłam jedną, bo Papa rzucił mi wyzwanie, a ja zawsze podejmowałam wyzwania! Smakowała równie ohydnie jak ta, którą zjadłam latem w Fowey. Oznajmiłam, że już nigdy więcej nie spróbuję ostryg.

– Ostrygi nadają się do tego, żeby szukać w nich pereł, a nie je jeść – oświadczyłam.

Papa potwornie mnie rozpieszczał i pozwolił mi zamówić wszystko, na co miałam ochotę. Razem z Nianią pił szampana, a ja sączyłam gorącą czekoladę z bitą śmietaną. Po kolacji Papa pozwolił mi jeszcze wypić coca-cole z baru. Gdy zamawiał napój dla mnie i martini dla Niani, do naszego stolika podszedł elegancki Amerykanin. Powiedział Niani, że jest „laleczką”, i zapytał, czy jest z kimś. (Co było raczej obraźliwe, zważywszy, że przecież była w moim towarzystwie!) Zanim Niania zdążyła odpowiedzieć, pojawił się Papa i w zasadzie odgryzł biednemu jankesowi głowę! Twarz Niani oblała się rumieńcem w takim samym odcieniu szkarłatu jak obicia foteli w barze!

Gdy Papa i Niania gawędzili, położyłam się na kolanach Papy i zasnęłam, upojona szczęściem. W pewnym momencie Papa albo Niania zanieśli mnie do pokoju, bo kolejną rzeczą, jaką pamiętam, było przebudzenie się o świcie i widok Niani zakradającej się do naszego pokoju w półmroku. Niosła buty w ręce i szła na paluszkach, żeby mnie nie obudzić. Udawałam, że śpię, ale widziałam wszystko: to, jak miała zmierzwione włosy i

rozmazaną szminkę, jak jej piękna sukienka była wygnieciona. Dostrzegłam też wyraz twarzy będący dziwną mieszaniną przyjemności i bólu i zauważyłam również, jak zdejmowała z nadgarstka delikatny złoty zegarek. Pocałowała go i z zawstydzoną miną schowała go do pudełeczka z Asprey.

Chociaż pod pewnymi względami byłam potwornie naiwna, pod innymi nie było łatwo mnie zszokować. Kiedy przez lata szpiegowałam matkę i jej przyjaciół, napatrzyłam się na sporą dawkę hedonizmu i rozpusty. Nie kwestionowałam spraw, które mogłyby wywoływać niepokój u innych, bardziej rozpieszczanych dzieci. Oczywiście teraz wiem dokładnie, co się wydarzyło w sąsiednim pokoju, ale wtedy nie zepsuło to mojego idealnego dnia. Wydawało mi się to wręcz całkowicie naturalne. Patrzyłam na Nianię siedzącą bardzo długo na łóżku. Światło sączące się przez szczelinę w zasłonach obramowywało jej twarz, a ja się zastanawiałam, dlaczego po jej policzku spływa samotna łza, skoro spędziłyśmy tak cudowny czas w Londynie.

Historia z dzieciństwa babki pochłonęła Sopię całkowicie. Pamiętała, jak często babcia opowiadała jej w dzieciństwie o swoim ojcu – teraz zrozumiała dlaczego. Tych dwoje się uwielbiało. Sophia zazdrościła babce takiej więzi z rodzicem. Nie wyobrażała sobie, żeby jej ojciec zabrał ją na zakupy na Bond Street albo, Boże uchroni, na kolację do Claridge's. Może z tego właśnie powodu babcia nie przepadała za jej ojcem. Może wydawał się jej zupełnym nieudacznikiem w porównaniu z pradziadkiem. Potem przypomniało się Sopi, jaki los spotkał sir Freddiego, i nagle zrobiło się jej bardzo żal babci. Boże, jak mogła ignorować te wszystkie listy? Może – tylko może – nastał czas, by wykazać się odwagą? Zaczęła czytać list od nowa, od samego początku i rozkoszowała się każdym słowem.

Gdy po upływie pół godziny Hugo wreszcie wpadł przez drzwi, Sophia prawie podskoczyła na łóżku.

– Przepraszam – powiedział, łapiąc oddech i potykając się o rupiecie leżące na podłodze.

Podniosła na niego wzrok, zaskoczona powrotem do

rzeczywistości, i upuściła list niemal z poczuciem winy. Miała nadzieję, że Hugo nie zauważył, że go czytała. Hugo był zajęty puszeniem się przed lustrem i mówił do niej, na nic nie zważając.

– Naprawdę nie chciałem, żeby to tak długo trwało. I jak?

– Superseksownie – odparła Sophia. Wzięła głęboki wdech i starała się wrócić do terażniejszości. – Spadajmy.

Po drodze do wyjścia podniosła wizytówkę z podłogi i wsunęła ją do kieszeni kurtki. Tak na wszelki wypadek...

## *Rozdział czwarty*

Lower East Side, Nowy Jork, 2012

Dominic zapalił kolejnego papierosa i wyszedł na taras na dachu. W chwili gdy otworzył drzwi, uderzyła w niego ściana hałasu. Harmider Manhattanu w piątkowy wieczór huczał mu w uszach i nie mógł uwierzyć, że zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej leżał w namiocie w jednym z najrzadziej zaludnionych rejonów świata. Park Narodowy Yasuni i Lower East Side nie tylko znajdowały się w dwóch różnych krajach, lecz także wydawały się dwoma różnymi światami.

Nie było gdzie usiąść na tarasie – meble ogrodowe również zniknęły – więc Dom oparł się o szklaną balustradę i przyglądał się ulicy biegnącej poniżej. Żółte taksówki sunęły zderzak w zderzak i trąbiły na siebie bez wyraźnego powodu, kierowcy obrzucali się przez okna wyzwiskami, które się rozpląwały w powietrzu, zanim zdołały dotrzeć do uszu Dominica. Na chodnikach roiło się od par trzymających się za ręce i zmierzających do romantycznych restauracji. Pracownicy korporacji, którzy wreszcie zaczęli weekend, luzowali krawaty i języki, gdy wpadali do pobliskiego baru na szybkie piwko przed wejściem do metra mającego zawieźć ich do żon. Modni turyści z Europy trzymali w rękach przewodniki i usiłowali odnaleźć drogę do swoich hoteli.

Dom chłonał to wszystko. Oglądał takie sceny od dziecka. To były jego ulice, jego miasto, dom. Więc dlaczego czuł się tutaj tak obco? Wszystko działo się tu tak szybko. Nie miał pojęcia, do jakich restauracji zmierzały pary i który bar był teraz najmodniejszy. Bar naprzeciwko znowu zmienił właściciela, a budynek przebudowano po raz trzeci w ciągu trzech lat. Dom westchnął i nagle poczuł się bardzo samotny. Samotny w mieście, w którym żyło ponad osiem milionów ludzi. Nowojorski styl życia zdołał mu się jakimś cudem wymknąć.

Czy trzy miesiące w Ekwadorze naprawdę mogły mieć na niego taki wpływ? Jako filmowiec dokumentalista jeździł po całym

świecie. Widział fantastyczne miejsca i poznawał setki nadzwyczajnych ludzi, ale wcześniej zawsze się cieszył z powrotu do domu. Znajdował się na linii ognia w rejonach ogarniętych wojną, wędrował przez pustynie i po topniejących lodowcach polarnych; mieszkał nawet w łodzi podwodnej zanurzonej przez sześć tygodni. Spotykał nędzarzy, książąt i przedstawicieli wszystkich innych sfer pomiędzy nimi. Był globtroterem, ale gdziekolwiek się znajdował, jego serce i dusza należały do Nowego Jorku. Nigdy wcześniej nie czuł się tak jak teraz.

Nawet według jego standardów pobyt w Ekwadorze należał do niezwykłych. Przez ostatnie dwanaście tygodni mieszkał z lokalnym przewodnikiem, tropicielem i tłumaczem głęboko w dżungli, gdzie starali się znaleźć nieuchwytnie plemię Taromenane – Czerwonych Stóp – jedno z dwóch ostatnich izolowanych plemion Amazonii. Widział już, jak inne plemiona dostosowały się do współczesności i aby przeżyć, zawierały umowy nie tylko z koncernami naftowymi i rządem, ale też z ekwadorską mafią.

Myśl o tym, że w głębi lasów Yasuni nadal żyli ludzie nieznający współczesnego życia, jego ograniczeń i praw, fascynowała Dominica, który wiedział, że jego szef z telewizji i widzowie będą tym tak samo zaintrygowani. Ci ludzie nadal byli nieoswojeni – dzicy, niebezpieczni, żyjący według własnych reguł. Związane z tym zagrożenie podniecało go. Przewodnik przestrzegwał go, że Taromenane nie zawahają się i zabiją każdego człowieka z zewnątrz, który wyda im się zagrożeniem. O ile Dom nie martwił się niebezpieczeństwami związanymi z projektem, nękało go sumienie. Czy jeśli spotka to plemię, a potem pokaże je całemu światu na filmie, nie doprowadzi do jego zniszczenia? Mimo to pragnął rozpaczliwie zobaczyć Taromenane na własne oczy. Nie podjął decyzji dotyczącej tego, czy ich nagra, jeśli znajdzie się na tyle blisko, by to zrobić. Naoczni świadkowie mówili mu, że ci ludzie wiedli nomadyczny tryb życia, byli niemal wyłącznie mięsożerni i chodzili całkowicie nago. Pieniądze, mafia, przemoc i nagość – czego więcej pragnie amerykańska publika? W końcu o wszystkim zdecydował los. Dom zdołał tylko przelotnie

zobaczyć Czerwone Stopy. Nie mógł mieć nadziei na to, że uda mu się wyciągnąć kamerę, zanim razem z przewodnikiem ucieknie przed niebezpieczeństwem. Plemię Czerwonych Stóp pozostało równie enigmatyczne jak wcześniej.

Dominic prowadził wywiady z enwiromentalistami i zoologami. Rozmawiał ze starszymi członkami sąsiednich plemion Huaorani i Kichwa o tym, jak zmieniło się ich życie po inwazji zewnętrznego świata. Ale nawet Kichwa opisywali Taromenane jako dzikich i ostrzegali Dominica, że zginie, jeśli spróbuje się do nich zbliżyć. „Masz swoją historię. Zostaw ich w spokoju”, poradził mu mądry przewodnik Kichwa po jedenastu miesiącach tropienia i filmowania. „Nie chcą zostać ucywilizowani. Próbowaliśmy się z nimi skontaktować, ale nam pogrozili. Zostawmy to tak”. Na koniec nawet Dominic, uparty dokumentalista, uznał, że lepiej będzie zostawić Taromenane w spokoju. Kim był, żeby zakłócać styl życia, który sprawdzał się w ich przypadku przez setki tysięcy lat?

Tak więc kilka dni temu Dom zostawił budzących strach obrońców lasów deszczowych, wrócił do stolicy Ekwadoru Quito i wsiadł do pierwszego samolotu lecącego na lotnisko JFK. Dlaczego zatem miał teraz ochotę wrócić na lotnisko i wskoczyć do samolotu lecącego Wszędzie-Byle-Nie-Tu? Odpowiedź była prosta: przez Calgary. To nie z powodu tej wyprawy czuł się w Nowym Jorku jak obcy. Przyczyną było to, co się wydarzyło na kilka dni przed jego wyjazdem. Świat, w którym wcześniej mieszkał, po prostu przestał istnieć.

Calgary nigdy nie była szczególnie ekspresyjną osobą, co bywało dla Dominica trudne, zważywszy na to, że pochodził z kłótlivej, wylewnej i sentymentalnej rodziny. Calgary była zaprzeczeniem tych wszystkich cech. Nauczyła się być chłodna jak wiatr w Nowej Anglii. Uważnie się pilnowała i skrupulatnie kontrolowała wszystkie emocje, zanim pozwalała sobie na odsłonięcie skrawka prawdziwych uczuć. Nigdy nie traciła panowania nad sobą. Nie podnosiła głosu. Nauczyła się radzić sobie, nie tupiąc nogą jak młodsza siostra Doma, tylko uciekając

się do pasywnej agresji. Dąsała się, stroiła fochy, odchodziła i wyłączała telefon w trakcie rozmowy. Jej najpotężniejszym orędzim było całkowite wycofanie czułości, gdy obrót spraw nie odpowiadał jej planom.

Dominic początkowo nie wiedział, jak sobie radzić z kimś takim. Jego matka, siostry i eksdziewczyny były namiętными, porywczymi kobietami. Przyzwyczał się do tego, że na niego krzyczano i równie często zasypywano go pocałunkami. Miłość zawsze łatwo mu przychodziła – do czasu gdy poznał Calgary. Wystudiowana obojętność tej młodej kobiety zmusiła go do większego niż zazwyczaj wysiłku. Stał się miękki jak wosk w jej zadbanych dłoniach. Im była chłodniejsza, tym bardziej rozpaczliwie chciał jej zaimponować. Być może dlatego tak bardzo się w niej zakochał.

Też pochodziła z Nowego Jorku, ale była zupełnie inna, tak egzotyczna i ekskluzywna, że Dom nie mógł uwierzyć, iż związał się z nią – doskonałą księżniczką z Park Avenue. Czasami, gdy przypadkiem widział ich odbicia w oknie, kiedy szli za rękę Broadwayem, musiał się im przyjrzeć jeszcze raz. Stanowili atrakcyjną parę, to prawda, ale wyraźnie było widać, że wywodzą się z różnych plemion! Znajdował wytłumaczenie dla jej chłodu, tak jak ona tłumaczyła jego brak klasy. Dom uznał, że tłumiała emocje, bo nigdy nie zaznała dużo ciepła ze strony rodziców. Jednakże pod grubą zbroją miała wielkie serce. Musiała się tylko nauczyć, jak je okazywać. A on mógł jej w tym pomóc, prawda? Mógł ją nauczyć chodzić z sercem na dłoni. Tak jak ona nauczyła go, jakich sztuczków używać w eleganckich restauracjach.

Czasami wydawało mu się, że przełamuje jej opór choć troszkę, i w jego sercu rozlewało się ciepło, gdy widział jej uśmiech. W tych rzadkich przypadkach, kiedy Calgary pozwalała sobie okazać prawdziwe emocje – kiedy się śmiała, uśmiechała szeroko, łkała lub całowała go w usta – czuł się tak, jakby dostał najcenniejszy na świecie, rzadki dar. Zawsze uważał, że warto się wysilać dla tych nielicznych, ulotnych chwil radości. A przynajmniej było tak jeszcze kilka tygodni temu.



Jego najlepszy przyjaciel Dave nigdy nie przepadał za Calgary. Powiedział kiedyś, że rzucała Domowi resztki i że Dom zachowywał się jak wygłodzony szczeniak wdzięczny za wszystko, co dostanie. Lecz zakochani mężczyźni nie słuchają przyjaciół i był taki czas, kiedy jeden uśmiech Calgary naprawiał wszystko na świecie – nawet słowa Dave’a.

„Kolego, nawet twój pies nie czuje się pewnie obok niej”, ostrzegał go Dave na początku ich związku. „Chodzi mi o to, że być może tylko suka wyczuje sukę, kumasz?”.

To była prawda. Blondie i Calgary nigdy nie czuły się dobrze w swoim towarzystwie. Jak na ironię, to właśnie Blondie doprowadziła do spotkania Dominica z jego przyszłą żoną. Był gorący lipcowy dzień dwa tysiące siódmego roku. Ukochany golden retriever Dominica skończył właśnie rok i choć był już prawie dorosły, nadal zachowywał się jak szczeniak. Duże piękne dziecko Doma brykało trochę bez kontroli po Central Parku tamtego słonecznego popołudnia. Dominic znalazł ciche miejsce, w którym spuścił psa ze smyczy, i miał nadzieję trochę poćwiczyć tresurę w relatywnie bezpiecznym otoczeniu. Zależało mu na podstawowych komendach – siad, zostań, do nogi, do mnie – i miała mu pomóc torba smakołyków. Wszystko szło dość dobrze do chwili, w której Blondie wypatrzyła mewę lądującą kilka kroków od niej i postanowiła pogonić ptaka. Mewa naturalnie zerwała się do lotu i przefrunęła z dużą szybkością nad parkiem, uciekając przed Blondie i goniącym za nią sprintem Dominikiem.

– Blondie! – krzyczał, nawigując między biegaczami, ławkami, dzieciakami na rowerach, obściskującymi się nastolatkami i niańkami z wózkami. – Stój! Czeka!

Pies biegł jednak dalej, więc Dominic nadal krzyczał. Wreszcie Blondie zatrzymała się przy ławce w oddali i przestała się interesować mewą. Gdy jej pan podbiegł bliżej, zobaczył, że jakieś dziecko rzuciło na ziemię loda i Blondie wciągała właśnie resztki. Nie ufał jednak, że pies na niego zaczeka, więc kiedy się zbliżał do ławki w pełnym pędzie, nadal krzyczał do niej ze złością.

– Blondie! – wrzeszczał z całych sił. – Stój!

Blondie podniosła na niego wzrok, zobaczyła swojego pana i Dom mógłby przysiąc, że się uśmiechnęła z wyższością. Spojrzała przez ramię na grupę psów bawiących się w oddali i Dom pomyślał przelotnie, że znowu zacznie biec. Było mu gorąco, pocił się, rozsadzała go złość i brakowało mu tchu.

– Czeka! Blondie! Słowo daję, że jeśli oddalisz się ode mnie na choćby jeden krok, nie odpowiadam za swoje czyny – ryknął, gdy dotarł do ławki. – Blondie! Blondie! Czeka tu, głupia suko!

Dopiero w chwili, w której lodowaty kobiecy głos powiedział: „To jest twój sposób na podryw?”, dotarło do niego, że na ławce ktoś siedzi.

– Stój, Blondie. Czeka, Blondie. Naprawdę myślałeś, że to podziała? – ciągnął ostry głos z Upper East Side. – Doprawdy. Jesteś odrażający. Przepraszam.

Dominic nadal dyszał, a pot spływał mu po twarzy, gdy ujrzał wyjątkowej urody blondynkę podnoszącą się z ławki, przy której zatrzymała się Blondie. Patrzył nierozumiejącym wzrokiem na czystą pogardę malującą się na twarzy dziewczyny.

– He? – Tylko na tyle było go stać.

Dziewczyna cmoknęła głośno, odwróciła się na pięcie i ruszyła ścieżką w stronę wyjścia na Piątą Aleję. Dopiero po chwili realia sytuacji dotarły do mózgu Doma. Dziewczyna miała długie, jasne, idealnie proste włosy. Była superseksowna – za takim typem kobiet faceci ciągle gwizdzą i wykrzykują zaczepki. Dom podbiegł do niej spocony i wrzeszczał. Cholera.

– Blondie – zwrócił się do szczeniaka. – Widzisz, coś narobiła? Ta dziewczyna jest boska. Chodź. Musimy to wyjaśnić.

Dom i Blondie potruchtali za dziewczyną Piątą Aleją. Na szczęście blondynka miała na sobie czerwoną sukienkę, która w połączeniu z niemal białymi włosami ułatwiała Dominicowi wypatrzenie jej w tłumie. Szybko ją dogonił.

– Hej – powiedział i klepnął ją w ramię. – Muszę to wyjaśnić.

Kobieta odwróciła się i popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Oszalałeś? – spytała i się cofnęła, trzymając przed sobą torebkę w obronnym geście. – Czego chcesz? Zostaw mnie w spokoju!

– Nie, nie – Dom rzucił rozpaczliwie, unosząc ręce, jakby się poddawał. – Daj mi chwilę. To jest Blondie.

Wskazał na psa. Blondie szczeknęła dla podkreślenia jego słów.

– Blondie – powtórzyła lodowata blondynka. – Mam ci uwierzyć, że twój pies wabi się Blondie? Co za palant nazywa tak swojego psa?

– Ja – oznajmił Dom.

– Ale dlaczego? – zainteresowała się dziewczyna. – Istnieje mnóstwo dobrych imion dla psów, które nie obrażają połowy żeńskiej populacji Manhattanu.

Cechowała ją bezpośredniość granicząca z gburowatością, która wydała się Dominicowi w równym stopniu intrygująca, co przerażająca.

– To nie jest obelga, tylko komplement. Nazywa się Blondie jak zespół Debbie Harry. Mój tata zawsze był ich fanem.

Wychowałem się, słuchając *Parallel Lines* – tłumaczył Dominic.

– Fajnie grają – dziewczyna ustąpiła niechętnie. – Ale i tak uważam, że to głupie imię dla psa.

– Wydawało mi się to sensowne – stwierdził Dominic i zerknął na psa. – Dostałem ją jako szczeniaka i była najpiękniejszą blondynką, jaką w życiu widziałem... – Podniósł wzrok i żołądek mu podskoczył. Widok dziewczyny zapierał mu dech w piersiach. Usłyszał swój głos mówiący: – Do dzisiaj.

Dziewczyna znowu cmoknęła, jakby słyszała taki tekst tysiąc razy. I prawdopodobnie tak było. Dominic nie był typem wygłaszającym oklepane teksty i nie uganiał się za nieznanymi dziewczynami, które przypadkiem obraził. Ta kobieta coś w sobie miała. Była fascynująca.

– Przepraszam – powiedział. – Pewnie masz mnie za kompletnego palanta. W każdym razie zamierzałem się wytłumaczyć.

Wyciągnął do niej rękę w geście przeprosin. Przyjęła ją i uścisnęła mu dłoń znacznie silniej, niż się spodziewał.

– Calgary – powiedziała szorstko. – Calgary Woods.

– Dominic McGuire – powiedział z uśmiechem, a potem, bo nie potrafił się powstrzymać, dodał: – Calgary Woods<sup>1</sup>? I twierdzisz, że mój pies się głupio wabi?

Energicznie cofnęła rękę.

– Miałam ci zaproponować, żebyś mi postawił kawę w ramach przeprosin, ale najwyraźniej jesteś zbyt dziecinny, by marnować na ciebie czas, panie McGuire. Do widzenia. – To powiedziawszy, Calgary Woods drugi raz tego dnia odwróciła się na pięcie i stukając obcasami, zaczęła się od niego oddalać.

– Daj spokój, Calgary – zawołał i ruszył za nią truchtem. – To był żart. Nie lubisz żartów?

– Lubię, ale dobre – odparła. Nawet się nie zatrzymała ani nie odwróciła, żeby na niego spojrzeć, ale z tego, jak drżały jej policzki, wywnioskował, że starała się stłumić śmiech.

On i Blondie szli za nią Piątą Aleją. Minęli pięć przecznic, po czym skręcili w East 75th Street w stronę Madison, gdzie dziewczyna zatrzymała się gwałtownie przed imponującym biurowcem.

– Teraz idę na spotkanie – rzuciła oschle. – Ale dam się zaprosić jutro na kolację. Tyle przynajmniej możesz zrobić. Wybierz jakiś porządny lokal. Nie znoszę złego jedzenia. Spotkamy się o dwudziestej. Napisz do mnie. Nie mam czasu na rozmowy. – Podała mu wizytówkę i zniknęła w budynku bez pożegnania, nie oglądając się za siebie.

Dominic przeczytał wizytówkę:

CALGARY WOODS

STARSZA ASYSTENTKA DS. MODY

LUSH

To miało sens. „Lush” był najpopularniejszym w tym roku nowym czasopismem poświęconym modzie. Calgary Woods wyglądała na kogoś z branży mody. Dominicowi nigdy nie podobały się blondynki. Nie mógł znieść księżniczek z Park Avenue. I zdecydowanie nigdy nie interesował się dziewczynami zajmującymi się modą. W Calgary było jednak coś, co go pociągało jak ćmę płomień. Gdy oddalał się od niej po ich pierwszym przypadkowym spotkaniu, wiedział, że ta kobieta jest niebezpieczna. Podejrzewał, że w miejscu, w którym powinno być serce, mógł się znajdować kawałek lodu. Niemniej nie przeszkodziło mu to o niej myśleć. Zdażył się już zakochać w Calgary. I był taki zakochany przez kolejne pięć lat.

Życie z Calgary nie należało do łatwych. Jej rodzina była koszmarem, Calgary nie czuła się dobrze w towarzystwie jego głośnych, energicznych przyjaciół i odmówiła wprost spotkania się z jego rodziną w Yonkers. Choć kariera Doma rozwijała się coraz lepiej i początkowo to on przynosił do domu więcej pieniędzy, Calgary zawsze sugerowała, że to jej praca jest istotniejsza.

Z perspektywy czasu Dominic zrozumiał, że w ich związku to ona była zawsze osobą, która nosiła spodnie – mimo że wołała spódnice (jaki sens ma spędzanie siedmiu godzin tygodniowo na siłowni, jeśli nie chwalisz się później nogami?).

Nawet na początku ich znajomości Calgary spędzała większość czasu w biurze lub na sesji zdjęciowej w jakichś egzotycznych miejscach lub na pokazach w Mediolanie, Paryżu albo Londynie. Dom nie potrzebował dużo czasu, by się zorientować, że była pracoholiczką. Jednak znowu ją tłumaczył. Czy to nie wspaniałe, że jego dziewczyna jest taka niezależna i zmotywowana? Przynajmniej nie oczekiwała, że będzie jej zapewniał buty od Jimmy’ego Choo – mogła je z łatwością kupić sobie sama. Szybko awansowała na stanowisko redaktorki działu mody, potem dyrektorki kreatywnej „Lush”. I dość szybko zaczęła zarabiać więcej od Doma.

Po roku od ich spotkania stała się jedną z najważniejszych

postaci świata mody w Nowym Jorku. Zawsze zasiadała w pierwszych rzędach na pokazach, ubierała Rihannę i Madonnę i wszędzie, gdzie chodziła, śledziła ją grupa podziwiających ją bloggerów strzelających zdjęcia iPhone'ami, żeby móc napisać, jaką miała torebkę, jakim odcieniem umalowała usta i jakie włożyła dzinsy (jeśli akurat był weekend). Im większe sukcesy odnosiła, tym bardziej Dom miał wrażenie, że drecze w jej cieniu. Zapraszała go na imprezy i wydarzenia, ale najczęściej Dominicowi wydawało się, że jego rola sprowadzała się do trzymania jej kieliszka z szampanem, podczas gdy ona rozmawiała z ważnymi klientami.

Po upływie dwóch lat zaczął się zastanawiać, co też ona w nim widziała. Zastanawiał się nawet, co takiego daje mu ten związek – oprócz darmowych markowych ubrań i zazdrosnych spojrzeń innych mężczyzn. Mógłby przysiąc, że czasami, kiedy jej dotykał, wzdrygała się. Kiedy indziej przyłapywał ją na tym, jak patrzyła na niego z takim rozczarowaniem, że aż miał ochotę nią potrząsnąć. Co było z nimi nie tak? Dlaczego z nim była, skoro uważała go za takiego nieudacznika? Naturalnie Dominic nigdy by nie potrząsnął Calgary. Nie podniósłby ręki na kobietę. Może i nie pochodził z Upper East Side, ale został dobrze wychowany.

Calgary bardzo, bardzo rzadko zrzucała maskę. A wtedy Dominic kochał ją najbardziej. Czasami znajdował ją skuloną w łóżku lub zamkniętą w łazience, gdzie po jej cudownej twarzy lżyły się strumieniami. Nigdy mu nie mówiła, co doprowadziło Królową Lodu do łez, ale pozwalała mu się tulić tak długo, aż ramiona przestawały jej drżeć i lży wysychały. Potem zawsze mu dziękowała, ale jeśli się ośmielił zapytać, co ją zdenerwowało, zakopywała się jeszcze głębiej w swojej pięknej skorupie.

Przywykł do upokarzających uwag osładzanych znamiennym dla Calgary zjadliwym „poczuciem humoru” („Nie rób takiej obrażonej miny, kochanie. To był żart”, mawiała często), ale nie potrafił się przyzwyczaić do braku fizycznej bliskości. Kochali się dość regularnie, ale tylko wtedy, kiedy ona miała na to ochotę. Prawie go nie całowała, a gdy kończyli, odpychała go od siebie,

odwracała się do niego plecami i zasypiała. Czasami odnosił wrażenie, jakby go nienawidziła za to, że ją kochał.

Dlatego gdy zasugerowała, że nadeszła pora, by się jej oświadczył, prawie spadł z krzesła. Chciała za niego wyjść? To znaczy, że go jednak kocha! Na swój własny, dziwny, spięty sposób bogatej dziewczyny. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby się jej nie oświadczyć. Przetrwiał potworną mękę, jaką było poproszenie ojca Calgary o jej rękę, a potem, gdy już pan Woods dał im błogosławieństwo (z niechęcią), Dom czuł się w zasadzie niepotrzebny w czasie planowania wesela. Calgary wyraźnie dała mu do zrozumienia, że organizacja ślubu i wesela to przywilej panny młodej – zwłaszcza gdy pracuje ona w branży mody. I to ona decydowała o: lokalu, liście gości, obrączkach, strojach, kwiatach, jedzeniu, torcie, druhnach, osobach anonsujących gości, a nawet druźbach (bardzo niechętnie przystała na to, żeby Dom zaprosił swoją bliską rodzinę i żeby Dave był jego druźbą, ale na tym koniec). Dom miał się tylko dobrze bawić podczas wieczoru kawalerskiego (nie, nie w Vegas, chyba że po trupie Calgary) i pojawić na czas w rodzinnym kościele w East Hampton. Zrobił to, oczywiście. A kiedy Calgary powiedziała „tak”, Dom nie posiadał się ze szczęścia. Z perspektywy czasu trudno mu zrozumieć, dlaczego był taki szczęśliwy w dniu ślubu. Domyślał się, że w ludzkiej naturze leży pragnienie czegoś, na co się tak ciężko pracowało. A on naprawdę harował, żeby zdobyć Calgary.

Jego żona nigdy nie mówiła, że chciałyby mieć dzieci. Ale też nie mówiła, że nie chciałyby ich mieć. Dominic był katolikiem, jednym z pięciorga dzieci. Jego matka Włoszka miała sześcioro rodzeństwa, a ojciec Irlandczyk dziewięcioro. W rodzinie McGuire'ów wszyscy mieli dzieci – mnóstwo dzieciaków! Dlatego Dominic zakładał, że każdy chce je mieć. Pobrali się, gdy miał trzydzieści dwa lata. Calgary miała dwadzieścia dziewięć. Byli młodzi, dobrze sytuowani, zdrowi i wykształceni – stanowili doskonałych kandydatów do reprodukcji; a przynajmniej Dom tak uważał. Ich pożycie skończyło się w dniu, w którym Dominic zapytał Calgary, czy chciałyby się starać o dziecko. Od ich ślubu

nie minął jeszcze rok.

Rzuciła się w wir pracy z jeszcze większym zapamiętaniem, spotykała się z przyjaciółmi, gdy tylko mógł, i unikała go, jak tylko się dało. Oboje często wyjeżdżali zawodowo za ocean i pracowali do późna, gdy byli w Nowym Jorku, więc łatwo im było dzielić mieszkanie, nie dzieląc równocześnie życia. Nadal spali we wspólnym łóżku trzy, może cztery razy w tygodniu, ale Calgary zawsze kładła się pierwsza i bez względu na to, jak bardzo Dominic starałby się jej dogonić, kiedy kładł się obok niej, ona już spała odwrócona do niego plecami. A przynajmniej świetnie udawała, że śpi. Jeśli próbował jej dotknąć, odsuwała się jeszcze dalej na ogromnym łóżu i rzekomo spała.

Dominic tak bardzo pragnął przytulić swoją żonę, całować ją, kochać się z nią jak niegdyś. A najbardziej na świecie marzył o tym, żeby zostać ojcem. Marzył o przeprowadzeniu się do kamienicy z elewacją z piaskowca i wychowywaniu całej gromadki zwariowanych dzieciaków. Od czasu do czasu usiłował poruszać ten temat z Calgary, ale ona kwitowała to milczeniem, a on tak bardzo bał się usłyszeć definitywne nie, że nie naciskał. Do czasu minionego lata. Gdy minęła trzecia rocznica ich ślubu, miał dość. Skończył trzydzieści pięć lat i nie chciał już wysłuchiwać matki wypytywającej go bez końca o to, kiedy da jej wnuka. Miał też po uszy chodzenia na chrzty dzieci przyjaciół. Chciał ochrzcić własne dziecko! Dlatego zaczął wywierać na Calgary presję.

– Chcę zostać ojcem – oznajmił jej odważnie. – Nie masz prawa odbierać mi tego marzenia. Jest zbyt ważne.

– A ty nie masz prawa narzucać mi macierzyństwa – odparowała chłodno i wyszła.

Spróbował znowu po upływie kilku dni, tym razem łagodniej.

– Moglibyśmy zatrudnić niańkę albo ja zostałbym z dzieckiem w domu – zaproponował z nadzieją w głosie.

– A czy zgodzisz się zrobić gruby, wymiotować, mieć rozstępy i dać sobie naciąć krocze? – spytała sarkastycznie.

– No nie, ale przecież możesz się umówić na cesarskie cięcie,



jeśli boisz się naturalnego porodu. Czytałem o tym i... – ciągnął.

– Wow – odparła Calgary beznamiętnie.

Oboje wiedzieli, co to znaczy. „Wow” oznaczało w przypadku Calgary, że „szkoda gadać”. Często wypowiadała to słowo. Miała nawet sweter od Markusa Lupfera z napisem WOW z przodu; jeszcze nigdy ubranie nie było tak dobrze dobrane do właściciela.

– Naprawdę chcę mieć dziecko – spróbował jeszcze raz.

Calgary przyglądała mu się przez długą chwilę. Rysy twarzy lekko jej złagodniały, ale co dokładnie wyrażały? Litość? Dominic siedział na dywanie ze skrzyżowanymi nogami i tulił Blondie.

– Nie potrzebujesz dziecka, Dominicu. Masz już jedno – powiedziała jego żona i wskazała na psa, usiłując zmusić mięśnie twarzy do wywołania czegoś, co przypominałoby uśmiech. – Mówisz do niej głupim głosem jak do dziecka, czeszesz ją i chodzisz z nią do parku. Przyrządzasz jej specjalne jedzenie i ustawieś jej zdjęcie jako tło w komórce. Czego więcej chcesz?

– Chcę być ojcem – wyjaśnił po raz ostatni.

Calgary potrząsnęła blond włosami.

– Przykro mi, kochanie, ale nie ma takiej możliwości.

Ledwie toleruję Blondie. Jesteś za nią całkowicie odpowiedzialny i na szczęście nie załatwia się w domu! Ale nie chcę dzieci. Koniec kropka. Wydawało mi się, że to rozumiesz. Nie traćmy więcej czasu na kłócenie się o to, dobrze? Mamy z Marion bilety do teatru. Wrócę późno. Nie czekaj na mnie.

Dominic próbował na nią czekać na kanapie, ale zasnął około trzeciej w nocy, a gdy się obudził, było rano i Calgary spała smacznie na ich łóżku.

– Podobała ci się sztuka? – zapytał ją, gdy wreszcie przyszła na śniadanie.

– Sztuka? – zapytała. Jeszcze nigdy nie widział jej w takim nieładzie i skacowanej.

– Mówiłaś, że miałyście z Marion bilety do teatru.

– Rozmyśliłyśmy się – odparła. – Dostałyśmy te bilety za darmo. W ostatniej chwili zaproszono mnie na imprezę w Tribeca,

więc poszliśmy tam. Było fajnie.

– To dobrze – powiedział, choć nawet przez chwilę tak nie myślał. – Bardzo dobrze. Cieszę się, że się zabawiałaś.

W następnym tygodniu wypróbował inną taktykę. Może jeśli częściej będą razem wychodzić, sprawy między nimi lepiej się ułożą? Zabrał ją do jej ukochanej restauracji, ubrał się w jej ulubiony garnitur od Prady, ten, który kupiła mu na rozdanie nagród rok wcześniej, i udał się do fryzjera, żeby go bardzo dokładnie ogolił.

– Posłuchaj, kochanie – powiedział, gdy czekali na przystawki. – Wiem, że posiadanie dziecka może być przerażającą wizją dla kobiety, zwłaszcza takiej, która robi karierę jak ty, ale będę przy tobie przez cały czas. Chcę być ojcem aktywnie uczestniczącym w wychowaniu dziecka. Mogę się nim głównie zajmować. Będę wstawał w środku nocy, odstawię pracę na drugi plan. Stać nas na to. A jeśli taki pomysł ci się nie podoba, możemy zatrudnić nianię. Proszę, Calgary, przynajmniej to przemyśl.

– Bo co? – zapytała, patrząc na niego nieufnie jak jeleni przyparty do muru w obliczu strzelby myśliwego.

– Bo... Bo nie wiem co, kochanie – odparł rozpaczliwie. Nie chciał, żeby się poczuła zagoniona w kozi róg, ale nie chciał też zrezygnować z własnych marzeń. – Jak mam zrezygnować z pragnienia bycia ojcem? To by było ogromne poświęcenie. Chryste, gdybym wiedział, że nie chcesz mieć dzieci...

– To co? – spytała ostro, ale nie podnosząc głosu. – Nie ożeniłbyś się ze mną?

– Tego nie powiedziałem – odpowiedział, a do oczu napłynęły mu łzy. – Nie wiem, co bym zrobił. Skąd mam to wiedzieć? Nigdy o tym nie wspominałaś. Ani razu nie powiedziałaś, że nie chcesz być matką.

– Nigdy nie pytałeś – zauważyła Calgary. Zagryzła wargę i zmarszczyła brwi. Bardzo się starała patrzeć wszędzie indziej, byle nie mężowi w oczy.

– Daj spokój, Cal. Większość ludzi chce się pobrać i mieć dzieci. To jest logiczny kolejny etap. Tak postępuje większość –

ciągnął.

– Nie jestem większością – mruknęła.

Przez jej twarz przemknął cień poczucia krzywdy i szybko zniknął. Nadała rysom swojej twarzy zwykły doskonały wygląd i wpatrywała się w przestrzeń nad głową Doma. Im mniej emocji okazywała, tym bardziej Dominic się denerwował i złościł.

Wciągnął głęboko powietrze i powiedział najspokojniejszym tonem, na jaki było go stać:

– Cal, jesteś moją żoną. Kocham cię. Ale chcę mieć dzieci. Nie potrafisz tego zrozumieć? Co by się stało złego, gdybyśmy stworzyli razem rodzinę? Dlaczego nie chcesz mieć ze mną dziecka? Niczego tak nie pragnę, jak widzieć ciebie w ciąży, potem narodziny naszego dziecka. Dowiedzieć się, jak będzie wyglądało. Nie ma dla mnie znaczenia, czy będzie to chłopiec czy dziewczynka... Proszę, kochanie, obiecaj, że się przynajmniej nad tym zastanowisz. Nie potrafię znieść myśli o przyszłości bez dzieci.

Dom położył rękę na jej dłoni i próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy, nakłonić ją, by spojrzała na sytuację z jego punktu widzenia. Calgary westchnęła głęboko i bardzo długo wyglądała przez okno. Potem cofnęła rękę i wreszcie pozwoliła sobie spojrzeć na niego. A gdy to zrobiła, z jej oczu popłynęły łzy. Otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć coś ważnego, ale słowa uwięzły jej w gardle. Dominic widział w lodowato błękitnych oczach, że coś ją gryzie. Ale co? I choć usiłowała ubrać to w słowa, Calgary Woods zbyt silnie się kontrolowała – a może bała? – żeby się otworzyć. Przełknęła słowa, osuszyła oczy serwetką i westchnęła głęboko.

– Przykro mi, Dominicu. – Tylko tyle zdołała powiedzieć, gdy zdjęła obrączkę, położyła ją na białym obrusie i wstała. – Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić – dodała cicho i spokojnie.

Z powrotem przywdziała maskę, a Dom z nieprzyjemnym uczuciem ucisku w żołądku pomyślał, że tym razem już nigdy się jej nie pozbędzie.

– Oboje się oszukiwaliśmy – ciągnęła, odsuwając swoje

krzesło. Jeleń przyparty do muru zamierzał zerwać się do skoku. – To nie miało szans powodzenia, prawda? Nie pragniemy tego samego i zdecydowanie już się nie uszczęśliwiamy. Jesteś więc wolny. Możesz się rozmnażać z pierwszą dziewczyną, którą napotkasz na swej drodze. Tak będzie najlepiej. Beze mnie będziesz szczęśliwszy. Nie mnie potrzebujesz.

I wyszła z restauracji z suchymi już oczami i wysoko uniesioną głową, jakby szła do toalety. Nie wróciła. Calgary zawsze potrafiła zszokować Dominica, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Pokój zawirował mu przed oczami, serce mu waliło z powodu paniki i wydawało mu się, że zwymiotuje. Musiał odesłać przystawki i z policzkami płonącymi ze wstydu i rozpaczony tłumaczył, że jego żona nagle źle się poczuła. Zapłacił rachunek i wyszedł z lokalu, starając się nie załamać na oczach wszystkich gości. Nie było jej w mieszkaniu, gdy wrócił. Nie odbierała telefonu, nie odpowiadała na SMS-y, e-maile i zaczepki na Facebooku. Wreszcie po dwóch dniach i dwóch nieprzespanych nocach dostał od niej wiadomość:

Przykro mi, że cię zdenerwowałam, Dominicu. Jednakże nie żałuję swojej decyzji. Jest dobra dla nas obojga. Zdaje się, że teraz wybierasz się do Ameryki Południowej. Zabiorę swoje rzeczy podczas twojej nieobecności. Mój prawnik zajmie się usunięciem mojego nazwiska z umowy dotyczącej mieszkania. Sugeruję szybki rozwód. Nie mamy o co walczyć. Nie będę się ubiegała o alimenty i nie mamy zobowiązań finansowych. Mówiłam ci, że najlepiej będzie mieć oddzielne rachunki bankowe. Oczywiście możesz zachować psa. Do widzenia, Dominicu. Życzę ci jak najlepiej. Proszę, nie odpisuj i nie próbuj się ze mną kontaktować. Nie odpowiem Ci.

Następnego ranka Dominic poleciał do Ekwadoru. Siedział przy oknie, kryjąc twarz przed współtowarzyszami lotu, i kulił się pod kocem przez całą drogę z lotniska Kennedy'ego do Quito.

## *Rozdział piąty*

Mayfair, Zachodni Londyn, 2012

Sophia wyszła zza rogu na Berkeley Street, ramię w ramię z Hugonem, prosto na spotkanie kłopotów. Trudno było o bardziej toksyczne wydanie kłopotów niż Hannah Louise Lovell. Wygląd dziewczyny nie wróżył kłopotów. O nie. I to było jej najpotężniejszą bronią. Miała metr pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, kręcone blond włosy i duże błękitne oczy. Prezentowała się uroczo z szerokim uśmiechem i dołeczkami w policzkach. Lekko sepleniała i mówiła teatralnie słabym i niewinnym głosem (choć ukończyła studia ekonomiczne w Cambridge i dowodziła tam męską drużyną wioślarzy). Potrafiła też płakać na zawołanie – zademonstrowała Sophii tę umiejętność podczas ich pierwszego spotkania, gdy miały osiem lat i po raz pierwszy spędzały noc w prywatnej szkole podstawowej. Od tamtej pory wykorzystywała ją do tego, by ratować się z opresji, a Sophię pakować w kłopoty – z nauczycielami, opiekunkami, przyjaciółmi i chłopakami (a raz nawet z policjantem).

W młodym wieku trafiły do tego samego kręgu towarzyskiego, miały wspólnych przyjaciół i rodzinę, a to znaczyło, że ich życiowe drogi przecinały się przez większą część dzieciństwa i wczesnej dorosłości.

– Bądź miła – szepnął Hugo. – Zmierz się z przyjacielem-wrogiem uzbrojona w uśmiech.

– Sophia! – zawołała Hannah śpiewnym głosem. – Jak się miewasz?

– Dobrze, dziękuję – mruknęła, pragnąc jak najszybciej zakończyć rozmowę. Była dorosłą kobietą i nie znajdowały się w szatni ósmej klasy; już nie musiała znosić towarzystwa Hannah.

– Jeśli wybieracie się do Funky Buddha, nie szłabym tam na waszym miejscu – oznajmiła Hannah, nadal uśmiechając się olśniewająco. W jej głosie pobrzmiwała fałszywa uprzejmość. – Zebrali się tam bardzo młodzi ludzie. Sporo prymusów poniżej

dwudziestego piątego roku. Roi się tam od paparazzich, bo jest tam sporo „ważnych” gości. Mogłabyś się poczuć trochę niezręcznie, Sophio.

Sophia usiłowała ją minąć, nie reagując, ale gdy znalazła się ramię w ramię z Hannah, ta burknęła:

– Kiedyś byłam o ciebie zazdrosna. Wiedziałaś o tym?

Sophia ściągnęła brwi. Hannah jednak kontynuowała.

– Zawsze uważałaś się za kogoś wyjątkowego. – Brzmiało to jak mowa, z której wygłoszeniem czekała od wielu lat. – Miałaś nogi do nieba i włosy do talii. I sławną babcię, która przysyłała ci paczki z Fortnum & Mason. A tak przy okazji, tylko z powodu babci zawsze dostawałaś główne role w sztukach. Nie miało to nic wspólnego z talentem, tylko z nauczycielami, którzy byli pod wrażeniem gwiazdorstwa twojej babki i usiłowali się jej podlizać. No i jeszcze tyranizowałaś nas wszystkie, gdy chłopcy z innych szkół zapraszali cię na swoje bale maturalne... „Nie masz z kim pójść? Ja dostałam siedem propozycji. Nie wiem, kogo wybrać”. Wszystkie wiedziałyśmy, że byłaś taka popularna tylko dlatego, że im się oddawałaś za jazdę sportowym wozem, wódkę i kokę – mówiła z takim jadem w głosie, że Sophia aż się wzdrygnęła. – Życie ma jednak zabawne sposoby na to, by to, co najlepsze, zostawić na koniec – ciągnęła zimno. – Nie młodniejesz i na pewno nie przybywa ci urody. Niebawem będziesz za stara na mini i na co ci się wówczas zdadzą takie nogi? Nigdy nie korzystałaś z mózgu, z którym przyszłaś na świat. Z radością zachowywałaś się jak słodka idiotka, o ile gwarantowało ci to uwagę, seks i pojawianie się twoich zdjęć w prasie. Od lat nikt cię nie zaprasza do telewizji. Kiedy to po raz ostatni obścapił cię paparazzi? W dwa tysiące piątym? Teraz jesteś nikiem, lady Sophio. I z pewnością nie jesteś damą!

Hannah postąpiła krok w jej stronę. Pachniała orchideami i wanilią, a ich słodka woń gryzła się z jej gorzkimi słowami.

– Chodzisz jednak do Funky Buddha z dziećmiakami i udajesz, że nic się nie zmieniło. Z tego, co słyszałam, tym razem rodzice już cię nie przyjmą z powrotem. I już nie pomieszkasz długo u

Bena. Podobno jego rodzice wystawiają na sprzedaż dom w Hackney...

Hugo i Sophia wymienili spanikowane spojrzenia, ale Hannah nie zrobiła nawet przerwy na oddech.

– Nie znajdziesz sobie bogatego faceta, który się o ciebie zatroszczy. Już nie. Z tego, co wiem, co tydzień jesteś z innym mężczyzną. Cały Londyn wie, jaka z ciebie szmata. Czy którykolwiek z nich dzwoni do ciebie następnego dnia? Jasne! Jednak rozbijasz się po klubach. Baw się dobrze, bo – mówię ci – zabawa się niedługo skończy. A gdy runiesz wreszcie ze swojej wieży z kości słoniowej, nie będzie pod nią nikogo, kto cię złapie.

Sophia otworzyła usta, żeby się bronić – nigdy nie żyła z nazwiska swojej rodziny, nie posługiwała się już swoim tytułem! – ale zanim znalazła odpowiednie słowa, Hannah Louise Lovell odwróciła się na srebrnych obcasach i oddaliła się ulicą w obłoku zapachu wanilii. Hugo i Sophia poszli w stronę klubu w milczeniu. Żaden z czekających przed lokalem paparazzich nie uniósł aparatu, gdy Sophia ich mijała.

– Niech sobie myśli, co chce – rzuciła Sophia, wzruszając ramionami. – Nie obchodzi mnie, co inni o mnie myślą.

To było oczywiście kolejne wierutne kłamstwo. Sophia gotowała się ze złości po tym, co usłyszała od Hannah. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że atmosfera w sali VIP-ów w Funky Buddha już jej nie odpowiadała. Lokale się zmieniły – KOKO, Mahiki, Notting Hill Arts Club – wszystkie. Mimo tego, co powiedziała Hannah, Sophia nadal mijała kolejki „plebsu” czekającego na wejście. Nadal całowała się z personelem w wejściu. Właściciele i organizatorzy imprez nadal ją znali i przysyłali jej drinka na koszt lokalu. Od ponad dekady Sophia regularnie bywała w londyńskich klubach i prawda była taka, że nie tylko zaczęło ją to nudzić, ale wręcz przygnębiać. Tego wieczoru dostrzegała sztuczność wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Ciągle przyłapywała się na tym, że myśli o liście od babki i zastanawia się, co by Tilly pomyślała, gdyby ją teraz widziała. „Pewnie nie byłoby to nic pochlebnego” – pomyślała.

„Będiesz nikim, młoda damo”, ostrzegał ją ojciec za każdym razem, gdy dostawała złą notę w szkole.

Może miał rację. Z pewnością nie osiągnęła zbyt wiele, z czego mogłaby być dumna. Był taki czas, kiedy Sophia żyła dla takich wieczorów, ale ostatnio często kończyła w toalecie, nie po to, by wciągnąć kreskę koki, jak to robiła niekiedy w młodości, tylko walczyć ze łzami przygnębienia i chować się przed ludźmi, których podziwiała.

Najgorsze przychodziło jednak później, czasami gdy było już jasno i Sophia leżała samotnie w łóżku. Sen wymykał się jej jak nieuchwytny wspomnienie. Tak bardzo go pragnęła – czystego niewinnego zapomnienia – ale za każdym razem, gdy usiłowała go schwytać i się weń zatopić, uciekał jej, a umysł znowu zmagał się z nowym zmartwieniem lub znanym już zwątpieniem i rzucała się po łóżku, nie śpiąc. Leżała tak i obserwowała światło zakradające się do środka przez szczelinę w zasłonach i rozjaśniające jej obrzydliwy świat. Puste butelki po winie leżące na szafce nocnej, przepełnione popielniczki, z których popiół wysypywał się na sterty brudnych markowych ubrań. To był chaos otaczający głupią imprezowniczkę.

Wtedy Sophia dostrzegała, w kogo się zmieniała, i skóra jej cierpła od nienawiści, jaką siebie darzyła. Nie litowała się nad sobą. Nienawidziła się. To ona sama doprowadziła się do tego. Lecz jak miałyby się wyrwać? Prawda była taka, że Sophia chciała się podnieść, wyrwać ze swojego ciała i odejść z tego życia. Czasami przyprowadzała ze sobą mężczyzn i spała z nimi, żeby pozbyć się tej samotności o świcie. Te przelotne przygody erotyczne poprawiały jej na chwilę nastrój jak narkotyki. Dotyk skóry do skóry i urocze miłe kłamstwa, które szeptano jej do ucha, dawały jej ukojenie. Kiedy mężczyźni odchodzili, upadała z jeszcze wyższej wysokości i następnego dnia czuła się jeszcze bardziej zdzirowata i bezwartościowa.

W którym momencie wszystko zaczęło się toczyć tak źle? Wiedziała, że to jest jej życie i że jest za nie odpowiedzialna, ale jak mogła zapobiec takiemu biegowi wydarzeń? Który moment



miał decydujące znaczenie? Była zbyt próżna? Za bardzo jej imponowały powierzchowność i trywialność? Tak bardzo chciała być cool i na czasie, że zaniedbała rozwijanie czegoś więcej ponad „charakterystyczny wygląd”? Tak uważali jej rodzice.

I czy nie wydawało się jej, że wie lepiej? Wzdrygała się na wspomnienie tego, jaka była zadowolona z siebie, gdy po raz pierwszy dostała pracę prezenterki w telewizji. Wydawało się jej, że przechytrzyła „grzeczne dziewczynki” ze szkoły, które nadal ślęczały nad podręcznikami i żyły zgodnie z regułami. To była głupia, nic nieznacząca posada w dość pospolitym kanale satelitarnym, ale przecież to coś lepszego od zdawania egzaminów, prawda? Przez kilka lat Sophia żyła na skraju sławy, wykorzystując rodzinne nazwisko i gasnącą sławę babki. Często ją fotografowano, gdy tańczyła na stołach w nocnych klubach, obcałowywała się z gwiazdami rocka, paliła papierosy z mniej ważnymi członkami rodziny królewskiej i wychodziła z imprez w objęciach zawodowych piłkarzy.

A teraz miała trzydzieści lat. Nie pracowała i praktycznie mieszkała na dziko w rozpadającym się domu. Hannah miała rację – już nikt jej nie fotografował. I gdy Sophia leżała samotnie w łóżku noc za nocą, jej koleżanki ze szkoły, które przeżywała niegdyś kujonkami, leżały bezpiecznie w ramionach mężów w ciepłych, przytulnych łóżkach w jakimś uroczym wiktoriańskim segmencie w Clapham, Chiswick lub Blackheath. Rano wstawały do pracy. Albo opiekowały się dziećmi. Robiły coś pożytecznego i znaczącego. A po co Sophia miała wstawać z łóżka?

Jakiś mężczyzna – kolejna przelotna znajomość – wyrwał ją z mrocznej zadumy i podsunął mojito.

– Dzięki – powiedziała beznamiętnie, przyjmując koktajl od młodego człowieka, którego imienia nie mogła sobie przypomnieć. A może go nie знаła?

– Jak ty to robisz? – zapytał Hugo, wskazując na stolik przed nimi. – Masz tu pięć drinków. Ani jednego nie kupiłaś. I nie rozmawiałaś z żadnym z mężczyzn, którzy ci je kupili. Wystarczy, że tu siedzisz z nadąsaną miną, a i tak pijesz za darmo. Uśmiecham

się uwodzicielsko do każdego obecnego tu pedzia, a żaden z nich nie postawił mi nawet wody mineralnej. Co ty masz w sobie, czego mnie brakuje?

– Piersi – odparła obojętnie. – Napij się. I tak nie zmęcę ich sama.

Hugo z wdzięcznością przyjął od niej drinka.

– Jeśli Hannah ma rację, mówiąc, że niebawem wylecimy z Hackney, nie mamy zbyt dużego wyboru, co nie? – zagaił z błyszczącymi oczami.

– O czym ty mówisz? – spytała Sophia, gdy wychyliła drugiego drinka jägerbomb.

Wiedziała bardzo dobrze, do czego Hugo zmierzał. Przejrzała go na wylot.

– Twoja babcia jest naszym jedynym ratunkiem – powiedział stanowczo. – Jutro pojedziemy do St John's Wood, pogodzisz się z babcią, wrócisz na łono rodziny i strony testamentu, a przed Bożym Narodzeniem wrócimy do Zachodniego Londynu, gdzie jest nasze miejsce.

Sophia znowu się rozejrzała. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Zachodni Londyn nie był jej miejscem bardziej niż Timbaktu. Stanowczo pokręciła głową.

– Nie, Hugo – oznajmiła. – Nie mieszajmy babci do tego. Nie chcę mieć nic wspólnego ze swoją rodziną, a już na pewno nie ucieknę się do szantażu emocjonalnego, żeby babka zostawiła mi pieniądze. Źle bym się z tym czuła. Ją akurat lubię.

– Przecież nie zabierze ich ze sobą, Soph – błagał ją. – I zawsze byłaś jej ulubienicą. Chciałaby ci je przekazać. Nawet zmieniłaś swoje nazwisko na jej.

To prawda. Ku przerażeniu ojca Sophia dodała nazwisko Beaumont do swojego, gdy była nastolatką, bo uważała, że lady Sophia Beaumont Brown brzmi bardziej wyrafinowanie niż zwykła Sophia Brown. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego jej matka tak ochoczo poświęciła zarówno nazwisko, jak i tytuł, gdy wyszła za mąż.

– Byłam ulubienicą babki, gdy miałam sześć lat. – Sophia

przypomniała przyjacielowi stanowczo. – Kiedy byłam urocza i słodka. Nie widziałam jej od dwóch lat. Nie rozmawiam z rodzicami. Nie można mi ufać. Przynoszę rodzinie wstyd. Jak możesz myśleć, że moja babcia przepisałaby na mnie choć pensa po tym, jak ją odwiedzę?

– Píše do ciebie te listy – przypomniał jej Hugo. – Nadal cię kocha, mimo że...

Przerwał, bo dotarło do niego, że przypadkiem wkroczył na niebezpieczne terytorium.

– Mimo że co? – spytała Sophia.

Wypiła tequilę, odstawiła głośno kieliszek na stolik i spojrzała Hugonowi prosto w oczy, by w ten sposób zmusić go do powiedzenia prawdy.

– Mimo że masz na swoim koncie kilka pomniejszych nieporozumień z rodziną – dokończył.

– Kilka pomniejszych nieporozumień? – prychnęła Sophia. – Przypuszczam, że można by to tak nazwać. Co takiego powiedział tata, gdy rozmawiałam z nim ostatnio? Już wiem. „Jesteś zdana na siebie, Sophio. Za swoją sytuację winić możesz wyłącznie siebie. Wstydzę się, że jestem twoim ojcem”. I miał rację! Wiesz, że ją miał! Jest zimnym i protekcyjnym człowiekiem, ale w tej kwestii się nie mylił.

– Nie było tak źle – zaczął Hugo kulawo.

Wystarczyło jedno ostrzegawcze spojrzenie Sophii, żeby zamilkł. Oboje wiedzieli, że było „tak źle”. I bez względu na to, jak źle Sophia się z tym czuła, nie było wytłumaczenia dla tego, co jej rodzina przeżywała z jej powodu. Jak mogła się teraz spotkać z babcią? Jak mogłaby stanąć przed kimkolwiek z rodziny? Żadna ilość alkoholu nie mogła zagłuszyć wstydu, jaki czuła, przypominając sobie wydarzenia sprzed dwóch lat.

„Wnuczka Tilly Beaumont okryta hańbą z powodu seksu i narkotyków”, głosił jeden z łagodniejszych tytułów w gazetach. „Zepsuta arystokratka zorganizowała podsycaną narkotykami orgię w wartej wiele milionów funtów rezydencji rodziców!”, krzyczał mniej przyjemny tabloid. Fakty rzecz jasna przeinaczono i

rozdmuchano niemal nie do poznania, niemniej prawda i tak była dość niekorzystna: Sophia zorganizowała imprezę, dużą imprezę, w domu rodziców, gdy wyjechali na wakacje. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Dzięki gadatliwości Sophii i cudownym możliwościom Facebooka w progu domu zameldowała się połowa londyńskich imprezowiczów (i ich dealerów), a Sophia była zbyt pijana i zbyt dobrze się bawiła, żeby się tym przejąć. Pozwoliła na rozwój wydarzeń. Przymknęła oko na to, że ludzie wciągali kreski kokainy z granitowych blatów w kuchni jej matki, śmiała się z nagiej supermodelki pływającej w stawie i po prostu zamknęła drzwi, kiedy przypadkowo przyłapała trójkątkę oddającą się rozkoszom w łóżku jej rodziców.

Okej, następnego dnia wpadła w panikę, gdy zobaczyła bałagan po imprezie. Kiedy wraz z przyjaciółmi przez dwa dni sprzątała i szorowała dom, przekupiła lokalną złotą rączkę, żeby milczał w kwestii napraw, których musiał dokonać nagle w domu i ogrodzie. Uciekła do Londynu, myśląc, że wyjdzie cało z opresji. Tyle tylko, że coś takiego nikomu nie może ująć na sucho. Nie w czasach, w których wszyscy mają smartfony. Wystarczyło, że jedna „przyjaciółka” wysłała kilka zdjęć do prasy i bum!, świat Sophii runął w gruzy. Rodzice wrócili z południa Francji w sobotni wieczór i zastali dom w stanie, w jakim go zostawili. Gdy następnego dnia gazeta wylądowała na wycieraczce przed domem, już nic nigdy nie było takie samo. Sophia nie widziała ich od tamtego czasu. Rodzice przeprowadzili z nią w niedzielę potworną rozmowę przez telefon i nie kontaktowali się z nią od dwóch lat. Wyrzekli się jej całkowicie. I jeśli miałyby być ze sobą szczerze, nie miała im tego za złe. Mieli swoje wady, ale byli jej rodzicami, a ona była ich jedyną córką. Nawet gdyby się starała, nie zdołałaby ich bardziej upokorzyć.

– Przejdzie im – powiedział Hugo, poklepując ją po ramieniu. – Kiedyś. Twój tata wiecznie cię wydziedzicza, ale potem zmienia zdanie.

– Tylko dlatego, że mama go do tego zmusza – przypomniała mu Sophia. – Minęły dwa lata. Nie. Wydaje mi się, że tata z ulgą

przyjął powód, by móc się ode mnie odciąć. Przecież nigdy nie byłam córeczką tatusia, prawda?

Hugo ze smutkiem pokręcił głową. Nawet on nie potrafiłby przekonać Sophii do tego, że jej ojciec ją hołubił. Jeśli ją całował, robił to sztywno, niezręcznie. Owszem, opłacił jej wykształcenie (co zaprzepaściła), kupował jej samochody (które spisywała na straty) i mieszkania (z których rezygnowała na rzecz imprez na Ibizie) i do czasu owej imprezy wpłacał co miesiąc kilka tysięcy funtów na jej konto. Jednak nie mogła sobie przypomnieć, by choć raz powiedział jej, że ją kocha lub że jest z niej dumny.

– Należy do innego pokolenia, ot co – zauważył Hugo uprzejmie. – Twój tata jest trochę oldskulowy. Po prostu nie przepada za okazywaniem uczuć. Nie bierz tego do siebie.

Przytaknęła, ale wiedziała, że Hugo się mylił. Jeśli chodzi o relacje z ojcem, musiała je brać do siebie. Nie lubił jej. Chciał mieć syna. To wiadomo. Zawiodła go już w chwili narodzin. Nagle przyплыnęło do niej dawno zapomniane wspomnienie, wyraziste jak w technikolorze. Mająca siedem lat Sophia ubrana w strój baletowy tańczyła wokół fotela ojca i starała się z całych sił być najpiękniejszą, najdoskonalszą baleriną na świecie. „Spójrz na mnie, tatusiu. Zobacz, czego się nauczyłam. Patrz, jakie robię piruety. Spójrz na moje *jeté*”. A ojciec siedział nad otwartą gazetą i umyślnie odmawiał spojrzenia na córkę. Sophia zaczęła się denerwować, czuć rozpacz. Wirowała, obracała się i skakała, usiłując gorączkowo przykuć jego uwagę. Wtem, bum! Potknęła się i wpadła na stół, przewróciła jego szkocką, stłukła szklanekę. Niegrzeczna Sophia. Niedobra.

Może gdyby jej rodzice mogli mieć drugie dziecko, sytuacja byłaby inna. Gdyby ojciec miał ukochanego synka, byłby szczęśliwy, mniej zły na Sophię i mniej krytyczny wobec jej mamy. Wówczas mama nie byłaby tak zdystansowana i przygnębiona, a Sophia nie czułaby się taka samotna... Lecz jaki sens miało całe to gdybanie?

– Nie chcę rozmawiać o swojej rodzinie – odezwała się stanowczo do Hugona. – Chcę się dobrze bawić.

Hugo przytaknął, ale oboje wiedzieli, że kłamała.

Drobny niepokój bzycał jej w głowie jak rozjuszona osa. Potrząsnęła głową, żeby odgonić to uczucie, ale jej nie opuszczało. Może wyobraziła je sobie. Minęło tyle czasu. Może to było coś, co zmyśliła w ciągu tych lat albo stworzyła sobie wtedy, gdy czuła się szczególnie zawiedziona rodzicami. Fałszywe wspomnienie.

Pamiętała, że splądrowała torebkę mamy. To była prawda. Miała trzynaście, może czternaście lat i rozpaczliwie pragnęła wykraść pieniądze na pociąg do Londynu po szczególnie nieprzyjemnej kłótni z tatą. Był parny dzień. Lipcowy lub sierpniowy. Siedziała w domu, bo trwały wakacje. Nudziło się jej, czuła się uwięziona i było jej gorąco. Chodziła po ścianach. Musiała stamtąd uciec. Nienawidziła domu, który stał się jej więzieniem. Nienawidziła rodziców, którzy byli jej strażnikami.

Znalazła je w torebce mamy, schowane głęboko w wielkim portfelu pomiędzy paragonami, kartami sklepowymi i znaczkami pocztowymi. Wspomnienie wydawało się całkowicie realne. Poczula, jak opakowanie strzelało jej między palcami, gdy obracała je w tę i w tę, próbując zrozumieć, co to jest... Malutkie pigułki. Wyraźnie zaznaczone dni tygodnia. Wszystkie pigułki, aż do tego dnia, dokładnie wybrane. I to nie były jakie pigułki. Tylko te. Miała w szkole wychowanie seksualne. W bursie czytała „Cosmopolitan” z latarką pod kołdrą. Nie była już dzieckiem. Ale dlaczego mama trzymała pigułki w torebce? Przecież nie mogła mieć dzieci. Nikt w rodzinie nie robił z tego tajemnicy. Ojciec często jej to wypominał oskarżycielskim tonem. Alice nie mogła dać mu syna, którego tak bardzo chciał mieć. Dlaczego zatem matka musiała zażywać te pigułki?

Sophia nigdy nie wspomniała mamie o tym, co znalazła. Nikomu o tym nie wspomniała. Odłożyła pigułki tam, gdzie je znalazła, i zabrała trochę drobnych, jak planowała. Wybiegła z domu i popędziła na stację kolejową. Uciekła z tego potwornego domu, od jego milczących sekretów. Starła się z całych sił zapomnieć o tym, że widziała owe pigułki.

Nadal usiłowała o tym zapomnieć. Wypiła drinka z tequili i

musującego napoju. Przyjemnie ją otępił. Tylko tego jej było na razie trzeba. Nie miała większych ambicji.

## *Rozdział szósty*

Virginia Water, Surrey, 2012

Alice Brown leżała cicho i spokojnie, gdy wsłuchiwała się w skrzypienie desek na spoczniku schodów przed jej sypialnią. Gdzieś w domu zapaliło się światło i przesączało się przez szparę pod drzwiami tak długo, aż mogła zobaczyć zarysy kształtów szafy i toaletki, różowe róże w wazonie. Portret matki, gdy była młodą kobietą, szydził z niej ze ściany naprzeciwko. Widziała też oprawioną w srebrną ramkę fotografię z wyglądającą jak aniołek trzyletnią Sophią, z lekko marsową miną, ubraną w sukienkę z haftu angielskiego. Alice знаła wszystko w tym pokoju, a w zasadzie w całym domu, jak własne odbicie w lustrze. To był jej dom. Więc dlaczego odczuwała taki niepokój? Nic jej nie groziło. Wiedziała, że w domu nie było nikogo obcego. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nocnym markiem był jej mąż. Ta myśl jednak nie uspokoiła jej do końca.

Materac obok niej był pusty, ale jeszcze ciepły. Słyszała dźwięk zamykanych drzwi i światło lekko przygasło. Philip był w gabinecie. Wiedziała, co robił. To dlatego była taka ostrożna. I z tego też powodu nie zażyła tabletek nasennych przed położeniem się spać.

W domu było tak potwornie cicho, że usłyszała dość wyraźnie dźwięk towarzyszący uruchamianiu komputera. Jeszcze raz sprawdziła wszystko w myślach. Tak, usunęła historię. Lecz nie całkiem, żeby nie wyglądało to podejrzanie. Philip nie miał pojęcia, jakiej biegłości w obsłudze komputerów Alice ostatnio nabyła.

W końcu niechybnie ją nakryje przy komputerze. Planowała swoją reakcję na tę ewentualność, kiedy wielokrotnie siedziała przy mahoniowym biurku w gabinecie, który był zawsze jego terytorium. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Mimo to aż podskoczyła tego popołudnia, gdy usłyszała jego kroki na górze schodów. Powinna bardziej uważać, a nie słuchać radiowej Czwórki. Nie



słyszała, gdy samochód wjechał na podjazd, nie dotarł do niej dźwięk zatraskiwanych drzwi. Miała dość czasu, żeby wcisnąć tabulator i kiedy Philip wszedł do gabinetu, niewinnie przeglądała stronę Marksa i Spencera, którą miała otwartą na wszelki wypadek.

„Co tutaj robisz?”, zapytał Philip podejrzliwie.

Starła się mówić lekkim tonem. „Spotkałam Margot na poczcie i powiedziała mi, że M&S mają dzisiaj dwudziestoprocentową obniżkę, ale tylko w sklepie internetowym. Postanowiłam się tym zainteresować. I okazało się, że to nadzwyczaj łatwe. Poradzi sobie z tym nawet taki przeciwnik postępu technicznego jak ja!”, zmusiła się do uśmiechu. Philip skinął szorstko głową, ale jego oczy nadal patrzyły nieufnie. „Mam nadzieję, że nie dasz się ponieść, Alice”, złąził ją. „Wyprzedaż jest okazją tylko wtedy, gdy kupuje się coś, co jest potrzebne”.

„Pomyślałam, że mamie przydałoby się jeszcze kilka koszul nocnych do szpitala”, odparła zgodnie z prawdą. „I ciepły szlafrok. No i może jakieś sensowne kaptcie. Kiedy pojechałam do jej domu po rzeczy, znalazłam tylko jedwabie i koronki. Jedyne kaptcie były na kieliszkowym obcasie. I zdaje się, że mama nie ma żadnego szlafroka, jeśli nie liczyć jej kolekcji kimon. Przecież nie możemy pozwolić, żeby paradowała po oddziale w cieniutkim peniuarze, prawda? Byłoby to takie niesmaczne”.

Philip znowu przytaknął, tym razem z większym przekonaniem. „Masz rację”, burknął. „Jeśli jesteś pewna, że wiesz, co robisz, i przy okazji nas nie zrujnujesz, pójdę wziąć prysznic przed kolacją. Jedzenie będzie gotowe przed dwudziestą, prawda, Alice? Umieram z głodu”.

„Oczywiście, Philipie”, odpowiedziała beznamiętnie.

„Kolacja zawsze jest gotowa przed dwudziestą”.

Gdy mąż zniknął za drzwiami, wyczyściła historię, zapłaciła szybko za ubrania mamy i uśpiła komputer. Teraz jednak urządzenie już nie spało. Podobnie jak Alice. Po cichu wstała z łóżka i podeszła do drzwi, delikatnie nacisnęła na klamkę i przeszła na palcach po spoczniku schodów; wiedziała dokładnie,

które trzeszczące deski powinna omijać. Kobieta zamężna z kimś takim jak Philip potrafiła po trzydziestu latach być niewidzialną. Poczul jej obecność dopiero wtedy, gdy stanęła przy nim. Jego ściągniętą twarz, na której malowało się zdumienie i poczucie winy, oświetlało neonowo błękitne światło ekranu. Zorientowała się, że zobaczył tylko to, co chciała mu pokazać. Odkrył wyłącznie, że w wyszukiwarce Google szukała stron poświęconych „rakowi kości”.

– Phil, jaki jesteś pocziwy. Też się martwisz moją matką – powiedziała, zdumiona tym, z jaką łatwością ciągnęła tę grę.

Wiedziała, że Philip ani trochę nie przejmował się jej matką. Po prostu szpiegował żonę.

– Ależ tak. Tak, tak, oczywiście. Pomyślałem sobie, że może lekarz coś przeoczył – odparł bardziej zdenerwowany niż zwykle. – Czytałaś o tym, prawda? O cudownych kuracjach w Ameryce. To jest nowa terapia, która tutaj nie jest jeszcze dostępna...

Urwał, nie był przekonujący nawet dla siebie.

– Jest w najlepszych rękach – odparła Alice, gdy dotarło do niej, że choć raz może się wcielić w rolę pouczającego dorosłego.

– Nie sądzę, by pomylili się w kwestii prognoz. To naturalne, że człowiek szuka cudu. Też to robiłam! Tylko że mama jest starszą kobietą, a ten rak jest szczególnie agresywny.

Philip skinął głową, wdzięczny za tę grę i szansę na dojście do siebie. Nie potrzebował dużo czasu, by przyjąć zwyczajową dla siebie postawę wyższości. I przestać udawać troskę o jej matkę.

– Pisuje do Sophii, wiesz? – rzucił, wyzywająco zadzierając podbródek i przygniatając żonę tą informacją. – Mieszka jak zawsze. Może i Tilly jest chora, ale nadal ucieka się do swoich sztuczek. Dlaczego ta kobieta nie może przestać odgrywać Boga w życiu innych ludzi?

Alice zadrzała. Nie wiedziała, że matka pisała do jej córki. Nikt jej o tym nie powiedział. Jak zwykle miała wrażenie, że jej życie nie należy do niej. Kontrolę nad nim znowu mieli Philip i matka. Nie zaskoczyło ją to, że matka próbowała skontaktować się z Sophią ani że mąż o tym wiedział i postanowił to przed nią

zataić, ale bardzo ją to zmartwiło.

– Widziałem list – prychnął Philip. – W ubiegłym tygodniu. Spała po zażyciu środków przeciwbólowych, pamiętasz? Nie wiem, jak mogłaś go nie zauważyć. Leżał na szafce przy łóżku. „Kochana Sophio, tak bardzo Cię kocham. Muszę się z Tobą zobaczyć. Wiem, że rodzice Cię nie rozumieją, ale ja rozumiem. Muszę Ci powiedzieć o kilku sprawach, zanim odejdę...”. I tak dalej. Wyobraź sobie ten emocjonalny szantaż, dramatyzm, te hiperbole!

Alice przytaknęła i przełknęła gulę, którą czuła w gardle. Dlaczego nie zauważyła listu? Była zbyt zajęta wpatrywaniem się w kruche ciało matki i zastanawianiem nad tym, jak ktoś tak potężny mógł się nagle stać taki delikatny. Odrobina poczucia mocy, jaką odczuwała, rozplynęła się w ponurym mroku nocy.

– Myślisz, że ją odwiedzi? – zapytała, usiłując powstrzymać drżenie głosu. – Sophia.

Philip cmoknął i pokręcił głową.

– Oczywiście – warknął, a jego złość się nasilała. – Jeśli Sophia wywęszy szansę na spadek, jeśli będzie musiała, popędzi przez Londyn boso.

Alice przytaknęła i starała się nie okazywać radości na myśl o tym, że znowu zobaczy córkę, nawet jeśli bała się tego, co Tilly mogłaby jej powiedzieć.

– Zjednoczenie się Tilly i Sophii to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy – ciągnął Philip.

– Matka nie wywoła żadnych kłopotów – powiedziała Alice cicho, próbując przekonać nie tylko Philipa, ale i siebie. – Wie, jaka jest stawka.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Philip. – Przecież umiera. Co ma do stracenia?

Alice przełknęła ciężko. Zastanawiała się, co ktokolwiek z nich ma teraz do stracenia.

– Twoja matka nie jest aniołem, Alice – ostrzegł ją zimno Philip.

– Wiem – odparła Alice.

Chryste! Jeśli ktokolwiek o tym wiedział, to właśnie ona! Niemniej jednak, to była jej matka i Alice bardzo ją kochała.

– Jeśli Sophia przyjdzie do szpitala, musimy prezentować wspólny front, Alice – ostrzegł ją Philip surowo. – Rozumiesz? Ta dziewczyna spaliła za sobą mosty. Nie nauczy się troszczyć o siebie, jeśli nie dostanie od nas ostrej nauczki.

Alice wpatrywała się w dywan. Czowała to znane sobie potworne wrażenie, że jej serce jest rozrywane.

– Rozumiesz? – zapytał jej mąż głośnie.

Przytaknęła. Nagle poczuła się przytłoczona.

– Zapomniałam zażyć tabletkę przed położeniem się spać – powiedziała cicho.

Philip westchnął teatralnie i wznosił oczy ku niebu.

– Nic dziwnego, że snujesz się po domu jak jakiś duch – skwitował. – Idź i weź tabletkę. Grzeczna dziewczynka. Prześpij się trochę. Do zobaczenia rano.

Poklepał ją lekko po ramieniu i delikatnie pchnął w stronę drzwi. Alice zostawiła męża w gabinecie, żeby mógł dalej przeglądać historię. Nagle poczuła, jaka była naiwna, sądząc, że dzięki internetowi zdoła uciec od swojego życia choćby na godzinę lub dwie. To była jej rzeczywistość. Na dobre i na złe.

Zażyła tabletkę jak „grzeczna dziewczynka”. Nie dlatego, że Philip jej kazał, ale dlatego, że wiedziała, iż po upływie dziesięciu minut ogarnie ją pozbawiony marzeń sen. A potem nie będzie czuła już nic.

– Weź tabletkę i zrób się malutka – mruknęła do swojego odbicia w lustrze.

## *Rozdział siódmy*

Mayfair, Londyn, 2012

Godziny mijały, drinki napływały, muzyka waliła w uszach Sophii i brzęczała w jej głowie. Opowiadała dowcipy, flirtowała, stanęła na krześle i zaczęła swoje wygłupy. W pewnym momencie wyszli chwiejnym krokiem z klubu i pojechali taksówką gdzie indziej. Nawet nie była pewna, w którym klubie się znajduje. Z biegiem lat wszystkie zlały się w jedną odurzającą głośną masę. W pewnym momencie Hugo objął ją i wyraził swoją radość z tego, że poweselała i stała się Sophią, którą wszyscy znali i kochali. Ukłucie nienawiści do samej siebie zaczęło ją znowu nękać, ale wypila więcej koktajli, żeby je powstrzymać i zastąpić otępieniem.

Wirowała na parkiecie z głową odchyloną do tyłu, wypinając pierś do przodu i afiszując się długimi nogami na wysokich obcasach. Kok dawno już się rozpadł i włosy fruwały wokół jej głowy, przez co tylko od czasu do czasu dostrzegała, co się działo wokół niej. Kręciło się jej w głowie, nie panowała nad sobą, czuła się dzika i wolna. I wtedy go zobaczyła. Nathana. Swojego Nathana. Przerwała taniec i zamarła w bezruchu.

Bo to był on, prawda? Stał w bladoniebieskiej koszuli oparty o bar, miał takie same opadające ciemne włosy i krzywy uśmiezek. Postarzał się o kilka lat, zaokrąglił się nieco i wokół cudownych brązowych oczu pojawiły się drobne zmarszczki od śmiechu, ale to był zdecydowanie on. Na dodatek tak niebezpiecznie przystojny jak jeszcze nigdy. Serce podskoczyło jej do gardła, a żołądek wykonał niezamierzone salto. Chwyła Hugona za rękę.

– Nie rozglądaj się – krzyknęła mu do ucha. – Nigdy się nie domyślisz, kto stoi przy barze!

– Kto? – zapytał Hugo i natychmiast się odwrócił, żeby spojrzeć w stronę baru.

– Nie! – krzyknęła Sophia, chwyciła go za twarz i zmusiła do tego, żeby patrzył na nią. – Nie patrz tam. Zobacz, że mu się

przyglądamy.

– Kto? – dopytywał Hugo, który nadal usiłował zerknąć przez ramię.

– Nie! – Sophia zaoponowała ze złością. – To on. On. Jest tutaj.

Sophia patrzyła, jak informacja dociera do jej przyjaciela. Ekscytacja i ciekawość ustąpiły poważnemu zaniepokojeniu.

– Jesteś pewna? To na pewno Nathan?

Sophia ciężko przełknęła, jeszcze raz rzuciła okiem ponad ramieniem Hugona i stanowczo przytaknęła.

– To jak najbardziej on – oznajmiła. – Co mam robić, Hugo? Dobrze wyglądam? Mam do niego podejść?

– Wyglądasz cudownie – odparł Hugo ze ściągniętymi brwiami. – Ale może powinniśmy stąd wyjść? Wiesz, jak się przy nim zachowujesz. Wydawało mi się, że się zapadł pod ziemię. Myślałem, że pracuje w Singapurze. Cholera! Myślałem, że ci przeszło. Minęło tyle lat!

– Wiem! – odparła Sophia, z trudem łapiąc powietrze. – Nie mogę uwierzyć. Nie widziałam go od trzech lat. To zrzędzenie losu, Hugo. Nie rozumiesz tego? Jest tyle klubów w Londynie, a on przyszedł tu.

– Może powinniśmy stąd wyjść? – Hugo powoli sugestię.

– Nie bądź śmieszny! – Sophia wrzasnęła mu do ucha. – To moja szansa. Nie rozmawialiśmy ze sobą po naszym rozstaniu. Nadal tego nie rozumiem. Jesteśmy starsi. Wiele się zmieniło. Może...

– Może co? – spytał Hugo, mrużąc oczy. – Może urosło mu serce, odkąd zerwał wasze zaręczyny?

Nathan Roberts to jedyna prawdziwa miłość Sophii. Spotykała się z nim przez dwa lata, gdy była po dwudziestce. Przez ten czas czuła się bezpieczna, kochana i wartościowa. Nathan był dobrze zapowiadającym się prawnikiem ze świetlaną przyszłością, miał uroczą rodzinę i miłych przyjaciół. Kiedy Sophia z nim była, prawie zaczęła szanować samą siebie. Urządziła pięknie ich mieszkanie w Ladbroke Grove,

zrezygnowała ze stylu życia imprezowiczki i z przyjemnością spędzała piątkowe wieczory wtulona w niego na kanapie. Nauczyła się gotować i urządzała kolacje dla grzecznych przyjaciół Nathana. Prawie zupełnie zerwała z narkotykami, przestała pić, a nawet zaczęła się ubierać bardziej konserwatywnie. Trochę bardziej. W weekendy odwiedzali przyjaciół na wsi albo wynajmowali domek na wybrzeżu w Devon lub Kornwalii. Sophia nigdy nie była szczęśliwsza.

Jej rodzina była zaskoczona, ale zachwycona tak dobrą partią. Nawet jej ojciec zaakceptował Nathana. A tak naprawdę, to nie tylko zaakceptował – wręcz go uwielbiał. Nawet pozwolił Nathanowi mówić do siebie Phil, a nie panie Brown czy sir. Sophia z ukłuciem żalu wspominała, jaka była zadowolona z tego, że zrobiła wreszcie coś, z czego ojciec może być dumny. A słuchał każdego słowa Nathana, udzielał mu rad dotyczących kariery i dzielił się z nim swoją rozległą wiedzą na temat win. Na urodziny kupił mu kije golfowe oraz członkostwo w jego klubie golfowym na Gwiazdkę. Często spędzali we dwóch niedziele na grze w golfa.

W Boże Narodzenie w drugim roku trwania związku Nathan oświadczył się Sophii. Sophia nie posiadała się z radości, nie tylko ze względu na siebie, ale i całą rodzinę. A najbardziej się cieszyła z powodu taty. Nigdy nie miał syna, którego tak bardzo pragnął, ale teraz zapewniła mu godne zastępstwo – zięcia, którego mógł kochać. Wniebowzięta Sophia zaczęła mierzyć suknie ślubne, odwiedzać kościoły i sale weselne, a nawet próbowała tortów. Wyszukała w Google dziesięć najlepszych miejsc na podróż poślubną i wymyślała imiona dla chłopców i dziewczynek. Razem z matką bardzo się do siebie zbliżyły, gdy snuły plany dotyczące ślubu i wesela, podczas gdy „chłopcy” grali w golfa i próbowali wybornych win. Przez trzy miesiące Sophia upajała się zadowoleniem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała.

I nagle w deszczowy czwartek w marcu, zupełnie znienacka, Nathan oznajmił, że zmienił zdanie, i Sophia patrzyła, jak jej przyszłość się rozpada. Oświadczył, że dotarło do niego, iż nie jest gotów na ustatkowanie się. Nawet nie wiedział, czy jest stworzony

do ożenku. Nadal chciał odwiedzić wiele miejsc i poznawać ludzi. Zaproponowano mu pracę w Singapurze i zamierzał ją przyjąć. Nie chciał, żeby Sophia mu towarzyszyła.

Sophia była zbyt zaskoczona i przybita, żeby zadawać właściwe pytania. Całkowicie ją zamurowało i dopiero po odejściu Nathana w jej głowie zaczęło się roić od nieskończenie wielu „dlaczego”. Oddała mu olśniewający brylantowy pierścionek, musiała się wyprowadzić z jego pięknego mieszkania (czy kiedykolwiek było ich wspólne?), a gdy próbowała się z nim skontaktować, nie odbierał telefonu. Nigdy nie odpisał na niekończące się e-maile. A kiedy dzwoniła do jego miłych przyjaciół, mówili niejasno i nie byli pomocni. Gdy zadzwoniła do jego rodziny, usłyszała życzenia powodzenia i bardzo stanowcze pożegnanie.

Przez kilka miesięcy tylko płakała. Nic nie jadła. Nie mogła spać. Nie chciała nigdzie wychodzić. Nie myła się i nie ubierała. Nawet nie wstawiała z łóżka. Powoli jednak, z pomocą przyjaciół – a w szczególności Hugona – zdołała poskładać jakoś swoje życie. Nie było tak atrakcyjne i cudowne jak z Nathanem. Przypominało raczej potłuczony wazon, który posklejano dość chaotycznie, jak popadnie. Stracił na wartości, choć nadal był cały. Ledwie się trzymał, ale jednak. Sophia przeżyła stratę Nathana. Nigdy jednak nie doszła do siebie. Jak ten potłuczony wazon nadal była rozbita, a wszyscy wokół mogli widzieć linie pęknięć. A teraz tu był, opierał się o bar, wyglądał wręcz bosko – jak w dniu, w którym wsiadł do taksówki jadącej na Heathrow i zniknął z jej życia, zostawiając ją zanoszącą się od płaczu na podłodze w ich mieszkaniu.

– Pójdę z nim porozmawiać – oznajmiła Sophia stanowczo.  
– Bądź ostrożna, proszę. – To było wszystko, co Hugo mógł powiedzieć.

Nogi się trzęsły pod Sophią, gdy starała się iść pewnym krokiem w stronę byłego narzeczonego. Poczowała się nagle tak spragniona, że usta przyklejały się jej do zębów, kiedy posłała mu uśmiech. Serce waliło jej tak mocno, że dziwiła się, iż nikt w



klubie nie słyszy, jak zagłusza muzykę. Nathan rozmawiał z gościem stojącym po jego prawej stronie. Jeszcze jej nie zauważył. Dopiero gdy dzieliło ich kilka metrów, odwrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy. „Zachowaj spokój, zachowaj spokój” – powtarzała sobie w myślach, ale kiedy znalazła się blisko miłości swojego życia, potknęła się i runęła w stronę baru. Patrzyła z przerażeniem, jak jej drink cosmopolitan wylewa się ze szklanki i spada na niebieską koszulę Nathana. A sama wpadła w jego ramiona.

– O, cholera – wykrztusiła z siebie w ramach przeprosin.

Nathan się uśmiechnął – seksownie, z rozbawieniem i pewnością siebie. Sophia rozplynęła się w jego objęciach i przez chwilę pozostawała w nich, wdychając uroczy zapach mężczyzny, za którym usychała z tęsknoty przez prawie cztery lata.

– Chyba mi się należało – zaśmiał się Nathan swobodnie. Postawił Sophię prosto i wytarł się chusteczką z baru. – Nie zmieniłaś się, Soph – dodał, nadal się uśmiechając. – Wyglądasz seksownie jak zawsze. I jesteś tak samo wkurzona.

Puścił do niej oko, aż nogi się pod nią prawie ugięły.

– Nie jestem wkurzona – odparła niezgrabnie. – Potknęłam się. To wszystko. Zdziwiłam się trochę na twój widok.

– A mnie nasze spotkanie nie dziwi – rzucił swobodnie. – Zawsze byłaś stałym elementem sceny klubowej. Od dawna czekałem na to, że na ciebie wpadnę. Myślałem, że będziesz pierwszą osobą, którą spotkam po powrocie.

– A kiedy wróciłeś? – spytała Sophia. Miała nadzieję, że w jej głosie słyhać było zainteresowanie, a nie desperację.

Nathan wzruszył ramionami.

– Kilka tygodni temu – powiedział nonszalancko. – Zapoznaję się na nowo z dawnymi ulubionymi miejscami.

Dlaczego wróciłeś? Gdzie mieszkasz? Chciałeś do mnie zadzwonić? Miałeś nadzieję, że się spotkamy? Tęskniłeś za mną? Myślisz o mnie? Nadal mnie kochasz? Wszystkie te pytania przelatowały przez głowę Sophii, ale nie otwierała ust. Nie ufała sobie na tyle, by się odezwać.

– Kim jest ta lalunia? – zapytał facet stojący obok Nathana. – Nie przedstawiś nas sobie?

– To jest Sophia – powiedział Nathan. – Chodziliśmy ze sobą, gdy byliśmy młodszy. To było wiele księżyców temu. Sophio, to mój kolega Jez. Pracujemy razem.

Sophia zdołała powitać Jeza niedbałym ruchem dłoni, ale w głowie jej huczało. Chodziliśmy ze sobą? Przecież zamierzali się pobrać!

– Miło mi poznać taką piękność – umizgiwał się Jez, który nie grzeszył urodą i był ewidentnie oślizgły. Patrzył pożądliwie na jej dekolt.

– Jest bardzo piękna, prawda? – ciągnął Nathan i przyglądał się Sophii uważnie z przekrzywioną na bok głową. – Piękna, ale niebezpieczna.

– Nie jestem niebezpieczna! – zaproponowała Sophia. Usiłowała się domyślić, co też Nathan miał na myśli. – Nigdy cię nie skrzywdziłam.

Nathan lekko ściągnął brwi.

– Nie powiedziałem, że mnie skrzywdziłaś, Soph – odparł. – Nie mówiłem o sobie. Chciałem tylko poinformować Jeza, że potrafisz być dzika. Na wypadek gdyby zamierzał uderzać w konkury.

Nathan się zaśmiał i dał kuksańca koledze. Jez też się zaśmiał w odpowiedzi. Sophia miała zaciśnięty żołądek. Nie rozumiała, co się tu działo. Czy Nathan próbował ją swatać ze swoim szemranym kolegą? Tak bardzo mu na niej nie zależało, że wydawało mu się, iż może nią handlować jak mięsem? Żartował? Co on o niej teraz myślał? Dlaczego nazwał ją niebezpieczną? Co tu się działo? W jej głowie wirowały tysiące pytań bez odpowiedzi. Przez lata pragnęła usiąść z Nathanem i zapytać go, dlaczego ją rzucił tak nieoczekiwanie, ale teraz, kiedy stała naprzeciwko niego, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Zatańczymy? – Nathan odezwał się nagle. – Za dawne czasy. Zawsze dobrze tańczyłaś. Ostrzegam cię jednak, że mogłem trochę zardzewieć. Chyba nie stawałem na parkiecie od owych

szalonych lat z tobą.

Sophia przytaknęła. Chciał z nią zatańczyć. To chyba dobry znak? Nathan położył jej ręce na biodrach i pchnął ją w stronę parkietu. Dotyk jego dłoni obudził w niej tęsknotę tak silną, że musiała na chwilę przymknąć oczy, żeby świat przestał wirować. Jedyna rzecz, której była pewna, gdy sięgała pamięcią do związku z Nathanem, to fakt, że byli świetni w łóżku. Nigdy nie martwiła się tym, czy jest dla niego atrakcyjna. A gdy przesuwając dłońmi po jej biodrach, miała pewność, że nadal mu się podoba. Co znaczyły zatem owe „szalone lata”? Dwa lata z Nathanem były dla niej okresem największego ustawkowania i stabilności. To były rozsądne lata! Wiedli dość banalne życie. Wychodzili tylko raz, dwa razy w tygodniu.

Kiedy Nathan przepychał się z nią przez pulsujący tłum, w głowie Sophii nadal panował zamęt. W jej myślach krążyło tyle pytań! Leczek jak miała je zadać tutaj? Teraz? Przy akompaniamencie ryczącej muzyki i gdy kręciło się jej w głowie z powodu wypitego alkoholu? Przez lata marzyła o chwili, w której znowu go zobaczy i będzie miała szansę poznać odpowiedzi. Przygotowywała się do tego momentu wiele razy, a mimo to teraz, gdy już nastąpił, kiedy oddychali tym samym powietrzem i przebywali w jednym pomieszczeniu, brakowało jej słów. Ile miała czasu? Godzinę? Może dwie? W głośnym klubie pachnącym potem? Nie tak zaplanowała ich ponowne spotkanie. Jak miała tu mówić o swoim głębokim bólu? Jak miała opisać lata tęsknoty? Znaleźć właściwe słowa, dzięki którym on znowu ją pokocha?

Jego dłonie wędrowały po jej talii, ustawił ją tak, żeby na niego patrzyła, a jego biodra kołysały się w zgodzie z jej biodrami w rytm muzyki. Uśmiechał się do niej, a jego brązowe oczy połyskiwały figlarnie i z pożądaniem. Umysł Sophii uspokoił się, gdy muzyka zrobiła się bardziej gorączkowa. Może nie potrzebowali słów? Może zwierzęcy magnetyzm, który zawsze między nimi iskrzył, wystarczy, by odpowiedzieć na wszystkie pytania. Dłonie Nathana zsunęły się do podstawy jej kręgosłupa, przyciągnął jej rozedrgane ciało do siebie, aż napierała piersiami

na jego tors. Czują jego oddech w uchu i to było wszystko, co mogła zrobić, by nie zemdleć z powodu odurzającej mieszanki przyjemności, oczekiwania i strachu. Zaczął całować jej szyję. Nie delikatnie, tylko żarłocznie, zachłannie. I zaczęli się całować na parkiecie, nie bacząc na otaczający ich tłum. Sophia zapomniała się w ramionach Nathana.

– Boże, tak za tobą tęskniłem, seksowna Sophio – szepnął jej do ucha. – Złapmy taksówkę.

Posłusznie skinęła głową, gdy chwycił ją za rękę i zaczął prowadzić w stronę wyjścia.

– Muszę wrócić po kurtkę – przypomniała sobie nagle, kiedy dotarli do drzwi. – Zaczekaj tu. Zaraz wrócę.

Przytaknęła, ale ona denerwowała się, że musi go stracić z oczu choćby na sekundę. Co będzie, jeśli zniknie? Jeśli to wszystko nie działa się naprawdę? Gorączkowo szukała w klubie Hugona i wreszcie go znalazła, gdy gawędził z uroczym Azją w różowym garniturze.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam, chłopcy – rzuciła pośpiesznie. – Hugo, potrzebna mi moja kurtka.

Hugo z dezaprobatą ściągnął usta.

– A dokąd to tak się spieszysz? – spytał.

– Wychodzę z Nathanem – odparła z uśmiechem. – Mówiłam ci, że to nie koniec! Nie oszalałam. Nie może ręk ode mnie oderwać.

– Wszyscy wiemy, że seks i miłość to jedno i to samo, prawda, Soph? – wypalił, kręcąc głową.

– Poproszę kurtkę – powtórzyła Sophia niecierpliwie. – Szybko. Hugo, proszę!

– Czekalaś na niego przez trzy i pół roku, a teraz się martwisz, że może nie zaczekać na ciebie przez pięć minut, żebyś mogła znaleźć kurtkę? – dociekał jej przyjaciel.

– Hugo! – warknęła na niego ze złością. – Daj mi tę cholerną kurtkę, dobrze?

– Okej – powiedział w końcu, wstał i sięgnął za oparcie swojego krzesła. Po chwili wyłonił się z kurtką. – Tylko mi nie

mów, że cię nie ostrzegałem.

Sophia pochyliła się i pocałowała najlepszego przyjaciela w policzek.

– Wszystko będzie dobrze, Hugo – zapewniła go. – Nathan to dobry facet. Kiedyś mnie uszczęśliwił, pamiętasz? Jesteśmy starsi. Wrócił z Singapuru. Zaspokoił już swoje zamięłowanie do podróży.

Hugo nie odwzajemnił jej uśmiechu, gdy pocałował ją czule w czubek głowy.

– Uważaj na siebie. Do zobaczenia jutro.

Sophia przeciskała się przez zatłoczony klub. Potrafiła myśleć wyłącznie o Nathanie czekającym na nią przy drzwiach. Rozglądała się gorączkowo przy wyjściu, ale go nie widziała. Zajrzała do szatni. Czowała, jak do oczu napływają jej łzy frustracji i paniki. Rozmyślił się i wyszedł? To by było na tyle? To miało być ich krótkie spotkanie? A jeśli nie zobaczy go znowu przez cztery lata? Chodziła nerwowo po foyer, ale Nathan nie przychodził. Wreszcie zrozpaczona wybiegła po schodach na ulicę. Nathan stał oparty o ścianę i palił papierosa. Panika Sophii ucichła. No tak, czekał na nią na zewnątrz. Nie stało się nic wielkiego.

– Nadal palisz? – zagaiła i natychmiast dała sobie w myślach kopniaka za zadawanie tak oczywistych pytań.

Zaśmiał się.

– A ty nadal pijesz i bawisz się w klubach do czwartej nad ranem? Nigdy się nie zmienisz, Soph. Taka już jesteś.

Poczuła, jak policzki jej płoną ze wstydu. Jak Nathan mógł o niej tak myśleć? Kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, że to tylko fasada. To nie była prawdziwa ona. Już raz uciekła od tego.

– To nieprawda – zaoponowała, starając się ukryć, że ją dotknął. – Jest we mnie coś więcej.

– Oj, Soph, nie bądź taka drażliwa – zaśmiał się i dał jej kuksańca w ramię. – Nie krytykuję cię. W życiu zdarzają się gorsze rzeczy niż zamięłowanie do imprez. Chodź tutaj.

Zdeptał papierosa na chodniku, przyciągnął ją do siebie za poły jej kurtki i pocałował mocno w usta.

– No dobra – powiedział w końcu, próbując wyrównać oddech. – Złapmy taksówkę. Zdaje mi się, że mamy jakąś niedokończoną sprawę, młoda damo.

## *Rozdział ósmy*

Hackney, Londyn, 2012

Pojechali do mieszkania Sophii. Miała nadzieję, że może Nathan zaproponuje, żeby pojechali do niego, gdzie nie byłoby trzeba liczyć się ze współlokatorami i patrzeć rano na dąsającego się Hugona, ale gdy zatrzymał taksówkę, zapytał tylko:

– Gdzie teraz mieszkasz, Soph?

Tak więc klamka zapadła.

– Hackney? – spytał i się zaśmiał. – Co też ty robisz w Hackney? Myślałem, że jesteś na stałe połączona pępowiną z Portobello Road.

– Przecięłam ją – odparła Sophia. – Widzisz? Zmieniłam się! Wszystkie wyluzowane dzieciaki przeniosły się na wschód, więc też to zrobiłam.

– Myślałem, że jesteś prekursorką, a nie naśladowczynią – droczył się z nią. – No i masz już trzydzieści lat. Jak długo zamierzasz nazywać się dzieciakiem? – dociekał.

– Młodość to stan umysłu – przypomniała mu Sophia.

– Nie można zaprzeczyć, że nadal wyglądasz młodo – przyznał i wsunął rękę pod jej kurtkę. Delikatnie pogładził prawą dłonią jej piersi, znalazł twarde sutki pod cienkim materiałem sukienki i ścisnął je na tyle mocno, by Sophia się wzdrygnęła. Bezwiednie wydała z siebie pomruk rozkoszy. Nathan zawsze wiedział, jak traktować jej ciało. Zupełnie jakby czytał podręcznik do jej obsługi.

– Cholera jasna, ale jesteś seksowna – szepnął jej do ucha.

Całował jej kark, odgiął jej głowę do tyłu, lewą ręką bawiąc się jej gęstymi włosami, obsypywał pocałunkami jej szyję, obojczyk, dekolt. Prawą ręką uniósł jej pierś tak, że ciało wylało się spod sukienki i biustonosza, i poszukał językiem jej nagiego sutka. Lewą dłoń trzymał już na wewnętrznej stronie jej uda. Boże, jak go pragnęła. Jęknęła głośno. Taksówkarz pogłośnił radio. Kiedy dotknęła jego torsu, poczuła tęsknotę, która wzbierała w niej

przez lata. A potem jej dłonie sięgnęły ku wybrzuszeniu na jego dżinsach i gdy jęknął z rozkoszy, wiedziała, że tego wieczoru był jej.

Później spała głęboko, co nie udawało się jej od lat. Nathan obudził ją w pewnym momencie i znowu się kochali leniwie, w półśnie, a potem znowu zapadli w sen w swoich objęciach. Kiedy się wreszcie obudziła na dobre i poczuła, że Nathan nadal obejmuje jej nagie ciało, poczuła, że mogłaby umrzeć ze szczęścia. Wtuliła się w jego idealne miękkie ciało, pocałowała go w tors i przeczesała dłonią ciemne włosy. To było to: punkt zwrotny.

– Kocham cię – mruknęła marzycielskim tonem.

– Nie bądź głupia, Soph – burknął zaspanym głosem. – Nie kochasz mnie. To był tylko nostalgiczny wypad.

Ona go jednak kochała. Nigdy nie przestała, a teraz, gdy go odzyskała, nie zamierzała go wypuścić z objęć. Ścisnęła go mocniej. Nathan delikatnie ją odepchnął, usiadł i przeciągnął się jak leniwy kocur.

– Która jest godzina? – spytał, szukając zegarka na zagraconej szafce nocnej.

– Pewnie około jedenastej – odparła Sophia, która nie spała już od pewnego czasu i z radością wdychała zapach Nathana. – Jest jeszcze wcześniej.

– Już po jedenastej? – krzyknął Nathan i usiadł prosto. – Cholera! Muszę wracać do domu.

– Dlaczego? – zapytała zaskoczona Sophia.

Była niedziela. Do czego Nathan mógłby się tak spieszyć?

– Myślałam, że moglibyśmy pójść gdzieś na brunch – zaproponowała. – Mamy sporo do nadgonienia.

Nathan popatrzył na nią, jakby była najgłupszą osobą, jaką w życiu widział.

– Sophio – powiedział powoli. – Czy do reszty postradałaś to, co zostało z twojego mózgu?

Sophia nie miała pojęcia, dlaczego zwracał się do niej w ten sposób, ale mile ją łechcąc radość ustępowała powoli paskudnej panice. Wolą się nie odzywać, więc tylko pokręciła głową.



– Nie wiesz, że jestem żonaty? – zapytał. Przechylił głowę na bok i ściągnął brwi.

Miał dziwny wyraz twarzy. Sophia potrzebowała sporo czasu, by jego słowa do niej dotarły. Żonaty. Nathan był żonaty. Jej Nathan. Nathan, który ją porzucił, bo nie był gotów na zobowiązania. Nathan, który w ciągu minionych sześciu godzin kochał się z nią nie raz, tylko dwa razy, był żonaty. Jej ciało zaczęło się trząść niekontrolowanie. Sen znowu stawał się koszmarem. Tym razem najgorszym ze wszystkich.

– Mam na palcu obrączkę – powiedział i podniósł lewą rękę.  
– Nawet jej przed tobą nie ukrywałem.

– Nie zauważyłam jej – zdołała wyszeptać. – Myślałam...  
Nie zdołała powiedzieć, co myślała. Poczula w gardle wielką gulę, a z jej ust wydobył się zduszony, pełen cierpienia szloch.

– Cholera – rzucił Nathan, prawie życzliwie. – Cholera, cholera, cholera. Zakładałem, że wiesz. Mam żonę i syna. I kolejne dziecko w drodze. Przeprowadziliśmy się do Anglii przed paroma tygodniami. Właśnie kupiliśmy dom w Wimbledonie. Jest Amerykanką. Poznałem ją w Singapurze. Jesteśmy małżeństwem od ponad dwóch lat. Myślałem, że ktoś ci powiedział. Przecież nadal mamy wspólnych znajomych. Poza tym uznałem, że zauważyłaś obrączkę. Jak mogłaś jej nie dostrzec?

– Nie szukałam jej. Przyjęłam, że jesteś singlem – jęknęła Sophia. – Wciskałeś mi język do gardła dwie minuty po tym, jak na ciebie wpadłam, więc to nie było takie głupie założenie.

Przyciągnęła kolana do nagich piersi i usiłowała zrozumieć to, co właśnie usłyszała. Ożenił się ponad dwa lata temu? Ale...?

– Ożeniłeś się rok po naszym rozstaniu? – zapytała z konsternacją i niedowierzaniem. – Po tym jak powiedziałaś, że nie jesteś gotowy się ustatkować?

Nathan westchnął ciężko i potarł swoją przystojną twarz dłońmi.

– Nie byłem gotów ustatkować się z tobą – odpowiedział. – Nie! To nie do końca jest prawdą. To ty nie byłaś gotowa ustatkować się ze mną. Na tym polegał problem. Byłaś dla mnie

zbyt dzika. Chodzi o to, że mnie przerażałaś, Sophio. Nie potrafiłem wyobrazić sobie ciebie z dziećmi, kredytem hipotecznym, prasującej koszule lub pamiętającej o urodzinach członków rodziny. Nie jesteś typem dziewczyny, która nadawałaby się na czyjąkolwiek żonę lub matkę. Wyobrażasz sobie siebie na spotkaniach członków National Childbirth Trust? Albo w radzie rodziców? Chyba rozumiesz, o czym mówię?

Zaśmiał się nerwowo, ale Sophia nie dostrzegła niczego zabawnego w jego dowcipie. No bo jak mogłaby dostrzec? Przecież to ona była żartem. Poczula, jak jej serce zamarza i rozpada się na milion kawałeczków, podczas gdy Nathan mówił.

– Co jest ze mną nie tak? – zapytała roztrzęsiona.

– Nic nie jest z tobą nie tak, Soph – powiedział i pokręcił głową. – Jesteś piękna, napalona, zabawna i miło spędza się z tobą czas. Ale jesteś typem dziewczyny, którą faceci chcą przelecieć, a nie taką, z którą chcą się żenić. Spójrz na to miejsce...

Wskazał na chaos panujący w jej sypialni i ze wstrętem zmarszczył nos.

– Skończyłaś trzydzieści lat, a nadal żyjesz jak studentka. To jest istne pobożowisko. Nigdy nie dorośniesz, prawda? Kiedy widzę to miejsce, utwierdzam się w przekonaniu, że słusznie postąpiłem, odchodząc od ciebie. Nie byliśmy dla siebie stworzeni. Nie takich partnerów potrzebowaliśmy.

Jego słowa uderzały w nią jak taran. Przecież nie mieszkałaby w taki sposób, gdyby się pobrali. To była jego wina. To on ją cisnął w ten chaos.

– Dlaczego przyjechałeś tu ze mną tej nocy? – spytała przez łzy. – Skoro jestem taka beznadziejna.

Nathan wzruszył ramionami.

– Czy można mnie winić? – zdziwił się. – Przecież jesteś najbardziej seksowną kobietą, jaką znam. Nigdy nie mieliśmy problemów z seksem, przecież to wiesz. To się nigdy nie zmieni, to fizyczne przyciąganie. Nie mogłem się powstrzymać. No i nie mów mi, że się dobrze nie bawiłaś...

Pokręciła głową z niedowierzaniem. Przypaliła papierosa

trzęsącymi się dłońmi. Nie mógł się powstrzymać? Co za samolubny drań! A co z nią? Chryste! Co z jego biedną ciężarną żoną?! Sophia zastanawiała się, czy w Wimbledonie jakaś inna kobieta nie płacze przypadkiem w tej chwili z powodu Nathana. Co pomyślała, gdy nie wrócił na noc do domu? Nagle zrobiło się jej lodowato zimno. Drżała gwałtownie i usiłowała pozbyć się myśli o żonie Nathana. Ale nie mogła.

– Jaka ona jest? – zapytała wbrew sobie. – Twoja żona.

Westchnął.

– Helen? Miła. To dobra żona i wspaniała matka. Jest mądra. Studiowała na Harvardzie, a jej rodzina jest szanowana w Waszyngtonie, skąd pochodzi.

– Mogę się założyć, że nie pali – powiedziała Sophia i spróbowała uśmiechnąć się przez łzy, chociaż nie miała pojęcia, z czego się śmiała. Może z komicznego smutku całej tej sytuacji? Na pewno nie uśmiechała się do Nathana. Miała ochotę zgasić papierosa między jego oczami.

Nathan znowu pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Nie pali, prawie nie pije i nigdy w życiu nie zażywała narkotyków. Jest odpowiedzialna i można na niej polegać, ale nigdy mnie nie rozśmiesza tak jak ty. Czy to wyjaśnia, dlaczego chciałem wrócić tu poprzedniego wieczoru? Brakuje mi cię, Sophio. I kocham, kochałem cię bardzo. Tylko że nic by nie wyszło z naszego związku. Na pewno to dostrzegasz.

– Nie kochałeś mnie dość mocno – stwierdziła, wydmuchując kółka dymu i obserwując, jak się rozplywają, podobnie jak jej marzenia. – Nie kochałeś mnie na tyle, by dostrzec coś poza powłoką. Zmieniłam się dla ciebie. Nie udawałam tego. Czułam się dogłębnie szczęśliwa, gdy byliśmy razem. I byłam dla ciebie dobra, Nathanie. Nauczyłam się gotować, byłam miła dla twoich przyjaciół, zrobiłam dżem na urodziny twojego taty. Pamiętasz? Nawet prasowałam twoje pieprzone koszule...

– Jak długo by to trwało? – spytał. – Przypominałaś małą dziewczynkę bawiącą się w dom. To nie wyglądało realnie. A za każdym razem, gdy wychodziliśmy, kompletnie się zatracaliśmy.

Zawsze musiałem cię ratować przed lubieżnymi facetami, z którymi flirtowałaś, i wciskać cię do taksówki, gdy byłaś półprzytomna z powodu alkoholu. To było żenujące!

– Miałam dwadzieścia pięć lat! – przypomniała mu Sophia na swoją obronę. – Dorosłabym, gdybyś dał mi szansę.

Nathan kręcił głową, gdy schylił się po pogniecioną koszulę leżącą na podłodze i wkładał ją. Plama po drinku Sophii była wyraźnie widoczna. Na kołnierzyku widniały też ślady szminki. Sophia zastanawiała się, jak Nathan wytłumaczy żonie obecność tych plam.

– Nie ma sensu wracać do przeszłości, Soph – oznajmił. – Kiedyś się kochaliśmy. Ale byliśmy bardzo młodzi. Dorośliśmy, przynajmniej ja dorosłem. Nasze drogi się rozeszły. Nie udało się nam. To przykre, ale często się zdarza.

– Bzdura! – skwitowała Sophia. – Też byłeś szczęśliwy. Wiem to. Przez lata odchodziłam od zmysłów, zastanawiając się, dlaczego spakowałeś torby i uciekłeś. Co się stało, Nathanie?

Waciągał skarpetki. Sophia czuła, że czas ucieka. Za kilka minut Nathan wyjdzie i zabierze ze sobą wyjaśnienie.

– Nic się nie stało – powiedział, wiążąc sznurowadła.

Widziała jednak, że kłamał. Unikał jej wzroku.

– Nathanie – odezwała się głosem tak zimnym i spokojnym, że tuszował kłujący ból w sercu. – Powiedz mi, dlaczego odszedłeś, albo wytropię twoją żonę i powiem jej, co zrobiłeś tej nocy.

To nie było prawdą. Nigdy by nie powiedziała biednej żonie Nathana o tym, co się wydarzyło. Helen nie ponosiła winy za to, że jej mąż był draniem uganiającym się za spódniczkami! Poza tym jeszcze dziesięć minut temu nie wiedziała o istnieniu Helen. Odpowiedzialność za nią leżała po stronie Nathana i to jego problem. Dlaczego Sophia miałaby chcieć niszczyć świat tej biedaczki? Nie chciała, by ktokolwiek więcej czuł się tak zdruzgotany jak ona w tej chwili. Niemniej ta groźba stanowiła jedyną broń, jaką dysponowała. A musiała znać prawdę.

Nathan wstał, w pełni ubrany i uśmiechnął się do niej czule,

jakby była uroczym, acz głupiutkim dzieckiem.

– Nie zrobisz tego – stwierdził lekkim tonem. – Jesteś popieprzona, Sophio, ale też jesteś niesamowicie dobra. To wiem na pewno.

– Może już nie jestem taka dobra – ostrzegła go. – Minęły prawie cztery lata. Sporo mnie spotkało. Na przykład rzucił mnie narzeczony! Mogłam się zmienić.

– Jak już wcześniej mówiłem – odparł, spokojnie zakładając zegarek – nigdy się nie zmienisz. Nie jesteś suką. Nie powiesz Helen.

Sophia poczuła, że jej jedyna broń wymyka się jej z ręki. Zgarbiła się.

– Nathanie, proszę. Ty poszedłeś dalej, a ja nie mogłam, bo nadal nie rozumiem powodów. Dlaczego zerwałeś ze mną w ten sposób? Gdy mieliśmy wziąć ślub. Dlaczego tak nagle zmieniłeś zdanie?

Wiedziała, że jest żalosna, ale jaki miała wybór? Nathan westchnął głęboko i usiadł obok niej na łóżku. Ujął jej dłoń i delikatnie ją ścisnął. Jego czułość sprawiła, że Sophia rozplakała się jeszcze bardziej.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć? – upewnił się.

Przytaknęła, ale wołała się nie odzywać. Serce podchodziło jej do gardła.

– Ludzie wiecznie wygłaszali komentarze – tłumaczył. – Twoi przyjaciele, moi, nieznajomi. Zawsze opowiadali o tym, jakim byłaś szurniętym dzieciakiem i jakich szaleństw się dopuszczałaś. Robili to jednak z czułością i nie chcieli mnie zniechęcić. Były też artykuły w gazetach o facetach, z którymi byłaś, i o tym, co z nimi robiłaś. Nie było łatwo to przełknąć, ale udało mi się. Z trudem.

– Przestałam się tak zachowywać – zdołała wydusić z siebie słabym głosem.

Nathan skinął głową, ale mówił dalej.

– Rodzice uważali, że jesteś wspaniała, ale mieli obiekcje – wyznał. – Tata był po twojej stronie, uwielbiał cię, lecz mama się

denerwowała. To ona kazała mi wyobrazić sobie siebie na spotkaniu komitetu rodzicielskiego. Zaniepokoiłem się, ale nie z tego powodu odszedłem.

– Więc co było przyczyną? – spytała błagalnym tonem. – Powiedz mi, proszę, żebym mogła to zrozumieć.

Nathan przełknął ciężko i zerknął na nią nerwowo.

– Twój ojciec – wyrzucił z siebie w końcu.

– Mój ojciec? – zapytała, kompletnie zdumiona. – Co nasz związek miał wspólnego z moim ojcem? Wiem, że to trudny drań, ale zawsze cię uwielbiał. Rany, miał bzika na twoim punkcie! Był w ciebie wpatrzony jak w obrazek! To było zbyt wiele? Przerazało cię, że usiłował ci ojcować? Na pewno byś sobie z nim poradził. Przecież to ze mną się żeniłeś, nie z nim.

– Nie, nie, Sophio. Źle mnie zrozumiałaś. To nie osobowość twojego ojca stanowiła problem. Nawet lubiłem Phila. Był dla mnie dobry. I nawet ty lepiej się z nim wtedy dogadywałaś. Przynajmniej zachowywaliście się wobec siebie w cywilizowany sposób. Wszystko było okej. Aż do tamtego dnia. Pamiętasz, jak pojechaliśmy na lunch do twoich rodziców w weekend przed naszym rozstaniem? – spytał.

Sophia szperała w pamięci i wreszcie znalazła mgliste wspomnienie trochę napuszonego, ale powierzchownie miłego niedzielного lunchu w Surrey. Skinęła głową.

– Po lunchu przeglądaliście z mamą w salonie ślubne czasopisma, pamiętasz?

Pokręciła głową. Nie lubiła myśleć o tamtych czasach. Było to zbyt bolesne.

– Twój tata powiedział, że chce mi pokazać swój nowy samochód stojący w garażu, więc wyszedłem z nim. Ochałem i achalem nad tym nowym mercedesem i odgrywałem bez zarzutu rolę idealnego zięcia – uśmiechnął się czule. – Zależało mi na tobie, Sophio. Staralem się.

– I co się stało? – spytała zdenerwowana.

Do czego on, do diaska, zmierzał? Co takiego jej ojciec mógł zrobić, że zrujnował ich związek?

– Boże. Naprawdę chcesz to wiedzieć? – upewnił się Nathan.  
– Tak! – warknęła. – Wyduś to z siebie.  
– Twój tata chciał ze mną porozmawiać – rzucił w końcu. –  
Powiedział, że mnie podziwiał i że według niego doskonale rokuję.  
Sophia przytaknęła. To wiedziała. To dlatego jej rodzina tak bezapelacyjnie zaakceptowała Nathana.  
– Powiedział też, że jeśli się z tobą ożenię, zaprzepaszczę to wszystko – rzucił Nathan.

Sophia poczuła, jak jej szczęka opada ze zdumienia. Nathan miał przynajmniej dość serca, by wzdrygnąć się na widok jej bólu.

– Poinformował mnie, że miałaś problemy behawioralne od zawsze. Nazwał cię naprawdę trudnym dzieckiem, które miało napady złości i robiło sceny. Podobno nie sposób było cię zdyscyplinować i byłaś egoistką. Uwielbiasz być w centrum uwagi i nie udzielałabyś mi należytego wsparcia, bo jesteś zbyt zajęta sobą. – Nathan ścisnął mocniej jej dłoń. – Powiedział, że uczyniłaś ich życie piekłem i gdybym się z tobą ożenił, mnie też byś zniszczyła. Twierdził, że zawsze będziesz wykolejona. Kazał mi uciekać, póki mam jeszcze szansę. Poradził mi, żebym znalazł sobie jakąś miłą, szanowaną dziewczynę.

– Ale... – odezwała się Sophia. Usiłowała zrozumieć słowa Nathana. Czowała się, jakby ktoś ją uderzył w brzuch. – Dlaczego tata miałby mówić o mnie takie rzeczy? To nieprawda. Nic z tego nie jest prawdą. Dlaczego miałby mi zrobić coś takiego? Wiem, że nie jesteśmy zżyci, ale uważał cię za naprawdę dobrą partię. I dlaczego kazał ci uciekać, skoro tak bardzo lubił twoje towarzystwo? Wydawało mi się, że w końcu coś zrobiłam dobrze. Dałam mu zięcia, którego uwielbiał.

– Wiem. – Nathan zgodził się z nią ponuro. – Powiedział mi w zasadzie to samo. Widział we mnie syna, którego nigdy nie miał. I dlatego, że tak bardzo mu na mnie zależało, musiał mi wyjawić prawdę na twój temat. Oznajmił, że będzie potwornie za mną tęsknił, ale robił to dla mojego dobra. Oświadczył, że ty jesteś już spisana na straty, więc powinienem przynajmniej ratować siebie. Powiedział też, że kobiety z rodu Beaumont swego czasu

zniszczyły dość wielu mężczyzn i nie chciał, abym ja został kolejną ofiarą.

– Nie wierzę ci! – krzyknęła Sophia. Wyrwała rękę z jego dłoni i cofała się po łóżku tak długo, aż oparła się plecami o zimną ścianę. – Nie zrobiłby mi czegoś takiego! Jest moim tatą. Kocha mnie. A to o kobietach z rodu Beaumont to jakieś bzdury. Nie powiedziałby czegoś takiego. W jaki sposób moja mama go zniszczyła? To jego trzeba się bać! Co takiego babcia zrobiła, żeby zniszczyć dziadka? Kochali się przez ponad pięćdziesiąt lat!

Nathan ciężko westchnął.

– Wiem, że trudno to przyjąć, Soph – powiedział łagodnie. – I też nie wiem, co miał na myśli. Lecz to prawda. Przysięgam. Dokładnie to mi powiedział. Słowa twojego ojca obudziły we mnie trwogę. Skoro twój własny ojciec uważał, że nie będziesz dobrą żoną, jak ja mogłem w ciebie wierzyć?

– Jeśli to prawda, powinieneś przy mnie wytrwać! – krzyknęła Sophia. – Znałeś mnie lepiej niż on. Powinieneś mi ufać. Powinieneś ufać własnemu sercu!

– I tu jest pies pogrzebany, kochanie – odparł Nathan, wstając. – Najwyraźniej miałem wątpliwości. W przeciwnym razie walczyłbym o ciebie.

– Nie jestem warta tego, żeby o mnie walczyć? – spytała Sophia, patrząc na niego zapłakanymi oczami. – Jestem tak bezwartościowa, że nawet własny ojciec ostrzega przyszłego męża, który odchodzi ode mnie w chwili, gdy sytuacja robi się trudna?

Nathan pochylił się do przodu i położył jej dłoń na głowie jak ksiądz błogosławiący krnąbrnego członka kongregacji. Potem czule zmierwił jej włosy, przez co poczuła się jeszcze gorzej.

– W tygodniu przed tamtym weekendem dostałem propozycję pracy w banku w Singapurze. To była bardzo atrakcyjna posada w korporacji – kontynuował wyjaśnienia. – Proponowali mi dwa razy więcej, niż zarabiałem w Londynie. Zamierzałem z tobą o tym porozmawiać i zapytać cię, czy nie moglibyśmy się tam razem przenieść. Lecz po tym, co powiedział twój tata, przestraszyłem się. I miałem dobrą wymówkę.



Spanikowałem i uciekłem. Wydawało mi się, że dobrze zrobię.

– Do... dobrze dla ciebie – wyjąkała Sophia i gwałtownie strąciła jego rękę z głowy. – A co ze mną? Zostawiłeś mnie tam, samą i zdruzgotaną. A teraz po latach masz czelność pojawić się znowu, pieprzyć mnie do nieprzytomności przez całą noc, a rano poinformować, że jesteś żonaty. A potem... potem zrzucasz taką bombę.

– Posłuchaj. Przepraszam cię. Wiem, że to, co ci powiedziałem, na pewno cię zabolalo, i rozumiem już, że ta noc była błędem. Powinienem wyraźnie dać ci do zrozumienia, że jestem żonaty. Nie powinienem rozgrzebywać starych ran.

Zatrzymał się w połowie drogi do drzwi i spojrzał na nią tymi swoimi smętnymi brązowymi oczami.

– Znowu na siebie wpadniemy, Sophio – obiecał jej. – Londyn wcale nie jest taki duży. To nie jest pożegnanie.

– Słucham?

Sophia zerwała się z wściekłością z łóżka.

– Sugerujesz, że będziemy uprawiali przygodny seks, gdy następnym razem wpadniemy na siebie w jakimś klubie w środku nocy? – spytała, zbliżając się do niego z obłądem w oczach.

– W naszym przypadku to nigdy nie będzie seks pozbawiony uczuć, prawda? – powiedział i pogładził ją po ramieniu, żeby ją uspokoić.

Sophia zrobiła bardzo głęboki wdech i starała się zachować spokój. Powoli zsunęła jego rękę ze swojego ramienia i cofnęła się o pół kroku. Z trudem się powstrzymała przed spoliczkowaniem go. Lecz nie zamierzała tracić panowania nad sobą. Zamierzała mu udowodnić, że potrafi się zachowywać jak dorosły człowiek.

– Powiem to bardzo wyraźnie, Nathanie. Nigdy nie będę twoją kochanką. Miałam zostać twoją żoną! – krzyknęła. – Mam nadzieję, że ty i twoja żona będziecie bardzo szczęśliwi. Do widzenia, Nathanie.

Popchnęła go lekko, aż się potknął o próg, i zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem. A potem rzuciła się na łóżko i naciągnęła kołdrę na głowę. I nie wyszła z łóżka przez ponad tydzień.



## *Rozdział dziewiąty*

Lower East Side, Nowy Jork, 2012

Dominic zamówił pizzę ze swojej ulubionej włoskiej restauracji znajdującej się kilka przecznic od jego domu i postanowił w czasie oczekiwania na nią wyskoczyć po kilka piw do sklepu po drugiej stronie ulicy. Guido skończył pracę i jego miejsce w recepcji zajął nowy portier, którego Dom nie znał. Mężczyzna był dużo młodszy od Guida, może nawet był studentem pracującym w nocy, żeby opłacić chesne. Dom zanotował w pamięci, że musi poznać jego sytuację. Jeśli chłopak studiuje, Dom będzie mu regularnie dawał solidne napiwki. Sam pracował po nocach od czasu do czasu. W drodze powrotnej przedstawił się i zapytał nowego portiera o pocztę.

– Nie było pana jakiś czas? – zapytał chłopak. Był uprzejmy i przyjacielski. – Sporo tej korespondencji do pana. Głównie reklamówki, ale jest też kilka kopert wyglądających oficjalnie. Ta wygląda na ważną. Trzeba było pokwitować odbiór.

Portier zerknął na list.

Dom był zazwyczaj przyjacielskim, otwartym człowiekiem. Rozmawiał ze wszystkimi na każdy temat, wszędzie na świecie. I może jutro też się zatrzyma, by pogawędzić z nowym portierem. Tego wieczoru jednak chciał jak najszybciej wrócić do mieszkania, zamknąć za sobą drzwi, napić się piwa i czekać na pizzę. W samotności.

– Pracowałem przez kilka tygodni za granicą – poinformował portiera. – Pójdę na górę i zmierzę się z tym. – Wskazał na listy. – Dzięki.

Dopiero znacznie później zaczął bez większego zaangażowania przeglądać górę korespondencji. Większość stanowiły reklamówki, które od razu trafiły na stos makulatury. Były też wyciągi bankowe, rachunki za telefon komórkowy, wyciągi z karty kredytowej, korespondencja związana z pracą i talony rabatowe ze sklepów. Dom nie wiedział, dlaczego ktoś

zadawał sobie trud przysyłania mu ich. Calgary robiła zakupy w Whole Foods, a Dom jadał w restauracjach lub kupował jedzenie na wynos. Owszem, potrafił gotować. Jego matka zadbała o to, żeby jej dwaj synowie radzili sobie w kuchni równie skutecznie jak córki. Lecz pomimo jej prób nauczania go, jak przyrządzać wyborne włoskie potrawy, jej młodszy syn zawsze wolał wygodę, a nie wysiłek.

Wreszcie dotarł do oficjalnie wyglądającego listu, na który nocny portier zwrócił uwagę. Dzierżył go w dłoni niepewnie, jakby w środku znajdowała się bomba. Miał żołądek zaciśnięty tak samo jak w czasach studenckich, gdy zamierzał otworzyć kopertę z wynikiem egzaminu. Dominic wiedział, od kogo jest ten list. Na kopercie widniał wyraźny stempel z nazwiskiem adwokata rodziny Calgary. Wiedział też, co się znajdowało w środku: dokumenty rozwodowe. Jego żona najwyraźniej nie zmieniła zdania od chwili jego wyjazdu. Wręcz przeciwnie. Fakt, że zabrała prawie wszystkie meble pod jego nieobecność, sugerował, że pioruńsko szybko znalazła sobie nowe gniazdko. Dom często w ciągu trzech miesięcy wklepywał w Google „szybki rozwód NYC”. Calgary miała rację – bez dzieci, wspólnej nieruchomości, oszczędności, rachunków bankowych, rozwód można było przeprowadzić w ciągu kilku tygodni. Calgary, jak na nią przystało, nawet nie zmieniła nazwiska. Zupełnie jakby ich małżeństwo nigdy nie doszło do skutku.

Dom pomyślał, że jej rodzice na pewno są zachwyceni. Niewątpliwie pan Woods zadbał o to, żeby dokumenty podpisano tak szybko, jak to możliwe. Wystarczyło teraz, żeby Dominic podpisał te papiery i wszelki ślad po ich małżeństwie zniknie jak irytująca plama z jedwabnej bluzki.

Cisnął nieotwartym listem przez cały pokój. Dość długo był marionetką Calgary Woods. Nie zamierzał tańczyć pod jej dyktando tylko dlatego, że tego chciała. Chryste, jak mógł być tak ślepy? I cholernie głupi. Kto się zakochuje w kobiecie tak zimnej i wyzutej z uczuć, i przekonuje sam siebie, że ona taka jest, bo w dzieciństwie ją gnębiono? Wydawało mu się, że uda mu się

uratować ją przed sobą samą i jeśli okaże jej wystarczająco dużo miłości i dobroci, w końcu stopnieje. Napisał głupią historię miłosną, opierając się na okrucach czułości, którą mu okazywała. Co za idiota! A najgorsze było to, że siedząc na swoim ulubionym skórzanym fotelu w pustym mieszkaniu, nadal tęsknił za nią jak wściekły.

Dom chyba zasnął, płacząc. Obudził się przestraszony, gdy telefon zawibrował mu w kieszeni. Podskoczył, rozejrzał się w ciemności, bo nie wiedział, gdzie jest i dlaczego jest tak zimno. Potrzebował chwili, by dotarło do niego, że jest w Nowym Jorku, sam w pustym mieszkaniu z powylączanymi światłami i że zostawił otwarte drzwi wiodące na taras na dachu, przez które dostawał się do salonu lodowaty wiatr wiejący od rzeki Hudson. Wstrząsnął nim dreszcz. Rozciągnął zeszywniałe nogi, wstał, zapalił światło i zamknął drzwi. Wiedział, że powinien zerknąć na telefon. Jeszcze nie poinformował mamy o swoim powrocie, nie dał też znać nawet swojemu producentowi z telewizji. Jediną osobą, której coś powiedział, był Dave, i też zrobił to tylko po to, żeby zorganizować odebranie Blondie. Nie był pewien, czy czuje się gotowy na dopuszczenie do siebie realnego świata. Z lękiem spojrzął na telefon. To, co zobaczył, wywołało uśmiech na jego twarzy. Blondie miała na plecach plecak Dave'a i czapkę Jankesów na głowie.

Wszystko spakowane. Gotowa wracać do domu.

Dominic przeczytał wiadomość i zaśmiał się w głos. Ale z tego Dave'a wielki dzieciak! Koleś miał trzydzieści cztery lata, a nadal przebierał psa dla żartu. No, dla żartu i żeby rozweselić swojego najlepszego kumpla. Dom miał dobrych przyjaciół, kochającą rodzinę i najlepszego psa na świecie. Okej, nie miał już żony, ale poradzi sobie. Radził sobie sam z Blondie przed pojawieniem się Calgary, więc znowu będzie sobie radził.

Czy zmarnował pięć długich lat? Pięć lat cierpienia i braku poczucia bezpieczeństwa, lat, po których nie został nawet ślad. Dominica wychowano tak, by wierzył, że ślub bierze się na całe życie, lecz dla Calgary małżeństwo było tylko fanaberią

przemijającą jak spódnice bombki i adidas na obcasach. Pasowało jej przez jakiś czas, ale już się jej znudziło, więc zainteresowała się czymś innym. Cokolwiek to było. Dom zwrócił uwagę na to, że się zastanawiał przez chwilę nad tym, czy Calgary ma nowego faceta, ale myśl o niej nagiej w ramionach innego mężczyzny była nadal zbyt bolesna.

Dom wyciągnął śpiwór z plecaka. Nadal pachniał lasem deszczowym i był wilgotny, ale z powodu braku kołdry i pościeli Dom nie miał wyboru i musiał się do niego wczołgać na kolejną noc. Rolety nie zostały do końca opuszczone i blask ulicznych świateł Nowego Jorku oświetlał pustą sypialnię. Dominic wpatrywał się w miejsce na materacu obok siebie. Nadal wyobrażał sobie Calgary z prawie białymi włosami otaczającymi jej anielską twarz jak aureola.

A potem przypomniało mu się, jak się wzdrygała, kiedy dotykał jej pod kołdrą, i jak zawsze się od niego odwracała. Nadal czuł milczącą determinację w ustawieniu jej barków i żelazne postanowienie w sztywności pleców. Otarł ostatnią łzę i wyobrażenie Calgary zniknęło. I wtedy do niego dotarło, że był bardziej samotny w tym łóżku, kiedy wpatrywał się w plecy żony, niż teraz, kiedy leżał w nim sam. Ta myśl była dla niego objawieniem. Uspokoiła jego zatroskany umysł i chwilę później spał spokojnie pod nowojorskim niebem, razem z ośmioma milionami innych ludzi.

Rano bez emocji podpisał dokumenty rozwodowe.

## *Rozdział dziesiąty*

Hackney, Londyn, 2012

Sophia obudziła się gwałtownie i zmrużyła oczy, broniąc się przed ostrym światłem. Na tle wykuszowego okna malowała się tyczkowata sylwetka Hugona.

– No, Śpiąca Królewno – rzucił. – Pora wstawać.

Gdy leżała w łóżku, październik przeszedł w listopad, drzewa w Victoria Park straciły liście, a w Londynie zrobiło się znacznie zimniej.

– Trzymaj. Kupiłem ci latte w delikatesach. Wzmocnioną – poinformował i wcisnął jej kartonowy kubek w rękę. – I jedną z tych portugalskich tart z kremem, które tak uwielbiasz.

Sophia usiadła prosto i przetarła oczy. Nagle dotarło do niej, że umiera z głodu.

– Dzięki – powiedziała nieprzekonująco i przyjęła ciastko.

– Nathan nie jest tego wart – stwierdził Hugo. – Nigdy nie był. Wiem, że cierpisz. Wiem, że czujesz się przez niego zdruzgotana, ale zmarnowałeś już dość czasu, płacząc za nim. Pora wrócić do życia. À propos, to przyszło dzisiaj rano.

Położył na szafce nocnej kolejny list od jej babki. Sophia zauważyła, że tym razem go nie otworzył.

– Zostawię cię z nim – powiedział i zerknął znacząco na kopertę. – Wpadnę do ciebie za jakiś czas. I nie idź znowu spać!

– Nie pójdę – obiecała Sophia. I mówiła serio.

Z każdym łykiem kawy i kęsem tarty czuła się odrobinę mocniejsza. Wyjrzała przez okno i patrzyła na stado gołębi krążących nad parkiem w doskonałej formacji. Dlaczego uwięziła się tutaj? Wiedziała, że Hugo miał rację. Nathan nie był tego wart. Ani jej ojciec. Już czas przestać popełniać błędy. I pozwalać na to, żeby inni ludzie sprawiali, by czuła się mała. Czasami trzeba dotknąć twardego dna, żeby móc się od niego odbić.

Otworzyła list i przeczytała krótką notkę dołączoną do najnowszej porcji wspomnień.

Poczuła, że poruszono w niej czułą strunę. Czy mogła zaufać babce? Czy babcia nie była zawsze lojalna przede wszystkim wobec swojej córki Alice? Wreszcie Sophia potrafiła przyznać przed sobą samą, że chce się zobaczyć z babcią, ale za nic nie chciała znosić bólu związanego z równoczesnym spotkaniem się z matką. Mama miała dwa lata na to, żeby się z nią skontaktować, sprzeciwić się mężowi, a nie zrobiła tego.

Gdy Sophia spała, coś się zmieniło. Miała wrażenie, że zniknął wielki mroczny ciężar. A na jego miejscu pojawiła się delikatna płochą nadzieją. Wypiła latte do końca i zaczęła czytać najnowszą część pamiętnika babci.

Beaumont House, Wiltshire, lata wojny

Po drugiej wojnie światowej rezydencja rodziny Beaumont już nigdy nie była taka sama. Na naszą część Wiltshire nie spadły żadne bomby, choć widzieliśmy niemieckie samoloty przelatujące nisko nad ziemią w drodze na Bristol i Bath. Byliśmy pod wieloma względami szczęściarzami, ale nasze życie i otaczający nas krajobraz zmieniły się mimo to na zawsze.

Papa zgłosił się na ochotnika do wojska krótko po wybuchu wojny w 1939. Mama błagała go, żeby tego nie robił, mówiła mu, że oszalał, tak bardzo ryzykując, podczas gdy kuzyn Aubrey był uprzejmy załatwić mu posadę biurową w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Papa jednak obstawał przy swoim i twierdził, że skoro chłopcy z wioski chcą służyć na linii frontu, to i on musi do nich dołączyć. Poza tym kuzyn Aubrey był zagorzałym zwolennikiem Hitlera jeszcze na dwanaście miesięcy przed wybuchem wojny, więc jak Papa mógł poważnie traktować propozycję ze strony takiego człowieka?

Podjął decyzję. Wstąpił do RAF-u i został pułkownikiem lotnictwa. Wydawał mi się przeraźliwie przystojny w granatowym mundurze i czapce z daszkiem. Byłam nadzwyczaj dumna z mojego dzielnego ojca i machałam mu na pożegnanie, gdy wyjeżdżał na szkolenie dla oficerów. Wrócił na krótko do domu na Boże Narodzenie w 1939, ale jeszcze przed moimi dziesiątymi



urodzinami, u progu 1940 roku, mój ukochany Papa zniknął z mojego życia po raz kolejny. W ciągu kolejnych pięciu lat widziałam go tylko dwukrotnie.

Rok 1940 był potworny. Większa część pracujących dla nas mężczyzn wyjechała walczyć. Wielu nigdy nie wróciło. Tony, syn ogrodnika i mój przyjaciel z dzieciństwa, zginął jako pierwszy. Kilka dni później zginął pokojowy Papy, Simon. Obaj nie przeżyli nawet dwudziestu pięciu lat. Pamiętam, jak zaglądałam do kuchni zza rogu i widziałam tuzin pracowników zebranych przy stole nad telegramem leżącym na dębowym stole i rzewnie płaczących. Wtedy to dotarła do mnie rzeczywistość. Płakałam nad Tony'm i pokojowym, bo obaj byli dla mnie mili, ale najbardziej martwiłam się o Papę.

Oprócz mężczyzn, którzy zaciągnęli się do wojska lub zostali do niego wezwani, także część naszych młodszych pracownic postanowiła dołączyć do kobiet odbywających służbę wojskową w WRNS<sup>2</sup> lub zatrudnić się przy pracach rolnych. Mama oznajmiła, że oszalały, skoro chcą zakasać rękawy i brudzić sobie ręce, ale ja bardzo je podziwiałam za to, że skorzystały z okazji, by wspierać wysiłek wojenny i robić coś ciekawszego od bycia pokojówką lub kucharką. Ku irytacji Mamy wyglądało na to, że w Wiltshire nie został nikt, kogo można by zatrudnić na ich miejsce. Na początku 1939 roku zatrudnialiśmy dwanaście osób. Pod koniec 1940 było ich tylko cztery.

Nasza gospodyni, pani Ashton, i kamerdyner, pan Wise, bardzo się starali, żeby nasz wielki stary dom się nie rozpadał, ale podobnie jak wielu naszych chłopców na linii forntu, walczyli na próżno. Wypielęgnowane trawniki i ogrody różane zamieniały się w dżunglę, na spocznikach schodów stawiano wiadra, żeby wpadała do nich woda z przeciekających dachów, wypolerowane drewniane podłogi były zakurzone i matowe, a okna trzęsły się w czasie wiatru. Przestaliśmy korzystać z całego zachodniego skrzydła. Większą część domu po prostu zamknięto, żeby zajęła go wilgoć i pajęczyny. Zaczęłam się bać własnego domu.

Najgorsze było to, że moja ukochana Niania została nagle

poproszona o opuszczenie domu. Nie mogłam się nawet z nią pożegnać. Wróciłam do domu na weekend i dowiedziałam się, że jej nie ma. Błagałam mamę, żeby mi powiedziała, dlaczego musiała odejść, ale mama trzymała język za zębami i tylko mi powiedziała, że Niania Miller była „okropną kobietą wyzutą z moralności”, po czym pobiegła w stronę stajni, mruczając pod nosem coś, co brzmiało jak „zdzira”, potem „ladacznicą” i „bezwstydnica”. Zapytałam panią Ashton, która zazwyczaj była dla mnie przeurocza, gdzie jest Niania, ale ona odparła stanowczo, że nie może mi powiedzieć. Mama stwierdziła, że i tak jestem za duża, żeby mieć nianię i od tej pory będę musiała sama znajdować sobie rozrywkę. Poleciała mi zapomnieć o tym, że Niania Miller kiedykolwiek istniała, ale nie potrafiłam tego zrobić. Tęskniłam za nią tak bardzo, że przez wiele tygodni płakałam przed snem i poprzysięgłam sobie, że pewnego dnia ją odnajdę. Zaczęłam nienawidzić weekendowych powrotów do coraz zimniejszego i coraz bardziej zrujnowanego domu. Wolałam być w szkole niż w domu rodziny Beaumont bez Niani lub Papy, którzy by się mną opiekowali.

Jesienią 1940 roku moja szkoła w Gloucestershire została zajęta przez rząd na potrzeby Ministerstwa Lotnictwa i wszystkie dziewczęta trzeba było przenieść. Te, których rodzice mieszkali w pobliżu, musiały wracać po zajęciach do domów. Tym sposobem, gdy dom rodziny Beaumont zaczął popadać w ruinę, wróciłam do niego na stałe. To było kilka bardzo samotnych miesięcy. Dom, który niegdyś tętnił życiem, wypełniała śmiertelna cisza, jakby był bliski śmierci. Zaczęło mi nawet brakować szalonych przyjęć Mamy.

Mama również nie radziła sobie najlepiej na początku wojny. Jak możesz sobie wyobrazić, miała problem z oszczędnym życiem, a hasła owego czasu – „Zachowaj spokój i działaj dalej”, „Rób i naprawiaj”, „Gadatliwość topi okręty” – zupełnie nie przystawały do jej życiowej filozofii. Mama niczego tak nie lubiła, jak urządzić sceny, kupować nowe ubrania i plotkować. Pewnie miała wrażenie, że wojnę zesłano po to, by ją dręczyć. Przyjaciele nie mieli już

czasu na weekendowe przyjęcia, a poza tym, gdzie można by zdobyć porządną polędwicę wołową? Albo włoskie lody? Lub francuskie wino, gdy zaczęło się racjonowanie żywności? Podczas gdy pozostała część narodu toczyła wojnę z Niemcami, mama wydawała się toczyć wojnę z samą wojną. Przez kilka miesięcy wyglądała na pokonaną. Jej kaszmirowe swetry były zmechacone, pończochy miewały niekiedy oczka, skończyła się jej ulubiona czerwona szminka i musiała malować usta koralową, a popołudniowe koktajle zastąpił dzin z tonikiem (bez cytryny, o zgrozo!).

Mama jednak, pomimo wszystkich jej wad, była wojowniczką i nie potrzebowała dużo czasu, by sprostać nowym wyzwaniom. W 1941 roku zdołała znaleźć nowego zarządcę, niejakiego Fostera, który był młody i silny (choć trochę groźny). Mimo że miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był potwornie dobrym strzelcem, udało mu się jakimś cudem uniknąć powołania – a wyglądał, jakby mógł bez trudu wymordować gołymi rękami cały batalion Niemców. Oficjalnie Mama zatrudniła go, żeby zajmował się ziemią, ogrodami, bydłem i dziką zwierzyną. Nieoficjalnie wszyscy wiedzieliśmy, że pojawił się w domu, aby nas bronić.

Foster zamontował metalowe klatki w całym lesie i ostrzegł mnie szorstkim, nieprzyjaznym głosem, żebym się trzymała od nich z daleka, „bo jak nie!”. Nosił martwe króliki zawieszane wokół szyi jak szal i rzucał zakrwawione bażanty na kuchenny stół, ku irytacji kucharki. Nie przepadałam za Fosterem, za to uwielbiałam jego Jack Russell terriera – Badgera.

Pod czujnym okiem Fostera przyjaciele Mamy zaczęli wracać do naszego domu na weekendowe polowania i przyjęcia. Nikt z nich nie polował już na lisy. Strzelali do wszystkiego, co nie zdołało im uciec – do królików, jeleni, bażantów, szkockich kuropatw, zajęcy – i tym samym nieumyślnie pracowali dla Mamy i Fostera, chociaż nikt z nich nie przepracował świadomie ani jednego dnia w życiu. W sobotnie wieczory najadali się jak świnie, pili jak lordowie (bo większość z nich nimi była) i imprezowali,

jakby jutra miało nie być. W niedzielę po południu goście wyjeżdżali, skacowani i objedzeni. Nigdy nie zdołali zjeść wszystkiego, co upolowali – to, co zostało, przechowywano w ogromnej chłodni za kuchnią. Dlatego też w domu rodziny Beaumont nie brakowało świeżego mięsa pomimo racjonowania żywności.

Imprezy Mamy były tylko częścią planu. Jej przyjaciele nie potrafili zabić w ciągu weekendu tylu zwierząt, co Foster w ciągu tygodnia. W krótkim czasie chłodnia zaczęła przypominać kostnicę. Pamiętam, jak tam zajrzałam i zadrżałam na widok rzędów oskórowanych jeleni. Było tam też ptactwo, były i króliki, ale najbardziej zszokowała mnie obecność krów i świń. Mieliśmy tylko małe gospodarstwo rolne, w którym hodowaliśmy dwie krowy dla mleka, z tuzin kurczaków dla jaj i kilka kóz, które Papa kupił, jak mi się zdaje, dla mojej uciechy. Skąd się wzięły te zwierzęta?

Zapytałam panią Ashton o bydło w chłodni, a jej twarz przybrała zabawny odcień purpury. Potem słyszałam, jak krzyczała w kuchni na Foster. „Dlaczego cały naród ma się zadowalać przydziałami żywności, podczas gdy tacy jak ty zarabiają fortunę na czarnym rynku? Jeśli coś takiego się powtórzy, nie będę miała wyboru i będę musiała powiedzieć o tym jej lordowskiej mości, a ona niewątpliwie poinformuje policję!”

Usłyszałam, jak Foster zanosi się od śmiechu. „Jak ci się wydaje, kobieto, czyj to był pomysł?”, zarechotał. „Jeśli myślisz, że jestem tym złym, przyjrzyj się lepiej swojej paniusi. Rozminęła się z powołaniem. Jest najlepszą oszustką, jaką znam. A gdy nabierze wiatru w skrzydła, jest prawdziwą petardą”.

„Nie wierzę ci”, pani Ashton pisnęła zduszonym głosem. „Co za absurdalne oskarżenia! Jesteś najpodlejszym człowiekiem, jakiego miałam nieprzyjemność poznać”.

Pani Ashton była bardzo lojalna wobec matki, broniąc jej w ten sposób, ale pamiętam, jak pomyślałam, mając zaledwie jedenaście lat, że Foster najprawdopodobniej mówi prawdę. Mama nie potrafiła egzystować bez pieniędzy i ładnych rzeczy. Zrobiłaby

wszystko dla podtrzymania swojego stylu życia. Wojna, którą toczyła, nie była tą samą, którą Papa i reszta naszych żołnierzy toczyli za oceanem.

W czwartki Foster pakował do swojej zielonej furgonetki bedford świeże mięso i dziczyznę i zniknął nie wiadomo gdzie aż do następnego dnia. Do tego czasu osiągnęłam już spore umiejętności szpiegowskie. Niestety, byłam na tyle młoda, że nie mogłam wspomagać wysiłków wojennych i musiało mi wystarczyć szpiegowanie matki, jej przyjaciół i niedobitków personelu. W pewien piątek, krótko po tym, jak obserwowałam furgonetkę Fostera, która perkocząc, jechała długim podjazdem, postanowiłam, że muszę się dowiedzieć więcej o tych cotygodniowych wyjazdach z rezydencji rodziny Beaumont.

Wybiegłam z domu i schowałam się za krzakami w pobliżu zaparkowanego samochodu. Patrzyłam, jak Foster wyciąga ze schowka na rękawiczki plik banknotów. Przeliczył je dwukrotnie, odjął jedną czwartą, a resztę złożył starannie i schował do kieszeni marynarki. Mniejszy plik wsunął w bieliznę. Śledziłam go w drodze do stajni. Badger szedł przy jego nodze, jak zawsze. Obszedł budynek, oparł się o ścianę i przypalił papierosa. Najwyraźniej na kogoś czekał. Wspięłam się na drzewo, z którego widziałam podwórko, i też czekałam, nie spuszczać Fostera z oczu. Był nadzwyczaj przystojny, miał szerokie barki i mocne uda, a także kwadratową szczękę i ponurą śniadą twarz w stylu amerykańskich aktorów grających kowbojów w filmach, które oglądałam w kinie w Chippenham. Lecz czegoś mu brakowało – otóż na twarzy Fostera nie można było dostrzec ani odrobiny życzliwości. Ten człowiek miał martwe spojrzenie. Od samego patrzenia na niego dostawałam dreszczy. Chodził jak zniecierpliwiony tygrys w klatce. Rozglądał się nerwowo, groźnie, ze złością cisnął niedopałek papierosa do końskiego koryta i natychmiast przypalił kolejnego.

W końcu matka przyjechała konno. Usta miała znowu pomalowane czerwoną szminką, jej bryczesy były białe jak zawsze, a na nogach miała chyba nowiutkie buty do jazdy konnej.

Gdzie znalazła na to pieniądze w czasach oszczędności? W chwili gdy się pojawiła, wściekły tygrys zamienił się w potulnego kotka. Mama uśmiechnęła się do niego prowokacyjnie z góry i zapytała: „No i? Jak nam poszło w tym tygodniu?”. „Całkiem nieźle”, odparł Foster i wyjął banknoty z kieszeni, żeby podać je mojej matce jak grzeczny chłopiec. „Nawiązałem kontakt z nowym hotelem w Bath. Szef kuchni powiedział, że od wielu tygodni nie udawało mu się zdobyć wołowiny. Zapłacił mi dwa razy więcej od kolesia z Bristolu”.

„Grzeczny chłopiec”, Mama uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie i wsunęła banknoty do piersiowej kieszeni żakietu do jazdy konnej. „Bądź tak miły i podaj mi papierosa”.

Foster przypalił papierosa z własnej paczki i posłusznie podał go Mamie. Mężczyzna był praktycznie olbrzymem, ale gdy mama siedziała na swoim ulubionym ogierze Ebony, musiał wyginać sobie szyję, żeby widzieć jej piękną twarz. Zauważyłam, że nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy powoli palił papierosa i wpatrywała się w dal, prezentując swój najlepszy profil.

„Muszę odprowadzić Ebony’ego do stajni”, oświadczyła w końcu. „Pomożesz mi, Foster? Tak potwornie trudno jest zajmować się końmi, odkąd stajenny i jego pomocnik odeszli. To ogromna niedogodność. Przydałaby mi się silna para rąk”.

Ogromna niedogodność. W rzeczy samej. Pamiętam, jak pomyślałam o stajennym i jego pomocniku, którzy walczyli wówczas za wolność na Krecie i pod El Alamein. Poza tym mama nigdy nie potrzebowała pomocy w zajmowaniu się końmi. Kochała je znacznie bardziej od ludzi.

Zniknęli za stajnią, Foster na nogach, a Mama, nadal patrząc na niego z dużej wysokości. Badger potruchtał za nimi. Musiałam szybko zejść z drzewa, żeby za nimi nadążyć. Wyjrzałam zza rogu i zobaczyłam Mamę, Fostera i Ebony’ego wchodzących do jednego z boksów. Badger czekał cierpliwie na zewnątrz. Powoli i cicho skradałam się wzdłuż pozostałych boksów, ignorując konie, które na mnie prychały, i zastanawiając się, gdzie są kostki cukru dla nich. Wreszcie stanęłam przed boksem Ebony’ego. Delikatnie

pogłaskałam Badgera, w nadziei że nie zaszczeka i mnie nie zdradzi. Słyszałam śpiewny drwiący głos Mamy dobiegający z boksu: „Próbowałaś coś przede mną ukryć, Foster?”, zapytała. „To nie był zbyt mądry pomysł, by chować to tutaj. Przecież musiałam to znaleźć”.

Serce podeszło mi do gardła. Zajrzałam za uchylone drzwi boksu. Foster stał oparty plecami o ścianę z na wpół przerażonym, na wpół podekscytowanym wyrazem twarzy. Spodnie miał opuszczone do kolan. Mama rozsiodła Ebony’ego i stała o krok od Foster’a. W jednej dłoni trzymała ukradzione przez niego banknoty, które schował w majtkach, a w drugiej pejcz. Zastanawiałam się, skąd na Boga wiedziała, żeby tam szukać pieniędzy.

„Byłeś bardzo, bardzo niegrzecznym chłopcem, Foster”, łajała go. „A złych chłopców trzeba ukarać”.

„Tak jest, wasza lordowska mość”, mruknął Foster posłusznie. „Bardzo przepraszam jej lordowską mość”.

„Odwróć się!”, krzyknęła mama tak stanowczo, że aż podskoczyłam.

Przyglądałam się im na tyle długo, by zobaczyć, jak mama kilkakrotnie smagnęła zarządcę pejczem. Kazała mu zdjąć majtki i wydawało się, że jest to dla niego bardzo bolesne, więc nie mogłam zrozumieć, dlaczego przy każdym uderzeniu błagał ją, by karała go dalej. Po chwili nie mogłam na to dłużej patrzeć. Wydawało mi się, że to, co ta kobieta robiła tak postawnemu mężczyźnie, było bardzo upokarzające. No ale przecież ją okradł. Badger najwyraźniej zgadzał się ze mną, bo gdy się odwróciłam i pobiegłam w stronę domu, ruszył za mną.

Lukratywne przedsięwzięcie mamy i Foster’a trwało przez kilka miesięcy, podobnie jak ich potajemne spotkania w stajni. Do czasu, gdy w pewien piątek do Beaumont House przyjechała policja, żeby poinformować matkę, że jej zarządcę aresztowano za kłusownictwo, kradzież i nielegalną sprzedaż mięsa na czarnym rynku, a także uchylanie się od służby wojskowej. Mama dość dobrze odegrała rolę przerażonej pracodawczyni i policja nie

zabawiła u nas długo. Raczej nie przejęła się odejściem Fostera, ale bardzo ją przygnębił nagły brak przyływu gotówki. Po kilku tygodniach na pończochach mamy znowu pojawiły się oczka i zaczęło jej brakować dzinu. Musiała obmyślić nowy plan. Nigdy więcej nie widziałyśmy Fostera – a ja z pewnością nie martwiłam się z powodu jego nieobecności – ale informuję cię z radością, że Jack Russell terrier Badger został ze mną na kolejne dziesięć lat.

Hugo zapukał po cichu do drzwi i wsunął głowę do pokoju Sophii.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z nadzieją.

Sophia się uśmiechnęła i przytaknęła.

– Zostało jeszcze trochę ciepłej wody? – spytała Hugona. – Muszę wziąć prysznic. Przecież nie mogę się udać na spotkanie z babcią, gdy tak wyglądam, prawda?



## *Rozdział jedenasty*

Tokio, Japonia, 2012

Aiko Watanabe obudziła się zrana z zimnym potem i przez chwilę nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Nie czuła się swobodnie we własnym łóżku, tyle wiedziała. Wymacała włącznik lampki nocnej i skrzywiła się, gdy w obcym jej pokoju nagle zapanowała bolesna jasność. Wymęczony brakiem snu mózg zaczął powoli odzyskiwać sprawność. No tak, była w Tokio na konferencji biznesowej. Zatrzymała się w hotelu Imperial, jak zawsze od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, w którym otwarto ten budynek. Odwiedziła raz stary hotel Imperial. Zburzono go przed kilkoma dekadami, żeby zrobić miejsce dla tej nowej wysokiej wizji nowoczesności, ale już kiedyś tu była, w innym życiu i świecie. Jutro musiała wygłosić mowę do ponad dwóch tysięcy najbardziej błyskotliwych i zapalonych młodych umysłów świata biznesu. Zegar podpowiedział jej, że minęła czwarta rano. Powinna spać. Co się z nią ostatnio działo?

Aiko zazwyczaj nie miała napadów lęku lub bezsenności. Przynajmniej nie zdarzyło się to od bardzo wielu lat. Jej stary mózg przeżył wiele burz, ale był silny. Starość przyniosła Aiko ból kości i siwe włosy, ale do tej pory dawała jej też mądrość i spokój. Często uznawano ją za matkę nowoczesnego japońskiego biznesu. A urodziła się w innym świecie, w innych czasach. Japonia jej dzieciństwa była pełna mistycyzmu, rytuałów i zasad, które już nie istniały. W przeciwieństwie jednak do wielu jej współczesnych, którzy opierali się fali zmian i okazywali jej niechęć, Aiko zaakceptowała nowy świat i jego rzeczywistość. Mijały dekady i nastał dwudziesty pierwszy wiek; Aiko została kobietą z plakatów. Często wymieniano ją w gazetach w grupie dziesięciu najbardziej wpływowych kobiet w Japonii. Co było głupotą, bo porzuciła Japonię bardzo dawno temu i wracała do niej tylko w interesach. Aiko czuła się bardziej Amerykanką niż Japonką, ale miło jej czuć się podziwianą i docenianą w ojczyźnie.

Z biegiem lat prasa traktowała ją z coraz większym podziwem i zachwytem. Wychwalano jej umiejętność nadążania za najnowszą technologią, politycznymi ideami i społecznymi trendami. Chciało jej się z tego śmiać. Dlaczego miałyby się trzymać kurczowo przeszłości? Stary świat był dla niej brutalnie okrutny. Gdy legł w gruzach, zabrał ze sobą dawne życie Aiko i wszystkich jej bliskich. Stała samotnie pośród ruin. Kiedy pojawiła się nowa Japonia, mrugając niepewnie, Aiko jako jedna z pierwszych przyjęła ją i pielęgnowała. Dlaczego nie miałyby tego zrobić, skoro stary świat pozbawił ją rodziny, godności i niewiele brakowało, a pozbawiłby ją też życia?

Nie, Aiko nigdy nie żyła przeszłością. Szkoda jej było na to czasu. Nie mogła się cofnąć i zmienić choćby jednej cholernej rzeczy (jak ująłby to jej mąż, gdyby nadal żył). Przez lata kroczyła z wysoko uniesioną głową. Była silna. Duchy, które знаła, dawno już zostały zepchnięte na dno jej umysłu i zniknęły z pola widzenia. Dlaczego więc nagle zaczęła mieć te wyraziste, niepokojące sny?

To nie były koszmary jako takie, a raczej coś w rodzaju dziwnych rozczłonkowanych wspomnień. To historie, które słyszała od ojca, babki i prababki we wczesnej młodości. Historie, o których nie myślała od lat. Te sny były jednak zdumiewająco realistyczne. I wszystkie kończyły się tak samo: utonięciem Aiko. W przeciwieństwie do innych snów, te wizje nie bledły i nie znikwały z nastaniem dnia. Bez trudu mogła sobie przypomnieć wszystkie szczegóły. Miała problem z wyrugowaniem ich z umysłu i skupieniem się na prawdziwym życiu. Jej prababka nazwałaby je przeczuciami. Upierałaby się, że ostrzegają przed nadciągającym ważnym wydarzeniem. Tylko że prababka Haruki była bardzo przesadną osobą. W przeciwieństwie do Aiko. Musi usunąć je z myśli. Kiedy odpływała znowu w sen, z jej ust uciekło kilka cennych słów:

– Manami – mruknęła. – Manami... Moja matka, Manami.

Ise Shima, Japonia, 1927

– Widziałam cię wczoraj, Manami – powiedziała Haruki ze swojej ławki w kącie.

Dziecko siedziało na kolanach staruszki i radośnie gaworzyło, trzymając się kurczowo pulchnymi paluszkami wyblakłej lnianej sukni Haruki. Na sukni widniał niegdyś kontrastowy wzór w kolorze indygo przedstawiający wierzby, ale dawno wypłowiał i stał się teraz szaro-niebieski. Więź łącząca nieskazitelne dziecko z pomarszczoną staruszką była wyraźna i zarazem osobliwa. Promienie wczesnoporannego słońca przedarły się przez chmury i sącząc się przez cienką ściankę, zalały mały pokój żółtym światłem kojarzącym się z roztopionym złotem. Starsza kobieta mówiła stanowczym głosem, przez co Manami zatrzymała się w miejscu.

– Widziała mnie babcia, gdy co robiłam? – spytała, stając w drzwiach, z jedną nogą na drewnianej posadzce, a drugą na gruntowej ścieżce przed domem.

Manami była zaintrygowana. Czym tym razem wywołała niezadowolenie babki? Wiedziała, że była ulubioną wnuczką Haruki, ale tej sympatii towarzyszy krytycyzm. Wahała się i czekała na słowa babki. Czowała zapach morza. I mgiełkę na policzku, którą wiatr przywiał na górę klifu. Była już spóźniona, ale nie chciała wychodzić. Tutaj, w tym małym drewnianym domku przycupniętym na skraju klifu jak jakiś mięczak, znajdowały się dwie z jej trzech ukochanych osób na świecie: babka Haruki i córka Aiko. Kolejny jej bliski człowiek, mąż Yoshiro, wypłynął już w ocean na swojej łodzi.

Manami skierowała uwagę na babkę. Twarz Haruki była zniszczona i poznaczona zmarszczkami jak stara mapa prowadząca do skarbu, ale jej oczy błyszczały niczym gwiazdy odbijające się w oceanie. Manami nie wiedziała dokładnie, ile lat miała jej babka. Haruki twierdziła, że tego nie pamięta (choć pamiętała, że urodziła się w roku Szczura). Jedno było pewne: w tych oczach było więcej życia i mądrości, niż Manami widziała kiedykolwiek u innej żywej istoty. Według niej Haruki musiała być naprawdę bardzo stara, skoro zdobyła taką mądrość, nie opuszczając nigdy

tej wioszczki.

– Poszłyśmy wczoraj z Aiko na spacer. Obserwowałyśmy cię z klifu. Zbyt długo przebywasz pod wodą, Manami. Nadal jesteś bardzo młoda. Nawet nie wiesz, jak dużo musisz się jeszcze nauczyć – ostrzegła ją Haruki.

Manami uśmiechnęła się czule do babki.

– Jestem bezpieczna, babciu – zapewniła ją. – Jestem twoją wnuczką i córką swojej matki. Miałam najlepsze nauczycielki. Nurkuję od ósmego roku życia. Mam to we krwi. Jeśli nie umiem nurkować, pokaż mi amę, która potrafi!

– Potrafisz nurkować, Manami-chan – odparła Haruki już łagodniejszym tonem. – Nurkujesz najlepiej ze wszystkich moich wnuczek. Urodziłaś się dla morza. Jesteś naszą syreną. Radzisz sobie lepiej niż matka, gdy była w twoim wieku. Być może nawet lepiej ode mnie.

Oczy jej błysnęły szelmowsko w obliczu takiego braku skromności.

– Ale jesteś nieostrożna, niecierpliwa i niemądra.

– Jestem niemądra? – spytała Manami z oburzeniem, cofając się o pół kroku do domku.

Manami szczyliła się swoją mądrością. Wiedziała, że jest bystra. Podobnie jak wiedziała, że jest piękna i silna.

– Która z młodych dziewcząt zarobiła w tym sezonie najwięcej, babciu? – dociekała. – Która zebrała najwięcej uchowców, ostryg i macicy perłowej? Kto znalazł trzy perły w poprzednim sezonie? Która ama sprawia, że Nishimoto-san jest bogaty i gruby? I... – Manami wyzywająco przerzuciła długie czarne włosy przez ramię – ...która ama złowiła najprzystojniejszego męża na półwyspie Shima?

Haruki odrzuciła głowę do tyłu i się zaśmiała. Mała Aiko przyłączyła się do niej, wydając pełne zachwyty piski, jakby rozumiała, o czym rozmawiają te kobiety, i zaczęła podskakiwać z ekscytacji na kolanach prababki.

– Nie powiedziałam, że nie jesteś utalentowana. Nie przeczę, że dzięki tobie pan Nishimoto jest bardzo bogaty i, owszem, z

każdym rokiem grubszy. I że udało ci się usidlić najprzystojniejszego mężczyznę w prefekturze. Wielokrotnie powtarzałam Yoshiro, że gdybym była młodsza, sama chciałabym go dla siebie! – Uśmiechnęła się szeroko. – Powiedziałam, Manami-chan, że jesteś nieostrożna, niecierpliwa i niemądra.

Staruszka uniosła pulchne dziecko jak nagrodę, aż Aiko zatańczyła na paluszkach na kolanach prababki.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ryzykujesz. – Wskazała na Aiko, po czym czule ucałowała czarne włoski dziecka. – Masz już tyle błogosławieństw, Manami-chan, ale zawsze pragniesz więcej. Jak długo mam ci, dziecko, powtarzać, że cierpliwość jest największym błogosławieństwem? Zanim wsiądziesz na konia, musisz najpierw pojeździć na wole.

– Znudziło mnie jeżdżenie na wole! – oznajmiła Manami. – Poza tym, czy babcia była cierpliwa w młodości? Słyszałam babci opowieści.

Babka ją zignorowała i ciągnęła:

– Kim jesteś teraz? Urodziłaś się w roku Koguta, więc ile masz lat? Niespełna osiemnaście, Manami-chan. I tak bardzo się spieszysz przeżyć swoje życie. Musiałaś młodo wyjść za mąż, sprzeciwiłaś się ojcu, sprowadziłaś wstyd na rodzinę, urodziłaś dziecko, gdy sama byłaś jeszcze dzieckiem, a teraz nurkujesz zbyt głęboko jak na dziewczynę w swoim wieku. Serce masz być może dość duże, by kochać, ale płuca nie są jeszcze gotowe, by schodzić na dno oceanu. Jeszcze przez wiele lat nie będziesz do końca wyszkoloną amą. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Nie próbuj nurkować tak głęboko jak twoja matka, Manami, a nawet starsze siostry. Dlaczego tak ci spieszo dotknąć dna oceanu? Co chcesz tam znaleźć?

– Dokładnie to samo, co babcia znalazła, gdy sprzeciwiła się rodzicom i panu Nishimoto seniorowi! – odparła Manami buńczucznie.

Babka ściągnęła brwi i zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuciła ze złością. Lecz oczy

ją zdradziły.

Manami westchnęła. Wiedziała, że Haruki kłamie. Znała tajemnice babki, podobnie jak babka znała jej sekrety. Manami wiedziała również, że nie należy naciskać na Haruki, gdy w jej oczach płonie gniew. Policzyła w myślach do dziesięciu (ojciec ją nauczył, by tak robiła, gdy pojawia się czerwona mgła) i usiłowała zdusić słowa, które miała już na końcu języka. Nie chciała się kłócić z babką. Nie jest mądrze sprzeciwiać się starszemu, zwłaszcza tak szanowanym i nieznoszącym sprzeciwu jak Haruki. Poza tym Haruki była tak wybuchowa jak Manami. Może i Manami miała osiemnaście lat, została już żoną i matką, ale wiedziała z doświadczenia, że nie była za stara, żeby dostać klapsa od babci.

Uwielbiała babkę, ale nie zamierzała iść w jej ślady. Nie chciała być amą do końca życia. I nie chciała być tutaj, w tej wiosce, gdy będzie stara. Nie miała czasu, by cierpliwie poznawać wszystkie techniki oddychania. Najlepsze amy miały po trzydzieści, czterdzieści lat. Manami za nic nie chciała czekać tak długo. Jak wszystkie amy Haruki zaczęła nurkować na płyciznie jako dziewczynka. I nurkowała do czasu, gdy została babką. Matka Manami zrobiła to samo i teraz czekała na plaży na swoje córki. Amy z Ise Shima nurkują w oceanie od tysiąca lat.

Nie chodziło o to, że Manami nie lubiła swojej pracy. Nigdy nie czuła się tak wolna, jak wtedy, gdy znikwała pod falami. Kiedy zanurzała się w lodowatej wodzie, jej ciężki umysł robił się nieważki i lekki jak ciało. Tylko tam czuła spokój. Tam i w ramionach Yoshiro. Nurkowała aż do dnia narodzin Aiko – wszystkie ciężarne amy tak robiły. Przecież wieloryb ma więcej gracji w wodzie, niż gdy zostanie wyrzucony na brzeg! Nie chciała jednak nurkować po to, by wzbogacać innych. Owszem, amy dobrze zarabiały jak na kobiety. I w czasie letniego sezonu uwalniały się od domowej harówki, czego nie doświadczały inne kobiety. Lecz tylko ich szef, pan Nishimoto, się bogacił.

Manami pragnęła być kochanką własnego przeznaczenia i szczęścia. Tylko po jej trupie Aiko zostanie amą. Manami miała

świadomość, że poławiaczki z Ise Shima miały więcej wolności niż inne. Tworzyły związek am, zarabiała na siebie i mogły odpocząć od zmywania, sprzątania, gotowania i wychowywania dzieci. Słyszała o amach, które cieszyły się wolnością do tego stopnia, że uciekały od mężów i dzieci. Manami jednak nie chciała się uwalniać od męża i córki. Pragnęła, żeby Aiko miała prawo kochać i żyć inaczej. Spojrzała z czułością na piękną córeczkę i w jej sercu zapłonęła tęsknota za lepszym życiem, ciekawszym, z dala od tej wioseczki.

Nishimoto-san chwalił się, że jeździł pociągami i samochodami. Opowiadał o gejszach, teatrach, fabrykach i samolotach. Odwiedził Kioto, Kobe, Osakę, a nawet Tokio. Manami była tylko w sąsiednim mieście – rozpadającym się porcie, w którym stały zniekształcone domy kryte strzechą. To ohydne miasteczko cuchnące biedą i zepsutymi rybami. Manami chciała jeździć do wspaniałych miejsc, nosić jedwabne kimono i podróżować samochodami. Chciała mieć własny dom dla siebie, Yoshiro i Aiko. Lubiła swoich teściów i bardzo ich szanowała, ale nie chciała na zawsze mieszkać w ich domu, zgodnie z nakazem tradycji. Przez sześć miesięcy w roku, gdy ocean stawał się zbyt zimny, żeby w nim nurkować, Manami była zaledwie pokojówką swojej teściowej. Jej siostry i przyjaciółki uważały, że ma szczęście, bo w przeciwieństwie do ich teściowych, matka Yoshiro była łagodną i serdeczną kobietą, która rzadko biła Manami i nie łajała jej często. Lecz co tam wiedziały jej siostry i przyjaciółki? To, że jej życie mogło wyglądać gorzej, nie znaczyło, że nie powinno wyglądać lepiej. Manami miała marzenia większe od tego świata, marzenia, których jej babka nigdy by nie zrozumiała, które mogą się stać rzeczywistością Aiko, jeśli...

– Widzę ogień – odezwała się babcia, jakby potrafiła czytać w myślach Manami. – Zawsze miałaś w sobie za dużo ognia, Manami. Lepiej idź już do pracy. Może ocean zdoła zgasić te niebezpieczne płomienie! Lecz posłuchaj mojego ostrzeżenia, dziecko. Nie zostawaj zbyt długo pod wodą. Nie nurkuj zbyt głęboko. Proszę...

Haruki podniosła się powoli i posadziła Aiko na biodrze. Wyjęła z góry szafki coś, co wyglądało na brudną szmatę i, lekko kulejąc i powłócząc nogami, podeszła do wnuczki.

– To należało do mnie. Przyniesie ci szczęście, Manami-san. I mądrość. Oby.

Manami odwinęła zakurzoną szmatkę i ujrzała to, co znajdowało się w środku: stare *tegane* – narzędzie, którym amy odrywały uparte uchowce i ostrygi od skał.

– Nigdy nie miałam lepszego *tegane* od tego – tłumaczyła Haruki, czule poklepując Manami po ramieniu. – Niech przyniesie ci szczęście, dziecko.

– Dziękuję, babciu – odparła Manami z wdzięcznością i pokłoniła się staruszce. – Czuję się zaszczycona, że według ciebie na to zasługuję.

– Trzymaj – powiedziała Haruki i przysunęła Aiko do jej matki. – Ucałuj córkę na do widzenia i idź do pracy, zanim pojawi się Nishimoto-san. Matka będzie cię szukać.

Manami dała soczystego buziaka w wilgotne wargi dziecka, delikatnie popukała palcem w zadarty nos i rzuciła:

– To na razie. Uważajcie na siebie!

– Jesteśmy bezpieczne – krzyknęła Haruki zza drzwi, gdy Manami popędziła ścieżką wzdłuż klifu w stronę plaży. – To ty musisz uważać na siebie!

Wiatr pochwycił słowa staruszki, które pobrzmiwały echem w uszach Manami idącej stromą ścieżką w stronę morza. I zabrał je na zawsze.

Haruki stała w drzwiach i patrzyła, jak jej wnuczka znika na ścieżce. Chwyciła dziecko za buzię i pocałowała porcelanowo gładki policzek Aiko.

– Gonitwa za szczęściem jest jak pogoń za wiatrem lub próba chwycenia cienia – szepnęła do ucha niemowlęcia. – Nie uganiaj się za cieniami, jak robiła to twoja matka, Aiko.

I wtedy obraz zbladł, staruszka, młoda poławiaczka pereł i dziecko rozpadły się w nicość.

– Matko! – krzyknęła Aiko, po raz kolejny budząc się ze snu.



Była mokra od potu, a wokół nóg i rąk miała zawiniętą pościel. Nie wierzyła w duchy.

Westchnęła głęboko. To było śmieszne. Na dworze zaczynało jaśnieć. Pora, by zrezygnować ze snu. Zapaliła światło, włączyła telewizor i wysłała wiadomość obsłudze, by przyniesiono jej mocną kawę i śniadanie. Oglądała wiadomości i przeglądała e-maile. Z całych sił starała się trzymać mocno rzeczywistości współczesnego świata. Nie pozwoli, by duchy z przeszłości ją nawiedzały. Nie teraz. Ani nigdy. Zamknęła przed nimi drzwi wiele dekad temu. I nie zamierzała zapraszać ich ponownie.

## **Część druga**

### **Zakręty**

*Od narodzin człowiek dźwiga na barkach ciężar grawitacji.  
Jest przygwożdżony do ziemi. Wystarczy jednak, że zanurzy się pod  
powierzchnią, a jest wolny.*

Jacques Cousteau

## *Rozdział dwunasty*

Hackney, Londyn, 2012

– Gdzie ona jest? – zapytała Sophia, przyciskając nos do zimnej, mokrej szyby, aż zaparowała od jej ciepłego oddechu.

Patrzyła na ulicę poniżej. Taksówka nadal nie podjeżdżała. Na dworze było ponuro i mokro. Gwałtowny wiatr zerwał z drzew ostatnie liście, w parku nie widać bawiących się dzieci, psów wyprowadzanych na spacer ani całujących się par. Zdawało się, że martwa szarość zawładnęła całym światem.

– Zamówiłem ją zaledwie pięć minut temu – przypomniał jej Hugo. – Nie bądź taka niecierpliwa! Twoja babcia będzie przeszczęśliwa, gdy cię w końcu zobaczy. Pomyśl o tym wspaniałym czasie, który spędzałyście razem, gdy byłaś młodsza.

To była prawda. Sophia uwielbiała weekendy w ogromnym domu w Hampstead, z daleka od rozczarowanych rodziców. Zawsze czuła się tam bezpieczna i kochana, a babcia poświęcała jej uwagę, z jaką rzadko spotykała się w domu.

Zabierała ją na zakupy i kupowała niebotycznie drogie ubrania z Harrodsa, na których widok matka cmokała i mówiła: „Po co dziecku aksamitny czerwony płaszcz?” albo „Nie możesz nosić różowych zamszowych butów w czasie deszczu”.

Całymi popołudniami chodziły po cmentarzu Highgate i patrzyły na groby. Po drodze na cmentarz babcia zawsze kupowała dwa piękne bukiety z sezonowych kwiatów w kwiaciarni w Highgate Village. I kiedy spacerowały po cmentarzu, babcia wyjmowała pojedyncze kwiaty z pierwszego bukietu, żeby kłaść je na grobach przyjaciół, głównie aktorów i aktorek. Drugi bukiet był znacznie ważniejszy. Był dla dziadka. Jego szczątki spoczywały pod prostym białym kamieniem nagrobnym pod dębem w zachodniej części cmentarza. Na kamieniu widniał napis:

PAMIĘCI

FRANKA PERRY'EGO JUNIORA

AKTORA

URODZONEGO W MASSACHUSETTS 5 MAJA 1928 R.

ZMARŁEGO W LONDYNIE 30 LIPCA 1987 R.

UKOCHANEGO MĘŻA MATILDY „TILLY”  
BEAUMONT,

OJCA ALICE I DZIADKA SOPHII

Pod spodem znajdował się cytat z Oscara Wilde'a: „Miej miłość w sercu. Życie bez niej jest jak ogród bez słońca, w którym umierają kwiaty”.

Babcia twierdziła, że to było ulubione powiedzonko dziadka i że był on nadzwyczaj mądrym człowiekiem, jak też, że Sophia powinna na zawsze zapamiętać ten cytat. Obiecała, że to zrobi. Babcia ostrożnie wstawiała kwiaty do wazonu przy grobie męża, a potem rozmawiała z nim chwilę dość naturalnie.

„Witaj, kochany Frankie”, mówiła. „Przyszła ze mną nasza mała Sophia. Tylko że już nie jest mała! Szkoda, że nie możesz jej zobaczyć. Wyrasta na piękną dziewczynę. Wszyscy powtarzają, jaka jest do mnie podobna, ale tylko próbują mi się przypochlebić. Kiedy na nią patrzę, przypomina mi się Alice w jej wieku. Była uroczym dzieckiem, prawda? Pamiętasz to lato na Florydzie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim, kiedy urosła tak gwałtownie i kojarzyła nam się z jelonkiem, bo zrobiła się nagle taka wysoka i niezdarna? Włosy sięgały jej do pasa, a nogi do samych pach. Ciągle się potykała, bo nie była przyzwyczajona do nowego wzrostu. Sophia tak właśnie teraz wygląda, tyle że nie ma opalenizny z Sarasoty! Wybieramy się stąd na spacer po Heath. Szkoda, że cię z nami nie ma. Tęsknię za tobą. Kocham cię,

Frankie. Niedługo wrócę”.

Sophia przyglądała się babci uważnie, gdy ta rozmawiała z dziadkiem. Widziała, jak jej jasnoniebieskie oczy płoną, gdy zatracala się w miłości. Prawdą jest to, co się mówi o oczach – one nigdy się nie starzeją. W wyimaginowanej obecności Franka babcia stawiała się znów młodą aktorką zakochaną po uszy w amerykańskim gwiazdorce filmowym. Sophia starała się wyobrazić ich sobie razem – młodych, pięknych, bogatych i wspaniałych. Nie pamiętała dziadka. Miała zaledwie pięć lat, gdy umarł nagle i przedwcześnie na zawał serca. Ale w całym domu babci wisiały jego zdjęcia – zrobione na planach filmów, na premierach, z prezydentami, gwiazdami, muzykami oraz wykonane w domu z babcią i matką Sophii, gdy była dzieckiem. Boże, jak bardzo Sophia uwielbiała te fotografie!

Wydawało się jej wtedy, że dziadek może wrócić w każdej chwili. Jego kapelusz panama nadal wisiał na wieszaku na płaszcze w wielkim przedpokoju w domu babci, skórzane kapcie stały przy łóżku, a jego statuetka Oscara patrzyła dumnie na salon z marmurowej półki nad kominkiem obok statuetki Tilly. Sophia zawsze żałowała, że nie poznała dziadka lepiej.

Owe idylliczne wizyty u babci często następowały po wielkich kłótniach w domu. Sophię odsyłano, żeby „przemyślała sobie swoje zachowanie” i chociaż miało to być dla niej karą, było raczej wytchnieniem. Sophia potwornie się kłóciła z rodzicami, zwłaszcza z ojcem. Matka zniknęła w sypialni, gdy jej córka robiła sceny, ale ojciec nigdy nie unikał walki. Złościł się, ale w bardzo opanowany sposób – pulsowała mu tętnica na szyi, lecz nigdy nie podnosił głosu. Zawsze był potwornie beznamiętny, nawet wtedy, gdy Sophia łkała, zawodziła i rzucała różnymi rzeczami. Odesłanie jej do szkoły z internatem było bezpośrednią konsekwencją gry w monopol, która zakończyła się tym, że Sophia cisnęła planszą przez cały salon.

Zdarzyło się też, że rzuciła w ojca metalową puszką na ciasteczka. Ojciec zrobił unik, a puszka stłukła okno wykuszowe. Sophia przez wiele miesięcy s płacała z kieszonkowego koszt

wstawienia nowej szyby. Kiedy indziej próbowała wysiąść ze sportowego samochodu ojca, gdy jechał autostradą M25 z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Miała wtedy chyba z jedenaście lat. Jechali do jej szkoły z internatem w Gloucestershire po przerwie zimowej i błagała ojca, żeby nie kazał jej tam wracać. Mimo że kłóciła się z rodzicami, nie zносиła rozłąki z rodziną. Chciała chodzić do dziennej szkoły w pobliżu domu – jak wszystkie córki ich przyjaciół. Nieustannie tęskniła za domem, czuła się samotna, odrzucona i nieszczęśliwa.

„Tatusiu, proszę”, błagała. „W Surrey jest mnóstwo dobrych szkół dla dziewcząt. Chcę mieszkać w domu z tobą i mamusią. Będę się bardzo starała, obiecuję. Nie będę stwarzała problemów. Będę naprawdę grzeczna. Proszę, nie odsyłaj mnie tam znowu”.

Tata tylko się denerwował na nią, gdy płakała, prosiła i błagała. Nazwał ją zepsutą dziewczuchą i powiedział, że jest małą niewdzięcznicą, która nie docenia tego, ile pieniędzy się wydaje na jej wykształcenie. Przypomniwał jej, że jej babka i matka uczyły się w Westonbirt i rozumiały, jaki to przywilej. Podczas gdy ona, Sophia, jest niewdzięczną egocentryczną małą krową.

– A co, jeśli moi rodzice tam będą? – Sophia ponowiła pytanie.

– Nie będzie ich – powtórzył Hugo. – Odwiedzają ją we wtorki i piątki. Babcia wyraźnie to napisała.

Sophia westchnęła. Motyle w jej brzuchu szamotały się coraz bardziej.

– Straciłam właściwą perspektywę, prawda? – mówiła raczej do siebie niż do Hugona. – Nie chodzi o żaden spadek. Nie ma znaczenia, co zrobili moi rodzice. To jest moja babcia. Zawsze mi pomagała, gdy byłam dzieckiem. A co ja zrobiłam? Jest śmiertelnie chora, leży w szpitalu, przysyła mi listy, spisuje wspomnienia, a ja ją ignorowałam. Bardziej się przejmowałam Nathanem niż nią. Co się ze mną porobiło? Kto się tak zachowuje?

– Wszyscy popełniamy błędy – powiedział Hugo łagodnie. – A teraz robisz to, co należy.

Poczuła pod skórą dobrze jej znane ukłucie nienawiści do

siebie. Babcia to jedyna osoba z rodziny, która nigdy jej nie zawiodła. Sophia była zdruzgotana tym, że w zamian za jej miłość i lojalność porzuciła starszą panią, która umierała. Dlaczego, do diabła, potrzebowała tyle czasu, by ją odwiedzić? To świadczyło o słabości i egoizmie. Była taka skupiona na sobie.

A teraz musiała dotrzeć na miejsce, zanim będzie za późno. Jak by mogła dalej żyć, gdyby babcia umarła, nie wiedząc, że Sophia ją kocha? Co będzie, jeśli umrze dzisiaj, przed ich przyjazdem i nigdy się nie dowie, że Sophia jechała do niej do szpitala?

– Muszę wszystko naprawić. Pokpiłam sprawę, co, Hugo? Naprawdę nieźle narozrabiałam.

Hugo podszedł do niej i objął ją długimi ramionami. Pocałował ją czule w czubek głowy i powiedział:

– Nie, mała, nie narozrabiałaś. Wybrałaś niekonwencjonalną drogę, ale kto chciałby być konwencjonalny? Czy twoja babka, hollywoodzki symbol seksu, była kiedykolwiek konwencjonalna?

Sophia się uśmiechnęła.

– Nie – odparła. – Ale moja mama jest jak najbardziej – przypomniwała mu.

To było prawdą. Alice stała się archetypem gospodyni domowej z Surrey. Nawet nie uczestniczyła w ciekawszych podmiejskich aktywnościach – nigdy nie brała udziału w przyjęciu Ann Summers, a już tym bardziej w imprezach, na których pary wymieniają się partnerami.

– A to moja mama wygrywa – przypomniwała Sophia Hugonowi, nagle znowu ogarnięta smutkiem. – Zawsze czuła się bezpieczna, a mój tata się nią opiekował. Nigdy nie musiała się martwić o nic więcej, jak o to, jaką pieczeń przyrządzi w niedzielę. Może gen niekonwencjonalności jest przeceniany?

– Będiesz mogła zapytać Tilly o jej zdanie, gdy dotrzemy do szpitala. Wątpię, żeby się z tobą zgodziła. Miała wspaniałe życie.

Na zewnątrz odezwał się klakson.

– Nasz powóz czeka! – oznajmił Hugo, biorąc Sopię za rękę i ciągnąc za sobą po schodach.

– Czy ładnie wyglądam? – spytała Sophia, wsiadając do taksówki. – Dla babci. Ładnie wyglądam?

Miała na sobie stary, czarny kaszmirowy sweter po mamie, czarne dopasowane cygaretki, czerwone baleriny i stary trenz Burberry.

– Wyglądasz bosko – zapewnił ją Hugo. – I bardzo elegancko. W każdym calu jak szacowna arystokratyczna dziedziczka.

– Hugo, nie możesz ze mną do niej dzisiaj wejść. Rozumiesz to, prawda? – powtórzyła stanowczo nie wiadomo który już raz. – Możesz poczekać na mnie w kawiarni.

Zazwyczaj Sophia potrzebowała moralnego wsparcia Hugona, ale coś jej podpowiadało, że spotkanie z babką po tych wszystkich latach powinno się odbyć w cztery oczy. Już czas, żeby wydorosłała.

Wyjrzała przez szybę i zobaczyła, że taksówka zdołała dojechać tylko do Dalston. Samochody przesuwały się powoli skąpanymi w deszczu ulicami. Sophia miała mnóstwo czasu, by przeczytać najnowszy list od Tilly.



## *Rozdział trzynasty*

Beaumont House, Wiltshire, lata wojny (ciąg dalszy)

Papa przyjechał do domu ze zbyt krótką wizytą na początku 1942 roku. Przywiózł mi prezenty: złotą broszkę w kształcie skarabeusza z Egiptu i przepiękny szkic ołówkiem przedstawiający młodą dziewczynę narysowany przez włoskiego jeńca, którego ojciec poznał. Dziewczyna to narzeczona owego żołnierza, która została na Capri. Tata powiedział, że ten Włoch był nie tylko utalentowanym artystą, ale też wspaniałym młodzieńcem i że wojna to bardzo skomplikowana sprawa, bo wrogowie są tylko ludźmi, jak my. Papa wyglądał zdrowo i dobrze. Udało mu się uniknąć ran i twierdził, że wojna podobała mu się pod wieloma względami. Dawała mu poczucie celu i sensu, którego wcześniej nie znał. Ubolewał nad tym, że jedynym realnym źródłem cierpienia była dla niego tak długa rozłąka ze mną.

Wyprowadziliśmy konie ze stajni i pogalopowaliśmy w teren. Z daleka dom wyglądał imponująco jak zawsze i Papa obiecał, że po wojnie stanie na nogi. Powiedział, żebym się nie martwiła, że ta wojna to tylko mały problem i że niebawem życie wróci do normy. A potem znowu wyjechał.

Latem 1942 roku Badger i ja zostaliśmy wysłani do ciotki Matki, Ophelii, do St Ives. Ciotka Ophelia była starą panną, która uważała się za rzeźbiarkę. Traktowała mnie bardzo dobrze, ale zupełnie nie umiała opiekować się dwunastolatką. Rzadko kiedy wstawała przed południem, a resztę dnia spędzała zamknięta w pracowni. Nie miałam wyboru i musiałam zajmować się sobą.

Byłam rozpieszczonym, oderwanym od rzeczywistości dzieckiem, ale miałam jedną zaletę – byłam towarzyska. Mama nazywała mnie potworną gadułą, lecz jakkolwiek należałoby to określić, nie miałam żadnych zahamowań. Podeszłam do pierwszej napotkanej na High Street dziewczyny – drobnej blondynki z długimi warkoczykami i piegowątą buzią – i się przedstawiłam.

Pomimo arystokratycznego akcentu i świetnych ubrań dość

szybko zostałam zaakceptowana przez moją nową najlepszą przyjaciółkę Patricję Trevallion i niebawem byłyśmy nierozdzielne. Spędzałyśmy dni na plaży lub oglądając jaskinie albo wspinając się ścieżkami na klify, łowiąc kraby, rozpalając ogniska w lesie z jej nieśmiałym, ale pięknym starszym bratem Peterem. I z Badgerem, rzecz jasna. To nie było szczególnie upalne lato, raczej suche i słoneczne, więc rzadko siedziałyśmy w murach. Pod koniec lipca przyszła krótka fala upałów i spędziliśmy tych kilka dni na pływaniu w oceanie. Opowiedziałam Patricji i Peterowi o poławiaczkach pereł, o których mówił mi pan Fitzroy, i ćwiczyliśmy wstrzymywanie oddechu i nurkowanie pod wodą. Niestety, nie udało nam się znaleźć choćby jednej ostrygi.

To było pod wieloma względami idylliczne lato. Stojący blisko portu dom rodziny Patricji wydawał się bardzo mały i ci ludzie z pewnością nie byli zamożni. Ojciec, rybak, wstąpił do marynarki wojennej i przebywał gdzieś na morzu, więc nigdy nie miałam zaszczytu go poznać. Pomimo wszystkich okoliczności byli to bardzo hojni ludzie. Mama Patricji, pani Trevallion, karmiła mnie przez całe dwa miesiące. Kiedy się przewróciłam i podarłam pończochy, zacerowała mi je. Gdy miałam czerwone jak buraki ramiona w czasie fali upałów, smarowała mi je mieszaniną tlenku cynku i wody wapiennej. Kiedy dostałam gorączki w następnym tygodniu, pielęgnowała mnie przez trzy dni, aż policzki znowu mi się zaróżowiły. Nie jestem pewna, czy ciotka Ophelia zauważyła w ogóle moją nieobecność.

Bardzo tęskniłam za rodziną Trevallionów, gdy musiałam wrócić do Beaumont House. Na pożegnanie pani Trevallion zrobiła dla mnie na drutach chabrowy kardigan z pięknymi perłowymi guziczkami. Opowiadałam pani Trevallion o dniu w Asprey i moim obsesyjnym zamiłowaniu do pereł i bardzo mnie wzruszyło to, że to zapamiętała – i chociaż perły przy moim sweterku pochodziły z Woolwortha i były rzecz jasna plastikowe, zachowałam ten kardigan do dziś. Gdy nadszedł dzień odjazdu, Patricia i Peter odprowadzili mnie na dworzec. Przytuliliśmy się z Patricją na bardzo długo i przyrzekłyśmy sobie, że będziemy utrzymywały ze

sobą kontakt już zawsze. Peter, który miał czternaście lat, pocałował mnie krótko w usta, pożegnał się ze mną i zarumienił się tak, że jego twarz zrobiła się tak szkarłatna jak jego pulower! Dzięki temu pocałunkowi uśmiechałam się przez całą drogę na dworzec w Chippenham. To był mój pierwszy raz.

Po wojnie, gdy pan Trevallion wrócił ze służby, cała rodzina emigrowała do Kanady i straciliśmy kontakt. Patricia wytropiła mnie wiele lat później, przez agenta, gdy zaczęłam robić karierę i pisała mi w listach, że chociaż jej brat jest szczęśliwym mężem i ojcem czwórki dzieci, powtarza wszystkim, że jego pierwszą prawdziwą miłością była Tilly Beaumont, gwiazda kina. Nadal się uśmiecham na myśl o Trevallionach i wielu szczęśliwych dniach w czasie potwornej wojny. Zastanawiam się, jak Patricia i Peter miewają się teraz. Myślę, że nadal żyją. Mam poczucie, że gdyby któreś z nich umarło, drugie znalazłoby sposób, żeby mnie o tym poinformować. Mam nadzieję, że są zadowoleni ze swojej starości i spędzają dni w otoczeniu kochanej rodziny. Przecież to jest to, o czym wszyscy marzymy.

Po powrocie do domu odkryłam, że Mama przekształciła dom w szpital. To znaczy – nie Mama. Dom przejęło wojsko i urządziło w sali balowej, dużej jadalni, bibliotece i salonie izby chorych, a w sypialniach mniejsze sale dla najciężiej rannych, ale pomysł otwarcia domu dla wojska był wyłącznie Mamy pomysłem. Na podjeździe parkowały ciężarówki, samochody wojskowe i karetki i gdy otworzyłam drzwi wejściowe (już zdumiona tym, że pan Wise zignorował przyjazd mojej taksówki i nie przywitał mnie u podnóża schodów prowadzących do frontowego wejścia), nie przywitał mnie kamerdyner, ale surowo wyglądająca wojskowa pielęgniarka, która poinformowała mnie opryskliwie, że wkroczyłam na teren wojska i zażądała natychmiastowych wyjaśnień. Byłam w takim szoku, że z trudem zdołałam wydusić z siebie, iż jestem lady Matildą Beaumont, a to jest mój dom – a przynajmniej był, gdy z niego wyjeżdżałam osiem tygodni wcześniej.

Bardzo chciałam wspomagać wysiłek wojenny i podziwiałam

naszych chłopców walczących na linii frontu, ale nikt mnie nie przygotował na to, że po powrocie do domu zastanę w nim ponad stu poważnie rannych żołnierzy. Zniknęły wszystkie stare meble, zdjęto portrety ze ścian, a znany mi zapach świeżych kwiatów, woskowych świec i pasty do mebli zastąpiła woń jodiny i wybielacza, które maskowały odór choroby. Mama, która pojawiła się w końcu i zbiegała po centralnych schodach z naręczem bandaży, miała na sobie swoją wersję pielęgniarzkiego mundurka (choć spódnicę nadal miała obcisłą, a pończochy czarne) i pędem przemieszczała się po domu z poczuciem dumy i celu, których nigdy wcześniej u niej nie widziałam. Gdy tak stałam z otwartymi ustami w holu, z walizką leżącą u stóp, Mama poinformowała mnie krótko, że przeprowadziłyśmy się do nieużywanego domku ogrodnika i że nie wolno mi nawet myśleć o zaglądaniu do mojego dawnego pokoju, bo urządzono w nim prowizoryczną kostnicę dla „biedaków, którzy nie przeżyli nocy”.

„Gdzie jest pan Wise?”, zapytałam z nadzieją, kiedy już poradziłam sobie z szokiem związanym z obecnością trupów w moim pokoju.

„Odprawiłam go”, rzuciła Mama swobodnie. „Nie potrzebujemy pracowników. Potrzebny jest tylko personel medyczny”.

„A pani Ashton?”, dopytywałam rozpaczliwie.

„Ach tak, pani Ashton. Jest gdzieś tutaj”, odpowiedziała Mama z roztargnieniem i wsunęła zabłąkany kosmyk czarnych włosów pod biały czepek. „Zdaje się, że prowadzi kuchnię. Nasi dzielni chłopcy muszą przecież jeść!”.

Odetchnęłam z ulgą. Jeśli ktoś mógł mi wyjaśnić, co się tam działo, to była to właśnie pani Ashton. Szłam chwiejnym krokiem przez teren, ciągnąc za sobą ciężką walizkę i usiłując nie patrzeć na żołnierzy palących papierosy w ogrodzie – niektórzy siedzieli na wózkach inwalidzkich, inni mieli potwornie poparzone twarze, a jeszcze innym brakowało kończyn.

Zawsze uważałam, że domki dla naszych pracowników były malutkie – w porównaniu z „porządnym” domem jak Beaumont

House kojarzyły się z domkami dla lalek. Dziwiłam się, że nasz ogrodnik wraz z całą rodziną aż do chwili, gdy odszedł na początku wojny (kiedy to zginął biedny Tony), dawał radę mieszkać w swoim domku, który i tak był największy ze wszystkich. Teraz jednak, gdy wciągnęłam walizkę po schodach i rzuciłam ją na podłogę w błękitnej sypialni (która miała być moim pokojem przez kolejnych kilka lat), stwierdziłam, że w porównaniu z nadmorskim domkiem Trevallionów ten jest dość uroczy. Co więcej, nadal pachniało w nim kwiatami, a konkretniej, peoniami. Były różowe, ułożone pięknie w żółtym wazonie stojącym na oknie z dołączonym do nich bilecikiem od pani Ashton, która napisała: „Witaj w domu, kochana Tilly”.

Zauważyłam, że moje ubrania były schludnie poukładane w szufladach lub pozawieszane w małej szafie, moja ulubiona lalka i miś Freddie siedzieli na poduszce i czekali cierpliwie na mój przyjazd, a stary zniszczony egzemplarz *Alicji w Krainie Czarów* leżał na szafce nocnej obok oprawionej w ramki fotografii Papy. Ktoś włożył sporo wysiłku, żebym poczuła się tutaj jak w domu, i wiedziałam, że to nie była Mama. Nie przebolełam jeszcze do końca straty niani, ale w tym momencie zrozumiałam, że miałam w Beaumont House jeszcze jednego sprzymierzeńca.

Był parny, upalny, późnosierpniowy dzień. Szybko zmieniłam podróżny strój na czystą, cienką letnią sukienkę i pobiegłam przez zarośnięty trawnik do kuchni.

„Twoja matka do reszty oszalała”, stwierdziła pani Ashton z wyraźną frustracją, gdy energicznie mieszała chochlą w ogromnym kotle zupę warzywną. „Broniłam jej, gdy ludzie narzekali na jej upór, niestosowne przyjaźnie, przyjęcia, picie i... Nie będę się wdawała w szczegóły, ale tym razem posunęła się za daleko. Trzy różne szkoły z internatem zwracały się z prośbą o udostępnienie tego domu, twoja także. Że już nie wspomnę o marynarce wojennej szukającej lokum dla kobiet z oddziałów pomocniczych. Mogliśmy przyjąć ewakuantów, ale nie, twoja matka nie chce obecności dzieci w domu. Twierdzi, że od ich chichotu i pisku rozbolełaby ją głowa. Zapytałam więc, dlaczego nie WREN?”

Urocze, ciężko pracujące dziewczyny. Ależ nie, kobiety w mundurach usiłujące udawać mężczyzn, to takie niegodne, oznajmiła jej lordowska mość. Zasugerowałam, że można by na naszej ziemi uprawiać warzywa i hodować bydło. Przyjął dziewczęta do pracy. Nawet przez chwilę nie brała tego pod uwagę. Kobiety w spodniach i z brudnymi paznokciami? Szok! To jeszcze gorsze od dziewczyn z WREN! Wiem, co tak naprawdę sobie myślała: Boże, uchron przed domem pełnym atrakcyjnych dziewcząt, które mogłyby przyćmić jej urodę. Lepiej sprowadzić do domu młodych mężczyzn, którzy przeżyli piekło i od wielu miesięcy nie widzieli swoich młodych kobiet. Nawet przez moment nie uwierzyłam w to odgrywanie roli Florence Nightingale<sup>3</sup>. Chodzi o to, żeby lady Beaumont była w centrum zainteresowania, a nie o wysiłek wojenny. Przykro mi, że mówię takie rzeczy o twojej matce, Tilly, ale jesteś już prawie nastolatką, a z racji tego, że twój ojciec wyjechał, jesteś jedyną przedstawicielką rodziny Beaumont, która ma choć trochę rozsądku. To twój dom, twoja przyszłość, twoja spuścizna, więc powinnaś wiedzieć, co się tu dzieje”.

To, co pani Ashton miała do powiedzenia na temat mojej Matki, ani trochę mnie nie uraziło. Wiedziałam bardzo dobrze, jaka była moja Mama.

Pani Ashton służyła w Beaumont House, odkąd przysłano ją tu, by została pokojówką w wieku czternastu lat. Pracowała dla moich dziadków i знаła mojego Ojca jeszcze jako chłopca. Zawsze była bardzo dumna ze swojej pracy i spełniły się jej ambicje, gdy awansowano ją wreszcie na gospodynię. Z przykrością patrzyłam na nią teraz, zdegradowaną do roli kucharki i posługaczki. Pomyślałam, że mama była bardzo okrutna, skoro potraktowała w ten sposób tak dumną kobietę. Pani Ashton spędziła tu znacznie więcej czasu niż mama i jej szacunek oraz lojalność wobec rezydencji rodziny Beaumont były znacznie silniejsze niż u jej pani. Pani Ashton patrzyła na mnie uważnie.

„Mam nadzieję, że twój ojciec wróci niebawem do domu, Tilly”, powiedziała. „Martwię się, że będziesz tu sama”.

Wzruszyłam ramionami i lekceważąco machnęłam ręką. Nie miałam dużo szacunku dla matki, ale na pewno się jej nie bałam. Jeszcze nie.

„Poradzę sobie”, zapewniłam ją. „Poza tym ty się mną nadal opiekujesz”.

„Będę dawała z siebie wszystko, ale nie powinnaś przebywać w otoczeniu tych wszystkich młodych mężczyzn”, powiedziała.

Nie wiedziałam dokładnie, co miała na myśli, ale domyśliłam się, że chodziło jej o to, iż żołnierze mogliby pomyśleć, że jestem ładna. Szczerze mówiąc, nawet mi się to spodobało. Krótki pocałunek Petera chyba obudził we mnie nową próżność. Chciałam, żeby chłopcy zwracali na mnie uwagę! Być może wcale się tak bardzo nie różniłam od matki.

Pani Ashton zajęła się znowu gotowaniem, ale widziałam, że nadal miała zaszepioną minę.

„Nie będzie sobie dobrze radziła ze starzeniem się, Matildo”, ostrzegła mnie. „Kobiety takie jak ona nie starzeją się godnie. I nie lubią, kiedy przyćmiewają je ich córki. Już to widziałam. Musisz być ostrożna, kochanie. Bardzo ostrożna”.

„Co się stało z meblami i obrazami?”, zapytałam, żeby zmienić temat. Myśl o tym, że matka mogłaby być o mnie zazdrosna, wywołała u mnie dyskomfort.

„Nie ma ich”, odpowiedziała pani Ashton krótko. „W głównej mierze zostały sprzedane, żeby utrzymać dom. I zapewnić twojej matce jedwabne pończochy z czarnego rynku. Co nieco schowano w domkach i biedny pan Wise zdołał schować co cenniejsze obrazy w stodole, zanim go odprawiono, ale poza tym Matka pozbyła się wszystkiego. Z wyjątkiem swojej biżuterii. Tę zachowała. To była pierwsza rzecz, którą wcisnęła pod łóżko, gdy przeprowadziła się do domku. Zabrała też garderobę, swoje futra i suknie, chociaż Bóg jeden wie, na co one komu potrzebne w czasie wojny!”.

„Co powie Papa, gdy wróci do domu?”, zapytałam, zszokowana zachowaniem Matki. „Przecież te rzeczy należały do jego, a nie jej rodziny!”.

„Jeszcze nigdy w historii w Beaumont House nie brakowało pana aż do tego stopnia! No dobrze”, rzuciła nagle, podnosząc tacę. „Ty i Badger lepiej się stąd zwijajcie. Szpitalna kuchnia to nie miejsce dla dzieci, a już na pewno nie dla psów!”.

Też tęskniłam za Papą i pragnienie, żeby przyjechał, nasilało się coraz bardziej, gdy mijały tygodnie i zdałam sobie sprawę z tego, co się stało z moim domem. Wielu żołnierzy poważnie ucierpiało, tak fizycznie, jak i emocjonalnie. Nocą w starym domu echem odbijały się krzyki tych, którzy we śnie przeżywali od nowa swoje największe koszmary. Wyobrażałam sobie, że słyszę ich płacz przez otwarte okno w sypialni w domku ogrodnika. W ciągu dnia dom wypełniał jęk mężczyzn nękanych potwornym bólem. Co tydzień furgonetka wywoziła ciała, niekiedy niewiele starszych ode mnie chłopców, żeby wróciły na łono zbolełych rodzin. Ci biedacy wrócili do Brytanii żywi, ale nie zdołali dotrzeć do domów. Serce mi pękało. Tymczasem ciężarówki i karetki codziennie dowoziły rannych mężczyzn prosto z frontu. Wiedziałam, pomimo swojego wieku, że w piątek furgonetka znowu wywiezie stąd kogoś martwego. To była twarda lekcja dla dwunastolatki.

Na terenie znajdowało się mnóstwo dochodzących do siebie mężczyzn i chłopców. Niektórzy zachowywali się przyjaźnie i rozśmieszali mnie głupiutkimi opowiastkami i zabawnymi dowcipami. Większość jednak była zbyt ciężko ranna, żeby móc nadal dostrzegać radość życia. Zmuszałam się do tego, by patrzeć na ich obrażenia, mimo że to sprawiało mi ból, bo wiedziałam, że poświęcili wszystko dla mojego bezpieczeństwa i wolności.

Jeden z mężczyzn fascynował mnie szczególnie. Nie potrafiłam określić, ile miał lat, jakiego był wzrostu ani jak jego twarz mogła wyglądać, zanim został ranny. Jeździł na wózku inwalidzkim, bo obie nogi amputowano mu powyżej kolan. Czaszka mu pękła w czasie wybuchu. Miał bardzo jasne blond włosy, jak Peter, i przyłapałam się na tym, że się zastanawiałam, czy jeszcze przed kilkoma tygodniami był równie piękny jak Peter. Miał na imię Jim i zawsze siedział w ogrodzie, nawet w czasie



deszczu. Nie rozmawiał ze mną, tylko z Badgerem. Mój mały Jack Russell wskakiwał Jimowi na kolana i godzinami leżał cierpliwie na pledzie w kratę. Jakby rozumiał, jak bardzo ten człowiek go potrzebował. Po tym, jak Jim odjechał w pewien piątek przerażającą furgonetką, Badger miał trochę mniej wigoru i był bardziej przygaszony. Nikt z nas nie wyszedł z tamtych lat w Beaumont House bez trwałych blizn.

Mama zaprzyjaźniła się w swoim stylu z jednym z brygadierów z chorą nogą. To był głośny, rozwrzeszczany, zadufany w sobie nudziarz, niejaki Wilfred Scott-Thomas i, w porównaniu z typowymi wybrańcami Mamy, ten wydawał się wyjątkowo paskudny. Foster to przynajmniej przystojny gość. Scott-Thomas był grubym, przysadzistym ropuchem o cofniętym Podbródku i wydatnym nosie poznaczonym fioletowymi popękаныmi naczynkami. Kuliłam się za każdym razem, gdy dotykał mojej Matki. Nie tylko dlatego, że była nielojalna wobec Papy – przez wiele lat widziałam, jak dotykali jej różni mężczyźni – ale dlatego, że jego ohyda tak bardzo się kłóciła z jej urodą. Pani Ashton i ja zaczęłyśmy potajemnie nazywać brygadiera Bestią.

Do Bożego Narodzenia 1944 roku zdążyłam się nawet przyzwyczaić do obecności Bestii w domku. Wydawało się, że był już zdrow i prawie nie utykał na chorą nogę, więc nie miałam pojęcia, co on nadal robił w szpitalu. No i w zasadzie nie spędzał czasu w szpitalu. Nie. Całymi dniami zanudzał mnie i Mamę niemającymi końca opowieściami o jego bohaterskich czynach we Francji albo wyciągał się na naszym szeszlangu, czytał gazety i objadał się naszymi tygodniowymi racjami żywnościowymi. W nocy słyszałam jego pomruki i skrzypienie łóżka dobiegające z pokoju matki położonego po drugiej stronie korytarza. Robiło mi się od tego niedobrze. Gardziłam nim. I stopniowo zaczęłam gardzić własną Matką.

Gwiazdka była szczególnie przygnębiająca w owym roku. Brakowało pieniędzy na prezenty, a chłód i wilgoć nie służyły zdrowiu żołnierzy. W Beaumont House w Boże Narodzenie zmarło trzech ludzi. Nie potrafiłam wykrzesać w sobie radości i śpiewać

kolęd. Mama zmęczyła się rolą Florence Nightingale i rzadko kiedy pracowała w szpitalu. Zniknął jej mundurek pielęgniarki i wróciła do swojej zwyczajowej garderoby składającej się ze strojów do jazdy konnej, dopasowanych tweedowych kostiumów, futer i aksamitu. Wyglądało na to, że źródło czerwonej szminki od Chanel raczej nie wyschnie niebawem.

Razem z Bestią obchodzili prywatne Boże Narodzenie dla dwojga w domku ogrodnika. Zaprosili mnie do siebie, ale wyczułam, że to zaproszenie wynikało raczej z poczucia obowiązku, a nie chęci przebywania z dzieckiem przy stole. Zjadłam świąteczny lunch z panią Ashton i pielęgniarkami w kuchni. Wychodząc z domku, obejrzałam się za siebie i zobaczyłam Matkę i Bestię siedzących przy wielkim stole, który wciśnięto do skromnej jadalni. Matka wystroiła się w jedwabną suknię i naszyjnik z rubinów. On miał na sobie mundur i był bardzo zadowolony z siebie. Trzymali się za ręce, gdy stukali się kieliszkami wina. Mama odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiewała się z czegoś, co powiedział. Brygadier się pochylił i pocałował ją w długą i białą jak lilia szyję.

Być może upadek Matki był korzystny dla mojego rozwoju. Pierwszego dnia 1943 roku skończyłam trzynaście lat. Pani Ashton zdołała jakimś cudem zdobyć składniki, żeby upiec dla mnie przepyszny biszkopt, a żołnierze z głównej sali odśpiewali z wigorem „Sto lat”. Nie było klejnotów, nowego kucyka, błyszczącego roweru czy wycieczki do Londynu. Niemniej ten dzień wydawał się stosownym zakończeniem dzieciństwa. Byłam już nastolatką. Uznałam, że najwyższa pora dorosnąć.

Pracowałam do końca wojny. W ciągu tygodnia chodziłam do szkoły, a wieczorami i w weekendy pomagałam z całych sił w szpitalu lub w kuchni. Prałam pościel, szorowałam brudne podłogi, siekałam warzywa, gotowałam wodę i praktycznie robiłam wszystko, o co mnie poproszono. Kiedy moje serce zamknęło się na Matkę, otworzyło się na mężczyzn i chłopców, którzy cierpieli w naszych progach. Nauczyłam się nie zwracać uwagi na ich poparzenia i rany, aby naprawdę móc ich poznać. Wielu z nich

wywodziło się z rodzin zupełnie różnych od mojej i fascynowały mnie ich opowieści o domu, gdziekolwiek się on znajdował. Nabijali się z tego, że mówiłam, jakbym miała kulki w policzkach, ale wydaje mi się, że mnie raczej lubili. Tamtego roku przestałam być rozpieszczoną, snobistyczną ignorantką i z dumą stwierdzam, że stałam się o wiele lepszą i gruntowniej wykształconą kobietą. Bóg jeden wie, co by ze mnie wyrosło, gdyby wojna nie uratowała mnie przede mną i moim pochodzeniem.

Bestię uznano w końcu za zdrową, chociaż odłamek w nodze uniemożliwiał mu aktywną służbę. Dostał pracę za biurkiem w Westminsterze – niestety, zbyt blisko Beaumont House, aby mogło mnie to pocieszyć. Nadal był często obecny w domku. Kiedy Mama nie przebywała w towarzystwie Bestii, zrobiła się samotnikiem. Przyjaciele przestali ją odwiedzać w chwili, gdy w domu pojawiło się wojsko. Zauważyłam, że jej oddech pachniał dżinem jeszcze przed lunchem. Choć pozostała piękna i nadal ubierała się nadzwyczaj dobrze jak na tamte czasy, jej eleganckie rysy zaczęły nabierać charakteru maski. Rzadko kiedy się śmiała lub uśmiechała, nie okazywała też innych emocji. W jej oczach nie było już życia. Nigdy nie była matką, ale teraz wydawało się, że przestała też być człowiekiem.

## *Rozdział czternasty*

St John's Wood, Londyn, 2012

Sophia patrzyła przez okno na Regent's Park po prawej stronie.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała cicho. – Nie wiem, dlaczego nie przyjechałam tu wcześniej.

– Najważniejsze, że już tu jesteś – odezwał się Hugo, gdy taksówka zatrzymała się na parkingu przed szpitalem Wellington. – I to się liczy. A teraz już idź!

Ściskając w dłoni wizytówkę z informacją na temat sali babci, Sophia szła za znakami na oddział onkologii. To był jeden z owych eleganckich prywatnych szpitali, które bardziej przypominały hotele. Tylko woń środków dezynfekujących, buty na gumowych podeszwach i przyciszone głosy zdradzały prawdę. Sophia podeszła do recepcji, nadal ściskając list, i uśmiechnęła się do pielęgniarki za kontuarem.

– Przyszłam spotkać się z babcią – powiedziała.

Pielęgniarka podniosła wzrok, przyglądała się Sophii przez chwilę, a potem na jej twarz wypłynął ekstatyczny uśmiech.

– Sophia! – wykrzyknęła. – To ty jesteś Sophią!

Sophia przytaknęła, trochę zaskoczona serdecznym przyjęciem.

– Przepraszam – odezwała się pielęgniarka, która była mniej więcej w tym samym wieku co Sophia, ale wyglądała raczej na dorosłą trzydziestolatkę, a nie wyrosniętą nastolatkę. Na plakietce widniało imię Linda.

– Babcia będzie przeszczęśliwa, że przyszedłeś – ciągnęła Linda. – Trzyma przy łóżku twoje zdjęcie i przez cały czas pisze listy do ciebie. Chodź, chodź. – Linda poprowadziła ją korytarzem. – Z powodu morfiny bywa niekiedy senna, ale dzisiaj ma dobry dzień. Uwielbiamy Tilly, a to jest to, na co czekała.

Linda zapukała do drewnianych drzwi na końcu korytarza. Zza drzwi dobiegał stłumiony dźwięk włączonego telewizora.

– Proszę! – zawołał wesoły, pewny siebie głos.

Sophia natychmiast rozpoznała głos babci i w tym momencie wszystko do niej wróciło: pieszczoty, wspólne dni, eleganckie herbatki, zabawne opowieści, ciepło, radość, cudowne uczucie, że jest się kochanym, bezpiecznym i rozumianym.

– Przyszedł do ciebie nieoczekiwany gość, Tilly – powiedziała Linda, otwierając drzwi.

Sophia wygładziła spodnie, zdjęła jakąś nitkę ze swetra, przeczesała włosy dłonią i wzięwszy głęboki wdech, weszła do środka. Babcia patrzyła na nią przez chwilę, mrugając oczami i z otwartymi ustami, jakby zobaczyła ducha.

– Sophia – odezwała się w końcu głosem trzęsącym się z emocji. – Chodź tu. Pokaż mi się. Nie mogę uwierzyć, że w końcu przyszedłeś.

Babcia przywołała ją skinieniem dłoni, równocześnie uśmiechając się i płacząc. Gdy Sophia wpadła w jej ramiona, łzy popłynęły jej po twarzy. Chłoneła zapach ulubionych perfum babci (Je Reviens Wortha, przypomniała sobie natychmiast) i miękkość jej srebrzystych włosów. Starsza pani po prostu ją tuliła i szeptała jej do ucha:

– Cii, Sophio, wszystko jest w porządku.

Sophia natychmiast znalazła się na dworcu Waterloo. Był tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi rok i miała dziesięć lat. Pokłóciła się potwornie z rodzicami – to była najgorsza kłótnia w jej życiu. Teraz nie mogła sobie nawet przypomnieć, co takiego zrobiła, ale pamiętała, że ojciec po raz pierwszy użył wobec niej określenia „bezwartościowa”. Spakowano jej rzeczy i wysłano ją do babci w nielące; po raz pierwszy musiała podróżować samotnie pociągiem. Płakała przez całą drogę ze stacji Virginia Water do Londynu, przepełniona poczuciem wstydu i nienawiści do siebie, a kiedy pociąg wjechał na peron, babcia już tam była i czekała na nią z szeroko otwartymi ramionami i uśmiechem na twarzy, gotowa ją objąć i kochać bez względu na to, co zrobiła w domu. Dlaczego potrzebowała tak dużo czasu, by tu do niej przyjechać?

– Przepraszam, babciu – szlochała. – Przepraszam.  
Powinnam przyjechać dawno temu. W ogóle nie powinnam przestać się z tobą widywać. Ale się wstydziłam. Myślałam, że po tym, co zrobiłam i co mama i tata o mnie myśleli, też miałaś o mnie złe zdanie. Nie mogłabym znieść widoku rozczarowania w twoich oczach. Ale tęskniłam za tobą, babciu. Bardzo tęskniłam.

– To bez znaczenia – powiedziała babcia łagodnie, gładząc ją o włosach. – Jesteś tu teraz, mój aniołku. I pozwól, że powiem ci coś ważnego. Spójrz na mnie, Sophio.

Sophia spojrzała w błękitne oczy babci.

– Nigdy nie ujrzysz w moich oczach rozczarowania, gdy będę na ciebie patrzyła – oznajmiła ze zdecydowaną pewnością. – To ja ciebie zawiodłam. Nie masz mnie za co przepraszać.

– Nigdy mnie nie zawiodłaś, babciu – odparła Sophia.

Babcia westchnęła głęboko i ledwie dostrzegalnie pokręciła głową. Przez chwilę Sophia czuła się zdezorientowana, jakby coś przegapiła, ale serdeczny uśmiech błyskawicznie wrócił na twarz babci.

Tilly zamówiła herbatę. Sophia usiadła z boku łóżka. Trzymała babcię za rękę i uśmiechała się szeroko jak idiotka.

– Bardzo dobrze wyglądasz, babciu – zauważyła. – Hugo stwierdził, że będziesz pewnie wyglądała jak duch.

– Czuję się nadzwyczaj dobrze – odpowiedziała babcia wesoło. – Żyję z tym cholernym guzem w żołądku od lat. Rósł powoli, ale lekarze panowali nad nim za pomocą lekarstw przez bardzo długi czas. Ostatnio urósł i rak przeniósł się na kości. Nie mogę tańczyć tanga, ale nie czuję się tak źle, jak można by oczekiwać. A dzisiaj, gdy ciebie widzę, nie posiadają się ze szczęścia!

Sophia przełknęła ciężko ślinę i mocno ścisnęła babcię za rękę. Nie chciała myśleć o stanie zdrowia babci. Wszyscy twierdzili, że umiera, tymczasem ona wyglądała bardzo żywo. Była stara, krucha i boleśnie szczupła, ale oczy nadal jej błyszczały, a uśmiech rozjaśniał ponury listopadowy dzień.

– Czytałaś moje listy? – zapytała, gdy doszła do siebie.

– Tak – przytaknęła Sophia, czując ulgę w związku z tym, że mogła powiedzieć prawdę. – Jeśli mam być szczerą, ostatni czytałam w taksówce w drodze tutaj, ale to długa historia związana z Nathanem. Nieważne. On już się nie liczy. Teraz to rozumiem.

– Nigdy mi się nie podobał – oznajmiła babcia ze ściągniętymi brwiami. – Ma zbyt głęboko osadzone oczy.

– Ależ babciu – wyrzuciła z siebie Sophia. – Wszyscy byli nim zachwyceni. Mama chyba chętnie sama by za niego wyszła!

– Możliwe, ale twoja matka nie ma zbyt dużego doświadczenia z mężczyznami – ciągnęła babcia. – Oczy są zwierciadłem duszy, a jeśli nie widzisz oczu faceta, nie możesz wiedzieć, co czuje. Twój dziadek miał piękne oczy. Nie potrafił ukrywać emocji. To dlatego odniósł taki sukces. Gdy pojawiał się na wielkim ekranie, każda kobieta, która na niego patrzyła, wierzyła, że był w niej zakochany.

Oczy babci zaszły mgłą i Sophia wiedziała, że straciła ją na moment. Tilly potrzebowała tylko krótkiej chwili, by wrócić do swojego pokoju.

– Właśnie skończyłam spisywać kolejną część wspomnień, kochanie. – Uśmiechnęła się. – Chciałabyś je przeczytać?

## *Rozdział piętnasty*

### Beaumont House, lata po wojnie

Telegram przyszedł 7 kwietnia 1945 roku. Na miesiąc przed końcem wojny. To ja otworzyłam drzwi i w chwili gdy ujrzałam młodego chłopaka w mundurze, wiedziałam, że przynosi złe wieści. On też to wiedział. Byliśmy w mniej więcej takim samym wieku. Nasze spojrzenia się spotkały na moment, kiedy podawał mi telegram; bez słów powiedział mi, że jest mu przykro. Papa zaginął w akcji. Jego samolot zestrzelono nad Nadrenią. Nikt nie wiedział, co się z nim stało.

„Na pewno nie żyje, biedaczysko”, wrzasnął Bestia i poklepał Mamę po plecach. „Jaka szkoda, że to się stało na tym etapie. Szczęście nam sprzyja, jestem tego pewien. Koniec wojny jest już przesądzony”.

Podał Mamie mocny dzin z tonikiem. Jeszcze nigdy nie chciałam skrzywdzić drugiego człowieka tak bardzo jak brygadiera Wilfreda Scott–Thomasa tamtego dnia. Przyznaję ze wstydem, że życzyłam mu śmierci. Dlaczego on żył i miał się dobrze w naszym salonie, podczas gdy Papa był zaginiony i najprawdopodobniej stracił życie? No i Mama nie okazywała żadnych emocji, tylko siedziała jak manekin w fotelu, sączyła dzin i się nie odzywała.

Wybiegłam z domku, żeby poszukać pocieszenia w ramionach pani Ashton. Była moją opoką w ciągu następnych kilku potwornych tygodni. Gdy reszta narodu świętowała zakończenie wojny ósmego maja, ja znajdowałam się w najgorszym stanie zawieszenia. Nie otrzymałyśmy potwierdzenia śmierci Papy. Nie znaleziono jego ciała. Uznano go oficjalnie za zaginionego w akcji. Nie kontaktował się z nikim i nikt go nie widział. Chaos panujący pod koniec wojny uniemożliwił zdobycie informacji o tym, co się z nim stało. Żywiłam nadzieję, ale trzymałam się jej koniuszkami palców. Nikt poza mną nie wierzył, że mój ojciec miał szansę przeżyć, ale gdy leżałam na łóżku i tuliłam Misia Freddiego, modliłam się bez końca.



Sześć tygodni po dniu zwycięstwa przyszedł drugi telegram. Papa żył. Przeżył katastrofę lotniczą, ale był poważnie ranny i Niemcy natychmiast go schwytali jako jeńca wojennego. Los mu jednak sprzyjał. Gdy nadciągali zwycięscy alianci, Niemcy uciekli i zostawili Papę w porzuconym obozie na pewną śmierć. Na szczęście amerykański patrol znalazł go nieprzytomnego, ale nadal oddychającego, i zabrał do szpitala polowego, gdzie go leczono. Nie odzyskiwał przytomności przez kilka tygodni i Jankesi mogli stwierdzić tylko to, że był oficerem RAF-u. Jego dokumenty zaginęły i nikt nie wiedział, kim jest tajemniczy żołnierz do czasu, gdy odzyskał przytomność kilka tygodni po tym, jak Niemcy się poddali. Wtedy zdołał wyszeptać swoje nazwisko.

Moja radość związana z tym, że Papa żył, trwała jednak krótko. Człowiek, który w końcu wrócił do Beaumont House w lipcu 1945 roku, nie był moim ojcem. Nic nie mogłoby przygotować mnie do tego, w jakim stopniu ucierpiał. Widziałam podobne poparzenia, blizny i deformacje u innych mężczyzn w szpitalu, ale nie znałam ich wcześniej, zanim zostali ranni, i nie mogłam tęsknić za nimi dawnymi. W przypadku Papy było zupełnie inaczej. Znałam jego przystojną twarz lepiej od swojej. Bez końca jeździłam na barana na jego mocnych ramionach, przywierałam do jego długich nóg i zasypiałam przy dźwięku jego głębokiego, melodyjnego głosu. Wszystkie elementy, które składały się na to, że ojciec był moim ojcem, zostały rozdzielone i zniszczone. To było jego ciało – puls, oczy, ramiona, jedna noga, ale suma tych części nie tworzyła Papy.

Siedział w milczeniu na wózku inwalidzkim i nie pokazywał po sobie, że mnie poznaje, ani się nie przywitał. Trwał w stanie takiej śpiączki przez wiele miesięcy, a ja krzątałam się przy nim, karmiłam go zupą, przemywałam rany, czytałam książki i opowiadałam kulawe dowcipy. Mama go całkowicie ignorowała, a Bestia kontynuowała swoje wizyty, jakby pan domu wcale nie wrócił.

„Przeklęci Niemcy”, mawiała Bestia. „Tak urządzić takiego wspaniałego człowieka”.

„Freddie wolałby nie żyć”, oznajmiła Mama. „Na pewno nienawidzi swojego stanu. Zawsze był sprawny fizycznie. Czy mówiłam ci, jak świetnie grał w tenisa, Wilf? No i naturalnie grał w rugby w Cambridge... Biedaczysko”.

Robiło mi się niedobrze, gdy Mama tak o nim mówiła, jakby był kimś, kogo znała, a nie jej mężem, który nadal z nami mieszkał, żył i siedział w tym samym pokoju. Przestałam chodzić do szkoły, przygotowałam łóżko dla Papy w salonie i spałam na podłodze obok niego, przerażona, że mógłby przestać oddychać w nocy. Czasami Bestia zostawała na noc i razem z Papą musieliśmy znosić torturę wsłuchiwanie się w jego postękiwanie i jęki mamy. Każdą chwilę, gdy nie spałam, poświęcałam biednemu ojcu i wreszcie mój wysiłek przyniósł skutek. Pewnego ranka, gdy nakarmiłam go owsianką z syropem cukrowym, Papa spojrzał na mnie i bardzo, bardzo cicho, ale wyraźnie, powiedział: „Dziękuję ci, moja kochana Tilly”.

Szpital wojskowy zamknięto i wszyscy żołnierze oraz personel wyjechali, ale nie mogliśmy się przeprowadzić do Beaumont House. Podobnie jak jego pana, wojna zniszczyła sam budynek. Dziur w dachu nigdy nie naprawiono i deszcz padał do środka przez sześć lat. Ściany i podłogi popękały, pokryły się zarysowaniami i zgnilizną. Brakowało pieniędzy na opłacenie napraw, nie było mebli, personelu. Nawet pani Ashton odeszła, żeby prowadzić sklep spożywczy we wsi. Powiedziała, że nie może sobie dłużej pozwolić na pracę za darmo dla Beaumontów. Papa nie był świadom naszej sytuacji, a Mama zdawała się nią nie przejmować. Na początku 1946 roku razem z brygadierem zniknęła, żeby „dojść do siebie po tej strasznej wojnie” i odwiedzić przyjaciół na Barbados. Wrócili dopiero jesienią. Nikt za nimi nie tęsknił. A już najmniej ja.

Po wyjeździe Mamy Papa zaczął cudownie wracać do zdrowia. Nie był dawnym sobą, ale zaróżowiły mu się policzki i choć pozostał przykuty do wózka inwalidzkiego do końca życia, odzyskał siłę w rękach i barkach i bardzo sprawnie poruszał się po terenie. A co najważniejsze, znowu rozmawiał.

„Chciałabyś się zobaczyć z Polly?”, zapytał mnie pewnego kwietniowego popołudnia.

„Z Nianią Miller?”, upewniłam się podekscytowana. „Wie Papa, gdzie jest? Próbowałam się z nią skontaktować. Kilka razy pisałam do niej na adres jej rodziców w Malmesbury, ale nie odpowiedziała. Bardzo bym chciała się z nią spotkać. Tak bardzo za nią tęskniłam!”.

Papa przytaknął.

„Często do mnie pisała w czasie wojny. Przeprowadziła się do Bristolu i pracuje jako nauczycielka w szkole podstawowej. Zdaje się, że miewa się bardzo dobrze. Podobnie jak jej syn... – Urwał i dał mi czas, żeby mój umysł nadążył za tokiem rozmowy.

Przypomniała mi się noc w hotelu Claridge's i to, jak Niania wemknęła się do naszego pokoju. Przypomniał mi się zegarek z Asprey i pognieciona sukienka. Pomyślałam o tym, jak nagle i okrutnie ją odprawiono, gdy Papa walczył na wojnie, a ja byłam w szkole. Przypomniało mi się też, jak Mama mruczała pod nosem: „zdzira”, „ładaczka”, „bezwstydnica”. Teraz miałam dość lat, by to wszystko poskładać.

„Ile lat ma jej syn?”, zapytałam, patrząc ojcu w oczy.

Nie odwrócił wzroku. Nie wstydził się tego. Być może wojna zniszczyła niektóre ograniczenia i okowy grzecznego społeczeństwa.

„Pięć”, odparł Papa. „Thomas ma teraz pięć lat. We wrześniu skończy sześć”.

Zrobiłam rachunek. Dziecka nie poczęto w hotelu Claridge's. Było zbyt małe. Pewnie doszło do tego, gdy papa przyjechał do domu przed wyjazdem na wojnę na Boże Narodzenie 1939 roku. Byłam ciekawa, jak długo trwał ich romans. I czy Papa nadal kochał Polly. Po raz pierwszy od powrotu z Niemiec zaproponował, żebyśmy wyjechali z posiadłości rodziny Beaumont. Wiedziałam jednak, że nie powinnam drażnić tematu. W tamtych czasach ojciec nie musiał się opowiadać przed córką. Papa tylko szorstko skinął głową.

„Odwiedzimy ich w przyszłym tygodniu”, oznajmił. „Nie

mogę ich odwiedzić bez twojej pomocy, Tilly. Nie na tym przeklętym ustrojstwie. Umiesz prowadzić samochód?”

Przytaknęłam. Miałam zaledwie szesnaście lat, ale w czasie, gdy w domu funkcjonował szpital, nauczyłam się prowadzić samochody, jak również ciężarówki i karetki.

„Czy moje samochody nadal stoją w garażu?”, spytał Papa. Pokręciłam głową.

„Mama je sprzedała”, wyjaśniłam. „Ale Foster zotawił swoją furgonetkę bedford. Jeździłam nią już do Chippenham i z powrotem, a z tyłu jest mnóstwo miejsca na wózek. W garażu jest też kanister z paliwem. Powinno wystarczyć na jazdę do Bristolu”.

Temat był zamknięty. Już nigdy więcej nie rozmawialiśmy otwarcie o romansie mojego Ojca. Nie potrzebowaliśmy tego. Wiedział, że zrozumiałam. Gdyby moja Matka była uczciwą, lojalną żoną, na pewno przeraziłaby mnie niewierność Ojca, ale jak mogłam go potępiać, skoro Matka żyła z innym mężczyzną pod jego nosem?

Niania w ogóle się nie zmieniła. Kiedy dotarliśmy pod drzwi jej eleganckiego segmentu w Clifton, objęła mnie. Jeżeli wygląd Papy ją zszokował lub przeraził, nie dała tego po sobie poznać. Pocałowała go serdecznie w policzek, powiedziała, że dobrze wygląda, i wprowadziła go do salonu, w którym czekały już herbata i ciasteczka. Włosy nadal miała blond i kręcone, oczy błyszczące i błękitne, i mimo że była matką, nadal miała szczupłą talię. Dom prezentował się wspanialej, niż oczekiwałam. Zdziwił mnie też widok ślubnych fotografii w ramach stojących na półce nad kominkiem. Niania zauważyła mój wzrok i ścisnęła mnie za rękę.

„To mój mąż, Martin”, wyjaśniła. „Pobraliśmy się przed dwoma laty. Jest dyrektorem, a ja jestem teraz nauczycielką. Jesteś ze mnie dumna?”

Przytaknęłam. Niania Miller, albo pani Williams, naprawdę doskonale sobie poradziła w życiu. Zerknęłam na Papę, zatroskana tym, jak może przyjąć wieść o zamążpójściu jego kochanki, ale uśmiechał się czule do Polly i wydawał się w ogóle niezaskoczony.

„Wiedział Papa, że Niania wyszła za mąż?”, szepnęłam do niego, gdy Polly poszła do pokoju Thomasa, żeby go przyprowadzić.

„Ależ tak, oczywiście”, odparł Papa. „Czy to nie wspaniałe? Dyrektor. Wesoly, porządny chłop. Cieszę się razem z Polly. Zorganizowała udane życie dla siebie i Thomasa. Zasluguje na to”.

„Ale...”, z trudem dobierałam słowa. „Czy to nie jest... no, wie Papa... trochę niezręczne?”.

Ojciec uśmiechnął się do mnie.

„Jesteś młoda, Tilly”, powiedział. „Jestem pewien, że masz głowę pełną romantycznych wizji miłości i szczęśliwego życia. I mam nadzieję, że pewnego dnia właśnie to cię spotka. Życie jest jednak skomplikowane, a świat był ostatnio bardzo okrutnym miejscem. Dziękuję Bogu za Jego przejawy łaskawości. Mam ciebie. Polly jest mi bliską przyjaciółką. Mogę od czasu do czasu odwiedzać Thomasa. Pewnie nawet na to nie zasługuję. To mi wystarczy, Tilly. Naprawdę”.

Kiedy Thomas wbiegł do pokoju, nie miałam wątpliwości, kto jest jego ojcem. Wykapany Papa – taki szczęśliwy, silny i pełen życia, że aż się rozplakałam na wspomnienie tego, jaki Ojciec kiedyś był. Cieszyłam się z tego, że po szesnastu latach życia w poczuciu, że jestem jedynaczką, dowiedziałam się, że mam przyrodniego brata, nawet jeśli musiałam zachować to w tajemnicy.

Gdy po zmroku kierowałam samochodem, a Papa spał obok mnie, w moim sercu zagościła melancholia. Wojna wyrzuciła wszystko do góry nogami. Teraz, gdy się skończyła, wokół zapanował niepewny i nieznan nam spokój, nic jednak nie wróciło tam, gdzie powinno. Chyba nikt nie odzyskał należnego mu miejsca. Nikt nie żył z tymi, których naprawdę kochał. Miałam brata, którego nie znałam, Ojciec miał kochankę, która poślubiła kogoś innego, a Matka... odeszła z Bestią i miała to, na co zasługiwała, przynajmniej moim zdaniem. Tej nocy, gdy prowadziłam zniszczonego starego bedforda Fostera pełnymi wybojów wiejskimi drogami, poprzysięgam sobie, że nigdy nie

pójdę na kompromis w kwestii miłości. Chciałam przeżyć bajkę i nie zgodziłabym się na nic innego.

Znany mi świat popadł w ruinę. Dostatek, pieniądze i przywileje, które brałam za pewnik, teraz już nic nie znaczyły. Wojna nauczyła mnie, że mogę nie tylko przeżyć, ale wręcz rozkwitać bez dóbr materialnych. Tym, co miało znaczenie, byli ludzie: z krwi i kości, z sercami i umysłami. A jeśli ciało krwawiło, a serca pękły, naprawić je mogła tylko miłość. Tak, tym, co teraz się liczyło, była miłość. Miłość, wolność, pokój i szczęście. Od tej pory odnalezienie ich stało się moim życiowym celem.

Często słuchaliśmy z Papą radia. Albo czytałam mu gazety. Szczególnie mocno zafascynowały mnie i przeraziły wieści z Japonii w rok po spuszczeniu bomb atomowych na Hiroshimę i Nagasaki. W czasie wojny o Niemcach i Japończykach myślałam wyłącznie jak o wrogach – bezimiennych, pozbawionych twarzy, przerażających, obcych. Teraz jednak, gdy czytałam historie konkretnych Japończyków, coś poruszyło moje sumienie. Płakałam nad tymi ludźmi. Usiłowałam wyobrazić sobie dwieście tysięcy zabitych, ale przekraczało to możliwości mojej wyobraźni.

„Nienawidzę wojny”, oznajmiłam ojcu. „Modłę się, żeby nigdy nie doszło do kolejnej. Modłę się każdą komórką ciała, żeby coś takiego już nigdy, przenigdy się nie wydarzyło”.

Papa się wtedy uśmiechnął. Położył mi poznaczoną bliznami dłoń na kolanie i delikatnie je ścisnął.

„W takim razie nie walczyłem na darmo, Tilly”, powiedział.

## *Rozdział szesnasty*

St John's Wood, Londyn, 2012

Sophia przełknęła ciężko ślinę i odłożyła list na szafkę przy łóżku.

– Jak babcia może znieść takie wspomnienia?

Babcia wzruszyła ramionami i lekko się uśmiechnęła. Nagle wydawała się bardzo zmęczona, jak dziecko, które stara się nie zasnąć do końca bajki czytanej mu na dobranoc.

– To moje życie, kochanie. Nie mogę go zapomnieć. Poza tym wcale nie było takie złe. Miałam szczęście mieć cudownego ojca. Wojna to czas chaosu, ale wyniknęło z niej coś dobrego. Naprawdę się cieszę z tego, że Thomas przyszedł na świat. Wyrósł na wspaniałego człowieka. Nigdy nie dostał tego, co należało mu się od Beaumontów, ale... – mówiła powoli, jękając się, aż jej słowa rozplynęły się w sterylnym powietrzu. – Poza tym nie doczytałaś historii do końca. Zostało jeszcze kilka stron.

– Wiem – powiedziała Sophia. – Ale może mogłabym przeczytać je później? Już w domu. Tak wiele informacji muszę przetrwać. Nawet nie wiedziałam o istnieniu Thomasa...

– Oczywiście, że nie wiedziałaś – odparła babcia ze smutkiem. – To kolejny rodzinny sekret. Twoi rodzice wstydzą się jego istnienia, a ojciec nawet nie uznaje, że jest moim bratem. Zdołał przekonać twoją matkę, że mój przyrodni brat jest oszustem i naciągaczem. Tak więc Thomas nigdy nie dostanie zaproszenia na bożonarodzeniową kolację!

– Ale kontaktowała się z nim babcia przez te wszystkie lata?  
– Sophia podpytywała delikatnie.

– Nie spotykamy się zbyt często, ale regularnie do siebie piszemy, opisując swoje życie w najdrobniejszych szczegółach i z największą sympatią – odparła babcia. – Wie o tobie wszystko, Sophio. Och, i odwiedził mnie w ubiegłym tygodniu. Zupełnie nieoczekiwanie. To była cudowna niespodzianka. Nie widziałam go od lat.

– I jest babcia pewna, że to babci brat? – Sophia zapytała niemal wbrew sobie. Chociaż znała już odpowiedź.

– Jak najbardziej – oznajmiła babcia stanowczo, niemal ze złością. – I jest przeciwieństwem naciągacza. Thomas w ogóle nie jest zainteresowany moimi pieniędzmi.

Sophia natychmiast poczuła wyrzuty sumienia w związku z zadanyim pytaniem. Babcia wyglądała na wyczerpaną, a Sophia zastanowiła się, ile razy Tilly musiała już bronić Thomasa w przeszłości.

– Jestem pewna, że niebawem go poznasz i sama będziesz mogła go ocenić – powiedziała babcia, znowu łagodnym tonem. – Spodoba ci się. Nie mam co do tego wątpliwości.

Sophia przełknęła ciężko. Babcia nawiązywała do własnego pogrzebu. Bo gdzie indziej Sophia miałaby poznać dawno utraconego wuja?

– Wygląda babcia na zmęczoną – zwróciła się łagodnie do staruszki. – Poza tym nie pozwolą mi tu zostać na noc! Ale wrócę jutro. Jeszcze tak dużo musimy sobie powiedzieć. Zmarnowałam i tak zbyt dużo czasu.

– No i jesteś oczywiście ciekawa swojej spuścizny... – babcia zawiesiła głos i przyglądała się Sophii uważnie spod ciężkich powiek.

Sophia poczuła, że ściąga brwi. Wbiła paznokcie w dłoń. Dlaczego to zdanie tak bardzo ją ubodło? Czy dlatego, że prawda jest bolesna? Rozumiała, że babcia testowała jej motywy. I nie miała jej tego za złe. Nie pojawiała się przez lata i zerwała kontakty z resztą rodziny. Wszyscy wiedzieli, że nie zarabiała i że nie wspomagał jej ojciec. Jakikolwiek spadek bardzo by się jej przydał. A mimo to pieniądze nie były powodem, dla którego złożyła tę wizytę. I babcia musiała się o tym dowiedzieć.

– Nie przyszedłam tu dla pieniędzy – oświadczyła prosto, ale z przekonaniem.

Na sekundę jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem babci. Zauważyła, że staruszka nieznacznie skinęła głową. Sophia rozluźniła pięści.



– Tak myślałam. – Babcia uśmiechnęła się słabo. – I na to liczyłam.

Blask jej oczu gasł, kolor znikał z twarzy, a głos stawał się coraz cichszy. Uniosła chude ramię i ujęła Sophię za nadgarstek. Chwył miała nadal zaskakująco silny.

– Musisz coś dla mnie znaleźć – powiedziała niemal rozpaczliwie. – Muszę coś wyjaśnić.

– Nie rozumiem – odparła Sophia. – Co takiego mam znaleźć?

– Obiecuj mi, że dzisiaj wieczorem przeczytasz ten list do końca – poprosiła babcia, wymacała kartki na szafce i rzuciła je Sophii.

– Oczywiście. A teraz musi się babcia wyspać – oznajmiła Sophia łagodnie i ostrożnie wsunęła list do torebki. – Musi babcia odpocząć.

– Od papy – mamrotała cicho babcia z półprzymkniętymi oczami. – Od papy dla mnie. Potem dla małej Alice, a teraz dla ciebie. Ale nie wiem, gdzie jest. Twoja matka wie. Twierdzi, że nie wie, ale...

– Co takiego mama wie? – spytała Sophia, usiłując wychwycić urywane słowa i znaleźć w nich sens.

– Wszystko... – szepnęła babcia, po czym zalała ją delikatna fala snu.

Sophia siedziała w milczeniu na łóżku przez kilka minut i starała się zrozumieć to, co usłyszała. Przyglądała się klatce piersiowej babci, unoszącej się i opadającej w czasie snu. I kiedy tak na nią patrzyła, przysięgła, że cokolwiek zaginęło, pomoże to odnaleźć. Nawet jeśli wiązało się to z koniecznością spotkania z mamą.

Niechętnie zostawiła śpiącą babcię i ruszyła w drogę powrotną labiryntem szpitalnych korytarzy. Wiedziała, że choćby się świat walił, wróci tu, by poznać tajemnicę rodziny. Wreszcie znalazła Hugona, który nadal siedział w kawiarni, tak jak obiecał. Nie zauważył, jak się zbliżała. Siedział przy stoliku dla dwojga z dłońmi splecionymi na kubku z latte i z kokieteryjnie

przekrzywioną na bok głową z blond czupryną. Naprzeciwko niego siedział, chłonąc każde słowo Hugona, przystojny, ciemnowłosy mężczyzna około trzydziestki. Jaką atrakcyjną parę stanowili! Sophia uśmiechnęła się mimowolnie. Hugo zdołał poderwać kogoś w szpitalu.

– Cześć, chłopcy – odezwała się Sophia, przerywając ich *tête-à-tête* i sprawiając, że zarówno Hugo, jak i jego towarzysze podskoczyli. – Przedstawisz mnie, Hugo?

– Cześć! Sophio, to jest Damon – powiedział posłusznie Hugo. – Damonie, to jest Sophia, moja najlepsza przyjaciółka, o której ci opowiadałem.

– Cześć, Sophio. – Damon uniósł się z krzesła i podał jej rękę. Miał słaby akcent z Essex, mocny uścisk dłoni i sporo pewności siebie. – Rozpoznaję cię. Zgodnie z tym, co powiedział Hugo.

Zapłonęły jej policzki. Nie lubiła, gdy ludzie mówili, że ją rozpoznają. Z jakiego powodu? Bo pojawiała się w tabloidach? Była prezenterką emitowanego późno w nocy tandetnego programu randkowego na kanale satelitarnym wieki temu? Bo policja ją przesłuchiwała z powodu przyjęcia, które zorganizowała w domu rodziców? Z żadnych z tych rzeczy nie była dumna.

– Jak się miewa Tilly? – zapytał Hugo, odrywając na chwilę wzrok od Damona.

– Dość dobrze – odparła zgodnie z prawdą. – Boże, jak dobrze było ją zobaczyć...

– Napijesz się kawy, Sophs? – spytał Hugo z nadzieją.

Widziała, że jej przyjaciel bardzo chciał zostać z Damonem jak najdłużej i rozumiała dlaczego. Jednak była wykończona po wizycie w szpitalu. Nie przygotowała się na przytłaczające uczucia, które ją pogrążyły. W jej głowie roiło się od pytań, na które nie знаła odpowiedzi. Najbardziej na świecie pragnęła wrócić do swojego pokoju, skulić się na łóżku i przeczytać kolejną porcję wspomnień babci. Musiała się dowiedzieć, o czym babcia mówiła. I zacząć rozwiązywać tajemnicę, zanim będzie za późno.

– Nie, dziękuję, kochany – powiedziała do Hugona, starając

się ignorować pokrzywdzone spojrzenie, które jej posłał w odpowiedzi. – Musimy wracać do domu. Robi się późno, a powrót zajmie nam mnóstwo czasu.

– A gdzie mieszkanie? – zapytał Damon wesoło.

– We wschodniej części miasta – odparł Hugo wymijająco, próbując zasugerować Hoxton lub Shoreditch.

– W Hackney – rzuciła Sophia. Wiedziała, że jest paskudna.

– W Hackney. Wspaniale – stwierdził Damon rzeczowo, dopijając kawę i wstając. – Podwiozę was. Mieszkam w Wanstead, więc to mniej więcej po drodze. Mam w furgonetce mnóstwo rzeczy, bo jestem malarzem i dekoratorem wnętrz, ale o ile nie przeszkadza wam kilka zakurzonych prześcieradeł, będzie wam wygodniej niż w autobusie, prawda?

– Jesteś naszym rycerzem w lśniącej zbroi. – Hugo się rozplęwał i ścisnął Damona za rękę.

Kiedy Damon jechał ciemnymi, skąpanymi w deszczu ulicami północnego Londynu z dwójką nieznajomych, opowiadał swobodnie o swojej pracy i rodzinie, zespole, w którym grał na basie, i drużynie piłkarskiej, w której grał co sobota. Nie było w tym ani krztyny skrepowania czy nieśmiałości. Hugo wpatrywał się w niego z podziwem, kiedy stykali się kolanami, a Sophia niemal czuła obecność czarodziejskiego proszku zauroczenia unoszącego się w furgonetce.

Hugo był zakochany wielokrotnie. Sophia zawsze za nim tęskniła, gdy znikał, by żyć (przez krótki czas) ze starszym się dealerem dzieł sztuki lub projektantem mody albo dyrektorem kreatywnym, ale pragnęła, żeby Hugo był szczęśliwy. Nawet jeśli oznaczałoby to dla niej konieczność samotnego życia.

Furgonetka zatrzymała się przed ich strasznym domem rodem z horroru, a silnik samochodu Damona zgasł z szarpnięciem.

Sophia wychyliła się przed Hugona i pocałowała Damona w policzek, dziękując mu za jazdę i mówiąc (z głębokim przekonaniem), że ma nadzieję, iż niebawem znowu się spotkają.

Hugo wyłonił się w końcu z furgonetki z szerokim

uśmiechem. Damon odjechał, posyłając Sophii całusa przez otwarte okno.

– No i? – zagaiła Sophia Hugona z nadzieją w głosie. – Masz jego numer telefonu?

Hugo przytaknął i szczerzył się w uśmiechu.

– Buziak na pożegnanie?

Hugo nadal potakiwał.

– Randka?

– Idziemy na kolację we wtorek. Dasz wiarę? A jak było z Tilly? – zapytał żarliwie. – Jak się zachowywała? I co to za wielka rodzinna tajemnica? To „coś”, o czym chciała ci powiedzieć.

– Nie jestem pewna – odparła Sophia. – Chce, żebym coś dla niej znalazła. Ma to coś wspólnego z moją matką. Podobno mama wie, gdzie to jest, ale nie chce powiedzieć. To wszystko brzmiało dość dziwnie.

– Widzisz? Miałem rację – stwierdził Hugo śmiało. – Czeka na ciebie okazały spadek. To pewnie jakiś ukryty Picasso, co?

Sophia pokręciła głową i się zaśmiała.

– Nie, panie łowco spadków. Nie sędzę – rzuciła. – Według mnie to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Chodzi o coś innego. O coś, czego nie pojmuję. Jeszcze.

Coś się tego dnia zmieniło. Sophia po raz pierwszy od lat poczuła, że w jej sercu zagościła nadzieja.

## *Rozdział siedemnasty*

Manhattan, Nowy Jork, 2012

– Co masz na myśli, twierdząc, że mój film jest zbyt „poważny”? – zapytał Dominic, starając się usunąć z tonu głosu narastającą irytację.

– Twoim zadaniem, Dominicu – odparła nowa szefowa działu programów dokumentalnych w ISN Media – jest dostarczanie rozrywki. I poprawianie naszej oglądalności! W tych czasach wszystko musi być „sexy”. A może nie przeczytałeś notatki służbowej?

Młoda karierowiczka (niejaka Felicity) przechyliła głowę i się uśmiechnęła, żeby pokazać, że „żartowała”. Tyle że oboje wiedzieli, iż nie było to prawdą. Cieszyła ją jej nowa władza.

– Rozumiem, że filmy dokumentalne muszą angażować widza – ciągnął Dominic. – Mój film pokazuje życie takim, jakim faktycznie jest, a nie ludzi grających przed kamerą po to, żeby przeżyć swoje piętnaście minut sławy. Rozumiem, że i na to jest miejsce, ale to nie jest to, czym zajmuje się ta firma, prawda? A przynajmniej się nie zajmowała. I ja się tym nie param.

– Nie... – powiedziała Felicity. – Zdecydowanie nie jest to w twoim stylu.

Poprzedni redaktor Dominica, Miles, został zwolniony (a raczej zachęcony do wcześniejszego odejścia na emeryturę) w czasie, gdy Dom kręcił film w Ekwadorze. W rezultacie Dominic znalazł się w dość trudnym położeniu, bo to Miles dał mu siedem ostatnich zleceń. Teoretycznie Dominic był freelancerem, ale w rzeczywistości od pięciu lat pracował wyłącznie dla Milesa. Nagle Miles wypadł z mody, a to znaczyło, że Dom wpadł w tarapaty.

Miles to przedstawiciel starej szkoły: potwornie inteligentny absolwent Harvardu, liberalny działacz ruchu na rzecz ochrony przyrody i obrońca praw człowieka, który zamawiał wartościowe, nowatorskie i wnikliwe dokumenty. W czasach świetności był uznawany za najlepszego w branży. Najwyraźniej jednak

nowoczesna telewizja nie potrzebowała Milesa. A Dominic musiał sobie radzić z Felicity. Wyglądała na dwadzieścia pięć lat i zachowywała się jak ktoś, kogo wyrwano ze studiów na kierunku mediów i przeciągnięto szybko przez system, nie dając mu możliwości nabycia doświadczenia. Patrzyła na Dominica, jakby był dinozaurem. A on po raz pierwszy w swojej karierze miał potworne przeczucie, że jego film zostanie wycofany z ramówki. Jeszcze pięć minut temu czuł się jak młody waśniak, który wszystko robi dobrze. A teraz nagle został potraktowany jak wapniak nierozumiejący świata, w którym żyje.

– Co miałem według ciebie znaleźć w lesie Yasuni? – zapytał zdumiony. – Odkryłem powiązania z mafią i korupcją. To jest „sexy”, prawda? I nie zapominaj, że gonili mnie nadzy tubylcy z włóczyniami. To niebezpieczne. Chyba jest to dość „zabawne”, nie sądzisz?

– Ten kawałek był dobry – przyznała Felicity niechętnie. – Ale reszta raczej mnie rozczarowała. – Przecież nie udało ci się porozmawiać z przedstawicielami tego plemienia, z którym dotychczas nie nawiązano kontaktu.

Potrząsnęła błyszczącymi ciemnymi włosami i przeszła Dominica znudzonym spojrzeniem. Miał wrażenie, że za chwilę zrobi balona z gumy, którą żuła.

– Taromenane nie mówią po angielsku – tłumaczył jej powoli. – Nie rozmawiają z nikim spoza swojego plemienia. I to jest głównym przesłaniem filmu. Nie mieli kontaktu z zewnętrznym światem i nie chcą go mieć. I to jest niesamowite! Nie widzisz w tym nic fascynującego?

Popatrzył na nią z nadzieją.

– Obawiam się, Dominicu, że będziemy musieli zarzucić ten projekt – powiedziała stanowczo.

Poprawiła okulary na nosie i spojrzała na niego jak rozczarowana nauczycielka łajająca leniwego uczniaka.

– Słucham? – spytał Dominic, dając wreszcie upust swojej frustracji. – Daj spokój. Poświęciłem na to trzy miesiące ze swojego życia. Zrobiłem ujęcia, jakich nikt nigdy nie widział,

przez miesiąc pracowałem nad tym materiałem...

– A ta firma wydała tysiące dolarów na projekt, który nigdy nie ujrzy światła dziennego – odparowała. – Domyślam się więc, że oboje czujemy się trochę... wkurzeni?

Trochę wkurzeni? To największe niedopowiedzenie roku! Dom patrzył przez okno nad głową Felicity i bardzo mocno gryzł się w język. Nie było sensu wdawać się w konfrontację. Musiał przekonać Felicity do siebie. Żeby dostać kolejne zlecenie.

– Posłuchaj, Dominicu. Rozumiem, że masz w tej chwili problemy osobiste... – Felicity zmieniła ton na bardziej „wrozumiały”.

Co, do cholery, jego życie osobiste miało wspólnego z pracą? I skąd ta napuszona panusia wiedziała o rozpadzie jego małżeństwa? Nagle przypomniało mu się, że Calgary pisała o „stroju singielki” w swoim najnowszym blogu poświęconym modzie i że cały Nowy Jork wiedział o jego rozwodzie.

– Może powinienes zrobić sobie trochę wolnego i potem, gdy już się poczujesz lepiej, przyszedłbyś do mnie z nowymi pomysłami na programy? Ale w zupełnie nowym duchu. Czasy się zmieniają, Dominicu. Interesuje mnie materiał bardziej skupiony na człowieku.

– Taromenane są ludźmi. – Przypomniał jej krótko Dom.

– Chodzi mi o ludzi, z którymi nasi widzowie ze Stanów mogliby się utożsamiać. Szukam splendoru, rozrywki, mody, ekscytacji i elementu zaskoczenia. Tak, chcę tego, co jest „sexy”, Dominicu! I nie wstydę się do tego przyznać. Tak więc zrób sobie kilka tygodni wolnego. I ciesz się wolnym czasem. A gdy poczujesz przypływ twórczych soków... – Uśmiechnęła się do niego nieszczercze. – Ustalmy termin następnego spotkania po Nowym Roku, dobrze? Moja sekretarka zadzwoni do ciebie, gdy będzie miała mój datownik przed oczami. Och! Wesołych świąt, Dominicu.

– Jasne – powiedział Dominic, wstając i podając Felicity rękę. – Wzajemnie.

Gdy Felicity wstała, zauważył, że miała zaledwie z półtora

metra wzrostu. Poczul się, jakby dostał burę od ósmoklasistki.

Postanowił przespacerować się do centrum, zamiast jechać metrem. Wesołych świąt? Co za dowcip! Był zimny, rześki listopadowy dzień, a po takim spotkaniu jak to, które właśnie odbył, świeże powietrze dobrze mu zrobi. Od kiedy to Boże Narodzenie zaczyna się w listopadzie? Mijał sklepy ze świątecznymi dekoracjami w witrynach, ulicznych sprzedawców oferujących wiklinowe renifery i pęki jemioly. Staral się nie pozwolić na to, żeby kolędy sączące się na ulice z każdego mijanego budynku zapuściły korzenie w jego głowie. Kiedy był dzieckiem, bez względu na to, jak bardzo rodzina byłaby skłócona, Gwiazdka zawsze wszystko naprawiała, przynajmniej przejściowo. W tym roku jednak magia nie działała.



## *Rozdział osiemnasty*

Beaumont House, Wiltshire, 1947

Kiedy Mama i Wilfred wrócili wreszcie z Karaibów, sprzedali jeszcze kilka obrazów rozweselających ściany w naszym skromnym salonie, w którym sypiał Papa, i wykorzystali pieniądze, aby przeprowadzić się do domku obok naszego. Urządzili domek od podstaw i kupili nowiutkie modne meble w Heal's w Londynie. Kiedy poskarżyłam się Papie, że to było niedorzeczne, tylko wzruszył ramionami i powiedział mi, że jest ponad podejmowanie się takimi rzeczami jak pamiątki rodowe i pieniądze, i że na pewno ma w nosie, gdzie i z kim żyje jego żona.

Stwierdzenie, że moje szczenięce lata były niekonwencjonalne, byłoby potwornym niedomówieniem. Podczas gdy mój ranny ojciec i ja mieszkaliśmy w domku ogrodnika, spokojnie i skromnie, matka i jej kochanek żyli wystawnie w przebudowanym domku kowala tuż obok. Wojna się skończyła i zaczęły się przyjęcia. Lecz nawet ja dostrzegałam, że nie było radości w tych wieczornych spotkaniach. Moja matka i jej przyjaciele po prostu odtwarzali rutynę, bo nie wiedzieli, co robić, jeżeli się nie wystroili, nie jedli, nie pili, nie plotkowali i nie opowiadali szalenie zabawnych historii. Gdy próbowaliśmy spać, czytać, skupić się na słuchowisku w radiu, często przeszkadzały nam odgłosy hałaśliwego przyjęcia dobiegające z domu Mamy. Tymczasem gnijące truchło Beaumont House przypominało nam o tym, co straciliśmy.

Czasami panowie w garniturach przyjeżdżali z Londynu, żeby porozmawiać z ojcem o jego interesach i domu. Imperium rozpadło się po wojnie. Kupowano, sprzedawano, poddawano barterowi lub wymianie całe narody i biznesy takie jak te, które prowadził mój ojciec, po prostu zniknęły. Zostało nam niewiele. Wszelkie pieniądze, które tata odzyskał z zagranicy, były żalosną namiastką tego, ile byśmy potrzebowali, żeby uratować Beaumont House. Podśluchałam, jak dżentelmeni z Londynu proponowali, że

odkupią to miejsce. Lecz Papa nie chciał pozbywać się ciężaru.

– Tutaj się urodziłem i tutaj umrę – powiedział mi. – Pozwól mi dożyć moich dni w Beaumont House. Potem nic mnie nie obchodzi, co się stanie z tym miejscem. Możesz z nim zrobić, co zechcesz, Tilly. Przecież wtedy będzie twoje.

Ostatnie przyjęcie, jakie odbyło się w Beaumont House, urządzono z okazji moich osiemnastych urodzin w sylwestra 1947 roku. Gdy zegar wybił północ, osiągnęłam pełnoletniość. Papa przekonał panią Ashton, żeby zgromadziła dawny personel i tylko tego jednego dnia – w wigilię Nowego Roku – w rezydencji roіło się od pracowników. Wygarnęli pajęczyny z sali balowej i odkurzyli żyrandole. Zawiesili chorągiewki i balony na ścianach i przykryli białymi lnianymi obrusami wszystkie stoły, które znaleźli w domkach, stodołach i stajniach. Pani Ashton otworzyła kuchnię i nasz stary dom znowu ożył dzięki głosom gawędzących ludzi. Ściany były podrapane, podłogi skrzypiały, a okna dzwoniły w wyjącem wietrze, ale nikt się tym nie przejmował. Tego jednego wieczoru w domu i naszych sercach gościła wyłącznie radość.

Przyjechała Niania i jej mąż Martin, byli też pan Wise i rodzice kochanego Tony’ego. Na moim przyjęciu pojawiło się tak wielu dawnych pracowników, że raczej przypominało ono zjazd rodzinny, a nie osiemnaste urodziny. Pani Ashton nawet skontaktowała się z moimi koleżankami z Westonbirt i wszystkie przyjechały do Beaumont House pomimo śnieżycy szalejącej za oknami. Szurnięta stara ciotka Ophelia przyjechała aż z St Ives, a ja żałowałam tylko, że Trevallionowie nie mogli też przyjechać. Kiedy zapytałam ciotkę Ophelię, gdzie są moi drodzy przyjaciele z Kornwalii, powiedziała, że wyemigrowali zaraz po wojnie, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, do którego kraju ani nawet na który kontynent.

Mama miała na sobie komicznie wykwintną suknię z fioletowej tafty, etolę z lisa i brylantową tiarę, którą trzymała pod łóżkiem. Przypięła się do szampana na długo przed tym, jak podano kolację, i była kompletnie zalana przed dwudziestą pierwszą. Przerazało mnie to, ale starałam się ją ignorować, gdy

flirtowała z chłopcami w moim wieku i potykała się o długą spódnicę sukni. Nadąsany Wilfred siedział w kącie do końca wieczoru, co akurat mi odpowiadało.

Papa prezentował się wyjątkowo wytwornie w swoim najlepszym garniturze. Nie pozbył się blizn, ale włosy mu odrosły, miał zaróżowione policzki i uśmiechał się szeroko. To był najlepszy prezent urodzinowy, o jaki mogłabym prosić. Kupił mi przecudowną sukienkę na to przyjęcie – uszyto ją z mięciutkiego czerwonego aksamitu, miała dekadentcko pełną spódnicę, wąską talię i dekolt w serduszko. Sukienka pochodziła z nowej kolekcji „New Look” Diora, która podbiła świat na początku roku i Papa sprowadził ją dla mnie prosto z Paryża. Nie odbyło się to jak za starych dobrych czasów, kiedy to Papa mógł kupować stroje od najlepszych krawców, kiedy tylko gościł w Paryżu. Tym razem potrzebował wielu miesięcy, żeby nabyć tę sukienkę, ale powiedział mi, że to niesamowite, co można osiągnąć dzięki telefonii i mieszkającym w stolicy mody przyjaciółom z dawnych lat! Były też i buty – lśniące czarne lakierki na wściekle wysokich szpilkach. Byłam wniebowzięta! Po latach noszenia zniszczonych, połatanych ubrań w swoim nowym stroju poczułam się, jakbym wkroczyła do innego świata. I pewnie tak było. Osiągnęłam dorosłość i na dobre żegnałam się z dzieciństwem. Pożyczyłam nawet czerwoną szminkę od Mamy i nawet spodobało mi się to, że ładnie w niej wyglądałam. Papa oznajmił, że kojarzę mu się z Katharine Hepburn, co było dla mnie największym komplementem. Miałam obsesję na punkcie filmów, aktorów i aktorek oraz wszystkiego, co miało związek z Hollywood i filmem. Codziennie wieczorem kładłam się do łóżka, marząc o tym, żeby stać się sławną aktorką, chociaż nigdy się do tego nie przyznałam Papie. Nie jestem pewna, czy byłby z tego zadowolony.

Piłam szampana i tańczyłam jive’a, aż zaczęło mi się kręcić w głowie. Pani Ashton znalazła wyśmienity zespół z Bath, który grał wszystkie najnowsze melodie. Zdaje mi się, że się lekko wstawiłam przed północą, bo pamiętam, jak myślałam, że o

północy chętnie bym się całowała z bratem mojej przyjaciółki, Bernardem. Z perspektywy czasu stwierdzam, że Bernard nie był taką znowu świetną partią! Na szczęście ojciec interweniował tuż przed tym, jak zegar wybił północ, oznajmiając dzień moich urodzin i Nowy Rok. Nalegał, żebym poszła z nim po jeszcze jedną niespodziankę. Ruszyłam za nim, gdy panowie wnosili go w wózku inwalidzkim na półpiętro głównych schodów. Kiedy się znaleźliśmy na spoczniku, Papa postukał łyżeczką w kieliszek i zaczekał, aż wszyscy zwrócili na nas uwagę. Stary zegar dziadka na spoczniku na górze uderzył raz, dwa, trzy razy... aż wreszcie przyszedł 1948 rok. Gdy wszyscy się uspokoili, Papa przemówił: „Chciałbym przedstawić moją córkę Matildę, którą głęboko podziwiam. Świętujemy dzisiaj jej osiemnaste urodziny. Jak wszyscy wiecie, Tilly wiele dla mnie poświęciła w ciągu minionych dwóch lat. Zrezygnowała z nauki i życia towarzyskiego, żeby się mną opiekować. Patrząc na mnie, możecie sobie pomyśleć, że niekoniecznie jestem szczęśliwym człowiekiem, ale pomyliliście się. Mam Tilly, która jest dla mnie najwspanialszym darem, i uważam, że to prawdziwe błogosławieństwo. Dlatego też mam dla niej wyjątkowy prezent, o którym wiem, że będzie się nim radować przez całe życie. To jest coś, o czym Matilda marzyła, będąc jeszcze małą dziewczynką. Aby nie przedłużać, panie Fitzroy...

W głowie mi się zakręciło. Fitzroy? Od lat nie słyszałam tego nazwiska, chociaż od czasu do czasu wspominałam tego człowieka z wielką sympatią. Stanął rozpromieniony na szczycie schodów i przyniósł mi stamtąd błękitne aksamitne pudełko z Asprey.

„Wszystkiego najlepszego, kochana dziewczyno”, powiedział. Przekazał pudełko ojcu i ukłonił mu się nisko. Serce podeszło mi do gardła. Jak to możliwe? Nie pozwalałam sobie żywić nadziei, że...

„To dla ciebie, Tilly”, zwrócił się do mnie Papa i podał mi szkatułkę.

Otworzyłam ją trzęsącymi się dłońmi, a gdy zobaczyłam, co się znajduje w środku, nie potrafiłam powstrzymać głośnego

okrzyku. Wszyscy się śmiali i klaskali.

„Perły!”, wykrzyknęłam. „Najdoskonalsze pod słońcem perły!”.

„Obroża”, poinformował mnie z dumą uśmiechnięty Papa. „Taka, jaką wymarzyłaś sobie przed wojną. Pamiętasz to, kochanie?”.

Czy pamiętałam? Jak mogłabym zapomnieć? Papa najwyraźniej nie miał pojęcia, jak wyjątkowy był dla mnie tamten dzień.

„To najwspanialsza rzecz, jaką w życiu widziałam, Papo”, oznajmiłam. „Dziękuję. Będę się zawsze radować tym naszym naszyjnikiem”. Pochyliłam się, pocałowałam i przytuliłam Ojca.

„Są z Japonii”, powiedział. „Zbierane ręcznie przez syreny, tak jak mówiłaś! Sześćdziesiąt siedem idealnie okrągłych pereł słomkowej barwy. A ta... – Ujął w palce ogromną, lśniącą, oszałamiająco piękną perłę, która z dumą zajmowała środek głównego sznura. – Ta to coś zupełnie innego. Prawda, Fitzroy?”

Fitzroy przytaknął.

„To najdoskonalszy klejnot, z jakim miałem zaszczyt pracować”, oświadczył.

„Pan Fitzroy i jego koledzy przez lata szukali odpowiednich pereł do twojego naszyjnika, Matildo. Udało się je zdobyć przed zaledwie kilkoma tygodniami, prawda? W tych czasach jest dość trudno o klejnoty z Japonii. Myśleliśmy, że będziesz musiała poczekać do swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Lecz spójrz”, ciągnął Papa. „Naszyjnik ma specjalny zamek. Widzisz, kochanie? Z platyny, wysadzany dwunastoma mniejszymi perełkami, a z tyłu wygrawerowano twoje inicjały. Łącznie z lady!” – Zaśmiał się, trochę zażenowany tym gestem, i wzruszył ramionami. – Może i jest to trochę pretensjonalne, ale nie było to moim zamiarem. W ciągu kilku minionych lat udowodniłaś, że jesteś damą najwyższego kalibru, kochanie, i chciałem to zaznaczyć. Już nie jesteś moją małą córeczką, Tilly. Jesteś prawdziwą lady. Podoba ci się ten prezent?”

Brakowało mi słów.

„Zachwycający, Papo. Zawsze, gdy będę go zakładała, będę myślała o tobie”.

„Cała przyjemność po mojej stronie, Tilly. Chociaż tyle mogę zrobić, żeby ci podziękować za to, co dla mnie robiłaś przez dwa lata. Pochyl się, skarbie. Założę ci go.

Wszyscy wiwatowali, kiedy się wyprostowałam, żeby pokazać swój cudowny prezent. Wielka środkowa perła leżała idealnie w dołku na gardle, a ja myślałam, że pęknę z dumy, gdy wszyscy bili mi brawo. Wszyscy z wyjątkiem Matki, rzecz jasna, która wychyliła kolejny kieliszek szampana, spojrzała na mnie gniewnie i wybiegła z sali balowej. Pani Ashton też widziała jej wyjście, zauważyła moje spojrzenie i uśmiechnęła się smutno. Przypomniało mi się, co powiedziała o tym, że Mama nie radzi sobie najlepiej z moim dorastaniem, i zrozumiałam w końcu, co to znaczyło. Lecz nawet matka nie mogła mi zepsuć nastroju tego wieczoru. Papa spełnił moje dziecięce marzenie i gdy tak stałam na schodach z pięknymi perłami na szyi, miałam wrażenie, że stoję na szczycie świata. Szkoda, że nie mogłam zatrzymać tej chwili na zawsze.

W ciągu kolejnych kilku tygodni wyjmowałam naszyjnik z pudełka i przymierzałam go co najmniej dziesięć razy dziennie. Był nadzwyczajny, ale moje znoszone ubrania dziewczyny ze wsi nie pasowały do niego. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę wiodła styl życia, który będzie odpowiedni dla tego naszyjnika. Zaczęłam się martwić o to, jak Papa zdołał kupić mi taki prezent urodzinowy. Miałam sześćdziesiąt siedem idealnych morskich pereł (siedemdziesiąt jeden, jeśli liczyć te malutkie w zapięciu!), z których jedna była tak wielka, że wzruszałam się na jej widok do łez, a ojca nie było stać na naprawienie dachu w jego domu. Kiedy zapytałam go o ten wydatek, powiedział, że bym się nie martwiła. Podobno po raz pierwszy wspomniał panu Fitzroyowi o naszyjniku na długo przed wybuchem wojny i obstawał przy wpłaceniu Asprey okazałego zadatku na zakup pereł. Twierdził, że chciał mieć pewność, iż dostanę najlepsze perły. Dodał też, że dobrze postąpił, bo w przeciwnym razie naszyjnik byłby pewnie gotowy

dopiero na mój ślub. Papa utrzymywał, że te pieniądze pochodziły z innych czasów i innego świata. Poruszyło mnie to, ale wiedziałam, że nie ma sensu proponować zwrócenie naszyjnika. Moglibyśmy go sprzedać i wykorzystać pieniądze na renowację Beaumont House, ale nowy dach nigdy nie uszczęśliwiłby Papy w takim stopniu, jak ofiarowanie mi takiego prezentu.

Tej zimy Papa zachorował na gripę. Dostał zapalenia płuc i zmarł we śnie 13 lutego 1948 roku. Płakałam codziennie przez trzy miesiące. Mama też często płakała, ale dlatego, że Papa zmienił swój testament po wojnie. Zostawił Mamie małą sumę pieniędzy, ale Beaumont House, całą ziemię i wszystkie wioski, zapisał mnie. A Mama po śmierci Papy praktycznie nie ukrywała swojej nienawiści do mnie. Usiłowała podważyć testament, twierdząc, że Papa nie był w pełni władz umysłowych, kiedy wprowadzał zmiany, ale nikt nie traktował jej poważnie i w rezultacie sprawa nigdy nie trafiła do sądu.

Tego lata wraz z Wilfredem przeprowadziła się do Dorset, gdzie kupili przestronny nowoczesny bungalow na plaży w pobliżu Poole w dobrze się zapowiadającej dzielnicy zwanej Sandbanks. Zabrała ze sobą biżuterię, która zgodnie z prawem należała do mnie, ale uznałam, że jej ją daruję. Żadna ilość brylantów nigdy nie przywróci jej szczęścia. Pisywała do mnie od czasu do czasu, ale głównie po to, by chętnie się swoim bajecznym nowym życiem, a nie zapytać o to, jak ja się miewam. Razem z Wilfredem poznali cudownych przyjaciół; sporo się o niej mówiło w Bournemouth i Poole. Prawda zaś była taka, że zaczęła się upijać do nieprzytomności. Spotkałam się z nią dopiero po bardzo wielu latach.

Papa był duszą i sercem Beaumont House. Bez niego rezydencja stała się tylko starą, popadłą w ruinę pustą skorupą. Z rodu Beaumontów pozostałam tylko ja, a sama nigdy bym nie wypełniła tego domu. Miałam osiemnaście lat, byłam jedynaczką, nie miałam przyjaciół i doświadczenia w interesach. Panowie z Londynu, którzy odwiedzali ojca, wyjaśnili mi, że nie będzie mnie stać na utrzymanie domu. Poradzili mi, żebym sprzedała

posiadłość i zaczęła od nowa. Uświadomili mi też, że będę bardzo zamożna jak na osiemnastolatkę. Sprzedałam Beaumont House młodemu przedsiębiorcy z Birmingham, który zarobił pieniądze na stali. Wydawał się dość sympatyczny i miał niesamowicie entuzjastyczne nastawienie do domu, ale nie chciałam się dowiedzieć, jakie miał plany co do tego miejsca. Nowy właściciel musiał wyłożyć na odnowienie domu znacznie więcej, niż zapłacił za jego nabycie. Pamiętałam, co Papa mi powiedział – po jego śmierci będę mogła zrobić z Beaumont House, co zechcę – a to ułatwiło mi decyzję.

Podobał mi się Londyn, ale byłam naiwną dziewczyną ze wsi i musiałam osiąść w jakimś relatywnie spokojnym i zielonym miejscu, więc kupiłam uroczą georgiańską kamienicę w Hampstead z widokiem na park Heath. To tam pojechałam przedpotopowym bedfordem, z Badgerem siedzącym na miejscu pasażera, gdy opuściłam Beaumont House. Kiedy po raz ostatni odjeżdżałam spod domu w grudniu 1948 roku, nie oglądałam się za siebie.

Hackney, Londyn, 2012

– Wiem, o co chodzi! – wykrzyknęła Sophia z podnieceniem, waląc do drzwi Hugona.

Coś się wczoraj zmieniło. Oto wstała (choć ubrana tylko w za duży T-shirt) o świcie, pełna energii, poczucia celu, a może nawet zaczątków planu. Zaczęła mieć o wiele bardziej pozytywne nastawienie do życia – nie przepełniała jej radość charakterystyczna dla wiosny, ale przecież był wyjątkowo mokry listopad, jej babka umierała, a ona niedawno przeżyła zawód z powodu eksnarzeczonego oraz ojca.

Starła się nie myśleć zbyt dużo o tym, co jej ojciec zrobił. To ją wytrącało z równowagi i dekoncentrowało. Na początku, zaraz po tym, jak Nathan jej o wszystkim powiedział, chciała zadzwonić do taty, nakrzyczeć na niego i zapytać, jak ktoś może chcieć zniszczyć życie własnej córki. Zamiast tego położyła się jednak do łóżka. A teraz ból trochę osłabł. Nadal go czuła w



postaci zbitej ciasno kuli złości, która usadowiła się gdzieś w sercu, ale na razie go tam zakopała. Rana nie była tak tkliwa jak przed paroma tygodniami, niemniej wciąż nie miała ochoty spotykać się z ojcem. Jeszcze nie teraz. Odzyskała babcię i na razie to jej wystarczało w ramach kontaktów z rodziną. Poza tym jasne było, dlaczego jej tata tak postąpił: uważał, że jest bezwartościowa. Żadne czyny Sophii nie przyczynią się do tego, by zmienił zdanie – tego była pewna.

Tego ranka udało się jej porzucić myślenie o Nathanie i skupiła się wyłącznie na przyszłości. Słyszała głos Hugona dobiegający zza drzwi, łagodny i niski, mniej ostry niż zazwyczaj, i zastanawiała się, czy rozmawia z Damonem. Miała nadzieję, że tak. Dobrych mężczyzn było niewiele i Hugo byłby szaleńcem, gdyby pozwolił się temu wymknąć. To nie znaczyło jednak, że nie chciała, żeby przerwał rozmowę i zaprosił ją do środka natychmiast!

– Hugo! – powtórzyła. – Wpuść mnie! Już wiem, czego mam szukać dla babci.

Usłyszała ciężkie kroki i drzwi się otworzyły. Hugo był już nienagannie ubrany i schludnie ogolony. Zapach drogiej wody po goleniu wydostał się z jego pokoju. Z kimkolwiek rozmawiał, pożegnał się z tą osobą.

– Co to takiego? – zainteresował się.

– Moja spuścizna – poinformowała go i podała mu list.

Omiótł list wzrokiem bardzo szybko, zachłannie.

– Obroza z orientalnych pereł z lat pięćdziesiątych poprzedniego wieku wykonana przez Asprey w Londynie. Należała do Tilly Beaumont, hollywoodzkiej legendy. Ciekawe, ile może być warta?

Sophia wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – wyznała. – Bardziej mnie zastanawia to, jak mogła zaginąć. Babcia dostała ją w prezencie od dziadka z okazji osiemnastych urodzin. Musiała być dla niej wszystkim. Jak mogła zgubić coś, co ceniła najbardziej na świecie?



## *Rozdział dziewiętnasty*

Tokio, Japonia, 2012

Wystąpienie Aiko podczas konferencji wypadło nadzwyczaj dobrze. Później, gdy wszyscy delegaci już wyszli, spotkała się ze swoim synem Kenem i jego żoną Suki na kolacji w Imperialu. Ken i Suki mieszkali na przedmieściach Tokio i kierowali japońską filią rodzinnej firmy. Aiko często kontaktowała się z Kenem przez Skype'a, ale to nie to samo, co osobiste spotkanie. Wieczór był uroczy.

Zasnęła z łatwością, wyczerpana, ale zadowolona z intensywnego dnia i niewyspana po poprzedniej niespokojnej nocy. Przywołała się do porządku. Żadnych więcej duchów. Tej nocy będzie spała jak dziecko. I oto znowu leżała obudzona w środku nocy, a serce jej waliło. Może zaczęła wariować? Wyglądało na to, że już nie panowała nad swoimi myślami. Mimo że była na wpół przytomna, sen trwał nadal. Odgrywał się jak horror w jej głowie, a ona nie potrafiła go przerwać.

Ise Shima, Japonia, 1927

Gdy Manami przyszła do pracy, w domku am, po japońsku *amagoya*, panował już tłok i słychać było głosy około dwudziestu kobiet.

– Dzień dobry, Manami-san! – krzyknęły jej przyjaciółki, siostry i kuzynki. – Spóźniłaś się. Czy byłaś tak zajęta czesaniem włosów? – droczyły się z nią.

Manami słynęła z próżności.

– Yoshiro też się dzisiaj spóźnił? – zakpił inny głos. – Jego siostra mówi, że moglibyście leżeć w łóżku cały dzień, gdyby jego matka nie wyganiała was z niego swoją szczotką!

Manami przyjęła docinki przyjaciółek z uśmiechem. Jej rodzina była szanowana jako najstarsza i najlepiej nurkująca w regionie, i choć nie należała do zamożnych, z pewnością obfitowała w talenty. A Manami – piękna, namiętna, gwałtowna

Manami – uchodziła za księżniczkę am. Dlatego wybaczano jej kilkuminutowe poranne spóźnienie. Yoshiro zawsze twierdził, że Manami była zupełnie inna od pozostałych dziewcząt w wiosce – o całą głowę wyższa od większości, miała długie i pełne gracji kończyny, włosy splecione w opadający na plecy warkocz gruby jak lina i oczy tak pełne ognia, że raczej bursztynowe w odcieniu, a nie brązowe.

Kilka miesięcy wcześniej na wybrzeżu pojawił się nieznajomy z dziwnymi urządzeniami. Miał na sobie ciemny lniany garnitur i kapelusz. Wyglądał tak obco jak cudzoziemcy, których Manami widziała na stronach gazet pana Nishimoto, lecz człowiek ten, pan Fanaki, twierdził, że pochodzi z Tokio! Okazało się, że jego urządzenia to aparaty fotograficzne. Przyjechał tu, bo słyszał o amach i chciał zrobić im zdjęcia, a także zadać im kilka pytań, żeby cały świat dowiedział się o ich nadzwyczajnych talentach.

Niektóre amy nie zgodziły się na fotografowanie ich, zwłaszcza starsze kobiety. Pan Fanaki nie wydawał się szczególnie zmartwiony ich odmową. Wolał robić zdjęcia młodszym, ładniejszym dziewczętom. Manami nie dziwiła mu się. Poza tym pan Fanaki w największym stopniu interesował się właśnie nią.

– Nie chodzi tylko o to, że jesteś piękna. Jesteś naga i piękna – śmiał się wówczas Yoshiro. – Dziewczęta w miastach nie chodzą tylko w przepaskach, jak wy, amy.

– Skoro patrzenie na nas daje im przyjemność, to niech patrzą – odparła Manami ze śmiechem. – Kim jestem, by pozbawiać biznesmena z Tokio przyjemności? Poza tym karmię Aiko. Moje piersi jeszcze nigdy nie wyglądały tak dobrze. Powinny być podziwiane!

Manami uwielbiała pozować do zdjęć. Nigdy nie czuła się onieśmielona – całe życie spędziła nago. Lubiła też odpowiadać na pytania pana Fanakiego.

– Nie – śmiała się. – Chłopak nie może zostać amą. Kobiety mają dodatkową warstwę tłuszczu. Możemy przebywać pod wodą znacznie dłużej od mężczyzn i zbierać więcej zdobyczy.

Słyszałam, że w niektórych wioskach są poławiacze pereł, ale tutaj nie. To głupie! Mężczyźni powinni trzymać się swoich łodzi i sieci.

Pan Fanaki był zaskoczony brakiem szacunku dla mężczyzn ze strony am.

– Szanujemy ich – obstawała matka Manami, Umiko, niekwestionowana matrona w *amagoya*. – I oni szanują nas. Łowią uchowce, możemy zarobić więcej niż oni, łowią ryby.

– A więc nie jesteście żonami smoka? – dociekał pan Fanaki.  
– Podobno o amach mówi się, że są żonami smoka, bo są takie dominujące!

Śmiech i piski wypełniły *amagoya*.

– Owszem, jesteśmy żonami smoka! – odparła Umiko. – I jesteśmy dumne! Ale to nie odstrasza mężczyzn! Bycie amą jest błogosławieństwem. Możemy wybierać dla siebie męża. Możemy zarabiać. Utrzymujemy swoje rodziny. Jesteśmy cenne dla naszych mężczyzn, więc co z tego, że trochę zrzedzimy? Albo mamy swoje zdanie? Są szczęściarzami, że nas mają.

– Nurkując, możecie się bardzo rozchorować, jeśli zanurzycie się zbyt głęboko. Boicie się, że utoniecie? – ciągnął pan Fanaki.

– Mamy swoje techniki oddechowе – odpowiedziała Umiko ze ściągniętymi brwiami. – Tylko nowicjuszkі są w niebezpieczeństwie i to też tylko wtedy, gdy się nie koncentrują lub nie słuchają starszych.

W *amagoya* zapadła śmiertelna cisza. Wszystkie amy wiedziały, że to kłamstwo. Kobiety umierały w czasie zanurzenia. Wiele umarło w ciągu wielu lat. Niektóre były bardzo doświadczone i bardzo mądre. Wszystkie to wiedziały. Były też starsze amy, które mogły pracować wyłącznie na płyciźnie, bo rozchorowały się po którymś zanurzeniu i już nigdy nie były takie jak niegdyś. Pewna kobieta mniej więcej w wieku Umiko nie mogła mówić, a jeszcze inna miała sparaliżowaną prawą stronę ciała. Jedna z kuzynek Manami, która zbliżała się do trzydziestki, zachowywała się jak pięcioletnie dziecko. Dość częsty był widok

am wychodzących z wody z uszami krwawiącymi po tym, jak bębenki im pękły pod wpływem ciśnienia. I czy wszystkie nie cierpiały z powodu bólów głowy? Nie odczuwały bólu w klatkach piersiowych? Lecz nawet Manami wiedziała, że nie należy rozmawiać na te tematy z panem Fanakim. Wypowiedzenie takich rzeczy na głos mogłoby sprowadzić pecha.

Wyczuwając dyskomfort am, pan Fanaki zmienił temat.

– A co z perłami? – zapytał, a oczy aż mu płonęły z podniecenia.

Słyszając to, niektóre kobiety skierowały spojrzenia na Manami.

– Zbieramy małże, jeżowce, wodorosty – odparła krótko Umiko. – Najwięcej zarabiamy na uchowcach. To jest to, czym są zainteresowane kampanie sprzedające owoce morza. Nie interesują ich perły.

– Wydawało mi się, że amy są poławiaczkami pereł. Przecież perły są warte fortunę – ciągnął pan Fanaki, który wydawał się trochę rozczarowany.

– Owszem – powiedziała Umiko cierpliwie. – Perły znajduje się bardzo rzadko. Trzeba zebrać kilka ton ostryg, żeby znaleźć jedną. A co potem? Większość z nich okazuje się zbyt mała, zniekształcona, w złym kolorze. Może raz lub dwa razy w roku ama znajdzie perłę, która jest coś warta dla kampanii rybackiej i wtedy faktycznie jest to błogosławieństwem. Lecz nie poświęcamy całych dni na szukanie pereł. Przecież to byłby hazard.

Miałybyśmy marnować życie dla jakiegoś „może”? Być może w przeszłości nasi przodkowie częściej nurkowali dla pereł. Ale to było przed czasami kampanii rybackich. Wodorosty, jeżowce i uchowce możemy poławiać codziennie. I na tym polega nasza praca. Poza tym ludzie mają już sposób na wytwarzanie pereł. Prawdziwe perły umarły. Należą do naszych przodków.

– Lecz prawdziwe perły są bezcenne – obstawał przy swoim pan Fanaki.

Umiko posłała ostrzegawcze spojrzenie w stronę Manami, która doskonale wiedziała, co ono oznaczało. Lecz ogień w jej

brzuchu już rozgorzał i nie zdołała zdusić słów.

– Nadal szukam pereł – wyrzuciła z siebie. – I znajduję je. W ubiegłym roku dałam Nishimoto-sanowi trzy.

W małej chacie znowu rozległ się śmiech.

– Pewnego dnia znajdę perłę tak wielką i doskonałą, że będę dzięki niej mogła żyć jak cesarzowa – chełpiła się Manami.

Umiko wyszła na te słowa, najwyraźniej zła na najmłodszą córkę, a pozostałe amy nadal chichotały i droczyły się z nią, ale pan Fanaki przysunął się do Manami, chcąc usłyszeć jej słowa.

– Od dzieciństwa marzę o tym, by znaleźć perłę. Największą i najdoskonalszą, jaką ktokolwiek kiedykolwiek znalazł. Uratuje mnie. Mnie, mojego męża Yoshiro, nasze dziecko Aiko i każdego z rodziny, kto zechce ze mną pójść. Zbudujemy duży dom ze stawem pełnym karpia koi. Będziemy mieli pawie w ogrodzie. Będę nosiła piękne jedwabne kimono, a Yoshiro będzie jadał jak cesarz. Będziemy mieli służbę. A potem pojedę w różne wspaniałe miejsca, o których słyszałam. Odwiedzę teatr, pojedę w góry i nad jeziora. Być może nawet odwiedzę pana w Tokio, panie Fanaki, i będzie pan mógł pokazać mi swój świat tak, jak ja pokazałam panu swój.

– Nie będzie ci brakowało oceanu? – spytał pan Fanaki z szeroko otwartymi oczami. – Skoro masz nurkowanie we krwi, będziesz mogła porzucić wodę?

Manami odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Co za głupie pytanie!

– Nigdy nie porzucę oceanu – odparła. – Zbudujemy nasz dom na plaży i będę nurkowała codziennie. Ale będę to robiła dla czystej przyjemności. Żeby czuć się tak wolną i dziką jak delfin. A nie po to, by zbierać uchowce dla kampanii rybackiej.

Pan Fanaki zapisał słowa Manami w małym, oprawnym w czarną skórę notesie, który nosił przy sobie. Manami była zafascynowana tym, jak jego gładkie czyste dłonie błyskawicznie stawiały delikatne znaki na kartkach papieru. Jeszcze nigdy nie widziała człowieka z tak nieskazitelnymi dłońmi – nawet lekarz takich nie miał. Manami nie potrafiła przeczytać słów, które

zapisał. Nigdy nie chodziła do szkoły.

Pan Fanaki spędził w wiosce pięć dni, ku irytacji pana Nishimoto, bo kobietom brakowało czasu na nurkowanie, gdy tyle pozowały i chełpiły się swoimi dokonaniem. (Aczkolwiek rozniosła się wieść, że pan Fanaki zapłacił panu Nishimoto okrągłą sumkę za czas am i że pan Nishimoto zgarnął pieniądze do własnej kieszeni, zamiast przekazać je kampanii). Przed odjazdem pan Fanaki pokłonił się Manami i powiedział:

– Jestem zaszczycony, że cię poznałem, Manami-san. Będę się modlił o to, żeby twoje marzenia się spełniły i żebyś pewnego dnia odnalazła mnie w Tokio.

Podał jej przy tym małą karteczkę z jakimiś napisami. Manami nie miała pojęcia, co było na niej napisane, ale zabrała ją do domu i tego wieczoru schowała do swojego pudełeczka z wyjątkowymi rzeczami. Na wypadek gdyby kiedyś okazała się przydatna.

– Pospiesz się, Manami – krzyknęła Umiko niecierpliwie z drugiego końca drewnianej chaty. – Przestań marzyć na jawie, dziecko! Mamy pracę do wykonania!

– Przepraszam, matko, myślałam o panu Fanakim – powiedziała Manami. – Jestem ciekawa, czy nasze zdjęcia pojawiły się już w gazetach w Tokio.

– A jakie to ma znaczenie? – spytała Umiko. – Skoro nie możemy ich obejrzeć, równie dobrze mogą nie istnieć.

– To, że nie możemy czegoś zobaczyć, nie znaczy, że nie jest to ważne, matko – odparowała Manami. – Nie widzimy Tokio, ale wiemy, że istnieje. I nie widzimy uchowców z plaży, prawda?

– Nie widzimy – ucięła Umiko niecierpliwie. – Nurkuj lepiej, zanim ktoś inny zgarnie ci najlepszą zdobycz dnia.

Chociaż amy naprawdę trzymały się razem, były też wyjątkowo skryte. Żadna nie zdradziłaby nikomu, że znalazła szczególnie bogate łowisko – ani matce, ani siostrze, ani najlepszej przyjaciółce.

Manami jednak jako mała dziewczyna nauczyła się, że jeśli siedziała cicho w kącie i udawała, że jest bardzo zajęta



czyszczeniem noży lub słuchaniem przyjaciółek albo nuceniem pod nosem, starsze kobiety zapominały o jej obecności i czasami pozwalały, żeby wymknął im się jakiś skrawek informacji. W wieku sześciu lat przyglądała się zwyczajom starszych nurkujących kobiet ze skupieniem czapli polującej na rybę. Krok po kroku młoda ama gromadziła ogromną wiedzę i przechowywała ją w bibliotece umysłu. A kiedy urosła na tyle, by móc nurkować na płyciźnie, wiedziała, jak pływy oddziaływały na zbiory uchowców i ostryg. Wiedziała, które rejony oferowały większe zbiory wiosną, a które jesienią. Rozumiała, że nagłe przejściowe ochłodzenie zmieniało temperaturę wody, a przez to zmieniała się głębokość, na której znajdowały się skorupiaki. Wiedziała dokładnie, gdzie skorupiaki i wodorosty znajdują się po sztormie i ile czasu trzeba było spędzić pod wodą, żeby zebrać ich jak najwięcej. Dlatego właśnie Manami została najlepszą młodą amą w prowincji Shima.

Początkowo starsze kobiety utrzymywały, że po prostu miała szczęście i że duchy morza jej sprzyjały. Matka chełpiła się, że Manami ma talent we krwi. Haruki utrzymywała, że wszystko zawdzięczała temu, iż to ona osobiście przekazała najmłodszej wnuczce swoje techniki. Prawda zaś była taka, że Manami okazała się po prostu błyskotliwa. Podczas gdy inne dziewczęta się bawiły, ona chłonęła wiedzę starszych am jak gąbka i teraz zgarniała za to nagrody. Nie trzeba mówić, że starsze, bardziej doświadczone amy mocno się pilnowały w jej pobliżu. Nawet jej rodzona matka zachowywała ostrożność, gdy planowała, gdzie będzie nurkować.

Manami też miała swoje tajemnice. Często opowiadała innym o swoich planach zarobienia na perłach i ucieczce od tego życia, ale nie znali prawdy. A prawda była taka, że podczas gdy inne dziewczęta w jej wieku szukały uchowców, ona zgromadziła już prywatną kolekcję pereł. Pierwszą znalazła w dzieciństwie. Był to łut szczęścia; w zagłębieniu skały na brzegu dostrzegła ostrygę, która kryła w sobie piękny sekret. Nie przekazała tej perły kampanii rybackiej. Nie dała jej też swojej matce. Schowała ją w przepasce biodrowej, przemyciła do domu i trzymała schowaną

bezpiecznie w jedwabnym woreczku wsuniętym pod luźną deskę podłogową. W ciągu kolejnych lat znalazła jeszcze wiele pereł. Co mniejsze przekazywała Nishimoto-sanowi. Ale najlepsze zachowała dla siebie. I udało się jej już zgromadzić ponad dwadzieścia pereł. Potrzebowała jednak więcej. Im większa kolekcja, tym wyższa jej wartość. A przede wszystkim potrzebna jej była naprawdę duża perła. Musiała znaleźć perłę swoich marzeń.

Wiedziała, że Haruki również miała sekretną kolekcję. Manami znalazła ją kiedyś ukrytą w jedwabnym ślubnym kimonie babki w starej zakurzonej tansu, której nikt już nie otwierał. Tajemnica babki zainspirowała ją. Lecz w przeciwieństwie do Haruki, Manami nie zamierzała trzymać swojej kolekcji w ukryciu do czasu, gdy będzie stara i siwa. Chciała ją wykorzystać, gdy będzie jeszcze młoda. Dzięki tym perłom kupi dla siebie, swojego męża i dziecka lepsze życie.

– Widziała mama Yoshiro dziś rano? – zapytała Umiko z nadzieją, zsuwając z siebie suknię. – Myślałam o swojej pracy. Może już czas, żebym wypłynęła jego łodzią? – zasugerowała nie po raz pierwszy.

Umiko jeszcze bardziej stanowczo pokręciła głową.

– Nie jesteś gotowa, Manami. Ile razy mamy o tym rozmawiać? Może w przyszłym sezonie.

Yushi zaśmiała się ze swojej młodszej siostry i powiedziała, jak najlepiej naśladując Haruki:

– Zanim wsiądziesz na osła, musisz najpierw jeździć na wole, Manami-chan.

Manami posłała Yushi ostrzegawcze spojrzenie. Jak jej siostra ma czelność tak umniejszać jej zasługi? Wszyscy wiedzieli, że to Manami była bardziej utalentowana z nich dwóch. Yushi, tylko dlatego że starsza, mogła pływać na łodzi męża i nurkować z ciężarkami przytroczonymi do pasa. Mogła nurkować na dno oceanu, a Manami nie. No i mogła spędzać cały dzień ze swoim mężem. A przecież nawet się nie lubili. Ile ona i Yoshiro daliby za to, żeby móc spędzać razem czas! To po prostu było

niesprawiedliwe. Manami czuła gniew wrzący w jej trzewiach.

– Uspokój się, Manami – ostrzegła ją matka. – Yushi po prostu się z tobą droczy. Dlaczego zawsze musisz płonąć z wściekłości? Kiedy się czegoś nauczysz? Fajerwerki rozjaśniają nocne niebo, ale tylko na krótko, a potem gasną. Nawet nie masz jeszcze osiemnastu lat – ciągnęła cierpliwie. – Poza tym nie można zaufać tobie i Yoshiro, gdy będziecie razem. Nie byłibyście skoncentrowani na pracy. Dowodem na to jest Aiko!

Manami się zarumieniła. Jej matka była upartą kobietą i nie było sposobu na to, żeby zmieniła zdanie w tej kwestii. Przynajmniej nie dzisiaj. Ale Manami miała inny plan. Skoro nie może wypłynąć na otwarte morze na łodzi Yoshiro, popłynie tam sama. Zaczęła rozwijać narzędzie, które dała jej babcia.

– Co tu masz? – zapytała Umiko.

– *Tegane* babci – odparła Manami. – Dała mi go dzisiaj. Powiedziała, że przyniesie mi szczęście. Wydaje się jej, że mi się przyda!

Manami dostrzegła cień, który przemknął po obliczu matki.

– Dała ci go? – zapytała Umiko lekko trzęsącym się głosem.  
– Oddaj mi to – dodała śmiertelnie poważnie.

Manami ściągnęła brwi, skonsternowana i przycisnęła *tegane* do piersi.

– Nie, matko – odparła. – Babcia chciała, żebym to ja go miała. To prezent. Należał do niej i chce, żeby był mój.

– Zanim babcia weszła w jego posiadanie, należał do kogoś innego – mówiła Umiko surowo. – Ten *tegane* jest przeklęty. Babcia powinna wyrzucić go do oceanu wiele lat temu. Nie pojmuję, dlaczego ci go dała.

– Nie rozumiem, o czym mówisz, matko – zdziwiła się Manami.

Umiko milczała przez bardzo długi czas. Ujęła głowę w ręce, jakby w jej umyśle toczyła się wielka wojna. Wreszcie się odezwała:

– Masz rację, Manami. Nie mogę ci odebrać prezentu od babci. Może wie coś, czego ja nie wiem. Wolałabym, żebyś

zostawiła ten nóż w *amago*, ale wybór należy do ciebie. –  
Ramiona jej opadły, jakby przegrała walkę.

– Za bardzo się martwisz, matko – stwierdziła Manami,  
próbując rozładować atmosferę. – Niech mama idzie. Zobaczymy  
się później.

Umiko nie okazywała często czułości. Przejawem jej miłości  
do dzieci były czyste ubrania i opatrzone kolana, a nie  
zasypywanie ich pocałunkami. Dlatego też zaskoczyła Manami,  
gdy delikatnie ujęła jej twarz w ręce i czule pocałowała ją w czoło.

Zdumiona Manami patrzyła za wychodzącą matką. Czasami  
jej rodzina była szaleńczo przesądna! Dopatrywała się tajemnicy,  
znaczenia, błogosławieństwa i znaków we wszystkim. To mogło  
być wyczerpujące. Rodzina Yoshiro mocniej stąpała po ziemi. Jego  
krewni wywodzili się z ziemi i drewna, podczas gdy krewni  
Manami z wody i ognia. Manami uwielbiała siłę Yoshiro. Jego  
korzenie mocno ją ugruntowywały. Babka oczywiście widziała to  
inaczej. „Jesteś ogniem, a Yoshiro drewnem”, stwierdziła Haruki  
śmiertelnie poważnie w dniu ich ślubu. „Uważaj, żeby twoje  
płomienie nie spaliły jego drzewa, Manami-chan”.

## *Rozdział dwudziesty*

St John's Wood, Londyn, 2012

Tym razem Sophia maszerowała pewnym krokiem szpitalnymi korytarzami, pomachała pielęgniarce na powitanie, zapukała do drzwi pokoju babci i weszła do środka tanecznym krokiem i z uśmiechem na twarzy.

– Kochanie, jak wcześniej przyszałaś! – zawołała babcia, uśmiechając się. – Nie przestaniesz mnie zadziwiać.

Sophia odwzajemniła jej uśmiech, pocałowała delikatny policzek babci i dała jej pudełko z kruchym ciastem lawendowym, które kupiła po drodze.

– Dobrze babcia wygląda – zauważyła, siadając wygodnie na łóżku obok starszej pani.

– Pozory mogą mylić – skrzywiła się babcia. – Rano czułam się paskudnie, ale dawka morfiny i odrobina makijażu mogą działać cuda.

Sophia przyglądała się fotografii w srebrnej ramce stojącej na szafce obok łóżka. Widziała zdjęcia babci z czasów młodości wielokrotnie, ale teraz, gdy przeczytała te wszystkie listy, to zdjęcie wyglądało bardziej realistycznie. Babcia prezentowała się wspaniale w sukience od Diora. Jej łabędzią szyję zdobiły nadzwyczajnej urody perły: trzy sznury i jedna ogromna pośrodku, tak jak w opisie. Sophia była urzeczona.

– Mój naszyjnik – odezwała się babcia, gdy zauważyła, że Sophia wpatruje się w biżuterię. – Czyż nie jest piękny?

Sophia podniosła zdjęcie i przyjrzała mu się z bliska. Perły były większe, niż sobie wyobrażała, a ich blask był zauważalny nawet na czarno-białej fotografii.

– Jest cudowny – stwierdziła. – Tata z pewnością bardzo babcię kochał.

– Owszem – odparła Tilly z pewnością, której wnuczka jej pozazdrościła. – I dlatego to jest takie straszne. – Położyła dłoń na przedramieniu Sophii. – To, że zagięły, kochanie. Tak nie może

być. Jak mogłabym spocząć w spokoju, nie wiedząc, czy wrócą do rodziny? Papa darował mi je, żebym się nimi radowała. Poza tym powinny być twoje.

Sophia przytaknęła, ale się nie odezwała. Rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o naszyjniku oraz o tym, co się z nim stało, ale nie chciała zadawać zbyt wielu pytań. Nie chciała, żeby jej babcia pomyślała, że była zbyt mocno zainteresowana swoją spuścizną. Babcia ją wyręczyła.

– Obiecuj, że mi pomożesz, kochanie – powiedziała. – Stąd nic nie mogę zrobić. A tylko tobie ufam.

Babcia spojrzała na nią zażawionymi błękitnymi oczami i choć było oczywiste, że chciała odzyskać perły, Sophia zastanawiała się, czy jej babcia nie odgrywa przypadkiem jakiejś roli. Tylko jakiej? I dlaczego?

– Jest babcia pewna, że mama nie umieściła naszyjnika w jakimś bezpiecznym miejscu? – zapytała Sophia, starając się myśleć racjonalnie. – Albo tata. Wie babcia, jaki jest. Przecież przechowuje wszystkie babci obrazy w strzeżonym magazynie, prawda?

– Owszem – odparła babcia. – Ale naszyjnik nie powinien nigdy opuszczać rodziny.

– Skąd babcia wie, że opuścił rodzinę? – Sophia delikatnie drażyła temat. – Jak mówiłam, być może mama...

– Nie! – przerwała jej babcia z błyszczącymi oczami. – Musisz mi uwierzyć, Sophio. Nie ma go. I muszę go znaleźć, zanim będzie za późno.

– Nie rozumiem, babciu – stwierdziła Sophia. – Do czego jestem babci potrzebna? Dlaczego nie zapyta babcia mamy?

– Próbowałam – rzuciła babcia łamiącym się głosem. – Ale znasz ją. Czasami mówi tak niejasno i jest taka obojętna. Wydaje się nie mieć nigdy poczucia, że jakaś sytuacja jest pilna. No i twój ojciec musi się zawsze oczywiście wtrącić, a wiesz, jak bada granice mojej cierpliwości.

Sophia przełknęła ciężko. Wyglądało na to, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż sądziła. Jak do licha ma wytropić

zaginiony naszyjnik z pereł? Matka z nią nie rozmawiała, a jeśli babcia nie miała innych pomysłów, Sophia utknie w martwym punkcie, jeszcze zanim przystąpił do działania.

Babcia wzięła głęboki wdech i zaczęła jeszcze raz od początku.

– To dość proste, kochanie – powiedziała wymuszenie dziarskim tonem. – Dostałam ten naszyjnik od ukochanego Papy i chciałabym go zobaczyć przed śmiercią. Poza tym chcę, żebyś ty go miała. Powinnaś go dostać na osiemnaste urodziny, jak ja, a potem twoja matka. Ten naszyjnik jest twój w takim samym stopniu jak mój. Czy nie chciałabyś posiadać czegoś tak doskonałego? Wyjątkowego? Niewiele kobiet ma taką szansę.

Sophia zamyśliła się głęboko. Zastanawiała się, czy to nie jest przypadkiem bardzo skomplikowany podstęp, żeby zmusić ją do skontaktowania się z matką. Czy babcia nie wolałaby przed śmiercią raczej doprowadzić do pojednania jej córki z wnuczką, a nie wytropić jakiś zaginiony naszyjnik? Nie wątpiła w to, że Matilda miała serce na właściwym miejscu, ale czy mogła zawierzyć jej motywom? „Twoja matka wie”, powiedziała wczoraj babcia. Sophia bardzo by chciała odnaleźć obrożę babci, choć pytanie matki o cokolwiek było ostatnią rzeczą, której pragnęła. Ale przecież mogłaby uszczęśliwić babcię, a czy to nie było w tej chwili najważniejsze? Nie musiała udawać szczęśliwej rodziny. Nie musiała rozmawiać z ojcem. Wystarczyło, że wykona jeden telefon do matki. Dla babci. Poza tym nie mogła zaprzeczyć, że nawet najmniejsza nadzieja na posiadanie takiego skarbu działała na nią nadspodziewanie odurzająco.

– Kiedy babcia widziała naszyjnik po raz ostatni? – zapytała, przyłączając się do gry.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym – odpowiedziała babcia z niezachwianą pewnością.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym? – powtórzyła Sophia, starając się ukryć ton zdziwienia w głosie. – Mam znaleźć naszyjnik z pereł, którego nie widziała babcia od ponad trzydziestu lat?

– Tak – odparła babcia z przekonaniem.

– Myślałam, że zaginął niedawno – zauważyła Sophia z niedowierzaniem. – Sądziłam, że będę musiała poszperać trochę w babci szkatułkach z biżuterią albo w sejfie rodziców. Gdzie mam zacząć szukać czegoś, co zaginęło jeszcze przed moim przyjściem na świat? Nawet nie potrafię znaleźć kompletu bielizny we własnym pokoju.

– Mam świadomość, że twoi rodzice nie zawsze dostrzegają inteligencję, z którą się urodziłaś – powiedziała babcia spokojnie. – Ale zawsze mi się wydawało, że tak jak ja nie wierzyłaś w ich opinię i miałaś pojęcie o rozlicznych umiejętnościach i talentach, które posiadasz. Ponad wszelką wątpliwość nie zamierzam traktować cię jak głupiej, żebyś mogła dalej być... jak nazywa cię ojciec?

– Wałkoniem.

– O właśnie. Jesteś o wiele za mądra, by marnować czas na nicnierobienie, młoda damo.

Sophia uśmiechnęła się wbrew sobie. Babcia zawsze uważała, że była genialna, nawet jeśli jej szkolne świadectwa sugerowały coś innego. Jeśli ten komplement to kolejny podstęp babci, nie można mu było odmówić skuteczności.

– No dobra, wchodzę w to – oznajmiła. – Ale będzie mi babcia musiała powiedzieć o tych perłach wszystko.

Gdy starsza kobieta siedziała przez chwilę w milczeniu, Sophia zauważyła, że kipi ze złości.

– W przeszłości nie byłam taka zła o to, że naszyjnik zaginął – odezwała się w końcu. – Miałam mnóstwo pięknych klejnotów i eleganckich sukien. Byłam rozpieszczona. Ale zostało mi tak mało czasu i podczas gdy pozostałe luksusy straciły swój blask, ten jeden zachował znaczenie. Teraz to rozumiem. Ten naszyjnik to coś więcej niż biżuteria. To kawałek historii, mojej, naszej. Jest niezastąpiony.

Z powrotem opadła na poduszki. Nagle wyglądała na wyczerpaną, a kolor odpłynął jej z policzków.

– Przypuszczam, że to głupie. Zbyt dużo czasu minęło, żeby



coś z przeszłości, z mojej młodości, teraz, kiedy koniec jest bliski... Ale... Ten naszyjnik to ogniwo łączące mnie z Papą, powód, dla którego twój dziadek zagaił ze mną rozmowę, ozdobą, którą założyłam na premierę swojego pierwszego filmu, oscarową galę i chrzest twojej matki... Był ogniwem łączącym mnie z przeszłością i chciałam, żeby łączył mnie też z przyszłością, gdy już odejdę.

– Obiecuję babci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go odnaleźć – przysięgła Sophia. – Zrobię wszystko, babciu. Nawet porozmawiam z mamą. Chcę zobaczyć, jak babcia znowu założy swoje perły. A gdy je znajdziemy, napijemy się szampana. Zgoda?

Babcia się uśmiechnęła, ale jej twarz nadal wyrażała smutek.

– Zgoda. Lecz nie mamy dużo czasu, Sophio – powiedziała poważnie. – Wiesz, że lekarze dają mi tygodnie, nie miesiące?

Sophia przytaknęła i powstrzymała łzy. To nie był czas na okazywanie słabości. Musiała być silna dla babci.

– Od czego mam zacząć? – spytała. – Pamięta babcia dokładnie, gdzie i kiedy widziała perły po raz ostatni?

Babcia przez chwilę wyglądała przez okno, jakby się zastanawiała uważnie, co powinna powiedzieć. Nie po raz pierwszy Sophia odniosła wrażenie, że jej babcia wiedziała o tym, co się stało z perłami, więcej, niż mówiła. A teraz, gdy już wciągnęła Sophię we wszystko, rozważała, jak dużo jej wyjawic.

– Dałam naszyjnik twojej matce na osiemnaste urodziny – oznajmiła babcia w końcu. – Potem ty go miałaś dostać, gdy osiągniesz pełnoletniość. Gdyby nie zniknął...

– W takim razie mama go nosiła... – Sophia zachęciła babcię, żeby kontynuowała.

– Nie – zaprzeczyła Tilly. – I to jest dziwne. Nigdy nie widziałam, żeby go nosiła po swoich urodzinach. Ani razu. Pomyślałam, że być może nie był w jej stylu. Były lata osiemdziesiąte i, choć możesz w to nie wierzyć, twoja matka bardzo nadażała wówczas za modą. Nie miałam nic przeciwko temu. Pomyślałam, że schowała go w bezpieczne miejsce i z

czasem do niego dojrzeje. Zapytałam ją w dniu ślubu, czy go założy. Odpowiedziała, że nie. Bez żadnych wyjaśnień, tłumaczeń. Po prostu nie. Przy okazji twojego chrztu sytuacja się powtórzyła. Nie założyła pereł.

– Nie była babcia na nią zła? – spytała Sophia zszokowana.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby jej świętoszkowata matka odmówiła założenia klejnotów rodzinnych na własny ślub. Teraz była taką konformistką.

– To był jej ślub. Nie mogłam grymasić, prawda? Nie podobało mi się, że wychodzi za mąż w wieku osiemnastu lat. Nie podobała mi się jej trwała ondulacja. Pan młody też mi się nie podobał, jeśli mam być szczerą! Lecz twój dziadek kazał mi obiecać, że nie doprowadzę jej do łez w tym wyjątkowym dniu. Wróciła z Włoch w bardzo dziwnym nastroju. Oznajmiła nam, że nie pójdzie na studia, tylko wyjdzie za mąż. Mieliśmy wrażenie, że po tej wycieczce wróciła do nas inna dziewczyna. Było jej trudno, a ja chciałam odzyskać radosną, pełną życia Alice. Więc mimo że było mi przykro w związku z tym, że nie założyła pereł, nie chciałam jej niczym denerwować, bo myślałam, a przynajmniej miałam nadzieję, że ślub będzie dla niej początkiem nowego, szczęśliwszego rozdziału życia.

– Dlaczego było jej trudno? – zainteresowała się Sophia. – Co robiła we Włoszech?

Wydawało się jej, że największym ryzykiem, jakie matka podejmowała, było przyrządzenie szczególnie trudnego sufletu. Zakładała, że nigdy nigdzie nie podróżowała, o ile wyjazdu nie organizowało najlepsze na rynku biuro. No i wierzyła, że najgorszą tragedią, jaka mogła się matce przydarzyć w ciągu jej cudownego życia, był złamany paznokieć.

– Twoja matka wybrała się w podróż kolejową po Europie. To był w owym czasie szal wśród młodzieży. Fankie nie chciał, żeby jechała. Według niego była za młoda, ale przekonałam go, że dobrze jej to zrobi. Była odważną dziewczyną, pełną życia i jechała z przyjaciółką ze szkoły. Uznałam, że to będzie przygoda, jakiej potrzebowała. Przeniosłam się do Londynu w jej wieku i

dobrze mi to zrobiło. Ale...

– Ale...? – Sophia wyczuła, że jest coś jeszcze.

– Był chyba też jakiś chłopak – ciągnęła babcia. – Poznała w Rzymie jakiegoś chłopaka, który złamał jej serce. To wszystko. Każda z nas przez to przechodziła. Dlaczego sama jej o to nie zapytasz? Czuję się trochę zmęczona. Matka na pewno powie ci więcej niż ja.

– Och. Oczywiście – powiedziała Sophia niechętnie.

Tilly zagrała atutem. Sophia wiedziała, że gdy śmiertelnie chora babka mówi, że jest zmęczona, trzeba zamilknąć. Boże, dobra była! Nigdy nie przestawała być aktorką.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Ise Shima, Japonia, 1927

Manami była ostatnią amą, która została w chacie. Małe dziewczynki brodziły już po płyciźnie i w zagłębieniach skał, zbierały wodorosty i zbląkane skorupiaki lub uchowce. Młodsze kobiety, takie jak Manami, pływały przy brzegu w relatywnie płytkich i bezpiecznych wodach blisko plaży. Jej siostry i matki dołączyły do swoich mężów na ich łodziach rybackich. Nurkowały. Były wolnymi kobietami. Manami z niecierpliwością czekała na czas, gdy do nich dołączy.

Na razie szlifowała własną technikę. A nie tyle własną, co zapożyczoną od przodków. Rozejrzała się, by się upewnić, że jest sama, po czym wzięła to, czego potrzebowała.

Po raz ostatni zerknęła ukradkiem na pozostałe amy, przeszła szybko wśród fal, aż obesza cypel i zniknęła dziewczętom z oczu. Tam oparła się o skały i obwiązała się w pasie długą liną. Na końcu liny znajdowała się prowizoryczna boja. Była to pusta drewniana beczka, ale to wystarczyło. Potem przywiązała do liny ciężarki, które „pożyczyła” z *amagoja*. A potem, spojrzawszy po raz ostatni na brzeg, wypłynęła w morze.

Sezon zaczął się relatywnie niedawno – była druga połowa maja – i woda nadal była lodowata. Trudno płynąć z ciężarkami ciągnącymi ją ku dnu, ale Manami, silna dziewczyna, wiedziała dokładnie, dokąd zmierza. Jakies pół kilometra od lądu znajdowała się ostro zakończona skała, która sterczała z oceanu. Będzie dzisiaj bazą dla Manami. W ciągu wielu lat dużo się rozglądała pod falami. Słyszała od starych am historie o obfitujących w perły stanowiskach ostryg niedaleko cypla i choć kobiety twierdziły, że stanowiska te już dawno zostały wyeksploatowane, Manami nie była tego taka pewna.

Amy były obecnie tak zajęte pracą dla kompanii rybackich i zbieraniem skorupiaków, które trafiały na talerze zamożnych ludzi w Osace, że już żadna nie uważała się za poławiaczkę pereł. Żadna

nawet ich nie szukała! A jeśli kilka z tych ostryg ocalało? Może całe stanowisko się odbudowało w ciągu minionych lat? Przyplłynęła tu w ubiegłym tygodniu na tę skałę i mogłaby przysiąc, że widziała całą grupę ostryg ukrytych w głębokiej rozpadlinie, tylko kilka metrów głębiej, niż mogła się zanurzać. Próbowała tam dopłynąć trzykrotnie, ale morze było zbyt wzburzone, prąd zbyt silny, a ona nie miała ciężarków, które pomogłyby się jej zanurzyć. Dzisiaj ocean wydawał się stosunkowo spokojny. Miała ze sobą potrzebny sprzęt. Duchy morza jej sprzyjały. Dzisiaj Manami będzie szukać pereł.

Kiedy dotarła do skały, wciągnęła się na płaską skalną półkę na tyle głęboką, że można było na niej usiąść. Zazwyczaj amy nurkowały z obciążeniem z łodzi. Lina łączyła nurkującą z rybakiem na kutrze i gdy kobieta chciała się wynurzyć, pociągała po prostu za linę, a rybak wyciągał ją z wody. Manami nie dysponowała jednak rybakiem, który mógłby jej pomagać. Zamierzała zanurkować z ciężarkami, a potem, gdy spędzi pod wodą wystarczająco dużo czasu, odzwiąże je i zostawi na dnie oceanu. Proste. Wypłynie na powierzchnię i będzie mogła odpocząć na prowizorycznej boi, do której się przywiązała. Upewniła się, że mocno przywiązała ciężarki i że *tegane* siedział pewnie w przepasce na biodra. Pociągnęła za długą linę, która łączyła ją z boją, założyła okulary i zaczęła oddychać. Zrobiła serię krótkich ostrych wdechów, aż w głowie się jej zakręciło, a płuca się wypełniły. Potem, biorąc ostatni łyk powietrza, zanurzyła się w oceanie i zniknęła pod falami.

Płynęła energiczniej i szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, aż blade wiosenne słońce było tylko słabym blaskiem wiele metrów nad nią. Ocean napierał na nią i usiłował wybić ją z kursu, ale Manami nie zamierzała na to pozwolić.

Im głębiej się zanurzała, tym większa ciemność ją otaczała, a w głowie, uszach i płucach czuła coraz silniejszy nacisk, ale nic nie mogło jej dzisiaj zdekoncentrować. W końcu wypatrzyła ciemny kształt poszarpanej wychodni skalnej, którą widziała tydzień wcześniej. Jeszcze tylko kilka metrów i dotrze na miejsce.

Odliczała w myślach czas i wiedziała, że jest pod wodą już od ponad minuty, a piekący ból czaszki podpowiadał jej, że zeszła głębiej niż kiedykolwiek wcześniej. Mimo to zanurzała się dalej, aż wreszcie wyciągnęła rękę i dotknęła twardej skały.

Chwyliła się skał i przecisnęła się przez wąską rozpadlinę tylko niewiele szerszą od jej nagiego ciała. Otarła się o kamień i rozcięła głęboko lewe udo. Sól paliła ranę, ale Manami nie zważała na to, do skał przywarły bowiem tuziny rzadkich perłopławów indyjskich. Dziewczyna miała wrażenie, że za chwilę eksploduje jej głowa, ale adrenalina krążąca w jej żyłach była silniejsza od bólu. Trzęsącymi się, skostniałymi z zimna palcami wyciągnęła *tegane* babci i wsunęła ostrze między ostrygę i skałę. Podważała muszle i siłowała się z nimi, aż jedna, dwie, trzy perłopławy wylądowały w jej opasce na biodra. Kręciło się jej w głowie. Było jej tak zimno, że nie czuła już stóp, a palce dłoni z trudem ścisnęły *tegane*. Nie mogła się jeszcze poddać. Musiała zebrać jak najwięcej tych ostryg. Cztery, pięć, sześć. Przepaska biodrowa robiła się coraz cięższa. Siedem, osiem, dziewięć. Jeszcze jedna. Ta duża. Jeszcze tylko jedna.

Manami usiłowała oderwać od skały największą ostrygę, która trzymała się podłoża kurczowo, jakby miała świadomość, że walczy o życie. Zawroty głowy były tak silne, że Manami straciła orientację i ledwie widziała dłoń przysuniętą do twarzy. Czuła się też tak, jakby jej klatkę piersiową ścisnęło imadło. Nie miała już pojęcia, ile czasu przebywała pod wodą na wstrzymanym oddechu, ale na pewno dłużej niż kiedykolwiek wcześniej, i wiedziała, że najwyższa już pora wynurzyć się na powierzchnię. I to szybko. Być może o życie walczyła nie tylko ostryga, ale też Manami. Zdołała oderwać perłopława od skały, wykorzystując całą swoją siłę, a gdy to zrobiła, *tegane* babci wysunął się jej z dłoni. Dziewczyna wyciągnęła rękę, żeby chwycić cenne narzędzie, ale było za późno. Czubki palców musnęły rękojeść, lecz nie udało się jej złapać. Manami patrzyła z przerażeniem, jak *tegane* znika w głębinach. Mogła co najwyżej przekląć własną nieostrożność. Jak miała powiedzieć babci, że zgubiła jej cenne narzędzie w dniu, w

którym je dostała?

Zaczęła wpadać w panikę. A to jest ostatnia rzecz, jaką powinna robić osoba nurkująca na zatrzymanym oddechu. Manami odnosiła wrażenie, że głowa odpływa jej od barków, i nie czuła już swojego ciała. Wcisnęła ostatnią ostrygę w przepaskę biodrową i niezdarnie przecisnęła się przez szczelinę. Woda wokół niej poróżowiła, gdy krew pociekła jej z ran. Dziewczyna usiłowała trzęsącymi się palcami rozwiązać sznur, którym przywiązała ciężarki, ale była tak zmęczona i spragniona oddechu, że nie miała już na to siły. Nie miała *tegane*, by przeciąć sznur i była na tyle głupia, że zostawiła własny nóż do otwierania ostryg w beczce, sądząc, że nie będzie go potrzebowała przed wynurzeniem się.

Głowę Manami rozsadzało nieznośne ciśnienie. Poczowała, że krew wypływa jej z uszu, a także z ran, a głowę wypełniał jej dziwny szum, który był coraz głośniejszy, gdy serce próbowało wyskoczyć jej z piersi. Musiała wrócić na powierzchnię, ale ciężarki chciały wciągnąć ją głębiej. Machnęła nogami, żeby znaleźć się na poziomie szczeliny, i zaczęła gorączkowo pocierać sznurem o krawędź ostrej skały. Wydawało się, że upłynęły wieki, zanim zdołała lekko postrzępić sznur, a za każdym razem, gdy pudłowała, skała wrzynała się w jej skórę po wewnętrznej stronie nadgarstków. Wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Wizja doskonałej twarzy Aiko wypełniała jej umysł, kiedy tak rozrywała sznur o skałę. Nie da się pokonać. Robiła to dla swojej córki. Wreszcie sznur pękł, ciężarki runęły w otchłań oceanu i Manami była wolna.

Wykrzesła z siebie resztki siły i popłynęła ku malutkiej plamce rozmytego światła na górze. Odległe słońce przyciągało ją jak magnes. Manami poczuła, że temperatura wody rośnie i zauważyła, że morze nie jest już czarną gęstą zupą, tylko lepiej jej znaną mroczną, szarozieloną wodą. Światłość dnia ponad oceanem nasilała się niebotycznie i chwilę później dziewczyna wybiła się ponad fale, chwytając powietrze, krwawiąc i cierpiąc, ale żywa. Chwyciła drewnianą beczkę i opadła na swoją prowizoryczną boję. Spędziła pod wodą zaledwie kilka minut, lecz było to przerażające

doświadczenie. Zamknęła oczy i leżała tak, czując, jak tlen wypełnia jej zbolące płuca, a fale omywają pokiereszowane ciało. Była cała pocięta, pękły jej bębunki w uszach, a głowa nadal groziła eksplozją. Pewnie wyglądała, jakby przegrała walkę z gigantycznym wężem morskim. Jak wyjaśni to wszystko matce, nie wpadając w poważne tarapaty? Jak wytłumaczy to Yoshiro? I jak przekaże babci wiadomość o jej *tegane*?

Wtem przypomniała sobie o ostrygach w przepasce biodrowej i poczuła przyływ sił. Znajdowała się daleko od brzegu. Nie wróci do plaży, jeśli nie odpocznie, ale skały, przy których nurkowała, były niedaleko. Nadal przytrzymując się beczki, dała z siebie wszystko i płynęła tak długo, aż jej palce zacisnęły się na płaskiej półce, na którą się wdrapała. Przeżyła szok na widok głębokiej rany na udzie i tysiąca nacięć i zadrapań na nogach, tułowiu i nadgarstkach. Jakże niezdarnym głupcem była. Miała nadzieję, że nie zostaną jej blizny.

Nadal była roztrzęsiona i słaba, pulsowały jej uszy, głowa, klatka piersiowa i całe ciało, ale miała coś do zrobienia. Czowała w palcach mrowienie, gdy wyciągała perłopławy z *fundoshi* i układała je na płaskiej skale, na której mogła je podziwiać. Niecały tuzin ostryg nie zrobi wrażenia na panu Nishimoto, ale jeśli instynkt jej nie mylił, zawartość muszli może być warta dla kompanii rybackiej więcej niż tona owoców morza. Wyciągnęła nóż do ostryg z otwartej beczki i zrobiła coś, czego amie nie wolno robić: zaczęła otwierać ostrygi. Oczywiście otwarte mięczaki nie mają żadnej wartości dla kompanii, ale pan Nishimoto i jego zyski były ostatnią rzeczą, o której Manami myślała.

Ze znanstwem wsunęła ostry nóż pomiędzy muszle, obróciła go i przecięła mięsień, który trzymał muszle zamknięte. Nic.

– *Ku so!* – rzuciła, przekrzykując szum fal. – Cholera!

Wyrzuciła bezwartościową ostrygę do morza dla zachłannych mew. Powtarzała proces jeszcze osiem razy, aż wreszcie została jej tylko jedna ostryga. Poczowała się bardzo dziwnie. Wrażenie, jakby wbijano jej szpilki i igły w palce rozprzestrzeniło się na całe ręce. I mimo że siedziała bezpiecznie nad wodą, miała trudności z



oddychaniem. W głowie jej dudniło, a obraz rozmywał się jej przed oczami tak, że prawie nie widziała brzegu. Starła się rozpaczliwie zapanować nad sobą, gdy zaatakowała nożem ostatnią ostrygę. Dwa, trzy razy spudłowała i zamiast tego dźgnęła się w rękę. Co się z nią działo? Dlaczego świat wirował? Wreszcie zdołała wbić nóż w ciało perłopławu, tego największego, tego, z którym zmagala się na śmierć i życie w podwodnej jaskini i który nadal nie chciał zdradzić swojej tajemnicy. Manami wsunęła nóż głęboko pomiędzy muszle i obracała nim, ale muszle się nie rozwierały. Uderzyła ostrygą o skałę i podjęła kolejną próbę. Musiała na chwilę ująć głowę w dłonie, bo poczuła tak silne zawroty. I wtedy, resztką sił, znowu zaatakowała ostrygę. Otworzyła się. Manami wreszcie wygrała.

Trzęsącymi się dłońmi rozwarła muszle. Była tak oszołomiona, że musiała dość długo przyglądać się temu, co ujrziała, by to zrozumieć. Połyskując w bladym wiosennym świetle, leżała przed nią największa, najkrąglejsza, najbardziej lśniąca i doskonała perła na świecie. Musiało tak być! Manami oglądała tak ogromną i piękną perłę tylko w snach. A może właśnie śniła? Wszystko było spowite mgiełką. Szarobłękitne niebo, ciemnozielone morze, słabe majowe słońce, odległy brzeg – wszystko falowało jej przed oczami, a skała, na której siedziała, zaczęła się pod nią kołysać, jakby połykał ją ocean. Nic nie wydawało się realne. Ale się jej udało, prawda? Zrealizowała swoje marzenie. Wyjęła perłę z muszli i ścisnęła ją w dłoni; jej znękane ciało wpadło do wody i ruszyła, jak miała nadzieję, w stronę domu. Gdy fale zakrywały jej głowę, myślała wyłącznie o dwóch osobach – Yoshiro i Aiko – które były całym jej światem.

Haruki przyciskała Aiko do piersi, gdy pośpiesznie szła śliską ścieżką w dół klifu. Przeklinała stare zeszywniałe nogi i słabe serce, kiedy tak na poły się ślizgała, na poły zbiegała z klifu, mruzczała pod nosem modlitwę do morskich bóstw.

– Proszę, oszczędźcie Manami, bo jest młoda i ma przed sobą całe życie. Jej córka jej potrzebuje. Mąż również. Jeśli pragniecie jakiejś duszy, zabierzcie moją, nie jej. Jestem stara i wiedłam

dobre życie. Jestem gotowa odejść. Ale nie Manami. Błagam was. Nie zabierajcie mojej Manami-chan.

Haruki znowu obserwowała Manami ze szczytu klifu. W pierwszej chwili była zła, gdy zobaczyła, jak jej wnuczka przywiązuje się do boi i mocuje ciężarki. To stara technika, której już nie uczono, a Manami nie miała pojęcia o jej zawilosciach. A potem popłynęła daleko, porzuciła cypel i bezpieczeństwo. Za kogo ta szalona dziewczyna się uważała, że oddalała się od brzegu tak bardzo bez żadnej opieki? Haruki krzyczała do niej z klifu.

Manami jej jednak nie słyszała. A potem, gdy zniknęła pod wodą, Haruki również wstrzymała oddech. Wpatrywała się bez końca w fale obok samotnej beczki i modliła się, żeby Manami wypłynęła na powierzchnię. I kiedy obserwowała krążące i nurkujące mewy, i liczyła wznoszące się i opadające fale, wiedziała, że jej wnuczka przebywała pod wodą zbyt długo.

To czekanie było okropne. Haruki nie posiadała się z radości, gdy znowu ujrzała Manami, ale od razu wiedziała, że dziewczyna jest ranna.

Wydawało się jej, że *tegane* jej siostry przyniesie Manami szczęście. Być może potwornie się pomyliła. Starszą siostrę Haruki, Chiyoe, pożarł ten sam ogień, który trawił Manami. Miały nawet taki sam ognisty kolor oczu. W wieku siedemnastu lat Chiyoe zakochała się, ale ojciec nie zgodził się na ten związek. Chiyoe i jej kochanek uciekli pod osłoną nocy i nikt nigdy więcej o nich nie słyszał. Rano Haruki znalazła *tegane* Chiyoe na plaży. Choć pogrążona w rozpacz matka przysięgała, że jej córka utonęła, Haruki wciąż modliła się za Chiyoe i miała nadzieję, że jej siostra jest bezpieczna i szczęśliwa. Aż do tego dnia była pewna, że *tegane* Chiyoe jest szczęśliwym amuletem. Sama korzystała z niego przez długie lata i czyż nie wiodła owocnego życia? Dzisiaj jednak przekazała nóż Manami, a ta znalazła się w ogromnym niebezpieczeństwie.

Manami wskoczyła do oceanu i usiłowała dopłynąć do domu. Haruki ją widziała; dziewczynę dzieliło do brzegu jakieś pięćdziesiąt metrów. Fale zakrywały jej głowę i zniknęła pod nimi

na zbyt długo. Haruki zeskoczyła na plażę i zaczęła biec w stronę morza, wciąż tuląc dziecko. Aiko patrzyła na nią wielkimi przestraszonymi oczami, ale nie płakała.

Z plaży staruszka prawie nie widziała Manami. Na brzegu nie było żywej duszy. Pozostałe amy albo przebywały na swoich łodziach, albo nurkowały po drugiej stronie cypla. Bez chwili wahania Haruki zaczęła pewnie brodzić w lodowatej wodzie. Spędziła całe życie w Pacyfiku. I chociaż siedem lat temu odeszła na emeryturę, nie bała się oceanu. Nóg nie miała już tak silnych jak niegdyś, a ciężka od wody suknia pętała jej stare kończyny, ale Haruki szła dalej, nie oglądając się za siebie. Fale zmoczyły ubranko dziecka i jego twarzyczkę, ale Aiko nadal nie płakała. Manami miała do brzegu zaledwie dwadzieścia metrów. Haruki zawołała ją, przekrzykując ryczący ocean i ich spojrzenia na krótką chwilę się spotkały. O dziwo Manami nie wydawała się przerażona. Jej oczy były pełne zachwytu i radości. Haruki uniosła dziecko wyżej, żeby było bezpieczne, i wyciągnęła rękę w stronę wnuczki.

– Chodź do mnie! – krzyknęła. – Chwyć mnie za rękę, Manami-chan!

Gdy Manami podpłynęła bliżej, Haruki dostrzegła krew na jej twarzy i ramionach. Co się tam wydarzyło? Manami nie wyglądała już jak krnąbrna Dziewczyna Smoka, która tego ranka wkroczyła dumnie do domu babci pełna marzeń i wielkich planów. Fale rzucały nią jak szmacianą lalką, zakrywały jej głowę i zmuszały ją do zanurzenia się. Wypływała na powierzchnię, kaszląc i plując, z trudem młóćąc wodę słabymi rękami. Wreszcie ocean cisnął znekane ciało Manami w objęcia Haruki.

Staruszka dźwigała dorosłą wnuczkę jedną ręką, drugą niosąc małą prawnuczkę, i z siłą węża morskiego wyciągnęła je obie na bezpieczny brzeg. Delikatnie położyła Manami na piasku i uklękła obok niej. Odgarnęła jej mokre włosy z twarzy. Manami miała zamknięte oczy, jej klatka piersiowa się nie poruszała i Haruki nie wiedziała, czy dziewczyna oddycha.

– Manami – odezwała się Haruki z rozpaczą w głosie. –

Obudź się, Manami-chan!

Wreszcie Manami otworzyła oczy i mimo że była na wpół przytomna, ogień w jej spojrzeniu przestraszył Haruki tak samo, jak w dniu, w którym Manami przyszła na świat. Z trudem wyciągnęła słabą rękę w stronę babci i się uśmiechnęła.

– To dla Aiko, babciu – szepnęła. – Niech babcia ją przechowa w bezpiecznym miejscu do odpowiedniego czasu. To musi być nasza tajemnica.

Haruki nie mogła uwierzyć własnym oczom. W zakrwawionej dłoni Manami leżała najbardziej idealna opalizująca perła, jaką można sobie wyobrazić. Była dwukrotnie większa od pereł, jakie znajdowała Haruki. Wzięła perlę w palce i uniosła ją do światła, porażona jej pięknem.

– Dobrze się spisałam, babciu? – wybełkotała Manami. – Czy jest babcia ze mnie dumna?

Haruki pogładziła Manami po policzku i powiedziała:

– Spełniłaś swoje marzenie, Manami-chan. Bardziej dumna z ciebie już być nie mogę.

– Jest ich więcej, babciu – szepnęła Manami. – Pod poluzowaną deską podłogową, w jedwabnym woreczku.

– Wiem – odparła babcia. – Od zawsze wiem, co robiłaś, Manami-chan.

Manami powoli przeniosła wzrok na Aiko.

– Niech ta perła przyniesie ci szczęście i błogosławieństwo, moja ukochana Aiko – zdołała wydusić z siebie szeptem. I zamknęła oczy.

Haruki rozejrzała się rozpaczliwie wkoło, ale plaża nadal była opustoszała. Manami była lodowata, a jej usta posiniały.

– Manami! Słyszysz mnie? – krzyknęła Haruki.

Sine usta Manami poruszały się, ale dziewczyna nie otwierała oczu.

– Niech babcia powie Yoshiro, że go kocham – szepnęła. – Czuję się zmęczona, babciu. Tak bardzo boli mnie głowa. Muszę się przespać.

– Manami! Nie zasypiaj! Manami! Zostań ze mną! Manami!

– krzyczała Haruki, ale jej wnuczka leżała bez ruchu.

W końcu Aiko zaczęła płakać. Haruki tuliła dziecko do piersi. Kiedy usłyszała dudniące kroki i gorączkowe wołania am nadbiegających zza cypla, wiedziała, że dla Manami jest już za późno. Mocno zacisnęła dłoń, w której trzymała perłę.

– Twoja matka zgasła, słodka Aiko. Ale ta perła jest jej darem dla ciebie – szepnęła Haruki przez łzy. – I pewnego dnia zapewni ci wolność.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Hackney, Londyn, 2012

Przez całą drogę powrotną ze szpitala Sophia starała się myśleć o babci i jej naszyjniku, ale z jakiegoś powodu co rusz wracała myślami do swojej matki. Czasami odnosiła wrażenie, że nawet nie знаła kobiety, która ją urodziła. Gdy ktokolwiek prosił ją o to, by opisała swoją mamę, używała określeń takich jak „normalna” i „bezpieczna”, lecz czy było normą to, iż matka pozostawała taką zagadką dla własnej córki? Okej, Alice lubiła porządek. Lubiła być zawsze przed czasem. Hołdowała dobrym manierom. Lubiła ciszę. Lubiła supermarkety Waitrose i sieć Marks and Spencer, grać w brydża i ubierać się na granatowo. Lecz czy to było wszystko?

Sophia poczuła nagle wyrzuty sumienia w związku z tym, że nigdy wcześniej nie zadawała takich pytań. Przez lata usiłowała poznać motywy stojące za zachowaniem ojca, usiłowała odkryć logiczne wyjaśnienie jego potępienia dla niej. A mama? Zawsze obecna, stała u boku ojca z lekko zbolalym i zdumionym wyrazem twarzy. Sophia dostrzegała w niej milczącego pomagiera. Alice nigdy nie była agresorem. Nie wszczyniała awantur. Była grzeczna i mówiła cicho. A gdy robiło się zbyt głośno? Zbyt gniewnie? Zbyt ostro? Chowala się w swojej sypialni.

Czasami, gdy była mała, Sophia zakradała się do łóżka mamy, długo po kłótni, kiedy tata wypadł już w złości z domu, żeby udać się do klubu golfowego i ochłonać, i leżały obok siebie w milczeniu, mocno się do siebie tuląc. Matka gładziła ją po włosach i całowała w głowę, ale nigdy nie odezwała się słowem, czego Sophia nie potrafiła zrozumieć. Wraz z upływem lat Sophia przestała chodzić do pokoju matki.

A teraz usiłowała wyobrazić ją sobie jako nastolatkę podróżującą po Europie, ale przekraczało to jej możliwości. Babcia starała się odmalować obraz Alice dzikiej i odważnej w młodości, ale na pewno wynikało to z tego, że starsza pani patrzyła na

przeszłość swojej córki przez różowe okulary. Sophia szukała w umyśle najstarszych wspomnień dotyczących jej matki.

Jazda samochodem późno w nocy. Jechały tylko we dwie, Sophia i Alice. Nie mogła sobie przypomnieć dokąd. Być może tego nie wiedziała. Samochód był żółty. Sophia miała na sobie piżamę. Mama wydawała się szczęśliwa, miała rozpuszczone włosy, a Sophia czuła się bezpieczna. Odtwarzały te same piosenki, raz po raz, mama podśpiewywała przez całą noc, kiedy Sophia przysypiała i się budziła. Jechały przed siebie, przez wiele kilometrów, a rano... Znowu były w domu. I wszystko wróciło do normy.

Sophia żałowała, że nie mogła sobie przypomnieć, jaką to piosenkę śpiewała wówczas jej matka. Usiłowała wydobyć tę informację z pamięci przez całą drogę do Hackney.

– Czy wiesz, co odkryłem? – zapytał Hugo, gdy Sophia weszła do domu. Siedział po turecku na łóżku z laptopem ułożonym na kolanach. – Zostawiłem ci trzy wiadomości na skrzynce głosowej i wysłałem pięć SMS-ów, gdy cię nie było – rzucił zniecierpliwiony. – Rozeznałem się trochę w temacie naszyjnika i dowiedziałem się niesamowitych rzeczy. Najdroższy naszyjnik z pereł, jaki sprzedano, uzyskał cenę ponad dwudziestu milionów dolarów! A te tanie chodzą za jakieś pół miliona, jeśli są stare i autentyczne.

Spojrzał na Sopię dużymi okrągłymi oczami, jak dzieciak w bożonarodzeniowy poranek.

– Powiem ci trzy rzeczy, Hugo – zaczęła Sophia, starając się nie tracić cierpliwości do najlepszego przyjaciela. – Po pierwsze, naszyjnik zaginął. Babcia nie widziała go od lata tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Po drugie, nawet gdyby go miała, wątpię, by był wart tyle, co te, które oglądasz w internecie. I po trzecie, nie mam najmniejszego pojęcia, jak bym go miała odnaleźć po tych wszystkich latach.

Czuła, że policzki zaczęły ją palić ze wstydu związanego z tym, że okłamała Hugo, i miała nadzieję, że nie dostrzegł jej rumieńca. Sophia bała się wyznać Hugonowi, że jej babcia

powiedziała, iż Alice jest w tym wszystkim kluczową postacią. Prawdę rzekłszy, nie była pewna, czy powinna informować go o tym, że jej matka dostała naszyjnik. No bo jak by mogła? Natychmiast próbowałyby ją zmusić do tego, żeby pojechała do rodziców i porozmawiała z matką, a nie była na to jeszcze gotowa. Żadne pieniądze nie dadzą jej tyle odwagi, by mogła się spotkać z ojcem po tym, co powiedział jej Nathan. Nie była też pewna, czy zniósłaby rozmowę z mamą.

– To jest obroża z sześćdziesięciu siedmiu doskonałych japońskich pereł w słomkowym kolorze, zbieranych ręcznie w wodach otaczających półwysep Shima. A twoja babcia jest jedną z najświetniejszych hollywoodzkich aktorek swoich czasów. Jestem pewien, że naszyjnik jest wart niezłą fortunę. Poza tym dostała go od ojca w dniu osiemnastych urodzin. Czytałem wszystkie listy od niej. „Kochany Papa” to, „cudowny Papa” tamto. Na pewno nie zapodziała nigdzie przez nieuwagę najcenniejszego prezentu, jaki od niego dostała. To nie ma sensu.

Sophia westchnęła. Hugo czasami nie był wcale takim blondynem, na jakiego wyglądał. Będzie musiała niebawem powiedzieć mu o mamie i naszyjniku. Przyda jej się jego pomoc w szukaniu tego cholerstwa po tylu latach. Lecz jak miałyby tego dokonać bez konieczności spotykania się z rodzicami? Przyjrzała się uważniej Hugonowi, który wpatrywał się w ekran komputera z wyrazem poważnego skupienia na twarzy.

– Naprawdę uważasz, że jest wiele wart? – zapytała.

Przytaknął.

– Liczy się nie tylko jakość biżuterii, ale też to, do kogo należała. Dom aukcyjny Christie’s sprzedał w ubiegłym roku należący do Elizabeth Taylor naszyjnik z pereł za jedenaście milionów dolarów, Soph.

Sophia głośno westchnęła.

– Nie sądzę, bym mogła teraz sprzedać ten naszyjnik, Hugo – wyjaśniła. – Jeśli go odzyskamy, babcia będzie chciała, żebym go zatrzymała i za każdym razem, gdy go będę zakładała, myślała o niej, jej ojcu i wszystkich tych bzdurach związanych z dynastią



Beaumontów.

– A dokąd to będziesz zakładała te perły, Sophio? – prychnął Hugo. – Do lokalnego baru z zupami? No naprawdę, co ci po wartym milion funtów naszyjniku, jeśli nie stać cię na miseczkę zupy z makaronem?

– To jest kompletna strata czasu. Przecież nigdy go nie znajdziemy – stwierdziła Sophia, opadając ciężko na łóżko. – To czysta fantazja. Zupełnie jak szukanie igły w stogu siana. Mogę tylko podjąć działania sugerujące, że szukam tych pereł, żeby babcia czuła się szczęśliwa przez te kilka tygodni, zanim... – Ciężko przełknęła ślinę. – Zanim umrze. A potem zapomnimy o tym głupim naszyjniku i będziemy żyli, jakby nigdy nic się nie stało.

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Tokio, Japonia, 2012

Aiko sączyła kawę i wyglądała przez hotelowe okno. Tokio szumiało obietnicą pieniędzy, sukcesu, techniki i władzy.

Tego ranka jednak, choć Aiko starała się bardzo skupić na spektakularnym widoku i planach na dzień, który ją czekał, wizje z przeszłości nieproszone wdzierały się jej do głowy. Początkowo atakowały tylko jej sny, ale teraz zakradały się też w porze czuwania. Im dłużej przyglądała się scenie za oknem apartamentu, tym mniej widziała z tego, co naprawdę tam się znajdowało. Na realny widok nakładały się obrazy z przeszłości. Zupełnie jakby Aiko potrafiła patrzeć na zniszczone, leżące w gruzach, powykręcane Tokio z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, które leżało ranne pod lśniącymi drapaczami chmur. Potrząsnęła głową, jakby chciała, żeby duchy zostawiły ją w spokoju. Chciała być tu i teraz, mocno zakorzeniona w zapewniającej jej pokrzepienie teraźniejszości. Lecz siła potężniejsza od Aiko wciągała jej umysł w przeszłość.

Tokio, Japonia, 1946

– Kto zjada ostatki, ten jest piękny i gładki – powiedziała sobie Aiko, gdy rozklekotany wóz jechał powoli w stronę Tokio.

Aiko była słaba z braku snu i jedzenia. Powtarzała sobie przysłowie w myślach, żeby podtrzymać się na duchu. Jeżeli w powiedzeniu tkwiło choć ziarno prawdy, jak utrzymywała jej prababka, Aiko na pewno niebawem się poszczęści, bo w tej chwili żyła dzięki ochłapom.

Japonia była tak zboląta i sponiewierana jak jej dusza. Wojna skończyła się przed rokiem. Rok temu zrzucono bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki. Życie w wojnie straciły trzy miliony Japończyków, zniszczono jedną trzecią domów, nie było pracy, przemysłu, drogi były nieprzejezdne, a kolej była w ruinie. Co zostało? Na pewno nie mała wioska Aiko. W czasie wojny młodzi

mężczyźni wyjechali, by walczyć – żaden z nich nie wrócił do domu. Choroby i głód zabiły większość kobiet, dzieci i starszych ludzi, którzy zostali w wiosce. Porzucone domy gniły jak truchła zdechłych ptaków. Na plaży leżały porzucone przedmioty z pustych zniszczonych domów. Amy przestały nurkować. Nie było rybaków, którzy wyprowadzaliby swoje kutry w morze. Gdy wojna się skończyła, każdy, kto przeżył, spakował swój skromny dobytek i wyjechał. Aiko była jedną z takich osób.

Nie poświęcała dużo uwagi swojemu bólowi i cierpieniu. To było nic w porównaniu z tym, przez co przechodzili inni. Chłopczyk leżący obok niej w brudnym, cuchnącym wozie słabł z minuty na minutę. Aiko nie była pewna, czy dziecko dotrze do Tokio żywe. Nie знаła jego imienia, nie wiedziała, ile miał lat i skąd pochodził. Ludzie nie rozmawiali ze sobą w czasie takich podróży. Usiłowali dotrzeć do Tokio ze swoich prywatnych powodów.

Domyśliła się, że chłopiec miał pięć lub sześć lat. Mimo że z nim nie rozmawiała, przysuwał się do niej coraz bardziej, odkąd podniosła go i podała ojcu, który siedział już w wozie. Wyglądało na to, że jak wiele innych dzieci w Japonii, chłopczyk nie miał matki. Aiko rozumiała bardzo dobrze, jakie to uczucie. Choć miała zaledwie dwadzieścia lat i nie była jeszcze matką, pozwoliła, by dziecko przytuliło się do niej. Oparł jej głowę na ramieniu. Jego pojękiwanie spowodowane bólem i pustką w brzuchu stawało się coraz głośniejsze.

– Niech ktoś zamknie tego gnojka albo go wyrzucę! – ryknął rolnik powożący wozem.

Skasował każdego pasażera na dwadzieścia jenów. Od czasu do czasu Aiko myślała o nim jak o pozbawionym serca potworze, ale w trakcie wojny lepiej rozumiała, co cierpienie potrafiło zrobić ze zwykłych ludzi. Wszyscy starali się przetrwać w tych potwornych warunkach, a dążenie do przetrwania czyniło ich samolubnymi. Aiko odnosiła wrażenie, że coś takiego jak społeczeństwo już nie istnieje. Rodzina również. Zacisnęła oczy i starała się wypędzić z umysłu wspomnienia o jej wiosce.

Pamiętanie o jej ojcu Yoshiro, dziadkach i ukochanej prababce Haruki, było zbyt bolesne.

Ich wszystkich już nie było. Ojciec zginął na wojnie, a przynajmniej Aiko tak zakładała. Powołano go do wojska wraz z innymi mężczyznami z wioski w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku i od tamtej pory nikt go nie widział ani o nim nie słyszał. Kiedy Yoshiro – jedyny żywiciel rodziny – wyjechał, pozostali poumierali z powodu chorób i głodu. Padali jak muchy jeden po drugim, aż Aiko została zupełnie sama. Nadal czuła woń morza w nozdrzach, ale minęło wiele miesięcy, odkąd widziała ocean po raz ostatni. Tęskniła za nim niemal tak samo, jak za rodziną.

Łagodnie uciszyła chłopca, powtarzając mu, że wszystko będzie w porządku. Powiedziała mu piękne kłamstwa, na które chłopiec w jego wieku zasługiwał. Prawda nie nadawała się dla tak niewinnych jak on. Aby go pocieszyć, zaczęła szeptać mu do ucha historię, którą opowiadała jej Haruki, raz po raz, kiedy pytała, dlaczego jej matka umarła tak młodo.

Haruki zawsze jej mówiła, że Manami zostawiła dla Aiko wielki dar i że się poświęciła, ażeby jej córka mogła poszybować wysoko i tak wolna jak orzeł. Aiko nigdy nie rozumiała, co staruszka miała na myśli, ale bardzo się jej te słowa podobały. Brzmiały znacznie bardziej romantycznie od zdania jej ojca. On utrzymywał, że jej matka i inne amy miały trudne życie i żyły pod ogromną presją zarabiania pieniędzy dla kompanii rybackiej. Wyjaśnił, że pewnego dnia Manami po prostu zanurkowała zbyt głęboko na zbyt długi czas, przez co się rozchorowała i umarła. Lecz ojciec nie lubił nigdy mówić o jej matce. Twierdził, że praca amy to najgorsze, najniebezpieczniejsze zajęcie na świecie, i zabronił małej Aiko nurkować. Niemniej, gdy wypływał na ryby, Aiko i Haruki chodziły czasami na plażę i prababka uczyła ją nurkować na płyciźnie. Aiko potrzebowała oceanu tak samo jak powietrza. Lecz nigdy nie zdradziła ojcu tej tajemnicy. Rozumiała, co morze mu zabrało. Wszyscy mówili, że jego serce pękło na pół w dniu, w którym Manami umarła, i że od tego czasu żył siłą

rozpędu.

Prababcia widziała sprawy inaczej. Z pomocą bajki o Tamatori-hime – księżniczce Poławiaczce Pereł – objaśniała jej śmierć Manami. Opowieść ta lulała Aiko do snu podczas licznych trudnych wieczorów. Aiko miała nadzieję, że i teraz pomoże chłopcu z wozu.

– To jest legenda o księżniczce Tamatori – powiedziała. – Dawno, dawno temu żył sobie wielki człowiek, który nazywał się Fujiwara no Kamatari. Wysłał swoją najpiękniejszą córkę, żeby została żoną cesarza Chin. Kiedy Fujiwara zmarł, jego córka potwornie za nim płakała, dlatego też, żeby oddać cześć jej zmarłemu ojcu i pocieszyć swoją kochankę o złamanym sercu, cesarz wysłał do Japonii trzy bezcenne skarby. Po drodze jeden ze skarbów, najcudniejsza perła na świecie, został skradziony przez złego króla smoków w czasie okropnej burzy.

Aiko zauważyła, że chłopiec otworzył oczy i patrzył na nią. Uśmiechnęła się i ciągnęła opowieść.

– Syn cesarza udał się na poszukiwanie bezcennej perły do odległego kraju. Tam poznał i zakochał się w przepięknej poławiaczce pereł o imieniu Ama. Pobrali się, a ona urodziła mu syna. Ama kochała głęboko swojego męża i ich syna, więc przysięgła pomóc odzyskać ukradzioną perłę. Zdołała ukołysać smoka i jego sługi do snu spokojną muzyką, a gdy spali, wykradła perłę. Nie uciekła jednak daleko, gdy straszne morskie potwory się obudziły i zaczęły ją gonić. Ama tak bardzo chciała odzyskać perłę dla męża i syna, że rozcięła sobie pierś i ukryła perłę w ranie. Biedna Ama bardzo krwawiła, a jej krew zmąciła wodę, dzięki czemu udało się jej uciec przed smokiem i oddać perłę mężowi. Zmarła z powodu ran, ale po dziś dzień jest czczona za poświęcenie dla męża i kochanego synka.

– Dziękuję za tę opowieść – szepnął chłopiec cicho. – Myślę, że moja mama była jak Ama.

– To jesteś bardzo szczęśliwym chłopcem – odszepnęła Aiko. – A chcesz poznać tajemnicę?

Zaspany chłopiec przytaknął.

– Moja mama też była jak Ama – powiedziała. – Jak widzisz, mamy coś wspólnego. Jesteśmy podobni jak dwie krople wody.

Chłopczyk wsunął zimną rączkę w dłoń Aiko i ścisnął ją słabo. Niebawem pogrążył się we śnie z lekkim uśmiechem na ustach.

– Dziękuję – odezwał się ojciec chłopca, kłaniając się jej. – Od dawna nikt nie okazał nam takiej życzliwości. Jest pani aniołem.

Człowiek ten przemówił po raz pierwszy w czasie podróży. Aiko zauważyła, że jego ubrania, choć zniszczone, kiedyś na pewno sporo kosztowały, a mężczyzna czysto wymawiał samogłoski, co sugerowało, że był gruntownie wykształcony. Zastanawiała się, jak człowiek jego pokroju mógł skończyć w takim wozie.

– Nie jest żadnym aniołem, ty idioto – warknęła siedząca obok niego kobieta. – Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Jest ładna, ot co. Ma twarz anioła, owszem, ale jestem pewna, że jej serce nie jest czyściejsze od mojego. Albo jego!

Wskazała przy tym na plecy rolnika. Ojciec chłopca jednak ją zignorował i nadal przyglądał się Aiko.

Kiedy wóz dotarł wreszcie na roгатki wielkiego miasta, rolnik nakazał podróżnym wysiąść z wozu. Był środek nocy. Nie było widać żadnych domów. Pomimo krzyków i narzekań chłopiec się nie obudził. Aiko podała jego śpiące ciało ojcu.

– Dziękuję – powiedział, delikatnie biorąc dziecko w objęcia. – Niech bogowie zawsze pani sprzyjają.

Aiko życzyła mu wszystkiego dobrego i patrzyła za nim, jak odchodził w ciemną noc, niosąc na rękach chorego chłopczyka. Nie miała pojęcia, czy malec się jeszcze kiedykolwiek obudził. Dodała ciężar tego bólu do nieznośnego balastu, który dusił już jej młode serce.

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

St John's Wood, Londyn, 2012

Babcia, jak to babcia, ożywiła się, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że miała tego popołudnia nie jednego, tylko dwoje gości. Narobiła sporo zamieszania wokół Hugona, mówiąc mu, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, którego widzi od czasu, gdy zmarł dziadek Sophii, i że wyrósł na wspaniałego człowieka. Hugo, jak to Hugo, rozkoszował się jej atencją.

Sophia i Hugo siedzieli jak grzeczne dzieci w nogach łóżka babci, która upierała się, że przeczyta im fragment wspomnień. Czytała z błogim uśmiechem na ustach, dźwięcznym głosem, całkowicie zanurzona we własnych wspomnieniach (ale od czasu do czasu sprawdzała, czy publika dostrzega jej sentyment).

Londyn, lata pięćdziesiąte dwudziestego wieku

Zabawa nie zaczęła się zaraz po tym, jak przeniosłam się do Londynu po śmierci Papy. Byłam potwornie młoda, naiwna i nie znałam nikogo w stolicy. Na początku większość czasu spędzałam, spacerując z Badgerem po Hampstead Heath i oplakując fakt, że nie miałam w mieście przyjaciół. Biedny kochany Badger zmarł ze starości w pierwszym roku mojego pobytu w Londynie. Był moim pierwszym zwierzęciem, które pochowałam pod dębem w ogrodzie w Hampstead. Czułam się rozpaczliwie samotna. Uwielbiałam modę, więc wydawałam fortunę na najnowsze trendy w Selfridges, Harrodsie i Liberty, ale nie miałam gdzie chodzić w tych kreacjach i na kim robić w nich wrażenia. Ze wstydem przyznaję, że podobnie jak Matka, wkładałam suknię, pantofle na obcasie i biżuterię i malowałam się, by samotnie siedzieć w salonie – to było dość przykre w przypadku dziewczyny, która dopiero co skończyła dziewiętnaście lat!

Na szczęście moja samotność nie trwała długo. Od zawsze uwielbiałam teatr, a teraz, tkwiąc w swoim domu, ślęczałam nad recenzjami w „Evening Standard”, pochłaniałam historie o

hollywoodzkich gwiazdach w „London Life” i „The Lady”, a gdy ubierałam się w swoje nowe sukienki (z nadal dołączonymi metkami), udawałam, że uczestniczę w oscarowej gali. Na początku 1950 roku zebrałam się wreszcie na odwagę i dołączyłam do stowarzyszenia aktorów amatorów w Highgate. Dość szybko zaprzyjaźniłam się z dwiema dziewczętami: Madeleine i Louisą – albo Maddie i Lulu, jak lubiły być nazywane. (Na pewno pamiętasz ciotkę Maddie. Nadal żyje i miewa się świetnie w Marylebone). Były o wiele lepszymi aktorkami ode mnie. No i obie były troszkę ode mnie starsze, urodziły się i wychowały w Londynie. Uważałam, że są okropnie eleganckie, modne i światowe, i chciałam robić wszystko to, co one!

Maddie i Lulu zaczęły zabierać mnie do Soho razem z resztą otaczającej je bohemy. W ciągu dnia piliśmy czarną kawę i dyskutowaliśmy o poezji za przyciemnianymi szybami kawiarni przy Wardour Street. Wieczorami spacerowaliśmy obskurnymi uliczkami i wspinaliśmy się po wąskich schodach do mrocznych nocnych klubów i barów jazzowych. Wreszcie zaczęłam wieść burzliwe życie. Dla naiwnej dziewczyny ze wsi ten nowy styl życia był tak samo uzależniający jak francuskie papierosy, które zaczęłam palić.

W czasie tych pierwszych lat w Londynie mój umysł otworzył się jak kwiat na wiosnę i z radością stwierdzam, że wraz z niewinnością straciłam wówczas resztę uprzedzeń i snobizmu, które wyniosłam z dzieciństwa. Poznałam artystów bez grosza przy duszy i poetów uzależnionych od opium. Zaprzyjaźniłam się z czarnoskórymi muzykami jazzowymi z Alabamy. Moimi ulubionymi przybranymi „rodzicami chrzestnymi” była starsza para homoseksualna mieszkająca nad sex-shopem przy Dean Street.

Tym, co lubiłam najbardziej w swoim nowym życiu, były spotkania z aktorami, którzy wpadali na drinka do Colony Room Club, Club Eleven, Cy Laurie Jazz Club lub Harmony Inn po zejściu z desek któregoś z teatrów w West Endzie. Dość późno odkryłam romanse (kolejny pocałunek po tym z St Ives nastąpił,



gdy miałam dwadzieścia lat), ale szybko nadrabiałam stracony czas i spotykałam się z aktorami, pisarzami i muzykami. Z ogromną pewnością siebie wcieliłam się w rolę femme fatale! Chyba podobałam się mężczyznom, a oni podobali się mnie, ale nie radziłam sobie zbyt dobrze z wyborem tego jedyne. Byłam zepsuta z powodu ogromnego wyboru i niestała w uczuciach, i choć moi chłopcy bardzo mi się podobali, w żadnym się nie zakochałam. Do czasu poznania Frankiego.

Gdy wszedł do jazz klubu w lutym 1951 roku, natychmiast go zauważyłam i zamarłam w bezruchu z kieliszkiem w dłoni, w pół słowa.

„Co się stało?”, zapytała Maddie, odwracając się w stronę kogoś, kto przykuł moją uwagę. „Aha!”, rzuciła z uśmiechem. „Frank Perry Junior. Czyż to nie największy ogier, jakiego w życiu widziałas?”

Skinęłam tylko głową, bo nadal nie mogłam mówić.

„To Amerykanin i w ogóle”, dodała Lulu z podnieceniem.

„Jest aktorem”, ciągnęła Maddie.

„To zupełnie nie moja liga”, zdołałam wreszcie wykrztusić. „Wygląda na przedstawiciela innego gatunku”.

Nigdy wcześniej nie byłam nieśmiała i zazwyczaj śmiało podchodziłam do każdego, kto mi się podobał, i zaczynałam wesołą pogawędkę, ale Frank Perry Junior wywarł na mnie takie wrażenie, że nie potrafiłam się zdobyć na odezwanie do niego. Przez kolejną godzinę kręciłam się w jego pobliżu, rzucałam długimi włosami w tę i z powrotem, puszczałam kółka z dymu w kierunku jego twarzy i mówiłam bardzo głośno niesamowicie zabawne rzeczy przyjaciołom, w nadziei że mnie usłyszy. Nawet upuściłam torebkę pod jego nogi, żeby ją podniósł (czego nie zrobił). Odezwał się do mnie wreszcie z powodu mojego naszyjnika. Założyłam perły do obcisłej czarnej sukienki koktajlowej. Rozmawiał z innym mężczyzną przy barze i nagle zwrócił na mnie uwagę. Przerwał i przechylił głowę na bok.

„Hej, mała!”, zawołał do mnie. „Chodź tutaj”.

To było nadzwyczaj aroganckie z jego strony i gdyby nie był

tak przystojny, kazałabym mu się odczepić! Przełknęłam ciężko ślinę, wzięłam głęboki wdech i podeszłam do niego.

„Są prawdziwe?”, zapytał, biorąc perły w palce i bawiąc się nimi.

Nie byłam w stanie się odezwać, więc tylko skinęłam głową.

„Jesteś jakąś dziedziczką czy arystokratką?”, dopytywał z seksownym amerykańskim akcentem.

„T-t-tak jakby”, wyjąkałam.

„To jak się nazywasz, moja słodka?”, spytał.

„Matilda”, zdołałam odpowiedzieć. „Lady Matilda Beaumont”. Natychmiast pożałowałam, jak pompatycznie to zabrzmiało i dodałam: „Wystarczy Tilly. Wszyscy mówią na mnie Tilly”.

„Lady Matilda”, powtórzył. Uśmiechnął się szeroko, zupełnie mnie ignorując. „Jesteś nie byle kim? Oblęd! A znasz króla?”.

Poważnie pokręciłam głową, zanim do mnie dotarło, że żartował. Zarumieniłam się.

„Urocza jesteś. Podobasz mi się, lady Matildo”, oznajmił. „Powinnaś ze mną zatańczyć”.

W tym momencie trochę się opamiętałam i uznałam, że nie podoba mi się jego arogancki ton. Nie miało znaczenia, jak bosko wyglądał. Poza tym coś mi podpowiadało, że Frankie był za bardzo przyzwyczajony do tego, że dziewczyny tańczyły, jak im zagrał. Nie miałam ochoty być którąś z rzędu. Może jednak nauczyłam się czegoś od Matki – jak postępować z mężczyznami.

– Nawet nie zamierzam – odparłam stanowczo. – Ani ty, ani nikt inny nie będzie mi mówił, co mam robić. Jeśli zatańczę, to tylko z dżentelmenem, który ładnie mnie o to poprosi, a ja będę uprzejma przyjąć jego zaproszenie. Przepraszam.

I odeszłam. Nie postąpiłam pięciu kroków, kiedy Frankie padł mi do nóg.

– Lady Matildo, proszę, wyświadczyć mi ten zaszczyt i zatańcz ze mną – poprosił. – Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem, i nie wiem, jak sobie poradzę, jeśli teraz mnie porzucisz.

Przesadzał, rzecz jasna, i popisował się przed publicznością, ale gdy spojrzałam na jego twarz i zobaczyłam, jak patrzył na mnie niecierpliwie, czekając na odpowiedź, wiedziałam, że mogłabym wpatrywać się w niego już zawsze.

– Skoro nalegasz – odparłam w końcu. – Zważywszy na to, jak grzecznie mnie prosisz, mogę poświęcić tę chwilę na wspólny taniec.

I tak to się zaczęło. Pod koniec tygodnia zaczęliśmy chodzić na randki, pod koniec miesiąca byliśmy w sobie zakochani, a pod koniec lata wsiadłam z miłością swojego życia do samolotu lecącego z Londynu do LA. Szybko się zorientowałam, że przebojowość Frankiego to tylko jego maska przywdziewana publicznie. Był przecież bardzo utalentowanym aktorem i musiał podtrzymywać wizerunek playboya. Lecz za brawurą krył się dobry, troskliwy, szczodry człowiek. Pobraliśmy się w urzędzie stanu cywilnego w Westminsterze na tydzień przed wyjazdem z Londynu, ale nie wyruszyliśmy w podróż poślubną. Los Angeles miało być naszym nowym domem. Frankie wybierał się na plan swojego pierwszego filmu fabularnego. Nie dostał wielkiej roli, ale to był początek. Nigdy nie nazywał mnie Tilly. Do końca życia zostałam dla niego lady Matildą lub jego Słodką.

Zamieszkaliśmy w bloku w Malibu. Było rozkosznie. Słońce świeciło codziennie. Frank zasugerował, żebym zaczęła uczęszczać na zajęcia z aktorstwa. Powiedział, że z moim wyglądem mogę być gwiazdą, jeśli wezmę kilka lekcji. Uznałam, że jak zwykle nie jest obiektywny, ale szybko się okazało, że miał rację. Dopiero co zapisałam się na kurs w Beverly Hills i byłam gotowa uczyć się nowego zawodu, gdy pewnego ranka Frank zadzwonił do mnie z planu filmowego.

– Moja partnerka zaszła w ciążę – oznajmił podnieconym głosem. – Wycofała się. Szukają nowej osoby. Musisz się zgłosić, moja Słodka. Powiedziałem, że moja dziewczyna jest aktorką, i reżyser stwierdził, że to super. Przychodź natychmiast na plan.

Nie dostałam tej roli. Spędziłam w Stanach zaledwie kilka dni i moje nieudolne próby mówienia z amerykańskim akcentem

dały potworny efekt, ale zaproszono mnie na przesłuchanie do innego filmu. Akcja opowiadała o wojnie, toczyła się w okupowanej Europie, a ja ubiegałam się o rolę Angielki uwięzionej za linią wroga. Domyślałam się, że Liz Taylor była pewnie zajęta w owym tygodniu, bo jakimś cudem dostałam tę rolę. Była szyta na moją miarę! Jeśli ktoś mógł zagrać rozpieszczoną arystokratkę – córeczkę tatusia, to właśnie ja! Film miał większy budżet od tego, nad którym pracował Frankie, i podczas gdy mój mąż dostał drugoplanową rolę, mnie dziwnym zbiegiem okoliczności przypadła w udziale główna. A najwspanialsze było to, że Frank nie wydawał się o to ani trochę zazdrosny. Był po prostu bardzo, bardzo dumny.

Wydaje mi się, że to, iż byliśmy parą, pomogło nam w karierze. W 1952 roku wystąpiliśmy na planie wspólnie. Krytycy oszaleli na punkcie „prawdziwej chemii dostrzegalnej na ekranie”. Reszta, jak to się mówi, jest już historią.

Babcia Sophii przerwała i podniosła wzrok. Oczy nadal jej błyszczały za sprawą wspomnień.

– Chcecie usłyszeć więcej? – zapytała. – Chcecie usłyszeć o Alice?

Sophia wahała się przez chwilę. Czy chciała usłyszeć o swojej matce? A potem przypomniały się jej wszystkie pytania, na które nie знаła odpowiedzi, a które nękały ją ostatnio, i skinęła potakująco głową.

Babcia odchrząknęła, obróciła stronę i ciągnęła czytanie wspomnień.

Cannes, Francja, 1963

Wyobraź sobie, że z tego, iż jestem w ciąży, zdałam sobie sprawę w czasie przyjęcia na jachcie przycumowanym przy Croisette w Cannes ostatniego wieczoru festiwalu filmowego. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego szampan i kołysanie się łodzi sprawiały, że miałam tak silne mdłości, chociaż byłam oswojona zarówno z jednym, jak i z drugim. Przypalałam papierosy, a następnie oddawałam je w połowie wypalone Frankowi, bo w

ustach robiło mi się sucho i dym drapał mnie w gardło. Rano wściekłam się, że suknia okazała się za ciasna. Musiałam się położyć brzuchem na dywanie w hotelu, a kochany Frankie naciskał mi stopą na plecy, żeby zapiąć suwak.

Przed festiwalem prawie nic nie jadłam, bo wiedziałam, że z racji sukcesu mojego najnowszego filmu będę często fotografowana, a tydzień wcześniej przeszedłam grypę żołądkową, więc nie rozumiałam, dlaczego byłam taka wzdęta. Suknia – olśniewająca kreacja Givenchy z białego jedwabiu – leżała na mnie jak ulał miesiąc wcześniej podczas prywatnej przymiarki w Paryżu. To nie miało sensu! Co gorsza, na przyjęciu pojawiła się Audrey Hepburn w takiej samej sukni, tylko że czarnej, i prezentowała się w niej o wiele piękniej i szczuplej. Nie ma nic gorszego dla kobiety, niż spotkać na przyjęciu drugą ubraną w taką samą suknię – ale wyglądającą w niej lepiej!

Miałam wówczas trzydzieści trzy lata i dawno porzuciliśmy z Frankiem marzenia o tym, że zostaniemy rodzicami. Na początku małżeństwa przeżyłam kilka rozdzierających serce poronień i lekarze powiedzieli mi, że nie mam szans na zajście w ciążę. Na kolejne dziesięć lat rzuciliśmy się w wir kariery, życia małżeńskiego i towarzyskiego. Mieliśmy mnóstwo przyjaciół, bajeczne wakacje i domy w Londynie, Hollywood i nad jeziorem Como.

Byliśmy szczęściarzami. Kochaliśmy się głęboko i nasza namiętność nigdy nie zbladła. Mieliśmy najcudowniejszy dom na wzgórzach Hollywood, z wielkim basenem na szczycie klifu, skąd rozciągał się widok na ocean. Nasze garderoby były pełne kreacji od najlepszych krawców, a kalendarze – ekscytujących zobowiązań. Oboje zdobyliśmy wiele nagród. Lecz nasze życie nie było pełne aż do owego wieczoru w Cannes.

Stałam w toalecie, mdliło mnie jak diabli, nagle odwróciłam się bokiem do lustra i kątem oka dostrzegłam wystający brzusek. Moja obcisła koktajlowa suknia wyraźnie go podkreślała. Nagle wszystko miało sens: mdłości, wyczerpanie, niestrawność. Lekarze mówili, że nie mogę zajść w ciążę, więc od razu wiedziałam, że to

cud. Nie wiem skąd, ale w chwili gdy się zorientowałam, iż spodziewam się dziecka, wiedziałam, że to przeżyje. W owym momencie nie miałam pojęcia, że to był już czwarty miesiąc. Pod koniec października tego roku Twoja matka miała przyjść na świat.

Kiedy przecisnęłam się przez bawiący się tłum, położyłam rękę na plecach Franka i szepnęłam mu do ucha: „Będiesz tatuśkiem”. Mój ukochany mąż, zwykle uosobienie elegancji, upuścił kieliszek i ochlapał szampanem biedną Brigitte Bardot. Frankie był niewzruszonym człowiekiem i chyba tylko ten jeden raz zdołałam go zszokować.

Współcześnie trzydzieści trzy lata to zupełnie normalny wiek na rodzenie pierwszego dziecka, ale w latach sześćdziesiątych uważano, że jestem za stara! Z perspektywy czasu wiem, że późne macierzyństwo było dla mnie błogosławieństwem. Kiedy Twoja matka przyszła na świat, mogłam się skupić na jej, a nie swoich potrzebach. Lata samolubstwa miałam już za sobą. Wiodłam dekadencje, hedonistyczne życie. Nikt nigdy nie mógłby powiedzieć, że się nie wybawiłam!

Tamtego wieczoru w Cannes świętowałam swój trzynasty sukces kasowy filmu. Nie miałam pojęcia, że będzie ostatnim na ponad dekadę. W chwili kiedy urodziła się Twoja matka, wszystko się zmieniło. Być może dlatego, że była zupełną niespodzianką i tak bardzo się cieszyliśmy z jej przyjścia na świat, a może dlatego, że miałam swoje lata, nie potrafiłam rozstać się z nią nawet na chwilę. Daliśmy jej na imię Alice, od tytułu mojej ulubionej książki z dzieciństwa. Przerwałam pracę i przeprowadziłam się do Londynu, żeby mogła mieć na tyle „normalne” życie, na ile się da. Bez trudu moglibyśmy sobie pozwolić na nianię, ale pamiętna własnego dzieciństwa postanowiłam, że Alice będzie wychowywana przez rodziców. Rezygnacja z kariery filmowej nie była dla mnie żadnym poświęceniem; uważałam, że spędzanie czasu z córką jest darem.

Kochany Frankie też miał na jej punkcie bzika – była jego oczkiem w głowie – i nie znosił wyjeżdżać na zdjęcia. Przylatywał z planów filmowych w Stanach na weekendy po to tylko, by

spędzić dzień ze swoją ukochaną Alice. W czasie wywiadów na pewno doprowadzał do szału dziennikarzy i organizatorów spotkań, bo wolał opowiadać o swojej uroczej córeczce, a nie o nowym filmie! Codziennie dzwonił do domu, bez względu na to, gdzie akurat przebywał i jak bardzo różnica czasu nie sprzyjała kontaktom. Nigdy nie żałowałam przerwy w karierze. Wiedziałam, że mam szczęście, spędzając czas z córką, i że Frankie ochocho zamieniłby się ze mną na miejsca. Muszę jednak przyznać, że choć ogromnie za nim tęskniłam, wolałam mieć Alice przy sobie, gdy wyjeżdżał. Była najbardziej uroczym, bystrym, promiennym dzieckiem na świecie. Czasami bałam się, że serce mi eksploduje z miłości do niej. I pomimo wszystkich wspaniałych rzeczy, które widziałam i robiłam przez trzydzieści trzy lata, dzieciństwo Alice było dla mnie najszczęśliwszym okresem w życiu.

Babcia podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Sophii i Hugona.

– Szkoda, że nie mogłam zabutelkować tych dni – powiedziała. – Mogłabym teraz otworzyć butelkę i skropić odrobiną szczęścia tę szpitalną salę.

– Szkoda, że nie może babcia spryskać nim mamy i przypomnieć jej, jak cudowne dzieciństwo jej babcia zapewniła – burknęła Sophia, podchodząc do okna.

– Alice ma swoje powody, by zachowywać się w ten sposób – odparła babcia – ale owszem, niekiedy odnoszę wrażenie, że zapomina o przeszłości. W chwili gdy poślubiła twojego ojca, jakby odwróciła się plecami do faktu, że jest Beaumontem. Dlatego też nie byłam bardzo zaskoczona, gdy nie nosiła pereł po tym, jak je jej ofiarowałam.

Sophia zerknęła na babcię. Staruszka chyba znowu zapadała w sen, nadal ściskając w ręku pamiętnik, ale Sophia mogłaby przysiąc, że na jej ustach gościł słaby uśmiech.

– Nie rozumiem – stwierdziła Sophia, gdy wyszli ze szpitala. – Babcia dała córce wszystko. Dlaczego zatem mama jest dla niej teraz taka zimna? Nigdy nie widziałam, żeby się uścisnęły. Mama na powitanie kilkakrotnie całuje powietrze w odległości

kilkudziesięciu centymetrów od jej policzka. To jest według niej przejaw czułości. Nie pojmuję tego.

– Masz rację. To bardzo dziwne, że jest jaka jest. Jest przepiękna, jak wszystkie kobiety z rodu Beaumontów, ale ukrywa to pod tą szkaradną fryzurą i bezkształtnymi mamuśkowatymi ubraniami. Ubierała się w ten sposób nawet wtedy, gdy byliśmy dziećmi, pamiętasz? A przecież była wtedy młoda, o wiele młodsza od nas teraz. Ile miała lat, gdy cię urodziła?

– Dziewiętnaście – odpowiedziała Sophia. – Chryste, była jeszcze dzieckiem! Tata jest od niej sporo starszy.

– Może dlatego nigdy mu się nie sprzeciwia? – zastanawiał się Hugo. – Tyranizuje ją niemal tak samo jak ciebie. Poza tym, jak ona mogła skończyć z kimś takim? Nie gniewaj się, ale nie jest zbyt urodziwy...

– Dla mnie to też zagadka – westchnęła Sophia.

– Wiem – zgodził się z nią Hugo. – Urodziła się jako lady Alice Beaumont Perry, arystokratyczna córka hollywoodzkich gwiazd. A postanowiła zostać zwykłą Alice Brown, kurą domową z przedmieść. Bo chyba zrezygnowała z tytułu, prawda?

Sophia przytaknęła.

– Z nazwisk Beaumont i Perry też. Porzuciła tytuł i obydwa nazwiska.

– To dziwne. Powinna mieć naprawdę wysokie mniemanie o sobie, być kolorowa, charyzmatyczna, wytworna, trochę ekscentryczna w ten bajecznie brytyjski sposób, a tymczasem jest tak spięta i stłamszona, że żony ze Stepford są w porównaniu z nią wolnymi duchami...

– Pobrali się, gdy mama była bardzo młoda. Wczoraj babcia usiłowała mi powiedzieć, że mama dużo się śmiała, zanim wyszła za tatę. Nie wierzę w to. Raczej jest to przejaw myślenia życzeniowego matki, której przekleństwem jest bardzo nieciekawe dziecko! Jedno jest pewne, Hugo. Nigdy nie wyjdę za mąż i nigdy nie będę miała dzieci. Babcia była dobrym rodzicem, ale mój tata? Mama? Prababka? Nie! Moja rodzina nie jest stworzona do rodzicielstwa. Nie mamy odpowiednich genów. Pewnie to, że



przez wieki powierzaliśmy dzieci niańkom pod opiekę, sprawiło, że pozbawiliśmy się genu opiekuńczości. Zdaje się, że razem z nim straciliśmy gen chęci do pracy. Przestań się tak głupkowato uśmiechać, bo z twoją rodziną było tak samo. To dlatego nie możemy sobie znaleźć właściwej pracy i uporządkować życia.

Szli w milczeniu w kierunku stacji metra. Po chwili Hugo się odezwał, cicho, ale stanowczo:

– Będziesz się musiała spotkać niedługo z mamą, Sophio.

Sophia zignorowała jego słowa i przyglądała się swoim stopom, gdy uderzały o brudny, mokry chodnik.

– Możesz ignorować mnie do woli, ale fakty pozostają faktami – ciągnął Hugo z powagą. – Obiecałaś umierającej babci, że znajdziesz jej naszyjnik, a w tym celu będziesz się musiała zmierzyć z matką, a być może nawet ojcem.

Sophia poczuła, że żołądek jej podskoczył. Hugo miał rację. Lecz jak miałyby się spotkać teraz z rodzicami? Ta perspektywa była niemiła nawet wtedy, gdy nie wiedziała jeszcze, co ojciec powiedział Nathanowi. Góra, na którą musiała się wspiąć, była jeszcze bardziej stroma niż wcześniej.

Milczeli, gdy pociąg jadący Central Line wiózł ich na wschód.

Kiedy wyszli na ulicę przed stacją Mile End, lekki deszczyk zamienił się w ulewę. Postawili kołnierze, opuścili głowy i pobiegli przez park do domu. Byli już blisko swojej ulicy, gdy czarny labrador wypadł z krzaków, zmagając się z czymś, co wyglądało na martwe zwierzę.

– Zostaw to, Duke! – krzyknął mężczyzna, którego twarz zasłaniał kaptur jego anoraka. – Coś ty dorwał? Zostaw to! Chodź tutaj!

Pies niechętnie porzucił martwe zwierzę i podbiegł do właściciela. Sophia się zatrzymała i przyjrzała się truchłu porzuconemu na ścieżce.

– Czy to...? – Zmrużyła oczy w słabym świetle. – Czy to jest moje sztuczne futro?

Hugo nawet nie podniósł wzroku.

– Nie wygłupiaj się, Soph – rzucił. – Zostawiłaś futro w swoim pokoju. Powiedziałaś, że jest zbyt mokro, żeby je wkładać.

Gdy tylko wyszli na ulicę, zorientowali się, że stało się coś bardzo złego.

– O nie! – zawołała Sophia. – Chyba nas eksmitowano.

Ogród przed domem wyglądał tak, jakby ktoś zorganizował tu nielegalne wysypisko śmieci. Dziesiątki wypchanych czarnych worków piętrzyły się bezładnie na trawie. Ubrania i książki powypadały z niektórych na błotnisty trawnik. Ben i Amelia siedzieli obok siebie na jednej z toreb, przemoczeni, i palili na spółkę skręta.

– Co się stało? – zapytała Sophia z rozpaczą w głosie. – Wyszliśmy tylko na kilka godzin. Dlaczego wszystkie nasze rzeczy tu leżą?

– Tata sprzedał dom – powiedział Ben, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Wspomniał coś o tym wieki temu, ale nie sądziłem, że mówi poważnie. Pewnego dnia, kilka miesięcy temu, przyszli tu jacyś ludzie z gościem w garniturze. Mówili, że przyszli obejrzeć dom, ale...

– Nie dostałeś żadnego powiadomienia? – zapytała Sophia, najdelikatniej, jak umiała, przeczesując zmierzwione włosy palcami. – Domu nie sprzedaje się z dnia na dzień. Mogliśmy dostać czas na znalezienie sobie lokum.

– Ben dostawał listy – wtrąciła Amelia smutno. – Ale ich nie otwierał.

Sophia skinęła głową, bo przypomniała sobie stopy korespondencji na werandzie. Żadne z nich nie otwierało zbyt często listów.

– Kilka godzin temu jakiś mężczyzna przyszedł i powiedział, że to jest jego dom. Dał nam godzinę na wyprowadzenie się – ciągnęła Amelia płaczącym głosem. – To wtedy Ben otworzył listy.

– To mój ojciec – odezwał się Ben żałośnie. – Mógł do mnie zadzwonić. Listy były od prawnika. Nie chciałem ich otwierać. Myślałem, że zwiastują kłopoty.

– No to teraz mamy problem – wycedził Hugo przez zęby. – Jesteśmy bezdomni.

– Uspokój się, Hugo – powiedziała Sophia, poklepując go po ramieniu. – To tylko rzeczy. Nic się nie stało. Możemy coś na to poradzić.

– Niby jak? – zapytał Hugo wysokim, zduszonym głosem.

– Gdzie zamierzacie się podziać? – spytała Sophia Bena i Amelię.

– Nasz kumpel zna squat w Camberwell – odparł Ben. Cisnął skręta do kałuży i wstał. – Zatrzymamy się tam na jakiś czas. Aż znajdziemy coś lepszego.

Ben i Amelia wzięli po trzy worki.

– Sorki, kochani – rzucił Ben. – Będziemy w kontakcie. Mam nadzieję, że znajdziecie coś dla siebie.

Sophia patrzyła za parą, która taszczyła z trudem swój dobytek. Amelia upuściła jeden z worków. Ben go podniósł. Sophia wiedziała, że nie czeka ich nic lepszego.

Wzięła bardzo głęboki wdech i zamyśliła się głęboko. Była zdenerwowana, ale dość spokojna. W przeciwieństwie do sytuacji z Nathanem, tym razem nie czuła się załamana. Znajdzie rozwiązanie. Była tego pewna. Usiadła na najbliższym worku i poklepała miejsce obok siebie.

– Siadaj – poleciała Hugonowi, który wciąż stał przy furtce, dygocąc. – Proszę.

Podawała mu papierosa.

– Uspokójmy się, pomyślmy i oddalmy się od tej piekielnej dziury jak najdalej. – Czule poklepała przyjaciela po kolanie. – Na pewno znamy kogoś, kto może nam pomóc.

Ściągnięte brwi Hugona rozluźniły się, a na jego twarzy pojawił się nieoczekiwany uśmiech.

– Na przykład gościa z furgonetką? – zapytał, uśmiechając się już szeroko.

– Damon! – zawołali jednym głosem.

Damon był darem niebios. Przerwał pracę w Southend i przyjechał po Sophię, Hugona i ich rzeczy. Zanim dotarł na

miejsce, Sophia i Hugo zdążyli zapakować rozrzucone buty, trampki i bibeloty do porwanych worków.

– Spójrz na niego – szepnął Hugo do Sophii, gdy Damon wysiadał z furgonetki. – Widziałaś kiedyś takie bicepsy? Szkoda jednak, że ma dom w Essex, a nie w Chelsea.

– Jest boski – odszepnęła Sophia. – I przeuroczy. Spójrz, co dla nas robi. Może dla odmiany powinieneś przestać spotykać się z podtusiałymi lowelasami i ustatkować się z kimś, kto ci się podoba? Jakie znaczenie ma to, że nie może ci nic kupić? Przecież rzeczy nigdy cię nie uszczęśliwią.

– Może – mruknął Hugo z namysłem. – Prawie go nie znam, Soph. Wczoraj zjedliśmy na brunch omlet z białek i koktajl superfood, ale to wszystko. Może się okazać, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdą.

– Gotowe! – oznajmił Damon wesoło, wrzucając ostatni worek na tył furgonetki i zatrzaskując drzwi. – Nie mogę uwierzyć, że wylądowaliście na ulicy. Myślałem, że jesteście nadziani!

– Czy to cię od nas odstręcza? – spytał Hugo nerwowo.

– Nie – odpowiedział Damon rzeczowo. – Przez to nawet bardziej was lubię.

Sophia wdrapała się na przednie siedzenie obok Hugona i Damona. Ścisk panujący w dusznej furgonetce miał w sobie coś pokrzepiającego. Tak naprawdę cieszyła się, że opuszcza dom w Hackney. Bardziej kojarzył się jej z więzieniem.

– No, kochani – zagaił Damon beztrąsko. – Dokąd jedziemy? Hugo i Sophia popatrzyli po sobie. Hugo posmutniał.

– Nie wiem – jęknął.

Sophia obracała w palcach wizytówkę, którą trzymała w kieszeni, i zastanawiała się, czy to dobry pomysł. Wiedziała, że babcia chciałaby jej pomóc, ale czy nie byłoby to wykorzystywanie umierającej kobiety? No i co jej rodzice powiedzieliby na taki przejaw pasożytnictwa? Sophia nie znosiła być na niczyjej łasce. W tej chwili dałaby wszystko za własne mieszkanko, za które płaciłaby dzięki ciężkiej codziennej harówce. Ta myśl przysła jej do głowy zupełnie niezapowiedziane.

Poważnie? Naprawdę pragnęła normalnej pracy i wypruwania sobie żył, żeby zarobić na czynsz co miesiąc? O mój Boże! Tak. Sophia chciała odzyskać godność i nagle dotarło do niej, że może to zrobić, wyłącznie stając na własnych nogach. Zrobi to niebawem. Na razie ona i Hugo byli bez środków do życia, więc musiała raz jeszcze prosić o pomoc.

– Dajcie mi dwie minuty – rzuciła i wygramoliła się z furgonetki, żeby zadzwonić do szpitala Wellington.

– Zawieź nas do Hampstead – powiedziała wesoło, gdy kilka minut później wróciła do samochodu. – Na Christchurch Hill.

– O rany – zdziwił się Damon, ustawiając nawigację satelitarną. – Eleganckie miejsce. Więc jednak jesteście dziani?

– Nie – odparła Sophia. – Po prostu mamy szczęście, to wszystko. Babcia mówi, że zapasowy klucz wciąż leży w tym samym miejscu. Mam nadzieję, że pamiętam gdzie.

– W słoiku po dżemie w krzakach na lewo od drzwi wejściowych – przypomniał jej Hugo.

## *Rozdział dwudziesty piąty*

Tokio, Japonia, 2012

– To na pewno tutaj? – zapytała Aiko, trochę zdziwiona widokiem wysadzanym drzewami podmiejskiej ulicy.

– Jestem tego pewien – odparł kierowca.

Aiko podziękowała mu i poprosiła, żeby przyjechał po nią w to samo miejsce za godzinę.

Usiłowała rozeznac się w okolicy. Niegdyś wyglądała inaczej. Teraz była to dość zamożna dzielnica. Z jakiegoś powodu spodziewała się zobaczyć puste pola i może kilka rozpadających się drewnianych chat. To było głupie, rzecz jasna. Przecież od centrum dzieliło ją zaledwie pół godziny drogi.

Spojrzała w dół zbocza i zobaczyła Tokio: kolejne mile kwadratowe wysokich budynków, a na wschodzie połyskującą wodę Zatoki Tokijskiej. Tak, to było to miejsce. Pejzaż miasta uległ zmianie; rozrosło się ono nie do poznania, ale odległość od morza była taka sama.

Wypatrzyła wąską ścieżkę odchodzącą na prawo od ulicy i nie lekceważąc impulsu, ruszyła nią. Niebawem ulica zniknęła jej z oczu, ścieżka się zwęziła i Aiko miała wrażenie, że zgubiła się w labiryncie. Zaczęło się jej kręcić w głowie, duchy ją wzywały, piszczwały w jej głowie, odmawiając zachowywania ciszy po tylu latach na wygnaniu. Aiko potknęła się o korzeń drzewa i wypadła na polanę. Miała przed sobą rozpadającą się stodołę. Dach od dawna już nie było, a na niegdyśszej podłodze wyrosła magnolia. Być może nawet nie domyśliłaby się, że to pozostałości stodoły, gdyby wcześniej tu nie była. Kolana się pod nią ugięły. Przytrzymała się magnolii, żeby się nie przewrócić. Nie mogła już ignorować duchów. Były tu.

Tokio, Japonia, 1946

Aiko spała tej nocy w stodole. Nigdy wcześniej nie była w Tokio. Nie miała pojęcia, w którą stronę się udać, a było zbyt

ciemno, żeby mogła wypatrzeć cokolwiek lub kogokolwiek w mroku nocy. Poza tym nie miała butów, a podeszwy stóp miała zorane po tygodniach chodzenia po drogach podziurawionych przez bomby. Lepiej będzie ukryć się gdzieś i podjąć dalszą wędrówkę rano. Zaszła za daleko, by teraz ryzykować. Poczekała, aż wszyscy ludzie z wozu zniknęli, po czym zakradła się do stodoły, z daleka od zagrożeń głównej drogi.

Trudno jej było zasnąć – bolały ją mięśnie, we włosach roilo się od wszy, burczało jej w brzuchu z głodu, swędziała ją skóra pogryziona przez owady i pokryta wysypką. O wiele gorsze od fizycznego dyskomfortu były obrazy, które wypełniały jej umysł, gdy zamknęła oczy – wyniszczone ciała jej dziadków, widok domu prababci, który runął do morza po jej śmierci, twarzy ojca oderwanego od jego jedyne dziecko, by walczył z wrogiem, którego nigdy nie widział, pustej wioski, którą zostawiła za sobą. Musiała zebrać całą siłę mentalną, żeby się ich pozbyć i zamiast tego skupić na jutrze, na przyszłości. Aiko poklepała się po klatce piersiowej, żeby sprawdzić, czy czerwony jedwabny woreczek jest na miejscu. Był. Upewniwszy się, że jedyna cenna rzecz, jaką posiadała, jest bezpieczna, pozwoliła sobie zasnąć.

Obudziła się o świcie i ostrożnie ruszyła wąską ścieżką prowadzącą do drogi, którą ją tu przywieziono. To, co ujrziała, przeraziło ją. Stała na szczycie wzgórza, mając przed sobą prostą, ale niemal doszczętnie zniszczoną drogę. Zastanawiała się poprzedniego wieczoru, dlaczego podły rolnik wyrzucił ich wszystkich z wozu tak daleko od miasta, ale teraz to zrozumiała. Droga z Nagoi do Tokio po prostu kończyła się w tym miejscu.

Słyszała o zrzucaaniu bomb zapalających na Tokio, ale nic nie mogłoby jej przygotować na widok tak zmasakrowanego miasta. Nie przypominało ani trochę Tokio, które oglądała w gazecie w dzieciństwie. Miasto słynące ze swoich budynków z drzewa i papieru obróciło się po prostu w popiół i pył. Widziała przed sobą ulice i całe dzielnice spalonych domów, świątyń, fabryk i szkół. Zlewały się w jedną wielką szarobrazową masę gruzu. W oddali, pod ciemną chmurą dymu, widziała ocean, ale nie przypominał on

zielonego morza z jej rodzinnego Ise Shima. Co gorsza, nie czuła jego zapachu. Była pewna, że w Tokio poczuje woń oceanu, tymczasem docierał do niej odór spalonego drewna, rozkładu i śmierci.

Z ciężkim sercem i na skrwawionych stopach wyruszyła w długą drogę do miasta. Obok niej szli inni, ze opuszczonymi głowami i barkami. Starzy i słabi powłóczyli nogami, kobiety niosły wyczerpane dzieci. Niektórzy ludzie taszczyli wielkie skrzynie albo małe meble, a nawet klatki z kurczakami – wszystko, co zdołali uratować z poprzedniego życia, domyśliła się Aiko. Półżywe kozy i krowy ciągnięto na sznurach, a wygłodniałe psy szły lojalnie z tyłu, starając się zaganiać członków rodzin, żeby trzymali się w grupie. Dziwne było to, że na każdą osobę zmierzającą w stronę miasta przypadała inna, idąca w przeciwnym kierunku, usiłująca uciec. Aiko pomyślała, że ostoja jednych dla innych jest więzieniem. Minęła kilka ciał leżących przy drodze, ale nie zatrzymywała się i nie patrzyła na nie. W swoim krótkim życiu widziała już wiele zwłok i śmierć jej nie fascynowała. Była po prostu śmiercią. Takim samym pewnikiem jak wschód słońca. Jediną misją Aiko było w tej chwili oszukiwanie śmierci jak najdłużej. Jakimś cudem, pomimo tragedii, jakiej doznała, jej największym pragnieniem było żyć. Paliło ją w trzewiach jak ogień i pchało do przodu. Nie wiedziała, po co żyje, nie miała przyjaciół ani rodziny, nie wiedziała też, dokąd dokładnie zmierza. Cel jej wędrówki był raczej abstrakcyjnym wyobrażeniem szczęścia i zadowolenia, a nie fizycznie istniejącym miejscem. Wiedziała tylko, że się nie podda, dopóki tam nie dotrze. I kiedy tak wędrowała w stronę spalonego miasta, szeptała do siebie: „Upadnij siedem razy, ale wstań osiem. Upadnij siedem razy, ale wstań osiem”.

Od obrzeży Tokio nadal dzieliło ją jakieś półtora kilometra, gdy usłyszała za sobą głośnie dudnienie. Obejrzała się trwożliwie i zobaczyła zbliżający się amerykański czołg. To był jedyny rodzaj pojazdu, który mógł jechać tak zniszczoną drogą. Serce jej zamarło. Amerykańscy żołnierze ją przerażali. Nie tylko przez to,



co się stało w czasie wojny, ale też z powodu ich wyglądu i zachowania. Byli jej tak obcy, tak inni od mężczyzn, których знаła.

Żołnierze armii amerykańskiej, których spotykała w czasie okupacji, traktowali japońskie dziewczęta jak mięso. Widywała bary i domy, w których kupowali młode dziewczęta za niespełna pięć jenów. Wydawało im się chyba, że wszystkie Japonki są na sprzedaż. Ta nie! Aiko spuściła głowę i zeszła z drogi na trawę, żeby być od czołgu jak najdalej, gdy będzie ją mijał. Dźwięk jego silnika zbliżał się coraz bardziej, ale nie odważyła się zerknąć przez ramię. Chciała, żeby pojechał dalej, ale, nie wiedząc czemu, przewidywała już, co się wydarzy.

Czołg zatrzymał się obok niej. Dwóch żołnierzy siedziało na dachu. Żuli gumę i szczerzyli się do niej w uśmiechu. Trzeci wystawił blond głowę z wjazdu.

„Jak jakiś szczur wyglądający z nory” – pomyślała Aiko.

– Hej, piękna! – Jeden z nich patrzył na nią pożądliwie. – Miło na ciebie popatrzeć, no nie?

Aiko spędziła w towarzystwie amerykańskich żołnierzy dość czasu, by rozumieć, co do niej mówili, ale udawała, że ich nie słyszy, i próbowała się oddalić. Dwóch mężczyzn zeskoczyło z czołgu i szło za nią. Blondyn pokręcił głową i został na miejscu, wystawiając nadal głowę ze szczurzej nory.

– Zostawcie ją! – krzyknął. – Nie mamy na to czasu. Wracajmy do obozu.

Może wcale nie był takim szczurem. Ci dwaj go jednak zignorowali i podbiegli, żeby dogonić Aiko.

– Słoneczko, nie bądź taka nieśmiała – powiedział jeden z nich, przysadzisty małpiszon, w zasadzie chłopak z rudymi włosami i piegami na skórze. Chwycił ją za ramię i pociągnął, żeby musiała się do niego odwrócić. – Staramy się zachowywać przyjacielsko.

– Proszę, zostawcie mnie w spokoju – poprosiła. To był jeden z nielicznych zwrotów po angielsku, których się nauczyła. Starła się zamaskować strach pobrzmiwający w jej głosie. Nadal nie patrzyła na żołnierza i z uporem wpatrywała się w ziemię.

– Jesteś trochę niegrzeczna, panienko – rzucił jego kolega, wyższy szczupły chłopak w okularach i z cienkim wąsikiem (Aiko uznała, że zapuścił go pewnie po to, by wyglądać doroślej). – Nie powinnaś tak do nas mówić, kiedy staramy się ratować twój skośnooki tyłek. Wy, Japońce, wymarlibyście wszyscy, gdyby nie my i generał McArthur, którzy pomagamy wam zaprowadzić porządek w tym piekielnym kraju.

Aiko przełknęła ciężko ślinę. Pierwszy żołnierz nadal ścisnął ją za ramię. Miała nadzieję, że jej czerwony woreczek jest dobrze przywiązany. Nie wiedziała, co się z nią stanie, ale nie mogła stracić swojego cennego skarbu. To było wszystko, co miała.

Czuła na policzku gorący oddech żołnierza. Stał za blisko niej. Serce jej waliło jak oszalałe.

– Pod tym brudem kryje się prawdziwe piękno – zauważył ten chudy.

– Na pewno, Harry – odparł piegowaty. – Ale śmierdzi! Pewnie nie myła się od lat. Musimy was ucywilizować, kochaniutki.

Patrzył na nią pożądliwie. Wzdrygnęła się, gdy poczuła, jak obmacuje ją wzrokiem.

– Ma długie nogi i ładne duże cycki, prawda, kochana? – Zaśmiał się. Mocniej ścisnął jej ramię.

– I jakby pomarańczowe oczy – dodał chudy, niejaki Harry. – Wyglądają, jakby płonęły. Hej, wydaje mi się, że ta mała suka jest na ciebie napalona, Duane!

Aiko nie pozwoli, by zobaczyli, jak płacze. Chciała walczyć, kopnąć go tam, gdzie go zaboli, napluć w jego plugawą twarz i uciekać, żeby ratować życie i wolność, ale nie była głupia. Było ich dwóch, trzech, jeśli liczyć tego z czołgu, i nie miała szans wygrać tej potyczki. Pozwoliła sobie podnieść wzrok i zobaczyła, że trzeci żołnierz wysiadł wreszcie z czołgu i zbliżał się do nich. Coś w jego postawie pozwoliło jej lekko się rozluźnić. Był młody jak pozostali dwaj – może o rok lub dwa lata starszy od Aiko – ale emanował autorytetem. Był niesamowicie wysoki, miał bardzo jasne włosy, bładoniebieskie oczy i ciemną opaleniznę. Na jego

twarzy nie malował się taki obleśny wyraz jak na twarzach tych dwóch. Posłał Aiko spojrzenie będące mieszanką wstydu i współczucia, po czym zerknął z gniewem na rudzielca.

– Nie bądź dupkiem, Duane – zwrócił się do tego, który trzymał Aiko za ramię. – Puść tę biedną dziewczynę. Podobało by ci się, gdyby jakiś japoński żołnierz nękał tak twoją siostrzyczkę? Uderzył Duane’a mocno w rękę.

– Au! – mruknął tamten, puszczając rękę Aiko i pocierając własną. – To bolało!

Aiko nie chciała tam zostawać, by zobaczyć, co się stanie dalej. Pod nosem podziękowała blondynowi i zaczęła biec, tak szybko, jak pozwalały jej zakrwawione stopy. Uciekała od drogi, czołgu i potwornych żołnierzy. Kiedy się odwróciła, blondyn i ten zwany Duane’em krzyczeli na siebie i przepychali się. Może nie wszyscy Amerykanie byli tacy źli? Ukryła się za drzewem i zszokowana przyglądała się z podziwem, jak wysoki blondyn z błękitnymi oczami zdzielił kolegę prosto w jego ohydny twarz, po czym się odwrócił i spokojnie ruszył w stronę czołgu. Harry drapał się przez chwilę w głowę, a potem poszedł za dowódcą. Wreszcie Duane wstał, złapał się za krwawiący nos i wciąż przeklinając i mrużąc coś pod nosem, też wrócił do czołgu. Rozkołatane serce Aiko zaczęło się uspokajać, gdy czołg zniknął. Głupio zrobiła, że wpakowała się w taką sytuację. Nigdy już nie będzie liczyła na to, że jakiś mężczyzna ją uratuje. Zawsze będzie się broniła sama.

## *Rozdział dwudziesty szósty*

Hampstead, Londyn, 2012

– Co się stało? – spytał Hugo, siadając obok Sophii na podłodze w sypialni jej babki w Hampstead. Otaczały ich czarne worki na śmieci. – Myślałem, że się rozpakujesz, rozgościsz, a potem zrobisz sobie długą kąpiel. Damon rozpracował boiler. Kręci mnie to, jak wywija kluczem francuskim. Grzejniki zostały włączone, woda powinna być niedługo ciepła.

Sophia przełknęła ciężko ślinę. Nie zamierzała się rozpląkać. Niemniej nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Hej – powiedział Hugo łagodnie. – Myślałem, że poczułaś się szczęśliwsza, odkąd zaczęłaś się znowu spotykać z babcią. Poza tym jesteśmy tutaj, w tym uroczym domu, daleko od tamtego potwornego miejsca. Mamy pod stopami dywan i czystą kuchnię do dyspozycji. Myślałem, że ta przeprowadzka zapewni ci bardziej pozytywne nastawienie do życia.

– Czułam się lepiej – przytaknęła Sophia. – Czułam się świetnie jeszcze dziesięć minut temu. Babcia powiedziała, że dała naszyjnik mamie, pamiętasz? I że jeśli chcę rozwikłać zagadkę, będę musiała zadać mamie kilka pytań.

Hugo skinął głową.

– Myślałam o tym, co mówiłeś. Że będę musiała się z nią zmierzyć. Wysłałam do niej SMS-a z pytaniem o perły – wyznała.

– Bardzo dobrze! – ucieszył się Hugo. – Jestem z ciebie dumny...

– Nie! – przerwała mu Sophia. – To był głupi ruch. Wiedziałam, że nie powinnam tego robić. Mówiłam ci to.

– Dlaczego? – dociekał Hugo.

– Właśnie przysłała mi w odpowiedzi ten e-mail. – Sophia otarła łzy wierzchem rękawa i podała Hugonowi telefon.

– Sophio – czytał na głos Hugo. – Obawiam się, że nie mam pojęcia, o co Ci chodzi. Nigdy nie słyszałam o takim naszyjniku. Gdybyś była uprzejma odwiedzić babcię wcześniej, na własne

oczy byś widziała, jak pogarszał się jej stan. Zgadzą się z Twoim ojcem co do tego, że nie jest już przy zdrowych zmysłach i fantazjuje. Nie ma już takiej pamięci jak niegdyś. Bardzo prawdopodobne, że naszyjnik z pereł nigdy nie istniał. Nie dziwi nas jednak, że dałaś się omamić takiej historii. Jak zauważył Twój ojciec, interesujesz się rodziną tylko wtedy, gdy trzeba się zainteresować Twoim rachunkiem bankowym. Nie mamy pojęcia, jak finansujesz swoje podejrzane zwyczaje, odkąd odcięliśmy Cię od dopływu finansów, ale możesz mieć pewność, że nonsensem jest wyobrażanie sobie, iż mogłabyś odziedziczyć tak bezcenny naszyjnik. Wolelibyśmy, żebyś nie odwiedzała więcej babci. Jest bardzo chorą starą kobietą i ostatnią rzeczą, której potrzebuje w tych ostanich tygodniach życia, jest to, żebyś ją denerwowała. Twój ojciec uważa, że najlepiej dla wszystkich będzie, żebyś trzymała się z daleka od babci i reszty rodziny do czasu, gdy uporządkujesz swoje sprawy. Jak daliśmy Ci wcześniej wyraźnie do zrozumienia, wszyscy mieliśmy dość Twoich dziecinnych, niemoralnych, a często też niezgodnych z prawem zachowań i nie możemy dłużej znosić stresu i wstydu z nimi związanych. Jeśli pewnego dnia postanowisz wrócić na łono cywilizowanego społeczeństwa, być może zaczniemy od nowa budować mosty. Do tego czasu wolelibyśmy nie kontaktować się z Tobą. Mama.

Sophia się skuliła, gdy usłyszała te słowa wypowiedziane na głos. I tak pisała jej matka. Owszem, Sophia miała wady, popełniała błędy, ale czy naprawdę była tak bezwartościowa, by zasłużyć na coś takiego ze strony mamy?

– Co za wiedźma! – wykrzyknął Hugo. – Stuknij trzy razy obcasami, Sophs, i pomyśl sobie życzenie, by nigdy nie musieć wracać do domu.

Że też Hugo musi ją rozśmieszać w takich chwilach.

– No dobra, wiem, że ten e-mail brzmi brutalnie, ale jeśli przeczytasz go uważnie, dostrzeżesz, że nie ma tu niczego, czego by ci wcześniej nie mówili. Może z wyjątkiem informacji, że babcia zniedołężniała psychicznie. To jest nowość – stwierdził Hugo. – Poza tym wszystko co złe, pochodzi od twojego taty.

„Twój ojciec uważa”, „jesteśmy zdania, że”. Wiesz doskonale, że twoja mama nie myśli samodzielnie. Napisała to, co podyktował jej twój ojciec.

– Pewnie tak – odparła Sophia niepewnie. – Ale ona uważa, że interesuję się tym naszyjnikiem wyłącznie dla pieniędzy!

Hugo podrapał się w głowę.

– Bez urazy, ale przecież to był główny powód, dla którego poszłaś się spotkać z babcią, prawda? Poza tym teraz zamieszkaliśmy na dziko w jej domu, więc...?

– Nie jesteśmy dzikimi lokatorami! – odparła Sophia, dając mu lekkiego kuksańca w ramię. – Babcia powiedziała, że możemy się tu zatrzymać na tak długo, jak chcemy. Twierdzi, że to nawet lepiej, że ktoś się zajmie tym miejscem. Martwiła się o włamywaczy. Powiedziała, że wyświadczamy jej przysługę.

– A ty to kupiłaś? – droczył się z nią Hugo.

– Owszem, kupiłam – odpowiedziała z goryczą Sophia. – Poza tym spadek nie był jedynym powodem, dla którego poszłam do babci. I wiesz o tym. Jej listy naprawdę mnie poruszyły. Naszyjnik co najwyżej dał mi wymówkę. Mogłam zmienić zdanie na temat spotykania się z nią, nie tracąc przy tym twarzy.

– Akurat. – Hugo nie odpuszczał. – Może jeśli będziesz to sobie powtarzała, zaczniesz w to wierzyć. No co? Nie chciałabyś posiadać bezcennego naszyjnika z pereł?

– Byłoby wspaniale odziedziczyć coś wartego mnóstwo pieniędzy, ale byłoby też cudownie przywrócić uśmiech na twarzy babci, zanim umrze. Poza tym wiesz, że nie mogłabym teraz sprzedać naszyjnika. Chcę zrobić coś wyjątkowego, żeby podziękować babci za wszystko, co dla mnie zrobiła. I dlatego chcę znaleźć ten naszyjnik. Chciałam go znaleźć... O ile istnieje...

– To jasne, że istnieje – stwierdził Hugo z niezachwianą pewnością w głosie. – Założę się o całą swoją kolekcję jedwabnych krawatów z lat sześćdziesiątych. Dlaczego twoja babcia miałaby kłamać? I wymyślać te skomplikowane historie? Poza tym widzieliśmy zdjęcie z jej osiemnastych urodzin, gdy miała na sobie te klejnoty, pamiętasz?

– To mógł być jeden z naszyjników jej matki albo tanie sztuczne perły. Babcia zawsze miała tyle samo sztucznej biżuterii, co prawdziwej. Mierzyłam wszystkie jej świecidełka, gdy byłam mała, i nie potrafiłam odróżnić prawdziwych klejnotów od sztucznych – tłumaczyła Sophia.

– Uważasz zatem, że babcia kłamie? – zapytał Hugo, przyglądając się jej przymrużonymi oczami.

Sophia długo się zastanawiała nad odpowiedzią. Czy Tilly mogła kłamać? Czy jej rodzice mieli rację? Babcia zniedołężniała? Wtem przypomniała sobie błysk w oczach Tilly, kiedy opowiadała o dniu z ojcem w Londynie, o Asprey i wojnie, i o tym, jak płakała z radości w swoje osiemnaste urodziny, kiedy jej ojciec ofiarował jej cenny prezent. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Tilly mówiła prawdę.

– Nie, Hugo – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy mówi mi wszystko, ale wiem, że nie kłamie w kwestii pereł.

– Jasne, że nie kłamie. – Hugo machnął lekceważąco ręką, jakby nigdy w to nie wątpił. – Twoi rodzice nie chcą, żebyś położyła rękę na pieniądzech rodziny, bo boją się, że mogłabyś je roztrwonić. Twój tata pewnie schował perły w jakimś bezpiecznym miejscu na strychu i jest gotowy pobiec z nimi do Christie's w chwili, w której Tilly wyzionie ducha. Brakuje nam tylko dowodów.

– Dowodów? – zapytała Sophia, ocierając łzy.

– Tak, twardych dowodów, że naszyjnik istnieje.

– Oczywiście – potwierdziła Sophia, która poczuła się nagle mądrzejsza. – To jest to, czego nam potrzeba. Ciekawe, czy babcia ma jakieś albumy ze starymi zdjęciami.

– Wszyscy starzy ludzie mają albumy ze zdjęciami – odparł Hugo pewnym siebie głosem. – To pewnik. Tak samo jak to, że wszyscy geje cytują *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, gdy próbują pocieszyć najlepszą przyjaciółkę.

– Zdaje się, że trzyma je w komodzie w błękitnym salonie. – Przypomniała sobie Sophia, wstała i pociągnęła Hugona za rękę. – Chodźmy to sprawdzić.

Godzinę później mieli wszystkie potrzebne im dowody.

– Co za wstrętna kłamczucha! – wykrzyknął Hugo, podnosząc zdjęcie Alice i wymachując nim triumfalnie. Obrócił fotografię i przeczytał, co napisano na odwrocie: – Alice na Hiszpańskich Schodach, Rzym, lipiec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. – A potem dodał: – Ma na sobie naszyjnik. – Podniósł kolejne zdjęcie. – Alice, bal charytatywny, Wenecja, maj tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. Ma na sobie naszyjnik. – Wziął do ręki ostatnie zdjęcie. – Alice, bar Piccolo, Capri, czerwiec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego. Nadal ma na sobie ten cholerny naszyjnik! Kto wybiera się w podróż kolejną po Europie z bezcennym naszyjnikiem w plecaku?

Sophia pokręciła głową.

– Moja mama była bardzo rozpieszczona – powiedziała, mając świadomość, że stara się wytłumaczyć jakoś kobietę, która ją okłamała, odrzuciła i pozwoliła, by ojciec stosował wobec niej przemoc emocjonalną. Ale przecież musiał istnieć jakiś powód, prawda? Próbowała postawić się w sytuacji mamy. – Jej rodzice byli światowej sławy gwiazdami kina, była jedynaczką. Babcia traciła wcześniej ciążę, więc domyślałam się, że dziadek chciał mamie nieba przychylić. Babcia wróciła na plan filmowy dopiero wtedy, gdy posłała mamę do szkoły z internatem. Mama twierdzi, że sama chciała iść do takiej szkoły. Babcia chciała, żeby została w domu, ale mama się tam dusiła i chciała spędzać więcej czasu z dziewczętami w swoim wieku. Na pewno trudno jej było zaznać choć odrobiny normalności. Uczestniczyła w przyjęciach z Jackiem Nicholsonem, Seanem Connerym i Lizą Minnelli, a potem pakowano ją do samochodów, zakrywając jej głowę płaszczem, bo dziadkowie mieli paranoję na punkcie natrętnej prasy. Na pewno dziwnie się czuła. Nie miała zbyt dużego kontaktu z realnym życiem.

– A my myśleliśmy, że jesteśmy biednymi zamożnymi dzieciakami – rzucił Hugo sarkastycznie. – Biedna, biedna Alice. Musiała się spotykać z Jamesem Bondem.



– To śmieszne, że spakowała naszyjnik do plecaka, nie sądzisz? Myślisz, że zgubiła go we Włoszech, a potem nie miała odwagi przyznać się do tego?

Hugo przytaknął.

– Założę się, że tak się właśnie stało.

– A teraz zaprzecza, że wie cokolwiek na ten temat, i nazywa mnie niemoralną!

Sophia pozwoliła, by dotarli do niej realia sytuacji. Wzięła do ręki zdjęcie z Capri i przyjrzała się młodej dziewczynie na fotografii, jakby starała się czytać jej w myślach. Dziewczyna była bardzo podobna do Sophii, kiedy miała tyle samo lat. Uśmiechała się szeroko, a pełne usta miała pomalowane czerwoną szminką. Piersi wylewały się znad czarnego gorsetu, szczupłą talię ścisnął gruby czarny pas z lakierowanej skóry. Króciutka, rozkloszowana czerwona mini ledwie zasłaniała długie opalone nogi. Alice zarzuciła ręce na ramiona dwóch przystojnych młodzieńców, którzy wpatrywali się w nią z uwielbieniem. Ona natomiast patrzyła prosto w obiektyw. Oczy miała pełne życia, figlarności, odwagi i nieprzyzwoitości. Wyglądała wesoło. Jak dziewczyna, z którą Sophia chętnie by się zaprzyjaźniła.

– Co się z tobą, do cholery, stało? – zapytała dziewczynę ze zdjęcia. – Gdzie się podziałas? Jak mogłaś stać się moją mamą? I co, do licha, zrobiłaś z naszyjnikiem?

Sophia zgarnęła zdjęcia, wciągnęła kozaki i chwyciła kurtkę.

– Dokąd to, kochana? – zapytał Hugo. – Jest późno.

Dochodzi dwudziesta trzecia.

– Ostatni pociąg do Virginia Water odjeżdża z Waterloo o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć – poinformowała go. – Nie mogę z tym czekać do rana. Muszę porozmawiać z mamą dzisiaj.

– Jesteś pewna? – zatroskał się Hugo, który wyglądał na zaleknionego. – Będą już spali. A co z twoim tatą? Wścieknie się!

– Nie obchodzi mnie, co myślą – odparła, biorąc torebkę do ręki. – Nie chodzi tu o nich, tylko o babcię.



## *Rozdział dwudziesty siódmy*

Tokio, Japonia, 2012

Kiedy Aiko się ocknęła, zobaczyła młodą, ubraną na zielono kobietę, która patrzyła na nią zatroskana.

– Proszę nie próbować siadać, pani Wanatabe. Jest pani w szpitalu – wyjaśniła. – Znaleziono panią nieprzytomną. Musimy zrobić badania. Wracamy w tej chwili na salę. Proszę się postarać rozluźnić. Jest pani w dobrych rękach.

Oczywiście. Była w szpitalu. Duchy okazały się dla niej za silne. Starła się walczyć z nimi przez całe życie, ale w końcu wygrały. Aiko położyła się z powrotem. Przestała walczyć. Jednakże nie rozluźniła się, jak poleciła jej lekarka, tylko po prostu poddała się losowi.

Tokio, Japonia, 1946

– Szukam tego adresu – zwróciła się Aiko do starszej kobiety na ogromnym otwartym targu w centrum Tokio. Ścisnęła w dłoni wyblakłą wizytówkę i pokazała ją kobiecie.

Kobieta tylko pokręciła głową.

– Nie wie pani, gdzie to jest? – spytała Aiko. – Ten adres?

– Wiem, gdzie to było – odparła kobieta ponuro. – Ale tego miejsca, ulicy, domu już nie ma. Został tam tylko popiół. Przykro mi.

Aiko przełknęła ciężko ślinę. To był szaleńczy plan – szukała mężczyzny, którego jej matka poznała dwadzieścia lat wcześniej, zamierzała stanąć w jego drzwiach i prosić o pomoc. Przygotowała się na to, że pan Fanaki mógł się przeprowadzić albo że nie będzie pamiętał jej matki, albo że nie żyje, ale nie na to, co usłyszała. Jak ma go teraz znaleźć? Znalazła wizytówkę pana Fanakiego w pudełeczku ze skarbami mamy, gdy miała osiem lat. Zapytała ojca, do kogo należała, a on powiedział jej, że do sławnego fotografa z Tokio, który swego czasu fotografował Manami, bo była tak nadzwyczaj piękną kobietą. Ojciec powiedział też, że zdjęcia

ukazały się w czasopiśmie na całym świecie i że kiedy Manami zmarła, pan Fanaki dowiedział się o tym jakimś sposobem i przyjechał z Tokio, żeby złożyć rodzinie kondolencje.

„Czy jestem podobna do mamusi?”, zapytała Aiko. Ojciec przyglądał się jej bardzo długo, a potem odpowiedział z załzawionymi oczami: „Jesteś bardzo podobna do matki, Aiko-chan. Tak bardzo, że niekiedy mam wrażenie, że patrzę na ducha”.

Aiko miała nadzieję, że podobieństwo do matki pobudzi pamięć pana Fanakiego, ale najpierw musiała go przecież znaleźć. Był jedyną osobą, którą знаła w Tokio, choć nigdy się nie spotkali. Podbiegła do staruszki, która targowała się z handlarzem o cenę herbaty.

– Co znowu, dziewczyno? – spytała zniecierpliwiona.

– Gdzie się podziali ci ludzie? – zapytała Aiko, gorączkowo wymachując wizytówką. – Ci, którzy mieszkali przy tej ulicy.

Kobieta zmarszczyła brwi i spojrzała na Aiko, jakby ta zwariowała.

– Zginęli – odparła otwarcie. – Zginęli w płomieniach. Nie ma sensu szukać nikogo, kto tam mieszkał.

– To gdzie ja się zatrzymam? – zmartwiła się Aiko.

Kobieta ruchem głowy wskazała na dom stojący na rogu. Młode dziewczęta z przesadnym makijażem i nadmiernie roznegliżowane siedziały na kolanach amerykańskich żołnierzy przy stolikach rozstawionych na zewnątrz.

– Są miejsca dla takich jak ty – stwierdziła.

Aiko stanowczo pokręciła głową.

– Rozumiem, że każdy musi jakoś zarabiać – powiedziała – ale takie życie nie jest dla mnie. Wolę umrzeć z głodu.

Staruszka kiwnęła głową i się uśmiechnęła.

– Grzeczna dziewczynka – skomentowała. – Wyglądasz na nędzarza, ale masz w sobie ogień. Życzę ci szczęścia, dziecko.

Aiko pokłoniła się jej i pozwoliła kupić w spokoju herbatę.

Tej nocy spała na progu jakiegoś domu, zwinięta w kłębek, ściskając co sił czerwony woreczek. Spała tam też kolejnej nocy i następnej. Żywiła się resztkami, które znajdowała na tyłach

restauracji, warzywami, które zostały na ziemi, gdy sprzedawcy zwinęli się z targu. Nie tylko ona tak żyła. Takich ludzi były setki – mężczyzn, kobiet i dzieci. Szukali jedzenia i schronienia.

Niektórzy trzymali się razem w kraterach po bombach, inni spali jeden przy drugim w porzuconych wagonach metra, ale Aiko wolała być sama. Sama i niewidzialna. Być może właśnie ta jej cecha ją uratowała. Gdy ludzie żyli w takim zagęszczeniu, gruźlica w slamsach rozprzestrzeniała się jak pożar, który zniszczył miasto. Aiko zobojętniała na widok zwłok, ale z każdym mijającym ją wozem, na którym leżały ciała nieszczęśników, którzy nie przeżyli nocy, umacniało się w niej postanowienie, że nie umrze. Nie tutaj. Nie w ten sposób.

Przestępczość szerzyła się w mieście, a targiem rządził gang Kanto Ozu. Aiko trzymała zawsze spuszczoną głowę i unikała gangsterów za wszelką cenę. Nigdy nie walczyła o jedzenie. Wiedziała, że mądrzej jest odejść głodnym, niż zostać i dać się zadźgać. Chudła i słabła. Noce zrobiły się zimniejsze. Czasami kobieta ze straganu z herbatą zaparzała jej filiżankę czaju, ale to było za mało.

Codziennie, siedząc na swoim miejscu na progu, wystawiała głowę spod koca i pytała przechodniów, czy znają pana Fanakiego, sławnego fotografa. Większość ludzi patrzyła przez nią, jakby w ogóle nie istniała. Pewnego dnia ktoś jej jednak odpowiedział. Był to mężczyzna w mniej więcej takim wieku, w jakim byłby jej ojciec, gdyby żył. Aiko widywała go już, jak targował się i żartował z handlarzami. Czasami przyjeżdżał na targ samochodem, w którym siedzieli amerykańscy oficerowie. Widziała, że przedstawiał ich członkom gangu Kanto Ozu. Wydawało się, że znał wszystkich. Chodził w drogich ubraniach z Zachodu i wyglądał na bardzo dobrze odżywionego, co w Tokio zakrawało na cud.

Podszedł do niej, pochylił się i ujął w dłoń jej podbródek. Skierował jej twarz w swoją stronę. Aiko unikała jego wzroku.

– Nie znam twojego pana Fanakiego – powiedział ów biznesmen. – Ale wiem, że umrzesz niedługo, jeśli czegoś nie zjesz

i nie włożysz cieplejszych ubrań. Mamy zimę. W takim czasie dziewczyna nie powinna mieszkać na ulicy.

– Nie mam pieniędzy na jedzenie ani na ubrania. Nie mam też gdzie mieszkać – poinformowała Aiko mężczyznę, zerkając w końcu nerwowo w jego stronę.

– Dlaczego nie żebrzesz? – zapytał, przekrzywiwszy głowę i przyglądając się jej uważnie.

– Nigdy nie będę żebrać – odparła Aiko z dumą, wyrwijąc podbródek z jego dłoni.

– Albo nie zostaniesz gejszą? – dopytywał.

Oboje wiedzieli, że nie miał na myśli gejszy w starym tego słowa znaczeniu. Amerykańscy żołnierze nie znali japońskiego określenia na prostytutkę – *baishunfu*. Znali tylko termin gejsza. W swej ignorancji nie rozumieli różnicy i tak oto w powojennym Tokio słowo to stało się odpowiednikiem dziwki. Wyglądało na to, że połowa dziewcząt z tokijskich slamsów była gejszami. Lecz nie Aiko.

– Wolalabym spać ze szczurami – odparowała Aiko, czując przypływ złości. Nie była zabawką, którą mógłby się bawić ten bogacz.

– Mam bar... – zaczął.

– Powiedziałam, że wolalabym umrzeć! – syknęła Aiko, przyciskając się do drzwi.

– To jest ładne miejsce, szacowne. Nie zatrudniam prostitutek, ale potrzebuję ładnych dziewcząt do pracy. Mam sporo ważnych klientów, głównie Amerykanów. Dzięki nim jestem bogaty! Będziesz musiała tylko rozmawiać z nimi, czarować ich i im schlebiać. Nic więcej. Obiecuję. Nie zamierzam cię wykorzystywać. Ani oferować ci jałmużny, zanim odezwie się twoja duma! Jesteś nadzwyczaj piękna i podoba mi się ogień w twoich oczach. Masz w sobie ducha! Bardzo się spodobaś moim klientom. Proszę, żebyś mi zaufała. W zamian proponuję ci pracę i dach nad głową, a także trzy miseczki ciepłego ryżu dziennie.

– Dlaczego miałabym panu zaufać? – zapytała Aiko.

Mężczyzna rozejrzał się po zapuszczonym targu.

– Wydaje mi się, że nie masz zbyt dużego wyboru – odparł i wyciągnął ręce w jej stronę.

Aiko się zawahała. Spojrzała mężczyźnie głęboko w oczy. Były pełne życia i pobłyskiwała w nich figlarność, ale nie widziała w nich zła. Aiko postanowiła zaufać nie tyle mężczyźnie, ile swojej intuicji. Siedząc na tym progu, donikąd nie zajdzie. Może nadeszła chwila, w której powinna się ratować. Wzięła głęboki wdech i wyciągnęła rękę w stronę dłoni mężczyzny.

– Nazywam się pan Oshiro – przedstawił się i postawił ją na nogi.

– Dziękuję, panie Oshiro. Jestem Aiko. Aiko Wanatabe.

– Widzę, że masz za sobą długą i niebezpieczną podróż. Moja żona Nana jest dobrą kobietą. Zaopiekuje się tobą do czasu, aż poczujesz się na siłach pracować i przeprowadzić do domku, gdzie zamieszkas z pozostałymi dziewczętami.

Aiko szybko się zorientowała, że dobrze postąpiła, ufając swojej intuicji. Państwo Oshiro nie mieli własnych dzieci, a Nanę przepełniała marnująca się miłość i dobroć, przez co kobieta praktycznie kipiała czułością. Była ładną kobietą tuż po czterdziestce, zadbaną, choć trochę korpulentną. Aiko ją uwielbiała. Po trzech tygodniach Aiko chodziła, już nie kulejąc, zaróżowiły się jej policzki, pozbyła się wszy, zniknęła też wysypka, która ją męczyła. Co więcej, przypomniła sobie, co to znaczy mieć pełny brzuch. Pan Oshiro był właścicielem nie tylko baru, ale też dwóch restauracji i sklepu spożywczego. Jego piękny dwupiętrowy dom pachniał nowością. Aiko nigdy wcześniej nie była w domu ze schodami! Każdy dom, w którym do tej pory przebywała, składał się z jednej izby i był zrobiony z papieru i drewna.

Pan Oshiro zdołał jakimś cudem wznieść nowy dom w zamożnej dzielnicy w zachodniej części Tokio, która uniknęła bombardowania. W jego domu było kilka oddzielnych pokoi, a nawet elektryczność. Dom wydawał się Aiko pałacem. Po raz pierwszy od lat czuła się bezpiecznie. „Kto jada ostatki, ten jest piękny i gładki” – przypomniła sobie.

Kiedy nastał czas, żeby zaczęła pracę w barze pana Oshiro, Nana błagała męża, żeby pozwolił Aiko zostać z nimi i nie posyłał jej do kwatery nad barem z innymi dziewczętami. Aiko stała na schodach nieruchomo jak czapla i przysłuchiwała się rozmowie dobiegającej z dołu.

– Może mi pomagać w domu – tłumaczyła Nana panu Oshiro. – Nie mam córki ani nawet synowej, żeby mi pomagała w pracach domowych. Wyświadczy nam przysługę. Poza tym – dodała już ciszej – szkoda by było, gdyby wdała się w złe towarzystwo, prawda? Pamiętasz, co się stało z Junko? Podobno pracuje w International Palace i obsługuje amerykańskich żołnierzy. Musimy zadbać o bezpieczeństwo Aiko, mężu. Zesłano nam ją nie bez powodu. Zapewnienie jej bezpieczeństwa jest naszym obowiązkiem.

Aiko nie wiedziała, kim była Junko, ale słyszała o International Palace, chyba największym burdelu na świecie. Codziennie zaglądały do niego setki amerykańskich żołnierzy, żeby zabawić się z japońskimi dziewczętami. Słyszała nawet, że wszystko odbywało się tak sprawnie, że żołnierze zdejmowali po przyjsciu buty, robili z dziewczętami, co chcieli, a potem odbierali świeżo wyczyszczone i wypolerowane obuwie. Docierały też do Aiko słuchy, że niektóre dziewczyny sypiały z żołnierzami za paczkę papierosów. A Amerykanie mieli ich sporo! Widziała, jak sprzedawali kartony old goldów gangsterom z targu Ozu. Sprzedawali też alkohol, czekoladę, a nawet prezerwatywy. Wielu tych młodych żołnierzy zbiło fortunę na tokijskim czarnym rynku. I wydawali ją w takich miejscach jak International Palace. Aiko wiedziała, że nigdy nie skończy jak ta biedna Junko. Pan Oshiro na to nie pozwoli. Zauważyła, że Nana potrafiła owinać go sobie wokół małego palca. Robiło się jej ciepło na sercu, gdy widziała mężczyznę tak zakochanego w swojej żonie.

Kiedy Aiko przybyła do ich domu, Nana dała jej śliczne bawełniane sukienki, wełniane pończochy i parę butów, ale w dniu, w którym Aiko miała rozpocząć pracę, pan Oshiro sprezentował jej dwa piękne kimona – jedno bladoniebieskie, a drugie w ognistym



odcieniu oranżu.

– Woda i ogień – powiedział. – Bo łączysz w sobie jedno i drugie, Aiko-chan.

Dziewczęta, które pracowały w barach w biedniejszych rejonach Tokio, ubierały się na modłę zachodnią i malowały. Żuły gumę i przeklinały po angielsku. Pan Oshiro nigdy by nie przystał na takie zachowanie w jego lokalu. Hostessy ubierały się tradycyjnie, co przyciągało bardziej wytrawną klientelę, jak wyjaśnił. Pierwszego wieczoru Nana pomogła Aiko włożyć błękitne kimono, upiąć włosy grzebieniem z kości słoniowej, umalować twarz jasnym pudrem, uróżnić policzki, pociągnąć brwi węglem, a usta czerwoną szminką.

– Gotowe – oznajmiła. – Jesteś teraz kobietą.

Aiko przyglądała się z niedowierzaniem eleganckiej kobiecie patrzącej na nią z lustra. Żałowała, że jej ojciec tego nie widzi. Gdy Nana zostawiła ją samą w pokoju, Aiko wyjęła czerwony woreczek spod poduszki i schowała go pod kimonem. Ufała Nanie i panu Oshiro bezgranicznie, ale nigdzie by się nie ruszyła bez swojego skarbu.

Bar pana Oshiro działał w zamożnej dzielnicy Ginza. Nazywał się Peace Palace<sup>4</sup>.

– Ta nazwa podoba się Jankesom. – Pan Oshiro uśmiechał się, gdy wprowadzał Aiko do środka. – Przez to myślą, że lokal jest wyjątkowo przyjazny. Wydaje im się, że aprobuję okupację, bo użyłem słowa „pokój”.

– A czy akceptuje pan Amerykanów? – zapytała Aiko ostrożnie, niepewna, czy pytanie o takie sprawy jest odpowiednie. – To znaczy, czy ich pan lubi?

Pan Oshiro wzruszył ramionami, nieporuszony jej pytaniem.

– To są zwykli ludzie. Jednych lubię, innych nie. Lecz nawet jeśli ich nie lubię, podoba mi się kolor ich pieniędzy, dlatego w Peace Palace jesteśmy mili dla wszystkich Amerykanów, Aiko. Zapamiętaj to, a odniesiesz wielki sukces.

Pan Oshiro przedstawił Aiko pozostałym hostessom. Wszystkie były ładnymi, wyrażającymi się poprawnie,

przyzwoitymi dziewczętami. Aiko natychmiast się rozluźniła. Pan Oshiro nie kłamał – jego bar nie przypominał domów gejsz w slamsach. Prezentował się elegancko za sprawą wyfroterowanej podłogi, czerwonych aksamitnych zasłon i błyszczących chromowanych stołków. Za barem znajdowały się rzędy szklanych półek wypełnione butelkami alkoholu we wszystkich możliwych kolorach! Główna hostessa była imponującą kobietą około trzydziestki. Przed wojną była prawdziwą gejszą w Kioto. Miała włosy czarne jak kruk i oczy ciemne jak nocne niebo. Miała na imię Kira i zrobiła ogromne wrażenie na Aiko. Kira nauczyła Aiko rozróżniać alkohole. Pokazała jej, jak poprawnie serwować sake, jak mieszać drinki zgodnie z upodobaniami Amerykanów. A potem zapytała:

– Czy wiesz, jak sprawić, by mężczyzna się w tobie zakochał, Aiko?

Aiko się zarumieniła. Nigdy nie całowała się z mężczyzną. Co mogła wiedzieć o miłości? Nie miała czasu na myślenie o romansie, gdy przede wszystkim walczyła o przetrwanie.

– Nie – wyznała. – Nie znam wielu mężczyzn. Tylko pana Oshiro.

Kira się zaśmiała.

– Kochana Aiko, z taką urodą sprawisz, że będą ci padali do stóp. Przekażę ci kilka sztuczek, dzięki którym będą się w tobie kochali!

– Ale dlaczego miałabym tego chcieć? – spytała zmieszana Aiko.

Nie chciała, by kochało się w niej wielu mężczyzn, tylko ten jedyny, gdy przyjdzie na to właściwy moment. A na pewno upłynie jeszcze dużo czasu. Miała zbyt dużo do zrobienia, by pozwalać romansom wchodzić jej w drogę.

– Im bardziej będą cię kochali, tym większe będą ci dawali napiwki. I prezenty. Widzisz to? – Rozchyliła kimono, żeby pokazać delikatny złoty łańcuszek z wisiorkiem z brylantem. – Jeden z klientów dał mi to w ubiegłym tygodniu. Czyż nie jest śliczny?

– Jest – odparła Aiko. – Przepiękny.

Znowu zaczęła się martwić. To wszystko o prezentach i rozkochiwaniu w sobie mężczyzn brzmiało trochę podejrzanie. Kira dostrzegła troskę malującą się na jej twarzy i się uśmiechnęła.

– Wiem, co sobie myślisz, ale nie musisz się martwić – powiedziała łagodnie. – Sprawiamy tylko, że mężczyźni czują się wyjątkowi, interesujący i przystojni. Nie pozwalamy, żeby nas dotykali. Nie całujemy ich. Nie zgadzamy się na spotkania poza barem. To są zasady pana Oshiro. Jesteśmy pięknymi dziełami sztuki, na które mogą patrzeć, gdy tu są. Mogą nam kupować prezenty, ale nigdy nie będzie ich stać na to, żeby nas mieć. Rozumiesz?

Aiko z ulgą skinęła głową. Rozumiała. Te zasady jej odpowiadały.

Niebawem poczuła się w Peace Palace jak w domu. Po dwóch tygodniach pan Oshiro oznajmił, że jest do tego „stworzona”, i kupił jej trzecie kimono, tym razem szmaragdowozielone. Prawda zaś była taka, że praca okazała się dla Aiko łatwa. W zasadzie nie czuła, że pracuje. Nie przypominało to pracy, jaką wykonywały kobiety w Ise Shima. Nie musiała się wysilać ani pocić. Większość klientów stanowili wysokiej rangi amerykańscy żołnierze. Japońscy klienci byli potwornie bogaci i przyjaźni wobec Jankesów. Pan Oshiro miał rację co do Amerykanów: nieliczni byli niegrzeczni, niektórzy lubieżni, ale przeważająca większość była urocza, uprzejma i godna szacunku. Słyszeć było muzykę, śmiechy, dochodziło do niewinnych flirtów, czasami trochę tańczono i śpiewano. Od wielu lat Aiko nie czuła się tak szczęśliwa i bezpieczna.

Peace Palace był nie tylko barem. Aiko szybko się zorientowała, że służył on nie tylko zabawianiu amerykańskich oficerów. Słyszała, jak mężczyźni dyskutowali tu o interesach, ale nigdy się nie wtrącała w ich rozmowy i nie zbliżała do nich wówczas za bardzo. Musiała dbać o to, żeby pan Oshiro i jego ważni przyjaciele czuli, że nie interesuje się ich sprawami. Aiko jednak słuchała i obserwowała ich uważnie, gdy nalewała im sake i

podawała drinki Singapore sling. Zapisywała najdrobniejsze szczegóły w pamięci, bo wiedziała, że niebawem będzie mogła wykorzystać zdobyte informacje. Wiedza zapewniała władzę. A władza dawała wolność. Czy Haruki nie mawiała, że Manami umarła właśnie dla wolności? Dla wolności Aiko?

Nic jej nie umykało. Widziała, jak dolary i jeny przechodziły pod stołem z rąk do rąk. Wiedziała, że większość alkoholu pochodzi z amerykańskich wojskowych magazynów. I wiedziała bardzo dobrze, że pan Oshiro ma duży sejf schowany za obrazem w prywatnym gabinecie. Wszyscy wiedzieli, że Jankesi wydobyli mnóstwo sztabek japońskiego złota z Zatoki Tokijskiej w ubiegłym roku, ale zagadką pozostawało to, jakim sposobem część tego złota trafiła do sejfu szefa Aiko. Wiedziała również, że pan Oshiro trzymał jeden pistolet w górnej szufladzie biurka, a drugi w szafce w domu. Pan Oshiro i jego klienci nie mieli bladego pojęcia o tym, że Aiko zorientowała się, co się tak naprawdę dzieje w Peace Palace. Uśmiechała się słodko, kłaniała z szacunkiem, serwowała drinki, flirtowała, śmiała się i grała.

Haruki zawsze powtarzała, że Aiko na pewno wyszła z morza, bo była jak gąbka: chłoneła w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co zobaczyła lub usłyszała. Aiko błyskawicznie nauczyła się, jak rozkochiwać w sobie mężczyzn, i po upływie kilku tygodni zanosila do domu większe napiwki i lepsze prezenty niż Kira. Potrafiła zmieszać mocne martini lub doradzić dziesięcioletnią szkocką. Szybko zaczęła mówić biegle po angielsku i potrafiła odciąć się Amerykaninowi równie szybko jak Japończykowi. Mężczyźni zdawali się lubić jej poczucie humoru.

W domu z Naną pracowała znacznie ciężiej niż w barze. Nana nie była bardzo wymagająca i nigdy nie prosiła Aiko o wiele, ale dziewczyna czuła tak ogromną wdzięczność wobec państwa Oshiro za przygarnięcie jej, że starała się robić więcej, niż od niej oczekiwano.

„Zesłali nam ciebie bogowie”, mawiała Nana, gdy Aiko nieproszona przyrządziła obiad lub zamiotła podłogi. „Szkoda, że nie możesz zostać z nami na zawsze, Aiko-chan. Jesteś mi tak

bliska, jakbyś była moją córką”.

„Nigdzie się nie wybieram”, odpowiadała Aiko z czułym uśmiechem. „Dlaczego miałabym to zrobić?”.

„Pewnego dnia nas opuścisz, moje dziecko”, zauważała Nana z lekkim smutkiem. „Jakiś mężczyzna wykradnie mi cię niebawem. Wspomnisz moje słowa”.

Aiko wiedziała swoje. Prawdą było, że opuści Oshirów pewnego dnia. Ale zrobi to z własnych powodów i w swoim czasie. Żaden mężczyzna nie stanie jej na drodze ku przeznaczeniu.

## *Rozdział dwudziesty ósmy*

Virginia Water, Surrey, 2012

– Mamo! – Sophia waliła w ciężkie dębowe drzwi solidnego budynku z czerwonej cegły, który zwała niegdyś domem. – Mamo!

Już dwukrotnie dzwoniła do drzwi, widziała, jak w sypialni rodziców zapaliło się światło i drgnęła zasłona, która po chwili znowu opadła. Wiedzieli, że ona tu jest. Lampy reagujące na ruch na podjeździe zapaliły się w chwili, gdy weszła na chrzęszczący żwir. Zapewne ustalali teraz w sypialni, jak sobie poradzić z problematycznym dzieckiem.

– Mamo! – krzyknęła Sophia. – Jeśli trzeba, będę walić tak długo, aż obudzę wszystkich sąsiadów!

To poskutkowało. To była niezawodna sztuczka, która zawsze działała, gdy Sophia chciała, żeby matka wpuściła ją do środka po tym, jak wcześniej wyrzucono ją z domu. Wystarczyła groźba, że narobi matce wstydu przed porządnymi mieszkańcami Virginia Water.

– Cześć – powiedziała, gdy Alice otworzyła drzwi ubrana w szlafrok.

Matka miała ściągniętą bladą twarz. Ręce się jej trzęsły, gdy przyciskała szlafrok do piersi.

„Można by pomyśleć, że wróciłam z zaświatów, a nie z Londynu” – pomyślała Sophia, gdy weszła do dużego przedpokoju. Udała się do kuchni i usiadła na stołku barowym przy stojącej na środku wyspie. Wyjęła zdjęcia i rozłożyła je na granitowym blacie.

– Jest po północy. Czy w końcu zwariowałaś, Sophio? – zapytała mama komicznie krzykliwym szeptem.

Dla kogo starała się zachowywać tę ciszę? Obie wiedziały bardzo dobrze, że Philip nie śpi i tylko czeka na właściwą chwilę, by przejąć akcję w walce Alice i Philipa Brownów z Sophią Beaumont Brown.

– Co ty tu robisz? – dopytywała mama. – Wyraźnie ci

powiedzieliśmy, że nie masz prawa wstępu do tego domu do czasu, aż udowodnisz nam, że umiesz się zachować.

– Zachować? – spytała Sophia.

Jaką amunicją Alice i Philip jeszcze dysponowali? Wyrzekli się jej, odcięli od niej i nazwali ją bezwartościową córką. Jej ojciec nawet odstraszył od niej narzeczonego. Co jeszcze mogli zrobić, by skrzywdzić ją jeszcze bardziej?

– Kłamałaś, mamó – ciągnęła pod wpływem adrenaliny krążącej w jej żyłach. – Ten twój e-mail. Złamał mi serce. Pomyślałaś o tym? Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że możesz wyrządzać mi przykrość?

Zauważyła, że matka się wzdrygnęła. Co to za emocja pojawiła się przelotnie na jej twarzy?

– Jesteś kłamczuchą, prawda? Wymyśliłaś sobie, że próbuję dostać w ręce naszyjnik babci, żeby móc na tym zarobić. Tymczasem prawda jest taka, że to ty jesteś oszustką.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym ty mówisz, Sophio. Jaki naszyjnik? Nie wysłałam ci maila! I nie będziesz się do mnie odzywała w ten sposób w moim domu. Ani nie będziesz obarczała mnie winą za to, na kogo wyrosłaś. Staraliśmy się z całych sił. Posłaliśmy cię do najlepszych szkół, zapewniliśmy ci lekcje baletu, jazdy konnej, gry na pianinie... Daliśmy ci każdą szansę, wszystko, co można zapewnić za pieniądze... – Matka prawiała jej morały. Sophia słyszała to już z tysiąc razy.

– Ale nie daliście mi miłości, prawda, mamó? – odparowała. – A za to się nie płaci.

– Kochaliśmy cię – szepnęła matka.

– Nieprawda – powiedziała Sophia spokojnie, pewnym głosem. – Być może kochałaś mnie na swój sposób, gdy byłam małą. Tata nigdy. Nawet nie próbuj zaprzeczać! A ty z jakiegoś powodu nie kochałaś mnie na tyle mocno, by stanąć po mojej stronie, gdy był wobec mnie okrutny. Zrezygnowałaś ze mnie, zanim wyrosłam na nastolatkę.

– Zawsze byłaś taka niesforna! – krzyknęła mama.

– To nieprawda – sprzeciwiła się Sophia. – Byłam małą

dziewczynką, która rozpaczliwie zabiegała o uwagę, bo zawsze miałam wrażenie, że przeszkadzam, jestem zbędnym kołem u wozu.

– Nie tylko my uważaliśmy, że jesteś trudna, Sophio – ciągnęła matka. – A Nathan? Kochał cię, ale też nie mógł znieść twojego zachowania.

– Nathan zostawił mnie, bo tak mu kazał tata – oznajmiła Sophia, rozpaczliwie się starając zachować spokój i się nie wściec.

– Wiedziałaś o tym, mammo? Czy może jest to kolejny sekrecik, który zamieciono pod dywan?

– Jaki sekret? O czym ty mówisz? – zapytała mama.

– Alice na Schodach Hiszpańskich, Rzym, lipiec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku – przeczytała. – Zdaje się, że masz na sobie naszyjnik z pereł babci. Ten, którego istnienie dzisiaj zakwestionowałaś. Spójrz, znowu go masz na sobie w Rimini i na Capri! Dobrze się bawiłaś we Włoszech, mammo? Zalałaś się i zgubiłaś bezcenny naszyjnik matki?

Sophia zobaczyła, jak twarz matki z bladej robi się purpurowa. Zobaczyła, jak w spokojną kobietę w średnim wieku wstępuje potwór, a z jej ust wydobywa się ryk, z powodu którego Sophia aż podskoczyła.

– Jak śmiesz?! – wrzasnęła Alice, rzucając się w stronę córki. – Nigdy, przenigdy nie rozmawiaj ze mną na ten temat!

Zanim Sophia się zorientowała, matka chwyciła ją za ramiona i mocno potrząsnęła.

– Nawet nie wiesz, o czym mówisz! – krzyknęła. – Nic o mnie nie wiesz!

– Mammo, przestań, proszę – błagała Sophia. – To boli. Co robisz?

Nigdy nie widziała matki w stanie takiej furii. Po raz pierwszy w życiu poczuła ulgę, gdy tata w końcu wkroczył do akcji.

– Co tu się dzieje, do diaska? – zapytał, odciągając Alice od Sophii. – Mój Boże! Co takiego zrobiłaś, że aż tak zdenerwowałaś matkę, Sophio?



Tulił szlochającą matkę i patrzył wrogo na Sophię.

– Zaatakowała mnie bez powodu – oświadczyła Sophia, zbierając zdjęcia i chowając je do torebki. – I twierdzicie, że to ja jestem wariatką! Spójrz na swoją żonę. Zupełnie jej odbiło! Jaka matka atakuje własną córkę?

Chciała wyjść. Chciała uciec tak jak wtedy, gdy miała dziesięć lat. Tylko że tym razem nie będzie czuła wstydu. Była dorosła i sytuacja się zmieniła. Owszem, zadała rodzicom ból, ale nie tym razem. Wiedziała, że to nie ona zrobiła coś złego.

– Co takiego jej powiedziałaś? – zapytał ojciec, mrużąc oczy. Nawet nie starał się ukryć nienawiści w głosie.

– Że wiem, że miała naszyjnik babci w podróży koleją we Włoszech. To wszystko. Wytknęłam jej, że mnie okłamała, przecząc jakoby naszyjnik kiedykolwiek istniał, i że jeśli się upijała z włoskimi chłopakami i zgubiła perły, powinna się przynajmniej do tego przyznać teraz, po upływie trzydziestu lat. To była najcenniejsza rzecz babci, a ona ją zgubiła.

– Nie zgubiłam ich! – krzyknęła mama jak potępieniec.

Sophia patrzyła z przerażeniem, jak jej ojciec musiał przytrzymać matkę, żeby jej znowu nie zaatakowała.

– NIE ZGUBIŁAM TEGO NASZYJNIKA!!! – ryczała mama raz po raz.

– Odbiło ci – powiedziała cicho Sophia. – Najwyraźniej przechodzisz jakieś załamanie. A ty – spojrzała na ojca – najprawdopodobniej do tego doprowadziłeś. Wiesz o tym?

Ruszyła w stronę drzwi.

– Tym razem to ja się was wyrzekam.

Otworzyła drzwi i wybiegła z domu, zanim jej ojciec zdołał zareagować. Lecz gdy biegła podjazdem, oddalając się od budynku, docierały do niej krzyki, ale nie ojca. To jej mama wołała:

– Sophio! Przepraszam. Proszę, nie odchodź! Nie jest tak, jak myślisz. Nie wiem, gdzie jest ten naszyjnik. To prawda. Musisz mi uwierzyć. Sophio!

Było już za późno na przeprosiny lub wyjaśnienia. W Sophii

coś pękło. Według niej rodzice nie mogli już zrobić ani powiedzieć nic, co naprawiłoby sytuację. Spała niespokojnie w poczekalni na stacji Virginia Water i wsiadła do pierwszego porannego pociągu jadącego do Waterloo. Tym razem, gdy pociąg pędził w stronę Londynu, nie płakała.

## *Rozdział dwudziesty dziewiąty*

Virginia Water, Surrey, 2012

Alice Brown stała w swoim szlafroku przy kuchennym oknie i obserwowała, jak światło zakradało się powoli do ogrodu z za żywopłotu. Gdy słońce wzeszło, z ukłuciem żalu zdała sobie sprawę z tego, że nienawidziła tego ogrodu z perfekcyjnie zadbanym trawnikiem wystrzyżonym w grzeczne pasy przez Philipa jeżdżącego na swojej ukochanej kosiarce. Osuszyła szklaneczkę czystej whisky – trzecią, odkąd Sophia wyszła – i cieszyła się tym, jak ją paliła w przetyk i rozgrzewała żołądek w czasie tego chłodnego świtu. Alice rzadko piła alkohol, a już nigdy wysokoprocentowy. Tylko że Alice nie chciała już być Alice. Czowała się, jakby się budziła z bardzo długiego snu. Przyglądała się swojemu domowi jakby nowymi oczami.

Bardzo jej się nie podobała altana z atrapą gołębnika i komicznie ozdobny staw z karpami koi, którymi Philip wiecznie się przejmował. I jeśli chodzi o szczegóły, nie znosiła napuszonych sąsiadów z obu stron posesji (choć od lat nazywała ich przyjaciółmi i często grywała z nimi w brydża). Boże, nienawidziła tego domu z jego pompatycznym wnętrzem i przesadnie schludnym rustykalnym otoczeniem. Nienawidziła ubrań w swojej garderobie i kwiecistych skorup w kredensie. Nienawidziła swojego męża Philipa, który głośno chrapał na górze. Lecz najbardziej na świecie Alice Brown nienawidziła siebie. Za złe wybory, których dokonała, i słabości, które ją doprowadziły do tego miejsca. Nienawidziła tego, co zrobiła Sophii i tej dziewczynie z fotografii, którą Sophia upuściła w czasie swojej ucieczki.

Nadal trzymała zdjęcie w dłoni. Było trochę pomięte i mokre od łez. Jak twarz Alice. Spojrzała na umalowaną dziewczynę w minispódniczce. Oczy jej lśniły z ekscytacji i uśmiechała się szeroko, wyrażając czystą radość.

– Przepraszam – zwróciła się do dziewczyny. – Przepraszam,

że się ciebie pozbyłam, Alice. Nie chciałam. Myślałam, że cię  
chronię. Siebie. Ktokolwiek to był. Już niczego nie jestem pewna.  
Capri, Włochy, 1981

Lady Alice Beaumont-Perry miała osiemnaście lat i od trzech  
miesiący podróżowała koleją po Włoszech ze swoją najlepszą  
przyjaciółką Claudią. I chłopakiem. Rany, ale się świetnie bawiły!  
Długo czekała na wolność i wreszcie się nią cieszyła! Alice  
pożerała ją z apetytem.

„Zuchwała”, „pełna życia”, „odważna” – to były słowa,  
którymi opisywano Alice w szkolnej kronice tej wiosny. Zawsze  
tak się czuła, ale tym razem po raz pierwszy mogła postępować  
zgodnie ze swoją naturą. Pływała nago o północy z grupą  
szurniętych studentów z Niemiec w jeziorze na północ od Werony.  
Po raz pierwszy paliła trawkę ściśnięta z innymi na piętrowym  
łóżku w hostelu w Mediolanie. Razem z przyjaciółmi została  
wyrzucona z pociągu jadącego z Florencji do San Marino, bo byli  
zbyt pijani, żeby znaleźć bilety. W Rimini spróbowała skoku z  
mostu. A w ostatnim tygodniu w Neapolu jej i Claudii skończyły  
się pieniądze, więc musiały pracować w dość obskurnym nocnym  
klubie do czasu, gdy rodzice dostali im fundusze. Nie było  
wątpliwości, że Alice nigdy w życiu nie bawiła się tak wybornie.

Tego lata uwolniła się wreszcie od bardzo kochającego, ale  
nadopiekuńczego ojca. Jako córka dwóch hollywoodzkich gwiazd  
wiodła niebywale uprzywilejowane życie, jednakże dość  
klaustrofobiczne. Ochroniarze obserwowali każdy jej ruch, a to nie  
było fajne dla nastolatki. Szwajcarska prywatna szkoła  
przygotowująca dziewczęta do życia w wielkim świecie dała jej  
przedsmak wolności, ale tylko wtedy, gdy ona i inne dziewczyny  
wymykały się na spotkania z miejscowymi chłopakami.

Teraz wreszcie była we Włoszech. Mama dała jej  
błogosławieństwo, za to tata się denerwował. Nadal widział w niej  
dziecko! Mama przekonała go w końcu, żeby ją puścił, twierdząc,  
że każda dziewczyna musi przeżyć przygodę, gdy osiągnie  
pełnoletniość – czy nie poznali się tylko dlatego, że Tilly miała

odwagę uciec do Londynu? Alice planowała po powrocie studiować historię sztuki w Oxfordzie, ale wcześniej miała przed sobą rok pełen zabawy.

Razem z Claudią szalała w Mediolanie, Florencji, Rimini, Pescarze, Foggii, Taranto, Mesynie, Palermo i Neapolu. A teraz znajdowała się na Capri i sączyła espresso w małej boskiej kawiarni z widokiem na turkusowy ocean. Była pięknie opalona i superseksowna. Podobało się jej, jak włoscy chłopcy i mężczyźni podziwiali jej krągłości. Tutaj czuła się jak kobieta! A nie jak córka Tilly Beaumont. Wreszcie była Alice. Tutaj nikt nie wiedział, kim jest. Była wolna. Rozkoszowała się gorzko-słodkim smakiem kawy i upajała cudownym widokiem. Czy życie mogłoby być słodsze?

– Cześć – powiedziała Claudia, wrywając Alice z zadumy.

Przyciągnęła ze sobą Javiera, swojego francuskiego chłopaka, który jak zwykle dreptał za nią jak przestraszony szczeniak. Claudia poderwała go w Rimini przed kilkoma tygodniami i w zasadzie nie dawała mu chwili spokoju. Biedny chłopak wyglądał na wykończonego.

– Cześć, Claude, Javier – powiedziała wesoło Alice. – Jakie mamy plany na dzisiaj?

– Javier ma przyjaciela, który ma jacht! – poinformowała podekscytowana Claudia. – Możemy z nim dzisiaj pożeglować. Jutro być może też, tylko że...

Claudia zawiesiła głos, a Alice dostrzegła, że jej przyjaciółka patrzy na nią jakoś dziwnie, nerwowo.

– Co się stało, Claude? – zapytała.

Co mogłoby się stać tutaj? W tym rajku?

– Nic się nie stało – odparła Claudia. – To może oznaczać, że będę musiała zmienić nieco plany.

– Zmienić plany? – Alice nic nie rozumiała.

– No bo... ten jacht... – Claudii nigdy nie brakowało słów.

– Mój przyjaciel, ten od jachtu, płynie w weekend do Monako – dokończył za nią Javier.

– To fajnie – stwierdziła Alice radośnie, zastanawiając się

równocześnie, czy dostanie zaproszenie do Monako.

Miały w przyszłym tygodniu pojechać pociągiem z Neapolu do Rzymu i pracować tam do końca sezonu, ale mogły z tym poczekać z tydzień lub dwa, jeśli nadarzała się okazja wypadu do Monte Carlo.

– Zaprosił nas, żebyśmy z nim popłynęli – powiedział Javier i bacznie się przyglądał Alice, czekając na jej reakcję.

Tymczasem Claudia była bardzo zajęta mieszaniem swojej kawy.

– „Nas”, czyli...? – Alice nagle poczuła się zdenerwowana.

– Mnie i Javiera – Claudia nagle zdobyła się na odwagę. – Przepraszam, że ci to robię, Alice, ale Javier jest moją bratnią duszą. Przecież to wiesz, prawda? Jesteś romantyczką. Rozumiesz mnie?

Alice skinęła głową i próbowała się uśmiechnąć. Była romantyczką i rozumiała Claudię. Tak jakby. Wyjechały z Anglii jako ścisły duet. Miały się trzymać razem, poznawać Włochy i dobrze się tu bawić do czasu rozpoczęcia sezonu narciarskiego. Wtedy zamierzały podjąć pracę w jednym z kurortów we włoskich Alpach, a na wiosnę wrócić do domu. Claudia się jednak zakochała. A miłość jest najważniejsza, prawda? Jeśli Claudia chciała wyruszyć ku własnej przygodzie z Javierem, miała błogosławieństwo Alice. Nawet jeśli oznaczało to, że Alice będzie musiała pojechać do Rzymu sama.

– Nie ma sprawy – powiedziała jak najweselej. – Nigdy nie stanęłabym na drodze miłości.

Na twarzy Claudii malowała się ewidentna ulga.

– Wiedziałam, że zrozumiesz – zapiszczała z podniecenia. – Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie. Jest jeszcze coś.

– Tak?

– Proszę, nie mów swoim rodzicom, że już nie jesteśmy razem. Mogliby przekazać to moim starszkom i miałabym ogromne kłopoty, gdyby się dowiedzieli, że popłynęłam z Javierem. Nie zrozumieliby mnie. Wiesz, jacy są starsi ludzie. Nie wiedzą nic o miłości.

– Obiecuję – zapewniła ją Alice. I mówiła poważnie.

Kryły się wzajemnie z Claudią od lat. Nie zamierzała wkopać swojej przyjaciółki. Poza tym jej tacie by odbiło na samą myśl, że Alice podróżuje po Włoszech samotnie.

– Poradzisz sobie w Rzymie, Al, prawda? – zapytała Claudia z nadzieją.

Przypominało to raczej polecenie niż pytanie. Jakby Alice miała wybór. Przełknęła gulę, którą czuła w gardle, i zmusiła się, by się uśmiechnąć i przytaknąć z udawanym entuzjazmem. Po raz pierwszy od trzech miesięcy tęskniła za domem i miała wrażenie, że za chwilę się rozplacze. Cieszyła się razem z Claudią, naprawdę, ale też trochę się bała. Sama w Rzymie? Wszystko będzie dobrze, prawda? Czy mogłoby się wydarzyć coś złego w najbardziej romantycznym mieście na świecie?

Virginia Water, Surrey, 2012

– Co robisz, Alice? – zapytał Philip, który stanął w drzwiach kuchni.

Głos miał cichy i spokojny, ale Alice rozpoznała znany jej ostrzegawczy ton. Dalej wpatrywała się w zdjęcie i sączyła whisky.

– Wiesz, że nie wolno ci pić, kochanie – przestrzegł ją Philip. Podszedł do niej i wyjął szklankę z jej dygocącej ręki. – Nie, gdy jesteś tak wytrącona z równowagi. Alkohol źle na ciebie działa, gdy bierzesz lekarstwa.

Uśmiechnął się do niej, ale usta miał wąskie i spięte, a w jego oczach brakowało serdeczności. Nie przejmowała się tym. Mógł sobie myśleć o niej, co chciał, bo była pewna, że sama myślała o sobie jeszcze gorzej.

– Wiem, że zdenerwowało cię najście Sophii – ciągnął powoli, protekcyjnie. – Nie powinnaś jednak rozmyślać o jej zachowaniu. Zawiodłaś mnie, gdy pozwoliłaś, by twoje emocje doszły do głosu w jej obecności. Przecież wiesz, że ona uwielbia dramatyzm. Rozmawialiśmy już o tym. Twoje emocje są dla niej pożywką. Dlatego postanowiliśmy chronić przed nią rodzinę.

Musisz się nauczyć dystansować od niej. Miała niezliczone okazje, by się wykazać, ale nie potrafi zachowywać się odpowiedzialnie. Mamy siebie. Nasz piękny dom i przyjaciół. Nie potrzebujemy Sophii. Straciła prawo do naszej miłości.

– Miłość rodzica powinna być bezwarunkowa – oznajmiła Alice, wciąż trzymając zmiętą fotografię w dłoni.

– Coś takiego jak bezwarunkowa miłość nie istnieje – burknął. I wtedy, gdy dotarło do niego, że odsłonił swoje prawdziwe emocje, wziął głęboki wdech i dodał: – Na miłość trzeba zasłużyć. Nie daje się jej za darmo.

Rozpaczliwie próbował zachować opanowanie, ale mówił zduszonym staccato. Alice się z nim nie zgadzała. Nauczyła się jednak, że nie ma sensu nie zgadzać się z Philipem.

– Co tam masz, Alice? – zapytał, przenosząc wzrok na zdjęcie.

Podniosła je, żeby mógł je obejrzeć, i z lekkim dreszczykiem emocji przyglądała się, jak jego blada skóra różowieje. Była za słaba, żeby z nim walczyć, ale cieszyła się za każdym razem, gdy go raniła. To stanowiło źródło największej ekscytacji, na jaką mogła sobie w tych czasach pozwolić. Może przypominała Sophie w większym stopniu, niż myślał Philip. Jakaś malutka część w niej też chciała się żywić dramatyzmem.

– To ja – odezwała się w końcu. – Z czasów burzliwej młodości. Nieźle wyglądałam, co?

– Wyglądasz tu jak dziwka! – wypalił.

Jego ostre słowa sprawiły, że Alice aż podskoczyła. Nie była przyzwyczajona do tego, że aż tak odsłaniał swoje prawdziwe oblicze. Lecz przecież poruszyła temat, który pozostawał w uśpieniu przez dziesięciolecia. Temat bardzo drażliwy: życie Alice w czasach przed Philipem. Nigdy nie potrafił poradzić sobie z faktem, że istniała przed nim, przed nimi. W przeciwieństwie do jego czasów studenckich i dzieciństwa przeszłość Alice została usunięta z ich wspólnej historii.

– I to jest powód, dla którego nie powinnaś pić – warknął i wyjął jej zdjęcie z dłoni. – Alkohol wytrąca cię z równowagi. Pod



jego wpływem tracisz kontrolę nad sobą.

Alice patrzyła, jak jego twarz z różowej robi się purpurowa. Dreszcz strachu przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Może tym razem trochę przesadziła? Gdyby ją uderzył, miałyby powód, żeby od niego odejść. Ale Philip nigdy by nie uderzył swojej żony. Wolał subtelniejsze metody.

Przyglądała się temu, jak zamknął oczy i przez chwilę się uspokajał. Jego usta poruszały się lekko, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie sposób było odgadnąć, co mrucał do siebie. Alice zastanawiała się, jaka mantra pozwalała mu zapanować tak skutecznie nad ciałem i umysłem. Po kilku sekundach jego twarz odzyskała normalne barwy. Philip podszedł powoli do szuflady z przyborami kuchennymi, spokojnie wyjął nożyczki i pociął zdjęcie młodej Alice na sto kawałeczków, które upadły na podłogę jak konfetti.

– Posprzątaj to i wyrzuć do kosza – polecił jej, wychodząc z kuchni. – Zjem na śniadanie jajka w koszulkach i tosta.

## *Rozdział trzydziesty*

Tokio, Japonia, 2012

– Mam dobre wieści, pani Wanatabe. – Lekarz się uśmiechnął. – Zrobiliśmy badania i nie stwierdzamy u pani żadnych problemów z sercem. Miała pani podwyższone ciśnienie, gdy do nas dotarła, ale jest to dość normalne. Rozumiem, że jest pani bardzo ważną i zapracowaną kobietą, ale nie jest już pani młoda. Ten epizod powinien być ostrzeżeniem, że trzeba trochę zwolnić. Przez całe życie ciężko pani pracowała. Teraz czas cieszyć się starością. Pani syn się ze mną zgadza. Rozmawiałem z nim.

Aiko się uśmiechnęła i podziękowała doktorowi przez zaciśnięte zęby. Kim on był? Chłopcem, który ledwo co skończył studia medyczne, a miał czelność mówić jej, że pracowała zbyt ciężko? To nie miało najmniejszego związku z jej interesami. Pokonała ją potęga przeszłości. Wiedziała, że prawda tak właśnie wygląda, ale nie zamierzała podejmować próby wytłumaczenia tego młodemu lekarzowi, ani Kenowi.

– Cześć, mamu. Jak się czujesz? – zapytał jej syn.

Mieszkał w Tokio od ponad trzydziestu lat, miał żonę Japonkę, ich dzieci też były Japończykami, ale nie stracił amerykańskiego akcentu i angielski nadal był jego językiem ojczystym. Poczula falę spokoju, gdy pocałował ją w policzek.

– Dobrze. Naprawdę dobrze – zapewniła go. – Kiedy mnie stąd wypuszczą? Jutro mam wracać do Nowego Jorku.

– Wypiszą cię rano, gdy się dobrze wyśpisz – odparł Ken. – Ale jutro nie możesz lecieć. Musisz zatrzymać się u mnie i Suki. Cieszymy się, że mamy powód, by zatrzymać cię u nas na kilka kolejnych dni.

– Nie, kochanie, muszę wracać – sprzeciwiła się stanowczo. – Cieszę się, że się z wami zobaczyłam. Jak zawsze. Wiesz, że potwornie za tobą tęsknię. Nadal jesteś moim synkiem!

– Mam pięćdziesiąt trzy lata! – Ken przypomniał jej ze

śmiechem.

– Dla mnie pozostaniesz trzylatkiem, Kenny-chan – droczyła się z nim. – Ale chcę wracać do domu. Tokio czasami za bardzo mnie przytłacza.

– Jasne. – Ken uśmiechał się szeroko. – Tokio cię przytłacza? Przytłacza kobietę, która postanowiła się przeprowadzić do Nowego Jorku w wieku siedemdziesięciu sześciu lat?

– Miałam dość Kalifornii – powiedziała mu po raz enty. – Zmiany zapewniają mi młodość.

– Wiem, że nie jesteś taka jak inne matki – śmiał się Ken. – Chciałbym być chociaż w połowie tak silny jak ty. Nadal mi nie powiedziałaś, co tam robiłaś. Na tym polu.

– Odwiedziłam miejsce, w którym byłam tuż po wojnie – odparła zgodnie z prawdą. – Próbowałam pożegnać się z niektórymi duchami.

– Udało ci się? – zapytał łagodnie. Widok błękitnych oczu na twarzy podobnej do niej nadal ją zaskakiwał.

– Jeszcze nie – przyznała.

I wtedy zacisnęła usta i zamknęła oczy.

– Na pewno jesteś zmęczona, mamó – zauważył Ken. Wyczuł, że nie chce rozmawiać na ten temat. – Prześpij się. Przyjadę po ciebie rano.

– I zawieszysz mnie na lotnisko? – zapytała Aiko z nadzieją, podnosząc do połowy jedną powiekę, by zobaczyć jego reakcję.

Uśmiechnął się czule i znowu ją pocałował.

– Jeśli tego chcesz. Kimże jestem, żeby się sprzeciwiać wielkiej Aiko Watanabe?

Po wyjściu Kena Aiko bardzo się starała nie zasnąć. Duchy miały ją we władaniu i gdy tylko zamykała oczy, pojawiały się, pragnąc rozpaczliwie opowiedzieć swoją historię; chciały, żeby je wysłuchała. Walczyła z nimi przez chwilę. Oglądała telewizję, przeglądała czasopisma, robiła wszystko, by odsunąć nieuniknione. W końcu jednak nie mogła dłużej walczyć. Powieki jej ciążyły i odpłynęła w niespokojny sen.

Tokio, Japonia, 1947

Aiko pracowała w barze od sześciu miesięcy, gdy on wszedł do środka. Natychmiast rozpoznała w nim owego blondyna, który obronił ją przed wieloma miesiącami. Zmienił mundur i przyszedł w towarzystwie ważnych oficerów będących stałymi bywalcami Peace Palace. Aiko zorientowała się, że awansował, nie tylko po tym, jak był ubrany, ale też po tym, jak oficerowie klepali go po plecach i mu gratulowali. Zdała sobie sprawę z tego, że się na niego gapi. Mężczyźni z Zachodu zwykle się jej nie podobali, ale w tym było coś, co ją intrygowało. Miał jasne włosy, piękne rysy twarzy, muskularne ciało, bładoniebieskie oczy i niewiarygodnie długie, gęste rzęsy, co w sumie czyniło go najprzystojniejszym Amerykaninem, który przestąpił próg lokalu. No i jak mogłaby kiedykolwiek zapomnieć, że ją uratował? Żołądek jej podskoczył. Głupia dziewczyna! Co się z nią działo? Nie miała czasu na takie nonsensy.

– Aiko! Aiko! – zawołał generał brygady, jowialny starszy Amerykanin, który zaglądał do baru niemal co wieczór. – Aiko, musisz poznać naszego przyjaciela, kapitana Bo Andersona. Świątujemy. Dostał awans już trzeci raz w ciągu sześciu miesięcy. A ledwo co wyrósł z pieluch.

Bo zarumienił się lekko, słysząc wypowiedź starszego mężczyzny. Zerknął na Aiko i uśmiechnął się uprzejmie, ale jego twarz nie zdradzała, że ją rozpoznał. Aiko również się zarumieniła, ale z zupełnie innych powodów.

– Miło mi cię poznać, Aiko – powiedział Bo. – Poproszę butelkę szampana, żebyśmy mogli świętować. Ja stawiam, chłopcy!

Aiko się ukloniła i powiedziała:

– Dobrze, sir. Oczywiście, sir.

Niemniej czuła się zraniona tym, że jej nie rozpoznał. Wiedziała, że to było irracjonalne. Jak wiele wygłodzonych bezdomnych Japonek Bo widział? Dlaczego miałaby być wyjątkowa? Poza tym na pewno nie przypomina już tamtej dziewczyny, gdy ma na sobie elegancki strój i jest umalowana.

Sama z trudem rozpoznawała się w lustrze, więc jak mogłaby oczekiwać, że nieznajomy zorientowałby się, kim była? Aiko weszła za bar po butelkę szampana i cztery kieliszki. Gdy przygotowywała się do otwarcia butelki (nadal podskakiwała na dźwięk wystrzeliwującego korka), poczuła, że ktoś stoi przy barze i ją obserwuje.

– Czy my się nie znamy? – zapytał.

Aiko zerknęła na Bo i się uśmiechnęła. Przytaknęła. A więc zrobiła na nim wrażenie. Dobre i to.

– Spotkaliśmy się kiedyś, ale nie powiem gdzie i kiedy, skoro pan nie pamięta – droczyła się z nim. Zorientowała się, że mężczyźni lubią, gdy dziewczyny się z nimi droczą.

– Daj mi chociaż jakąś wskazówkę. To nie fair – odpowiedział z szerokim uśmiechem.

– Nieprawda – odparowała. – Nie fair jest to, że pan nie pamięta, gdzie mnie spotkał. Obraził mnie pan.

Bo posłał jej uśmiech zdradzający lekkie zdziwienie.

– Nie obrażaj się. Przypomnę sobie. Poczekaj, a się przekonasz. Zwykle dość dobrze pamiętam ludzi i miejsca. – Podrapał się po jasnej czuprynie, zakłopotany. – Przysięgam, że niebawem sobie przypomnę. A tymczasem mów mi Bo. Czy zwracałeś się do mnie w ten sposób, gdy się spotkaliśmy?

Aiko pokręciła głową i zaśmiała się z tego pomysłu. Najwyraźniej myślał, że poznali się w kręgach pana Oshiro, na jakimś przyjęciu w bogatej części Tokio, gdzie ludzie nadal się bawili, nie dostrzegając nędzy i niedostatku wokół. Nie skojarzył atrakcyjnej hostessy z obszarpaną dziewczyną na drodze z Nagoi do Tokio.

– Bo to dziwne imię – zagała, bo nie chciała, żeby ich rozmowa się skończyła. – Wy, Amerykanie, macie mnóstwo dziwnych imion, ale nie poznałam jeszcze żadnego Bo.

– To szwedzkie imię – odparł. – Moi rodzice pochodzą ze Sztokholmu, ale ja wychowałem się w Kalifornii.

– Ach, Kalifornia – powtórzyła Aiko. Była pod wrażeniem. – Słyszałam o niej. Słońce, gwiazdy kina i ocean.

– Zgadza się – uśmiechnął się Bo. – Tęsknię za tym.

– Też tęsknię za domem – stwierdziła Aiko smutno.

– A skąd pochodzisz? – zainteresował się Bo.

Ich spojrzenia się spotkały, przez co żołądek Aiko znowu podskoczył.

– Z małej wioski rybackiej na półwyspie Shima. Jest tam bardzo pięknie.

– Wrócisz tam pewnego dnia? – spytał.

Zawahała się z szampanem w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej. Nigdy się nie zastanawiała nad tym, czy tam wróci. Dom, jakim go znała, już nie istniał, więc do czego miałyby wracać?

– Raczej nie – powiedziała i przełknęła gulę, którą poczuła w gardle. Zmusiła się do uśmiechu. – Już nic nie jest takie jak kiedyś. Czasami lepiej jest zostawić przeszłość w sferze wspomnień.

Zamierzam od tej pory skupiać się na radowaniu każdym kolejnym dniem.

Bo skinął głową, jakby powiedziała coś bardzo mądrego.

– Nie ma sensu myśleć o tym, co było – zgodził się z nią. – Teraz liczy się przyszłość, budowanie mostów, tworzenie lepszego świata dla naszych dzieci, żeby nigdy nie musiały przeżywać tego, co my. A jeśli to oznacza niemożność powrotu, niech tak będzie.

– Więc ty też nigdy nie wrócisz do domu? – zainteresowała się. – Czy też niebawem pojedziesz do Kalifornii?

Uśmiechnął się.

– Masz mnie, Aiko – stwierdził. – Chyba jestem hipokrytą. Uwielbiam Japonię. Jest fascynująca i piękna. Ale nie mogę zaprzeczyć, że odliczam dni do końca mojej służby. Zamierzam zmieniać świat ze swojego zakątka. Jest wiele miejsc do obejrzenia, ale moje serce zawsze będzie należało do Kalifornii.

Aiko poczuła, że serce jej drgnęło, gdy powiedział te słowa. Bo się jej spodobał. Życie nauczyło ją jednak, że wszystko jest chwilowe. Nie było sensu przywiązywać się do czegokolwiek. I kogokolwiek. Posłała kapitanowi jeden ze swoich uśmiechów i podała mu kieliszek szampana.

– Za Kalifornię – rzuciła wesoło. – Obyś wrócił do domu

niebawem, Bo.

Kiedy Bo przyszedł do baru kilka dni później, wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Podszedł prosto do Aiko i oznajmił:

– Powiedziałem ci, że sobie przypomnę, gdzie się spotkaliśmy.

– Nie wierzę – stwierdziła Aiko raczej zaskoczona. – Na pewno się pomyliłeś.

– Wyglądasz zupełnie inaczej – ciągnął, próbując uchwycić jej spojrzenie. – W tym eleganckim kimonie i z makijażem. Ale to byłaś ty, prawda? Na drodze do Nagoi. Dwóch moich ludzi zachowało się jak dupki. Musiałem uderzyć jednego z nich!

Aiko spuściła wzrok zażenowana. A więc pamiętał ją. Tylko że zamiast się z tego cieszyć, czuła wstyd. Nie chciała, żeby Bo wiedział, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej była bosa, bezdomna i bez środków do życia. Kopnęła się w myślach za to, że poddała ten temat podczas ich poprzedniego spotkania.

– To przez twoje oczy – ciągnął, nie zważając na jej wstyd. – Nie zapomniałem cię. Tylko nie myślałem, że mógłbym cię jeszcze kiedyś zobaczyć, zwłaszcza w takim miejscu. Jak ktoś mógłby cię zapomnieć, Aiko? Jesteś dziewczyną o bursztynowych oczach. Byłaś wtedy wychudzona i słaba, ale twoje oczy były pełne życia.

Aiko się wzdrygnęła. Usiłowała ukryć zażenowanie.

– Jak trafiłaś tutaj? – wypytywał ją.

– Poznałam pana Oshiro i dał mi pracę – odpowiedziała szczerze. Nie było sensu opowiadać mu całej historii. Dlaczego miałoby go to interesować?

– A jak znalazłaś się tam? Na drodze owego dnia? Byłaś uchodźcą?

– Cała moja rodzina zginęła w czasie wojny. Nikt nie przeżył. Nie miałam powodu, by tam zostawać. Potrzebowałam na to dużo czasu, ale dotarłam tutaj – wyjaśniła najkrócej, jak umiała. – A teraz, dzięki panu Oshiro, wiodę dobre życie.

Bo skinął głową, jakby rozumiał. Oczywiście chłopak taki jak on, który wychował się pod kalifornijskim słońcem, w otoczeniu automobili, radia i basenów w ogrodach, nie mógł

zrozumieć świata Aiko.

– Zanim cię spotkałam, myślałam, że wszyscy Amerykanie są okropni – wyznała szczerze. Miała nadzieję, że nie posunęła się za daleko. – Byłeś najmilszym człowiekiem, jakiego spotkałam od bardzo dawna.

– A ja pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem – oznajmił Bo.

To był oklepany tekst, ale Bo chyba mówił poważnie. Tym razem to on się zarumienił.

Przyglądał się jej przez chwilę, zagryzł wargę i westchnął głęboko.

– I oto jesteś tu i podajesz mi piwo. To na pewno przeznaczenie, nie sądzisz?

„Nawet kamień, o który się potkniesz, jest twoim przeznaczeniem” – pomyślała Aiko. To kolejne z powiedzonek Haruki. Nie podzieliła się nim z Bo. Nie była pewna, czyby zrozumiał. Zamiast tego podała mu piwo i powiedziała, że bardzo przystojnie wygląda w mundurze – tak jak nauczyła ją Kira.

Bo często przychodził do Peace Palace. Zawsze siadał przy barze i rozmawiał z Aiko, gdy pracowała. Chociaż okazywał wszystkim szacunek i był uprzejmy, nie zwracał w zasadzie uwagi na Kirę i pozostałe dziewczęta. Kiedy wychodził, droczyły się z Aiko, mówiąc o przystojnym kapitanie, który wyraźnie się w niej zakochał. To nie wygląd Aiko najbardziej w nim podziwiała. Największe wrażenie robiły na niej jego entuzjazm i optymizm. Choć świat był pogrążony w chaosie, on patrzył w przyszłość z nadzieją. Jego pogoda ducha była zaraźliwa. Dużo się razem śmiali.

Niebawem Aiko miała wrażenie, że wie już wszystko na temat kapitana Bo Andersona. Pochodził z San Francisco, ale przed wstąpieniem do wojska studiował w Los Angeles. Jego ojciec był profesorem, a matka gospodynią domową. Miał dwie młodsze siostry, Freyę i Kirsten. Miał dwadzieścia cztery lata – więcej, niż przypuszczała – ale nie był od niej starszy na tyle, żeby ją onieśmielać lub traktować protekcjonalnie. Studiował fizykę i



inżynierię na UCLA i specjalizował się w czymś, co nazywało się programowaniem komputerowym. To dlatego tak szybko awansował – był pionierem w swojej dziedzinie, a amerykańskie wojsko go potrzebowało. Bo powtarzał zawsze, że chętnie by powiedział Aiko, czym dokładnie się zajmuje, ale gdyby to zrobił, musiałby ją zastrzelić, a przecież nie mógłby tego zrobić swojemu najlepszemu przyjacielowi w Tokio, prawda?

Łączyła ich miłość do morza. Bo był zafascynowany opowieściami Aiko o jej matce i innych amach z Ise Shima. Powiedział, że sam też nurkuje. Czy nie byłoby fajnie, gdyby pewnego dnia, gdy to wszystko się skończy, mogli razem zanurkować? Powiedział to tak, jakby to było możliwe, ale Aiko wiedziała, że optymizm i nadzieja mają swoje granice. Myśl o tym, że ich przyjaźń mogłaby trwać dłużej od jego służby, była szalonym marzeniem, fantazją. Bo wróci niebawem do Kalifornii, Aiko zaś zostanie tu sama. Czasami zastanawiała się, czy mogłaby mu zaufać na tyle, by podzielić się z nim swoim sekretem. Może mógłby jej pomóc? Lecz za każdym razem, gdy już otwierała usta, coś ją powstrzymywało. Nie. Lepiej się trzymać planu A. Pomoże jej pan Oshiro. Niebawem poruszy z nim ten temat, gdy będzie miała pewność.

Bo nigdy nie kupował Aiko prezentów i nie zostawiał jej hojnych napiwków jak niektórzy inni mężczyźni. Kira cmokała z dezaprobatą i mawiała, że jeśli chce mieć na nią monopol, powinien przynajmniej płacić za ten przywilej. Aiko powiedziała jej, że przyjaciele nie są sobie nic winni i że nie czułaby się dobrze, przyjmując prezenty od Bo. Kira odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

– Czasami jesteś taka naiwna, Aiko! – rechotała. – Myślisz, że on chce być twoim przyjacielem?

– Jest nim – upierała się Aiko.

Kira zaśmiała się jeszcze bardziej. Dziewczyny siedziały w barze i szykowały się na przyjście pierwszych klientów tego dnia. Kira poprawiała makijaż przed ogromnym lustrem wiszącym za barem. Aiko bawiła się nowym uczesaniem. Ostatnimi czasy stała

się bardziej próżna, po części, by dorównać pozostałym wytwornym hostessom, a po części, by wyglądać ładnie dla Bo.

– Aiko – odezwała się stanowczo Kira, przyglądając się jej w lustrze. – Posłuchaj mnie. Mężczyźni nie chcą się przyjaźnić z ładnymi dziewczętami. Bo jest czarujący i mądry, ale nie różni się od innych mężczyzn. Po prostu lepiej rozgrywa tę grę, długodystansowo. Myśli, że gdy mu zaufasz, dasz mu to, czego chce, gdy wykona w końcu swój ruch. A przecież wróci do Stanów Zjednoczonych i zostawi cię tutaj ze złamanym sercem. Pewnie ma tam dziewczynę. A może nawet żonę! Wydaje mi się, że się trochę zadurzyłaś w kapitanie, Aiko. Uważaj, żebyś nie ucierpiała.

– Nie kocham się w Bo! – upierała się Aiko. – I nie jestem tak naiwna, jak ci się wydaje, Kiro. Nie jestem zainteresowana zakochiwaniem się w Bo, ani w żadnym innym mężczyźnie, jeśli chodzi o ścisłość. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż jakieś głupie romanse.

Kira wciąż się śmiała.

– Tak, tak. Mów, co chcesz, Aiko-chan. Posłuchaj jednak kogoś, kto jest od ciebie starszy i mądrzejszy. Będzie próbował spotkać się z tobą na osobności, poza barem. Wtedy wykona swój ruch.

Aiko przełknęła ciężko ślinę. Nie powiedziała Kirze, że Bo zaprosił ją już na plażę. Kira uznałaby, że to dowód potwierdzający jej słowa. Ale nie, Bo nie był taki... Prawda? Czy źle oceniła sytuację? Naprawdę była taka głupia?

– Nie pozwól, żeby zrujnował ci życie – ciągnęła swój wywód Kira. – Jeśli tknie cię Amerykanin, żaden szanujący się Japończyk nie będzie chciał cię znać. A przecież przyda ci się niebawem mąż, czyż nie? Dla mnie jest już za późno. Mam prawie czterdzieści lat.

– Czterdzieści? – zapytała Aiko z niedowierzaniem. Myślała, że Kira jest o dziesięć lat młodsza.

– Tak, dziecko, jestem już stara! Mogę mieć tylko nadzieję, że zostanę żoną jakiegoś zamożnego człowieka i będę żyć wygodnie. Ty jednak jesteś jeszcze młoda. Piękna. Niebawem

znajdziesz sobie dobrego męża, który się tobą zaopiekuje i będzie ci kupował ładne rzeczy.

– Mężczyzna nie musi mnie utrzymywać – odparła na to Aiko. – Potrafię się o siebie zatroszczyć. Poza tym, jak już mówiłam, miłość mnie nie interesuje.

– Małżeństwo ma niewiele wspólnego z miłością. Wierz mi – odparowała Kira, wskazując za bar, gdzie pan Oshiro przeglądał książki. – Małżeństwo to tylko umowa biznesowa. Myślisz, że pan Oshiro i Nana kochają się po tylu latach?

– Pan Oshiro bardzo kocha Nanę – rzuciła Aiko, bo insynuacja Kiry wzbudziła w niej złość. – Mieszkam w ich domu. Są bardzo szczęśliwi.

– To dlaczego przychodzi do mojego pokoju każdego wieczoru po zamknięciu baru? – zapytała Kira, unosząc cienkie brwi. – Jest tak, jak ci powiedziałam, Aiko. Mężczyźni nie są zainteresowani przyjaźnią. Nawet ci dobrzy, jak twój kapitan i mój pan Oshiro, nie są święci. Tak to już jest na tym świecie. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej.

Aiko przełknęła ciężko ślinę. Nie miała powodu wątpić w słowa Kiry, ale wywołały one u niej mdłości: to, jak mówiła o „swoim” panu Oshiro; świadomość, że odwiedzał on Kirę po godzinach; i to, że ludzie nie byli tacy, jacy się wydawali. Miała wrażenie, że na świecie nagle zrobiło się mroczniej. Jak miała spojrzeć Nanie w oczy? Jak mogłaby powierzyć panu Oshiro swoją tajemnicę? I skąd miała wiedzieć, czy przyjaźń Bo jest prawdziwa? Nowe życie, które zorganizowała dla siebie, ta ostoja, w której wszystko miało sens, a ludzie byli dobrzy, była tylko mirażem...

Aiko spojrzała na swoją przyjaciółkę w lustrze. Nawet piękna twarz Kiry wyglądała inaczej. Starzej. Bardziej srogo. Nagle Aiko dostrzegła ciemne cienie pod jej oczami i zmarszczki nad górną wargą. Widziała smutek i ból kryjący się za przyklejonym uśmiechem.

– Wszystko jest brudne – burknęła Aiko. – Nienawidzę tego miejsca!

Dawno już tygrys, którego miała w sobie, nie ryczał tak donośnie. Kira jednak przez całe życie pracowała z ludźmi i w obłaskawianiu tygrysów była równie dobra, jak w obłaskawianiu żołnierzy i biznesmenów.

– Ciii – powiedziała cicho, wyjmując z roztrzęsionych dłoni Aiko grzebień, żeby przeczesać jej włosy. – Nie denerwuj się, dziecino. I nie pozwól, żeby pan Oshiro usłyszał, jak mówisz takie rzeczy. Pamiętaj, że był dla ciebie dobry. Nie jest aniołem, dba o swoje sprawy. Nigdy nie stawaj przeciwko niemu. Masz jednak rację. To miejsce jest tak samo wstrętne jak burdele w Funabashi. Tyle tylko, że International Palace nie udaje, że jest czymś, czym nie jest. Peace Palace? To tylko fasada. Mundur lub dobry garnitur nie czynią mężczyzny godnym zaufania lub dobrym. Tutaj wolność kupuje się za dolary lub jeny. Musisz to obrócić na swoją korzyść, Aiko, a potem, pewnego dnia, zanim stracisz tu duszę, musisz uciec i znaleźć sobie coś lepszego. Obiecujesz mi, że to zrobisz?

Aiko posłusznie przytaknęła. Wydawało się jej, że zrozumiała, co mówiła Kira, ale nie mogła być tego do końca pewna. Wiedziała tylko, że od dawna nie czuła takiego ciężaru na sercu. Po raz kolejny zrozumiała, że jest zdana wyłącznie na siebie. Dobrze, że miała przynajmniej swoją polisę ubezpieczeniową. I teraz, dzięki Kirze, wiedziała, jak ją wykorzystać. Od tej pory Aiko będzie się troszczyła przede wszystkim o siebie. Koniec z głupimi marzeniami o kapitanie Bo Andersonie.

## **Część trzecia**

### **Wypłynięcie na powierzchnię**

*Kobieta jest jak herbata – nie da się określić jej mocy, dopóki nie wrzuci się jej do wrzątku.*

Eleanor Roosevelt

## *Rozdział trzydziesty pierwszy*

Hampstead, Londyn, 2012

– Co to? – Sophia rozglądała się z niedowierzaniem. – Hugo, co to jest? Przypomina to centrum koordynacyjne na planie jakiegoś niskobudżetowego programu kryminalnego.

Hugo pomachał do niej wesoło zza jednego ze swoich laptopów.

– Dostałem twoje wiadomości. Przykro mi, że rodzice zachowali się tak okropnie. Ale zajmijmy się tym, co jest naprawdę ważne. Witaj w centrum operacyjnym. Podobają ci się moje okulary? Należały chyba do twojego dziadka. Znalazłem je w szufladzie biurka i uznałem, że prezentuję się w nich dość inteligentnie.

Hugo rozpanoszył się w gabinecie dziadka. W pokoju znajdowały się teraz dwa komputery, dwa telefony komórkowe, bezprzewodowa drukarka, kilka tekturowych teczek z zadrukowanymi kartkami formatu A4 oraz biurko, na którym stały wypite do połowy kubki z kawą. Ze stacji dokującej iPoda ustawionej w rogu płynęła głośno muzyka Labrintha. Sophia machnęła rękami z lekką paniką.

Jeden z telefonów zaczął dzwonić.

– Przepraszam, muszę odebrać – powiedział Hugo. – Dobry wieczór, Beaumont Productions, mówi Hugo. W czym mogę pomóc? – wyrzucił z siebie wesoło. – Witaj, Cleo. Cieszę się, że w końcu rozmawiamy. Tak... tak... Zgadza się. Naprawdę? Rety! Wspaniale... I to jest pewne? W tę niedzielę? Mhm... Tak, tak... Super. Wielkie dzięki, Cleo. Do usłyszenia.

– Hugo, zamierzasz mi wreszcie powiedzieć, co się tu dzieje?  
– zażądała Sophia.

Hugo wstał, wziął do ręki fluorescencyjny marker i zaczął coś gryzmolić na tablicy.

– To było czasopismo „You” i ich „The Mail on Sunday”. Napiszą coś w ten weekend. Skontaktowałem się także ze „Style”,

więc „Sunday Times” mamy z głowy. Zwerbowałem też czasopisma „Grazia”, „Heat”, „OK, Hello!”. Prawie zapomniałem o sobotnim wydaniu „Guardian Weekend” – zreferował pewnym siebie tonem, którego Sophia nigdy wcześniej u niego nie słyszała. – Czekam jeszcze na telefon z „This Morning”. Będziesz musiała wcześniej wstać, ale uważam, że warto. Nawet nie uwierzysz, z jaką żywą reakcją prasy się spotkałem. Mamy tu dzisiaj zwariowane lotnisko, istny obłęd!

– Hugo – przerwała mu zirytowana Sophia. – O czym ty, do diabła, mówisz? Żywą reakcją na co?

Hugo posłał jej szeroki uśmiech.

– Na projekt „Odzyskamy perły Tilly” – oznajmił. – Jest już w toku. Wszyscy oszaleli na punkcie tej historii. Umierająca aktorka hollywoodzka szuka rozpaczliwie rodzinnych klejnotów z pomocą olśniewającej wnuczki, która ma złamane serce. Ruszyłem też z kampanią na Facebooku i Twitterze. Soph, jestem pewien, że za tydzień o tej porze będziemy mieli perły w swoich rękach.

Uderzył pięścią w biurko i zachlapał papiery kawą. Sophia stała i przetrawiała jego słowa. Hugo, który miał alergię na ciężką harówkę, samodzielnie rozpoczął ogólnokrajową kampanię prasową, żeby odzyskać naszyjnik. Sophia nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

– Sam to zrobiłeś? – Rozglądała się z podziwem po pokoju. Patrzyła na zdjęcia przedstawiające babcię w naszyjniku, ustawione chronologicznie, opatrzone datami i informacjami o miejscu. – Zrobiłeś to dla mnie?

Hugo uśmiechnął się szeroko i przytaknął.

– Pomysł przyszedł mi do głowy w środku nocy. Obudziłem Damona i poprosiłem go o zdanie. Poparł mnie w stu procentach. Wpadnie tu później. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu... Zboczyłem z tematu. Twoja babcia jest skarbem narodowym, dziadek był megagwiazdą, też jesteś dość sławna...

– Zdobyłam przelotną sławę w czasach, gdy byłam niegrzeczna – przypomniała mu. – Teraz jestem nikim.

– Zdziwiłabyś się, jakie wrażenie nazwisko Beaumont nadal

robi na ludziach. – Hugo się z nią nie zgodził. – Dzięki Bogu, że postanowiłaś dodać je wraz z tytułem do nazwiska ojca, gdy byłaś pretensjonalną szesnastolatką. O tobie i twojej babci sporo zostanie napisane w ciągu najbliższych kilku dni.

– Jesteś niesamowity – stwierdziła Sophia. – Myślałam, że już niczym mnie nie zaskoczysz, ale to przechodzi ludzkie pojęcie.

Nigdy jeszcze nie widziała Hugona aż tak zadowolonego z siebie.

Kiedy późnym popołudniem dojechali do szpitala, Tilly była w nadzwyczaj dobrym nastroju. Lecz kiedy Sophia zaczęła referować zdarzenia z poprzedniego wieczoru i opowiadać o reakcji jej rodziców na poszukiwania naszyjnika, twarz babci robiła się coraz bledsza.

– Coś jest nie tak – zauważyła babcia stanowczo, dźgając przy tym materac kościstym palcem dla podkreślenia swoich słów. – Jestem przekonana, że twoja matka i twój ojciec wiedzą bardzo dobrze, co się stało z tym naszyjnikiem. Mama wydała ci się dziwna, kochanie? Martwię się o nią. Mam wrażenie, że niknie w oczach.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby wykazała się takim temperamentem – odparła Sophia. – Przeraziła mnie, ale nie wydawała się słaba, gdy krzyczała i rzuciła się na mnie.

– Nie, Sophio. Nie – przerwała jej Tilly ze zszokowanym wyrazem twarzy. – Na pewno się mylisz. I przesadzasz. Alice nie ma w sobie agresji. Musisz mi powiedzieć prawdę.

Sophia podupadła na duchu. Babcia, naturalnie, będzie przede wszystkim lojalna wobec własnej córki. Jakże głupia była, sądząc, że może być brutalnie szczera na temat matki. Babcia myśli teraz, że ją okłamała.

– To jest prawda – powiedziała cicho. – Ale nie oczekuję, że mi babcia uwierzy.

Babcia przyglądała się Sophii nieprzyjemnie długo. Wreszcie powiedziała:

– Wierzę ci, dziecko. Życie Alice musiało się potoczyć bardzo źle, skoro zachowała się w taki sposób. Nigdy nie była



agresywną dziewczyną...

– Mama ma czterdzieści dziewięć lat – przypomniała Sophia babci z lekkim rozdrażnieniem. – Od dawna już nie jest dziewczyną. No i ludzie się zmieniają.

– Albo ulegają zmianie – zauważyła babcia z namysłem. – Wymuszonej przez okoliczności i los. Nasze doświadczenia i ludzie, których spotykamy, mogą nas zmienić na zawsze, Sophio.

Sophia pomyślała przelotnie o Nathanie i o tym, jak stała się boginią ogniska domowego na ten krótki czas, gdy byli zaręczeni. Zastanawiała się, czy nadal by nią była, gdyby jej ojciec nie odstraszył narzeczonego. Szkoda czasu na gdybanie. „Gdyby” nie istnieje. Pozbyła się myśli o Nathanie i skupiła na babci. Staruszka poszarzała z powodu choroby i strapienia. Nie mogła dożywać swoich dni w takich okolicznościach. Sophia nie powinna wspominać o wybuchu matki. Od tej pory będzie bardziej uważała na to, co mówi babci.

– Nie odwracaj się od matki, Sophio – powiedziała Tilly. Brzmiało to bardziej jak polecenie niż rada. – Porozmawiaj z nią. Tylko ty do niej dotrzesz. W przeciwnym razie to wszystko to... strata czasu. Okaże się, że zawiodłam.

– Nie rozumiem, babciu – zauważyła zakłopotana Sophia. – W czym babcia zawiodła?

Staruszka wyglądała przez chwilę przez okno.

– Zignoruj te słowa – odezwała się w końcu. – To przez te leki. Mówię bez sensu.

– Zapomnijmy na razie o mamie i tacie. – Sophia zmusiła się, by mówić radosnym tonem. – Nieważne, co wiedzą o perłach. Jestem pewna, że ich nie mają. Mama babcię kocha. Mnie mogła się wyrzec, ale babcią się przejmuje. Dlaczego miałyby je przed babcią ukrywać? Ostatnią rzeczą, którą mi wczoraj powiedziała, jest to, że nie wie, gdzie ten naszyjnik jest. Jest kłamczuchą, ale tym razem mówiła prawdę. Wiem to. Hugo obmyślił wspaniały plan – ciągnęła z entuzjazmem. – Rozpoczął kampanię, która ma nam pomóc w poszukiwaniach. Zainteresował tą historią mnóstwo gazet i czasopism. Uważa nawet, że mógłby załatwić mi udział w

porannym programie telewizyjnym. Czy to nie wspaniałe? Im więcej ludzi dowie się o tym, że szukamy naszyjnika, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś udzieli nam jakiejś informacji.

– Chryste Panie! – zapiszczał nagle Hugo i pociągnął Sophie za rękę.

Sophia się odwróciła, żeby zobaczyć, na co Hugo patrzy. Za szybą oddzielającą pomieszczenie od korytarza zobaczyła Philipa i Alice. To były ostatnie osoby, które chciała tego dnia oglądać.

– Dzień dobry, Matildo – zwrócił się Philip do babci, gdy wszedł do pokoju. Spojrzał na swoją córkę. – Co za niespodzianka, Sophio – dodał z głośnym prychnięciem. – Widzę, że się zabezpieczasz.

– Cześć, tato – przywitała się z nim Sophia. Poczowała, jak wraz z jego wejściem z pokoju uleciała cała radość. – Cześć, mamó. Jesteś dziś spokojniejsza? Czy mamy na wszelki wypadek wezwać ochronę?

Babcia posłała Sophii ostrzegawcze spojrzenie. Jakby chciała powiedzieć: „Zostaw ją, bądź delikatna wobec mojej biednej Alice”. Alice stała w milczeniu, nawet nie drgnęła, jakby nie słyszała słów swojej córki. Gdzie się podziała ta wrzeszcząca wariatka, która zaatakowała wczoraj Sophie?

– Co to jest? – zapytał Philip, patrząc wrogo na Hugona. – Spotkanie anonimowych łowców spadków?

– Jeżeli nie potrafisz powiedzieć niczego miłego, Philipie... – ostrzegła go babcia. – Co tutaj robicie? Zawsze przychodzicie do mnie we wtorki i piątki o czternastej. Mogłabym regulować zegarek na podstawie waszych odwiedzin.

– Martwimy się o ciebie, mamó – powiedział Philip.

– Pozwól, że ci przypomnę, Philipie, że nie jestem twoją matką – prychnęła babcia. – Więc bądź uprzejmy nie ingerować w moje życie. A przynajmniej w to, co mi z niego zostało. Zaprosiłam Sophie. Hugona również. Poza tym w dzień i w nocy starają się odzyskać bezcenny naszyjnik, który Alice „zapodziała” w tajemniczych okolicznościach.

– Nikt z nas nie ma pojęcia, ile ten naszyjnik jest wart –

stwierdził Philip, machając ręką. – I skąd mamy wiedzieć, kiedy zaginał? To było tak dawno temu. Jakie to ma znaczenie?

– To prezent od mojego ojca. To ma znaczenie! – Tilly przypomniała mu surowym tonem. – Alice wiedziała, wie, ile dla mnie znaczył. Prawda, Alice?

Sophia obserwowała matkę uważnie. Coś było zdecydowanie nie tak. Nie potrafiła spojrzeć na nikogo z wyjątkiem swojego męża, na którego zerkała od czasu do czasu, jakby po to, żeby... No, po co? Żeby poczuć się pewniej? Dostać pozwolenie? Jakby ojciec Sophii napisał scenariusz tego spotkania, a matka denerwowała się, czy dobrze zapamiętała kwestie. Alice nie zareagowała, gdy babcia zapytała ją o naszyjnik.

– Niebawem rozwikłamy tę zagadkę – oświadczyła Tilly. – Sophia i Hugo rozpoczęli już kampanię prasową, która ma pomóc znaleźć naszyjnik.

– Na Boga – rzucił Philip z rozdrażnieniem. – To wszystko jest nedorzecznym szukaniem igły w stogu siana i wymówką, żeby Sophia mogła znowu zaistnieć w prasie. Myślałem, że mamy już za sobą czasy, kiedy nasza córka co weekend kompromitowała nas w prasie niedzielnej. Ale nie! Znowu będziemy musieli oglądać Sophię z rozłożonymi nogami na rozkładówce! Dałaś się oszukać, Matildo. Nie można ufać Sophii ani jej głupiemu przyjacielowi. To wyludzacze. Jasna sprawa.

– Sophia była dla mnie opoką w ciągu ostatnich tygodni, Philipie. Hugo również – odparowała stanowczo babcia. – Nawet pilnują mojego domu. Ufam im całkowicie.

– Wpuściłaś ich do swojego domu, Matildo? – Philip wznosił oczy ku niebu. – Boże, dopomóż! – mruknął z obrzydzeniem, odwracając się w stronę córki. – Domyślam się, że uznałaś, iż dom też odziedziczysz, młoda damo?

– Nie – odpowiedziała Sophia. – Spędzimy tam kilka tygodni. Szukamy jakiegoś lokum. Naprawdę, babciu.

Sophia zarzuciła starania o to, by zrobić dobre wrażenie na ojcu, ale bardzo jej zależało na tym, co myślała o niej babcia. Miała nadzieję, że nie przeraziłoby jej zanadto to, co Hugo zrobił z

gabinetu dziadka.

– Jestem tego pewna, kochanie – powiedziała babcia. – Wiesz, że ci ufam. Niemniej ta rozmowa nie ma sensu, bo nikt z was nie odziedziczy tego domu.

– Słucham? – Alice podniosła głowę i odezwała się po raz pierwszy. – Chyba ja go dostanę po mamie, prawda?

– A oni mają czelność nazywać nas łowcami spadków – mruknął Hugo.

– Nie, skarbie – odparła babcia wesoło. – Dom otrzyma mój przyrodni brat Tom.

W pokoju zapanowała absolutna cisza. Alice i Philip patrzyli po sobie zmieszani. Hugo gapił się na Sophię. Babcia pociągnęła łyk wody, jakby nie powiedziała nic bardziej kontrowersyjnego od „Na dworze chyba pada?”, a Sophia patrzyła na wszystkich po kolei, zastanawiając się, jakim cudem urodziła się w tak dysfunkcyjnej rodzinie. Milczenie przerwał wreszcie Philip.

– Z całym szacunkiem, ale chyba ci odbiło do reszty, Matildo – powiedział głosem roztrzęsionym ze złości.

– Nie – stwierdziła Tilly. – Myślałam o tym długo i głęboko przez lata, a jeśli zapytasz o to mojego prawnika, dowiesz się, że ten zapis zamieściłam w swoim testamencie dawno temu. Nie rób sobie nadziei, że zdobędziesz ten dom, Philipie.

– Przecież nawet nie masz pewności, że Tom jest twoim bratem – zauważyła Alice, która nagle odzyskała głos. – Nigdy tego nie udowodniono. Dysponujesz tylko pogłoskami i słowem jakiejś niani, która utrzymywała, że miała dziecko z dziadkiem.

Sophia przyglądała się matce z zainteresowaniem. Alice nagle się ożywiła, coś ją obchodziło.

– To jasne, że jest moim bratem – prychnęła Tilly. – Papa powiedział mi to w zasadzie przed śmiercią, niania nigdy by nie skłamała w takiej kwestii, a poza tym Tom jest wykapanym Papą.

– Nigdy nie przeprowadzono badania DNA – wytknął jej Philip.

Babcia uniosła cienkie brwi.

– Doprawdy, Philipie – wycodziła cicho, ale surowo. – Jesteś

pewien, że chcesz ze mną o tym rozmawiać?

Istniały rodzinne niesnaski, które zaczęły się na długo przed pojawieniem się Sophii na scenie. Poczwała ulgę na myśl, że nie wszczęła wszystkich nieporozumień w rodzinie Beaumontów.

– Nie potrzebuję żadnego badania DNA, by wiedzieć, że Tom jest moim bratem. Wystarczy mi to, że na niego spojrzę. Przez te wszystkie lata nigdy mnie o nic nie poprosił. Chętnie wcześniej bym mu pomogła, ale jest zbyt dumny, by przyjąć ode mnie coś więcej niż przyjaźń. Lecz gdy umrę, nie będzie mógł się ze mną spierać! Przez całe życie ciężko pracował i utrzymywał cudowną rodzinę z pensji nauczyciela. Jest dobrym człowiekiem. Papa byłby z niego dumny. Dom w Hampstead kupiłam za pieniądze ze sprzedaży majątku Papy. Biedny Tom nie odziedziczył ani pensa, chociaż jest Beaumontem w takim samym stopniu jak ja. Postąpię słusznie, oddając mu wreszcie to, co mu się należy.

– Jeśli dziadek tak bardzo chciał, żeby Tom odziedziczył część majątku, na pewno zostawiłby mu po sobie pieniądze – rzuciła Alice.

– Nie mógł – odpowiedziała pewnie babcia. – Moja matka była zgorzkniałą osobą i bardzo by narozrabiała. Podważyłaby testament. Próbowала przecież podważyć moje prawo do domu, więc w przypadku dziecka z nieprawego łoża... Oznaczałoby to straszny skandal dla niani i jej męża, a Papa nie chciałby ich na to narażać. Nie. Słusznie postąpię. Po tych wszystkich latach zrekompensuję Tomowi to, co mu się należało.

– A czy on o tym wie? – spytał Philip, najwyraźniej przerażony. – Czy wie, że odziedziczy nieruchomość wartą pięć milionów funtów?

– Nie ma o tym najmniejszego pojęcia. I nikt z was mu o tym nie powie. Jest dumnym człowiekiem i usiłowałby mnie przekonać, że bym tego nie robiła.

Sophia widziała, że jej ojciec toczy wewnętrzny dialog. Żyłki na jego czole pulsowały mu z wściekłości. I wreszcie pękł. Po raz pierwszy Sophia usłyszała ojca, który stracił panowanie nad sobą i

podniósł głos.

– Na Boga, to śmieszne! – krzyknął. – Oszalałaś, Matildo. Wszyscy oszaleliście. Ty, Sophio. I ty! Ty jesteś największą wariatką!

Wyciągnął oskarżycielski palec w stronę Alice.

Sophia mogłaby przysiąc, że widziała cień uśmiechu tańczący w kącikach ust jej matki. Co się tutaj działo, do licha?

– Philipie! – krzyknęła Alice i wyprostowała się, przez co wydawała się o pięć centymetrów wyższa niż pięć minut wcześniej. – Do mnie możesz mówić, co chcesz, ale nie waz się tak odzywać do mamy. Na Boga, ona umiera!

Sophia patrzyła z niedowierzaniem, jak więzy łączące jej rodzinę rozplątują się na jej oczach.

– Jesteś gorsza od niej! – wrzasnął Philip do żony. – Weźmy na przykład twoje wczorajsze zachowanie. Musiałem cię odciągać od rodzonej córki! Łatwo nam osądzać Sophię, prawda? Ale spójrzmy, z jakiej rodziny pochodzi. Czy może dziwić, że jest taka, jaka jest? Jesteście wariatkami. Powinno się zabrać wam prawo do rozmnażania się.

– Zamilcz, Philipie – odezwała się babcia. – Przez ciebie rozboleła mnie głowa. Prawda jest taka, że jesteś potwornym nudziarzem.

– Prawda? Prawda?! – zawołał ojciec Sophii zduszonym głosem. – Masz odwagę mówić do mnie o prawdzie? Co ta rodzina wie na temat prawdy. Były w niej romanse, dzieci z nieprawego łoża, okaleczeni ojcowie i matki alkoholiczki. Historia rodem z koszmarów. Poświęciłem wszystko dla tej rodziny, a jakie dostaję podziękowanie? Nawet nie zapisałaś mi niczego w testamencie, stara czarownico! Przyjąłem Alice i tak mi się odwdzięczasz?

– A co z poświęceniem Alice? – zapytała babcia. – Zrezygnowała z wolności w wieku dziewiętnastu lat. Sprzedała ci swoją duszę. A ty ją chętnie przyjąłeś. Nawet by na ciebie nie spojrziała, gdyby...

– Mamo! – krzyknęła nagle Alice. – Nie! Przestań!

– Czy ktoś mi wyjaśni, co się tutaj dzieje? – zapytała

kompletnie skołowana Sophia.

– Zapytaj matkę! – ryknął ojciec i wybiegł z pokoju.

– Mamo? – Sophia rozpaczliwie zwróciła się do matki.

Alice wyglądała jak zając schwyty w światła reflektorów. Skurczyła się do swoich normalnych rozmiarów. Odwróciła się w stronę Tilly i odezwała się niemal błagalnym tonem:

– Mamo, dlaczego poruszyła mama ten temat?

– Jeśli nie mogę być szczerą pod koniec życia, to kiedy miałabym sobie na to pozwolić, Alice? – zapytała babcia łagodnie.

– Wiesz, co powinnaś zrobić, kochanie. Prawda jest naszą prawdziwą spuścizną. To coś więcej niż perły, domy i spadek.

– Niech mama do mnie nie mówi w ten sposób. Nie mogę tego znieść – odparła Alice i się rozpląkała. – Boże, nie mogę tego zrobić. Nie teraz. Potrzebuję powietrza.

Sophia patrzyła na matkę z mieszaniną troski i złości. Dlaczego nie potrafiła się bronić?

– Alice, wychodzimy! – głos ojca zagrzemiał z korytarza.

– Zostań – odezwała się nagle Sophia, zaskakując tym najbardziej siebie samą. – Zostań z nami, mamo. Nie idź z nim. Pomyśl o tym, co właśnie powiedział. Dlaczego to znosisz? Zostań, mamo – błagała już głośniejszym głosem. – Zostań ze mną.

Matka wahała się przez chwilę w progu. Wydawało się, że jest rozdarta. Zrobiła pół kroku w stronę pokoju i Sophia myślała przez chwilę, że wygrała. Wtem Alice znowu się zatrzymała, wyjrzała na korytarz, gdzie czekał na nią Philip, i, jak się wydawało Sophii, uszło z niej życie.

– Przepraszam, Sophio – powiedziała w końcu i wyszła z pokoju za mężem.

Sophia podupadła na duchu. To jasne, że mama wybrała ojca, a nie córkę. Jak zawsze.

– O, rety – powiedział Hugo, jak gdyby nie wiedział, co powiedzieć. – Co to było?

– No właśnie, babciu – przyłączyła się do niego Sophia. – Co to było? Czy możesz mi wyjaśnić, o co tu chodziło?

Tilly wyglądała na zbolaną.

– Obawiam się, kochanie, że tym razem będę się musiała zgodzić z twoim ojcem. Musisz o to zapytać matkę.

– Przecież nic mi nie powie – zauważyła Sophia z rozpaczą w głosie. – Nigdy nic nie mówi. Nawet tu ze mną teraz nie została.

– Daj jej czas, Sophio – poradziła jej babcia. – Wie, jakie to ważne. Uciekała przed czymś od bardzo dawna. Jak my wszystkie. Ale wie. Wie, podobnie jak ja, że nie może uciekać... Bądź cierpliwa, skarbie. A teraz muszę odpocząć. To wszystko bardzo mnie zmęczyło.

– Dobrze, babciu – ustąpiła Sophia, bo wiedziała, że zdrowie babci jest ważniejsze od pytań. – Przyjadę do babci jutro.

– Koniecznie. I jeszcze coś, Sophio.

Sophia odwróciła się od drzwi.

– Wiesz, że matka cię kocha, prawda?

Sophia ściągnęła brwi i pokręciła głową.

– A skąd miałabym to wiedzieć? Nigdy mi tego nie okazała.

Po raz kolejny wybrała tatę.

– Przez cały ten czas wbrew pozorom byłaś dla niej najważniejsza – powiedziała babcia słabym głosem. – Przekonasz się o tym, skarbie. Daję ci słowo, że z czasem się o tym przekonasz.



## *Rozdział trzydziesty drugi*

Tokio, Japonia, 2012

Aiko siedziała w poczekalni dla VIP-ów na lotnisku międzynarodowym Narita i usiłowała się skupić na ostatnich stronach „New York Timesa”, ale jej umysł nie chciał jej słuchać. Nigdy się nad sobą nie użalała. Nie. Aiko walczyła i wygrywała. A przynajmniej zawsze tak myślała. Być może tylko odsuwała duchy przeszłości na bok. A teraz się obudziły.

Sprawdziła e-maile, odpisała na kilka i wysłała wiadomość do asystentki w Nowym Jorku, żeby zajęła się pozostałymi. Zamieściła na Twitterze wpis dotyczący konferencji, odpowiedziała na wiadomości na Facebooku przesłane przez wdzięcznych ludzi biznesu, którzy wysłuchali jej wykładów. Odpowiedziała też na SMS-a od Kena, który niepokoił się o jej zdrowie. „Tak, Kenny. Czuję się dobrze”, zapewniła go, chociaż wydawało się to dalekie od prawdy.

Przeczytała na tablicy, że jej lot ma opóźnienie. Nie mogła się doczekać, kiedy wejdzie na pokład samolotu i wróci do Nowego Jorku, gdzie duchy z Japonii najprawdopodobniej nie będą jej gonić. Złożyła płaszcz w kostkę i zrobiła z niego prowizoryczną poduszkę, którą położyła na oparciu fotela. Zwykle nie sypiała w miejscach publicznych – to było takie mało dystygowane. Lecz tak rozpaczliwie pragnęła, żeby kolejna godzina szybko minęła. Oparła więc głowę na kaszmirowym płaszczu, zamknęła oczy i gładziła złoty pierścionek z jadem na palcu lewej dłoni, żeby się pocieszyć; zawsze tak robiła, gdy chciała uspokoić umysł. Musiała uciekać z Tokio już po raz drugi w życiu.

Tokio, Japonia, 1947

Aiko nadal rozmawiała z Bo za każdym razem, gdy do niej przychodził. Flirtowała z nim jak zwykle i nadal się śmiała z jego dowcipów, ale kontrolowała się i gdy zadawał jej osobiste pytania,

unikala odpowiedzi, przez co rozmowa nabierala jednostronnego charakteru. Najczesciej udawalo sie jej zachowywac ostrozny dystans miedzy sercem i ustami, ale jedna rzecz musiala wiedziec.

– Czy masz dziewczynę w Kalifornii? – zapytala pewnego wieczoru, starajac sie zachowac obojetny ton.

Bo westchnal ciiezko i popatrzyt na bar.

– Nie bede cie oklamywal, Aiko – powiedzial. – Mam tam dziewczynę. Jesteśmy razem od pierwszego roku na UCLA i...

Serce Aiko zamarlo. Kiedy docieraly do niej jego kolejne slowa, upchnela swoje uczucia do kapitana do pudełka i wsunela je w najdalszy zakatek duszy. Kira miala zatem racje.

– ...chyba sie spodziewa, ze sie zaręczymy po moim powrocie. Ale moje uczucia ulegly zmianie. Gdy wyjezdzałem, byłem chłopcem. Wiem, ze potrzebuję czegoś wiecej, niz moglaby mi dac. Jest uroczą dziewczyną, ale nie jest stworzona dla mnie. Wiesz, ze darzę cie uczuciem, Aiko. Poznanie cie zamacilo mi w glowie. Wiem, ze ona nie potrafi mnie tak rozbawic jak ty.

– Tylko ze ja nie jestem twoją dziewczyną – przypomniała mu Aiko ze sztywnym usmiechem. – I dostaje pieniadze za to, zeby cie rozbawiac. Nie porównuj nas. Ona nie moze ze mną rywalizowac. Jest prawdziwa, a ja jestem fantazją. W tym barze wszystko jest fantazją, Bo. Nie myl tego z realnym swiatem.

Bo spojrzal na nia zszokowany jej wypowiedzią. Zawsze byli ze soba szczerzy i jej zimne slowa ewidentnie go zaskoczyly i zraniły. Aiko jednak nie mogla sobie pozwolic na to, by sie tym przejac. Odwrócila sie do niego plecami i odeszla do grupy japońskich biznesmenów w drugim koncu baru. Kiedy znowu spojrzala w jego strone, zauwazyła, ze nie dopil piwa i wyszedl. Nie pokazywal sie w barze przez kolejnych kilka tygodni.

Podczas jego nieobecności Aiko skupila sie na uwazniejszym przyjrzeniu sie interesom pana Oshiro. Jednym okiem patrzyła na mieszane przez siebie drinki, a drugim usilowala dociec, co dokladnie sie dzialo w Peace Palace. Od dawna miala swiadomosc, ze wielkie czarne rynki na otwartym powietrzu i tanie burdele powstajace w slamsach Tokio byly kierowane z takich

bezpiecznych i bogatych miejsc jak to. W działania na czarnym rynku zaangażowani byli niektórzy amerykańscy oficerowie, ale zorientowała się po ich zadufaniu w sobie i poczuciu wyższości, że nie uważali, by robili coś niezgodnego z prawem lub niemoralnego. Ci ludzie nie złamaliby prawa we własnym kraju i widziała, że usprawiedliwiali swoje postępowanie, wmawiając sobie, że Japonia to inny świat rządzący się innymi zasadami.

Pan Oshiro nadzorował całe przedsięwzięcie z otwartymi ramionami, ciepłym uśmiechem i zaraźliwą *joie de vivre* (Bo nauczył ją tego wyrażenia, które ciągle powtarzała. To jedyne słowa po francusku, jakie знаła). Nie była pewna, jaką dokładnie odgrywała rolę? Facylitatora? A może Wielkiego Szefa? Lecz nie powinno jej obchodzić, kim był pan Oshiro. Pracowała w jego barze i mieszkała w jego domu. Traktował ją dobrze i wiedziała, że może mu do pewnego stopnia ufać. Ta wiedza jej wystarczyła. Wszelka wykraczająca poza nią mogła okazać się niebezpieczna.

Wreszcie Aiko uznała, że już czas wykonać ruch. Poczekała do chwili, gdy w barze zapanowała cisza, a Kira zabawiała generała brygady i jego kumpli. Zapukała do gabinetu pana Oshiro z sercem w gardle. Planowała to od wielu lat. Zgodnie z poleceniem prababki i, przede wszystkim, ostatnim życzeniem matki. Pan Oshiro zabrał ją z tamtego progu i przyprowadził tutaj z jakiegoś powodu. To było zrzędzenie losu. „Kto zjada ostatki...”, jak powiedziałyby Haruki.

– Aiko – rzucił pan Oshiro wesoło, gdy weszła do środka. – Jak mogę ci pomóc? Masz jakiś problem?

Aiko pokręciła głową.

– Nie mam problemu. Muszę tylko prosić pana o pomoc w pewnej kwestii.

– Ach. – Pan Oshiro odłożył pióro. – Siadaj, siadaj, Aiko. Chyba wiem, o co chodzi. O kapitana Andersona, prawda?

Aiko zaczęła kręcić głową, ale pan Oshiro już nabrał wiatru w skrzydła.

– Zwróciłem uwagę, że nie odwiedza nas od pewnego czasu. Wiem, że spodobałaś mu się trochę za bardzo, i słyszałem, że

poprosił cię o spotkanie poza barem – ciągnął pan Oshiro.

„Skąd?” – pomyślała Aiko. Nikomu o tym nie mówiła, nawet Kirze.

– Powiedziałam, że to jest niezgodne z zasadami – tłumaczyła się Aiko, bo wiedziała, że jeszcze nigdy nie potrzebowała przychylności pana Oshiro w takim stopniu, jak teraz. – I nigdy się z nim nie spotkałam poza barem.

– Wiem, kochana Aiko. Jesteś porządną dziewczyną. Jesteś dla mnie i Nany jak córka. Wiem, że nigdy byś mnie nie zawiodła. To miły mężczyzna i rozumiem, że ta sytuacja cię zdenerwowała. Ci Amerykanie tu przychodzą i wydaje im się, że się zakochali w pięknych dziewczynach, ale potem wracają do domów i zapominają o Tokio. To jest trudne za pierwszym razem.

– Pojechał do domu? – spytała Aiko, która nagle zapomniała, po co przyszła do gabinetu pana Oshiro. Chciało się jej płakać na myśl o tym, że Bo wyjechał bez pożegnania.

– Jeszcze nie – odparł pan Oshiro. – Ale słyszałem, że ma niedługo wyjechać.

Aiko skinęła głową i starała się zepchnąć tę informację gdzieś głęboko. W tej chwili chciała załatwić inną sprawę.

– Nie chciałam rozmawiać o kapitanie Andersonie – oznajmiła odważnie. – Mam coś cennego. To rodzinna kolekcja, którą odziedziczyłam. To wszystko, co mam, i chciałabym to sprzedać. Pomyślałam, że być może mógłby mi pan pomóc. – Trzęsącymi się dłońmi położyła na biurku pana Oshiro czerwony woreczek i ukloniła się z szacunkiem.

– Co to jest? – zapytał pan Oshiro, wyraźnie zaintrygowany.  
– Masz jakąś tajemnicę? Ukrywałaś coś przede mną?

Przytaknęła.

– Musiałam zaczekać do czasu, gdy nabrałam pewności, że zna pan ludzi, którzy mogą mi pomóc. Wydaje mi się, że tak jest.

Pan Oshiro zmrużył delikatnie oczy i spojrzał na Aiko nieufnie, zanim otworzył woreczek. Z początku wyjmował perły powoli, jedna po drugiej. Na widok kolejnych doskonałych pereł otwierał oczy coraz szerzej. Perły zaczęły się przetaczać po

drewnianym blacie biurka i musiał je zagarnąć, żeby mu nie uciekły i nie upadły na podłogę.

– Ile ich jest? – zapytał tonem pełnym podziwu.

– Sześćdziesiąt siedem – odpowiedziała Aiko.

Gdy pojawiła się wreszcie największa, najdoskonalsza perła, pan Oshiro wydał stłumiony okrzyk. Podniósł cenną perłę i powoli, ostrożnie, położył ją w zagłębieniu dłoni. Wpatrywał się w nią bardzo długo, uniósł ją do światła, obracał nią w każdą stronę w świetle lampy i wreszcie podniósł wzrok na Aiko.

– To nadzwyczajne – powiedział. – Czy wiesz, co tutaj masz?

Przytaknęła. Była aż nazbyt dobrze świadoma rzadkości i wartości swego skarbu.

– To jest perła doskonała. Jak pan wie, moja matka była amą – przypomniła mu. – Zebrała wiele z tych pereł. Zmarła, wyławiając tę. Prababka trzymała je dla mnie w bezpiecznym miejscu do czasu, gdy dorosłam i potrafiłam zrozumieć, ile są warte. To jest moja spuścizna, panie Oshiro. Ostatnim życzeniem mojej matki było, żeby te perły, a w szczególności ta jedna, zapewniły mi któregoś dnia dostatek. Do tej pory nie wiedziałam, kto by mi mógł pomóc w tak ważnej sprawie, ale wydaje mi się, że jest pan właściwą osobą.

Pan Oshiro skinął głową, wciąż przyglądając się perle. Aiko wiedziała, że musi panować nad emocjami. Szef ją uwielbiał, ale był bardziej przywiązany do pieniędzy niż do ludzi. Wiedziała, że perła jest warta co najmniej dwukrotnie tyle, ile jej zaproponuje.

– To jest bardzo wartościowa perła, Aiko – oświadczył. – Mógłbym dostać za nią dużo pieniędzy, ale...

Zerknął na nią.

– Ty też jesteś dla mnie bardzo cenna. Klienci powtarzają mi zawsze, że jesteś ich ulubioną hostessą. Jeśli dam ci pieniądze, opuścisz Peace Palace. A co z Naną? Mojej żonie pęknie serce, jeżeli postanowisz się od nas wyprowadzić. Potrzebuje cię, Aiko, nie tylko do zamiatania podłóg. Tym razem udzielenie ci pomocy nie leży w moim interesie. – Zamilkł i ostrożnie włożył sześćdziesiąt siedem pereł do woreczka, po czym podał go Aiko.

Dziewczyna stała nieruchomo i nie przyjęła ich. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi, ale była mądra i obserwowała mężczyznę w barze dość długo, by rozumieć, że zawsze da się dobić targu. Należało tylko wynegocjować warunki.

– A jeśli obiecuję zostać? – zaproponowała. – Przez ustalony czas. Może w tym czasie mógłby pan inwestować pieniądze i w ten sposób oboje na tym skorzystamy?

Oczy pana Oshiro zaśmiały. Popatrzył na Aiko... jak dokładnie? Z ojcowską dumą?

– Mądra z ciebie dziewczyna, Aiko – stwierdził z uśmiechem. – To doskonała propozycja. Sprzedam te perły dla ciebie. Znam właściwego człowieka. Będzie skakał z radości, gdy zobaczy to, co tu masz. A potem zainwestuję pieniądze u bankiera, którego znam i któremu ufam, na, powiedzmy... Dziesięć lat?

Aiko pokręciła głową.

– Dwa – odparła stanowczo.

Pan Oshiro zaśmiał się, jakby jej oferta była niedorzeczna.

– Siedem – rzucił.

Aiko zabrała perły z jego biurka.

– Nie mogę sprzedać wolności na siedem lat, panie Oshiro. Jestem pańską dozągoną dłużniczką i przepraszam pokornie, jeśli pana obraziłam, ale moja matka zginęła, poławiając jedną z tych pereł. Jej ostatnim życzeniem było, żeby dały mi wolność i żeby ich wartość zapewniła mi możliwości, których ona nie miała. Nie umarła po to, żebym tkwiła w więzieniu.

Tym razem to pan Oshiro pokiwał głową z namysłem.

– W porządku, Aiko – powiedział w końcu. – Pięć lat. Zostaniesz ze mną i Naną na kolejne pięć lat, a ja sprzedam dla ciebie te perły.

Aiko nie puszczała woreczka.

– Zgoda. I będę obecna przy negocjacjach – poinformowała go.

Pan Oshiro odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, jakby usłyszał najzabawniejszy dowcip w życiu.

– Nie bądź głupia, Aiko – rzekł. – Jesteś tylko dziewczyną.

Nie możesz uczestniczyć w takim spotkaniu biznesowym. O co chodzi? Nie ufasz mi?

Aiko pokręciła głową.

– Wysoce pana szanuję, ale nie zaufam żadnemu mężczyźnie w kwestii pieniędzy. Lub pięknych kobiet.

Wiedziała, że postępuje bardzo śmiało, ale czy głupio? Pan Oshiro wydawał się zszokowany jej słowami. I trochę zły. Było już jednak za późno. I chodziło o jej przyszłość. Aiko musiała wykorzystać całą dostępną jej amunicję. Jeśli pozwoli, by pan Oshiro prowadził negocjacje bez niej, była pewna, że ograbiłby ją z lwiej części pieniędzy. Kira podzieliła się z nią cennymi informacjami i Aiko nie miała wyboru – musiała je wykorzystać przeciwko swojemu szefowi.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał. – Że mężczyznom nie można ufać?

– Nic – odparła Aiko swoim najśłodszym głosikiem. – Ale bardzo się zaprzyjaźniłam z Kirą, a wie pan, jak dziewczyny ze sobą plotkują. Oczywiście, staję się światową kobietą. Lecz Nana... Nie jestem pewna, czyby zrozumiała. Jest bardziej naiwna ode mnie. I zdecydowanie bardziej niewinna od Kiry...

Pan Oshiro zrobił się pąsowy na twarzy, zacisnął usta.

– Wydaje mi się, Aiko, że cię nie doceniałem. Gdybyś była mężczyzną, byłbym pod twoim wrażeniem, ale jesteś dziewczyną i mimo że Nana lubi udawać, że jesteś naszą córką, w rzeczywistości nią nie jesteś. Okazujesz mi ogromny brak szacunku, mówiąc do mnie w ten sposób. Nie wiem, czy twoja śmiałość wywołuje u mnie złość, czy też robi na mnie wrażenie.

– Nie chciałam okazać panu braku szacunku, panie Oshiro – zapewniła go Aiko. – Wszystko już ustalone. Będę obecna przy sprzedaży pereł. Potem pan zainwestuje moje pieniądze na pięć lat, a po upływie tego czasu będę mogła zrobić ze swoją fortuną, co zechcę.

– Będziesz musiała zapłacić za mój czas – zauważył surowo pan Oshiro.

– Oczywiście – zgodziła się. – Pięć procent wydaje się

uczciwą prowizją.

– Dwadzieścia – rzucił.

– Dziesięć – powiedziała Aiko stanowczo. – Albo zabiorę perły, wyjdę z pańskiego baru i pan, i Nana już nigdy mnie nie zobaczycie.

Pan Oshiro pokręcił głową, ale tym razem się zaśmiał.

– Jesteś urodzoną negocjatorką, Aiko – zauważył. –

Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa, gdy tylko cię zobaczyłem przy targu Ozu, nawet gdy kryłaś się za warstwą brudu. Nie miałem jednak pojęcia, że jesteś aż tak nadzwyczajna. Jesteś tak rzadka jak ta twoja perła. Nic dziwnego, że kapitan Anderson ma złamane serce. Poznał taką dziewczynę i ją traci. Na pewno jest zdruzgotany.

– Bo mnie nie kocha – odpowiedziała Aiko.

Poczuła, że szala siły przechyliła się na stronę pana Oshiro. Wynegocjowała dobrą umowę i wspomniała o jego związku z Kirą, ale teraz mężczyzna przypomniał jej, że jest jej szefem.

– Owszem, kocha – odparł wesoło pan Oshiro. –

Wielokrotnie mi powtarzał, że myśli o tobie bez przerwy i że nie może znieść myśli o powrocie do Stanów bez ciebie. Teraz to będzie, rzecz jasna, niemożliwe. Jesteś ze mną związana na kolejne pięć lat. Do tego czasu zapomni o głupim zauroczeniu japońską dziewczyną. Życie bywa niekiedy bardzo dziwne. Okazuje się, że o wszystkim i tak decyduje los.

Uśmiechał się do niej promiennie, ale wiedział dobrze, co właśnie zrobił. Powiedział jej dokładnie to, co chciała usłyszeć – że Bo był w niej zakochany – ale natychmiast zabrał jej marzenie. Aiko sprzedała duszę diabłu; przynajmniej na kolejne pięć lat.

– Zorganizuję spotkanie ze swoim znajomym, który zajmuje się handlem klejnotami. To niejaki pan Sato. Da nam dobrą cenę za perły twojej matki – powiedział. – A teraz wracaj do baru, Aiko. Nie płacę ci za to, żebyś ze mną gawędziła w gabinecie. Masz uszczęśliwiać naszych dżentelmenów.

Następnego dnia Aiko siedziała w milczeniu w kącie gabinetu pana Oshiro, gdy on i pan Sato uzgadniali cenę za



doskonałą perłę jej matki i sześćdziesiąt sześć pozostałych. Aiko sprzedała dla tej fortuny swoje serce, ale gdy przyglądała się mężczyznom w akcji, wiedziała, że podjęła dobrą decyzję. Pan Oshiro był wybornym negocjatorem, a perły okazały się warte więcej, niż Aiko wyobrażała sobie w najśmielszych marzeniach. Pan Sato zgodził się zapłacić za tę kolekcję pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ponad cztery miliony jenów. To by wystarczyło na zakup pałacu godnego cesarzowej. Było lato tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim Aiko zostanie bardzo zamożną kobietą. Do tego czasu jednak będzie niewolnicą pana Oshiro.

Zanim pan Sato wyszedł, Aiko zapytała, czy mogłaby jeszcze raz potrzymać największą perłę. Zgodził się na to. Trzymała ją na dłoni i czuła miłość matki; wiedziała, że Manami też jej dotykała. Pocałowała gładką, lśniącą perłę i starała się nie myśleć, czyje ręce będą jej dotykać. Dokąd trafi? Zapewne na szyję jakiejś bogatej kobiety. Lecz ta perła dla nikogo nigdy nie będzie miała takiej wartości jak dla niej. Gdy oddała ją panu Sato, miała wrażenie, jakby po raz ostatni żegnała się ze swoją matką.

To był okres wielu pożegnań dla Aiko. Kilka dni później do Peace Palace przyszedł wreszcie Bo. Ale tylko po to, by się pożegnać. Właśnie dostał rozkaz. Za dwie godziny wyjedzie z Tokio na dobre. Zabrał Aiko na małe podwórko za barem. Był jasny czerwcowy poranek. Różowe róże zasadzone przez Kirę rozkwitły, powietrze pachniało słodko, ptaki na drzewach śpiewały, a patrząc z ich miejsca w zielonym ogrodzie w cieniu pod płaczącą wierzbą, można by pomyśleć, że na Tokio nigdy nie spadły bomby zapalające. Bo przyniósł Aiko nadzwyczajny złoty pierścionek z jadeitem.

– Wydaje mi się, że wtedy nie mówiłaś tego, co myślałaś – powiedział i spojrzeniem błękitnych oczu nakłaniał ją, by powiedziała prawdę. – Wiem, że czujesz to samo co ja, Aiko. Widzę to w twoich oczach. Kocham cię, a ty kochasz mnie. To nie jest fantazja, tylko rzeczywistość. Możemy być razem, kochanie. Co ci zawsze powtarzałem? Wszystko jest możliwe! Przyszłość

należy do nas. Aiko, proszę, zgódź się! Chcę, żebyś pojechała ze mną do Ameryki. Będziemy potrzebowali kilku miesięcy, by wszystko zorganizować, ale to da się zrobić. Rozmawiałem z przełożonymi. Załatwią dla ciebie wizę, a gdy dotrzesz do Kalifornii, będziemy mogli wziąć ślub. Aiko, proszę. Powiedz „tak”.

Aiko poczuła się tak, jakby idealnie błękitne niebo runęło na jej młode barki. Dlaczego Bo mówił teraz takie rzeczy? Gdyby usłyszała je wcześniej, zatrzymałaby perły, zabrałaby je ze sobą do Ameryki i sprzedała tam. Pomógłby jej Bo – szczerzy, godny zaufania dobry Bo – a nie pan Oshiro. Gdyby miała odwagę poczekać, mogłaby mieć wszystko: mężczyznę, który ją kocha, i spuściznę po matce.

Aiko nie była jednak cierpliwa. Zawarła już pakt z diabłem. Nigdy nie będzie mogła powiedzieć Bo, co zrobiła. Jak chłopak, który dorastał w otoczeniu bogactwa, mógłby zrozumieć, że sprzedała swoją wolność za pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Ci, którzy traktują pieniądze jak coś oczywistego, cenią je najmniej. Nie miałby o niej lepszego zdania niż o prostytutkach lub złodziejach ze slamsów. Pan Oshiro miał rację. Nie mogłaby prosić Bo, żeby czekał na nią długich pięć lat. Ze łzami spływającymi po policzkach i pękniętym sercem przesunęła pierścionek po stoliku w stronę Bo.

– Kocham cię – wyznała, bo miała dość kłamstw. – Ale nie będę mogła nigdy pojechać do Ameryki i zostać twoją żoną. Zasługujesz na kogoś lepszego ode mnie. Jestem zrujnowana i zniszczona jak to obskurne miasto. Musisz o mnie zapomnieć. Wracaj do swojej miłej, słodkiej Amerykanki. Nigdy nie uczynię cię tak szczęśliwym jak ona.

– Nie – rzucił wyzywająco, rozpaczliwie. – Nie zrobię tego, Aiko. Potrzebuję cię. Kocham cię. Nie zamierzam cię stracić. Nie jesteś taka, jak mówisz. Jesteś najczystsza, najszczerzą osobą, jaką znam.

Położył dłoń na tyle jej głowy i przyciągnął do siebie. Poczowała jego gorący, słodki oddech na twarzy, a gdy jego miękkie

usta w końcu dotknęły jej ust, wydawało się jej, że zemdleje z pożądania. W jej sercu wystrzeliły miliony malutkich fajerwerków. Pozwoliła sobie na chwilę zatopić się w jego idealnym uścisku, poczuć, jak obejmuje ją mocnymi ramionami i jak przywiera do niej ciepłym ciałem. To była najwyższa rozkosz. Otuliła ją jego miłość i przez ułamek sekundy znowu czuła się bezpieczna i silna. Potrzebowała całej swojej siły, żeby się od niego oderwać.

– Nie mogę przyjąć twojego pierścionka, Bo – załkała. – I już nigdy się nie zobaczymy. Bardzo mi przykro.

Wstała. Nie mogła na niego spojrzeć. Zbyt bolał ją widok poczucia krzywdy i zaskoczenia malujący się na jego przystojnej twarzy. Był ostatnim człowiekiem na świecie, którego chciałaby skrzywdzić, ale nie miała wyboru. Próbował ją chwycić, ale otworzyła bramę prowadzącą na uliczkę za barem i uciekła od Bo. Pobiegnęła do Peace Palace, który będzie jej więzieniem przez kolejnych pięć lat. Usiłował ją gonić.

– Aiko! Aiko! Zaczekaj! Poradzimy sobie. Wszystko będzie dobrze. Proszę, Aiko. Zaufaj mi. Kocham cię! – słyszała, jak za nią wołał.

Serce jej płonęło w piersi i przez chwilę wydawało się jej, że się zatrzyma i odwróci w stronę jego głosu. Lecz nie mogła odejść z Bo. Nie teraz. Przypieczętowała swój los. On nie znał małych i ciemnych uliczek Tokio tak dobrze jak Aiko. W końcu, gdy obejrzała się za siebie, nie zobaczyła go. Biegła w stronę portu, gdzie usiadła, szlochając, na ławce, z której widziała Zatokę Tokijską. Morze zazwyczaj podnosiło ją na duchu. Przypominało jej o domu. Ale dzisiaj przypominało jej tylko o tym, że Bo znajdzie się po drugiej stronie oceanu, już na zawsze poza jej zasięgiem. Babcia z uporem próbowała wpoić jej cierpliwość. Powtarzała, że Aiko jest jak jej matka – obie chciały mieć wszystko, najlepiej wczoraj! Lecz jaki sens miało czekanie na coś, co nigdy nie nadejdzie?

– Prawdziwa cierpliwość polega na znoszeniu tego, co jest nie do zniesienia – mruknęła Aiko do siebie.

Tak Haruki mawiała do jej ojca po śmierci matki, a cesarz

skierował te słowa do narodu po tym, jak Japonia poddała się Amerykanom. Powtarzała to powiedzenie szeptem raz po raz, aż nie była już pewna, czy było najmądrzejszą, czy – najgłupszą rzeczą, jaką słyszała.

Siedziała w porcie tak długo, aż słońce zaczęło się chować w szarozielonym morzu. Wiedziała, że pan Oshiro będzie miał do niej pretensje o to, że zniknęła, ale nie dbała o to.

Gdy wróciła do baru, nikt się słowem nie odezwał na temat jej nieoczekiwanej nieobecności. Pan Oshiro po prostu skinął uprzejmie głową w jej kierunku, żeby pokazać, że ją zauważył. Kira uśmiechnęła się do niej ciepło zza baru. Jak to możliwe, że wszyscy zawsze tu wiedzieli, co się z nią działo?

– Wyjechał, ale zostawił dla ciebie to – szepnęła Kira i wcisnęła pierścionek w dłoń Aiko. – Możesz go zachować. Dawno już mówiłam, że powinien ci kupić prezent. Zaslugujesz przynajmniej na tyle!

– Powiedział coś? – zapytała Aiko, usiłując ukryć desperację w głosie.

– Kazał ci powiedzieć, że się nie podda – odparła Kira, wywracając oczami. – I że cię kocha. Ale oni wszyscy tak mówią, Aiko. Zapomnij o nim.

Aiko nie zapomniała o kapitanie Bo Andersonie. Nosila pierścionek z jadem codziennie przez resztę życia, a gdy na niego spoglądała, wiedziała, że ktoś ją naprawdę cenił i kochał. Na razie jednak... na razie Aiko wróciła do nalewania drinków oraz flirtowania z mężczyznami w garniturach i mundurach. Dużo się uśmiechała. Czasami tańczyła i śpiewała. Wszyscy twierdzili, że jest najbardziej uroczą dziewczyną, jaką spotkali. Nikt jednak nie wiedział, jaką cenę zapłaciła za to, by przebywać w Peace Palace, i nikt nie zwrócił uwagi na zmarszczone brwi towarzyszące przyklejonemu uśmiechowi.

## *Rozdział trzydziesty trzeci*

Virginia Water, Surrey, 2012

Alice zatrzymała się przed skrzynką na listy w drodze z Waitrose. List trząśł się w jej dłoni. Przysunęła kopertę do otworu w skrzynce i cofnęła rękę. Co ona wyprawia? Ten list mógł zmienić wszystko. Lecz czy nie pragnęła zmiany? Nie tylko dla siebie, ale też dla innych. Zwłaszcza dla Sophii. Znowu przysunęła list do szczeliny.

– Chyba trochę wcześniej na wysyłanie kartek na Boże Narodzenie, Alice? – zadudnił jowialny głos.

Alice podskoczyła. To była Margot. Jej przyjaciółka i sąsiadka od trzydziestu lat stała tuż za nią. Margot nie wiedziała absolutnie nic na temat prawdziwej Alice Brown.

– Tak, tak. Zdaje się, że masz rację – odpowiedziała Alice, która usiłowała zatuszować panikę w głosie. – Chyba trochę się pospieszyłam.

Wsunęła list z powrotem do torebki, grzecznie się pożegnała z Margot i pospieszyła do domu. Na kolację miał być stek.

Hampstead, Londyn, 2012

Sophia bardzo się starała nie myśleć o dziwnym zachowaniu matki i skupić na poszukiwaniu naszyjnika. Chociaż czuła taką pokusę, nie próbowała się kontaktować z mamą, a i żadne z rodziców nie usiłowało nawiązać z nią kontaktu. Babcia powiedziała jej, że będzie musiała poprosić matkę o odpowiedź, ale powiedziała również, że ma być cierpliwa. Miała wrażenie, że pora nie jest na razie odpowiednia. Potrzebowała całych sił mentalnych, by pomóc babci. Poza tym, jeśli jej mama miała jej coś do powiedzenia, dlaczego to Sophia miałaby wykonać pierwszy ruch?

Omijała zatem szpital we wtorki i piątki, wiedząc, że w te dni przychodzą tam mama i tata, i próbowała o wszystkim zapomnieć. Na razie. Miała swoje teorie, oczywiście. Czy tata nie powiedział,

że jej mama była „niestabilna”, gdy się pobrali? To brzmiało jak jakiś staromodny eufemizm na chorobę psychiczną. I czy nie wyjaśniałoby to dystansu zachowywanego przez mamę? I tego, że zawsze robiła to, co ojciec jej kazał? Może Hugo miał rację, może tata faktycznie podawał jej środki uspokajające. Nie byłaby pierwsza w rodzinie, która była „niestabilna”. Wszyscy wiedzieli, że po śmierci Wilfreda prababka Sophii trafiła do szpitala psychiatrycznego na ostatnie dwadzieścia lat życia. Sophia pamiętała, jak ją tam w dzieciństwie odwiedzała w Bournemouth z babcią.

Babcia wytłumaczyła jej, że jej matka była kiedyś bardzo piękna, ale lata uzależnienia od alkoholu, palenia jednego papierosa za drugim i obsesyjna zazdrość (nie wspominając o opalaniu się na Sandbanks Beach) dały jej twarz, na jaką zasługiwała, jakże inną od tej uroczej, z którą się urodziła. Mała Sophia widziała w staruszce postać rodem z horrorów; nie mogła przestać na nią patrzeć, mimo że się jej bała. Nawet w latach dziewięćdziesiątych prababcia upierała się, żeby farbowano jej rzednące włosy na kruczoczarny kolor, nakładała na twarz grubą warstwę podkładu i malowała usta jaskrawoczerwoną szminką, która wnikała w głębokie zmarszczki wokół ust. Wyrwała sobie wszystkie brwi, a na ich miejscu wymalowała brązowe linie ołówkiem. Zawsze ubierała się tak, jakby się wybierała na eleganckie wieczorne przyjęcie. W jej głowie czas się zatrzymał na tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku; była młoda i piękna, bezdietna i wolna, a cały świat i tuziny oszałamiających konkurentów padały jej do stóp. Zawsze pachniała dżinem, nawet o dziesiątej rano, i traktowała podle każdego, kogo spotkała, począwszy od personelu szpitala, a skończywszy na rodzinie, która odwiedzała ją coraz rzadziej.

Gdy w końcu umarła w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat, Sophia uparła się, że pójdzie na pogrzeb. Lady Beaumont urządziła przyjęcia dla swoich „przyjaciół” przez wiele lat, więc dość tragiczne było to, iż pożegnać się z nią nie przyszedł nikt z wyjątkiem Tilly, Alice i Sophii, które też zrobiły to raczej z

poczucia obowiązku niż miłości. Sophia od dawna podejrzewała, że jej prababka była swego rodzaju wampirem – bo jak inaczej można by wytłumaczyć, że ktoś, kto wypalał czterdzieści papierosów i wypijał litr dżinu dziennie dożył dziewięćdziesięciu trzech lat? Nawet wtedy, gdy spuszczano trumnę do rodzinnego grobu, Sophia wstrzymała oddech, jakby się spodziewała, że lady Charlotte wyskoczy z niej z kieliszkiem koktajlowym w kościstej dłoni. Jednakże nawet najstraszliwsze duchy spoczywają w końcu w spokoju.

Na półce nad kominkiem u babci stało zdjęcie przedstawiające pradziadków Sophii. Na czarno-białej fotografii lord Frederick prezentował się niebywale przystojnie w stroju do polowania, ale to od jego żony, lady Charlotte, Sophia nie mogła oderwać wzroku. Była wysoka i wyglądała zdumiewająco pięknie w białych bryczesach i czarnym żakiecie do konnej jazdy. Gdy zrobiono zdjęcie, była bardzo młoda; mogła mieć co najwyżej dwadzieścia jeden lat. Jej charakter i zmysłowość wyczuwało się niemal namacalnie. Oczy jej lśniły, a mocne, wysportowane ciało wydawało się drżeć z ekscytacji. W oczach płonęło pragnienie... Czego? Sophia zastanawiała się nad tym za każdym razem, gdy patrzyła na zdjęcie. Młoda kobieta na fotografii wydawała się pełna życia, a nie goryczy. Co takiego się wydarzyło, że ta piękna, energiczna dziewczyna stała się zwiędłą, przerażającą starą czarownicą, na której pogrzebie Sophia była? Pomyślała, że życie tak wielu osób będących częścią połamanych gałęzi drzewa rodu Beaumont zostało zrujnowane. I gdy przyglądała się dawno już zmarłej prababce, poprzysięgła sobie, że nie dołączy do tej listy. Nie popełni takich samych błędów jak pozostałe kobiety z rodziny Beaumontów.

Rzuciła się w wir czegoś bardziej pozytywnego – poszukiwań pereł babci. Po raz pierwszy w życiu czuła dreszczyk emocji, gdy pracowała, aby osiągnąć ten cel. Budziła się codziennie wcześniej rano i zbiegała do gabinetu, żeby odczytać e-maile i SMS-y. Pojawiała się w telewizji, udzielała nieskończenie wielu wywiadów gazetom i czasopismom. Rozmawiała z firmami

telewizyjnymi i filmowymi na temat praw do filmów, w których grała jej babcia, i ucieszyła się niebywale, gdy Sky zaczął emitować jej najsztywniejsze filmy każdego popołudnia. Dużo paliła – zawsze w ogrodzie, żeby dom nie przeszedł wonią dymu – ale rzadko miała czas na picie czegoś innego niż herbata, nigdzie nie wychodziła, chyba że szła z wizytą do babci lub udzielić kolejnego wywiadu, i przez wiele tygodni nie tknęła żadnej nielegalnej substancji. Wieczorami szła do łóżka wyczerpana i spała jak suseł. Bezsensowność, która nękała ją latami, po prostu zniknęła, w chwili gdy przeprowadziła się do Hampstead. Od dawna nie wyglądała i nie czuła się tak zdrowo i szczęśliwie. Co więcej, czuła się pewna siebie i kompetentna. Sophia Beaumont Brown miała wreszcie cel. I cieszyło ją to. Gdyby udało się jej odzyskać perły przed Bożym Narodzeniem, byłoby wspaniale!

Kontakty z prasą nie były Sophii obce – za sprawą szalonych wyczynów z młodości przez lata poświęcano jej sporo uwagi. W tamtych czasach wydawało jej się wspaniałe to, że fotografowano ją, jak wychodziła pijana z nocnego klubu, wsparta na ramieniu jakiegoś gwiazdora rocka, aktora, piłkarza lub mniej znaczącej osoby z rodziny królewskiej. Teraz na samo wspomnienie cierpła jej skóra. Sprowadziła wstyd na rodziców (choć już się nimi nie przejmowała) i na Nathana (który też już nie miał dla niej znaczenia, gdy się nad tym zastanowiła), jej przyjaciele popadali w konflikt z rodzinami tylko dlatego, że utrzymywali z nią kontakty, ale najgorsze było to, że uczyniła z siebie pustą skorupę. Stara Sophia nie była bardziej żywa niż postać z kreskówki. Istniała tylko dla rozrywki innych ludzi. Fasada imprezowiczki skrywała przybitą, przepitą, uzależnioną od narkotyków istotę. Ale teraz... Sophia czuła się rzeczywista. Żywa. Miała wrażenie, że mogłaby poszybować z najwyższego budynku lub zanurkować w głębinach oceanu, gdyby tylko odzyskała dzięki temu perły.

Teraz, jeśli prasa o niej pisała, nawiązywała do jej złego zachowania z przeszłości, ale tylko po to, by pokazać, jak daleko zaszała.

Pierwszy ważny przełom związany z naszymi nastąpił



na początku grudnia, gdy Sophia otrzymała e-mail od niejakiej Chrissy Travis-Jones. Przejrzała pobieżnie wiadomość i prawie spadła z krzesła z podniecenia, gdy dotarło do niej, co to jest. Wreszcie jakiś konkret!

– O, Boże! Myślę, że to jest to! – krzyknęła do Hugona siedzącego w drugim końcu pokoju. – Tym razem to nie żarty. Posłuchaj! – I zaczęła czytać początek listu: – Droga Sophio. Moja matka, która mieszka w Wielkiej Brytanii, przysłała mi linki do artykułów prasowych na temat twoich poszukiwań naszyjnika babci. Natychmiast rozpoznała naszyjnik i zapragnęła ci pomóc. Jestem przekonana, że byłam w posiadaniu twojego rodzowego naszyjnika w latach osiemdziesiątych. W pierwszej chwili pomyślałam, że mama się pomyliła. Naszyjnik wyglądał tak samo, ale twój składał się z sześćdziesięciu siedmiu pereł, podczas gdy mój tylko z sześćdziesięciu sześciu. Wiem to na pewno, bo spędziłam cały tydzień na przewlekaniu ich. Najlepiej zapamiętałam zapięcie. Było dość niezwykle i miało wygrawerowane inicjały LMB. Zawsze się zastanawiałam, kim była LMB...

Sophia przerwała.

– Jest ciąg dalszy. Przeczytasz go za chwilę. Ale najpierw spójrz na zdjęcia.

Serce jej waliło, gdy pokazywała Hugonowi trzy fotografie załączone przez Chrissy. Na pierwszej widniało pudełko z mnóstwem pereł i oddzielnym od nich zapięciem, które niegdyś spinało naszyjnik.

– Nie panikuj. Spójrz na następne. Ma je na szyi. Naprawiła naszyjnik. Wyjaśniła w e-mailu, że gdy go kupiła, był zerwany, ale sama go naprawiła. A potem, po latach, gdy było ją już na to stać, zaniósła je do jubilera, żeby nawłócił je profesjonalnie. Wtedy się dowiedziała, jakie są cenne.

Trzecie zdjęcie przedstawiało naprawiony naszyjnik w czarnym pudełku wykładanym aksamitem.

– Nadal je ma? – zapytał Hugo, a oczy mu lśniły z niecierpliwości.

Sophia pokręciła głową. Szkoda, ale przynajmniej mieli jakiś trop. Pomyślała, że zbyt wiele by oczekiwała, gdyby chciała, żeby pierwsza osoba, która się do niej odezwała, nadal miała perły. Nic nigdy nie jest łatwe.

– Sprzedała je w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym – poinformowała Hugona. – Wiemy przynajmniej, gdzie perły się znajdowały dwadzieścia lat temu.

– Gdzie? – spytał Hugo.

– W Nowym Jorku – odparła Sophia. – Kupiła je w Londynie, ale sprzedała w Nowym Jorku.

– To co teraz zrobimy? – zmartwił się Hugo i zaczął gryźć paznokcie.

– Prześlemy naszą historię za Atlantyk – oświadczyła Sophia z determinacją.

– Tak jest, szefowo! – rzucił Hugo i jej zasalutował. – Nowy Jorku, miej się na baczności. Brytole przypuszczają szturm i nie żartują!

St John's Wood, Londyn, 2012

Babcia wydawała się zmęczona. I inaczej pachniała. Jej dziwna, mdląco-słodka woń obudziła w Sophii strach.

Sophia porozmawiała z lekarzem, gdy dotarła do szpitala. Wieści nie były dobre. Rak szybko się rozprzestrzeniał. Pojawiły się zacinienia na płucach i babcia straciła apetyt. Niebawem trzeba będzie rozważyć odżywianie jej za pomocą kroplówek. Sophia pomyślała o siniakach i opuchliznach na rękach babci w miejscach, w których wbijano jej igły i wenflony, przez które podawano jej do organizmu koktajl lekarstw, dzięki którym żyła. Babcia mawiała, że czuje się jak poduszczyk na igły. Sophia nie była pewna, czy staruszka zgodzi się na odżywianie przez kroplówki. Nie mogła znieść myśli o następnych tygodniach. Ale przynajmniej tego wieczoru miała dla babci dobre wieści.

– Przeczytam coś babci – powiedziała, gdy już się ucałowały na powitanie. – Coś, co sprawi, że się babcia uśmiechnie. Wreszcie pojawiło się światło w tunelu. Niech babcia posłucha. –

Wyciągnęła wydrukowany list od Chrissy, w którym kobieta opisała, jak weszła w posiadanie pereł i jak je sprzedała. Zaczęła czytać:

Camden Town, Londyn, 1982

Miałam dwadzieścia jeden lat, gdy znalazłam perły w sklepie z używaną odzieżą przy Chalk Farm Road, naprzeciwko Camden Market. Znajdowały się w pudle z różną, jak mi się wydawało, sztuczną biżuterią. Taka biżuteria podobała mi się w owym czasie, a przynajmniej tylko na taką mogłam sobie pozwolić – śliczne, choć bezwartościowe błyskotki. Byłam prawdziwą sroką i godzinami szperałam w sklepach charytatywnych i ze starzyzną.

Właśnie skończyłam studia, wydział ekonomii, ale ku przerażeniu rodziców próbowałam swych sił jako piosenkarka. Śpiewałam w zespole z trzema kolegami. Występowaliśmy w co bardziej podejrzanych pubach i klubach w Camden i Kentish Town. Mieszkaliśmy w ohydnych squacie przy Camden Square i finansowaliśmy swoje granie z dorywczej pracy w barach, w których grywaliśmy. Wydawało mi się, że jestem bardzo wyluzowana w swoich skórzanych mini, kabaretkach i butach Doctora Martensa. Włosy zaczesywałam do tyłu, usztywniałam lakierem i wiązałam kawałkiem starej koronki, a oczy malowałam taką ilością czarnego tuszu i cieni, że tata zaczął mnie przezywać pandą. Po dziś dzień tak do mnie mówi, mimo że lata rockowego szyku mam już dawno za sobą!

Kiedy przyniosłam to konkretne pudełeczko z biżuterią do domu i przyjrzałam się uważniej swojemu skarbowi, pojęłam, że tych pereł nie zrobiono ze szkła ani plastiku. Nie posiadałam się z radości, bo zapłaciłam za nie tylko funta, a przypuszczałam, że są to perły hodowlane warte o wiele więcej! Przez lata żyłam w przekonaniu, że mam sznur wyjątkowo pięknych hodowlanych pereł. I uwielbiałam je!

Na dnie pudełka znalazłam delikatne zapięcie. Było wysadzone drobnymi perełkami i wygrawerowano na nim litery LMB. Nasz zespół nazywał się Lonely Magpies, więc uznałam, że

to zrzącenie losu – LMB od Lonely Magpies Band. W pierwszej chwili nie wiedziałam, jak nanizać te perły, łącznie z dużą środkową i połączyć je z zapięciem. Gdy już naprawiłam naszyjnik, został moim szczęśliwym talizmanem i zakładałam go podczas każdego występu.

W czasach przed podpisaniem kontraktu na nagranie płyty i na długo przed moim wyjazdem do Nowego Jorku, wiele godzin poświęcałam na szycie i przerabianie ubrań dla siebie. Przez cały tydzień z czułością nawlekałam perły. Ze wstydem muszę przyznać, że nawlekłam je na tanią nylonową nić i wiązałam supełki bardzo nieprofesjonalnie.

Stąd wiem na pewno, że mój naszyjnik składał się z sześćdziesięciu sześciu pereł. Domyślałam się, że sześćdziesiąta siódma zginęła, gdy naszyjnik się zerwał. Perły są dość twarde, ale nie niezniszczalne. Dbałam o to, by nie spryskiwać ich lakierem do włosów, a gdy ich nie nosiłam, przechowywałam je w materiałowym woreczku. Pamiętam, jak uważnie je zawijałam, gdy pakowałam się przed wyjazdem do Stanów. Myślę, że ta zagubiona perła nadal gdzieś istnieje. Smutne jest to, że gdzieś na świecie jest samotna doskonała perła, która powinna być częścią naszyjnika.

Na szczęście, gdy moja kariera legła w gruzach, poznałam mężczyznę, w którym się zakochałam i który został moim mężem. Leroy tańczył na moim ostatnim wideoklipie. Był – i nadal jest – najprzystojniejszym facetem, jakiego widziałam! Wydaliśmy resztę moich pieniędzy na zakup rozpadającego się domu w Queens. Leroy zarabiał tyle, by nas jako tako utrzymać, ale gdy pojawiły się dzieci – bliźniaki! – było nam naprawdę ciężko. Mieszkaliśmy w zniszczonym domu, w którym szalały przeciągi, i nie mieliśmy pieniędzy na odnowienie go.

Na szczęście Leroy dostrzegł moje przygnębienie i przystąpił do działania. Zatańczył w kilku naprawdę dobrze płatnych reklamach telewizyjnych i odłożył pieniądze na nasz ślub. Wiedział, że jeśli będę mogła czegoś oczekiwać i skupić się na tym, poweseleję. Poza tym byliśmy w sobie szalenie zakochani i

chcieliśmy być mężem i żoną. Wtedy zasugerowałam, że chciałabym przewlec naszyjnik profesjonalnie, żebym mogła założyć swój talizman w dniu ślubu. Od lat nie wyciągałam pereł z woreczka.

Zaniosłam je do dobrego jubilera na Manhattanie. Przepraszałam go, gdy mu je podawałam. Wstydziłam się tanich hodowlanych pereł w tym przepysznym salonie. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy tego człowieka, gdy otworzył woreczek, wyjął z niego naszyjnik na ładę i przyglądał mu się uważnie.

„Te perły są naturalne”, powiedział po kilku minutach zboląłego milczenia. „I są też wiekowe. Nie jestem ekspertem i będę musiał poprosić kolegę, żeby je obejrzał, ale myślę, że pani naszyjnik jest bardziej wartościowy, niż się pani wydawało”.

Nie jestem pewna, czy chcesz wiedzieć, ile pieniędzy dostałam za naszyjnik Twojej babci, ale wiedz, że bardzo pomogły Leroyowi i mnie. Mam świadomość, że gdyby jubiler wiedział, że perły należały do Tilly Beaumont, dostałabym pięć razy tyle! Bynajmniej nie żałuję, bo kupiłam je za funta, a w rezultacie odmieniły moje życie.

Założyłam pięknie przewleczone naszyjnik na nasz ślub, a kiedy oglądałam zdjęcia z tamtego idealnego dnia, wciąż wspominam, jak się czułam, mając je na szyi. Przynosiły mi szczęście na ciemnych uliczkach Camden Town, potem w Nowym Jorku, a wreszcie, gdy stanęłam przed ołtarzem w rodzinnym kościele Leroya w Queens.

Pozbycie się tych pereł było ogromnym poświęceniem, ale pozwoliły mi one odzyskać szacunek do samej siebie. Dały mi wolność, radość, sukces i spełnienie. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży pereł pozwoliły nam kupić opuszczony magazyn niedaleko Broadwayu. Po dwóch latach otworzyliśmy z Leroyem Broadway Performing Arts Centre, szkołę dla utalentowanych dzieciaków z nieuprzywilejowanych rodzin. Może o nas słyszałaś? Wyszły od nas znane nazwiska: gwiazdy rapu, Broadwayu, filmu, a nawet jedna gwiazda baletu. Te pieniądze zmieniły nie tylko moje życie, ale też los setek dzieciaków. Mam nadzieję, że twoja

babcia będzie z tego zadowolona.

– Jest babcia zadowolona? – spytała Sophia.

Oczy babci zaszyły mgłą, ale mimo że była wyraźnie słaba, zdołała się uśmiechnąć.

– Jestem i to bardzo – odparła z entuzjazmem. – To moja branża, prawda? Sztuka widowiskowa! A Nowy Jork to jedno z moich ulubionych miejsc na świecie. Cieszę się, że kochała moje perły i radowała się nimi, gdy je miała. Ale jakim cudem trafiły do sklepu z używaną odzieżą? I co się z nimi stało, gdy je sprzedawała? Ma jakieś pojęcie?

– Podała nam nazwisko jubilera, który je sprzedał – odparła Sophia. – Hugo miał się z nim skontaktować dzisiaj po południu. Pewnie zachował informację na temat nabywcy. Trzymajmy kciuki, może zbliżymy się o krok do babci naszyjnika.

## *Rozdział trzydziesty czwarty*

Upper East Side, Nowy Jork, 2012

Aiko sączyła zieloną herbatę i z okna w swoim apartamencie obserwowała ruch w Central Parku. Był grudzień. Bożonarodzeniowa gorączka jak zawsze zaatakowała Nowy Jork z wielką siłą. Aiko podziwiała Nowy Jork wiosną, gdy powietrze było świeże, a park rozkwitał. Nie miała nic przeciwko także w szczycie lata, gdy wszyscy inni narzekali na duszący upał. Kochała jesień, kiedy miała za oknami szeleszczący ocean czerwieni, rudości i złota. Lecz najbardziej lubiła to miasto w Boże Narodzenie. Żadne inne miasto nie było tak rozświetlone w okresie świątecznym.

Być może lubiła ten okres dlatego, że Boże Narodzenie nie było jej świętem. Owszem, przejęła je z biegiem lat – skarpety na prezenty dla dzieci, misterne pakowanie prezentów, kolorowe światełka i ogromna choinka uginająca się pod ciężarem wybornych ozdób z Bloomingdale's. Gwiazdka pozostała jednak dla Aiko czymś egzotycznym i obcym; kobieta podziwiała ją z dystansem, którego urodzeni nowojorczyści nigdy by nie zrozumieli.

Tokio, Japonia, 1952

Jest takie sławne japońskie powiedzenie: „Siedź cierpliwie przez trzy lata, nawet na skale”. Z czasem Aiko poczuła na własnej skórze, co oznaczało – tylko że ona czekała już ponad cztery, a nie trzy lata na swojej samotnej twardej skale. Wciąż pracowała dla pana Oshiro w Peace Palace i była nadal jego najbardziej podziwianą hostessą. I mieszkała w jego domu.

Pan Oshiro okazał jej dużo dobroci i prawdopodobnie uratował jej życie, ale po obydwu stronach nie było prawdziwego uczucia. Po prostu byli sobie wzajemnie potrzebni. Aiko nie brała tego do siebie. Wszystkie relacje pana Oshiro wyglądały w ten sposób. Nauczyła się, że jego uśmiechom brakowało głębi. Z Naną

było zupełnie inaczej, rzecz jasna. Kochała Aiko całym swoim sercem i Aiko musiała się ze wszystkich sił starać, by nie odwzajemnić jej uczucia. Nie mogła sobie pozwolić na luksus miłości.

Listy z Kalifornii docierały do Peace Palace co miesiąc, punktualnie, jak w zegarku. Aiko nie odpisała na żaden, ale strzegła ich równie gorliwie, jak niegdyś pereł matki. Uśmiechała się, czytając słowa Bo. Dzielilo ich osiem tysięcy osiemset szesnaście kilometrów (Bo często o tym pisał w listach, a nawet narysował mapę), ale Aiko znajdowała pocieszenie w fakcie, że nawet tak daleko ktoś był po jej stronie.

Bo odszedł z armii i pracował w branży łączności. Zamieszkał z powrotem w San Francisco i pracował nad badaniami i rozwojem swojej dziedziny na Uniwersytecie Stanforda. Pisał Aiko o cudach techniki radiowej i rozwoju wspaniałych nowych maszyn, który był możliwy, gdy wojna się skończyła.

Jego dawna dziewczyna chciała, żeby do niej wrócił po przyjeździe z Japonii. Rodzicie namawiali go, by ją poślubił, on jednak pozostał wierny słowu. Nie poślubił swojej miłości ze szczenięcych lat. W listach nie wspominał o innych dziewczynach. W każdym liście natomiast pisał, że wie, iż Aiko pewnego dnia zmieni zdanie, a wtedy przyjedzie do Ameryki i zagarnie go dla siebie. Przyjaciele uważali, że oszalał, gdy opowiadał o swojej prawdziwej miłości z Japonii. Ale on im pokaże. Ona im pokaże. Pewnego dnia...

Zastanawiał się, jak Aiko sobie radzi w Tokio. Miał nadzieję, że nadal pracowała w barze, bo w przeciwnym razie, jak by te listy miały do niej dojść? Miał nadzieję, że nie jest samotna, ale modlił się do Boga, żeby się nie zakochała w innym mężczyźnie. Był ciekaw, czy nosi jego pierścionek.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku Japonia odzyskała wolność po amerykańskiej okupacji. Naród Aiko znowu rozkwitał, jak wiśnie na początku wiosny. Aiko jednak siedziała na swojej skale. Zabawiała gości baru, zamiatała podłogi w domu



Nany, robiła, co pan Oshiro jej kazał. W kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku, gdy zakwitły wiśnie, amerykańskie wojsko wycofało się z Tokio na dobre. Na barowych stołkach nie zasiadali już oficerowie, ale w Peace Palace nadal był duży ruch za sprawą nowej tokijskiej elity, więc Aiko nadal przywdziewała swój uśmiech i czekała. A potem, pewnego ranka w czerwcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku, zapukała do drzwi gabinetu pana Oshiro.

– Spodziewałem się ciebie – powiedział z typowym dla siebie nieodgadzionym uśmiechem.

Podszedł do sejfu, który nadal krył się za obrazem, i wyciągnął kilka plików banknotów.

– W dolarach – oświadczył. – Tak jak prosiłaś.

Aiko przeliczyła pieniądze.

– Nie ufasz mi, Aiko-chan? – zapytał pan Oshiro, nadal się uśmiechając. – Po tych wszystkich latach?

– Nie ufam nikomu z wyjątkiem siebie – odparła.

Skłamała. Ufała Bo. Ale nigdy nie powie o tym panu Oshiro.

– Wszystko się zgadza – stwierdziła Aiko i ostrożnie wsunęła pieniądze do nowej torebki.

– A więc... zostawisz nas? – spytał jej szef.

Przytaknęła.

– Pożegnałaś się z Naną?

Pokręciła przecząco głową.

– Napisałam do niej list. Wszystko wyjaśniłam. Może go pan jej przekazać? – poprosiła i położyła list na biurku.

Pan Oshiro przytaknął. Uśmiech na jego twarzy bladł.

– Będziemy za tobą tęsknić, Aiko – powiedział, a ona przez chwilę prawie mu uwierzyła.

Nie oglądała się za siebie, gdy wyszła z Peace Palace. Kupiła sobie drogą zachodnią sukienkę w domu towarowym w najbardziej eleganckiej tokijskiej dzielnicy sklepów, a także elegancką skórzaną walizkę i parę ślicznych butów. Tego wieczoru wsiadła na pokład samolotu pasażerskiego linii Pan Am lecącego z Tokio do San Francisco. Na dnie walizki schowała siedemdziesiąt trzy

tysiące dolarów – tyle wyniósł jej udział ze sprzedaży pereł i dochodu z inwestycji poczynionej w ciągu pięciu lat. Gdy wreszcie dotarła do Kalifornii, poprosiła taksówkarza, żeby zawiózł ją pod adres, który znajdował się w ostatnim liście. Kiedy Bo otworzył drzwi, wydawał się bezgranicznie zachwycony, ale ani trochę zdziwiony.

– Wiedziałem, że w końcu przyjedziesz, ale zdecydowanie się nie spieszyłaś!

Tylko tyle powiedział, zanim objął ją i pocałował.

Tym razem Aiko go nie odepchnęła. Już nigdy tego nie zrobiła. Bo przez te wszystkie lata pozostał wierny i nigdy jej nie zawiódł. Czekał na nią. Oboje byli cierpliwi – i siedzieli na swoich skałach – dość długo. Aiko się bała, ale chciała podjąć ryzyko. Może razem rozkwitną. Nadszedł czas, by dziecko amy albo zatoneło, albo popłynęło.

Aiko przyglądała się kucykom w Central Parku tak długo, aż nie mogła skupić na nich wzroku. Bo zabrał ją na przejażdżkę podczas ich pierwszych wspólnych świąt w USA. Przylecieli z Kalifornii do Nowego Jorku na długi weekend i Bo musiał jej kupić futro w sklepie przy Madison Avenue, bo było jej tak zimno.

Nagle poczuła, że do oczu napłynęły jej łzy. Miała wrażenie, że tęsknota za Bo ją przygniecie; tak samo czuła się w tygodniach po jego śmierci. Kiedy myślała o tym, przez co musieli przejść, by wreszcie być razem, nadal zapierało jej dech w piersiach. Miała szczęście, że go znalazła. Nie wystarczyłoby jej nawet tysiąc lat z tym mężczyzną.

## *Rozdział trzydziesty piąty*

Hampstead, Londyn, 2012

– Obawiam się, że mam złe wieści – powiedział Hugo raczej ponuro, gdy Sophia wróciła ze szpitala. – Jubiler na Manhattanie zachował informację na temat nabywcy naszyjnika. To był pan Jack Berman. Zapłacił za perły blisko milion dolarów we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

– No i? – spytała Sophia. – To brzmi zachęcająco. Skąd ta oswiała mina? Udało ci się go namierzyć?

– Tak jakby – odparł Hugo. – Rzecz w tym, że Jack Berman zginął w jednej z wież Twin Towers. Był na śniadaniu biznesowym w południowej wieży rankiem jedenastego września.

– To okropne – rzuciła przerażona Sophia.

– Wiem – zgodził się z nią Hugo. – Biedaczysko nie miał żony ani dzieci, oboje jego rodzice już nie żyli, więc kto odziedziczył naszyjnik po jego śmierci?

– Może nie miał tego naszyjnika u siebie. Na pewno kupił go dla kogoś – zastanawiała się na głos Sophia. – To znaczy, dla kobiety. Kawaler nie wydaje miliona dolarów na naszyjnik z pereł dla siebie. Na pewno miał dziewczynę albo kochankę w dziewięćdziesiątym pierwszym... Skąd moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej?

– Ma młodszego brata – poinformował Hugo. – To jedyny trop, jaki udało mi się znaleźć. Niejaki Joshua Berman też jest bardzo zamożnym biznesmenem, który mieszka na Manhattanie. Jest właścicielem dużego multimedialnego wydawnictwa. Posiada mnóstwo kolorowych pism o modzie, stron poświęconych modzie, wydaje książki o wystroju wewnątrz i tak dalej.

– Próbowałaś się do niego dodzwonić?

Hugo skinął głową.

– Nie mogę się przebić. Jego sekretarka to prawdziwy rottweiler. Nie pozwoli mi porozmawiać z panem Szychą o jego zmarłym bracie. Udało mi się namierzyć jego adres e-mail i

napisałem do niego kilka zdań. O ile rottweiler nie dopadnie tej wiadomości jako pierwsza, mam nadzieję, że on ją przeczyta. To, czy odpowie, to już zupełnie inna para kaloszy.

Upper East Side, Nowy Jork, 2012

– Dostałem dzisiaj dziwną wiadomość, kochanie – powiedział Josh Berman, nalawszy sobie szkockiej do szklaneczki i przechadzając się po sypialni, w której jego dziewczyna szykowała się na kolację.

– Tak? – spytała, wciągając przejrzystą czarną pończochę na idealnie opaloną nogę.

– Jakiś Anglik chce wiedzieć, co się stało z perłami Jacka po jego śmierci. Dasz wiarę? Teraz. Po takim czasie.

Blondynka nagle się wyprostowała, przestraszona. Oprócz skąpych czarnych majtek i jednej pończochy nie miała na sobie nic.

– Dlaczego pyta o te perły? – zapytała nerwowo. – Chyba nic mu nie powiedziałaś?

– Nie! – prychnął Josh. – Oczywiście, że nie. Nie zamierzam mu odpisywać i powiedziałem asystentce, żeby go zbyła, jeśli znowu zadzwoni. Nikomu nic do tego. To wyłącznie moja sprawa. I twoja! Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie niż jakiś głupi naszyjnik.

Josh Berman musnął dłońmi nagą talię dziewczyny i czule pogładził jej brzuch. Przyglądali się swojemu odbiciu w lustrze i podziwiali rosnący brzuszek. Stworzyli razem życie, mimo że zniszczyli po drodze życie innych ludzi.

– Zaczyna być widoczny – stwierdziła blondynka z dumą.

– Zgadza się, księżniczko – zgodził się z nią Josh.

Przyklęknął i pocałował brzuch z miłością.

– Nie będziemy mogli utrzymywać tego dłużej w tajemnicy – powiedziała i delikatnie przesunęła jego głowę w stronę swoich majtek.

Podniósł ciemnowłosą głowę i spojrzał prosto w jej idealnie błękitne oczy.

– Już prawie czas – oznajmił. – Niebawem wszyscy poznają prawdę. Dowiedzą się, że jesteś moja.

Dziewczyna uśmiechnęła się dumnie do swojego odbicia w dużym lustrze. Patrzyła z podziwem na ciężarny brzuch, podczas gdy jej kochanek ściągnął z niej majtki i zaczął ją namiętnie całować. Życie nie mogłoby być bardziej doskonałe. Tak długo czekała, by dojść do tego, i nikt ani nic nie stanie Calgary Woods na drodze.

## *Rozdział trzydziesty szósty*

Hampstead, Londyn, 2012

– Ten cały Berman nigdy się z nami nie skontaktuje, prawda?  
– zapytał Hugo zgarbiony nad swoim laptopem. – Nasza historia trafiła do wszystkich gazet za oceanem. Emitowali program z twoim udziałem w CNN i „Entertainment Tonight”. Dostałem setki e-maili i wpisów na Tweeterze od fanów Tilly, którzy życzą nam powodzenia i przysyłają nam kolejne zdjęcia ukazujące ją z naszymi, ale nie pojawiło się nic nowego. Nie sądzę, by udało nam się kiedykolwiek znaleźć te perły. Nie na czas... Nie bez pomocy Bermana.

– Babcia nie czuje się dobrze – odparła Sophia ze smutkiem.  
– Nie zgadza się, żeby odżywiano ją za pomocą kroplówek, a sama prawie nic nie je. Nie udało mi się nawet namówić jej na krem fiołkowy z Fortnum’s. A przecież to jej ulubiony! Do Bożego Narodzenia zostały zaledwie dwa tygodnie, Hugo. Chciałam odzyskać ten naszynnik na czas, ale tymczasem nie wiem, czy babcia dożyje świąt... Boże, Hugo, co ja bez niej pocznę?

Hugo podszedł do niej i ją objął. Nie czuł się już irytującym młodszym bratem, tylko starszym, odpowiedzialnym. Z każdym dniem coraz bardziej mówił jak dorosły, a mniej jak drugoplanowa postać z telewizyjnego reality show. Większość czasu spędzał na pracy z Sophią, a resztę w przytulnym gniazdku w Wanstead z Damonem. Sophia cieszyła się jego szczęściem. Czasami odnosił wrażenie, że jej babcia miała zbawienny wpływ zarówno na niego, jak i na Sophię. Jaka szkoda, że stanęli na nogi dopiero pod koniec jej życia.

– No dobra, rzucimy okiem na skrzynkę odbiorczą przed pójściem spać? – zaproponował Hugo wesoło. – Nie damy się złamać. Obudźmy w sobie ducha babci i podtrzymajmy ogień.

Sophia zdołała się cicho zaśmiać. Zbliżała się północ i oboje byli wyczerpani, ale warto było tak się wysilać dla babci. Tym bardziej że zostało jej już tak mało czasu. Dwójka przyjaciół

pracowała w milczeniu do momentu, gdy oczy Sophii zaczęły się same zamykać i dotknęła czołem monitora.

– Muszę się położyć – oznajmiła, stanęła na chwiejnych nogach i rozciągnęła obolałe ręce. – Jestem wykończona.

– Czeka! – krzyknął podekscytowany Hugo. – Mam tu e-mail od jakiejś kobiety z Australii. Zbiera stare czasopisma. Pisze, że znalazła zdjęcie naszyjnika w „Vogue” z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Według niej była supermodelka Valerie założyła go na ślub kogoś ze śmietanki towarzyskiej. To pewnie kolejny ślepy zaułek, ale obejrzyjmy załączniki. Tak na wszelki wypadek, dobrze?

Sophia zerknęła ponad ramieniem Hugona na zdjęcia przysłane z Australii. Zeskanowane fotografie nie były najlepszej jakości, a i w czasopiśmie były dość małe, ale...

– Faktycznie wygląda na naszyjnik babci – zdziwiła się Sophia, usiłując zmusić zmęczone oczy do patrzenia.

Hugo powiększył zdjęcia i zrobił zbliżenia na naszyjnik.

– Bingo – powiedział. – Spójrz na to. Widać zapięcie. To jest ten naszyjnik. Jestem tego pewien.

– Jasny gwint, Hugo. Chyba masz rację – rzuciła Sophia z nową werwą. – I jest Angielką, prawda? Ta Valerie? Jestem pewna, że mieszka w Londynie. Czy nie jest przypadkiem wielbicielką jogi i wiodącą zdrowy tryb życia dobroczyńcą?

Hugo wpisał w Google „Valerie” i „supermodelka”.

– Alle-kurwa-luja! – wykrzyknął. – Mieszka w Notting Hill. Nadal reprezentuje ją ta sama agencja. Możemy zadzwonić do nich rano. Ma czułe serce. Na pewno nam pomoże. Chodźmy spać. Jutro to rozgryziemy. Wiem, że tak będzie!

## *Rozdział trzydziesty siódmy*

Hampstead, Londyn, 2012

– Przyszła mi do głowy potworna myśl – powiedziała Sophia, pakując się do łóżka Hugona.

– Co jest? Sophia, wiem, że chcesz pójść dalej w tej sprawie, ale jeszcze nie jest rano.

– Wiem, tylko że nie mogę spać. Poważnie, Hugo. Nasz plan ma sporą wadę, o której nie pomyśleliśmy – oznajmiła i położyła głowę na jego ramieniu. Czują, jak jej serce pompuje krew. – Nawet jeśli ta Valerie ma naszyjnik, nie dostaniemy go. – Usiłowała nie panikować. – I właśnie to staram się powiedzieć. We wszystkich gazetach eksperci wypowiadali się na temat wartości naszyjnika. Niektórzy mówią o kilku milionach funtów, jeden wspomniał nawet o piętnastu! Wiem, że to tylko spekulacje, ale nasza głupota polega na tym, że padliśmy ofiarą własnego sukcesu: im więcej uwagi prasy przyciągamy, tym bardziej rośnie wartość naszyjnika. Babci na pewno nie brakuje gotówki i gdyby mogła odkupić perły za pięćset tysięcy czy nawet milion, na pewno by to zrobiła. Tylko że stworzyliśmy potwora. Będzie tak jak z perłami Elizabeth Taylor, o których wspomniałaś na początku tego wszystkiego. Fakt, że ofiarował je jej Richard Burton i wszyscy znają ich historię, wpłynął na wartość naszyjnika i zapłacono za niego znacznie więcej niż wtedy, gdyby należał do zwykłej osoby. Ludzie chcą sobie kupić kawałek historii, szyk, romantyzm. Obudziłam się w środku nocy i dotarło do mnie, że nawet jeśli znajdziemy naszyjnik babci, nie będzie nas stać na odkupienie go.

Hugo zmarszczył brwi.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał. – Tylko czy ludzie naprawdę są aż tak zachłanni? Prowadzimy te poszukiwania po to, żeby babcia mogła odzyskać perły przed śmiercią. Czy ktoś mógłby odmówić spełnienia ostatniego życzenia staruszki dla pieniędzy? Nie pożyczylby ich chociaż?

– Może tak – zastanawiała się Sophia. – A może nie. Bez



względu na argumenty natury moralnej, ktokolwiek jest właścicielem pereł w tej chwili, ma prawo zrobić z nimi, co zechce. Naszyjnik należy do tej osoby, nie do nas. Nie mogę uwierzyć, że do tej pory o tym nie pomyślałam. Tak bardzo się skupiałam na szukaniu tych pereł, że przestałam dostrzegać realia. Hugo, nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek zdołali odzyskać te perły. Poniesiemy porażkę. – Przełknęła gulę, którą poczuła w gardle. Nagle poczuła się zmęczona i przybita. – Ludzie są chciwi i samolubni, Hugo – powiedziała cicho. – My też tacy byliśmy, pamiętasz? I może zasłużyłam na fiasko.

– Sophio, nigdy byś się nie pozbyła tego naszyjnika, gdybyśmy zdołali go odzyskać – pocieszył ją Hugo i bardziej stanowczo pogładził po włosach. – Pozbieraj się i weź się do roboty. To jest to, czego twoja babcia potrzebuje.

Sophia słyszała jego słowa, ale nie docierały one do niej.

– Jestem wnuczką Tilly, a na początku widziałam tylko zera. Dlaczego ktoś inny miałby się wszystkim przejmować? Może z tego powodu obecny właściciel jeszcze się nie odezwał pomimo całego rozgłosu. Kto by się chciał rozstawać z czymś, co ma taką wartość? A jeśli się wstrzyma do czasu, gdy babcia odejdzie, naszyjnik będzie wart jeszcze więcej. Nikt się nie zgłosi, Hugo. Ja to wiem. To wszystko to tylko strata czasu, a ja obudziłam w babci nadzieję nadaremno.

– Prześpij się trochę, a gdy się obudzisz, zrobię ci jedną z moich najlepszych smażonych potraw i wtedy świat zacznie wyglądać lepiej. Zadzwonimy do agencji modelek punktualnie o dziewiątej. Posłuchaj, ta cała Valerie ciągle się angażuje w dobroczynność i nie jest biedna. Jeśli ma naszyjnik, na pewno odeśle nam go za cenę, na jaką stać twoją babcie. Albo my go spłacimy z czasem, albo co.

– A jeśli ona go nie ma? – spytała Sophia rozpaczliwie.

– To wydarzy się coś innego – odparł Hugo pewnym tonem.

– Nie trać nadziei, Sophio. Nie teraz.

Sophia pozwoliła, żeby głowa zrobiła się jej ciężka na torsie Hugona; powieki jej opadły mimowolnie. Usiłowała pochwycić

umykającą nadzieję, gdy odpływała w sen, i jej palce ją musnęły, ale nie złapały. Hugo miał rację, ale potrzebny był im cud. A jak Sophia mogła wierzyć teraz w cuda?

Upper East Side, Nowy Jork, 2012

Aiko nie mogła spać. Odkąd wróciła do własnego łóżka, jej bezsenność tylko się nasiliła. Na szczęście znajdowała się we właściwym mieście w przypadku takiej przypadłości. Zbliżała się pierwsza w nocy, ale w Nowym Jorku łatwo było znaleźć kawiarnię serwującą nadal kawę klientom nocnych klubów, pracownikom zmianowym i ludziom, którzy nie mogli spać. Siedziała przy barze, przyjąwszy niezbyt elegancką pozę na barowym stolku i, sącząc zbyt gorącą kawę, usiłowała uspokoić umysł, wpatrując się bezmyślnie w ekran telewizora wiszący nad głową baristy.

Historie rapperów i modelek nie interesowały jej ani trochę, ale gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie Tilly Beaumont, zaczęła patrzeć uważniej. Bo zabrał Aiko na film z Tilly Beaumont podczas ich pierwszej randki w San Francisco. Aiko na siłę oderwała się od wspomnień i patrzyła na wielki telewizor. Pokazywano serię zdjęć Tilly Beaumont, która miała na szyi naszyjnik z pereł. Z każdym kolejnym zdjęciem ręka Aiko trzęsła się coraz mocniej. Kawa wylała się z filiżanki, a duchy w jej głowie zaczęły wrzeszczeć i walić w ściany swojego więzienia. Gdy pokazano ostatnie zdjęcie ze zbliżeniem na ogromną środkową perłę, Aiko upuściła filiżankę, która rozbiła się na podłodze.

– Przepraszam, przepraszam – mruknęła do baristy Aiko, rzuciła banknot dwudziestodolarowy na bar i pobiegła do drzwi.

– Staruszko, pani reszta! – krzyknął za nią barista, ale Aiko go zignorowała.

Słyszała wyłącznie duchy, które wydostały się wreszcie na powierzchnię, oddychały i zabiegały o jej uwagę. Teraz przynajmniej rozumiała, dlaczego wróciły.



## *Rozdział trzydziesty ósmy*

Notting Hill, Londyn, 2012

– Gdybym miała te perły, w tej chwili pojechałabym do szpitala i oddała je twojej babci – powiedziała elegancka czterdziestokilkulatka siedząca na białej kanapie.

W domu Valerie wszystko było białe. Ściany, podłogi, meble, jedwabne szerokie spodnie, bawełniana koszulka, kaszmirowy szal, orientalny kot mruczący na jej kolanach – nawet minimalistyczna choinka była biała, podobnie jak gustowne ozdoby na niej wiszące.

– Nie do wiary, że przegapiłam tę historię – stwierdziła, wywracając dramatycznie ogromnymi kocio-zielonymi oczami – podczas gdy mogłabym wam tak bardzo pomóc. Jestem kluczową – kluczową! – postacią w tej historii. Czy mój agent powiedział wam, dlaczego nic nie wiedziałam? Byłam w Tajlandii. Prowadzę tam akcję na rzecz słoni. Jedną z setek, które wspieram na całym świecie. Obawiam się, że wypadłam z obiegu. W czasie wyjazdów wyłączam telefon, laptopa zostawiam w domu i całkowicie się zatapiam w lokalnej kulturze. Powinnaś kiedyś czegoś takiego spróbować. Prześlę ci wszystkie informacje. Jeśli zechcesz się w coś zaangażować, wystarczy, że zapytasz. Nic tak nie oczyszcza aury jak odrobina pracy charytatywnej w Afryce lub Azji.

Sophia posłusznie kiwała głową. Valerie mówiła spokojnie i łagodnie i sprawiała wrażenie zupełnie bezinteresownej, ale nikt nie miał szansy wejść jej w słowo lub zmienić obranego przez nią tematu.

– Podziwiam twoją babkę – ciągnęła i odrzuciła długie, lśniące czarne włosy. – Gdy zajęłam się modellingiem, studiowałam klasyczne angielskie aktorki: twoją babkę, Julie Christie, Audrey Hepburn, Elizabeth Taylor, i rozpaczliwie się starałam je naśladować w czasie sesji zdjęciowych. Te ich pozy! Elegancja! Gdybym tylko wiedziała, że mój naszyjnik należał niegdyś do Tilly Beaumont, chyba nigdy bym go nie oddała.

Miałam jednak tak wiele cennych rzeczy, gdy byłam młodsza i piękna... – Zamilkła i ustawiła niezaprzeczalnie piękną twarz profilem, żeby Sophia mogła ją podziwiać, a następnie zerknęła wyczekująco na swojego gościa.

– Nadal jesteś przepiękna, Valerie – powiedziała Sophia posłusznie.

– Jesteś zbyt łaskawa – odparła z udawanym zaskoczeniem. – Czas bywa okrutny. Czy twoja babka jest bardzo chora?

Sophia przełknęła ciężko ślinę i przytaknęła.

– Nie jest z nią dobrze – przyznała szczerze. – Jej lekarz obawia się, że może nie dożyć Bożego Narodzenia.

Mrugała intensywnie, żeby powstrzymać łzy. Pociągnęła łyk herbatki ziołowej z rumianku i lukrecji, którą Valerie jej zaserwowała w filiżance z cienkiej białej porcelany. Chciała się uspokoić. Herbatka miała paskudny smak.

– Wiem, jak okropnie jest tracić bliską osobę, ale chyba wiesz, że to nie jest koniec? Znam w South Kensington cudowną kobietę, która ma dar nawiązywania kontaktu ze zmarłymi. Dam ci jej numer. Domyślam się jednak, że chciałabyś się dowiedzieć czegoś o naszyjniku. To jest historia miłosna, rzecz jasna... Bo czy w ogóle warto opowiadać inne?

Hampstead, Londyn, 2012

– Wydaje się przezabawna! – rzucił Hugo, zaśmiewając się ze sposobu w jaki Sophia naśladowała Valerie. – Prawda, Damonie?

– Raczej jest kompletną świruską – stwierdził Damon.

– Co to za historia? – zapytał Hugo z szeroko otwartymi oczami. – Ta dotycząca Valerie i pereł?

– Była kochanką Jacka Bermana w latach dziewięćdziesiątych – wyjaśniła Sophia. – Dał jej perły w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, kilka tygodni po tym, jak je kupił, więc domyślam się, że od początku miały być prezentem dla niej.

– Zdradź nam wszystkie plugawe szczegóły na temat

modelki i playboya – błagał Hugo.

Damon mu przytakiwał.

– No dobra, chłopcy. Jeśli siedzicie wygodnie, zacznę...

Hotel Waldorf-Astoria, Nowy Jork, 1991

Dawno, dawno temu żyła sobie bardzo piękna, ale trochę zbzikowana dziewczyna, która podpisała kontrakt z agencją modelek w Londynie. Nazywała się Valerie Bull, ale agencja słusznie uznała, że powinna się przedstawiać po prostu jako Valerie. I tak też się stało. Miała czarne włosy i zielone oczy, była wysoka, szczupła i gładka jak czystej krwi młoda klacz.

We wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku miała dziewiętnaście lat i po raz pierwszy wzięła udział w tygodniu mody w Nowym Jorku, gdzie mianowano ją nową oblubienicą światka mody. Podczas przyjęcia w hotelu Waldorf-Astoria wypatrzył ją jeden z najlepszych kawalerów do wzięcia na Manhattanie. Nazywał się Jack Berman. Był przystojny, dziarski i wart mnóstwo dolarów. Kupił jej pod choinkę wyjątkowy naszyjnik z pereł.

Ich związek trwał pomimo utrudnień w latach dziewięćdziesiątych. Chociaż udawało im się pojawiać razem na ślubach celebrytów, galach oscarowych, w Cannes, na Grand Prix w Monako i festiwalu w Glastonbury, spędzali ze sobą czas wyłącznie w pięciogwiazdkowych hotelach. Valerie ciągle była w drodze między Nowym Jorkiem, Londynem, Paryżem i Mediolanem. Niebawem zaczęła pić w samotności szampana na śniadanie, wstrzykiwać sobie heroinę z koleżankami modelkami na lunch i wciągać kreski kokainy z podstarzałymi gwiazdami rocka na kolację. Była pojętna, więc wiedziała, że należy wbijać igłę między palce, żeby ukryć ślady, a dzięki temu będzie szczupła i fotografowie będą chcieli robić jej zdjęcia. Biedulka przez lata nie jadła nic bardziej kalorycznego niż rukola i kawior z białym.

Valerie nadal była zakochana w Amerykaninie, ale on wiódł zdrowy tryb życia, więc musiała ukrywać przed nim swoje złe nawyki, gdy byli razem. Gdy przyłapał ją wreszcie na

wstrzykiwaniu sobie heroiny w łazience w jego apartamencie w Upper East Side, zamiast się jej pozbyć, zapłacił za jej pobyt w eleganckim ośrodku odwykowym w Arizonie i udzielił słodkiego wywiadu dla „New Yorkera” na temat życia z partnerką, która ma skłonność do uzależnień (w którym wspomniał też kilkakrotnie o swoich nowych przedsięwzięciach biznesowych).

W Arizonie Valerie malowała abstrakcyjne akwarele, pływała w otwartym basenie i uczestniczyła w terapii grupowej z udziałem sławnych przyjaciół, których tam spotkała. Kiedy w końcu wyszła z ośrodka po trzech miesiącach, była czysta i, jak powiedziała najlepszym kolorowym czasopismom, którym udzielała wywiadów na wyłączność (z gwarancją zdjęć na okładce), zainteresowała się jogą, homeopatią i medytacją transcendentálną.

Nowa, bardziej promienna i mądrzejsza Valerie nie posiadała się ze szczęścia, gdy Jack oświadczył się jej wreszcie w Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku, i zaczęła planować najdroższe wesele na świecie. Suknię ślubną projektował jej w tajemnicy jej kochany przyjaciel Karl Lagerfeld, para udzieliła „w domu” dwunastostronicowego wywiadu dla czasopisma „Hello!”, Valerie zarezerwowała jeszcze nieotwarty hotel Babington House na kolejne lato i rzuciła się w wir ustalania usadzenia pięciuset gości będących jej najbliższymi przyjaciółmi.

Okazało się jednak, że dziarski miliarder nie był zbytnio zachwycony nową, lepszą Valerie. Nie lubił zielonej herbaty i wolał gorączkowy seks od tantrycznego. Na trzy tygodnie przed wielkim dniem Valerie przyłapała go w łóżku z nastoletnią modelką z Ukrainy. Była dogłębnie zrozpaczona (jak powiedziała ze łzami w programie Oprah), ale nie poddała się starym demonom. Zamiast tego zrezygnowała na zawsze z mężczyzn i oddała się działaniom dobroczynnym.

Spakowała naszyjnik z pereł i odesłała go byłemu narzeczonemu. Gdy Jack zginął w Twin Towers, nadal był głęboko zakochany w Valerie (jak się jej wydaje) i na pewno zachował naszyjnik na pamiątkę ich związku. Raczej nie podarował go żadnej z ponętnych młodych modelek, które zajęły jej miejsce (jak

się jej wydaje). Valerie nie mogła być tego pewna, bo nie rozmawiali ze sobą od rozstania w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

Valerie jest obecnie singielką i poświęca się ratowaniu zwierząt, ale jeszcze nie wie, co będzie robiła w następnym wcieleniu. Koniec.

Hampstead, Londyn, 2012

Chłopcy tarzali się po podłodze ze śmiechu.

– Naprawdę była aż tak nieznośna? – zapytał Hugo.

– Tak! – odpowiedziała Sophia.

– A co z naszyjnikiem? Valerie choć trochę ci pomogła? – dociekał jej przyjaciel.

Sophia wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę to nie wiem. Wyrzuca z siebie tyle bzdur, że trudno wyłuskać z tego prawdę... Uważa jednak, że Jack Berman nie był w stałym związku z nikim po ich rozstaniu.

– Ma rację – potwierdził Hugo. – Jest zatem prawdopodobne, że albo sprzedał naszyjnik po tym, jak Valerie mu go odesłała, albo zachował go w ramach inwestycji.

– W takim przypadku odziedziczyłby go jego brat Joshua – stwierdziła Sophia.

– A ten podły drań nie odbiera telefonów ode mnie i nie odpowiada na e-maile! – rzucił Hugo z rozdrażnieniem.

Sophia czuła presję nasilającą się wraz z uciekającym czasem. Zdołali dowiedzieć się sporo na temat historii naszyjnika, ale czy to ich dokądkolwiek zaprowadzi? Przerazała ją myśl, że to będzie zbyt mało i zbyt późno.



## *Rozdział trzydziesty dziewiąty*

Lower East Side, Manhattan, 2012

Dominic zajrzał do swojego ulubionego baru w drodze do domu po kolejnym spotkaniu z ludźmi z telewizji, które skończyło się fiaskiem. Wyglądało na to, że nikt nie chciał jego historii z Ekwadoru. Co się stało z nimi wszystkimi? Nie było go w Nowym Jorku przez trzy miesiące, a gdy wrócił, okazało się, że gatunek filmów dokumentalnych wyszedł z mody. Nie chciał rezygnować z projektu, ale zaczął odnosić wrażenie, że nie będzie miał wyboru. Może będzie musiał znaleźć nowy temat? Zrobi sobie kilka tygodni luzu, a potem się ogarnie w nowym roku. Będzie się mógł skupić na znalezieniu nowego mieszkania, a przynajmniej na nabyciu jakichś mebli do tego, które nadal zajmował. Może kanapa i telewizor plazmowy poprawią mu nastrój?

Zamówił obiad i piwo. Wziął stos gazet i czasopism, żeby je przejrzeć. Przyjechał przed sześcioma miesiącami, ale był zajęty pracą nad filmem i próbą sprzedania go komuś – komukolwiek – i nie miał czasu zorientować się, co jeszcze działo się na świecie. W ciągu pięciu miesięcy zdołał zrujnować swoje małżeństwo i pracę. Świetna robota, Dom!

Kartkował bezmyślnie kolorowe czasopismo, równocześnie pochłaniając mięsnego klopsa i usiłując ignorować bożonarodzeniowe piosenki, które puszczano w barze. Wtem zawahał się i przyjrzał zdjęciu wyjątkowo pięknej dziewczyny. Zaledwie dzień wcześniej Dave nabijał się z jego braku zainteresowania płcią przeciwną. Najlepszy przyjaciel próbował go przekonać do randek przez internet, ale Dom nie był zainteresowany przeglądaniem zdjęć kobiet na ekranie komputera. Nie chciał również spotykać się z córką fryzjerki swojej matki ani siostrą jej instruktora pilatesu. Jak rany, gdyby dostawał dolara za każdym razem, gdy jego mama dzwoniła z informacją o potencjalnej możliwości randki, nie musiałby już kręcić filmów. Byłby ustawiony do końca życia! Nie. Dominic McGuire przysiągł

sobie, że skończył z kobietami. Takie były skutki ożenku – i rozwodu – z kobietą taką jak Calgary. Miał przyjaciół, psa, a do niedawna miał też karierę. Lecz nadal był mężczyzną z krwi i kości, więc mógł popodziwiać sobie zdjęcie dziewczyny w czasopiśmie, prawda?

Przeczytał pobieżnie artykuł. „Sophia Beaumont Brown, lat 30, wnuczka angielskiej aktorki Tilly Beaumont, szuka zaginionego naszyjnika z pereł wartego około ośmiu milionów dolarów”.

– No jasne, że go szukasz – mruknął do siebie Dominic. – Gdyby moja rodzina straciła coś tak wartościowego, też bym tego szukał!

Młoda kobieta ze zdjęcia była ładząco podobna do babki. Dominic i jego mama często oglądali razem stare filmy, gdy był dzieckiem i bardzo mu imponowało wszystko, co brytyjskie. Nikt już nie kręci takich filmów. I nie ma już takich kobiet. Przynajmniej na Manhattanie. Uznał, że w Londynie sprawy się mają inaczej, sądząc po zdjęciu Sophii Beaumont Brown. To była taka sama klasyczna piękność jak jej babka – wysokie kości policzkowe, pełne spojrzenie, krągłości we właściwych miejscach i nogi do samego nieba. Była jednak trochę bardziej mroczna. Wyglądała dość niebezpiecznie.

Dom przeczytał artykuł, gdy kończył obiad i popijał zimne piwo. Spojrzał na fotografię. I zamarł. Tilly Beaumont miała na szyi perły Calgary! Rozpoznałby ten naszyjnik wszędzie. Calgary zakładała go na wszystkie wyjątkowe okazje. Założyła je też w dniu ich ślubu. Setki razy zapinał zapięcie na jej szyi. Żartowała, że inicjały LMB to skrót od Lady Macbeth! Kiedy ją zapytał, skąd ma ten naszyjnik, powiedziała, że dostała go podczas jednej z sesji zdjęciowych i chociaż perły wyglądały na prawdziwe, były dobrej jakości sztuczną biżuterią. Co za kłamczucha!

Dom popędził do domu, ściskając czasopismo w dłoni. Minął Guida, po drodze się z nim witając, a potem biegł po schodach, pokonując dwa na raz. Blondie jak zawsze nie posiadała się z radości, gdy Dom wrócił do mieszkania.

Pochylił się i czule zmierzwił jej sierść. Tak mocno zamachała ogonem, że przewróciła jedną ze stert książek nadal walających się na podłodze.

– No, mała – powiedział do Blondie i wziął jej smycz. – Pójdziemy na spacer.

Pobiegli Allen Street i skręcili w lewo w stronę Manhattan Bridge, po drodze omijając ludzi robiących bożonarodzeniowe zakupy. Blooklyn Heights leżą około trzech kilometrów od Bowery. Dom nigdy nie rozumiał, dlaczego tak mało osób spaceruje po Nowym Jorku. Nie miał ostatnio dużo czasu na chodzenie na siłownię, ale chodził lub biegał niemal wszędzie, dzięki czemu zachowywał dobrą kondycję. Było już prawie ciemno, gdy on i Blondie skręcili w Cranberry Street. We wszystkich domach paliły się światełka choinkowe. Po raz pierwszy w tym okresie Dominic poczuł, że jego serce trochę zmiękło. Suka wiedziała, dokąd idą, i przez ostatnie pięćdziesiąt metrów ciągnęła swojego pana, po czym wdrapała się po schodach domu Dave'a.

– Twój drugi dom, co, Blondie? – powiedział, łapiąc oddech. Zadzwoił do drzwi. – Czasami wydaje mi się, że wolałabyś mieszkać z Dave'em, Elle i dziećmi, a nie ze mną.

Suka pomachała entuzjastycznie ogonem.

– Wy, kobiety, nie wiecie, co to lojalność – droczył się z nią.

– Wujek Dom! Wujek Dom! Mamo! Tato! To wujek Dom! I przyprowadził Blondie! – krzyczała najstarsza córka Dave'a i Ellen, Evie, gdy otworzyła drzwi i rzuciła się w ramiona Dominica. Była przebrana za elfa.

Cała trójka dzieci Dave'a miała jego bujne, kręcone kasztanowe włosy i szalone poczucie humoru oraz niespożytą energię matki. W tym domu nikt nigdy nie był cicho! Evie pocałowała Doma w policzek i wymknęła się z jego objęć, żeby się przytulić do Blondie. Dwie sekundy później zaatakowali go Sonny i Carly – młodsza dwójka. Kiedy Dave i Ellen pojawili się w przedpokoju, wszyscy się obejmowali, całowali i przybijali sobie piątki, krzyczeli i piszczeli. Było też słychać podniecone

szczekanie psa. Dopiero po kilku minutach mogli normalnie rozmawiać. W końcu Ellen zagoniła dzieciaki i Blondie do pokoju zabaw i poziom hałasu trochę spadł.

Dom uśmiechnął się szeroko. Kochał tę rodzinę całym sercem. Calgary tego nie pojmowała. Nie przepadała za Dave'em i Ellen. Mawiała, że Dave jest „włochaty, głośny i nieokrzesany”, i rozpaczała nad Ellen, która była według niej „naprawdę bardzo atrakcyjna, gdyby nie chodziła wiecznie zmęczona, niechlujna i nieumyta”. Nie podobało się jej bardzo, że Ellen żyła w otoczeniu dziecięcych zabawek, śladów palców na ścianach i ryczącego w tle telewizora, w którym zawsze leciały kreskówki. Twierdziła, że ten dom przyprawiał ją o ból głowy, i nie chciała tu przychodzić. Lecz dom przyjaciół Dominica był wszystkim, czego potrzebował – miejscem ciepłym, serdecznym i pełnym miłości. Kto by się przejmował tym, że kanapę podrapał kot? I że uchwyt na papier toaletowy zawsze był pusty? Kto by dbał o to, że na ścianach w kuchni ktoś przykleił płatki cheerios?

– Cóż to za nieoczekiwana wizyta? – zapytał Dave i podał Domowi piwo z lodówki. – Przecież mogło nas nie być. Mogliśmy wyjść do opery, pójść na jakąś elegancką kolację w centrum miasta lub do teatru...

– Wydaje mi się, że Dom zna nas dość dobrze – zaśmiała się Ellen.

– Musicie to zobaczyć – oznajmił Dominic i wyciągnął czasopismo z plecaka.

Zgarnął okruchy z kuchennego stołu i rozłożył artykuł na temat Tilly Beaumont.

– O, ja pierdziele! – wykrzyknęła Ellen, która rzadko przeklinała. – Jasna cholera!

– Wiem – przytaknęła jej Dom.

– Ale co? – zapytał Dave i podrapał się po głowie. – Nie rozumiem. Dziewczyna jest super, zgadzam się, ale w każdym czasopiśmie roi się od fajnych dziewczyn. Co was tak ekscytuje w naszymniku jakiejś staruszki?

– To naszownik Calgary – odpowiedzieli mu Dominic i Ellen

jednocześnie.

- Nie rozumiem – stwierdził Dave, kręcąc głową.
- Ja też nie – dziwiła się Ellen na głos. – Pracuje w branży mody. Na pewno czytała tę historię. Dlaczego nie dała znać, że ma naszyjnik?
- Też się nad tym zastanawiam – przyznał Dominic.
- Wyjaśnijmy to – wtrącił się Dave. – Calgary posiada bardzo drogi naszyjnik z pereł, który w latach osiemdziesiątych należał do hollywoodzkiej gwiazdy. Rodzina tej kobiety szuka teraz naszyjnika, a Calgary milczy jak zaklęta.
- Zadzwoń do niej – oznajmił Dom i chwycił telefon.
- Nie – powiedziała Ellen łagodnie. – Pozwól, że ja to załatwię. Nie rozmawialiście ze sobą od czasu rozstania, prawda? Dom pokręcił głową.
- Może cię zignorować – zauważyła Ellen. – Wyślę jej e-mail. Nie będzie na tyle niegrzeczna, żeby mnie zlekceważyć.
- Okej. Może masz rację – przystał na to Dom. – Skontaktuję się tymczasem z tą całą Sophią. Przekażę jej dobre wieści. Dave podniósł czasopismo i przytaknął.
- Dobry plan – rzucił. – A może przy okazji zapytałbyś ją, czy nie jest przypadkiem singielką?

## *Rozdział czterdziesty*

Hampstead, Londyn, 2012

Do Bożego Narodzenia zostały niecałe dwa tygodnie. Stan zdrowia babci gwałtownie się pogarszał. Hugo i Sophia nadal wstawali wcześniej rano każdego dnia i biegli do komputerów, żeby sprawdzić, co dała ich kampania, ale robili to z mniejszą nadzieją niż wcześniej. Im dłużej trwały poszukiwania, tym mniej wierzyli w to, że ich marzenia się ziszczą. Sophia jednak nie mogła się teraz poddać, więc ona i Hugo znowu zasiedli przed komputerami...

– Hugo! Nareszcie! – powiedziała Sophia głosem tak roztrzęsionym, że prawie go nie rozpoznała. – Wiem, gdzie są perły babci. W Nowym Jorku!

– Jesteś tego pewna? – spytał jej przyjaciel.

– Jak najbardziej – odparła Sophia. – Należą do kobiety, która się nazywa Calgary Woods.

– A skąd wiesz? – zainteresował się Hugo i wstał ze swojego krzesła tak gwałtownie, że się przewróciło do tyłu.

– Właśnie dostałam e-mail od jej byłego męża. Przesłał mi ich zdjęcia ślubne, na których Calgary ma perły na szyi. Píše, że gdy przeczytał artykuł o babci, od razu wiedział, że szukamy pereł należących do jego byłej żony. Wszędzie by je rozpoznał. Nie widzę powodu, dla którego miałby przysyłać taką wiadomość, gdyby nie miał pewności. Hugo, chyba w końcu nam się udało! – krzyknęła Sophia i wreszcie pozwoliła sobie uwierzyć w słowa, które miała przed oczami.

Wstała i rzuciła się w objęcia najlepszego przyjaciela. Oto nadeszła ta chwila. Po raz pierwszy w życiu Sophia odniosła sukces.

– To co teraz? – zainteresował się Hugo.

– Muszę polecieć do Nowego Jorku – rzuciła Sophia z ekscytacją. – Tylko jak, do diaska, mam to zrobić. Przecież nie mamy pieniędzy.

Upper East Side, Manhattan, 2012

– Dominic zainteresował się moją sprawą, Josh! – powiedziała Calgary. – Właśnie dostałam e-mail od jednej z jego przyjaciółek, Ellen. Opowiadałam ci o nich. O Ellen i Davie. Mieszkają w Brooklynie...

Wypowiedziała słowo „Brooklyn”, jakby było obrzydliwe, bo wiedziała, że Josh jest zatwardziałym snobem w kwestii miejsca zamieszkania. Prawda natomiast była taka, że Calgary zawsze potajemnie zazdrościła Ellen i Dave’owi. Miała z nimi niewiele wspólnego, ale nie znosiła ich towarzystwa głównie dlatego, że nie mogła patrzeć na oczywistą miłość, jaką darzyli siebie nawzajem. Cieszyli się tym, co usiłowała udawać z Domem. Opuściła dłoń na zaokrąglony brzusek. I cieszy się tym teraz, prawda? Josh był odwrócony do niej plecami. Zapinał spinki przy mankietach i nie wiedział nic o wątpliwościach, które ją teraz opadły.

– Taa. Przeklęta Valerie też puściła farbę – rzucił z goryczą. – Ten Angol Hugo zarzuca mnie kolejnymi e-mailami na temat pereł. Cholera, przecież to są twoje perły, Calgary! Nie ukradliśmy ich. Zostawił mi je brat, a ja postanowiłem ci je dać. Gdzie tu przestępstwo? Dlaczego ktoś może nas szantażować emocjonalnie i zmuszać do oddania ich tylko dlatego, że jakaś staruszka umiera? To nie nasza wina, że je straciła.

Calgary westchnęła i pogładziła się po brzuchu. Kochał ją, prawda? Dał jej naszyjnik, dotrzymał słowa i wszystko będzie już doskonale, prawda?

– Ellen twierdzi, że Dominic skontaktował się z tą wnuczką w Anglii. Niebawem nas znajdą. Albo Dom nas znajdzie. Nie mogę się z nim spotkać w takim stanie – zauważyła. – Jak to wytłumaczymy?

Jej ciąża załamała Dominica. Calgary nie powinna za niego wychodzić, teraz to wiedziała i poczuła ogromną ulgę, gdy ta fikcja się skończyła, ale nigdy nie zamierzała krzywdzić Doma. Nie był złym człowiekiem. I wiedziała, że ją kochał. Jak zniesie wiadomość, że była w ciąży z innym mężczyzną?

– Kiedyś musi się dowiedzieć, kochanie – powiedział Josh, objął ją za ramiona i pocałował w szyję. – Posiadanie dziecka nie jest przestępstwem. Zbyt długo się ukrywaliśmy. Tym razem musimy pozwolić na to, żeby sprawa wyszła na jaw.

– Nie chcę tracić naszyjnika – oznajmiła głosem małej dziewczynki przyzwyczajonej do stawiania na swoim. – Wiesz, ile te perły dla mnie znaczą. Jestem pewna, że dla mnie są cenniejsze niż dla Tilly Beaumont.

– Nie pozwolę im odebrać ci naszyjnika, księżniczko – zapewnił ją Josh i pocałował czule w głowę. – Obiecuję.

Uwielbiała, kiedy Josh nazywał ją księżniczką, ale teraz chciała być jego królową.

– Co zrobimy, jeśli się pojawią? – zapytała, nawijając nerwowo kosmyk włosów na palec.

– Powiemy im, że mogą dostać naszyjnik, ale zażądamy za to cholerstwo takiej ceny, że nigdy nie będzie ich na nie stać.

No jasne. Josh nie pozwoli, by ktokolwiek zabrał jej perły. Kochał ją.

– A tak przy okazji, czytałaś gazetę? – zapytał Josh, sięgając po egzemplarz „New York Timesa”. – Wczoraj znaleziono w Central Parku nieprzytomną Aiko Watanabe. Nie wiadomo, czy ktoś ją napadł, ale musisz uważać, skarbie. Zwłaszcza w tym stanie. Od tej pory proszę, żebyś wracała przed zmrokiem. Widziałem się z panią Watanabe kilka razy i powiem ci, że to krzepka staruszka. Jeśli coś takiego mogło się przytrafić jej, może spotkać każdego.

– Aiko Watanabe? – zainteresowała się Calgary. – Właścicielka Pearl, prawda?

– Zgadza się – potwierdził Josh. – Nic dziwnego, że jest jedną z najbogatszych kobiet w kraju. Na szczęście nic jej nie będzie. Tak piszą w gazecie. Niemniej, jeśli coś takiego dzieje się w naszej okolicy, trzeba uważać.

Hampstead, Londyn, 2012

Sophia miała nadzieję, że długi spacer po Hampstead Heath



pomoże jej znaleźć rozwiązanie, ale bez względu na to, jak bardzo się starała, nie potrafiła znaleźć sposobu na to, żeby wejść w posiadanie ponad dwóch tysięcy funtów w ciągu dwudziestu czterech godzin. Bilety lotnicze do Nowego Jorku tuż przed Bożym Narodzeniem nie były tanie. Lekarz prowadzący babci wyraźnie dał do zrozumienia, że jej dni są policzone. Jeśli Sophia nie polecą do Nowego Jorku i nie znajdzie pereł w ciągu kilku dni, będzie za późno. Nie mogła prosić babci o pieniądze, bo była zbyt słaba, żeby zajmować się takimi sprawami. Naturalnie, nie mogła zwrócić się do rodziców. Hugo próbował prosić o pomoc swoich rodziców, ale byli w drodze na Barbados i nie sposób było się z nimi skontaktować. Sophia przejrzała wszystkie swoje rzeczy w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby naprędce sprzedać, ale nie znalazła niczego naprawdę wartościowego. U babci w domu było mnóstwo antyków i kosztowności, ale Sophia nie mogła ich sprzedać. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nauczyła się, że nie ma prawa rozporządzać czymś, co nie należy do niej. W którąkolwiek stronę by się odwróciła, napotykała mur.

Wróciła do domu, ściągnęła kozaki i poszła przygnębiona do salonu. Tam siedzieli obok siebie Hugo i Damon z głupkowatymi uśmiezkami na twarzach.

– Co jest? – zapytała Sophia trochę nerwowo. – Dlaczego wydajecie się tacy zadowoleni z siebie?

Hugo wskazał ruchem głowy na stolik kawowy przed sobą. Siedział z rękami wsuniętymi pod uda, jakby nie ufał, że w przeciwnym razie zdołałby usiedzieć na miejscu. A na stoliku leżały paszport Sophii i jakieś wydruki.

– Co to jest? – zapytała, podnosząc kartki.

– Szczegóły dotyczące lotu i karta pokładowa – Hugo prawie krzyknął, bo nie mógł dłużej tłumić podniecenia. – Wylatujesz dzisiaj wieczorem.

– Nie rozumiem – zdołała z siebie wydusić. – Jak to? Kto za to zapłacił?

– Damon – pisnął Hugo. Uwolnił ręce i objął swojego chłopaka w talii. – Czy nie jest wspaniały?

– Damon? – Sophia popatrzyła na młodego mężczyznę siedzącego na kanapie babci. – Damon, to naprawdę zbyt wiele.

Uśmiechnął się do niej nieśmiało i wzruszył ramionami.

– Dość dobrze zarabiam – wyjaśnił. – Nie mam żony i dzieci na utrzymaniu. Mam pieniądze, Sophio. Nie miliony, ale więcej, niż potrzebuję. Kiedy Hugo powiedział, że musisz czym prędzej lecieć do Nowego Jorku, wiedziałem, że mogę ci pomóc. I chcę to zrobić.

– Dziękuję – powiedziała Sophia, przełykając gulę, którą poczuła w gardle. – Oddam ci pieniądze, gdy tylko będę mogła. Obiecuję.

## *Rozdział czterdziesty pierwszy*

Bowery, Manhattan, Nowy Jork, 2012

– Cześć – powiedział w barze wysoki mężczyzna o surowej urodzie. – Dominic McGuire. Zapewne Sophia?

Poczuła, że się rumieni. Mężczyzna miał orzechowe oczy z uroczyimi kurzymi łapkami i niebywale długimi, gęstymi rzęsami. Przy jego bicepsach Damon wyglądał rachitycznie... Sophia musiała doprowadzić się do porządku. „Opanuj się kobieto” – pomyślała. „Przyjechałaś tu odzyskać naszyjnik babci, a nie pożerać wzrokiem miejscowych”.

– Dobrze się czujesz? – zatroszczył się Dominic McGuire. – Wyglądasz na lekko półprzytomną.

Sophia zarumieniła się jeszcze bardziej i usiłowała odzyskać głos.

– Przepraszam – zdołała wykrztusić. – Jestem trochę skołowana. To po podróży przez Atlantyck...

Cholera. Nie mogła przestać się rumienić. Co się z nią działo?

– Na pewno jesteś wyczerpana – zauważył uprzejmie Dominic. – Siadaj, siadaj. Napijmy się kawy i zjedzmy coś. Jesteś głodna?

Tym razem to on się zarumienił. Sophia poczuła dziwne iskrzenie między nimi. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Czy właśnie to ludzie mieli na myśli, gdy mówili, że między jakimiś osobami pojawia się chemia? A może to był skutek lotu transatlantyckiego?

– Myślę, że zjem klopa – wydusiła z siebie. – Nie martw się. Mam zdrowy apetyt i jestem mięsożercą.

– Domyślam się – mruknął Dominic z uśmiechem.

Ich spojrzenia się spotkały. Czy on myślał to samo co ona? Czy słowo „apetyt” obudziło w nim skojarzenia z namiętymi pocałunkami, ściągnięciem zimowych swetrów przez głowę i...

– Jesteś bardzo piękna – rzekł.

Przez chwilę siedzieli w niezręcznym milczeniu. Dominic odwrócił wzrok.

– Mówię jak palant! Przepraszam, Sophio. To przez mojego kumpla Dave’a. Gada o tobie, odkąd pokazałem mu artykuł w gazecie, a teraz siedzisz tu przede mną. Mamy ten niezręczny moment za sobą. Witaj w Nowym Jorku, Sophio Beaumont Brown. Pozwól, że zamówię dla ciebie naszego sławnego klopsa.

Sophia się uśmiechnęła, a jej uśmiech przeszedł w śmiech, który był chyba zaraźliwy, bo po chwili także Dominic zanosił się od śmiechu, choć oboje nie wiedzieli, co ich tak rozśmieszyło. Naprawdę przełamali lody i niebawem siedzieli nad talerzami z parującym jedzeniem i dzielili się opowieściami o sobie.

– Calgary miała już naszyjnik, gdy ją poznałeś? – zapytała Sophia, przechodząc wreszcie do sedna.

– Tak. Powiedziała mi, że to sztuczna biżuteria i że dostała ją na planie sesji zdjęciowej. Nie miałem powodu, żeby jej nie wierzyć.

– Według nas naszyjnik należał do niejakiego Joshuy Bermiana – wyjaśniła Sophia. – Calgary dostała go zapewne od niego. Czy to ma jakiś sens? Znasz go?

Dominic zamarł z uniesionym widelcem i patrzył na Sophię.

– Josh Berman? – upewnił się. – Dlaczegoż to Josh Berman miałby dawać Calgary naszyjnik wart miliony dolarów?

– A więc go znasz? – spytała podekscytowana Sophia. Może w końcu uda im się poskładać fakty?

– Josh Berman to szef Calgary – poinformował Dominic. – Właściciel całej firmy. Calgary jest dyrektorem kreatywnym czasopism modowych, ale... To nie ma sensu. Calgary ma ten naszyjnik od lat. Miała go już wtedy, gdy się poznaliśmy. A wtedy była tylko asystentką. Dlaczego szef miałby dawać asystentce prezent wart tyle pieniędzy?

Sophia się wzdrygnęła. Pytanie unosiło się w powietrzu jak ciemna chmura. Sophia dostrzegła, że do Dominica dociera, co się wydarzyło. Czuła jego ból. Wreszcie wyartykułował to, o czym oboje myśleli.

– Miała romans z szefem, prawda? – powiedział, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nic dziwnego, że tak szybko awansowała. W jednej chwili wieszala sukienki w szafie i biegała po sojowe latte dla szefowych, a w następnej zarządzała całym tym bałaganem. Tylko że w tym czasie była ze mną...

– Może ich romans się skończył? – zasugerowała Sophia, która czuła się paskudnie w związku z tym, że zrzuciła na niego tę bombę. – Może się przyjaźnili? Albo był jej mentorem?

Dominic się zaśmiał, ale tym razem nie było w jego śmiechu wesołości.

– Nie wydaje mi się, żeby ich romans się skończył – stwierdził. – Byłem chyba największym głupcem w historii. Josh Berman jest żonaty. Przepraszam. Był żonaty. Rozwiódł się tego lata, dokładnie w tym samym momencie, w którym Calgary odeszła ode mnie. Co za zbieg okoliczności, prawda? Bywaliśmy razem na weekendowych imprezach u Bermanów na Long Island. Ja i jego biedna żona zostawialiśmy Calgary i Josha samych. Myśleliśmy, że muszą obgadać jakieś sprawy zawodowe. Nie. Jeśli Calgary i Josh mieli romans, nigdy się nie skończył. Ciągłe jeździ z nim w podróże służbowe. Zabiera ją na tygodnie mody w Londynie, Paryżu, Mediolanie.

Dominic zamilkł na chwilę i pociągnął łyk piwa. Był zamyślony, ale nie tak zły jak jeszcze kilka minut temu.

– Jeśli jest z nim teraz, a idę o zakład, że tak właśnie jest, wiem dokładnie, gdzie znajduje się naszyjnik twojej babci, Sophio. Wiem, gdzie mieszka Berman. Możemy tam pójść, zapukać do ich drzwi i zażądać zwrotu czegoś, co do nich nie należy.

– To nie takie proste – powstrzymała go Sophia. – Formalnie naszyjnik należy do Joshuy Bermana. Sądzymy, że brat zapisał mu go w testamencie. Jeśli chcę go odzyskać, on musi wyrazić chęć sprzedania go, a ja muszę być w stanie dostarczyć mu gotówkę. I w tym tkwi cały szkopuł, bo ja... nie mam gotówki.

Sophia znowu się zarumieniła, ale tym razem ze wstydu. Domyślała się, że Dominic uważał, że jest nadziana – przecież była prawniczką lorda i wnuczką hollywoodzkich gwiazd – a

musiała się przyznać do tego, że nie miała pensa przy duszy. Przyglądała się mu, by rozszyfrować jego reakcję. Był zamyślony, ale nie patrzył na nią krytycznie ani nie był w szoku.

– Ile jest wart? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Po całym nagłośnieniu sprawy? Kiedy wie, że należał do mojej babci? I jak bardzo rozpaczliwie zależy mi na odzyskaniu go? Obawiam się, że jest wart tyle, ile Joshua Berman za niego zażąda.

– To zachłanny człowiek – ostrzegł ją Dominic. – I bezwzględny. Raczej nie będzie się przejmował twoją babcią. Zależy mu wyłącznie na akumulowaniu bogactwa. Pożera mniejsze firmy, podkupuje pracowników konkurencji, kupuje rzeczy, na które nie stać nikogo innego. No i lubi podkraść żony innych mężczyzn!

– Tego nie wiesz na pewno – powiedziała Sophia, która starała się być uprzejma.

– Wiem – odparł Dominic. – I wkurza mnie to, bo mam wrażenie, że Calgary i Josh wystrychnęli mnie na dudka. Nie myśl sobie, że nadal coś do niej czuję...

– Możemy odłożyć sprawę Calgary i Bermiana do jutra? – poprosiła Sophia z nadzieją. – Jestem trochę zmęczona po podróży.

Dominic skinął głową z uśmiechem.

– Masz ochotę się przespacerować? – zapytał. – Mógłbym ci pokazać kilka miejsc.

– Powinnam wracać do hotelu... – odparła, chociaż wiedziała już bardzo dobrze, że nie wróci do hotelu w środku miasta.

– Jak sobie życzysz. Złapię dla ciebie taksówkę, ale...

Odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. Dotknęli się po raz pierwszy. Sophia poczuła mrowienie na skórze.

– Chciałbym, żebyś wpadła do mnie. Tylko na chwilę.

– Okej – zdołała wydusić. – Tylko na chwilę.

To była komiczna gra. Dominic wziął Sophię za rękę, gdy znaleźli się na mroźnej ulicy. Kiedy Sophia poczuła jego ciepło na zmarzniętej dłoni, serce jej przyspieszyło i ugięły się pod nią nogi.

Dotykała już nieznajomych w mroku i upojeniu nocnych klubów, lecz nigdy nie czuła czegoś takiego. Wstydziła się na samo wspomnienie, ale pozwalała, by mężczyźni, których imion nie znała, pieścili jej ciało i ją całowali. Była podniecona i zdegustowana zarazem pierwotnością takich spotkań, chłodnym, wyzutym z emocji, animalistycznym podejściem, z jakim oddawała się mężczyźnie, którego nie znała, a tym bardziej nie lubiła i nie kochała. Teraz jednak była na innym etapie życia; zmieniła się.

Dom zatrzymał ją pod lampą uliczną na rogu, ujął w silne dłonie jej zmarzniętą twarz i pocałował ją. Z każdą chwilą, gdy jego usta dotykały jej, Sophii coraz bardziej kręciło się w głowie. Nigdy nie odczuwała tak silnego fizycznego pragnienia drugiego człowieka. Nie było czysto erotyczne, jak z Nathanem. To było coś więcej. Dom rozpiął kurtkę i otulił nią Sopię, żeby mogła poczuć ciepło jego torsu przez bluzę. Miała ochotę roztopić się w jego ciele. Gdy wreszcie się od siebie odsunęli, żeby zaczerpnąć tchu, Sophia miała takie zawroty głowy, że prawie upadła. Dom przytrzymał ją i zaśmiał się w głos.

– Rety – powiedział. – Jeszcze nigdy nie przeżyłem takiego pierwszego pocałunku!

– Ja też nie – przyznała Sophia i się zarumieniła, gdy usiłowała ustać na nogach.

Pobiegli do jego mieszkania, mijając po drodze mężczyznę w stróżówce, który puścił do Dominica oko. W windzie zaczęli się całować i dopiero gdy drzwi się otworzyły i odkryli, że nadal są na parterze i szczerzy się do nich portier, do Dominica dotarło, że nie wcisnął guzika z numerem piętra.

I znowu trzymał w dłoniach jej twarz i całował ją powoli i czule, drażnił językiem, aż kolana się pod nią ugięły i... Ping!

– Wsiądziemy czy będziemy tak jeździć w górę i w dół przez cały wieczór? – zapytał Dom, odrywając się od niej z wyraźnym ociąganiem.

Poszukał kluczy i otworzył drzwi.

– Obawiam się, że jest u mnie dość... pusto – wyznał. –

Calgary wyczyściła mieszkanie.

Zanim Sophia zdołała skomentować pusty lokal, przewróciła ją wielka kula złocistego puchu, która wpadła na nią z prędkością stu kilometrów na godzinę.

– Blondie! – krzyknął Dom. – Blondie! Złaź!

Było już za późno. Sophia leżała na plecach.

– Najmocniej cię przepraszam, Sophio – jęknął Dom, usiłując rozpaczliwie ściągnąć Blondie za obrozę.

Wreszcie udało mu się wyswobodzić Sophię z psiego uścisku i dziewczyna usiadła na podłodze, cała w psiej sierści i zanosząc się od śmiechu.

– To chyba najserdeczniejsze powitanie, z jakim się spotkałam – zdołała wreszcie wykrztusić. Niedbale poprawiła fryzurę.

– Boże – powiedział Dominic, stawiając ją na nogi. – Wiemy przynajmniej, że cię polubiła. Zrobię ci drinka, żebyś mogła dojsć do siebie po tym ataku.

Spędzili wieczór przytuleni do siebie na materacu leżącym na podłodze, oglądając telewizję w laptopie i popijając Jacka Daniels'a z colą z wyszczerbionych kubków (Calgary naturalnie zabrała wszystkie szklanki). Raz na jakiś czas odstawiali kubki i całowali się jak nastolatki. Kiedy Dominic wsunął wreszcie dłoń pod sweter i koszulkę Sophii i dotknął jej ciała, wydała z siebie stłumiony okrzyk.

– Czy tak jest okej? – zapytał Dominic z wahaniem.

– Więcej niż okej – zapewniła go. – Jestem w niebie. Proszę, nie przestawaj.

Dotykał jej delikatnie, czule, gładził jej skórę i traktował jej ciało, jakby było czymś cennym i rzadkim. Sophia z trudem łapała dech, ale tym razem nie ze strachu. Później, gdy już byli wyczerpani, leżała w jego ramionach i chłonęła jego słodki piżmowy zapach. Blondie wskoczyła na materac i Dominic próbował ją przegonić.

– Nie, nie trzeba – zaproponowała Sophia. – Może spać na łóżku.



Dominic uśmiechnął się do niej i przytulił ją jeszcze mocniej.  
– Chyba jesteś moją kobietą marzeń, Sophio Beaumont Brown.

Kiedy Sophia obudziła się rano, była sama. Słońce sączyło się do środka przez żaluzje i rzucało białe światło na sypialnię. W mieszkaniu panowała cisza. Nie było śladu ani Dominica, ani Blondie. Sophia poczuła znajomą panikę. Była zmęczona po podróży, oszołomiona i znajdowała się tysiące kilometrów od domu. Właśnie się przespała z mężczyzną, którego w zasadzie nie знаła, i znowu była sama, w obcym łóżku, w obcym mieście.

Zanim skompletowała ubranie leżące na podłodze i wciągnęła na siebie dzinsy i sweter, zdołała się przekonać, że była głupia, naiwna, nieodpowiedzialna i puszczańska! Znała zasadę, żeby nigdy nie iść z facetem do łóżka pierwszej nocy. Miała trzydzieści lat. Czy nigdy się niczego nie nauczy?

Otworzyła drzwi, żeby wyjść.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Dominic ze ściągniętymi brwiami. – Stał przed drzwiami z dwoma kubkami kawy i tobką z bajglami. Blondie stała obok niego i entuzjastycznie machała ogonem. – Nie pozwolę ci nigdzie iść. Wracaj do łóżka, żebym mógł ci podać śniadanie... Blondie! Nie jedz tych bajgli, ty zachłanny kundlu!

## *Rozdział czterdziesty drugi*

Szpital Mount Sinai, Nowy Jork, 2012

Aiko nie akceptowała słowa „nie”.

– Pani Watanabe, z największym szacunkiem stwierdzam, że jest za wcześnie, żeby wypisywać panią z naszego szpitala – znużony lekarz powtarzał to już po raz piąty. – Wychłodziła się pani i miała poważne wstrząśnienie mózgu, minęły zaledwie dwa tygodnie od pani pobytu w szpitalu w Japonii, musimy zrobić kolejne badania, żeby wykluczyć poważne przyczyny pani upadków i utraty świadomości. Na dworze było minus pięć stopni Celsjusza, gdy znaleziono panią w Central Parku. Miała pani szczęście, że przeżyła.

Aiko faktycznie czuła, że miała szczęście, ale nie zamierzała marnować ani chwili dłużej w szpitalu. Obudziła się tutaj, w prywatnej sali, przedwczoraj. Czuła się jak inna kobieta. Duchy odeszły. Pokazały jej, o co im chodziło. Nie były jej wrogami. Po prostu usiłowały wskazać jej drogę powrotną do przodków, do oceanu, do matki i tego, co się jej należało.

– Dziękuję, ale naprawdę muszę już wyjść – powiedziała stanowczo, acz uprzejmie, młodemu lekarzowi. – Udam się na wizytę do swojego prywatnego lekarza i poddam badaniom, które uzna za wskazane, ale w tej chwili mam pewną sprawę do załatwienia. Proszę mi wierzyć, że już od lat nie czułam się tak dobrze.

Od dwóch dni szukała informacji na temat Sophii Beaumont Brown i jej poszukiwań pereł babki. Aiko wiedziała, że Sophia Beaumont Brown przebywała obecnie w Nowym Jorku i spotkała się z jakimś Domikiem McGuire’em. Ekszona pana McGuire’a, Calgary Woods, była najprawdopodobniej w posiadaniu naszyjnika. Aiko czuła, jak serce jej wali w piersi. Widziała już pełen obraz bardzo wyraźnie, jakby patrzyła nań z wielkiej odległości. Wiedziała doskonale, co powinna zrobić, ale nie miała dużo czasu.

## Virginia Water, Surrey, 2012

Alice nie spała. Wsłuchiwała się w pohukiwanie sowy w ogrodzie i chrapanie męża leżącego obok. Odsunęła się od niego jeszcze bardziej na swoją stronę łóżka, naciągnęła kołdrę na głowę i próbowała odgrodzić się od tego hałasu. Nie udawało się jej to. Obecność męża ciążyła jej, mimo że ich ciała dzieliło dobrych trzydzieści centymetrów. Czowała jego oddech na karku i duszące ciepło jego ciała.

Nienawidziła Philipa. Wydarzenia ostatnich kilku tygodni wznieciły w niej ogień, który z każdym dniem gorzał coraz mocniej. Zmusił ją do tego, by myślała, pamiętała, czuła. Dotarło do niej, jakim była tchórzem. Czowała się tak, jakby się obudziła z koszmaru. Zmarnowała ponad połowę życia i nie zamierzała marnować ani dnia dłużej.

Zaczęła wyrzucać tabletki, które jej serwował. Brała je do ust jak grzeczna dziewczynka i popijała wodą, ale beta-blokery i leki przeciwdepresyjne, którymi raczył ją od lat, lądowały pod jej językiem, a potem w sedesie lub zlewie. Potrzebowała kilku tygodni, żeby pozbyć się tych substancji chemicznych z organizmu. Przez jakiś czas była senna, miała mdłości, czuła się słaba, a skóra swędziała ją tak bardzo, że drapała ręce aż do krwi. Na początku tłumione emocje odezwały się w niej gwałtownie i nie radziła sobie z panowaniem nad zmiennymi nastrojami. Odezwał się jej temperament, który tak długo pozostawał w uśpieniu. Boże, jakże się nienawidziła za to, że tak zaatakowała Sophię. Jakby jej córka nie ucierpiała najbardziej przez to wszystko. Od tamtego czasu poczucie winy zżerało Alice przez wiele dni. Wiedziała jednak, że musi się wydostać z tego miejsca, tak dla dobra Sophii, jak i własnego. Alice była Feniksem odradzającym się z popiołu.

Odwróciła się w stronę Philipa, wpatrywała się w jego twarz w półmroku i zastanawiała, kim on, do diabła, był. Czy w ogóle go znała? Bo on z pewnością nie znał jej. Gdyby znał myśli, które przychodziły jej do głowy każdej nocy, kiedy spał obok niej,

wpadłby w obłąd. Wydawało mu się, że Alice jest jego własnością. Kontrolował ją przez cały czas trwania ich małżeństwa. Ale nie była już jego. Dotarło do niej, że nigdy nie była. Wykorzystała go w większym stopniu niż on ją, a teraz już go nie potrzebowała. Nadszedł czas, by z tym skończyć. Prawda była taka, że wobec mężczyzny, którego poślubiła, nigdy nie czuła nic oprócz lekkiej wdzięczności i większego poczucia zobowiązania. Była jego dłużniczką, a on nigdy nie pozwolił jej o tym zapomnieć. Wycisnął z niej życie do ostatniej kropli. Spłaciła swój dług z nawiązką. Nie czuła się już z nim związana. Niczego nie była mu już winna.

Philip dostrzegł zmianę w Alice i to go złościło. A niczego nie nienawidził tak bardzo, jak być złym, a w zasadzie odczuwać jakąkolwiek silną emocję. Wtedy było jeszcze trudniej z nim wytrzymać i Alice przez większość czasu go unikała, znajdując nieskończenie wiele powodów, by jechać do supermarketu lub biblioteki. Philip nie znosił, gdy jego żona wychodziła gdzieś bez niego, i słyszał z tego, że chował kluczyki od jej samochodu, by jej to uniemożliwić. Próbowwała odwiedzić mamę w ubiegłym tygodniu, ale przez trzy godziny przewracała dom do góry nogami, zanim udało się jej znaleźć kluczyki. Gdy Philip ją na tym przyłapał, obłaskawiła go najlepiej, jak umiała – nie było sensu denerwować go jeszcze bardziej i utrudniać sobie sytuacji – i pojechali do szpitala razem, jak zawsze. W tej chwili najważniejsza była organizacja. Alice wiedziała, co musi zrobić.

Philip kładł jej „trudne” zachowanie na karb śmiertelnej choroby matki. Alice pozwoliła mu wierzyć, że na tym polegało sedno problemu. Prawdą było, oczywiście, że pogarszający się stan zdrowia mamy bezustannie ją przygnębiał. Myśl o świecie bez jej matki przerażała ją. Tilly zajmowała dużo miejsca w jej życiu. Nie zawsze było łatwo dorastać w cieniu hollywoodzkiej supergwiazdy – czasami Alice żywiła do niej urazę z powodu jej sławy, urody, charyzmy i talentu; czuła się przy niej nijaka i niewidzialna. Jednak kochała matkę i wiedziała, że gdy ta piekielna chwila wreszcie nadejdzie, gdy Tilly Beaumont przestanie istnieć, to ona się załamie. Jeszcze tak wiele powinny sobie powiedzieć. Tak

wiele zrobić. A zostało na to tak mało czasu.

W pierwszej chwili była zła na matkę za to, że poruszyła temat przeszłości. Alice wiedziała, co jej mama robi, gdy namawiała Sopię do powrotu, rzucała luźne uwagi i nakłoniła ją do skazanych na porażkę poszukiwań naszyjnika. Owszem, matka kochała te perły, ale Alice od samego początku wiedziała, że jej matce zależało tak naprawdę na tym, żeby Sophia poznała prawdę. Temu służyły te poszukiwania. Czy to było fair? Skoro biedna Sophia nie wiedziała, co odkryje. Serce Alice zaczęło walić na myśl o tym, co się wydarzy w ciągu najbliższych kilku dni. Matka zasiała ziarno. Wykiełkowało i teraz żyło własnym życiem. Nikt nie mógł nad nim panować. Nawet Sophia. Ani Alice. A już na pewno nie Tilly.

Philip chrząknął głośno przez sen i odwrócił się, zabierając ze sobą kołdrę. Jutro mu powie. Już za kilka godzin. Alice znała smak prawdziwej miłości. Przypominała go sobie za każdym razem, gdy śniła o Włoszech. Na samą myśl serce jej się uspokoiło i się uśmiechnęła. Zmarnowała już zbyt wiele lat. Sięgnęła po iPhone'a leżącego na szafce nocnej i otworzyła galerię zdjęć. Znalazła tę fotografię w internecie. Oto i on. Starszy, ze zmarszczkami od śmiechu wokół cudownych oczu, może trochę bardziej zaokrąglony, z siwiejącymi, przypominającymi lisie futro włosami, ale przystojny jak zawsze. Przez tak wiele nocy przyglądała się temu zdjęciu, że gdy zamykała oczy, widziała jego twarz tak wyraźnie, jakby stał przed nią. Po wielu miesiącach przeszukiwania internetu znalazła go wreszcie przed sześcioma tygodniami. Zastanawiała się, czy też o niej myślał. Pamiętał ją? Jak by zniosła to, gdyby jej nawet nie pamiętał? Czy przyjąłby gałązkę oliwną po tylu latach? Uśmiechnęła się do jego zdjęcia jeszcze raz. Nadal miał dobre spojrzenie. Jutro Alice znajdzie odwagę, by wysłać swój list. Wyłączyła telefon, zabrała swoją część kołdry Philipowi i wreszcie zasnęła.

## *Rozdział czterdziesty trzeci*

Upper East Side, Nowy Jork, 2012

Sophia i Dominic potrzebowali dwóch dni, żeby opracować plan działania.

– Zrobimy to w niedzielę rano. Wtedy na pewno będzie w domu – powiedział Dom. – Pójdziemy do jego mieszkania, a nie biura. Zaskoczmy go. Jego i moją uroczą byłą żonę...

Sophia wróciła do hotelu na chwilę, by zabrać walizkę, ale poza tym w zasadzie nie opuszczała ramion Dominica od czasu, gdy przybyła do Nowego Jorku. Dzielili się pizzą, makaronem, piwem, winem, alkoholem wysokoprocentowym, niezliczonymi pocałunkami oraz najgłębszymi, najmroczniejszymi tajemnicami. Opowiedziała mu o swojej burzliwej przeszłości, o relacjach z rodzicami, o Nathanie, o wszystkim! A po każdym jej wyznaniu Dominic przytulał ją tylko jeszcze mocniej. Sophia nigdy nie czuła się bezpieczniej ani bardziej zgrana z mężczyzną, ale nie zapomniła, po co przyjechała do Nowego Jorku, i wiedziała, że musi działać szybko. Hugo przysłał jej rano wiadomość, że babcia coraz rzadziej odzyskuje przytomność. Kazał jej natychmiast wracać. Tylko że perły były tak kusząco blisko.

Stali przed apartamentowcem Josha Bermmana na rogu ulic East 57th i Madison Avenue z walizką Sophii u stóp. Zaraz po spotkaniu Sophia będzie musiała pojechać na lotnisko, żeby zdążyć na samolot do Londynu. Była siódma rano w niedzielę przed Bożym Narodzeniem i „miasto, które nigdy nie śpi”, wydawało się raczej zaspane. Dzielnica jedwabnych pończoch mogłaby uchodzić za wymarłą, gdyby nie sporadyczni biegacze i spacerowicze z psami.

– No dobra – odezwał się Dominic. – Zanim wejdziemy, upewnij się, że dobrze cię zrozumiałem. Będziemy próbowali się odwołać do ich lepszej natury i prosić, żeby wypożyczyli nam perły na kilka tygodni. Czy tak?

Sophia przytaknęła.

– Nie mam pieniędzy, żeby je kupić – wyjaśniła po raz enty.  
– Mogę tylko błagać ich o uprzejmość.

– Calgary i Joshuę? – Dominic nadal dość sceptycznie podchodził do planu. – Będzie nam potrzebny cud. Zbliżają się święta, więc pewnie wszystko jest możliwe.

Sophia wszystko mu wyjaśniła. Znał jej sytuację finansową.

– A myślałem, że wyrwałem bogatą lalunię – droczył się z nią Dominic.

– Pewnie udałoby mi się dość szybko uzyskać od babci około miliona, gdyby Calgary się ze mną dogadała. Babcia wspomniała jakiś czas przed moim wyjazdem, tylko raz, że mogłaby zrobić coś takiego. To nie było w chwili jej największej przytomności umysłu, ale zdecydowanie powiedziała, że mogłaby odkupić perły za milion. No wiesz, jeśli nadal... – głos się jej urwał.

Dominic ścisnął ją pocieszająco za rękę.

– Milion funtów to tylko milion sześćset tysięcy dolarów, kochanie. Mogłoby to wystarczyć, żeby przekonać rozsądnego człowieka obdarzonego sercem, ale Calgary? Wątpię. Niemniej możemy się postarać. Gotowa?

Przytaknęła.

– Gotowa – potwierdziła.

Dominic wcisnął przycisk domofonu.

– Słucham – odezwał się mało przyjazny męski głos.

– Tu Dominic McGuire – powiedział Dom. – Chyba mamy sprawę do przedyskutowania.

– Wejdźcie – burknął głos. – Spodziewaliśmy się was.

Dominic pokiwał głową.

– No właśnie. Goście tacy jak Berman zawsze wyprzedzają innych o krok – szepnął, gdy wsiedli do windy w imponującym starym budynku. – Kto nie śpi i czeka na towarzystwo ubrany o siódmej rano w niedzielę?

Sophia przełknęła ciężko ślinę, gdy drzwi windy się otworzyły. Dom jeszcze raz ścisnął ją za rękę i zadzwonił do drzwi. Otworzył im Joshua Berman, który zmusił się do uśmiechu – tak jakby. Był wysokim ciemnowłosym mężczyzną o

eleganckich rysach, którego należałoby się spodziewać na boisku do gry w polo lub na stokach w Aspen. Na jego opalonej twarzy malował się szyderczy, naturalny dla niego, uśmiezek. Uścisnął im ręce bez entuzjazmu. Sophia pomyślała, że Calgary Woods źle wybrała. Josh nie był ani trochę tak atrakcyjny jak Dominic. Chyba że ktoś ocenia atrakcyjność mężczyzny na podstawie zasobności jego konta bankowego.

Sophia zauważyła, że Joshua bez najmniejszego skrępowania patrzył Dominicowi prosto w oczy. Roztaczał wokół siebie aurę człowieka, który żywił przekonanie, że ma dane od Boga prawo odziedziczyć ziemię – albo zawładnąć naszymi naszyjnikami z pereł należącym do innej rodziny lub podebrać komuś żonę – bez najmniejszego poczucia winy. Jego półbuty ze skóry w naturalnym kolorze piszczały na wypolerowanej podłodze, gdy prowadził gości do salonu. Mieszkanie zostało urządzone gustownie i drogo. Każda poduszka, obraz i dywan były starannie zaplanowane. Wnętrze przypominało raczej mały ekskluzywny hotel, a nie mieszkanie.

A oto i ona – była żona. Calgary Woods przycupnęła na stołku fortepianowym przed czarnym fortepianem postawionym przy oknie z widokiem na Central Park. Typ wysokiej, smukłej naturalnej blondynki, który śni się kobietom w koszmarach. Była ubrana na czarno. I żeby wetrzeć w ranę jeszcze więcej soli, miała na eleganckiej szyi obrozę z idealnych opalizujących pereł. Sophia po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy naszyjnik, który miał być jej spuścizną. Nie mogła oderwać od niego wzroku. To naprawdę był najpiękniejszy naszyjnik na świecie.

Calgary nie raczyła wstać, gdy weszli do pokoju. Sophia zerknęła na Dominica, żeby sprawdzić jego reakcję na spotkanie z jego byłą żoną, pierwsze, odkąd go porzuciła. Na twarzy Dominica malował się wyraz stalowej determinacji i kiedy zerknął przelotnie na Calgary, nie okazał żadnych emocji.

- Dominicu – powiedziała Calgary chłodno.
- Calgary – odpowiedział spokojnie.
- I zapewne Sophia – dodała Calgary z fałszywie serdecznym



uśmiechem. – Sporo ostatnio o tobie czytałam. Jesteś bardzo podobna do swojej babki, prawda? Wręcz niebywale.

Lodowa blondynka musnęła perły palcami. Znaczyła terytorium.

– Witaj, Calgary – odezwała się Sophia i przysunęła bliżej Dominica, szukając moralnego wsparcia. – Miło mi cię poznać.

Dominic objął ją w talii w wyzywającym geście sugerującym, że są razem. Sophia patrzyła, jak Calgary przygląda im się, składa fakty, a następnie kiwa powoli głową z kpiarskim uśmiechem.

– Widzę, że Dominic się postarał, żebyś się poczuła w Nowym Jorku jak w domu – rzuciła. – Czy to nie urocze?

Joshua stanął za Calgary i położył dłonie na jej barkach. Obie pary stały teraz naprzeciwko siebie. To była przynajmniej uczciwa walka – dwoje na dwoje.

– Chyba wiecie, po co tu przyszliśmy – stwierdziła Sophia trzęsącym się głosem.

– Jasne – odparła Calgary, odrzucając niedbale jedwabiste platynowe włosy na plecy. – Chcesz spróbować przekonać mnie do tego, żebym sprzedała ci swój naszyjnik.

Sophia przełknęła ciężko ślinę. Naszyjnik Calgary? Pewnie pod względem formalnym było to prawdą, ale fakt, że ta Królowa Lodu miała większe prawa do naszyjnika niż jej babka, ranił Sopię jak nóż.

– Moja babcia jest śmiertelnie chora – wyjaśniła, starając się przemówić do serca Calgary. O ile ta kobieta miała serce...

– Wiemy o tym – przerwał jej Joshua. – Czytaliśmy artykuły w gazetach. Czasy nie sprzyjają emocjom w interesach. Jesteśmy zapracowanymi ludźmi, więc darujmy sobie te bzdety i przejdźmy od razu do rzeczy. Poddaliśmy naszyjnik ocenie przez niezależnego rzeczoznawcę i chociaż Calgary jest bardzo do niego przywiązana, jesteśmy gotowi go sprzedać z uwagi na okoliczności za...

Sophia przełknęła ciężko ślinę i skinęła głową. Chwila prawdy...

– ...dwadzieścia milionów dolarów. Decyduj. To nasza pierwsza i ostateczna propozycja. Nie podlega negocjacji.

Szczęka jej opadła. Dwadzieścia milionów dolarów? To śmieszne!

– Nie próbuj naciągać Sophii – wtrącił się Dominic stanowczo. – Wszyscy wiemy, że te perły są cenne, ale nie aż do tego stopnia. Próbujesz wykorzystać sytuację, Berman.

– Obawiam się, że się mylisz – odparował Joshua. – Właśnie dostałem propozycję zakupu od mojego współnika, arabskiego księcia, który wyraził gotowość zapłacenia mi dwudziestu milionów. Byłbym głupcem, gdybym sprzedał za choćby centa mniej coś, co ma dla mnie i Calgary takie znaczenie.

– Naszyjnik należy do mojej umierającej babki – przypomniała mu Sophia, w której oczach malowało się błaganie. – Jej ostatnim życzeniem jest zobaczyć te perły ponownie.

– Z całym szacunkiem, panno Beaumont Brown, ale te perły należały do mojego zmarłego brata – przypomniał jej z kolei Joshua. – Więc jeśli chce się pani licytować na zmarłych krewnych, to chyba ja wygrywam. Znowu!

– Josh – odezwał się Dominic stanowczo. – Daruj sobie te bzdury. Nie ma żadnego arabskiego księcia. Nie próbuj pogrywać z nami jak z całą resztą Manhattanu. Jediną osobą, która przepłaciła za naszyjnik Tilly Beaumont, jest Sophia. Ma milion sześćset dolarów. Pokaż, że masz serce, do cholery. Możesz za to kupić Calgary z tuzin innych naszyjników. Jakie te perły mają dla was znaczenie?

– O wiele większe, niż mógłbyś sobie wyobrazić, Dominicu – prychnęła Calgary.

I w tym momencie wstała. Powoli się wyprostowała. Na serdecznym palcu połyskiwał ogromny brylant, ale nie na to Sophia zwróciła uwagę. Dech w piersi zapał jej widok małego, idealnie ukształtowanego ciężowego brzuszka rysujący się pod obcisłą czarną sukienką z jedwabnego dżerseju. Dominic powiedział jej, że Calgary nie chciała mieć dzieci. To był podobno główny powód ich rozstania. A oto kilka miesięcy później mieli

przed sobą Calgary, która ewidentnie była w ciąży.

Tym razem Dominic nie potrafił ukryć swojej reakcji. Stał z otwartymi ustami, zszokowany i zmieszany. Nie mógł oderwać wzroku od brzucha byłej żony.

– Jesteś w ciąży – powiedział, stwierdzając coś oczywistego.  
– A podobno nienawidzisz dzieci?

– Życie toczy się dalej, Dominicu – oznajmiła Calgary, a w jej oczach błyszczała oczywista ekscytacja wynikająca z tego, że ujawniła swoją tajemnicę. – Musisz się z tym pogodzić.

Posłała Sophii współczujący uśmiech, jakby chciała powiedzieć: „Przykro mi, że twój chłopak nadal się we mnie kocha”. Sophia nie potrzebowała tego, żeby Calgary jej to uświadomiła. Dostrzegła, w jakim Dominic był szoku, i musiała odwrócić wzrok. Wystarczająco dziwnie się czuła, przebywając w jednym pomieszczeniu z nim i jego (niezaprzeczalnie piękną) byłą żoną, a teraz musiała być świadkiem jego reakcji na jej niespodziewaną ciążę.

Przez chwilę w pokoju panowała straszliwa cisza. Sophia słyszała tylko tykanie zegara stojącego nad kominkiem i dudnienie własnego serca. Wtem Dominic sprawił, że czar prysł. Zamknął usta, pokręcił głową, jakby chciał się pozbyć irytującego wspomnienia, oderwał wzrok od brzucha Calgary i nadal kręcąc głową, zaczął się śmiać. Sophia przyjrzała mu się ostrożnie. Co go tak rozśmieszyło? I wtedy uniósł brwi i posłał jej krzywy uśmieszek. Zrozumiała. Dominic uważał, że Calgary jest koszmarem. Nie był zazdrosny. Poczul ulgę. Śmiał się z czystej radości związanej z tym, że się od niej uwolnił. Szybko doszedł do siebie.

– Gratuluję, Calgary – powiedział beznamiętnie. – Joshuo. Na pewno jesteś bardzo podekscytowany.

– Nie wkurzyłeś się, Dominicu? – zapytała Calgary, najwyraźniej rozczarowana jego brakiem emocji.

– Nie – odpowiedział spokojnie i szczerze.

– Nie nienawidzisz mnie? – prawie błagała, rozpaczliwie pragnąc, by zareagował.

W tym momencie Josh burknął:

– Jak rany, Calgary!

I odsunął się od niej.

– Calgary – odezwał się spokojnie Dom. – Jaki to ma związek ze mną?

Usta Calgary zdradzały, że chciała powiedzieć „Och”, ale się nie odezwała. Sophii przypomniało się, jak jej babcia powiedziała kiedyś, że przeciwieństwem miłości wcale nie jest nienawiść, tylko obojętność. Gdy to zrozumiała, serce ją zakłuło. Dominic uśmiechnął się do niej uspokajająco. Wydawało się, że spłynął na niego spokój. Sophia wiedziała, że była świadkiem momentu, w którym Dominic McGuire zdał sobie sprawę z tego, że niczego nie stracił; miał szczęście uciec. Poczowała przypływ ogromnej ulgi, nie tylko ze względu na siebie, ale także Dominica. Calgary również dostrzegła tę zmianę. Sophia zauważyła cień zmarszczonych brwi na jej czole po botoksie i to, że kąciki ust przypominających pąk róży zdawały się jej bezwiednie opadać. Komuś mającemu taką obsesję na punkcie kontroli jak Calgary na pewno ciężko było odkryć, że stracił panowanie nad swoim eks.

– Wróćmy do interesów – ciągnął Dom opanowanym tonem.

– Proponujemy milion sześćset tysięcy dolarów za ten naszyjnik. Możemy dostarczyć pieniądze na twój rachunek bankowy do jutra rana, ale Sophia musi zabrać perły teraz. Wylatuje dzisiaj, a babci nie zostało dużo czasu. Dogadamy się?

Joshua Berman wybuchnął śmiechem.

– McGuire, stary, nie ma nawet cienia szansy na to, że sprzedamy ten naszyjnik za mniej niż dwadzieścia milionów dolarów – oznajmił, nadal się cicho śmiejąc. – Powinniście już wyjść. Calgary musi odpocząć.

Tym razem Dominic nawet nie drgnął na wspomnienie o ciąży. Spojrzenie jego oczu stwardniało jeszcze bardziej.

– A więc pożyczcie je Sophii – zaproponował. – Na kilka tygodni. Osobiście polecę do Anglii i przywiozę wam naszyjnik. Będę miał wymówkę, by spędzić z Sophią więcej czasu. – Uśmiechnął się do niej, po czym dodał: – Spełnijmy ostatnie

życzenie umierającej staruszki. Czy komuś stanie się coś złego?

– Możemy ich nigdy więcej nie zobaczyć – prychnęła Calgary, która nagle wydawała się rozdrażniona. Zniknęły wszelkie pozory jej uprzejmości. Obojętność Dominica zdecydowanie utarła jej nosa. – Nie wiem nic o tej kobiecie. – Wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę Sophii. – Z wyjątkiem tego, że miała raczej barwną przeszłość i wyrzekli się jej rodzice.

„No to świetnie” – pomyślała Sophia. „Calgary przejrzała w internecie brytyjskie tabloidy”. W przyływie desperacji wtrąciła:

– Jeśli wiesz to wszystko, wiesz również, że nie mam dwudziestu milionów dolarów – zdołała powiedzieć. – Czy mogłabym pożyczyć ten naszyjnik? Proszę. Babcia chce go dotknąć przed śmiercią. Nawet nie musi wiedzieć, że go pożyczyłam...

– Może zgodzilibyśmy się wypożyczyć ci go – odezwał się nagle Josh.

Serce Sophii podskoczyło z radości. Może im się uda. Może im zostawić depozyt.

– Dwa i pół miliona dolarów wystarczy na zabezpieczenie wypożyczenia tak cennej biżuterii na dwa tygodnie. Zgodzicie się ze mną?

Sophia spuściła ramiona i poczuła, jak nadzieja wymyka się jej z rąk.

– Przecież wiesz, że nie mamy tylu pieniędzy na zakup tego naszyjnika, a tym bardziej na wypożyczenie go na dwa tygodnie – odpowiedziała Joshowi, nie starając się już ukryć w głosie potępienia dla jego zachłanności. Spojrzała na Calgary i spróbowała przemówić do niej jak do kobiety. – Błagam cię, jak kobieta kobietę, odsprzedaj mi moje rodowe perły. Lub wypożycz mi je za dwa tysiące, Calgary.

Calgary wytrzymała jej spojrzenie. Nie sposób było rozszyfrować spojrzenie jej lodowatych oczu. A potem pokręciła swoją blond głową.

– Miej serce, Calgary – odezwał się Dominic, ale w jego głosie było słychać, że czuł się pokonany. Kto jak kto, ale on

wiedział, jak głęboko Calgary chowała swoje serce.

– Nic z tego – odpowiedziała wesoło. – Wygląda na to, że nasze spotkanko biznesowe dobiegło końca, Sophio. Miło było cię poznać. Życzę ci miłego powrotu do Anglii.

– Ale... – Sophia nie mogła uwierzyć, że to już koniec. Na pewno istniała możliwość negocjacji, dogadania się.

– Słyszeliście moją narzeczoną – odezwał się Joshua. – Nie dojdziemy do porozumienia. Przykro mi, jeśli podróżowałaś tu nadaremno. Życzę ci wesołych świąt, panno Beaumont Brown. Tobie również, Dominicu.

– Lady Beaumont Brown – skorygował go Dominic.

Joshua odprowadził ich do drzwi. Dominic chciał stamtąd uciec jak najprędzej, ale Sophia miała nogi jak z ołowiu. Z każdym krokiem oddalającym ją od pereł czuła, że jej serce pęka coraz mocniej. Zawiodła. Znowu.

Perły się jej wymknęły. Jak może wrócić do babci bez naszyjnika? Walczyła z prądem z całych sił, ale teraz tonęła i nie było nikogo, kto by ją uratował. Była zbyt ogłuszona, by móc płakać. Było już po wszystkim. Wtem poczuła, że Dominic obejmuje ją za ramiona i otula swoim wełnianym płaszczem. Zniknęła w jego objęciach.

– Wszystko będzie dobrze, mała – szepnął jej do ucha. – Babcia zrozumie. Największą radość sprawi jej fakt, że próbowałaś. Będzie z ciebie dumna, Sophio.

Wreszcie z jej oczy popłynęły łzy, rzewne, rzęsiste. Wiedziała, że musi wracać do domu i przekazać babci złą wiadomość. Wiedziała, że w ciągu kilku tygodni, a może nawet dni, będzie musiała pożegnać się z ukochaną babcią na dobre, a wcześniej, już za parę minut, będzie się musiała pożegnać z tym cudownym mężczyzną, w którego ramionach czuła się tak bezpiecznie. Nawet nie wiedziała, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Czy przeżyli tylko krótki romans? Nie potrafiła go o to zapytać.

Zeszli do holu eleganckiego budynku. Dominic praktycznie zniósł Sophię. Odebrał jej walizkę z recepcji i wywiózł przed

ciężkie drzwi. Stali na chodniku i żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

– Domyślam się, że to koniec – powiedziała Sophia, która usiłowała zapanować nad łzami.

– Sophio, wiesz, że dla mnie to nie był tylko przelotny romans – zapewnił ją Dominic. – Przywróciłaś mi wiarę. Jeżeli istnieje sposób, żebyśmy się mogli znowu zobaczyć, chcę to zrobić. Wiesz to, prawda? Naprawdę tego chcę.

– Ale jak? – zapytała niemal błagalnym głosem. – Ty mieszkasz tutaj, a ja w Londynie. Sprawa jest beznadziejna.

– Nie wiem – przyznał i przyciągnął ją do siebie. – Ale nie jest beznadziejna. Przecież są samoloty... – dodał. Starał się mówić wesoło, ale głos go zdradził.

– Nie jestem pewna, czy Damon będzie płacił za moje przeloty co kilka tygodni. – Starła się uśmiechnąć przez łzy. – Jest miły, ale nikt nie jest miły aż do takiego stopnia!

– W takim razie postarajmy się utrzymywać kontakt i zobaczymy, co się wydarzy, dobrze? – zaproponował.

Jego słowa nagle zabrzmiały pusto. „Postarajmy się utrzymywać kontakt?”. To nie było wyznanie dozgonnej miłości. Ale znali się od zaledwie kilku dni. Dlaczego miałyby oczekiwać czegoś więcej?

– Muszę już jechać – stwierdziła.

Już miała się odsunąć od Dominica, gdy nagle przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją tak namiętnie i z taką pewnością siebie, że żołądek jej podskoczył. Gdy wreszcie oderwał się od niej, powiedział stanowczo:

– To nie jest koniec, Sophio. Obiecuję. Okej?

– Okej – zdołała wyszeptać. – Cześć, Dom.

Sophia podniosła rękę i żółta taksówka zatrzymała się przy krawężniku obok niej. Wsiadła, nie oglądając się za siebie. Nie mogła tego zrobić. Zagryzła wargę, gdy taksówka ruszyła, i odczekała, aż zniknie Dominicowi z oczu, zanim pozwoliła sobie się rozplakać.

Wyciągnęła telefon z torebki. Musiała usłyszeć głos

Dominica jeszcze raz przed wyjazdem. Kiedy wcisnęła przycisk „zadzwoń”, ekran zgasł. Właśnie w tym dniu zapomniała naładować telefon. Będzie mogła skontaktować się z Dominikiem dopiero po powrocie do Londynu, gdy naładuje to głupie urządzenie. Objęła głowę dłońmi zrozpaczona, a taksówka pędziła przez Nowy Jork.



## *Rozdział czterdziesty czwarty*

Upper East Side, Nowy Jork, 2012

– Widzę Dominica – powiedziała Calgary, przyciskając czoło do zimnej szyby. – Brytyjska lala właśnie odjechała. Nie wygląda na zbyt szczęśliwego.

– Przestań go obserwować – rzucił Josh lekko poirytowanym tonem. – Skąd u ciebie ta obsesja na tle twojego byłego?

– Myślisz, że się załamał na wieść o mojej ciąży? – zastanawiała się.

– Nie wydawał się zdenerwowany – prychnął Josh. – Na pewno się wkurzył, że go okłamałaś. Przez kilka ostatnich lat powtarzałaś mu, że nigdy nie będziesz miała dzieci. Ale raczej nie z tego powodu się załamał. Przygnębiło go to, że ta piękna Angielka wsiadła do taksówki i go zostawiła.

– Naprawdę? – spytała Calgary, odwracając się do narzeczonego. – Myślisz, że mu się podoba? Że poszedł dalej? A może zainteresował się nią, bo ja go nie chciałam?

– Kochanie, zostawiłaś go pół roku temu. I wasze małżeństwo było do bani. Jestem pewien, że na początku go to ruszyło, ale najwyraźniej doszedł już do siebie i tak, wydaje mi się, że ona mu się podoba. Czy to dziwne? Wydaje się urocza i jest atrakcyjna.

Calgary zrobiła nadąsaną minę i ściągnęła brwi. Przeniosła wzrok na Dominica stojącego na chodniku, a potem znowu na Joshuę.

– Atrakcyjniejsza ode mnie? – spytała.

– Nie, skarbie. Oczywiście, że nie – westchnął Joshua, lekko już zniecierpliwiony. – Nikt nie jest tak atrakcyjny jak ty.

– Czuję się nie najlepiej – powiedziała Calgary w zadumie i znowu pogładziła się po brzuchu. – Mamy wszystko, prawda? Spodziewamy się dziecka, mamy siebie i perły.

– Wygrywamy w grze zwanej życiem, kochanie – potwierdził Josh rzeczowo. – Tak to już jest.

– A Dom nie ma nic – zauważyła. – Spójrz na niego. Pewnie jest rozbity. Dlaczego jeszcze tu się kręci? Och, pewnie rozmawia przez telefon, ot co.

– Pewnie próbuje dodzwonić się do Sophii i przekonać ją, żeby wróciła – dodał Joshua. – Ja bym tak zrobił na jego miejscu.

– Wydaje się czymś podekscytowany. Uśmiecha się. Co tu się dzieje?

– Może dziewczyna zgodziła się wrócić – stwierdził Josh, wyraźnie znudzony tą rozmową.

– Idzie stąd – referowała dalej Calgary prawie zawiedziona. – Wsiadł do taksówki.

– Pozwól biedakowi żyć jego życiem – westchnął Josh.

– Masz rację. Nie jest taki zły, prawda? – Zamyśliła się i wreszcie odeszła od okna. – Nie prosił się o to wszystko.

– Przypuszczam, że nie – odparł Josh. – Znalazł się w złym miejscu w złą godzinę. Potrzebowałaś chłopaka, a jego pies wybrał niewłaściwą ławkę w Central Parku. To wszystko.

– Może jestem mu coś winna – zastanawiała się Calgary.

– A to co, kochanie? – droczył się z nią Josh. – Wyrzuty sumienia? Nie wiedziałem, że masz sumienie! Co jesteś mu winna? Przepraszamy? Wyjaśnienia?

Calgary wzruszyła ramionami i musnęła palcami perły.

– Sama nie wiem. Po prostu źle mi z tym, jak się to wszystko potoczyło.

Manhattan, Nowy Jork, 2001

Calgary miała dwadzieścia jeden lat, gdy przyjechała na Manhattan z północnej części stanu Nowy Jork. Pełna marzeń i ambicji. Jej pierwsze stanowisko pracy, stażystki w kolorowym czasopiśmie, było spełnieniem jej pragnień. Pracowała ponad siły i nawet nie zarabiała za mało – nie płacono jej w ogóle. Ledwie sobie mogła pozwolić na mieszkanie ze współlokatorami w dzielnicy Meatpacking District (mimo że lokum było mniejsze od jej garderoby w domu!), ale jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa. Rodzice proponowali jej, żeby w czasie stażu

korzystała z ich mieszkania w Upper East Side. Tata zaglądał do niego tylko w czasie podróży służbowych, a że zbliżał się do emerytury, działało się to coraz rzadziej. Powiedzieli, że nie musiałyby płacić czynszu, ale Calgary chciała stanąć na własnych nogach. Nikt nie będzie jej mówił, o której wieczorem ma być w domu.

Szybko pokazała, że jest utalentowana i wytrwała, i dość szybko awansowano ją na młodszą asystentkę w czasopiśmie modowym – z minimalną pensją. Nie miała nic do powiedzenia, ale zrobiła kroczek we właściwym kierunku. Jej życie stawało się coraz bardziej ekscytujące, zaczęła się spotykać z zamożnymi, pięknymi ważnymi ludźmi, z którymi postanowiła się zaprzyjaźnić, żeby przyspieszyć rozwój swojej kariery. Szczególnie jeden mężczyzna zawrócił jej w głowie. Był o dwanaście lat od niej starszy i przystojny jak diabli. Nosił szyte na miarę garnitury, włoskie buty i bez rezerwacji dostawał najlepszy stolik w najlepszych nowojorskich restauracjach. Joshua Berman był wszystkim, czego Calgary Woods pragnęła. Co więcej, był jej szefem i właścicielem całego interesu.

Calgary była atrakcyjną dziewczyną – w liceum została „dziewczyną, która ma największe szanse wyjść za Brada Pitta”, i zawsze wzbudzała zainteresowanie. Nie musiała zbyt intensywnie machać włosami, żeby przykuć wzrok Joshuy. Najwyraźniej młoda asystentka zrobiła na nim tak samo silne wrażenie jak on na niej i niebawem zaczął ją zabierać na lunchy „biznesowe”, a nawet konferencje poza Nowym Jorkiem. Pozostałe dziewczyny z czasopisma nie ukrywały swojej dezaprobaty dla wyjątkowej przyjaźni łączącej Calgary z szefem, ale nie dbała o to, co myślały. Nie potrzebowała przyjaciółek. Miała swój plan gry i nikt nie stanie jej na drodze. Był tylko jeden szkopuł: Joshua miał żonę i dwoje małych dzieci. Było wyraźnie widać, że żonaty mężczyzna się w niej zakochiwał. Flirtował z nią jak nastolatek, a SMS-y od niego robiły się coraz pikantniejsze, aczkolwiek jeszcze nie wykonał żadnego ruchu. Calgary pozostała niezachwiana w swoim dążeniu. Zawsze lubiła wyzwania i do tej pory zawsze się jej

udawało zdobyć to, czego pragnęła.

Jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku o ósmej czterdzieści sześć samolot uderzył w północną wieżę World Trade Center. Siedemnaście minut później drugi samolot uderzył w południową wieżę, gdzie starszy brat Joshuy, Jack, odbywał spotkanie w interesach. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Josh załamał się kompletnie po śmierci ukochanego brata. A kto pozwolił mu się wypłakiwać w ramię? Calgary wcieliła się w rolę pocieszycielki. Łatwo było zwabić pogrążonego w żałobie mężczyznę do łóżka i sprawić, by uwierzył, że ona jest jego jedynym ocaleniem w tym piekielnym świecie. Potem łączyła ich już nierozdzielna więź. Pewnego dnia będą razem, ale na razie kochankowie potrzebowali planu.

Joshua obiecał, że odejdzie od żony i będzie z Calgary, ale wyjaśnił jej, że będzie mógł to zrobić dopiero wtedy, gdy dzieci będą nastolatkami. Żona podpisała intercyzę i nie dostanie ani centa, jeśli Josh będzie z nią jeszcze przez dziesięć lat. Jeśli oszczędłby od niej wcześniej, dostałaby dom, samochody, letnie domy i połowę firmy. Calgary była rozsądną dziewczyną i rozumiała, że warto będzie poczekać dziesięć lat. Traktowała to jak inwestycję w przyszłość. Aby dowieść, że mówi poważnie, Joshua sprezentował jej naszyjnik z pereł, który miał symbolizować jego obietnicę, a który jego brat zostawił mu w spadku. Calgary nosiła naszyjnik, kiedy tylko mogła – do dżinsów, sukienek koktajlowych, trampek w parku – i za każdym razem, gdy na niego patrzyła lub muskała palcami perfekcyjne gładkie perły, przypominało się jej, co niebawem będzie do niej należało. Nic ani nikt nie rozdzielił jej nigdy z jej perłami.

Calgary miała stalową wolę i była cierpliwa. Potrafiła czekać tyle, ile trzeba, o ile na końcu miała wygrać. Jej nieliczne przyjaciółki stwierdziły, że oszalała, skoro zamierza czekać na Joshuę, ale ona wiedziała, że się mylą. Większą część dekady spędziła jako singielka, ignorowała zainteresowanie ze strony mężczyzn i zbywała zalotników. Nazwano ją Królową Lodu, co się jej nawet podobało, ale żaden mężczyzna nie mógł i nigdy nie

zdoła upodobnić się do Josha. Jako kochanka Calgary mogła inwestować mnóstwo czasu w karierę zawodową i w wieku dwudziestu siedmiu lat została najlepiej znaną redaktorką działu mody w Nowym Jorku. To, że spała ze swoim szefem, na pewno jej pomogło, ale nikt nie mógł powiedzieć, że nie była dobra w tym, czym się zajmowała.

Manhattan jest jednakże zaskakująco mały i w pewnych kręgach medialnych zaczęły się szerzyć jak pożar plotki, że Calgary Woods i Joshua Berman byli nie tylko „dobrymi przyjaciółmi”. Żona Joshuy zaczęła zadawać niewygodne pytania, a Josh przyłapał ją kilkakrotnie na tym, że szperała w kieszeniach jego marynarki i zaglądała do prywatnego dziennika. Był sprytny i nie ryzykował, ale mimo to trzeba było szybko uciszyć plotki. Powiedział Calgary, że muszą chronić to, co mają, i stworzyć zasłonę dymną. Calgary musiała znaleźć sobie chłopaka, po czym wyjść za niego za mąż – i to szybko!

I wtedy napatoczył się biedny Dominic McGuire. Calgary była zdania, że facet jest w porządku. Był przystojny na swój nieokrzesany sposób i bystry. Zrobił karierę i cieszył się szacunkiem przyjaciół i rówieśników. Dobrze się prezentował u jej boku i był na tyle mało wymagający, że mogła znieść jego towarzystwo. Po kilku tygodniach spotkań Calgary uznała, że Dominic będzie doskonałą fasadą. Poza tym ubóstwiał ją i im gorzej go traktowała, tym bardziej starał się ją uszczęśliwić. Czasami nienawidziła go za to, że był taki żaloszny, a kiedy indziej, gdy tęskniła za Joshem, odpowiadało jej to, że mogła znaleźć pocieszenie w jego silnych ramionach. Seks zawsze stanowił problem. Rozmawiali o tym z Joshem i doszli do wniosku, że tak jak on musiał robić to od czasu do czasu z żoną, tak też Calgary będzie musiała znosić umizgi Doma, żeby kontynuować grę. Kiedy jej dotykał, wzdrygała się. Jej ciało nie należało do niego i czuła się rozdarta, gdy musiała mu się oddawać, nawet jeśli traktowała to tylko w kategoriach wypożyczenia.

W dniu ślubu Calgary założyła perły od Joshuy na znak sprzeciwu. Owszem, wychodziła za mąż za innego mężczyznę, ale

sercem i każdą komórką ciała należała do Josha. Gdy płakała tego dnia przed ołtarzem, nie roniła łez radości. Okazało się jednak, że małżeństwo z Domem nie było takie złe. Często wyjeżdżał służbowo, podobnie jak ona – z tym wyjątkiem, że jej w podróżach biznesowych towarzyszył Joshua! Spędzili ze sobą kilka lat i z wyjątkiem wkurzającego psa oraz irytującej rodziny i przyjaciół życie było niemal do zniesienia. Calgary nie zamierzała pod żadnym pozorem mieć dzieci z Dominikiem i za każdym razem, gdy ten temat podnosił swój ohydny łeb, musiała uciekać się do okresu milczenia lub wszczynać kłótnię.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym Josh mógł odejść od żony. Papiery rozwodowe były już gotowe i czekały na nią w dniu, w którym powiedział jej, że się rozstają. To był moment, w którym Calgary musiała przystąpić do działania. Dominic zaczął naciskać na powiększenie rodziny, co doprowadzało ją do szału. Gdy mogła mu w końcu powiedzieć, że między nimi wszystko jest skończone, zdjąc obrzydłą jej obrączkę z palca i wyjść wolno z restauracji, miała wrażenie, że zaczyna nowe życie. Pojechała taksówką do Joshuy i od tamtego czasu prawie nie wychodziła z jego objęć. Mieli się pobrać w następnym miesiącu, a latem miało przyjść na świat ich dziecko. Jeśli to będzie dziewczynka, postanowili, że dadzą jej na imię Patience<sup>5</sup>.

Upper East Side, Nowy Jork, 2012

Dominic miał mętlik w głowie, gdy usiłował zrozumieć to, co właśnie usłyszał. Pochylił się do przodu w taksówce i patrzył na drogę. Zależało mu na tym, żeby taksówkarz pokonał ten krótki dystans jak najszybciej. Miejsce docelowe znajdowało się zaledwie kilka przecznic od apartamentu Josha, ale jazda ciągnęła się w nieskończoność. Dom chciał zadzwonić do Sophii, żeby kazać jej natychmiast zawrócić, bo sytuacja uległa zmianie, ale uznał, że nie wolno mu tego zrobić. Nie mógł teraz tracić głowy. Musiał zachować rozsądek. Kobieta wydawała się uczciwa. Wydawała się być tą osobą, za którą się podała. Niemniej to był Nowy Jork, miasto pełne oszustów, maniaków i szantażystów. Na razie nie

miał dowodu, że to wszystko działo się naprawdę, i nie miało sensu budzić w Sophii nadziei do czasu, gdy nie będzie miał pewności. Taksówka zatrzymała się wreszcie przed imponującym budynkiem stojącym przy parku na rogu Piątej Alei i East 91st Street.

Dominic rozpoznał Aiko Watanabe, w chwili gdy otworzyła mu drzwi, i lęk, przez który miał ściśnięty żołądek, natychmiast ustąpił uczuciu ciepła i pokrzepienia. Być może stanie się cud, na który wszyscy tak bardzo czekali. Pani Watanabe była niezwykle młodzieńcza, elegancka i wytworna jak na kobietę w tym wieku. Swego czasu była niewątpliwie prawdziwą piękną. Kiedy się do niego uśmiechnęła i przywitała z nim serdecznie, Dominic dostrzegł ognisty blask w jej bursztynowych oczach. „Kurczę, nadal jest piękna” – pomyślał, gdy uścisnął jej dłoń i pozwolił się wprowadzić do mieszkania.

Zgodził się na zieloną herbatę, którą mu zaproponowała, chociaż jej nie znosił (kojarzyła mu się z detoksem Calgary), i wysłuchał uważnie opowieści Aiko o jej rodzinie. Perły, które jej matka i babka zbierały z dna oceanu, weszły w skład naszyjnika, który Tilly Beaumont otrzymała na osiemnaste urodziny. Aiko dowiedziała się o tym dopiero kilka dni temu. Po sprzedaniu ich słyszała zaledwie pogłoski o tym, że pewien oficer amerykańskiej marynarki wojennej przesznułował je z Japonii i sprzedał w Singapurze angielskiemu handlarzowi klejnotów o wątpliwej reputacji, który w końcu zawiózł je do Londynu i sprzedał prawdziwemu jubilerowi.

Pieniądze, które Aiko uzyskała ze sprzedaży pereł, pozwoliły jej pojechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie wyszła za mąż za ukochanego z czasów wojny. Razem zbudowali międzynarodową firmę komputerową dzięki wiedzy technicznej Bo, wrodzonej intuicji biznesowej Aiko i funduszom, którymi dysponowała. Reszta, jak mógłby powiedzieć każdy, kto kiedykolwiek czytał „Wall Street Journal”, to historia. Aiko nigdy nie zapomniała o swojej spuściźnie. Powiedziała Domowi, że duchy z przeszłości nękały ją ostatnio i kiedy zobaczyła naszyjnik Tilly w telewizji,

wiedziała, co musi zrobić.

Musiała wysłać do Londynu e-mail do niejakiego Hugona, żeby zdobyć numer telefonu Sophii, ale kiedy do niej zadzwoniła, od razu zgłosiła się poczta głosowa. Na szczęście Hugo podał jej również dane kontaktowe Dominica i Aiko spróbowała zadzwonić do niego. Nie mogła się lepiej wstrzelić. Jeśli się pospieszą, mogą zdążyć załatwić sprawę, zanim samolot Sophii poleci do Londynu.

– I jest pani tego absolutnie pewna, pani Watanabe? – zapytał Dom trochę nerwowo. – To jest mnóstwo pieniędzy.

– Jak najbardziej – odparła Aiko lekkim tonem, jakby robiła przelew opiewający na kilka dolarów. Nie wydawała się bardziej poruszona niż podczas płacenia dziesięciu dolarów w sklepie spożywczym. – Muszę odzyskać swoje perły. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że właśnie tego potrzebowałam, ale teraz to wiem. Tak powinno być. – Wcisnęła przycisk na klawiaturze laptopa, usiadła prosto i uśmiechnęła się pogodnie do Dominica. – Gotowe – powiedziała prawie beztrzesko. – Musisz pędzić po ten naszyjnik, zanim będzie za późno. Nie musicie się spieszyć z oddaniem mi pereł. Miejcie je tak długo, jak będą wam potrzebne. Czekałam ponad sześćdziesiąt lat na to, żeby znowu je zobaczyć. Kilka tygodni nic już nie zmieni. Przynajmniej w moim przypadku. – Wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła.

– Nie potrzebuje pani ode mnie jakiegoś depozytu albo dokumentu prawnego, w którym byłoby napisane, że powierza pani perły mojej opiece? – zapytał Dominic trochę zaniepokojony.

Przecież ten naszyjnik był wart dwadzieścia milionów dolarów. Jak pani Watanabe mogła zaufać, że on, obcy jej człowiek, nie ulotni się z nim? To nie miało sensu.

– Dominicu – powiedziała starsza pani, nachylając się w jego stronę i poklepując go po kolanie. – Kierowałam się przeczuciem przez osiemdziesiąt lat. Intuicja zawsze mi służyła. I podpowiada mi, żebym zaufała tobie i twojej lady Beaumont Brown.

– To nie jest moja lady Beaumont Brown – zaproponował z zakłopotaniem.

– Ale chciałbyś, żeby tak było – zauważyła Aiko z



uśmiechem. Nagle wyglądała figlarnie i bardzo młodo. – Za każdym razem, gdy wymawiasz jej imię, błyszczą ci oczy. Uciekaj. Jedź po perły i zawieź je swojej dziewczynie!

– Czy naprawdę istnieje arabski książe, który chce kupić mój naszyjnik? – zapytała Calgary.

Josh usiłował się zrelaksować. Czytał niedzielne gazety i popijał espresso z miną „nie przeszkadzaj mi”, ale Calgary nie mogła się rozluźnić. Czowała się niespokojna.

– Oczywiście, że ten Arab istnieje – burknął poirytowany Joshua. – Ale zaproponował tylko piętnaście milionów.

– Och – rzuciła zakłopotana Calgary. – Myślałam, że tylko blefujesz.

– Nie – odparł Josh i głośno złożył gazetę na znak niezadowolenia, że mu przerwała.

Calgary podeszła od kanapy do okna.

– Ale ich nie sprzedamy, prawda? – ciągnęła. – Powiedziałeś wcześniej, że nie będę się musiała pozbywać moich pereł.

Josh wzruszył ramionami.

– Może powinniśmy to zrobić, jeśli proponuje więcej. Kiedy staruszka umrze, będą warte jeszcze więcej. Już ich nie potrzebujemy, prawda? Kupiłem ci już tak wiele pięknych rzeczy, Calgary.

– Wiem, ale chciałam je założyć w dniu naszego ślubu – wyjaśniła.

Słyszała w swoim głosie desperację i wiedziała, że Josh pomyśli, że jęczy.

– Założyłaś je podczas jednego ślubu i zobacz, jak się skończyło to małżeństwo. Może ten naszyjnik to zły omen. Poczekajmy do śmierci Tilly Beaumont i sprzedajmy go.

– Nie chcę... – zaprotestowała Calgary, która nagle poczuła strach, choć nie wiedziała, z jakiego powodu.

Pochyliła się w stronę okna i wyjrzała na ulicę. Pod domem zatrzymała się taksówka, z której wysiadła znajoma osoba.

– Dominic wrócił! – zawołała zaskoczona.

– Chryste, nie podniecaj się tym tak bardzo! – warknął Josh.

Rzucił gazetę na stolik kawowy i wstał. – Czego on znowu chce? Czy ten człowiek nie wie, co znaczy „nie”?

Kiedy rozległ się dzwonek domofonu, Josh czekał w gotowości.

– Czego chcesz, McGuire? – burknął. – Powiedziałem ci, że nie dobijemy targu.

Calgary poczuła się przygnębiona. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale z jakiegoś powodu chciała, żeby Dominic wrócił do ich apartamentu.

– Och. – Usłyszała głos Josha. – Rozumiem. To zmienia postać rzeczy. Wejdz, Dominicu.

– Co się stało? – zapytała Calgary z ekscytacją. – Dlaczego go wpuszczasz?

– To męska sprawa, kochanie – odparł lekceważąco. – Jesteś dzisiaj bardzo nerwowa i nieprzewidywalna. Zostaw to mnie i Dominicowi. Zaczekaj w sypialni. Musisz się położyć.

– Ale ja nie chcę... – zaproponowała.

– Kazałem ci poczekać w sypialni! – ryknął Josh.

Calgary podskoczyła. Josh bardzo rzadko na nią krzyczał, ale kiedy to robił, wiedziała, że nie należy się z nim sprzeczać. Przełknęła dumę i ruszyła w stronę sypialni.

– Calgary – dodał Josh po namyśle. – Zdejmij naszyjnik i połóż go na stoliku. Nie będziesz go już potrzebowała.

Trzęsącymi się dłońmi Calgary rozpięła zapięcie ukochanego naszyjnika. Łzy spływały jej po policzkach, gdy kładła perfekcyjne perły na lśniącym blacie stolika.

– Powiedziałeś, że są bezcenne – przypomniała Joshowi szeptem.

– Wszystko ma swoją cenę, kochanie – rzucił Josh. – Za dwadzieścia milionów sprzedałbym niemal wszystko. Znasz mnie już na tyle długo, żeby o tym wiedzieć.

Calgary ruszyła chwiejnym krokiem w stronę drzwi. Dwadzieścia milionów dolarów? Jak Dominic zdołał zorganizować tyle pieniędzy w senny niedzielny poranek na Manhattanie? I co Josh miał na myśli, mówiąc, że za tę kwotę sprzedałby niemal

wszystko? Nagle zaczęła się zastanawiać, jaką cenę wyznaczył za jej głowę. Na ile Josh ją cenił tak naprawdę? Położyła się na wielkim łóżu i naciągnęła na siebie jedwabną pościel. Gładziła dłońmi zaokrąglony brzuch i zamknęła oczy. I właśnie wtedy poczuła pierwsze kopnięcie. Potem kolejne i następne. Zalała ją fala nieznanego dotąd spokoju. Już nie czuła się roztrzęsiona ani się nie bała. Nagle wszystko nabrało sensu.

## *Rozdział czterdziesty piąty*

Międzynarodowe Lotnisko Johna. F. Kennedy'ego, stan  
Nowy Jork, 2012

Dominic wypadł z taksówki i wpadł do hali odlotów, wypatrując Sophii. Wyjechała z Upper East Side prawie dwie godziny przed nim, ale jej samolot wylatywał dopiero za jakiś czas. Miał nadzieję, że się nie spieszyła, może poszła na przykład na kawę, zamiast przejść od razu odprawę. Na lotnisku roiło się od ludzi, którzy usiłowali polecieć gdzieś na Boże Narodzenie. Dom jednak myślał o czymś znacznie poważniejszym niż wyjazd świąteczny. Zerknął na tablicę odlotów. Dokąd miała lecieć? Do Londynu, ale na które lotnisko? W panice nie mógł sobie przypomnieć. Za pięć minut startował samolot lecący na Heathrow, ale to by było za wcześnie. To pewnie późniejszy lot do Gatwick. Bramka piętnasta.

Mijał w pędzie tłumy podróżnych, potykając się po drodze o walizki i małe dzieci i przeprasząc każdego, na kogo wpadł. Zgubił się, odwrócił i pobiegł w przeciwnym kierunku.

– Przepraszam pana – powiedział zwalisty ochroniarz siedzący za biurkiem. – Jeśli nie ma pan biletu, muszę prosić, żeby się pan odsunął.

Spóźnił się. Sophia miała wylecieć za godzinę, była gdzieś po drugiej stronie bramki, ale on nie mógł się do niej dostać. Spróbował znowu do niej zadzwonić, ale i tym razem usłyszał pocztę głosową. Dzwonił do niej bez końca, odkąd wyszedł z mieszkania Aiko. Dlaczego wyłączyła telefon? Doprowadzało go to do szału.

– Cześć, mówi Sophia. Nie mogę odebrać telefonu, ale jeśli zostawisz wiadomość, oddzwonię, gdy tylko będę mogła – zamruczał jej głos.

– Sophio, proszę, oddzwon do mnie – błagał ją. – Jestem na lotnisku. I mam dla ciebie prezent!

Spędził pół godziny w kolejce do punktu pomocy tylko po to,

żeby usłyszeć, że nie wywołają jego przyjaciółki. Nie, o ile nie jest zagubioną nieletnią lub nie zagraża bezpieczeństwu.

– Myśl, Dominicu – polecił sobie stanowczo, chodząc po lotnisku w tę i z powrotem i szukając rozwiązania. – Myśl.

Bez względu na to, jak długo się zastanawiał, dochodził do jednego wniosku. Stał w długiej kolejce do kas biletowych i czekał niecierpliwie. Kolejka przesuwała się w żółwym tempie. Próbował dodzwonić się do Sophii, ale ramiona zegara na ścianie podpowiadały mu, że jej samolot już wystartował. Potem zadzwonił do Dave'a i poprosił go, żeby poszedł do jego mieszkania po Blondie i zabrał ją do Brooklynu. Wreszcie stanął przy kasie.

– Chciałbym kupić bilet na najbliższy możliwy lot do Londynu – powiedział do obsługującej go dziewczyny.

Popatrzyła na niego, jakby oszalał.

– Jest dwudziesty trzeci grudnia, proszę pana – przypomniała mu, jakby o tym nie wiedział. Przecież odstał dwie godziny w kolejce po bilety. – Najbliższe wolne miejsca do Londynu mamy... Niech sprawdzę... Ósmego stycznia – powiedziała i uśmiechnęła się jak robot.

– Ósmego stycznia?! – niemal krzyknął do niej. – To niemożliwe. A może coś z przesiadką? Gdziekolwiek! To nie musi być bezpośredni lot. Dajcie mi, co macie, o ile dolecę na miejsce w Boże Narodzenie.

Twarz kobiety złagodniała. Tym razem uśmiechnęła się szczerzej.

– Chce pan dotrzeć do ukochanej? – spytała.

– Tak! – odparł zdecydowanie. – Muszę się zobaczyć z dziewczyną w święta. Mam dla niej ważny prezent.

– Niech sprawdzę, co możemy dla pana zrobić. Może udałoby się przez Paryż... Nie. Monachium? Nie. A przez Madryd? Też nie... Może...

Wpatrywała się w monitor jeszcze przez kilka minut. Dom przyglądał się jej pełen nadziei, ale w końcu powiedziała:

– Bardzo, bardzo mi przykro, ale nie ma żadnych lotów z

przesiadką do Londynu. Jest Bo...

– Wiem, wiem, Boże Narodzenie – odpowiedział zniecierpliwiony. – Rozumiem! Czy w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin jest jakiś lot, który pozwoli mi dotrzeć w pobliże Londynu? Gdziekolwiek w Zjednoczonym Królestwie.

– Niech sprawdzę, proszę pana... – Kobieta wróciła do monitora. – Zwolniło się jedno miejsce do Glasgow. To jest nocny lot – oznajmiła z uśmiechem.

– Glasgow? – powtórzył Dominic i starał się oczami wyobraźni ujrzeć mapę Wielkiej Brytanii. – To jest w Szkocji, prawda?

– Zgadza się.

– A jak daleko jest stamtąd do Londynu? – pytał dalej.

– Około sześciuset kilometrów – odpowiedziała kobieta.

Dominic myślał przez chwilę. Sześćset kilometrów to nie tak daleko, prawda?

– A czy są jakieś dostępne miejsca z Glasgow do Londynu? – zapytał z nadzieją.

– Nie. Stamtąd będzie pan musiał dostać się do Londynu samodzielnie – poinformowała go. – Ale to nie jest daleko – dodała wesoło. – Co to jest sześćset kilometrów dla kogoś, kto przeleciał nad Atlantykiem? A skoro musi pan dostarczyć prezent dziewczynie...

Albo była tak dobrym handlowcem, albo wielką romantyczką. W tym momencie Dominic się nad tym nie zastanawiał. Przekonała go.

– W porządku – rzucił. – Biorę ten lot do Glasgow. Ile jestem winien? – Rzucił kartę kredytową na kontuar.

– Sześć tysięcy trzysta dwadzieścia osiem dolarów. W jedną stronę. Jak by nie było, mamy Boże Narodzenie.

Lotnisko Gatwick, West Sussex, 2012

Sophia przeszła szybko odprawę celną i, rozpychając się łokciami, pobiegła do najbliższego płatnego telefonu. Wrzuciła do niego tyle luźnych monet, ile zdołała znaleźć. Nie miała kontaktu

ze światem przez prawie cały dzień i musiała porozmawiać z Hugonem.

– Hugo, telefon mi padł wczoraj około południa, więc nie odbierałam wiadomości. Nie rozumiem, co mówisz. W Nowym Jorku tylko straciłam czas. I chyba się zakochałam w Dominicu McGuire. Jego była nie odda nam naszyjnika, a teraz ty mi mówisz, że babcia jest nieprzytomna i że mój tata zaczął brykać. Co się dzieje? Opowiadaj.

– No właśnie próbuję – powiedział Hugo. – Musisz mi jednak pozwolić dojść do głosu. Twój tata dzwonił do mnie wczoraj wieczorem w potwornym stanie. Krzyczał i się pieklił. Chciał z tobą rozmawiać.

– Słucham? – Sophia była zdumiona. – Mój tata dzwonił do ciebie? Przecież nienawidzi cię niemal tak samo jak mnie!

Usłyszała, że Hugo bierze głęboki wdech.

– Twierdzi, że twoja mama wyrzuciła go z domu... I że to wszystko twoja wina.

– To śmieszne! – pisnęła Sophia, która starała się zrozumieć, co Hugo do niej mówił. – Mama nigdy nie miałyby dość jaj, żeby go wyrzucić. Tych dwoje nigdy się nie rozstaje. Co by powiedzieli sąsiedzi? Pewnie się pokłócili o jakąś głupotę i tata znowu zwała winę na mnie. Ale dlaczego do ciebie dzwonił? Nie rozumiem.

– Też tego nie wiem – przyznał Hugo. – Brzmiał naprawdę dziwnie. Wydawał się bardzo, bardzo pijany. Wydaje mi się jednak, że mówił prawdę, Sophes. Powiedział, że twoja mama zmieniła zamki.

Sophia miała wrażenie, że za chwilę eksploduje. To był jakiś obłąd! Nie mogła nawet zacząć sobie wyobrazić tego, że jej rodzice się rozstali. Działy się jednak ważniejsze rzeczy. Nie miała czasu myśleć o rodzicach.

– A babcia? Jest z nią bardzo źle, Hugo? – zapytała łamiącym się głosem.

– Nie wiem, ale jakoś się trzyma – poinformował ją delikatnie. – Właśnie rozmawiałem ze szpitalem. Miała spokojną noc. Posłuchaj, wsiądź do taksówki i przyjedź jak najszybciej do

domu. Proszę. Chcę ci coś pokazać.

– Co takiego? – spytała Sophia, nagle bardzo zdenerwowana. W tonie głosu Hugona było coś dziwnego. Wydawał się przestraszony, udręczony.

– Nie pokażę ci tego przez telefon, prawda? – powiedział cicho. – Posłuchaj Sophio. Po prostu tu przyjedź.

– Okej – odparła. – Już jadę.

Kiedy się rozłączyła, zalała ją fala wyczerpania. Miała wrażenie, że stoi na plaży w czasie sztormu i uderzają w nią fale; za chwilę zabraknie jej sił, by ustać na nogach. Jeszcze jedna zła wiadomość i zatonie. Wyglądała, jakby się przykleiła do swojego miejsca, podczas gdy setki ludzi mijają ją w hali przylotów. Wszyscy się uśmiechali, gdy lawirowali w tłumie z bagażami pełnymi świątecznych prezentów i podekscytowanymi dzieciakami w najlepszych zimowych ubraniach. Pary się całowały, dorosłe dzieci obejmowały rodziców, maluchy rzucały się w objęcia dziadków. Stała tam wieki całe i przyglądała się życiu toczącemu się wokół. Babcia leżała nieprzytomna na szpitalnym łóżku, mama była sama, tata był Bóg wie gdzie, a Dominic tysiące kilometrów stąd. Nikt z osób ważnych w jej życiu nie znajdował się tam, gdzie powinien. Wykrzesła z siebie resztki sił i powoli ciągnęła walizkę w stronę postoju taksówek.

Kiedy w końcu dotarła do domu babci, Hugo czekał na nią w oknie. Wybiegł się z nią przywitać i uściskał ją tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

– Co się stało, Hugo? – zapytała i przekazała mu walizkę. – Znam ten wyraz twarzy. Zrobiłeś coś, czego nie powinieneś robić, prawda?

– Trochę powęszyłem – wyznał.

Zabrał ją do gabinetu dziadka i wręczył mały pożółkły wycinek z gazety.

– Znalazłem to w biurku twojego dziadka – powiedział z zakłopotaniem. – Byłem wścibski. Przepraszam. Pomyślałem, że zobaczę, co to...

– A co to jest? – spytała, biorąc od niego skrawek gazety.



– To tylko skrót. Jest też drugi. Sprostowanie z kilku dni później.

– Nie rozumiem – zauważyła Sophia.

– Przeczytaj to – polecił jej Hugo.

Tajemnicza ucieczka dziedziczki: lady Alice Beaumont Perry, córka aktorów Tilly Beaumont i Franka Perry’ego Juniora, zaginęła we Włoszech. Nastolatka najprawdopodobniej uciekła z młodym Włochem... Rodzice odchodzą od zmysłów... Włoska policja przeczesuje Rzym i jego okolice... Każdy, kto wie cokolwiek...

– Co takiego? – spytała Sophia i uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. – Przeważnie! Mama uciekła we Włoszech i napisano o tym w ogólnokrajowej prasie?

– Rzekomo uciekła – stwierdził Hugo ze wzruszeniem ramion. – Poczytałem o niej w internecie i to jest jedyna wzmianka o jej ucieczce. Jeden wycinek z gazety. I to sprostowanie.

– Szkoda. Podoba mi się myśl, że mama zrobiła coś szalonego. To znaczy, że może przestać być taką hipokrytką i prawić mi morały na temat „wątpliwych wyborów życiowych” – powiedziała Sophia, drapiąc się po głowie i cmokając. – Domyślam się, że to jakaś pomyłka.

Hugo pokręcił głową.

– Nie sędzę. Dlaczego dziadek miałby zachować ten wycinek? Jest też coś więcej. List od włoskiej policji, datowany trzy miesiące później. Rozumiem trochę, co w nim jest. Napisano tu o udanej operacji i wyrażono nadzieję, że Alice dochodzi do siebie po swoich mękach. Jest też informacja, że sprawcą się już zajęto.

– Sprawcą? – zapytała Sophia z niedowierzaniem. – Przecież z tego tekstu z gazety wynika, że uciekła z jakimś kolesiem z własnej woli. Boże, wygląda na to, że przez moją mamę aresztowano jakiegoś włoskiego chłopaka! Za to, że miał z nią przygodę! A ona zachowuje się jakby nigdy nic... – Pokręciła głową. – To jest niedorzeczne. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić tego, w co mama się wpakowała trzydzieści kilka lat temu.

Szczerze mówiąc, jest to najmniejsze z moich zmartwień. Marzę tylko o tym, żeby się przespać, potem wziąć długą kąpiel i pojechać do babci.

– Eee... – Hugo przestępował z nogi na nogę. – Jest jeszcze jedna rzecz.

– Co takiego? Co jest tak ważne, że nie może poczekać kilka godzin?

– Sophio, wydaje mi się, że twój tata nie jest twoim tatą – wydusił z siebie. – No, powiedziałem to. Damon stwierdził, że najlepiej będzie wywalić to z siebie.

Sophia chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć właściwych słów.

– O czym ty mówisz, Hugo? – zapytała, gdy wreszcie odzyskała głos. – To jasne, że tata jest moim tatą. Jest beznadziejnym ojcem, ale jest mój.

Hugo pokręcił głową.

– Urodziłaś się w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku – poinformował ją, jakby tego nie wiedziała.

– Tak – rzuciła niecierpliwie. – Jestem tego świadoma.

– A twoi rodzice pobrali się w grudniu osiemdziesiątego pierwszego – ciągnął.

– Wiem – potwierdziła. – Mama była już w ciąży, gdy wzięli ślub. Zawsze myślałam, że to z tego powodu tata traktował mnie per noga. Jakbym miała w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia.

– Ale Sophio, poczęto cię w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. W tym czasie twoja mama była we Włoszech. Spójrz na list od włoskiej policji. Znaleziono ją dopiero na początku września.

– Hugo, to jest jakiś obłąd – odparła Sophia. Tym razem Hugo zdecydowanie poszedł za daleko w swojej obsesji na punkcie rodziny Beaumont, a co gorsza, wszystko pomieszał. – Urodziłam się dwa miesiące przed terminem. Rodzice nie wiedzieli, czy przeżyję. Powiedzieli mi to. Domyślałam się, że po części z tego powodu nigdy nie powstała prawdziwa więź między mną i mamą. Nie ma żadnego skandalu – stwierdziła beznamiętnie,

nawet nie próbując ukryć irytacji w głosie. Nie potrzebowała kolejnych dramatów. Czy on tego nie widział?

– Nie. Nie byłeś wcześniakiem – zaproponował Hugo, kręcąc głową i podając jej jakiś dokument.

– Co masz na myśli? – zapytała niemal błagalnym tonem. – Co to jest?

– Twój akt urodzenia. Napisano tu, że przyszedłeś na świat w drodze cesarskiego cięcia w trzydziestym dziewiątym tygodniu ciąży i że ważyłeś trzy tysiące siedemset czternaście gramów – poinformował ją.

Sophia wpatrywała się w dokument bez zrozumienia. Jak Hugonowi udało się odkryć to wszystko tak szybko, podczas gdy ona przez całe życie pozostawała w niewiedzy?

– Jeśli masz rację co do Włoch... – szepnęła Sophia.

– To wszystko było kłamstwem – przytaknął Hugo ze ściągniętymi brwiami.

Sophii zamarło serce. Przez moment nic nie czuła. Jak mogła opłakiwać stratę Philipa w roli biologicznego ojca? Przecież był beznadziejnym ojcem. Ale szok ją wręcz paraliżował. Nie mogła w zasadzie oddychać. Kiedy myślała o tych wszystkich latach, gdy usiłowała go zadowolić, rozpaczliwie zabiegając o choćby cień miłości ze strony człowieka, którego nazywała tatą, nie mogła tego niemal znieść. Myślała o dziewczynce w sukience baletowej, wirującej gorączkowo przed obojętnym ojcem. Jak mógł jej zrobić coś takiego? Jak jej matka mogła się zdystansować i przyglądać temu, skoro przez cały czas znała prawdę? To wiele tłumaczyło, rzecz jasna – ten chłód, który w nim wyczuwała, brak miłości. Ale też stawiało mnóstwo pytań. Nawet już nie wiedziała, kim była. Czuła się jak rozbite lustro.

– Skoro to nie Philip jest moim ojcem, to kto? – odezwała się w końcu. – Muszę się spotkać z mamą.

– Wiem – powiedział Hugo łagodnie. – Domyśliłem się, że będziesz to chciała zrobić. Damon czeka na zewnątrz w furgonetce. Zawiezie nas do Virginia Water.

Sophia zawahała się przez chwilę.

– A co z babcią? Nie powinnam najpierw spotkać się z nią? Na wypadek gdyby było za późno.

– Myślę, że babcia chciałaby, żebyś się zobaczyła z mamą, nie sądzisz?

Sophia tępo przytaknęła. Może to było to, na czym babci od początku zależało – żeby Sophia poznała prawdę. Bolała ją głowa. Wiedziała, że na pewno wygląda koszmarnie. Od dwóch dni miała na sobie te same pogniecione legginsy i sweter, wczorajszy makijaż dawno się ulotnił z jej twarzy, włosy miała potargane, a oczy przekrwione i czerwone z wycieńczenia. Przepelniała ją potrzeba przytulenia się do kogoś. Zawsze było jej miło, gdy Hugo brał ją w ramiona, ale nie tego teraz potrzebowała.

– Czy Damon ma w samochodzie ładowarkę do telefonu? – zapytała z nadzieją.

Dom na pewno już do niej dzwonił. Nie mogła go tu ściągnąć w jakiś cudowny sposób, ale mogła przynajmniej usłyszeć jego głos. Porozmawiać z nim. To by jej pomogło. Ta myśl podniosła ją trochę na duchu.

– Owszem, ma – powiedział Hugo, wyprowadzając ją z domu. – Mój Damon jest wyposażony we wszystko, co trzeba!

– Za dużo informacji – stwierdziła Sophia i kopnęła go lekko w zadek.

Gdy wdrapała się do furgonetki, Damon pochylił się w jej stronę i uściskał ją (to też było miłe, ale nie mogło się równać z objęciami Doma). Najwyraźniej wiedział o wszystkim i nie miał pojęcia, co powiedzieć. Nie miała mu tego za złe. Co się mówi komuś, kto się właśnie dowiedział, że jest dzieckiem z nieślubnego łoża i całe jego życie było błagą?

– Nie potrzebuje uścisku, kochany – złapał go Hugo, przechodząc nad Sophią, żeby usiąść obok swojego chłopaka. – Daj jej swoją ładowarkę do telefonu. Biedulka nie mogła korzystać z komórki przez blisko dwadzieścia cztery godziny, więc to rozumiałe, że przeżywa traumę. Miała w Nowym Jorku burzliwy romans, więc musi odsłuchiwać wiadomości. *Pronto!*

– Przyjąłem i zrozumiałem – rzucił Damon. Wyjął ładowarkę

ze schowka pod deską rozdzielczą i podłączył ją do zapalniczki samochodowej.

– Szybciej, szybciej...! – ponaglała go Sophia, potrząsając telefonem. – Dlaczego to zawsze tak długo trwa, gdy skończy mu się bateria?

Pierwsza wiadomość była od Hugona, który prosił ją, żeby natychmiast do niego zadzwoniła. Druga była od Doma. Sophia poczuła, jak serce jej podskoczyło na dźwięk jego głębokiego głosu z nowojorskim akcentem.

– Sophia, kochanie, mówi Dom. Jestem na lotnisku! Gdzie jesteś? Ochrona nie chce mnie przepuścić, ale mam dla ciebie prezent. Proszę, zadzwoń, gdy tylko odsłuchasz tę wiadomość. Proszę cię, Sophio. Muszę się z tobą zobaczyć przed twoim wylotem. To ważne.

Czekała wieki całe na połączenie. Wstrzymała oddech i czekała, ale nie usłyszała sygnału. Od razu połączyła się ze skrzynką głosową.

Lotnisko w Glasgow, Szkocja, 2012

– Do Londynu proszę – rzucił podekscytowany Dominic, gdy wskoczył na tylne siedzenie taksówki.

Taksówkarz odwrócił się i popatrzył na niego, jakby poprosił o zawiezenie go do Timbaktu.

– Do Londynu? – spytał z silnym szkockim akcentem; nie wierzył własnym uszom. – Żartujesz, kolego? Czy masz pojęcie, jak daleko jest z Glasgow do Londynu?

– Około sześciuset kilometrów – odparł Dominic, nadal wesoło.

Nic nie zepsuje mu dobrego nastroju. Był na brytyjskiej ziemi. Prawie na miejscu. I musiał dostarczyć swój cenny prezent w Boże Narodzenie. Czuł się jak jeden z trzech króli.

– Nie zawiozę pana do Londynu – oznajmił taksówkarz i zdecydowanie pokręcił głową. – Mamy Wigilię, na Boga! Tam się jedzie osiem godzin w jedną stronę. Wrócę dopiero jutro rano. Moja pani mnie zamorduje. Będzie musiała sama zapakować

wszystkie prezenty i wypchać skarpety.

– Jakąkolwiek pan poda stawkę – powiedział Dominic – zapłacę podwójnie. Zgoda?

Kierowca milczał przez chwilę. Dominic widział, że robi w myślach kalkulacje, zestawia to, jak żona natrze mu uszy, z tym, ile zarobi na tym kursie. Dominic zaklinał go bezgłośnie, żeby się zgodził. Jazda taksówką była jego jedyną szansą. Ostatni pociąg przed Bożym Narodzeniem wyjechał już z Glasgow, jazda nocnym autobusem trwałaby zbyt długo, a żadna z firm wynajmujących samochody nie miała już wolnego auta. Trwał sezon świąteczny, wszystko było zarezerwowane – o czym wszyscy go pomocnie informowali.

– No dobra, synku – odezwał się w końcu kierowca. – Umowa stoi. I tak nie znoszę pakować prezentów! Ale będziesz musiał znieść to, że palę. Nie będę jechał przez osiem godzin, jeśli nie będę mógł sobie zakurzyć.

– Nie ma sprawy – odparł Dominic wesoło. – Przyłączę się do pana.

## *Rozdział czterdziesty szósty*

Virginia Water, Surrey, 2012

Alice zobaczyła furgonetkę podjeżdżającą przed dom i wiedziała, że nadeszła wreszcie chwila, w której musi powiedzieć Sophii prawdę. Zadzwoiła do szpitala z samego rana i dowiedziała się, że stan jej matki nie uległ zmianie i że mama „nadal się trzyma”, ale zdawała sobie sprawę z tego, że czas im nie sprzyjał. Przełknęła z trudem ślinę i starała się skupić. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby się teraz rozkleić z powodu mamy. Musiała zająć się wszystkim po kolei – tylko w ten sposób zdoła przetrwać kilka następnych dni. Najpierw skupi się na córce, a potem pozwoli sobie myśleć o matce.

Philip się wyprowadził. Było gorzej, niż myślała, kiedy powiedziała mu wreszcie, że ich małżeństwo się skończyło. Gdy usłyszała, jak wali w drzwi, nie mogąc wsunąć klucza do zamka, który wymieniła podczas jego nieobecności, spodziewała się szoku, złości, nawet przemocy. Wybaczyłaby mu nawet, gdyby ją spoliczkował. Pewnie na to zasługiwała. Jakoś by to zniosła. Otworzyła więc drzwi, tylko odrobinę, przerażona, czekając na wybuch. Tymczasem ujrzała łzy. Wielki tyran, który więził ją przez trzy dekady, padł przed nią jak kłoda i płakał w progu. Co gorsza, błagał o to, żeby dała mu szansę, obiecywał zmianę, a nawet przysiągł, że da Sophii drugą szansę, ale było na to wszystko za późno. Alice nie miała pojęcia, że on ją nadal kochał na swój sposób, i zaskoczyło ją to. Przez te wszystkie miesiące i lata, kiedy wyobrażała sobie, że od niego odejdzie, nie przewidziała jego łez. Zastanawiała się, czy powinna coś czuć do mężczyzny, z którym dzieliła dorosłe życie, ale nie mogła nic z siebie wykrzesać; wypełniała ją wyłącznie pusta obojętność. Pragnęła tylko, żeby odszedł. Zamknęła drzwi i zostawiła go łkającego w progu.

Potem nastąpiło kilka wysoce nieprzyjemnych dni, ale z pewnością nawet Philip zrozumie kiedyś, że wyjdzie im to na dobre. Na początku próbował ją uratować i prawie się przyjaźnili,

ale ich symbiotyczny związek zmutował i zepsuł się pod wpływem urazy i kłamstw. Alice nie zrzucała na Philipa całej winy za to, jak potoczyło się ich życie. Na pewno trudno mu było wychowywać dziecko innego mężczyzny, tym bardziej że wiedział, kim ten mężczyzna był i ile znaczył dla Alice. Philip nie mógł z nim rywalizować. Bo jak mógłby walczyć z cieniem? Nie, nigdy by jej nie uszczęśliwił. Teraz nareszcie byli wolni i mogli zacząć życie od nowa. Philip z czasem to pojmie. Pod bólem, który czuła w ciągu kilku ostatnich tygodni, Alice zaczęła czuć malutkie ziarno nowego życia kiełkujące w jej sercu. Najpierw jednak musiała opowiedzieć historię. Miała nadzieję, że Sophia zrozumie, iż jest to historia miłosna: o uczuciu dziewczyny do chłopaka i matki do córki.

Rzym, Włochy, 1981

„Rzym to najbardziej romantyczne miasto na świecie!”, napisała Alice na pocztówce do matki.

Siedziała w kawiarni przy Palazzo della Consulta, rozkoszowała się resztkami cappuccino i zastanawiała się, jak dużo prawdy ujawnić. Nie wspomniała o tym, że Claudia dawno już zniknęła w Monako. Zamiast tego, gdy dzwoniła do domu raz w tygodniu lub wypisywała kartki, uważnie omijała wszystkie informacje, które mogłyby przerazić rodziców – na przykład tę o rozstaniu z Claudią lub o tym, że w klubie nocnym, w którym pracowała, nosiła niewiele więcej poza bielizną. Na razie przynosiło to pożądany skutek. Mama i tata wydawali się zadowoleni z tego, jak upływał jej rok za granicą, i zdołali nawet wyobrazić sobie, że hałaśliwy nocny klub przypominał raczej ekskluzywny klub dla dżentelmenów.

„Właśnie wrzuciłam monetę do fontanny di Trevi”, pisała zgodnie z prawdą. „A to znaczy, że pewnego dnia wrócę do Rzymu!”.

Czy to nie zdradzało za bardzo, że już z niego wyjeżdża? Rodzice nie mogą się dowiedzieć pod żadnym pozorem, że właśnie rzuciła pracę i wydała resztę zarobionych pieniędzy na bilet



kolejowy do Genui. Myśleli, że zostanie w Rzymie do końca lata, ale... no cóż, życie się zmienia, toczy dalej. Oni jednak tego nie rozumieją.

„Poznałam bardzo miłego chłopaka...”, zaczęła, ale przerwała i przygryzła końcówkę pióra. Zastanawiała się.

Była tak zakochana w nowym chłopaku Luce, że chciała o nim powiedzieć całemu światu, zwłaszcza mamie, o której wiedziała, że byłaby nim zachwycona. Czy rodzice się zmartwią? Nabiorą podejrzeń, jeśli nie będą dostawać kolejnych kartek z Rzymu? Uznała, że nie. Nie była już dzieckiem, miała prawo mieć chłopaka, a poza tym skąd mieliby się dowiedzieć, że ona i Luca nie są tam, gdzie powinni być?

„Ma na imię Luca i jest bardzo utalentowanym szefem kuchni w sławnej restauracji znajdującej się tuż obok klubu nocnego, w którym pracuję. Jest mądry, dobrze wychowany, dość nieśmiały, ale zabawny. I jest najbardziej seksownym chłopakiem, jakiego spotkałam. Byłabyś nim zachwycona, Mamo! Nie martw się, Tato. Też byś go polubił. Robi zabójcze *rigatoni con la pajata*, a wiem, że cielęcina to twoje ulubione mięso!

Mam nadzieję, że dobrze się miewacie. Kocham Was! Alicja (w Krainie Czarów). xxxxxxxxxxxxxx”.

Gotowe. Zrobiła to. Wyśle kartkę z dworca. Alice przesunęła palcem pod naszyjnikiem z pereł i poczuła kropelki potu spływające jej wzdłuż obojczyków na piersi. Chryste, ale upalny dzień! Oby nad morzem w Portofino było trochę chłodniej. Wiedziała, że paradowanie z prezentem na osiemnaste urodziny w czasie zwiedzania Rzymu i robienia w nim zakupów nie było zgodne z intencjami rodziców. Mama nie rozumiałaby również potrzeby zestawiania prawdziwych pereł z dżinsowymi szortami i odblaskowym, różowym topem, ale nie zamierzała zostawiać naszyjnika z tymi potępieńcami, których poznała w hostelu, więc nosiła go przez cały czas. Nawet miała pod nim jaśniejszą, nieopaloną skórę! Spakowany plecak czekał u jej stóp. Luca kończył swoją zmianę za pół godziny i potem wyjadą.

A gdy już znajdą się poza Rzymem, nikt nie będzie mógł im

mówić, co mają robić. Luca żartował, że są jak współcześni Romeo i Julia, rozdzielani przez swoje rodziny, ale wiedziała, że w głębi duszy nie uważał tej sytuacji za zabawną. Spędzili ze sobą zaledwie miesiąc, lecz Alice czuła, że ją kochał. No bo dlaczego miałby robić to, co robił? Sprzeciwiać się rodzinie? Odchodzić z pracy? Uciekać z jedyne go miasta, które nazywał domem? I właśnie ta jego cicha, wrząca determinacja podniecała ją najbardziej.

Poza tym Alice naprawdę musiała oddzielić go od Anity, dziewczyny, z którą chcieli go wyswatać jego rodzice. Wiedziała, że Luca nie był zainteresowany Anitą. Powiedział, że nigdy jej do niczego nie zachęcał, ale zrobiła to jego matka i to wystarczyło! Twierdził, że nigdy wcześniej nikogo nie kochał i dopiero gdy spotkał Alice, zrozumiał, czym jest miłość. Jednakże rodzice ciągle się nim interesowali, Anita zaś była córką jego szefa, więc odczuwał silną presję. Anita wydawała się dziewczyną, która nie tolerowała odmowy. Wylała już drinka prosto w twarz Alice, a kilka dni temu jej brat wyglądał tak, jakby zamierzał rozjechać Alice i Lucę swoim skuterem. Rodzice Luki nie rozmawiali z nim, Alice nie była mile widziana w jego domu. Luca uznał zatem, że tylko w ten sposób będą mogli być razem, a Alice nie wyobrażała sobie niczego bardziej romantycznego od wspólnej ucieczki i zniknięcia bez śladu.

Żałowała, że nie mogła opowiedzieć mamie wszystkiego o Luce. Chciała jej powiedzieć, że miał tak niemożliwie długie rzęsy, iż łaskotał ją nimi w policzki, kiedy się całowali. Kiedy mówił, mogła się wpatrywać wyłącznie w jego usta i pragnąć jego pocałunków. Chciała zapytać matkę, czy tak właśnie się czuła, kiedy poznała tatę. I czy to wszystko znaczyło, że Luca był tym jedynym. Westchnęła głęboko. Kiedy Luca wyszedł wreszcie zza rogu na plac i ruszył w jej stronę z boskim uśmiechem, serce się jej roztopiło. W tym momencie czuła, że poszłaby za nim na koniec świata.

Światło popołudnia gasło, gdy pociąg wtoczył się do Genui. Alice była zmęczona, ale podekscytowana i mocno trzymała Lucę

za rękę, kiedy prowadził ją przez tłum na przystanek autobusowy. Mimo że był wysoki i drobnej budowy, bez trudu niósł ich obydwaj plecaki.

– Do Portofino nie jest tak daleko – wyjaśnił. – W dzieciństwie byłem tam na wakacjach. Jest tam przepięknie. Będziemy tam bardzo szczęśliwi.

Czekali na autobus przez trzy godziny. Siedzieli na zakurczonym chodniku, tulili się do siebie, całowali długo i składali sobie obietnice, że zawsze będą razem. Dotarli do Portofino tak późno, że postanowili spać na dworcu autobusowym. Rano znaleźli tani hostel blisko centrum miasta i przystąpili do budowania nowego życia. Dzięki swoim talentom Luca bez trudu znalazł pracę w restauracji w porcie. A dzięki ślicznej twarzy i cudownym krągłościom Alice została zatrudniona w charakterze hostessy w barze koktajlowym dla zamożnych miłośników jachtów. Kiedy dostali pierwsze pensje, wpłacili zaliczkę na małe, jednopokojowe mieszkanie, z którego, jeśli ktoś się wychylił przez okno i wyciągnął szyję, roztaczał się widok na morze. Po opłaceniu czynszu niewiele im zostało, ale Luca przynosił do domu resztki z restauracji, Alice zaś dostawała na tyle dużo napiwków, że parze nie brakowało wina. Ten nowy styl życia bardzo różnił się od jej ekstrawagancko dostatniego dzieciństwa, ale Alice nigdy nie czuła się szczęśliwsza.

Na początku dzwoniła do domu co tydzień, lecz po jakimś czasie kłamstwa zaczęły ją męczyć i wymyślała coraz to nowe wymówki, żeby nie dzwonić. Minął tydzień, potem kolejny i następny, aż upłynęło tyle czasu, że nie sposób było wytłumaczyć jej milczenie. Zepchnęła myśl o domu na dno umysłu, oszukiwała się, że rodzice nie będą się martwić, i skupiła się całkowicie na tu i teraz. Nic nie miało znaczenia, tylko ona, Luca i ich namiętna niepohamowana miłość.

Pewnej księżycowej nocy Luca zabrał ją na plażę i rozłożył koc piknikowy na piasku. Plaża była pusta, niebo czarne i bezchmurne, usiane gwiazdami, ocean uderzał delikatnie o brzeg. Luca zapalił świece, otworzył butelkę prosecco i wyłożył

przepyszne *bruschetta alla romana*, *fritto di fiori di zucca*, *spaghetti all'Amatriciana* i *crostata di ricotta*. Podał jej plastikowy kubeczek z musującym winem.

– Wyjdiesz za mnie, Alice? – zapytał, a jego ogromne brązowe oczy patrzyły na nią błagalnie w świetle księżyca. – Nie mam pieniędzy, nie mam pierścionka dla ciebie, ale mam serce i przyszłość, które ofiarowuję ci na zawsze. Proszę, czy wyjdiesz za mnie, Alice?

– Oczywiście, Luca! – wykrzyknęła i rzuciła mu się na szyję. Wylała prosecco na koc i pocałowała chłopaka mocno w doskonałe, wyjątkowo piękne usta.

Tego wieczoru jedzenie nie zostało skonsumowane. Większość wgnietli w piasek i rozrzucili wokół siebie, żeby mogły je zjeść później mewy. Luca i Alice zrywali z siebie ubrania o wiele bardziej spragnieni siebie nawzajem niż makaronu lub owoców morza. Zatracili się w niebie młodszej żądzy, miłości i świadomości, że nic i nikt nie będzie mógł ich nigdy rozdzielić. Zanurzył dłoń w jej gęstych, długich włosach, a ona westchnęła z rozkoszy, gdy jego język wbił się w jej usta i... pyk!

– Cholera! – krzyknęła Alice i gwałtownie go odepchnęła.

Przeżona przyłożyła dłonie do gardła.

– Co się stało? – zapytał Luca, siadając. Był zakłopotany.

– Moje perły! Zerwał mi się naszyjnik. Cholera, cholera!

Luca! Leżą wszędzie. Musimy znaleźć je wszystkie! Są bezcenne! Mama mnie zabije!

Opalona twarz Luki poszarzała.

– Przepraszam – powiedział i natychmiast opadł na czworakach i zaczął przesiewać piach dłońmi. – Jestem taki głupi. Znajdę je wszystkie, co do jednej, obiecuję. Ile ich było? Ile było tych pereł, Alice?

– Sześćdziesiąt siedem – odparła, uważnie przesiewając piasek. Znalazła zapięcie i garść pereł. – Mam już osiem. I zapięcie, dzięki Bogu! A ty?

– Dwanaście – rzucił i zamilkł. Wyciągnął coś delikatnie spomiędzy jej piersi. – Trzydzieści. Mam przynajmniej tę dużą!

Alice uśmiechnęła się lekko, a po chwili zaczęła się śmiać w głos.

– To bez znaczenia, czy je znajdziemy – oznajmiła. – Pobierzemy się. To jest to, co się liczy!

– Nie, nie. Bardzo ważne jest, żebyśmy znaleźli wszystkie – odpowiedział jej poważnie. – Obiecałem ci to. Oddam ci wszystkie sześćdziesiąt siedem pereł.

Zostali na plaży i przez kilka godzin przesiewali piasek. Znaleźli ponad czterdzieści pereł. Alice była jednak wykończona. Ciężyły jej powieki i bolało ją serce. W końcu Luca zaniósł ją do ich mieszkanek i położył na łóżku. Była tak zmęczona, że nawet nie zauważyła jego wyjścia. Rano obudziło ją ostre słońce świecące jej prosto w twarz. Odwróciła się w stronę, gdzie zawsze leżał nagi Luca, zdziwiona, dlaczego nie oplótł jej swoimi kończynami jak zawsze, ale łóżko okazało się puste, podobnie jak reszta mieszkania. Narzeczonego nigdzie nie było. Przez dwie godziny stała w oknie i wypatrywała go. Wiedziała, co robił, i chciała iść mu pomóc, ale coś w głębi duszy podpowiadało jej, że powinna pozwolić Luce działać samodzielnie. Chciał się nią opiekować. Być jej bohaterem. Alice nie miała z tym problemu. Kiedy wreszcie pojawił się z pudełkiem po butach i z szelmowskim uśmiechem, słońce nagle zaświeciło jaśniej. Luca był dla Alice wszystkim. Bez niego nie było słońca, światła dnia, życia.

– Mam sześćdziesiąt sześć pereł – oznajmił jej z dumą. – Brakuje tylko jednej.

– To nie ma znaczenia – powtórzyła poważnie.

Czy matka zauważy brak jednej malutkiej perły?

– Nie – zaproponował Luca stanowczo. – Będę chodził na tę plażę codziennie, aż znajdę ostatnią perłę.

– Nie dbam o to – powiedziała Alice zgodnie z prawdą. – Mam ciebie. To wszystko, czego mi trzeba.

Polizia di Stato przyszła do nich w środku nocy. Funkcjonariusze wyważyli drzwi i znaleźli młodych kochanków nagich i przerażonych w łóżku. Mimo że Alice krzyczała, że go

kocha, że to jej narzeczony i nie zrobił nic złego, policja skuliła Luce kajdankami i wyciągnęła go za drzwi. Próbowwała za nim biec, ale zwalisty *poliziotto* ją zatrzymał. Siłowała się z nim, krzyczała i płakała, wyciągała ręce w stronę narzeczonego, ale na próżno, bo nie pozwolono jej do niego dojść.

Luca wołał:

– Kocham cię, Alice! Dotrzymam obietnicy!

Policjanci wyprowadzali go siłą z domu.

– Nie martw się, Luca! Mój tata to wyjaśni! – krzyczała za nim. – Też dotrzymam słowa. To jakaś pomyłka. Głupia pomyłka. Zobaczymy się niebawem. Kocham cię!

Nigdy więcej go nie widziała. Policjanci byli dla niej bardzo uprzejmi, ale złościli ją, gdy traktowali ją jak ofiarę. Powtarzała im, że nie jest żadną ofiarą, że Luca nie jest żadnym przestępcą i że pojechała do Portofino z własnej woli. W czasie długiej podróży na południe dowiedziała się, że jej rodzice skontaktowali się z policją w Rzymie i zgłosili jej zaginięcie. Policja potrzebowała ponad miesiąc, żeby ją znaleźć.

Rodzice Alice czekali na nią w Rzymie. Martwili się do nieprzytomności jej zniknięciem i nawet mieli obawy, że została porwana. Nie miało znaczenia, ile razy im powtarzała, że wyjechała z Luca z własnej woli; przekonywali ją, że musi wracać do domu i że wszystko będzie lepiej, gdy wrócą do Londynu. Po powrocie nic nie było lepiej. Alice nie chciała jeść. Nie mogła spać. Błagała ojca, żeby powiedział policji we Włoszech, że Luca był absolutnie niewinny.

– Jak mogą go o cokolwiek oskarżać, skoro nie zrobił nic złego, oprócz tego, że się we mnie zakochał? – spytała. – Też go kocham. Jeśli jest winny, ja też jestem!

– Alice, nie jesteś zwyczajną dziewczyną – przypomniał jej ojciec. – Ze względu na to, kim jesteśmy – wskazał na siebie i mamę – jesteś narażona na niebezpieczeństwo. Nie możesz jechać do Włoch, zniknąć i oczekiwać, że nie skontaktujemy się z policją. Wszystko mogło ci się przydarzyć.

– Ja się tylko zakochałam. Byłam szczęśliwa, tato! Dlaczego

musieliście wszystko zepsuć?

– Alice, kochanie – odezwała się matka łagodnym głosem, gładząc ją po włosach. – Luca nic nie grozi. Nie oskarżono go o nic i nie aresztowano. Musieliśmy usunąć go z drogi, gdy zabieraliśmy cię do domu.

– Ale ja byłam w domu, mamó – łkała Alice. – Czy nie rozumiesz tego? To mieszkanie było naszym domem. Co wyście narobili? Dlaczego to zrobiliście?

– Masz zaledwie osiemnaście lat – przypomniał jej ojciec surowo. – Wdałaś się w wakacyjny romans, który wymknął się spod kontroli. Musisz zostawić to za sobą i żyć dalej. Niebawem zaczniesz studia, zdobędziesz nowych przyjaciół i doświadczenia. Masz przed sobą całe życie.

– Nie – zaprzeczyła Alice, przymykając oczy. – Bez Luki nie mam na co czekać. Nie rozdzielicie nas. Zobaczycie...

Dzwoniła do restauracji w Portofino co najmniej ze sto razy, jeśli nie więcej, ale za każdym razem słyszała, że Luca wyjechał. Zaczęła więc wydzwaniać do restauracji w Rzymie, w której pracował wcześniej. Należała do ojca Anity, który przyjaźnił się z rodziną Luki. Powinien wiedzieć, czy Luca wrócił do Rzymu. I gdzie przebywa. Mógłby przynajmniej przekazać mu wiadomość i powiedzieć, że Alice chce wrócić, że to nie musi być koniec. Ale za każdym razem, gdy otwierała usta, żeby się odezwać, osoba, która podnosiła słuchawkę, odkładała ją. Alice nie знаła żadnego innego numeru, pod który mogłaby zadzwonić – jego rodzice nie mieli telefonu – więc próbowała i próbowała bez końca. Pewnego dnia osoba po drugiej stronie linii nie odłożyła słuchawki. Wysłuchiwała cierpliwie tego, co Alice miała do powiedzenia, następnie poinformowała ją triumfalnie po włosku:

– Alice, mówi Anita. Luca i ja wzięliśmy ślub w sobotę. Przegrałaś. A ja wygrałam. Życzę ci udanego życia. *Ciao*.

Tego dnia umarła jakaś część Alice. Domyśliła się, że było to pewnie jej serce. Wiedziała już, że jest w ciąży. Miała osiemnaście lat, nie miała męża i spodziewała się dziecka. Nie to jej rodzice wymarzyli sobie dla jedynej córki. Ojciec w pierwszej chwili

wpadł we wściekłość. Alice niejedną raz słyszała słowo „adopcja”, gdy siedziała na schodach i słuchała prowadzonych przyciszonym głosem dyskusji rodziców o tym, jak należałoby rozwiązać „problem”.

– Nie oddam swojego dziecka. Dziecka Luki! – krzyczała ze schodów, po czym wpadała do swojego pokoju i zamykała za sobą drzwi.

– Poślubił inną – przypomniała jej matka przez zamknięte drzwi. – Musisz pójść dalej. Jesteś taka młoda...

– Nie miał wyjścia i musiał poślubić Anitę! – odkrzyknęła, lojalna wobec Luki do końca. – Zabraliście mu mnie. Sprzeciwił się swojej rodzinie, żeby ze mną być. Po powrocie do Rzymu nie miał wyboru!

Rodzice nie mogli jej przekonać do tego, żeby oddała dziecko do adopcji. Wreszcie matka wpadła na pomysł, że Philip może być rozwiązaniem „problemu”. Philip Brown był synem księgowego Tilly i Franka. Kochał się w Alice, odkąd skończyła trzynaście lat, ale zawsze wydawał się jej zbyt pospolity i bezpieczny. A teraz okazał się idealny. Był w niej zadurzony, dość miły, starszy – już skończył studia na uniwersytecie – i miał perspektywę rozwoju w biurze rachunkowym swojego ojca w City. Zapewni Alice i jej dziecku dobre życie. Alice nie przejmowała się już swoim życiem. Miała osiemnaście lat, była w ciąży, miała złamane serce i straciła nadzieję. Wiedziała, że najlepszy okres swojego życia miała już za sobą. Resztę będzie musiała jakoś znieść.

Pokochała Sopię w chwili, gdy ją urodziła, ale macierzyństwo nie przychodziło łatwo nastolatce. Kiedy Sophia otworzyła powieki i spojrzała na nią wielkimi brązowymi oczami Luki, Alice pomyślała, że serce jej zaraz eksploduje z miłości, tęsknoty i bólu. W czasie ciąży przeżywała depresję, ale gdy dziecko przyszło na świat, sytuacja znacznie się pogorszyła. Mieszkała w domu, w którym nigdy nie poczuje się jak u siebie, z mężczyzną, którego nie potrafiła zrozumieć, i dzieckiem, którego nie potrafiła uspokoić bez względu na to, jak bardzo się starała.



Philip miał w klubie golfowym bliskiego przyjaciela lekarza. Zanim Sophia skończyła cztery tygodnie, Alice była już na lekach. I zażywała tabletki przez trzydzieści lat.

Kiedy Sophia miała kilka miesięcy, wrzuciła swojego ukochanego różowego króliczka za łóżko Alice. Jej matka wczółgała się pod mahoniowe łożo i obok pluszaka zobaczyła zakurzone pudełko po butach, w którym znajdowało się sześćdziesiąt sześć bezcennych japońskich pereł. Alice przez wiele godzin bawiła się nimi i przypominała sobie, jak Luca przesiewał piasek własnoręcznie, żeby znaleźć je wszystkie. Policzki miała mokre od łez, gdy liczyła je raz po raz. Na dnie pudełka leżała cieniutka warstwa piasku z Portofino. Pomyślała o tym, jak Luca jej obiecał, że znajdzie wszystkie, co do jednej, i dotarło do niej, jakie to wszystko było beznadziejne, jak ulotne i przejściowe było jej szczęście w niemającym końca okropnym życiu. Głodne dziecko zawodziło, a Alice nie mogła się ruszyć. Sparaliżowały ją wspomnienia. To było nie do zniesienia.

Następnego dnia pojechała do Londynu. Często to robiła, gdy nie potrafiła wymyślić sobie lepszego zajęcia w czasie, gdy Philip pracował. Dziecko sypiało najlepiej w samochodzie, a ona miała spokojną głowę i mogła myśleć. Ponadto mogła patrzeć na tętniące życiem ulice i ciekawych ludzi prowadzących aktywne życie i przypominało się jej, że chociaż jej życie zostało na trwałe przerwane, reszta świata nadal się kręciła. Alice odczuwała zarówno ulgę, jak i zazdrość, gdy widziała dziewczęta w swoim wieku, które pracowały, plotkowały, śmiały się, piły, paliły, flirtowały i chodziły na idiotycznie wysokich obcasach.

Tego dnia pojechała do Camden Town pod pozorem, że nie była tam wieki całe. Zatrzymała się przy podwójnej żółtej linii przy Chalk Farm Road, zostawiła dziecko w samochodzie na światłach awaryjnych. To, co miała do załatwienia, nie potrwa długo. Młoda wytatuowana dziewczyna siedząca za ladą sklepu charytatywnego nawet nie oderwała wzroku od czasopisma, gdy Alice położyła pudełko na blacie. Nie miała pojęcia, jaką wartość miało to, co znajdowało się w środku. Alice jednak wiedziała.

Wiedziała, ale nie potrafiła wymyślić nic innego. Chciała oddać te perły. Nie była na tyle silna, by mieć je w pobliżu. Jeśli spojrzalaby na nie jeszcze raz, rozpadłaby się na mnóstwo małych kawałeczków, których nikt nigdy nie zdołałby poskładać. Spokojnie wsiadła do samochodu, włożyła smoczek w usta zapłakanego dziecka i dojechała do Surrey na czas, by zdążyć przyrządzić kielbaski zapiekane w cieście na kolację dla męża.

Virginia Water, Surrey, 2012

Sophia miała nogi jak z waty. To było śmieszne. Ten dom był jej domem, odkąd się urodziła, kobieta w średnim wieku stojąca w otwartych drzwiach była jej matką, a mimo to wszystko wydawało się takie obce, chaotyczne, niewłaściwe. Dom nie był ostoją, a tej kobiety nigdy nie udało się Sophii poznać. Wielkie, ohydne domiszcze z czerwonej cegły rozmywało się jej przed oczami i przez chwilę wydawało się jej, że zemdleje. Lecz przypomniała sobie, po co tu przyjechała. Czowała się wykończona po podróży i rozdarła z powodu smutku, ale nie uległa emocjom. Miała szansę dowiedzieć się, kim była tak naprawdę.

Przeszła obok matki, najspokojniej, jak umiała, i powiedziała:

– Możemy to zrobić w środku?

Usiadła na błękitnej kanapie w salonie i czekała. Widziała Hugona kręcącego się przy drzwiach. Zaglądał do środka i znowu znikał. Choinka zdominowała pokój; na jej czubku wisiał ten sam złoty anioł, który był ozdobą na każdym drzewku, odkąd Sophia pamięta. Matka weszła do pokoju i stanęła nad nią. Patrzyła na nią i jej twarz wydawała się Sophii taka znajoma, tylko że...

wyglądała inaczej. Wydawało się, że w Alice znowu jaśniało światło. Sophia zdała sobie sprawę z tego, że oczy jej matki nie były już martwe. Nagle przypomniała sobie piosenkę, którą matka śpiewała tamtego wieczoru w samochodzie. To była *Free Falling* Toma Petty'ego.

– Przepraszam, Sophio – odezwała się matka. Uklękła przy córce i próbowała pogłodzić ją po włosach. Sophia się wzdrygnęła

i odsunęła. – Przepraszam – powtórzyła.

– Za co? – zapytała Sophia, która poczuła w żołądku złość gotującą się od nowa. – Za to, że przez całe życie mnie okłamywałaś? Za to, że pozwoliłaś, by ten człowiek, którego kazałaś mi nazywać tatą, traktował mnie jak...

– Ciii – powiedziała mama spokojnie, stanowczo. – Popeliłam straszliwe błędy, kochanie, ale mamy to już za sobą. Nie mogę zmienić przeszłości, ale od tej pory mogę działać inaczej.

– Już za późno, mamó – warknęła Sophia. Próbowała wstać i wyjść.

Matka wyciągnęła rękę i znowu usiłowała ją pogłaskać. Tym razem Sophia jej nie powstrzymała.

Prawda była taka, że choć chciała protestować, dotyk matki okazał się znowu dziwnie podnoszący na duchu. Przypomniały się jej te rzadkie dni, kiedy chorowała i zostawała w domu, zanim znowu ją z niego odsyłano. Pamiętała, jak godzinami leżała skulona przy mamie na kanapie i oglądała australijskie opery mydlane, jadła na obiad zupę pomidorową Heinza i piła nijaki napój Lucozade. Przypomniało się jej, jak bardzo uwielbiała te dni, które spędzały tylko we dwie, i jak bardzo bała się chwili, w której usłyszy, że ojciec wkłada klucz do zamka, i czar pryśnie.

– Muszę ci tak dużo wytłumaczyć – zaczęła mama.

Sophia pokręciła zbolaną głową.

– Nie teraz – powiedziała bardziej z myślą o sobie niż o matce. – Nie musisz mi niczego teraz tłumaczyć, mamó. Musimy jechać do babci.

– Dziękuję, kochanie – odparła Alice. – Masz rację. Na te wyjaśnienia trzeba dużo czasu, ale wiem, że zasługujesz na odpowiedzi. Czy jest coś, co mogę ci powiedzieć w tej chwili?

Sophia zastanawiała się przez moment. W jej głowie kłębiło się z tysiąc pytań, ale potrafiła z nich wyłowić tylko trzy.

– Tak – rzuciła. – Ale będziesz mogła na nie odpowiedzieć, gdy włożysz płaszcz. Musimy wychodzić.

Poszła za matką do kuchni, gdzie płaszcz Alice wisiał

przerzucony przez oparcie krzesła, a torebka stała na stole. Przyglądała się, jak matka czesze włosy przed lustrem.

– Kochałaś go? Mojego prawdziwego ojca? – spytała i zmusiła się do tego, by spojrzeć w lustro – w zażawione błękitne oczy matki.

Zobaczyła, jak jej rysy łagodnieją i jak przemknął przez jej twarz wyraz tęsknoty. Znała odpowiedź, zanim słowa popłynęły z ust Alice.

– Boże, kochałam go tak mocno. To jedyny mężczyzna, którego tak naprawdę kochałam. Luca...

– Luca? – powtórzyła Alice, po raz pierwszy smakując imię ojca.

– Luca – przytaknęła mama, która uśmiechała się jak zadurzona nastolatka.

– Co się stało? Jakim cudem byłaś w ciąży i zostałam żoną taty? – zadała drugie pytanie.

– Miałam osiemnaście lat. Poznałam go we Włoszech. Musisz wiedzieć, że bardzo się kochaliśmy. Uciekliśmy razem do Portofino i przez kilka tygodni byliśmy bezgranicznie szczęśliwi. Było nam razem tak dobrze. Zamierzaliśmy wziąć ślub. Wtedy to wszystko wydawało się takie romantyczne. Byliśmy jednak młodzi i naiwni i nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że to tylko fantazja. Gdy zniknęłam z radarów, twoi dziadkowie zaczęli się naturalnie martwić, sprawą zajęła się policja, która wyciągnęła Lucę z naszego mieszkania jak jakiegoś przestępcę, a mnie odstawiła do domu.

Mama wyciągnęła szminkę z torebki i zaczęła malować usta niemal buntowniczo. Próbowwała powstrzymać łzy.

– Co było potem? – spytała Sophia. Serce się jej krajało na myśl, że jej mama i prawdziwy tata się kochali i zostali rozdzieleni.

– Potem się dowiedziałam, że poślubił inną – odparła cicho mama.

– Co za drań! – oburzyła się Sophia. – A więc mój prawdziwy tata też jest draniem. Świetnie!

Mama kręciła głową raz po raz, a w jej oczach nadal tlił się bunt.

– Wydaje mi się, że nie miał wyboru. To były inne czasy. Inny świat. Byliśmy zbyt młodzi. Nie mogliśmy po prostu kochać lub wybierać sobie partnerów. To dlatego poślubiłam twojego tatę... to znaczy Philipa. Wydawało się to rozsądnym wyjściem. Chciałam cię zatrzymać, ale nie mogłam znieść myśli o tym, że miałabym być samotną matką lub, co gorsza, że ktoś mógłby mi ciebie zabrać. Sama byłam jeszcze dzieckiem, a po powrocie z Włoch byłam skołowana. Dziadkowie uznali zapewne, że tak będzie najlepiej. Zrobiłam to, co mi kazali. Nie wiem dlaczego. Byłam załamana. Miałam złamane serce...

Sophia poczuła gorycz w ustach. Brzydziła ją myśl, że jej ukochani dziadkowie zmusili jej mamę do rozstania się z wybrankiem jej serca i poślubienia Philipa. Dlaczego to zrobili? Niemal nie potrafiła sobie wyobrazić serdecznych, czułych dziadków dokonujących tak zimnego, pragmatycznego wyboru dotyczącego życia ich córki. I nienarodzonej wnuczki.

Próbowała wyobrazić sobie siebie w roli ciężarnej osiemnastolatki. W tym wieku nie opiekowała się nawet złotą rybką, nie wspominając o wychowywaniu dziecka. Prawie rozumiała, dlaczego jej mama postąpiła zgodnie z sugestią dziadków. Ale Philip?

– Dlaczego Philip? – zapytała. – Dlaczego wyszłaś za niego? A nie za kogoś innego?

Matka schowała szczotkę do włosów i szminek do torebki, sięgnęła po płaszcz. Trzymała się jakoś, chociaż trzęsły się jej ręce.

– Rodzice znali jego rodziców. Zawsze kręcił się w pobliżu. Podobałam mu się. To było najprostsze wyjście z sytuacji. Przypuszczam, że babcia i dziadek uznali, że to będzie najlepsze rozwiązanie.

Sophia usiłowała przetrwać to, co usłyszała.

– Nikt nie pomyślał, że to może być głupi pomysł? – zapytała ze złością.

– Claudia – odparła mama, kiwając głową do swoich

wspomnień. – Gdy Claudia wróciła z Monako i dowiedziała się, co zamierzam, błagała mnie, żebym wychowywała cię samodzielnie. Powiedziała, że świat się zmienił i że sobie poradzę. Uważała, że pozbywam się swoich marzeń, i nie mogła patrzeć na to, jak rujnę sobie życie. Odmówiła przyjęcia na ślub i już nigdy więcej jej nie widziałam. Podobno wróciła do Francji.

– Zignorowałaś ją? Swoją najbliższą przyjaciółkę? – dziwiła się Sophia.

– Nie. Posłuchałam swoich rodziców. Ufałam im. I byłam przerażona – wyznała Alice.

– Babcia zmusiła cię, żebyś poślubiła Philipa? – dopytywała Sophia.

– Nie zmusiła mnie – odpowiedziała mama, wkładając płaszcz. – Ale zdecydowanie mnie do tego zachęcała. Zrobiłam tak wiele rzeczy, przez które miałam złamane serce, że w tamtym momencie wydawało mi się, że nie mam wyboru. Zyskałam możliwość wychowania cię. Wiedziałam, że jeśli poślubię Philipa, rodzice pozwolą mi cię zatrzymać. Chodź, kochanie, musimy już iść.

Sophia prawie wybuchnęła śmiechem.

– A więc o to w tym wszystkim chodziło? – Dotarło to do niej tak nagle, że aż się zatrzymała. – Nie o żaden naszyjnik, tylko o poczucie winy. Babcia nie posłała mnie na poszukiwanie pereł, tylko na poszukiwanie prawdy. Nie mogła umrzeć do czasu, gdy nie naprawiła tego, co zepsuła. A myślałam, że jest jedyną osobą, której mogę ufać.

– Popęłniła błąd, Sophio – zauważyła mama łagodnie. – Czy nie popełniamy ich wszyscy? I wykorzystała całą swoją energię do tego, by naprawić sytuację, zanim będzie za późno. Babcia nie jest aniołem, kochanie. Ale kocha nas bardzo, bardzo mocno i w końcu zrobiła dla nas to, co powinna. Nie sądzisz?

– Nie wiem już, co mam myśleć – odparła Sophia, chwytając się za obolałą głowę i opadając ciężko na kuchenne krzesło. – Wszystkie te lata kłamstw. I dziadek? Co on o tym wszystkim myślał? Też czuł się winny?

Patrzyła, jak matka ciężko przełyka ślinę.

– Też był zdania, że tak będzie najlepiej. Przynajmniej na początku – odpowiedziała z namysłem, siadając naprzeciwko Sophii. – Ale to go gryzło. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, lecz obnosił się ze swoim poczuciem winy jak z bliznami wojennymi. Był z natury bardzo jowialnym człowiekiem i genialnym aktorem, a tej jednej rzeczy nie potrafił ukryć. Dostrzegałam to na jego twarzy za każdym razem, gdy na ciebie patrzył. Widziałam to zawsze, kiedy twój tata, to znaczy Philip, beształ cię lub upokarzał. Na twarzy taty malowały się ból, uraza, żal i wściekłość! Zabierał cię w bezpieczne miejsce, z dala od Philipa. Szliście karmić kaczki w parku i wracaliście ubrudzeni trawą po tym, jak staczaliście się z Parliament Hill, lub umazani lepкими lodami truskawkowymi z włoskiej kawiarni w Highgate.

– Nie pamiętam tego... – wyznała Sophia ze smutkiem.

– Po całej tej okropnej sprawie nigdy już nie był taki jak dawniej. Uważał, że nas zawiódł. Wiem, że tak było. I chociaż on i babcia nadal się uwielbiali, oboje byli mniej... Brakuje mi właściwego słowa... Beztroscy? Frywolni? Nieskazitelni? Sama nie wiem. Przypuszczam, że ich wspólne życie było idealne, a potem zbrukali je tym potwornym, potwornym błędem, którym skrzywdzili dwie osoby najbardziej przez siebie kochane na świecie: ciebie i mnie. Kiedy tata umarł, jego zawał serca był kompletnym zaskoczeniem. Był w świetnej formie. Doskonałej. Staczał się z Parliament Hill z tobą w weekend przed śmiercią! Czasami wydaje mi się, że zmarł, bo serce mu pękło. Nie lubię myśleć o tym zbyt wiele. To wszystko jest takie smutne.

Sophia przytaknęła. Być może dziadkowie zapłacili za to zawiązką.

– Wiem, że byłby zadowolony z tego, że prawda ujrzała teraz światło dzienne – ciągnęła mama ze smutkiem. – Jestem pewna, że babcia wzięła to pod uwagę, zanim wysłała cię na poszukiwanie pereł. Wiedziała, że jej ukochany Frankie by ją poparł. Wydaje mi się, że zrobiła to, żeby zniwelować poczucie winy, które nękało ich oboje. Żeby mogła umrzeć w spokoju. Żeby oboje mogli spocząć

w spokoju.

– Umiesz im wybaczyć? – zapytała Sophia. – Babci i dziadkowi?

– Owszem – odpowiedziała mama bez wahania. – Umieję.

– W takim razie ja również powinnam im wybaczyć – stwierdziła Sophia.

Siedziały przez chwilę w milczeniu. Wtem do Sophii dotarło, że chciałyby zadać jeszcze jedno pytanie.

– Chciał mnie? Luca?

Mama delikatnie ujęła jej twarz w dłonie i spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie wiedział o tobie, kochanie – powiedziała łagodnie. – Gdyby wiedział, pokonałby drogę z Rzymu do Londynu pieszo, daję słowo. Gdyby wiedział, nie pozwoliłby ci odejść.

– Tobie pozwolił – przypomniała jej Sophia.

– Oboje pozwoliliśmy odejść sobie nawzajem – zauważyła mama. – Nie byliśmy na tyle dojrzały, żeby zawalczyć o to, o czym wiedzieliśmy, że jest słuszne.

W przedpokoju zadzwonił telefon. Dzwonek przeciął ciszę panującą w kuchni. Przestał dzwonić i natychmiast odezwał się znowu. Po kilku dzwonekach słuchawkę podniósł Hugo.

Sophia i Alice popatrzyły na siebie, zamarłe z przerażenia, bo wiedziały, co ten telefon mógł oznaczać, a żadna z nich nie chciała, by było to prawdą. Może jeśli posiedzą tu jeszcze chwilę, zawieszony w czasie, to wszystko nie będzie prawdą. Milczenie przerwały słowa Hugona:

– Musimy jechać do szpitala. – Głos miał napięty i przełęczony.

Sophia wstała. Wiedziała, że tym razem nie uda się uciec przed prawdą.



## *Rozdział czterdziesty siódmy*

St John's Wood, Londyn, 2012

Alice i Sophia jechały na północ Londynu samochodem Alice, a Hugo i Damon podążali za nimi furgonetką. Kiedy w mżawce wlokły się obwodnicą North Circular, Sophia pomyślała ponuro, że już się czuła, jakby uczestniczyła w kondukcje żałobnym. Niebo było ciężkie i złowrogo szare, ale nie zrobiło się jeszcze dość zimno, żeby padał śnieg. W tym roku nie będzie białych świąt. Ani Sophia, ani jej mama nie wiedziały, co powiedzieć – wyglądało na to, że wyrażenie odkryć ostatnich kilku godzin za pomocą słów było niemożliwe. Sophia zerknęła we wsteczne lustro i widziała, że zarówno Hugo, jak i Damon mieli kamienne twarze i milczeli. Nienawidziła milczenia. Dawało jej za dużo czasu na myślenie. Zaczęła patrzeć na babcię z dziwnej, obcej perspektywy. To już nie była ta sama babcia, co zawsze. Sophia nadal ją kochała, ale babcia przestała być ideałem. Miała wady jak wszyscy inni. I była śmiertelna. Umierała.

– Szkoda, że nie mam tych pereł – usłyszała swój głos. Powiedziała to, żeby przerwać ciszę, ale natychmiast tego pożałowała.

Tilly była babką Sophii, ale była też matką Alice. Jej mamie na pewno było trudniej niż jej. No i obydwie wiedziały, że to przez Alice rodzina straciła perły. Sophia od tygodni była wściekła na matkę z powodu pereł, ale teraz nagle miała poczucie winy w związku z poruszeniem tego tematu. Jej mama na pewno miała powód, by pozbyć się naszyjnika. Nie powinna wcierać soli w jej ranę. Zauważyła, że mama mocniej ścisnęła kierownicę, a jej blada już twarz pobielała jeszcze bardziej.

– Nie powinnam była się ich pozbywać – przyznała mama, patrząc na drogę przed sobą. – Zrobiłam coś okropnego. Przecież to dziadek dał te perły mamie, mama dała je mnie, a ja je po prostu wyrzuciłam.

– Oddałaś je do sklepu charytatywnego w Camden? – spytała

Sophia, która w końcu skojarzyła fakty.

Mama przytaknęła.

– Dlaczego? – zdumiała się Sophia. – Kto przy zdrowych zmysłach oddaje bezcenną spuściznę do sklepu charytatywnego?

Mama zaśmiała się owym śmiechem pozbawionym wesołości.

– No właśnie – stwierdziła. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby czegoś takiego. Nie czułam się dobrze, Sophio. Byłaś malutka, ja nadal byłam młoda, usychałam z tęsknoty za Lucą, zostałam żoną praktycznie obcego mi mężczyzny i czułam się niesamowicie samotna i nieszczęśliwa. Miałam depresję. W moim odczuciu te perły reprezentowały mnie i Lucę. I ciebie. Rodzinę, której nigdy nie stworzyliśmy. Naszyjnik się zerwał i nie potrafiłam nawlec go od nowa. Pomyślałam chyba, że jeśli pozbędę się wspomnień, zniknie też mój ból. Spaliłam wszystkie zdjęcia, na których był, wiesz? Mniej więcej w tym samym czasie. Ale nie mogłam zniszczyć tego, co miałam w głowie. I za każdym razem, gdy patrzyłaś na mnie tymi wielkimi brązowymi oczami...

– Jestem do niego podobna? – zainteresowała się Sophia.

Mama zerknęła na nią szybko i uśmiechnęła się smutno.

– Od zawsze uważam, że jesteś skrzyżowaniem Luki i babci – przyznała. – Mam wrażenie, że po mnie nic nie odziedziczyłaś.

Sophia po raz pierwszy w życiu przyjrzała się uważniej swojej matce i dostrzegła realną, żywą, kochającą, oddychającą, bezbronną osobę obdarzoną wadami. Wcale się tak bardzo nie różniła od Sophii.

– No nie wiem – powiedziała i poklepała mamę po kolanie. – Ucieczka z kochankiem na włoską riwierę jako nastolatka i towarzysząca temu akcja policyjna? Wydaje mi się, że mogłabym zrobić coś podobnego, nie sądzisz?

Mama uśmiechnęła się słabo.

– Chyba tak – przyznała. – Może jabłko faktycznie nie pada daleko od jabłoni.

– Mamo?

– Tak, kochanie?

– Pamiętam, jak pewnej nocy, gdy byłam mała, jechałyśmy gdzieś samochodem. Tym twoim żółtym mini. Byłaś szczęśliwa i śpiewałaś *Free Fallin* naprawdę głośno. Myślałam, że dokądś jedziemy, ale rano obudziłam się we własnym łóżku...

Mama skinęła głową i uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

– Dokąd jechałyśmy? – spytała Sophia.

– Tak naprawdę to nie wiem. Jechałam do Dover. Chyba zamierzałam zawieźć nas do Rzymu.

Sophia przytaknęła. Właśnie na takie słowa matki liczyła.

– A dlaczego tego nie zrobiłaś? – dociekała.

– Zatrzymałam się na stacji w pobliżu Canterbury i wtedy się zorientowałam, że nie mam naszych paszportów. Miałam je wcześniej tego dnia. Schowałam je do torebki. Wiem to na pewno! Ale Philip pewnie mnie obserwował. Po tym dniu zawsze trzymał je pod kluczem w szufladzie biurka.

– A pigułki? – ciągnęła Sophia, która zebrała się na odwagę.

– Pewnego razu znalazłam je w twojej torebce.

Alice zerknęła na córkę, wyraźnie zszokowana.

– Wiedziałaś o tym? – spytała. – Mój Boże, Sophio. I nie powiedziałaś nic tacie? To znaczy Philipowi. Zachowałaś to w tajemnicy, nawet gdy byłaś nastolatką i mnie nienawidziłaś?

– Nigdy cię nie nienawidziłam – odparła Sophia. –

Próbowałam! Bóg mi świadkiem, że próbowałam, mammo! Ale zawsze bym cię przed nim broniła. Rozumiałam, co znaczą te pigułki. Wiedziałam, że nie chciałaś kolejnego dziecka, tylko nie wiedziałam dlaczego. Myślałam, że może to przez to, że byłam taką zakałą i nie chciałaś mieć drugiej takiej. Teraz już rozumiem. Nie chciałaś mieć dzieci z nim.

– Philip też był w tym wszystkim ofiarą – stwierdziła jej mama.

– Zasluguje na wszystko, co go spotkało – burknęła Sophia.

Mama nie sprzeczała się z nią. Wreszcie zatrzymały się na parkingu przed szpitalem.

Kobiety patrzyły na siebie przez chwilę, a potem rzuciły się sobie w ramiona i tuliły do siebie w milczeniu przez, jak się Sophii

wydawało, kilka godzin. Ze zdumieniem stwierdziła, że kiedy mama trzymała ją w objęciach, czuła się tak bezpiecznie, jak nie czuła się od bardzo, bardzo dawna; nawet po tych wszystkich latach dystansu, nieporozumień, uraz i łez, matka nadal była matką. Tą, która pocałunkami potrafiła naprawić wszystko, gdy życie Sophii się rozpadło.

– Gotowa? – zapytała wreszcie mama, kiedy wyswobodziły się ze swoich objęć.

– Gotowa – przytaknęła Sophia, chociaż zupełnie się tak nie czuła. – W ogóle nie odzyskała przytomności? – zapytała Sophia, kiedy z ociąganiem szły pustym korytarzem w stronę sali babci.

Hugo i Damon czekali w kawiarni.

– Nie, kochanie – odparła mama. – Zapadła w śpiączkę krótko po twoim wyjeździe do Nowego Jorku. Od kilku dni nic nie jadła i nie piła. Pewnie tak będzie lepiej. Dla niej, nie dla nas. Tak bardzo cierpiała, kochanie.

– Szkoda, że nie mogłam się z nią pożegnać – powiedziała Sophia, walcząc z gulą, którą czuła w gardle.

– Po to tu przyjechałyśmy – zauważyła Alice i ścisnęła Sophię za rękę. – Wie, że ją kochasz, Sophio. Zawsze byłaś jej oczkiem w głowie.

– Wiem – przyznała Sophia. – I nigdy nie rozumiałam dlaczego. Byłam przecież nieznośna!

– Doskonała pomyłka – powiedziała Alice cicho. – Tak cię nazwała, gdy się urodziłaś. Nigdy tego nie zapomnę. Wyjęła cię z łóżeczka w szpitalu, ucałowała twoją twarzyczkę i powiedziała: „Co za doskonała pomyłka”.

W tym momencie Sophia zrozumiała w końcu, dlaczego jej babcia zawsze ją tak żarliwie kochała – w ten sposób chciała odrobić zło, które uczyniła swojej córce. Nigdy nie mogła cofnąć błędu, ale mogła otoczyć całą swoją miłością „doskonałą pomyłkę”. Starła się chronić Sophię, bo nie zdołała uchronić Alice. Sophia wybaczyła babci. Wybaczyła jej, bo wreszcie zrozumiała.

Drzwi do sali babci były zamknięte. Sophia się zatrzymała i

pozwoliła, żeby to mama je otworzyła. Wiedziała, że stchórzyła, ale bała się zobaczyć nieprzytomną babcię, która była już ledwo żywa. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i pobiec korytarzem, uciec ze szpitala, wypaść na szare londyńskie ulice, gdzie cała reszta świata w niewiedzy wypatrywała Bożego Narodzenia.

– Chodź, kochanie – powiedziała mama, chwyciła ją za rękę i wciągnęła do środka. – Musimy być dzielne.

Sophia wzięła głęboki wdech i weszła do słabo oświetlonego pomieszczenia. Potrzebowała chwili, żeby wzrok się jej przyzwyczaił do półmroku. Babcia nie była już podłączona do mnóstwa maszyn i kroplówek. Nie było już takiej potrzeby. Obok jej łóżka stał tylko kardiomonitor, który pikał powoli, ale pocieszająco. Przynajmniej się nie spóźniły. Sophia i Alice ruszyły ostrożnie w stronę łóżka i obie zatrzymały się nagle. Alice ścisnęła Sophię za ramię i wydała dziwny zduszony głos. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

Sophia patrzyła na babcię z otwartymi ustami. Starsza pani wyglądała jak kości obciążone skórą. Zacisnęła powieki, jej twarz nabrała przerażającego odcienia trupiej szarości. Kołdrę miała podciągniętą do pach. Nad nią było widać wychudłe ciało obleczone w białą bawełnianą koszulę nocną z koronkową lamówką. A nad koronką, wokół szczupłej szyi Tilly, połyskiwała w półmroku obroża z perfekcyjnych opalizujących pereł.

– Naszyjnik – rzuciła Sophia z niedowierzaniem. – To ten naszyjnik! Nic nie rozumiem.

– Dał mi go przystojny młodzieniec – powiedział słaby głos niewiele głośniejszy od szeptu.

– Mamo! Babciu! – zawołały Alice i Sophia równocześnie.

– Powiedzieli nam, że jest mama w śpiączce – odezwała się Alice, która uklękła obok łóżka matki i ujęła jej dłoń. – Że odeszłaś.

– A co oni tam wiedzą? – szepnęła Tilly i otworzyła oczy.

Sophia poczuła, że na sali zapanował dziwny spokój. Jasne było, że czasu zostało niewiele. Ale babcia była świadoma, mówiła – z trudem! – i miała na szyi perły. Musiało się tu wydarzyć coś

niezwykłego. Kątem oka Sophia dostrzegła ruch w oknie wychodzącym na korytarz. Odwróciła się i zobaczyła szeroko uśmiechniętego Dominica McGuire'a, który przyciskał czoło do szyby. Otworzyła usta ze zdumienia.

– Cześć – powiedział bezgłośnie przez szybę.

– Cześć – odpowiedziała również bezgłośnie.

Jak? Dlaczego? O co cho...? Dom tam stał. I przywiózł perły.

Uśmiechnęła się do niego szeroko i przeczesła palcami potargane włosy. W tym momencie dotarło do niej, że ten człowiek zdołał zdobyć naszyjnik babci i przelecieć nad Atlantykiem, żeby jej go dać. Dominic nie będzie zwracał uwagi na to, w jakim nieładzie znajdowała się fryzura Sophii. Uśmiechnął się do niej ciepło i szepnął:

– Zajmij się teraz babcią. Nigdzie sobie nie pójde.

Sophia uklękła obok mamy przy łóżku babci. Babcia chciała coś powiedzieć.

– Przepraszam za L... – szepnęła.

– L? – spytała Sophia, gładząc delikatnie papierowy policzek babci. – Ciii, babciu, nie musi babcia nic mówić.

Tilly zmrużyła bladobłękitne oczy i ściągnęła brwi w skupieniu.

– Za Lucę – zdołała wreszcie powiedzieć.

Babcia wypowiadała każde słowo z ewidentnym trudem i Sophia z bólem patrzyła, jak starsza pani usiłowała sklecić zdanie.

– Przepraszam. Za Lucę. Alice, Sophio. Moje kochane. Zabrałam go wam obu. Przepraszam. Tak bardzo was przepraszam – powiedziała w końcu i znowu zamknęła oczy, jakby wysiłek związany z wyartykułowaniem tych słów zużył jej energię do końca.

– Zrobiliście z tatą to, co wydawało się wam w tamtym czasie najlepsze – stwierdziła Alice, całując matkę w rękę. – Rozumiem to, mamó. Nie jestem na ciebie zła. Nigdy nie byłam. To był mój problem, który był bardzo trudny. Niech mama spojrzy, jak wszystko naprawiła! Wiedziała mama, co robi, i się mamie

udało. Sophia i ja znowu jesteśmy razem, odeszłam od Philipa, a Sophia znalazła mamy naszyjnik. Znalazła naszyjnik, mamusiu.

Sophia wpatrywała się w perły połyskujące na szyi babci i nie mogła uwierzyć, że one naprawdę tam były.

– Papa – szepnęła babcia słabym głosem. – Kochany papa dał mi mój naszyjnik. Moje perły. Czuję się jak w niebie, moje kochane. Jak w niebie...

Upper East Side, Nowy Jork, 2013

Aktorka lady Matilda Beaumont, znana swoim wielbicielom po prostu jako Tilly Beaumont, zmarła spokojnie we śnie 25 grudnia 2012 roku, na tydzień przed osiemdziesiątymi trzecimi urodzinami. Jej córka Alice i wnuczka Sophia były przy niej. W chwili śmierci Aktorka miała na szyi sławny już naszyjnik z pereł, dar od jej ojca, markiza Beaumonta. Historia Sophii Beaumont Brown poszukującej naszyjnika była niedawno głośna. Podobno perły (warte około dwudziestu milionów dolarów) kupiła osoba, która była uprzejma wypożyczyć je rodzinie na ostatnie godziny życia Aktorki. Tożsamość owej osoby pozostaje tajemnicą. Lady Matilda zostanie pochowana na cmentarzu Highgate Cemetery w Londynie, obok zmarłego męża, aktora Franka Perry'ego Juniora.

Aiko przeczytała nekrolog z zainteresowaniem przemieszonym ze smutkiem. Żałowała, że nie poznała Tilly Beaumont. Miała wrażenie, że przez te wszystkie lata łączyło je coś więcej niż naszyjnik. Ich losy były ze sobą splecione, choć żyły na dwóch różnych krańcach świata; dzieliły je oceany i dekady, i nie wiedziały o swoim istnieniu. Teraz jednak, gdy Tilly umarła, Aiko wiedziała, że niebawem odzyska spuściznę po matce. Już wkrótce weźmie do rąk perły, które sprzedała, by zdobyć wolność, ponad sześćdziesiąt lat temu.

W Nowym Jorku było tego dnia cicho i spokojnie. Zupełnie jakby kołdra ze śniegu stłumiła miejski ryk. Aiko westchnęła z zadowoleniem. Miała osiemdziesiąt siedem lat i zaczynało jej strzelać w kościach, ale w sercu czuła się nadal jak owa dziewczyna, która dotarła bosą do Tokio przed tymi wszystkimi

laty.

Rano poleci do Japonii. Pierwszego dnia nowego roku ma otworzyć nowe centrum komunikacji i konferencji należące do Pearl International – następną odnogę rodzinnej firmy. Kolejny rok, kolejne wyzwanie – Aiko właśnie tak lubiła żyć. Komputery marki Pearl były wszędzie i działało się tak od lat osiemdziesiątych, kiedy to Bo i Aiko po raz pierwszy wypuścili je na rynek. Aiko zachowywała młodość dzięki nowym przedsięwzięciom i zmianom. Tym razem nie mogła się doczekać powrotu do Tokio. W dwa tysiące trzynastym roku będzie się spotykać z Kennym i jego rodziną. Duchy nie będą jej już przeszkadzały w Japonii. Aiko już się ich nie bała. Próbowaly tylko jej pomóc, naprowadzić ją na perły.

Wiodła długie i owocne życie. Miała czworo dzieci, trzynaścioro wnucząt i nawet dwoje prawnucząt. Jej ukochany Bo zmarł przed piętnastoma laty i mimo że tęskniła za nim codziennie, była szczęśliwa, zdrowa i otoczona kochającą rodziną. No i zajmowała się interesami. Pearl uczyniła Aiko niezwykle zamożną i wpływową kobietą. Jak sugeruje nazwa firmy, z malutkiego ziarna może wyrosnąć coś wielkiego.

Prawie wszystkie jej dzieci i wnuczęta pracowały dla firmy – albo w Dolinie Krzemowej, albo w Tokio. Większość z nich miała znakomite osiągnięcia – realizowali się jako doktorzy medycyny, prawnicy, guru marketingu i spece w dziedzinie techniki, ale Aiko była szczególnie dumna z jednej osoby. Jej najmłodsza wnuczka, Manami, nie radziła sobie dobrze w szkole. Zawsze była zbyt niezależna, by iść na kompromis, i uciekała z Beverly Hills High School na plażę.

Manami nie nosiła biznesowych kostiumów i jej imię nigdy nie trafi na listę najbogatszych ludzi. Mieszkała w malutkim mieszkaniu ze swoim chłopakiem surferem i pracowała na zmiany w okolicznych kawiarniach, żeby realizować marzenia. Sześć miesięcy temu Aiko poleciała na Bahamy, by oglądać Manami uczestniczącą w ogólnoswiatowych mistrzostwach freedivingu. Manami była amą z krwi i kości. To ona odziedziczy pewnego dnia



naszyjnik z pereł. Da jej on finansową wolność, która pozwoli zanurkować ku pragnieniom serca. Aiko uśmiechnęła się do siebie. Poczula, jak czyjaś dłoń musnęła jej policzek. Nie zadrzała. Poczula się bezpieczna i kochana. Wiedziała, że jej matka była z niej dumna.

## Epilog

Lower East Side, Nowy Jork, 2013

Na dźwięk klucza przekręcanego w zamku w drzwiach Sophia podskoczyła. Zaczęła się w listach od babci i nie miała pojęcia, która jest godzina. Czy spóźnią się przez nią?

– Cześć, kochanie! – krzyknął Dominic wesoło. – Jesteś gotowa?

Sophia poczuła, jak na jej twarzy mimowolnie pojawia się uśmiech, jak zawsze wtedy, gdy Dominic powracał do jej świata. Wyszedł z mieszkania rano, ale bez względu na to, ile czasu by go nie było, Sophia tęskniła za nim jak szalona.

– Jestem prawie gotowa – odkrzyknęła. Złożyła ostrożnie ostatni list, porządnie opasała plik listów czerwoną gumką i włożyła go do kufra z pozostałymi cennymi przedmiotami i ważnymi dokumentami. – Schowam jeszcze kilka rzeczy i możemy wychodzić.

Dom wkroczył do pustego pokoju z dwoma papierowymi kubkami z kawą i wyjątkowo seksownym uśmiechem. Pochylił się i pocałował Sopię namiętnie. Jego wargi pieściły jej usta na tyle długo, że poczuła znajome mrowienie na podłożu. Boże, jak ona go kochała!

– Ostatnie dwie latte z baru Gerry's muszą nam wystarczyć na jakiś czas – powiedział Dominic i wręczył jej jeden z kubków.

– Jedziemy do Włoch, skarbie – przypomniała mu z uśmiechem. – Przypuszczam, że tamtejsza kawa jest równie dobra!

– No jasne, wiem – odparł. Był w dobrym humorze. – Ale potrzebujemy czegoś, żeby oblać nasz sukces, a pomyślałem, że jest trochę za wcześnie na szampana. Możemy z tym poczekać do czasu, gdy wsiądziemy do samolotu.

– Sukces? Jaki sukces? – zainteresowała się Sophia i pozwoliła, żeby Dominic pomógł jej wstać.

Podniósł wysoko swój kubek i zachęcił ją, by zrobiła to samo.

– Za Team McBeaumont! – powiedział i stuknął się z nią kubkiem. – I nasze pierwsze zlecenie.

– O, Boże, nie może być! – Sophia uśmiechnęła się podekscytowana. – Wreszcie odezwała się do ciebie jakaś telewizja?

Dominic przytaknął i przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją ponownie.

– Felicity dzwoniła jakąś godzinę temu – poinformował ją. – Jest zachwycona pomysłem filmu dokumentalnego o twojej babci i poszukiwaniu pereł. Tak się przestraszyła, że pójdziemy z tym pomysłem do konkurencji, że od razu przesłała mi kontrakt.

– Dominicu McGuire, jesteś geniuszem – Sophia uśmiechnęła się z dumą.

Miała pomóc Dominicowi w kręceniu tego dokumentu. Zamierzała opowiedzieć całemu światu o tym, jak wspaniała była jej babcia. Po raz pierwszy w dorosłym życiu będzie miała płatną pracę z prawdziwego zdarzenia. A co najważniejsze, będzie ją wykonywała z ukochanym mężczyzną. Kiedy to wszystko zaczęło się tak dobrze układać?

– Felicity twierdzi, że twój opis jest genialny. Podoba się jej każdy pomysł, każdy detal, ale w szczególności zależy jej na jednej scenie – referował Dominic z błyszczącymi oczami.

– Której? – zaciękała się.

– Na ujęciu z twoim tatą – odparł i przycisnął ją do siebie. – Moja boska dziewczyno, napijmy się, dostarczymy twój cenny kufer do magazynu i jedźmy na lotnisko.

Sophia pozwoliła, żeby jej ciało przyłgnęło do szerokiej klatki piersiowej Dominica. Pocałował ją lekko w czubek głowy. Przymknęła oczy i wdychała jego znajomy odurzający zapach. Kochała i była kochana. Wiedziała, skąd pochodzi i dokąd zmierza. Jutro spotka się z mamą. Co więcej, pozna jutro swojego tatę.

Portofino, Włochy, 2013

– Luca, kochanie – odezwała się Alice. – Wracaj do łóżka.

Samolot przylatuje dopiero za sześć godzin. Dopiero co wystartowali z Nowego Jorku. Chodź. – Poklepała miejsce obok siebie w łóżku z ramą z kutego żelaza.

Kiedy Luca się odwrócił i do niej uśmiechnął, Alice poczuła, jak podskakuje jej żołądek – zawsze tak było, gdy jego brązowe oczy odwzajemniały jej spojrzenie. Jak mogła stracić go przed tymi wszystkimi laty? Gdy myślała o tych trzydziestu latach, które zmarnowali, prawie dostawała szału. Wiedziała, że Luca czuł to samo. Zawarli porozumienie, że nie będą wracali do przeszłości, skupią się na życiu, miłości i radości tu i teraz, ale czasami trudno było o niej nie myśleć, nie zastanawiać się, co by było gdyby, tym bardziej że chłopak, w którym się zakochała, nadal był wyraźnie obecny w mężczyźnie, którego dzisiaj kochała.

Luca się nie zmienił. Odniósł w życiu wielki sukces i miał restauracje w Rzymie, Genui i samym Portofino. Okazało się, że po wyjeździe Alice z Włoch nie wrócił do Rzymu. Zrobił to dopiero po wielu latach. Nie ożenił się też z Anitą. Dziewczyna skłamała; to była głupia zagrywka wynikająca z zazdrości i pragnienia zemsty. Alice była pewna, że Anita nie wiedziała, jaką krzywdę jej wyrządziła swoim kłamstwem. Co by było, gdyby była szczerą? Gdyby Alice wiedziała, że Luca na nią czekał? Nie. Jak powiedział Luca, ciągle analizowanie zdarzeń z przeszłości, których nie mogli już zmienić, było stratą czasu.

Luca osiadł w Portofino, bo tutaj czuł się najszcześniejszy. Nigdy się nie ożenił. W przeciwieństwie do Alice, która przystała na małżeństwo pozbawione miłości, Luca postanowił żyć samotnie i nie godzić się na namiastkę wielkiego uczucia. „Nadal byliśmy zaręczeni”, przypomniał jej tylko półzartem. „Czekałem na powrót mojej narzeczonej. Trochę to trwało, ale przyjechałaś. W końcu!”.

Nigdy nie przestał żywić nadziei, że Alice pewnego dnia do niego wróci. Gdy wreszcie dostał od niej list – krótki, w którym się zastanawiała, czy ją jeszcze pamięta, i podała swój adres e-mail oraz numer telefonu, na wypadek gdyby chciał się z nią skontaktować – podobno rozplakał się z radości. Potem wypił butelkę chianti, by to uczcić, obdzwonił wszystkich przyjaciół,

żeby przekazać im dobrą nowinę, a następnie przez trzy dni obmyślał właściwą odpowiedź.

„Czekam trzydzieści lat, a potem potrzebuję trzech dni, żeby wymyślić, co mam powiedzieć!”, śmiał się z siebie. „Jaki ze mnie głupi staruch. Jakbyśmy mogli sobie pozwolić na utratę kolejnej cennej minuty. A straciliśmy trzy dni!”.

Powiedział, że szukał jej przez lata. Też szperał w internecie. Ale szukał lady Alice Beaumont Perry. Nie wiedział, że została Alice Brown. Dopiero po wielu latach natrafił na trop – artykuł w gazecie poświęcony córce Alice, lady Sophii Beaumont Brown i szalonej imprezie, którą urządziła w domu rodziców. W gazecie zamieszczono zdjęcia pięknej acz niesfornej Sophii, a także jedną fotografię przedstawiającą Alice Brown z mężem Philipem. Według Luki wyglądała tak samo imponująco jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat, ale para na zdjęciu wydawała się uosobieniem szacownej angielskiej rodziny należącej do klasy średniej. W artykule napisano, że Alice i Philip są małżeństwem od blisko trzech dekad. Mieli córkę i wspólne życie w innym kraju, w innym świecie. Luca wiedział, że nie miał prawa ingerować w życie tej kobiety, i z ciężkim sercem postanowił zostawić Alice Brown w spokoju. Już nigdy więcej nie szukał jej w sieci, chociaż nadal myślał o Alice Beaumont każdego dnia.

Lecz Alice Brown już nie było. Zmieniła nazwisko z powrotem na Beaumont Perry zaraz po sfinalizowaniu rozwodu (choć nie czuła się już komfortowo z tytułem lady). Alice i Luca początkowo wymieniali się e-mailami. Potem odbyli bardzo stresującą rozmowę przez Skype’a. A niebawem rozmawiali dwa, trzy, a nawet cztery razy dziennie.

Z informacją o Sophii Alice czekała do spotkania twarzą w twarz, do którego doszło w Genui sześć miesięcy po tym, jak wysłała list. Jak powiedzieć bezdzietnemu staremu kawalerowi, który zawsze marzył o tym, żeby zostać ojcem, że ma córkę od ponad trzydziestu lat? Alice była przerażona tym, że musi mu o tym powiedzieć, ale nie dlatego, że bała się, iż odrzuci Sophię – wiedziała, że przyjmie ją z otwartymi ramionami. Myślała, że

odrzuci ją, Alice, za to, że ukradła jego jedyne dziecko. Na szczęście Luca nie patrzył na to w ten sposób.

Przyznał nawet, że gdy po raz pierwszy zobaczył artykuł w gazecie trzy lata wcześniej i przeczytał o córce Alice, przez krótką chwilę zastanawiał się, a nawet miał nadzieję, że może być jej ojcem. Jednak Sophia, jak to Sophia, nigdy nie mówiła prasie, w jakim jest dokładnie wieku, i dziennikarze przez pomyłkę ujęli jej dwa lata. Luca, podobnie jak reszta świata, przyjął, że Sophia jest córką Philipa, i poczuł się jak stary głupiec w związku z tym, że miał tak niedorzeczną fantazję.

A teraz? Teraz uważał, że Alice dała mu wreszcie najwspanialszy dar, jaki kiedykolwiek otrzymał. Może trochę późno, ale nadal był to najcudowniejszy prezent, jaki kobieta może dać mężczyźnie. I Luca właśnie w ten sposób to odbierał – Alice mu coś dała, a nie zabrała. A ona wiedziała, jakie miała szczęście, że znalazła takiego mężczyznę. I to dwukrotnie. Tym razem nie zamierzała się z nim rozstawać.

– Chodź – powtórzyła. – Wracaj do łóżka, Luca.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział nagle. – Zamierzałem poczekać do... Sam nie wiem. Do czasu po spotkaniu z Sophią i Dominikiem, ale...

– O czym ty mówisz? – spytała zaskoczona Alice.

Luca opadł na czworaka i zaczął szperać pod wysokim antycznym łóżkiem.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

I wreszcie się pojawił. Siwiejące włosy opadały mu na przystojną twarz, kiedy uśmiechał się szeroko do Alice.

– Proszę – odezwał się. Trzymał w dłoni małe czerwone pudełko i usiadł obok niej. – Nie mogę czekać ani minuty dłużej.

– Z czym? – spytała ponownie.

– Alice – powiedział Luca, odgarniając włosy z twarzy. – Już raz cię o to pytałem. I nie chcę musieć pytać ponownie. Zostaniesz moją żoną? – Podał jej pudełeczko. – Otwórz je – ponaglił ją. – A potem mi odpowiedz.

Serce Alice waliło. Te wszystkie lata nie zabrały jej niczego,

z wyjątkiem cennego czasu.

Otworzyła czerwone pudełeczko trzęsącymi się dłońmi. A widok tego, co leżało otulone białą satyną, zaparło jej dech w piersiach. Na delikatnej obrączce osadzono perfekcyjną opalizującą perłę. To był doskonały i niepowtarzalny pierścionek zaręczynowy.

– Brakująca perła – szepnęła bez tchu, wpatrując się w Lucę z podziwem. – Znalazłeś ją.

– W końcu mi się udało – potwierdził. – Tak jak obiecałem. Znalazłem wszystkie. Lecz gdy znalazłem tę, Ciebie już nie było.

Alice przytaknęła. Przyglądała się długo pierścionkowi i chłonęła jego piękno. Co takiego zrobiła, że zasługiwała na drugą szansę na szczęście? To było zbyt wiele. Była w niebie...

– Alice. – Luca przerwał jej zadumę.

– Tak? – spytała i uśmiechnęła się do mężczyzny, którego uwielbiała.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – odparł z uśmiechem.

– Tak, oczywiście – stwierdziła i pochyliła się, żeby pocałować narzeczonego. – Powiedziałam „tak” trzydzieści lat temu i powiem teraz.

Czekała na to kilka dekad, ale chwila była odpowiednia. Dzisiaj Alice przedstawi Lucę Sophii. Ich doskonałej pomyłce.

## Podziękowania

Pisanie tej książki było długim (a chwilami także bolesnym) doświadczeniem i nigdy by się nie zakończyło bez wielkiej pomocy. Po pierwsze, chciałabym podziękować wszystkim z Orionu, David Higham Associates oraz całej mojej rodzinie i przyjaciołom za to, że wytrwali przy mnie przez cały ten czas. W szczególności dziękuję mojej fantastycznej agentce i dobrej przyjaciółce Lizzy Kremer z David Higham Associates za jej niesłabnące wsparcie, zachętę, lojalność i – jakże mi potrzebne – kopniaki na rozpęd, które mi dawała od czasu do czasu. Szczerze mówiąc, Lizzy, zasłużyłaś na medal, a nie zwykłe podziękowanie! Muszę również podziękować mojej wspaniałej redaktorce, Genevieve Pegg z Orionu, za jej wizję, oddanie, dobroć i, rzecz jasna, nadzwyczajne umiejętności. Zawsze, gdy (dosłownie) gubiłam wątek, byłaś przy mnie. Dziękuję! Wielkie podziękowanie należy się również uroczej Laurze Gerrard z Orionu za to, że przejęła stery z takim zapałem i entuzjazmem.

Nigdy nie zdołam się odwdzińczyć jak należy moim oddanym (i jakże długo cierpiącym!) rodzicom, Anne i Bobowi Agnew, za dekady miłości, pomocy i wsparcia, którymi mnie obdarzali. Żadne moje życiowe osiągnięcia, z tą powieścią włącznie, nie byłoby możliwe bez was. Mam nadzieję, że oboje wiecie, jak bardzo was doceniam i kocham. Chciałabym też wyrazić wielkie podziękowanie i miłość moim cudownym dzieciom Olivii i Charliemu za to, że jesteście dla mnie źródłem wiecznej dumy, radości, miłości, zabawy i inspiracji. Jesteście moimi gwiazdami. Ogromnie dziękuję mojemu partnerowi Mattowi Stone'owi za praktyczne i emocjonalne wsparcie i pomoc, poradę, opinię i dogłębną wiedzę o Japonii, a także za to, że dzieli ze mną dobre i złe chwile, momenty uniesień i stresu, śmiechu i łez. Wiem, że dla moich najbliższych i najukochańszych życie z „trudną” twórczą jednostką może być niebywale ciężkie, ale mam nadzieję, że po przeczytaniu tej książki dostrzeżecie, jak ważne są dla mnie miłość i rodzina. Jesteście całym moim światem.



Na koniec chciałabym podziękować moim bajecznym przyjaciółom za to, że wysłuchiwali niemającej końca paplaniny o mojej książce, pocieszali mnie w trudnych momentach i zabawiali moje dzieci, wyprowadzali psa na spacer, karmili mnie, sprząтали moją kuchnię i pili ze mną rum ubrani w moje piżamy (w tym miejscu szczególnie dziękuję uroczej Emmie Reynolds). Chciałabym podziękować wyjątkowo kochanej przyjaciółce Pegeen Rowley za to, że była moją asystentką i przeprowadziła badania terenowe we Włoszech, no i za to, że zawsze mi pomagała rozpracować skomplikowane wątki (zazwyczaj za pomocą butelki prosecco). Chciałabym skorzystać z okazji i podziękować mojej najstarszej i najlepszej przyjaciółce, Nancy Hillenbrand, której inteligencję i opinię cenię wysoko i która zawsze zachęcała mnie do pisania – nawet wtedy, gdy byłyśmy studentkami, a ja wymyślałam quizy do czasopism dla nastolatek! Wyjechałaś daleko i nie widuję cię tak często, jak bym chciała, ale zawsze byłaś jedną z moich największych popleczniczek, tak w życiu osobistym, jak i zawodowym, i zawsze o tobie myślę.

Wszystkim wam dziękuję z głębi serca. Domyślam się, że teraz, gdy mam to już za sobą, jestem wam winna drinka!

## Przypisy końcowe

Tak samo nazywa się miejscowość w Teksasie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

Women's Royal Naval Service – powstałe w 1917 roku kobiece oddziały Brytyjskiej Marynarki Wojennej, reaktywowane na początku drugiej wojny światowej. Kobiety służące we WRNS wykonywały na okrętach głównie prace pomocnicze – były np.: kucharkami, telegrafistkami, elektrykami, mechanikami, obsługiwały radary. [\[wróć\]](#)

Żyjąca w latach 1820–1910 angielska pielęgniarka, statystyk, działaczka społeczna i publicystka. Uchodzi za twórczynię nowoczesnego pielęgniarstwa. [\[wróć\]](#)

Peace Palace (ang.) – pałac spokoju. [\[wróć\]](#)

Patience (ang.) – cierpliwość. [\[wróć\]](#)



